

Ko[^]dt(iał

— I —

Wieczór u Madame Delacroix był udany.

Mimo przejmującego zimowego wichru, szalejącego wokół otoczonego galerią domu, *creme de la creme* St. Martinville przyjęła dostarczone przez posłańca zaproszenia. Przybrani w aksamity i brokaty, satyny i florenckie tafty, pakowali się do powozów i udawali do jej domu błotnistym traktem, wiodącym wzdłuż szpaleru omszałych drzew.

Zdawała sobie sprawę, że magnezem, przyciągającym ich tutaj, nie były jej piękne oczy, lecz perspektywa nowości.

Mimo że od momentu, kiedy to Francuzi i Francuzki zamieszkujący Luizjanę przerodzili się w obywateli Ameryki, minęło ponad trzydzieści lat i chociaż tak długo już trwali w podziwie dla republikańskiej Francji, ciągle jeszcze żywili skrywany podziw dla wszystkiego, co związane było z monarchią. Czyż ich miasto jeszcze ciągle nie było znane jako La Petite Paris? A czyż wielu z nich to nie arystokratyczni *emigres* lub ich potomkowie, którzy w popłochu uciekali przed Terrorem? Wielu z nich pamiętało ponury stukot armatnich jaszczy i błyski ostrza Madame Guillotine.

Było pewne, że ksiązę, który ostatnio pojawił się w okolicy, pochodzi z jakiegoś kraju na Bałkanach, o którym mało kto słyszał. Ale zawsze to rodzina królewska. Było mało prawdopodobne, że pojawi się dzisiejszego wieczoru. Ale, *mon Dieu*, Madame Dela-

croix powinna dać znać przez posłańca, że taka ewentualność istniała.

Na razie można było tańczyć, jeść i pić - Madame słynęła ze swych kolacji. Na pewno ktoś z obecnych zauważyłby taką królewską osobistość, gdyby spacerowała po mieście, albo dowiedziałyby się od służby, która znała czarnych niewolników z Petite Versailles - plantacji M'sieur de la Chaise, gdzie miał się zatrzymać.

Wesoło rozlegały się dźwięki skrzypiec, waltorni i fortepianu. Tańczono z ożywieniem. Rozmowy, na które składały się głównie plotki i najnowsze wydarzenia w skoliżanych ze sobą rodzinach, zamieszkałych w okolicy, prowadzono półgłosem i z uwagą, by nikogo nie urazić. Przez szerokie otwarcie drzwi, łączących *grandę salle* z *petite salle*, uzyskano długie, zawieszane jedwabnymi storami pomieszczenie. W obu jego końcach płonął wesoło ogień. W powietrzu unosił się delikatny zapach dymu, mieszaniny perfum, jakich używały kobiety, mocnej woni błyszczącego zielonego kolcowoju, którym udekorowano kominek i futryny drzwi. Błyszczała wyfroterowana podłoga. Odbijały się w niej zawieszzone pod sufitem świeczniki i kolorowe stroje pań.

Była jedna osoba, której nie udzielało się powszechne podniecenie. Angelinę Fortin krążyła po parkiecie ze sztucznym uśmiechem na delikatnie wykrojonych ustach. Blask świec odbijał się w jej rdzawo pobłyskujących włosach, opadających w swobodnych lokach a la Belle, w gładkiej skórze, wydobywał miedziane błyski z głębi szarzielonych tajemniczych oczu. Ubrana w nieskazitelnie białą, na grecką modłę skrojoną suknię, nie zwracała uwagi, jakie wrażenie wywierała na otoczeniu. Pragnęła, aby ten wieczór zakończył się jak najszybciej.

W opinii jej ciotki, Madame de Buys, takie zachowanie było niemądre. Nic nie mogło wyglądać dziwniej i wywołać więcej uwag niż ich nagłe zniknięcie. Poza

tym, obecność na przyjęciu u Heleny Delacroix była dobrą okazją, by się dowiedzieć, o co idzie księciu, zanim on sam je odszuka. Dobrze jest znać zamiary wroga.

Ciotka, oczywiście, miała rację. Nic w toczących się rozmowach i rozlegającym się wokoło śmiechu nie dawało powodu do niepokoju. A jednak Angelinę nie potrafiła się rozluźnić.

- Jesteś dzisiaj jakaś milcząca, *ma chere*.

Z uśmiechem spojrzała na swego partnera. Był to syn gospodyni, poważny, ciemnowłosy młody człowiek, z ostro przyciętym wąsem nad wydatnymi wargami.

- Wiem. Wybacz, Andre. Ja... Trochę boli mnie głowa.

- To czemu wcześniej nie powiedziałaś? Przecież nie musimy ciągle tańczyć. Chętnie gdzieś z tobą siądę. Nie trzeba mnie wiecznie zabawiać.

Patrzył na nią ciepło i z zatroskaniem, z rumieńcem na oliwkowej twarzy.

- Znam cię dobrze - odpowiedziała ostro. - Jesteś porywczy i rozkapryszony. Wiem, że odsiedzieć taniec byłoby dla ciebie okropnością.

- Gdybym był taki, nigdy byś ze mną nie zatańczyła. Wiem, że to odpycha delikatne kobiety...

- To znaczy, że mało mnie znasz - rzuciła.

- Myślę, że znam cię dość dobrze. A przynajmniej powinienem. Obserwuję cię przecież od samej kołyski.

Nic na to nie odpowiedziała, więc już bez uśmiechu mówił dalej.

- Czy twoja ciotka zamierza tego roku jechać na *saisone de visites* do Nowego Orleanu?

- Nie jestem pewna. Dotychczas nie rozpoczęła żadnych przygotowań.

- Byłoby nudno bez ciebie, chociaż trzyma cię krótko. Jeśli ciebie tam nie będzie, ja też chyba zostanę na plantacji.

- Oczywiście - odrzekła. - Przecież musisz dopilnować swojej wschodzącej plantacji trzciny cukrowej.

- A tak. Trzcina cukrowa to uprawa przyszłości, wspomnisz moje słowa. Nie to, co indygo niszczone plagami rdzy i...

- Posłuchaj - przerwała mu nagle.

- Co takiego?

- To chyba odgłos koni w biegu.

- Kto mógłby przyjeżdżać o tej porze? Już niemal czas na taniec wieczoru.

Andre spojrział w okno: nie zobaczył nic prócz odbicia tańczących w świetle płomieni świec.

- Chyba mi się zdawało - powiedziała z ulgą.

Ale nie. W chwilę później z galerii dał się słyszeć odgłos kroków. Płomienie dwustu świec zachybotwały w podmuchu od otwieranych drzwi. Kryształki wiszących kandelabrow zachwibotały zimno. Wszystkie głowy zwróciły się w tym kierunku. Młode kobiety wstrzymały oddech i stanęły w pół kroku kadryla. Mężczyźni patrzyli po sobie z zastygłymi twarzami. Wdowy i stare panny w koronkowych czepcach usunęły się pod ściany i przerwały rozmowy. Zrobiła się cisza, w której szuranie nóg i przytłumione dźwięki muzyki wydawały się zbyt głośne.

Światło świecy padało na ramiona Angelinę, gdy odwróciła się i w popłochu spojrzała na ciotkę. Madame de Buys nie zwracała na nią uwagi. Dumna, czarnowłosa starsza pani siedziała sztywno, ściskając w ręku uchwyt delikatnego wachlarza z kości słoniowej. Wydatny nos i ostro zarysowana górna warga nadawały jej twarzy wyraz drwiny. W tym momencie wpatrywała się w stojącego w drzwiach mężczyznę.

Przy jego boku stanął, przybrany w liberię, kamerdyner Madame Delacroix i zaczął recytować:

- Rolfe, Księżę Ruthenii, Wielki Księżę Auchenstein, Hrabia Faaulken, Markiz de Villiot, Baron...

Księżę uniósł dłoń w białej, irchowej rękawicy i uciął dalszą recytację tytułów. Gest był zupełnie prosty, ale

wykonany z naturalną, zniewalającą siłą, wymuszającą natychmiastowe posłuszeństwo. Poruszał się, jak ktoś przyzwyczajony do wydawania rozkazów. Nosił bogato szamerowany mundur ze złotymi epoletami, z koalicijką przewieszoną przez ramię i szeregiem błękitnych, obramowanych koronką baretek, biegnącym przez całą szerokość piersi. Emaliowany, wysadzany drogimi kamieniami krzyż, zapewne jakiś order, wisiał na wysokości serca. Szabla z rękojeścią pokrytą rzucającymi snopy iskier diamentami zwisała wzdłuż lampasu u spodni. Wzrostu był więcej niż średniego. Niby niedbale patrzył po sali, ale jego jasnoblękitne oczy, błyskające spoza ciężkich powiek, nie pomijały niczego.

Zza jego pleców wyszło pięciu wojskowych i ustawiło się z boku. Na czele stanął żołnierz o nieruchomej twarzy, z opaską na oku, o manierach Prusaka. Za nim stanął następny, barczysty, jak sam książę, ale bardziej zwalisty. Nad ustami miał bliznę w kształcie półksiężyca. Obok niego stanął szczupły, zadzierzysty osobnik z orlim nosem i czarnymi włosami. Za nim - para bliźniaków z kędziorami kasztanowych, opadających na czoło włosów, z identycznymi orzechowymi oczami, w identycznej pozie: z lewą ręką na rękojeści szabli i w rozkroku.

Ustawiali się jak zgrany oddział wojska, pobłyskując galonami i orderami. Ruchy mieli tak precyzyjne jak na paradzie. To był wspaniały widok: niewielki salon Madame Delacroix wyglądał jak wybieg, na którym pojawiło się stadko pawie.

Orkiestra przestała grać, a tańczący pozostali na miejscach. Madame, pani domu, w sukni z różowego aksamitu z podkreśloną mocno talią, ruszyła w kierunku księcia z głębokim ukłonem.

- Serdecznie witam w tym domu. I w Luizjanie, Wasza Wysokość. Poczytuję to sobie za wielki zaszczyt.

Gdybyśmy się spodziewali, gdybyśmy mogli sobie wyobrazić...

- Rozumiem, że mam przyjemność rozmawiać z panią tego domu - rzekł książę. Ujął jej rękę i skłonił się nisko z czarującym uśmiechem na ustach.

- Tak, oczywiście, Wasza Wysokość.

- M'sieur de la Chaise, który był uprzejmy zapewnić moim ludziom i mnie kwaterę na czas naszego pobytu w tych okolicach, dał nam do zrozumienia, że nie miałyby nam pani bardzo za złe, gdybyśmy dziś tu zawitali. Lecz jeśli się mylił, jeśli w jakikolwiek sposób przeszkadzamy, proszę o słowo, a natychmiast odjeżdżamy.

- Ależ nie. Jesteśmy zachwyceni, że pan i pańscy przyjaciele zechcieli do nas wstąpić. Słyszeliśmy, że jest pan gościem M'sieur de la Chaise, ale nie śmieliśmy nawet marzyć, że pan...

- Proszę przyjąć wyrazy mojej najgłębszej wdzięczności, Madame - powiedział z widoczną ulgą, pochylając złotowłosą głowę. - Twoim prawdziwym imieniem niech będzie Łaskawość.

Na czole Madame pojawiła się głęboka zmarszczka.

- Jak pan sobie życzy, Wasza Wysokość. Ale od urodzenia noszę imię Helenę. A teraz, jeśli książę pozwoli, chciałabym przedstawić mego męża.

Rozbawienie, ciepłe i żywe, rozjaśniło twarz księcia; znikło jednak zaraz, gdy tylko zwrócił się do M'sieur Delacroix. Wymiana koniecznych w takich wypadkach grzeczności tylko w połowie zaprzętała jego uwagę. Z zaciekawieniem rozglądał się po sali.

Angelinę tańcząc znalazła się obok ciotki. Gdy tylko jej partner się ukłonił i odszedł, zbliżyła się do krzesła starszej pani.

- Ciociu Berthe - rzekła ściszym głosem - co mamy teraz robić?

- Nic - syknęła ciotka. - On w żaden sposób nie może wiedzieć, że Claire tu jest. Szuka jedynie tropu.

- To ma zadziwiające szczęście, że doszedł tak blisko - odparła Angelinę dość szorstko.

- Dotarł tu, bo wie, że St. Martinville jest miejscem urodzenia mojej Claire. Nic więcej.

- I przebył pół świata bez wielkiej nadziei.

- Nie bądź niegrzeczna. Nie ciesz się mną, gdy mówisz o mojej córce, a twojej bliskiej kuzynce, jak o lisie w potrzasku. Nie życzę sobie tego, słyszysz? I, na miłość *le bon Dieu* - uśmiechaj się. On patrzy w tym kierunku.

Patrzył naprawdę. Rozbawienie znikło z jego twarzy, była stężała i nieprzenikniona. Pod kruchą powłoką dobrych manier czuło się skrywaną siłę i nieugiętą wolę. Angelinę stała zmrożona do szpiku kości. Nawet wzroku nie była w stanie odwrócić. Dopiero gdy książę na prośbę gospodyni zaczął przedstawiać swoich ludzi, odetchnęła z ulgą.

Angelinę rzadko dawała się ponieść nerwom. Jednak przeżycia dzisiejszego dnia, wcześniej - nie przespana noc, nie mówiąc już o humorach ciotki, wyczerpały jej siły. Nic nie układało się tak, jak powinno, od momentu kiedy dwie noce temu Claire wróciła do nich i opowiedziała, że obawia się o swe życie i prosi o ukrycie.

Claire - dziewczyna o rudych włosach i szmaragdowych oczach. Jakie wielkie nadzieje przed trzema laty wiązano z jej wyjazdem do Paryża. Przez rok mieszkała u dalszej kuzynki w celu nabrania koniecznej ogłady, a potem, w wieku siedemnastu lat, wkroczyła w wielki świat. Jak jej nieobecność przeżywała ciotka Berthe, z jakim przejęciem czytała jej listy z opisami bali, rautów, przyjęć, *bulet doux* i wiersze pisane na cześć jej brwi i bieli szyi. Jakie wysiłki podejmowano, by droga Claire mogła dostać nową suknię czy nowe wstążki do futrzanej mufki. Nic nie mogło się równać z radością Madame de Buys, jaką odczuwała, słuchając o hołdach, składanych jej córce przez następcę tronu

jednego z małych, ale bogatych państewek bałkańskich. Zaproszenie do odwiedzenia tego kraju zmusiło ciotkę do jeszcze większych oszczędności i to tylko dlatego, by dla Claire zamówić odpowiednią wyprawę, godną przyszłej narzeczonej księcia. Dotarła na miejsce szczęśliwie i wszystko pięknie opisała. Niejednokrotnie można było podsłuchać, jak Madame szeptała nad robótkami: księżna Claire, księżna Claire...

Później pełne zachwyty listy były coraz rzadsze, coraz krótsze, aż skończyły się zupełnie. Po długich tygodniach milczenia Claire potajemnie i z przerażeniem w oczach dotarła do domu. Opowiedziała, że Maximilian Rutheński zginął zastrzelony, że ją również usiłowano zastrzelić, by w ten sposób upozorować samobójstwo mordercy. Postrzelona, straciła przytomność. Kiedy się ocknęła, spostrzegła, że leży obok martwego Maximiliana. W rozpaczliwym pośpiechu udało jej się uciec do Francji. Za sprzedane klejnoty, które otrzymała w prezencie od Maximiliana, dotarła do Le Havre. Stąd wyruszyła do domu, do Luizjany, w obawie, że jest śledzona przez złego ducha, brata Maximiliana, który teraz został prawowitym następcą tronu.

To on stał tutaj i kłaniał się Angelinę.

- Moja droga - zawołała Helenę Delacroix - nie uciekaj. Książę wyraził życzenie, by mu ciebie przedstawić.

Podczas prezentacji uśmiechał się kpiąco. Przyglądał się, trochę łagodnie i trochę bezczelnie, kasztanowym splotom włosów opadającym wzdłuż jej twarzy, delikatnym kształtom piersi rysującym się pod białą muślinową suknią, przewiazaną w pasie czerwoną wstęgą, którą Claire kiedyś wyrzuciła. Stał bez ruchu pod wrażeniem harmonii jej kształtów, jakby go zaczarowały jej drżące ręce w koronkowych rękawiczkach, spoczywające na biodrach.

- Zatańczy pani walca, Mademoiselle? - spytał tonem, który ją przeraził.

Angelinę szybko spojrziała w kierunku ciotki; ta przecząco pokręciła głową.

- Proszę wybaczyć, Wasza Wysokość...

- Ależ - zawołała pani domu - przecież przed chwilą widziałam, jak tańczyłaś z moim synem.

- Daj spokój, Helenę - rzekła Madame de Buys. - Jeśli moja siostrzenica nie ma ochoty, nie zmuszaj jej.

- *La, ma chere.* Ze wszystkich znajdujących się tutaj dziewcząt ona jest ostatnią, za którą można by się wstydzić. I nie wypada odmawiać księciu. Jego życzenie powinno być rozkazem.

- Nie jesteśmy jego poddanymi - odparowała Madame de Buys.

- Ale on jest naszym gościem.

- To nie ma nic do rzeczy - przerwał książe patrząc z uśmiechem na Angelinę. - Jeśli Mademoiselle się boi, nie ma o czym mówić.

Gniewny rumieniec pojawił się na policzkach Angelinę.

- Ależ nie.

- W takim razie - podał jej ramię.

Orkiestra zaczęła grać.

Czy mogła zrobić inaczej, gdy uwaga wszystkich skupiła się na nich? Poza tym, czy jej upór nie wzbudziłby jego podejrzeń? Niepewnie stanęła obok niego.

Pod rękawem, którego dotknęła ręką, wyczuła mięśnie i ścięgna. Szabla, zwisająca mu u boku na misternych rapciach, była czymś więcej niż tylko kosztowną zabawką. Skoro tylko zaczęli tańczyć, od razu zauważyła, że potrafi tak utrzymywać kołyszącą się broń, by nie krępować ruchów ani jego, ani jego partnerki.

Tańczyli prawie sami. Niemal boleśnie odczuwała jego utkwiony w nią wzrok. Nie pamiętała, by kiedykolwiek

wiek tak intensywnie odczuwała dotyk męskiej dłoni na plecach, ocieranie ud w tańcu, bliskość partnera.

- Angelinę - odezwał się stłumionym głosem, jakby językiem badał dźwięk sylab. - To imię pasuje do twojej dzisiejszej postawy przestraszonej i skrzywdzonej niewinności. Ale w moim kraju raczej znano cię pod imieniem Claire.

Zesztywniała. Podniosła powieki, by spojrzeć mu w oczy.

- Przepraszam, co takiego?

- Moje uznanie. Dobrze to zagrałaś. Ale nie mam czasu ani ochoty na owijanie spraw w bawełnę. Muszę z tobą porozmawiać.

- Sądzę, Wasza Wysokość, że się pan myli - powiedziała. - Nie jestem...

- Myślisz, że cię nie poznaję? - przerwał jej w pół słowa. - Nigdy wprawdzie nie zostaliśmy sobie przedstawieni, ale widywałem cię w towarzystwie mego brata, jak jeździłaś z nim na spacer, siedziałaś z nim w teatrze. I to wiele razy.

- Wydaje mi się, że mówi pan o mojej kuzynce Claire, Wasza Wysokość. Mawiano mi, że trochę ją przypominam, ale zapewniam pana, że ja jestem Angelinę Fortin.

Jak mogła nie przewidzieć takiej możliwości? Ona i Claire były w tym samym wieku i jako dzieci były czasem uważane za bliźniaczki. Angelinę zamieszkała z ciotką, żoną brata matki, gdy zaraza zabrała jej oboje rodziców. Kiedy podrosła, rysy Claire stały się bardziej wyraziste, a zachowanie bardziej swobodne. Niektórzy mówili, że Angelinę jest lustrzanym odbiciem Claire, oglądanym w słabo oświetlonym pomieszczeniu, z włosami o stonowanych barwach jesieni i mrocznych zielonych oczach w gęstym obramowaniu czarnych rzęs. W czasie wieloletniej nieobecności kuzynki zaprzestano tych porównań i Angelinę uznała za rzecz

oczywista, że z wiekiem stawały się coraz mniej do siebie podobne. Gdy ją teraz zobaczyła, uznała, że tak naprawdę jest.

Ścisnął jej rękę tak, że szwy rękawiczek wpiły się jej w palce.

- Cierpliwość nie jest moją mocną stroną. Nie obchodzi mnie to, jak będziesz teraz siebie nazywała. Muszę się dowiedzieć wszystkiego, co wiesz o śmierci mojego brata. A przysięgam na groby swoich przodków, że nic mnie przed tym nie powstrzyma.

Od nacisku, z jakim mówił, od rytmu i doboru słów, ciarki przeszły jej po plecach i w tym momencie zaczęła współczuć Claire.

- Przykro mi, że pański brat nie żyje. Ale ja nie mam z tym nic wspólnego.

Zanim odpowiedział, przez chwilę twarz zmieniła mu się w żelazną maskę, a oczy zabłyśły złowrogo. Przyciągnął ją do siebie, bliżej, niż pozwalała na to przyzwoitość. Wargami dotykał jej czoła. Mrowie ją przeszło, kiedy usłyszała:

- Czy zdajesz sobie sprawę z niebezpieczeństwa, w jakim się znajdujesz? Nie jestem Maximilianem, mięczakiem i chodzącą ogładą. Chadzam własnymi drogami, które w opinii niektórych mogą wieść na potępienie. Ale zapewniam cię, że pociągnę cię za sobą, nawet naga i pozbawioną czci, jeśli to tylko będzie konieczne do osiągnięcia mojego celu.

Dyszac ciężko, Angelinę próbowała odsunąć się od niego, ale trzymał ją w żelaznym uścisku. Spojrzała mu w twarz i ze zdziwieniem stwierdziła, że się do niej śmieje. Zaczęła pracować jej pamięć i nagle przypomniała sobie list, jaki Claire napisała kilka miesięcy temu. Sądząc, że kiedyś zostanie żoną Maximiliana, zainteresowała się jego rodziną, a także krajem, w którym przyjdzie jej żyć, dzieląc jego radości i kłopoty. Wtedy to wyszło na jaw skandaliczne prowadzenie się jego

brata, członka rodziny królewskiej, który zadawał się z kobietami lekkich obyczajów, ze złodziejami i oszustami, wielokrotnie się pojedynkował i rzadko chodził trzeźwy. Jego włóczęgi po całej Europie do rozpacz doprowadzały brata i wywoływały wybuchy furii u ojca. Żył jedynie przyjemnością bieżącej chwili i nic dziwnego, że uznano go za zakałą rodziny i kraju.

Z drugiej jednak strony, czy to siłą swej osobowości, czy to zuchwałością graniczącą z pogardą dla wszelkich niebezpieczeństw, czy wreszcie ze skłonnością do posługiwania się poetyckim językiem, zdobywał sobie uległość otoczenia, a nawet miłość rodaków. Witano go radośnie wszędzie, gdziekolwiek się pojawił. Nazywano go Złotym Wilkiem, od znamion, które miał na ramionach, a które podobno miały coś wspólnego z jego rosyjskim dziadkiem, a przynajmniej Claire tak myślała. Tym, co Claire o nim wiedziała, w żaden sposób nie zasługiwał na uczucia, jakimi go darzono. Najbardziej jednak irytujące było to, że księżę Rolfe cieszył się większą popularnością niż Maximilian, a nawet sam król.

Parkiet wokół nich zapełniał się. Kilku towarzyszy księcia przekonało matki pańienek, by pozwoliły im zatańczyć. Angelinę poczuła się osaczona przez białe mundury. Utworzyli mur pomiędzy nią i resztą gości, zasłonę, przez którą nikt nie mógł dokładnie dostrzec, jak była w tej chwili traktowana. Poszukiwała wzrokiem ciotki. Madame de Buys, ze zmarszczonym czołem i wyrazem niezadowolenia na twarzy, siedziała nieporuszona. W tym momencie plecy któregoś z tańczących przesłoniły jej widok.

Angelinę oddychała ciężko. W jej oczach pojawiły się groźne błyski.

- Już panu powiedziałam, że nic nie wiem. To, że mi pan nie wierzy, nie daje panu prawa do tak pospolitych gróźb.

- To nie groźby. To obietnica.

- Której tu, w miejscu publicznym, w prywatnym domu, nie może pan spełnić.

- Twój błąd - powiedział cicho - jeśli w to wierzysz.

Był tak pewny siebie i swej przewagi nad otoczeniem, że miała ochotę go wyśmiać. On natomiast, na pół z bezczelnością, na pół z zachwytem, obserwował jej podnoszące się i opadające piersi i krwisty rumieniec zakwitający na policzkach.

- Teraz, skoro doszliśmy już do porozumienia, może zechcesz mi dokładnie opowiedzieć, jak zginął mój brat.

- Nic panu nie mogę powiedzieć, bo nic nie wiem. Jak mam pana przekonać, że tam nigdy nie byłam?

- Widziano cię, jak opuszczałaś dom o drugiej nad ranem, kilka godzin po tym, jak zastrzelono mego brata. W pościeli znaleziono damską koszulę nocną, którą służąca rozpoznała jako twoją. Więc byłaś tam.

Angelinę pomyliła krok i straciła równowagę. Omal się nie przewróciła, ale podtrzymał ją, obejmując w pasie i przyciskając do piersi. Poczowała, jak guziki i ordery wpijają się w jej ciało. Odsunęła się w popłochu i zamknęła oczy, by ukryć zmieszanie.

- To jakaś potworna pomyłka.

- Zgadza się. I to Maximilian ją popełnił, pozwalając ci wrócić jeszcze na tę jedną noc, po spłaceniu wszystkich zobowiązań. Chociaż muszę przyznać, że po bliższym poznaniu ciebie mogę łatwiej zrozumieć jego brak zdecydowania.

Nie miała żadnej wątpliwości co do znaczenia tych słów: Claire była kochanką Maximiliana. Angelinę wolałaby w to nie wierzyć, ale wszystko układało się w logiczną całość. To by tłumaczyło nagłą powściągliwość w korespondencji Claire, brak zainteresowania losem Ruthenii, oznaki cynizmu, jakie zauważyła w niej podczas tych dwóch ostatnich dni, a także ukradkowe spojrzenia, jakie kuzynka wymieniała z ciotką.

- Zaskakujące, co? Zwłaszcza że się wydało.

- Jestem zaskoczona - odparła. - Ale zaskoczona dlatego, że powiedział mi pan o Claire coś, czego do tej pory nie wiedziałam.

- Zrobione - powiedział z lodowatym wyrazem twarzy i cedząc przez zęby poszczególne słowa. - Będziesz współpracowała albo...

- Pod każdym względem - zgodziła się zaskakując go swoją gniewną gotowością. - Pogadamy o tym, kto mógł chcieć śmierci pańskiego brata. Rozważymy, Wasza Królewska Mość, kto mógł najwięcej skorzystać na tej śmierci. Kto i co mógł zdobyć - bogactwo, zaszczyty, wysoki urząd?

Mówiła podniesionym głosem. Kątem oka widziała jednego z jego ludzi, tego z blizną na twarzy, jak ze zdziwieniem patrzył raz na nią, raz na księcia. Zmiana, jaka dokonała się w tańczącym mężczyźnie, była niezauważalna, ale wyczuła ją i przejął ją strach.

- Myślę, że spotkanie sam na sam będzie lepsze - powiedział przeciągając słowa.

- To panu nic nie da, nawet gdybym się zgodziła. A nie zgadzam się.

Drgnęły mu mięśnie twarzy, a w oczach pojawił się złowrogi błysk.

- Nie wolno panu... Nie może pan...

- Nie? Nie ma tak podłych czy nieuczciwych sposobów, których bym się nie chwycił, by wykryć zabójcę mego brata, udowodnić, że nie popełnił samobójstwa, a także - oczyścić się w oczach ojca i narodu z zarzutów, które teraz także ty tak sprytnie mi stawiasz.

Orkiestra powoli milkła i taniec miał się ku końcowi. Ponieważ już się nie wrywała, zwolnił uścisk i pozwolił jej odsunąć się na właściwą odległość. Mimo to wyczuwała, że jest napięty jak zgięta w pół hartowana klinga. To napięcie udzielało się także jej, widoczne w drżeniu palców, które ciągle jeszcze trzymał w swojej

dłoni. Nie wiedziała, co on zrobi, kiedy orkiestra przestanie grać, i nawet nie próbowała się tego domyślać. Razem z ostatnim dźwiękiem melodii wysunęła się z jego objęcia i próbowała umknąć.

Poskoczył za nią, chwycił ją za rękę z taką siłą, że stanęła w miejscu. Wargi jej zbieleły. Patrzyła w jego twarz jak zahipnotyzowana.

- Nie musisz tak uciekać - rzekł cicho.

- Muszę wracać do ciotki. Ona... wszyscy będą się dziwić, gdy tego nie zrobię.

- Niech sobie myślą, co chcą - odparł.

Ktoś stanął u jej boku: to Andre kłaniając się, spoglądał to na niego, to na nią.

- Czy coś się stało?

- To... to ja objaśniam księciu wymogi etykiety, jakie na tej prowincji obowiązują - odpowiedziała.

Rolfe opuścił ramię tak, że dłoń, którą trzymał, skryła się w fałdach jej sukni.

- Myślę, że te wymogi są wszędzie takie same - z tonu, jakim Andre to powiedział, jasno wynikało, iż się domyśla, że coś między nimi nie jest w porządku. - I chcę ci przypomnieć, Angelinę, że następny taniec, taniec wieczoru obiecałaś m nie.

- Oczywiście - odrzekła, zmuszając się do uśmiechu; wolną ręką dotknęła ramienia Andre. - Tego nie musiałeś mi przypominać.

Książę mógł ją albo dalej zatrzymywać, zdradzając w ten sposób swe mało szlachetne zamiary, albo pozwolić jej odejść. Zdecydował się natychmiast: puścił jej dłoń i cofnął się o krok. Angelinę poczuła się taka słaba, że nie miała odwagi ruszyć się z miejsca. Ledwo zdobyła się na nikły uśmiech.

- Madame Delacroix ma córkę, która pięknie śpiewa. Myślę, że podczas kolacji będzie nas zabawiać. Zostanie pan?

- Nie. Nie sądzę. Już i tak narzucaliśmy się za długo.

Skinął głową Andre, obrócił się na pięcie i odszedł. Jego gwardia stanęła na baczność. Tancerze schodzący z parkietu, rozdzieleni niby cięciem szabli, utworzyli szpaler. Kamerdyner podbiegł otworzyć drzwi. Drużyna księcia skierowała się do wyjścia.

- Angelinę - zawołała Madame Delacroix podchodząc - co mu powiedziałaś, że tak pospiesznie nas opuścił?

Angelinę spojrzała w stronę, gdzie w milczeniu siedziała jej ciotka.

- Tak naprawdę powiedziałam mu bardzo niewiele.

Przez pozostałą część wieczoru wystawiona była na ciężką próbę. Podczas kolacji otoczyły ją dziewczęta z podziwem szczebioczące o książęcym wyróżnieniu, domagające się powtórzenia wszystkiego, co do niej mówił i co ona odpowiadała, z uznaniem mówiące o tym, jak pomyślnie to wszystko przetrwała. Niejednokrotnie wracały do pytania, które zadała jej pani domu, a mianowicie, dlaczego książe, pomijając miejscowych notabli o znakomitych rodowodach, poprosił, by mu przedstawić właśnie ją, i dlaczego, nie rozmawiając już z nikim, zaraz po skończonym tańcu opuścił dom.

Angelinę odpowiadała możliwie najdokładniej, ale starannie unikała wszystkiego, co mogłoby świadczyć o tym, że Claire wróciła do domu.

Wśród spojrzeń z mieszaniną podziwu i podejrzliwości, wzdychania dziewczyn, które poprosili do tańca ludzie księcia, pytań Andre o ból głowy, który wcześniej udawała, zauważyła, że ciotka Berthe szykuje się do opuszczenia towarzystwa. Ona też tego pragnęła.

Na tym się jednak wypytywanie nie zakończyło. Podczas jazdy do domu Madame de Buys domagała się powtórzenia, słowo w słowo, wszystkiego, co mówił książe i co ona mu odpowiadała. Skarciła Angelinę za to, że nie była dość zalotna; gdyby się bardziej postarała,

mogła oczarować księcia i przekonać go do siebie, a przez to skuteczniej chronić kuzynkę. Swymi cierpkimi odpowiedziami z całą pewnością nie odwróciła od niego jego uwagi, wprost przeciwnie - mogła go utwierdzić w przekonaniu, że kłamie. Powinna była odmówić tańca, jak jej poleciła. To było grube nieposłuszeństwo, którego tak szybko jej nie wybaczy.

Groźby księcia Madame de Buys lekceważyła.

Co mógł zrobić? Siłą wedrzeć się do domu? Ludzie z jego pozycją nie mogą posuwać się do tak barbarzyńskich metod. A nawet, gdyby się posunął tak daleko - jest jeszcze służba, która potrafi mu w tym przeszkodzić. Że może ją porwać skądinąd? Na to był prosty sposób: jak długo książę będzie w okolicy, nie wolno jej wychodzić z domu bez opieki. A póki co, skoro Claire musiała pozostawać w zamknięciu w domu matki, musi być ktoś, kto pomoże jej znieść samotność.

Angelinę, wchodząc za ciotką do domu, uśmiechała się ponuro: służący, który je witał, miałyby je obronić przed napastnikami? Ten siwy, stetryczały staruszek mógł je najwyżej osłaniać przed niechcianymi gośćmi - nic więcej.

Kiedy Angelinę otworzyła drzwi swojej sypialni, Claire rzuciła robótki i podniosła się ze stojącego przed kominkiem fotela.

- No - rzekła lekko łamiącym się głosem - najwyższy czas. Już myślałam, że będziesz tańczyć całą noc.

Angelinę zamknęła za sobą drzwi i odwróciła się do dziewczyny.

- Co ty tu robisz? Przecież miałaś nie ruszać się z pokoju ciotki Berthe, gdzie jej służąca miała się tobą opiekować.

- Z Marią nawet nie można pogadać, a gapienie się na *toile de Jouy* na ścianach, nawet jeśli przedstawia święto Bachusa, też po jakimś czasie może obrzydnać. Krótko mówiąc - poczułam atak *ennui*.

- I to po dwóch zaledwie dniach?
- Jestem przyzwyczajona do bardziej ruchliwego życia - rzekła, napinając smukłą, ponętą figurę w zielonej atłasowej sukni.

- Tak właśnie zauważyłam. Jeśli to, co wydarzyło się dzisiejszego wieczoru, jest przykładem takiego ruchliwego życia, jakie prowadziłaś z tym twoim księciem, to... dziękuję bardzo.

Claire wyprostowała się nagle.

- Co masz na myśli? Chyba nie... nie Rolfe? On tu nie mógł dotrzeć!

- Nie mógł? - rzekła z ironią w głosie Angelinę.

Odwróciła się od Claire, zdjęła z ramion płaszcz i rzuciła go na łóżko.

- *Mon Dieu*. To straszne, kiedy pomyślę, że był cały czas tak blisko mnie - wzdrygnęła się. - Mogłam się domyślać, że ruszy za mną w drogę, ale żeby aż tak się wysilać? Nie kochali się ani nawet lubili z Maxem. Teraz on jest pierwszym pretendentem do tronu.

- Bez względu na to, czym się kierował, faktem jest, że jest tu. Współczuję ci.

- Współczujesz mi? - spytała Claire zdziwiona.

- Tak. Dzisiejszego wieczoru pomylił mnie z tobą.

Claire milczała przez chwilę, potem wybuchnęła śmiechem.

- To nie było zabawne! - zawołała Angelinę.

- Wierzę, że nie - zgodziła się Claire. - Wybacz. Był niemiły? Pewnie tak. Zwłaszcza jak się zorientował w swojej pomyłce.

Angelinę spojrzała na nią ze złością.

- Nie przyjął jej do wiadomości. Wściekał się, kiedy chciałam mu to uświadomić.

W tym momencie drzwi się otworzyły i do pokoju wpadła Madame de Buys. Za nią weszła Maria, chuda Francuzka, w czerni, w nieokreślonym wieku, o manierach monarchini.

- Więc tu jesteś, *chere!* - zawołała Madame, a jej lodowaty wzrok złagodniał natychmiast, gdy tylko zobaczyła córkę. - Przestraszyłam się, gdy zauważyłam, że wyszłaś. Myślę, że Angelinę już ci opowiedziała, co się dzisiaj wydarzyło.

- Śmieszne, prawda?

- Też tak myślę. Ale sama nigdy nie potrafiłam się dopatrzeć takiego podobieństwa między wami.

- Pytanie tylko, czy to może nam być pomocne.

Madame de Buys nawet nie udawała, że opacznie rozumie córkę.

- Jak? Nie widzę sposobu, by mogło być.

- W tej chwili ja też nie. Myślę, że szybko odkryje oszustwo, jeśli choć przez chwilę miał możliwość porozmawiać z nią.

Angelinę przysłuchiwała się tej rozmowie z narastającym oburzeniem, aż w pewnym momencie im przerwała.

- Jeśli myślicie, że mam zamiar podawać mu się za ciebie, Claire,- to się mylicie. Taką maskaradą nic się nie osiągnie.

- Ja się nie chcę spotkać ani z nim, ani z jego wybuchami gniewu! - zawołała Claire.

- A ja mam to zrobić? Dziękuję bardzo.

- Tobie, Angelinę, będzie znacznie łatwiej pozorować nieznajomość wypadków, jakie miały miejsce w Ruthenii. Ty zawsze potrafiłaś panować nad sobą, bez względu na okoliczności.

Angelinę zignorowała wątpliwy komplement.

- Udawanie nieznajomości rzeczy nie byłoby dla mnie żadnym problemem. Przecież jak dotąd nic mi na ten temat nie powiedziałaś.

- A co chciałabyś wiedzieć?

- Dużo różnych rzeczy - powiedziała Angelinę, patrząc Claire prosto w oczy. - Na początek: czemu nikt nie powiedział mi nic o tym, że tamtej nocy byłaś sama z księciem. Albo: kto mógłby usiłować cię zastrzelić?

Claire rzuciła niepewne spojrzenie na matkę.

- Nie widziałam potrzeby wdawania się w podejrzone szczegóły. Nawet nie wiem... nie jestem pewna, czy wszystko dobrze pamiętam. Przeżyłam szok, widząc Maxa umierającego na moich oczach. Pomyślałam, że sama jestem śmiertelnie ranna i zemdlałam. Na szczęście była to tylko niewielka rana.

- Moje gratulacje. Czy któryś z tych podejrzanych szczegółów, o których nie chciałaś mówić, miał coś wspólnego z twoją nocną koszulą znalezioną w łóżku Maximiliana?

- Dość tego, Angelinę! - zawołała Madame de Buys.

Dziewczyna, chociaż mocno zacisnęła usta, nie wydawała się mieć pretensji o to oskarżenie. Jeśli już, to jej niechęć skierowana była przeciwko Angelinę za jej brak taktu.

- Ale muszę takie rzeczy wiedzieć, skoro mam udawać Claire, prawda?

- Myślę, że wszystkie się zgadzamy, że jest to niewykonalne.

To było jej zwycięstwo. Angelinę spojrzała na Claire. Na jej pięknej twarzy nie zauważyła nawet cienia zażenowania. Myślała, że może ją dotknęła. Ale nie. To raczej ciotka wydawała się urażona wzmianką o jej skandalicznym prowadzeniu się.

- Bardzo mi przykro - nagle zaczęła mówić Claire. - Ja go bardzo lubiałam, bez względu na sposób, w jaki mnie traktował. Tu nie można mówić o żadnym morderstwie i jednocześnie próbie samobójstwa. To było morderstwo i nic więcej. Maximilian, książę Ruthenii, nie miał żadnego powodu, by pozbawiać życia siebie i - z przekonaniem mogę dodać - również mnie.

- Ale co się tam stało? - tego pytania nie mogła uniknąć.

- Nie wiem. Naprawdę nie wiem. Wiem tylko tyle, że w pewnym momencie wziął mnie w ramiona, by

w następnej chwili upaść. Zauważyłam błysk wystrzału, poczułam uderzenie kuli, a potem była już tylko ciemność. Kiedy doszłam do siebie, Max leżał martwy, a ja - moją jedyną myślą była natychmiastowa ucieczka.

- To brzmi rozsądnie - rzekła Madame. - Teraz, *ma chere*, trzeba ci znaleźć jakieś bezpieczne miejsce, aż ten szalony człowiek, który tutaj dotarł za tobą, odjedzie.

- Czy muszę się ukrywać?

Brwi Madame, czarne i ciężkie, połączyły się w jeden łuk nad oczami.

- Nie. Myślę, że nie. Dokładnie to rozważyłam. Trzeba ci znaleźć jedynie miejsce bezpieczne, ale poza zasięgiem złośliwych plotek, a przy tym niezbyt odległe, bym w każdej chwili mogła dopilnować, czy nie dzieje ci się jakaś krzywda.

- To znaczy?

- Szkoła klasztorna sióstr.

Claire uniosła brwi ze zdumienia.

- Chyba nie myślisz poważnie?

- Nigdy nie myślałam poważniej. Siostry cię przygar-
ną i udzielą schronienia. Nikt nie odważy się ścigać cię
w takim miejscu.

- To nie znasz Rolfe'a!

- I nie mam zamiaru go poznawać - odrzekła matka
Claire. - Nie mam też jednak zamiaru poświęcać swoich
uczuć. Kiedy już będziesz bezpieczna, otworzymy
szeroko podwoje tego domu, zaprosimy go, by sam go
przeszukał, przepytał służbę. Nikt, poza Marią, Angelinę
i mną, nic o tobie nie wie.

- Ale wielu się dowie, jak będę opuszczała dom, by
udać się do klasztoru - nie dawała za wygraną Claire.

- Jeśli pójdziecie ścieżką przez las pod osłoną nocy,
nikt się nie dowie.

- Myślisz, żeby przez las... w nocy? - spytała Claire
z niedowierzaniem.

- Dokładnie tak. I to jeszcze tej nocy. Angelinę cię poprowadzi.

- To bardzo odważnie z jej strony - rzekła z sarkazmem Claire.

- Jest w lesie ścieżka dobrze znana Angelinę. Przez ostatnie lata chodziła nią, gdy uzupełniała u sióstr swoją edukację, a potem pomagała uczyć młodsze dziewczęta. Kiedy dotrzecie do klasztoru, Angelinę obudzi siostrę przełożoną i wszystko jej o tobie opowie. Z łatwością przekona matkę Teresę. Zakonnica bardzo ją lubi.

- W to nie wątpię. I jestem jej za to wdzięczna. Ale nie dam się zamknąć w klasztorze! - zawołała Claire, zrywając się z miejsca.

Matka chwyciła ją za ramię.

- To jest szkoła, a nie konwent dla nowicjuszek, sama o tym dobrze wiesz. Pewne miejsce schronienia, z którego musisz skorzystać. Chodź, Maria pomoże ci się przebrać i upiąć włosy. Nie będzie tak źle, sama zobaczysz.

- Nie kończące się modły i wór pokutny - powiedziała z goryczą. - Pewnie myślisz, że to będzie miało na mnie zbawienny wpływ?

- Ja tego tak nie widzę. A w ogóle to mam na względzie jedynie twoje bezpieczeństwo, córeczko.

Angelinę odwróciła się, zdjęła rękawiczki i zaczęła szukać odpowiednich butów na drogę. Służąca tymczasem podeszła do Claire, aby ją pocieszyć i dodać odwagi. Angelinę zdawała sobie sprawę, że jej nie grozi żadne bezpośrednie niebezpieczeństwo tak jak Claire. Jeśli będzie musiała spotkać się z tym bałkańskim księciem, to przekona go, że nie jest tą, za którą ją bierze. Jednak byłoby jej miło, gdyby te kobiety zwróciły uwagę, że ona też ryzykuje, żeby choć w jakikolwiek sposób dały do zrozumienia, że się tym przejmują. Żeby chociaż udawały...

Roed^zał

— II —

Na ziemię padała zimna poświata księżycyca. Sączyła się przez bezlistne gałęzie drzew i rzucała ruchliwe cienie na ścieżkę. Suche liście szeleściły pod stopami. Angelinę stanęła i zaczęła nasłuchiwać.

- Co jest? - szepnęła Claire i stanęła obok.

- Nie wiem. Zdawało mi się, że coś słyszałam.

- Może jakiś wilk albo lampart? Matka powinna była wysłać z nami któregoś ze służących. Można by mu było zapłacić i zamknąć usta...

- Oczywiście. Tylko potem ktoś inny zapłaciłby więcej, żeby mu je otworzyć - odparła Angelinę. - Posłuchaj.

Chwilę stały w milczeniu.

- I co?

Angelinę wzruszyła ramionami. Owinęła się szczelnie płaszczem i ruszyła. Claire za nią. Uszły już pewnie z ćwierć mili.

Wyszły z domu nie zauważone. Z piętra schodami dla służby przedostały się pod dolną galerią, a potem w cieniu krzewów przemknęły w stronę lasu. W miejscu, gdzie zaczynała się ścieżka, obróciły się i popatrzyły na jaśniejący w księżycowej poświacie dom w stylu Indii Zachodnich. Madame de Buys chodziła nerwowo po górnej galerii i zaciśniętą pięścią co krok uderzała po poręczy.

- Zatrzymaj się - poprosiła Claire z trudem chwytając powietrze po przejściu następnej pół mili. - Nie mogłybyśmy chwili odpocząć?

- Nie. Czeka nas jeszcze dobra mila drogi.
- Czemu mi nie powiedziałaś, że to tak daleko?
- Po co? Przecież powozem i tak byśmy nie pojechały.

- Nie pojmuję, jak odnajdujesz tę ścieżkę. Przecież już dwa lata temu, tak samo jak ja, skończyłaś naukę.

- U matki przełożonej uczyłam się dodatkowo łaciny i trochę matematyki wyższej. Pomagałam też uczyć w młodszych klasach. Robiłam to do tej zimy.

- Dla kobiety to przecież bezużyteczne, żeby nie powiedzieć - ogłupiające. A poza tym, to czemu chodziłaś, zamiast jeździć powozem?

- Nikt mi tego nie proponował - odparła cierpko Angelinę. - Twoja matka nie patrzyła zresztą przychylnie na moją naukę.

- Nie widzę powodu, dla którego ktoś inny nie mógł tego zrobić - powiedziała po chwili Claire.

- Myślisz, że jakiś kawaler mógł mi coś takiego zaproponować? W tym właśnie tkwił problem. Ciotka Berthe była pewna, że jeśli się tylko postaram, to mogę doprowadzić do tego, że Andre Delacroix mi się oświadczy. Bała się, że jeśli moje zainteresowania pójdą w innym kierunku, nigdy go nie usidłę. I dlatego zakazała mi uczęszczać do szkoły - odpowiedziała Angelinę.

Podniosła wyżej płaszcz, by nie zaplątał się w gałązki dzikiej róży rosnącej wzdłuż ścieżki.

- Na ile pamiętam, Andre to niezła partia. Jego rodzina ma szerokie koneksje i jest bogata. - Claire mówiła dysząc ciężko i z trudem nadażając za Angelinę.

- O, tak. I bardzo go nawet lubię. Ale tylko tyle, nic więcej.

- Romantyczka? - Claire spytała z ironią i rozbawieniem.

- Czy to coś złego? A ty? Ty nie byłaś taka, gdy spotkałaś Maximiliana w Paryżu?

Claire nie odpowiedziała. Przed nimi rozpościerała się otwarta przestrzeń, gdzie ścieżka wychodziła z lasu i krzyżowała się z drogą. Na lewo trakt skręcał ostro w stronę uśpionego przedmieścia w neoszkockim stylu o nazwie St. Martinville. Klasztor leżał trochę poza miastem. Można tam było dojść tym traktem, ale z powodu licznych zakrętów i zakoli wijącego się Bayou Teche droga była dwa razy dłuższa, niż mogła się wydawać. Teche, francuskie brzmienie nazwy wziętej z indiańskiego narzecza Attapas, znaczy tyle co wąż. Zlewisko to tak właśnie się wiło. Kiedyś, w bardzo odległych czasach, była to odnoga Missisipi, dopóki ta nie zmieniła koryta.

W prawo trakt biegł zakolami przez las, wzdłuż zlewiska. Docierał do plantacji rozciągających się po obu jego stronach. Jakies siedem, osiem mil stąd w górę zlewiska rozciągały się posiadłości M'sieur de la Chaise, tego, który gościł księcia. W tamtej stronie leżała również plantacja Delacroix, na której dzisiejszego wieczoru odbywało się przyjęcie.

Angelinę obejrzała się. Nie chciała straszyć Claire, ale nie mogła wyzbyć się uczucia, że ktoś, może coś, idzie za nimi. Chwyła dziewczynę za ramię.

- Chodź, biegniemy.

Zahaczając sukniami o zarośla, zbiegły na drogę. Angelinę, ciągnąc za sobą Claire, skierowała się w lewo wzdłuż głębokich kolein. W księżycowej poświacie ich kroki głucho dudniły po rozmiękłej ziemi. Minęły ostry zakręt i daleko przed sobą zobaczyły szerokie zakole.

- Angelinę, nie mogę - Claire z trudem chwytała oddech.

- Jeszcze kawałek - szepnęła Angelinę, zwalniając.

Po kilku krokach obejrzała się. Nie widząc nikogo na zakręcie, zbiegła z drogi i zagłębiła się w las. Posuwały się teraz najciszej, jak potrafiły. Wcisnęły się w gąszcz wiecznie zielonej woskownicy i stanęły.

Zapadła cisza. Dokoła unosiła się aromatyczna woń bluszczu rozbudzona dotykiem ich płaszczy. Wiatr szumiał w gałęziach drzew. Gdzieś w oddali dwa konary ocierały się o siebie i głośno skrzypiały.

W tym momencie ujrzały go skroś drzew: czarnowłosa, jeden z tych, co byli z księciem. Biegł wolno drogą. Mundur na piersiach błyskał mu złotymi guzikami. Bez wątplenia miał od księcia rozkaz śledzenia Claire. Teraz albo ich nie zauważył, albo nie dostał polecenia zatrzymania ich. Jedno i drugie było dobre. Inaczej już by je miał.

Claire podniosła się i pewnie wyszłaby z ukrycia i rzuciła do ucieczki, gdyby Angelinę nie chwyciła jej za ramię.

Zimna wilgoć wpełzała im pod płaszcze, gdy tak stały patrząc, jak wysłaniec księcia podbiegał do następnego zakrętu. Zatrzymał się, postać dłuższą chwilę z rękami na biodrach, po czym zawrócił w kierunku, skąd przybył. Kiedy mijał miejsce, gdzie stały ukryte, zauważyły wyraz gniewu na jego pociągłej twarzy.

Mijały minuty. Angelinę otarła pajęczynę z policzka. Wolno trzepocząc skrzydłami przemknęła sowa.

W końcu ruszyły. Ciągnąc za sobą Claire, Angelina poszła w kierunku miejsca, gdzie ścieżka przecinała drogę i prowadziła przez las w stronę tylnej bramy klasztoru.

Szkoła klasztorna mieściła się w starym gmaszysku, zbudowanym z *bousillage*, cegieł formowanych z gliny, włosia jeleni oraz mchu porastającego drzewa okalające zlewisko. Mchu używano do uszczelniania cegieł stawianych jedna na drugiej. Całość otaczała wysoka palisada. Szkoła wzniesiona została przez bogatą dziewcziczkę jako wyraz wdzięczności za wysłuchane modły o zdrowie jej dwunastoletniej córeczki. Pierwotnie zamierzano zbudować dużą uczelnię dla dziewcząt, ale zaniechano tego z powodu śmierci fundatorki. Obecnie

rozważano nawet możliwość jej zamknięcia. Trzy mieszkające tutaj zakonnice miałyby zostać przeniesione gdzie indziej. O takim rozwiązaniu Angelinę nie chciała nawet myśleć.

Pokój matki przełożonej mieścił się na tyłach domu. Siostra piastująca ten urząd, zapalona ogrodniczka i zielarka, kazała wybić przejście w tylnej ścianie tak, by mieć ułatwiony dostęp do klasztornej pola pozostającego pod jej opieką. To przejście dobrze służyło okolicznym kobietom od lat: umożliwiało dostęp do matki przełożonej bez konieczności przechodzenia przez główne wejście, gdzie surowa zakonnica siedząca na furcie miała w zwyczaju odprawiać z kwitkiem niemądre podlotki, nerwowe matki i miejscowe plotkarki.

Było już bardzo późno - zbliżała się trzecia nad ranem, ale Angelinę bez wahania podeszła do tych właśnie drzwi matki Teresy. Utarła się opinia, że *religieuse* rzadko śpią więcej niż cztery godziny dziennie, resztę czasu spędzając albo na pracach na rzecz klasztoru, albo na korespondencji z duchownymi tu w Luizjanie czy we Francji, albo wreszcie na klęczkach na *prie Dieu*.

Drzwi otworzyła osobista służąca matki Teresy, gburowata czarna dziewczyna ubrana w biały czepek i fartuch założony na suknię. Popychając przed sobą Claire, Angelinę weszła do środka.

Matka Teresa, kobieta o wyjątkowej inteligencji, zrozumiała natychmiast, w czym rzecz. Zwracając się do Claire, powiedziała:

- Musisz pozostać z nami, moje dziecko. Dostaniesz oddzielny pokój i pozostaniesz w ukryciu, nawet przed uczennicami. Będzie tu spokojnie, pewnie nie tak, jak jesteś przyzwyczajona, ale będziesz miała czas odpocząć fizycznie i duchowo, czas, by przemyśleć to, co minęło, i jednocześnie zastanowić się nad przyszłością.

Claire z grymasem spojrzała na Angelinę, a potem, już grzecznie, na zakonnice.

- Pokornie dziękuję, siostrzo Tereso.

- Rozumiesz, panno de Buys, że do klasztoru nie powinno się wnosić zwyczajów panujących w świecie. Reguła zakonna nie jest po to, by kogokolwiek wyniszczać, lecz po to, by przez zachowywanie porządku obowiązującego całą społeczność chronić się przed złem, a w twoim przypadku - przed wspomnieniami niegodnego i hulaszczego życia.

- Rozumiem - potwierdziła Claire, ale nie zabrzmiało to radośnie.

Nie pozostawało nic więcej do powiedzenia.

Poleciwszy służącej, by przyniosła ubranie i świeżą pościel dla Claire, matka Teresa wzięła świecę i poprowadziła dziewczęta przez mroczny korytarz do sypialni, gdzie kuzynka Angelinę miała pozostać. Tu, życząc im dobrej nocy, pozostawiła je same.

Kiedy matka przełożona zamknęła za sobą drzwi, Claire rozejrzała się po pustym pomieszczeniu, po surowym tynku ścian ozdobionych jedynie krzyżem.

- Zachwycające - rzekła z sarkazmem w głosie.

- To nie na długo.

- Miejmy nadzieję. Oszaleję, jeśli to uświęcanie będzie się przeciągało.

- Widzę, że pobyt tutaj będzie się bardzo różnił od tego, do czego przyzwyczyłaś się przez ostatnie dwa lata spędzone poza domem.

- Nawet nie wiesz jak bardzo. Nie mogę pojąć, jak potrafiłaś przychodzić tu codziennie, mało tego - z własnej woli.

- Ludzie mają różne upodobania - odparła Angelinę z bladym uśmiechem.

- Tak jest. Nie mogę cię winić za to, że nie miałaś okazji doświadczyć czego innego. Ja, przeciwnie, taką okazję miałam. I to pozostanie moim przekleństwem.

Claire rozpięła płaszcz i pozwoliła mu osunąć się na podłogę; zrobiła to takim gestem, jak ktoś, komu zawsze

pomaga się przy rozbieraniu. Stała wyprostowana, w podróżnym stroju, a światło świecy igrało w jej włosach. Zagubiony uśmiech błądził po jej ładnej buzi. Angelinę wiedziała, że ta dziewczyna była samolubna, apodyktyczna, wyrachowana. Ale jednocześnie widziała w jej oczach apatię i przerażenie, co budziło współczucie.

Spojrzała na jej ręce.

- Przykro mi, że twoja przygoda z Maximilianem skończyła się tak, jak się skończyła.

- Nie bardziej niż mnie - odparła Claire. - Droga Angelinę, mogę ci udzielić rady? Dobrze, jeśli nigdy nie będziesz musiała z niej skorzystać. Nie jesteś oryginalna, ale mimo to warta zapamiętania: Nie ufaj książętom.

- Nie rozumiem.

- Gdyby Max był godny zaufania, nie byłoby mnie tutaj, a on sam by żył. Ale to nic. Czy nie musisz już iść? A może zostaniesz na noc?

Angelinę pokręciła głową.

- Ciotka Berthe będzie czekała na mnie.

- Nie zazdrozczę ci powrotnej drogi. Rolfe może na ciebie czatować.

- Mam nadzieję, że w niewłaściwym miejscu. Nic mi się nie stanie.

- Zanim pójdziesz - rzekła Claire z zakłopotaniem - sądzę, że powinnam ci wyrazić swoją wdzięczność.

- Nie ma potrzeby - odparła Angelinę i ruszyła w kierunku drzwi.

- Ależ jest. Zwykła ludzka uczciwość tego wymaga: twoja i moja również. Tego uczył mnie Max. Proszę, przyjmij ten upominek, który choć w części wyrówna nasze rachunki.

Angelinę odwróciła się z wahaniem i zobaczyła, jak Claire zdejmuje z szyi złoty łańcuszek oraz maleńki flakonik w złotej oprawie zwisający ze stanika. Odurza-

jacy zapach konwalii rozszedł się w powietrzu. Łańcuszek zaślnił czerowonozłotym blaskiem w wyciągniętej ręce.

- Nie mogę tego przyjąć, to zbyt drogocenne - wzbraniała się Angelinę.

- Nie jest to aż taki skarb. To upominek od Maxa. Nie ma już dla mnie większego znaczenia. Tu musiałabym go i tak oddać, więc lepiej, żebyś ty go wzięła.

- Wiesz przecież, że oddając go tu, nie tracisz go na zawsze. Wychodząc, odzyskasz go.

- Wiem, wiem. Ale postanowiłam dać go tobie. I nie rób takich ceregieli. Weź.

- Dobrze. Dziękuję - rzekła Angelinę; wzięła wisiorek i przełożyła łańcuszek przez głowę z nikłym uśmiechem, dziwiąc się, jak szybko kuzynka potrafi przechodzić od złości do wdzięczności.

Claire zaśmiała się.

- Idź już. I nie śmiej się. Możesz tu przychodzić i wychodzić, kiedy tylko zechcesz. Nie wiesz, jak bardzo ci tego zazdrosczę. Oddałabym wszystko, by znowu być wolna, niewinna...

Byłoby niegrzeczne ze strony Angelinę powiedzieć, że takie odwrócenie ról wcale by jej nie odpowiadało, więc nie powiedziała nic. Obiecawszy, że odwiedzi ją, jak to tylko będzie możliwe, życzyła jej dobrej nocy i wyszła.

• * *

Do świtu pozostawało jeszcze około pół godziny.

Matka Teresa zmusiła ją, by wypić coś gorącego na drogę i podczas gdy Angelinę popijała gorące mleko zaprawione wanilią i miodem, wyciągnęła z niej dalsze szczegóły historii Claire. Księżyc już zaszedł, kiedy zakonnica odprowadziła ją do tylnych drzwi. Tu jeszcze raz próbowała ją namówić, by przespała się trochę. Ponieważ Angelinę odmówiła, chciała dać jej latarnię.

Tego też odmówiła. Nie bała się ciemności. A nawet uważała je za sprzymierzeńca.

Jeszcze daleko nie uszła, a już zaczynała żałować swego uporu. Bez światła księżycy szła znacznie wolniej. Las stał się obcy i nieprzebyty. Jakby tego mało, wiatr niósł ryki gotującego się do polowania drapieżnika: rysia albo tygrysa. O jednym i drugim wiadomo było, że atakuje człowieka, gdy ten wejdzie mu w drogę. Usiłowała iść szybciej, ale gałęzie drzew biły ją po twarzy, a ciernie zarośli czepiały się nóg. Z uczuciem ulgi spostrzegła, że zbliża się do przecinki oznaczającej drogę. Tu już poczuła się bezpieczniej. Miała za sobą dwie trzecie drogi.

Przedzierała się przez krzaki bambusu tak gęste, że wyparły wszelką roślinność. Już prawie wychodziła na otwartą przestrzeń, gdy nagle dobiegły ją jakieś głosy.

Ciche, zmieszane z odgłosem stąpania koni, dochodziły z pewnej odległości. Jedne głośniejsze, inne - cichsze. Jeźdźcy, jadąc ramię w ramię, zbliżali się do miejsca, gdzie stała.

Był to książę i jego ludzie: nie mógł to być nikt inny. Dosiadali pięknych koni zakupionych w Nowym Orleanie. Uprząż bogato nabijaną mosiężnymi i złotymi ćwiekami przywieźli z Ruthenii. Ich siodeł nie można było pomylić z żadnymi innymi. W momencie kiedy zrównali się z miejscem, gdzie stała, ściągnęli wodze. Czarnowłosa, ten, który był tu poprzednio, powiedział:

- W tym miejscu obie wyszły z lasu, minęły tamten zakręt i zniknęły. Wróciłem po konia, zbadałem całą drogę aż do miasta, ale nic więcej już nie zauważyłem.

- Możemy ci chyba uwierzyć, że były to dwie kobiety, co? - spytał książę.

- Obie miały suknie - padła zdecydowana odpowiedź.

- Nie zawsze jest to ostateczny dowód, ale możemy to chyba przyjąć.

- Mogła to być jakaś parka na potajemnej schadzce.

- Nie wiem, ale na pewno były to dwie osoby.

Rozmowa przycichała w miarę oddalania się jeźdźców. Wiedziała, że mogą tu wrócić. Co w tej sytuacji powinna zrobić? Iść w stronę domu de Buys było bardzo ryzykowne. Mogła zawrócić, wejść w głąb lasu i wyjść w zupełnie innym miejscu. Mogła też wrócić do klasztoru i poczekać do rana.

Żadna z tych możliwości nie wydawała się dobra. Stała, wpatrując się w wolną przestrzeń pomiędzy drzewami po drugiej stronie drogi, gdzie biegła ścieżka. Była jeszcze jedna możliwość. Księżę i jego ludzie nie spodziewali się jej powrotu. Jeśli zdołałaby przejść przez drogę niezauważona, mogłaby pobiec w kierunku domu i zniknąć im z pola widzenia, zanim tu wróca.

Nie, to byłoby zbyt ryzykowne. Mogli przecież pojechać nie dalej niż do najbliższego zakrętu, do miejsca, gdzie poprzednio zgubiła swego prześladowcę, i zatrzymać się. Nie starczyłoby jej czasu. Musi więc wracać do klasztoru.

Zawróciła. Nie uszła więcej jak dziesięć kroków, gdy przed sobą spostrzegła majaczący w ciemności kudłaty kształt. Z gardła wydobywał mu się cichy charkot. Krępy tułów i sterczące uszy wskazywałyby na rysia albo żbika - oba równie niebezpieczne. Mógł się przygotowywać do ataku, ale równie dobrze - do ucieczki.

Mijały sekundy. Kot, nie mrugnawszy okiem, stał bez ruchu. Angelinę wstrzymała oddech. Długo tak wytrzymać nie mogła. Drogę do klasztoru miała zamkniętą. Mogła tylko wracać do domu. Ruszać musiała w tej chwili. To jej ostatnia szansa.

Z największą ostrożnością zrobiła krok do tyłu. Potem spróbowała zrobić następny, ustawiła się bokiem, by precyzyjnie się między pędami bambusu. Jeszcze jeden krok i już stała na skraju drogi. W zasięgu wzroku nie

było nikogo. Podniosła wysoko suknię i wybiegła na drogę.

Krzyk rozdarł ciszę nocy. Zabrzmiał jak wołanie nagonki, gdy ścigane zwierzę znajdzie się w zasięgu wzroku. Spojrzała w stronę zakrętu, gdzie pojawił się jeździec. To ten czarnowłosy - pokazywał coś palcem i popędzał konia.

Nie czekała już na nic. Na oślep rzuciła się w las. Schylając głowę i osłaniając ręką twarz przebiegła kilkanaście kroków, niemal instynktownie wyczuwając ledwo widoczną ścieżkę. Potem rzuciła się w lewo w gęste poszycie, usiłując jak najdalej uciec przesładowcom. Biegła, jak długo słyszała hałas, jaki robili goniący ją. Potem trochę zwolniła, zdawszy sobie sprawę, że oni też kierują się w pogoni hałasem, jaki robi. Teraz zaczęła stąpać ostrożnie, tak jak robią to Indianie, a jak dawno temu uczył ją ojciec podczas zabaw w podchody.

- Stać!

Rozkaz wydany został z bardzo bliska. Ani głośny, ani ostry, a jednak zmuszał do natychmiastowego posłuszeństwa. Zapadła cisza, nie rozlegał się żaden dźwięk. Angelinę, z zaciśniętymi zębami, zamarła w pół kroku.

Po chwili, która wydawała się wiecznością, dał się słyszeć szorstki głos tego z opaską na oku:

- Co słyszałeś?

- Przed chwilą słyszałem naszą ofiarę, teraz - nic. To znaczy, że musi być gdzieś blisko. Powinna słyszeć nasze polecenia i wypełnić je dla własnego bezpieczeństwa.

- Czy w tej sytuacji, Wasza Wysokość, mamy zsiąść z koni i zacząć poszukiwania?

- Nie. Chyba że chcecie ułatwić jej ucieczkę.

- W takim razie czekamy na rozkazy - mruknął jeden z nich.

- Zdziwiałe - rzekł Rolfe, po czym w jakimś obcym języku rzucił kilka krótkich rozkazów.

Zacisnęła szczękające ze strachu zęby. Słuchać tego, co mieli zrobić, żeby ją pochwytać, i nie móc zrozumieć, o co chodzi - to było gorsze, niż gdyby nic nie słyszała. Czyżby ksiązę o tym wiedział?

Doleciał ją chrzęst skórzanych siodeł, gdy jeźdźcy zsiadali z koni. Dźwięk był złowieszczy. Na koniach, w ciemnościach, nie byli tacy groźni. Gęste zarośla z nisko rozłożonymi gałęziami biły po twarzy, a płatanina lian pętała nogi koniom.

Pieszko mieli te same szanse co ona, nie mówiąc o przewadze liczebnej. Naprężyła mięśnie i oddychała głęboko, szykując się do ucieczki.

- I jeszcze jedno - doszedł ją spokojny, zdecydowany głos. - Tej nocy naszej ofierze nie może stać się żadna krzywda. Pamiętajcie o tym.

Czyżby to zdanie, w nienaganej francuszczyźnie, miało być przeznaczone dla niej? Czyżby w ten sposób chciał ją zapewnić, że nie grozi jej żadne bezpośrednie fizyczne niebezpieczeństwo? Czy raczej miał to być sposób na uspienie jej czujności, złamanie woli ucieczki? Może ksiązę chciał ją dostać teraz całą i zdrową, a dopiero później się zemścić?

Koń parsknął, nerwowo przestępując z nogi na nogę, potrząsnął łbem, aż zadźwięczała uzda. Ktoś zaklął. Ksiązę zaczął coś mówić i w tym samym momencie ciszę nocy rozdarł przeraźliwy ryk atakującego drapieżnika. Skowyt załamywał się w wysokim crescendo. Konie zarżały w przerażeniu.

Angelinę nie traciła czasu. Korzystając z powstałego zamieszania rzuciła się przed siebie, przemykając przez gęste poszycie lasu. Usłyszała za sobą jakieś pospiesznie wydawane rozkazy i zaraz potem odgłos pogoni. Nie przestawała biec, uchylając się przed gałęziami i przeskakując leżące pnie. Czuła, jak wypadają jej spinki i włosy rozsypują się na wietrze. Potem dobiegł ją jakiś krzyk, urywane echo i - cisza.

Stanęła i zaczęła nasłuchiwać. Z odległości kilkuset jardów dochodziły słabe wołania, po nich - odpowiedzi. Powtarzało się to w krótkich odstępach czasu gdzieś daleko z prawej strony. Posuwali się parami, w ten sposób utrzymując kontakt między sobą. Przeczesywali las kawałek po kawałku. Chcieli ją wypłoszyć jak zwierzę w nagonce.

Ale noc była ciemna, las duży, a ich do takiego zadania za mało. Co więcej - Angelinę znała ten las, wiedziała, jak jest położony względem drogi, znała zlewisko, wiedziała, w którym kierunku leży dom ciotki, wiedziała, gdzie są jej prześladowcy - obwoływali się co chwilę. Wciągnęła głęboko powietrze do płuc, by choć trochę uspokoić roztrzęsione nerwy. Włosy odgarnęła na plecy. Niech na nią polują. Nie pójdzie im łatwo.

Z bijącym sercem próbowała ustawić się tak, by znaleźć się w samym środku pomiędzy zbliżającymi się parami. Domyślała się, że może ich tu być tylko czterech. Dwaj pozostali albo poszukiwali jej po drugiej stronie ścieżki, albo jeden, pewnie sam ksiązę, pilnuje koni, a drugi pozostał z tyłu i zamyka cały szyk.

Mężczyźni posuwali się w jej kierunku. Spodziewali się pewnie, że w pewnym momencie zaczną w popłochu uciekać, a wtedy z łatwością ją dogonią i pochwycą. Ale jeśli uda się jej wydostać na ich tyły, z łatwością wróci na ścieżkę daleko przed miejscem, w którym z niej zbiegła i jednocześnie dość daleko od miejsca, gdzie mógł stać ksiązę. Stamtąd już bez trudu dobiegnie do domu.

Zbliżali się. Hałas łamanych ciężkimi butami gałęzi sprawiał, że ciarki przechodziły jej po plecach. Niemal bezwiednie owinęła się ciemnym płaszczem i wsunęła się głębiej pod wiecznie zieloną gęstą woskownicę. Taka zasłona raz już ją ochroniła, może i teraz się uda. Zasyłała się jeszcze głębiej, uklękła. I natychmiast tego

pożałowała: to było niemądre, ryzykowne. Raczej powinna wykorzystać inne możliwości, zawierzyć szybkości swoich nóg. Byłoby poniżające, gdyby ją znaleźli w takiej pozycji: kryjącego się, przerażonego dziecka.

Podłoże zachrzęściło i jeden z szukających wyłonił się z ciemności tuż obok niej, na odległość wyciągniętej ręki.

Wstrzymała oddech, stojąc bez ruchu.

- Oscar!

Angelinę straciła już całą nadzieję, gdy posłyszała to wołanie. Nie wiedziała, czy ją już zobaczył, czy może woła pomocy, by łatwiej było ją pochwycić.

Odpowiedź nadeszła z drugiej strony krzaka woskownicy, z odległości zaledwie kilku kroków.

- Nie włącz mi tak pod nos, braciszku. Chciałbym wiedzieć, kogo łapię: delikatną kobietę, dzikiego kota czy twój kościsty grzbiet.

- Przestań się tak wydzierać, bo niczego nie złapiesz. Było polecenie, by gadać po cichu i nie robić harmideru.

Stojący tuż koło niej bliźniak, bo oni to byli, parsknął gniewnie na taką uwagę i ruszył przed siebie.

- Mogę się założyć, że nie było tu żadnej dziewczyny. To tylko Leopold wymyślił, żeby wymigać się od odpowiedzialności za to, że zgubił jej ślad w poprzednim miejscu. Nie, żebym go obwiniał. Rolfe, z jego napadami białej furii, może być diabelnie niemiły dla nas wszystkich, dopóki jej nie odnajdziemy, a już szczególnie dla tego, kto pozwolił jej zniknąć.

- O czym ty też będziesz mógł się osobiście przekonać, jeśli przegapimy tę widmową damę.

Ich kroki cichły w oddali. Angelinę podniosła się i zaczęła nasłuchiwać. Wszyscy zagłębiali się w las. Było mało prawdopodobne, że zatrzymają się przed osiągnięciem zlewiska. Dokonała swego. Ogarnęło ją radosne uniesienie. Zaraz jednak opanowała się. Jeszcze nie była całkowicie bezpieczna.

Przed nią majaczył ocieniony galeryjkami dom de Buys. Z trudnością chwytała oddech. W boku czuła piekący ból. Okna domu były ciemne. Ciotka Berthe dała sobie z nią spokój. Poszła spać, nie zostawiwszy nawet zapalanej świecy. Angelinę nie spodziewała się już dalszych kłopotów, ale na to, by czuć się bezpiecznie, musiała jeszcze trochę poczekać. Dom w mroku przedświtę wydawał się nieprzyjazny. Będzie mogła mówić o szczęściu, jeśli drzwi nie zostanie zamkniętych na klucz.

Rzuciwszy ostatnie spojrzenie na pustą ścieżkę ruszyła w kierunku tylnych schodów. Korzystając z mroku pod ścianami wspięła się na górną galerię i pobiegła w stronę drzwi balkonowych swojej sypialni. Stała na chwilę i popatrzyła w kierunku lasu, tam, skąd przyszła. Niczego nie dostrzegła, niczego nie usłyszała. Chwyciła za klamkę, odchyliła jedno skrzydło, weszła do środka, zamknęła okno i przekręciła klamkę.

Dopiero w tym momencie odetchnęła spokojnie. Trzymając jeszcze ciągle w rękę zimną mosiężną klamkę, oparła czoło o chłodną szybę i czekała na moment ulgi i tryumfu, który teraz powinien nadejść. Ale nie nadchodził. Zamiast tego poczuła w pokoju zapach dymu i ciepłego wosku jakby dopiero co zgaszonej świecy. Dał się słyszeć cichutki szelest ocierania się materiału o materiał. Dochodził z zupełnie bliska, z tak bliska, że wyostrzonymi zmysłami wpiętej wyczuła ciepło ciała, zanim tuż za sobą usłyszała miękki głos.

- Lisica - rzekł książę Rolfe - zawsze w końcu wraca do swojej kryjówki.

Angelinę zeszywniała. Gwałtownie szarpnęła klamkę. Okno się otworzyło, ale w tym samym momencie stalowe palce chwyciły ją za ramię i obróciły. Poczowała, jak jakaś materia okrywa jej głowę i krępuje ręce. Nabrała gwałtownie powietrza, by krzyknąć, ale w tej

samej chwili poczuła na ustach twardą dłoń i głos uwiązył jej w gardle. Głowa znalazła się w stalowym uchwycie jak w kołodziejskim imadle.

Nie mogła oddychać. W panice zaczęła się szarpać, starając uwolnić od duszącej dłoni na ustach. Resztkami świadomości zdała sobie sprawę, że ktoś niesie ją wzdłuż galerii, a potem schodami w dół. Kopała nogami i próbowała obrócić głowę, ale czuła, jak z każdą sekundą opuszczały ją siły. Potem była już tylko ciemność czarniejsza niż noc, niż narzuta na głowie, ciemność ogarniająca wszystko.

Teraz ręka cofnęła się sama. Czyste powietrze, zimne i ożywcze, rozbudziło jej umysł. Zdała sobie sprawę, że dłoń wróci na poprzednie miejsce przy najmniejszej próbie z jej strony, by krzyknąć czy zawołać pomocy. Groźba taka nie została wypowiedziana, ale była zupełnie oczywista. Tak więc uległa, ślepa, z zimną furją w piersiach, pozwalając się nieść przez otaczające dom krzewy. Książę podał ją komuś siedzącemu na koniu, potem sam wskoczył na siodło. Przejął ją ponownie i posadził przed sobą. Niemal leżała, opierając się na jego piersi. Konie ruszyły.

- Nie było kłopotów? - spytał jadący obok księcia.
- Żadnych. Wpadła w sidła, które sama zastawiała.
- Uważaj. Z tego, co o niej wiadomo - ma kły i pazury.

- Twoja troska o mnie, Leopoldzie, zacznie mnie zaraz wzruszać.

- Nie śmieć się, nie śmieć. Jeśli i ciebie zawojuje, wszyscy mnie za to obwinia.

Po głosie i po imieniu Angelinę zorientowała się, że był to ten, który pierwszy ją wysledził.

- Myślisz, że znajdą powód?
- Czemu zadajesz takie pytanie? - odparł Leopold.
- Nie zatrzymałeś jej wcześniej - przypomniał mu książę z pretensją w głosie.

- Nie miałem polecenia, by ją ująć. Miałem jedynie obserwować i informować o jej ruchach.

- Ale to nie wszystko - nalegał książę.

- Nie... tak. Ale na balu, wieczorem, wydawała się... damą i...

- I co? - ponaglił go książę. - Urocza i niewinna?

- No, właśnie.

Angelinę poruszyła się i już by się odezwała, ale mężczyzna, który trzymał ją przed sobą na siodle, wybuchnął długim głośnym śmiechem, niosącym się po lesie.

Dołączyli do pozostałych członków *gardę de corpse*, którzy tymczasem wyłonili się z lasu. Angelinę poczuła, że materiał spowijający jej głowę nie był już tak bardzo zaciśnięty. Rozluźnił go książę czy samo się tak zrobiło podczas jazdy? Nie wiedziała, ale wolałaby, by to samo się tak stało. W tej chwili nie miała ochoty na wdzięczność.

Twarz jeźdźca, który ją wiozł, wyglądała w ciemności niczym blada plama. Pierwotny strach zaczął ją stopniowo opuszczać. Poza żelaznym uchwytem ramienia, które ją podtrzymywało, i twardymi wypukłościami na jego piersiach, które ją uwierały, nie rozpoznawała nic więcej. Siedziała sztywno, czując pod sobą obły kształt siodła i dotyk ud księcia. Nie wiedziała, dokąd ją zabiera ani co ma zamiar z nią zrobić.

Poczuła nagłą radość, że nie jest Claire.

- Wasza Wysokość - powiedziała błagalnie - to pomyłka. Musi mi pan uwierzyć.

- Prosz o litość, Mademoiselle de Buys? Masz pecha. To uczucie jest mi zupełnie obce.

Nie odzywała się już więcej. Po przeżytych szoku próbowała zebrać myśli i uporządkować argumenty. Będzie zapewne potrzebowała wszystkich swych umiejętności, by mu wyjaśnić, kim naprawdę jest.

Oстрым galopem wkrótce dotarli do posiadłości M'sieur de la Chaise. Nie podjeżdżali do głównego budynku, lecz polną drogą udali się na boczną plantację, której pola ciągnęły się aż po samo zlewisko. Podjechali pod kwadratowy, ozdobiony portykiem dom, o ścianach ze stylizowanych na kamienie cegieł. Wzniesiony został przez de la Chaise'a jako dworek myśliwski na europejską modłę. Służył jako miejsce podejrzanych zabaw, za którymi przepadał jego właściciel, a na które nie zgadzała się jego żona. Z tego względu dom był rzadko używany. Kiedyś służył również jako *garconniere* starszym synom, ale od czasu, jak się pożenili, dom jedynie niekiedy używany był jako locum dla gości. Nie zdarzało się to jednak zbyt często z powodu dość znacznej odległości od głównej rezydencji.

Drzwi się otworzyły i w żółtym świetle świecy ukazał się krępy, zwałisty mężczyzna. Mięśnie ramion zdawały się rozsadzać rękawy liberii o wojskowym kroju. Zmierzwiona czupryna opadała na skośne mongolskie oczy, jakie spotkać można jedynie w głębi rosyjskich stepów, oczy o wyrazie jak u tresowanego niedźwiedzia. Jeśli zdziwił się, widząc kobietę w ramionach zbliżającego się księcia, to nawet najmniejszym gestem nie dał tego po sobie poznać. Kłaniając się, wpuścił wszystkich do środka.

Weszli do ogromnego hallu. W jednym jego końcu znajdował się kominek tak ogromny, że mógł się w nim zmieścić cały pień drzewa. Po obu stronach stały kanapy w stylu napoleońskim z okresu kampanii egipskiej, pokryte wyblakłym aksamitem, z nogami w kształcie łap krokodyla, które pewnie wyrzucono z głównego budynku, gdy zmieniła się moda. Z boku stał ogromny stół z resztkami posiłku, który został nagle przerwany. Sufit był sklepiony, poprzecinany lukami, między którymi widniały freski utrzymane w przyciemnionych, pastelowych kolorach, wszystkie o tej samej myśliwskiej

tematyce: Diana z łukiem, Apollo porywający Daphne. Rogi jeleni i ryje odyńców tworzyły jakby fryzę wokół pokoju. Poniżej wisiały sztandary z wyblakłego jedwabiu i średniowieczne kilimy zasłaniające surowe ściany.

Naprzeciw drzwi znajdowały się ogromne dębowe schody z wychylnymi na zewnątrz poręczami. W ich kierunku szedł książę. Wchodził po stopniach pewnie, nie zwracając uwagi na docinki towarzyszy, którzy weszli za nim do hallu.

Pchnął pierwsze drzwi po prawej stronie i wszedł do ogromnej komnaty. Ogień płonął w piecu. Angelinę zauważyła wielką szafę, biurko, niewielki stół i malowidła w wesołych kolorach, przedstawiające leśne sceny, w których lisy, zające i jelenie porozmieszczano wśród krzewów lauru i ostrokrzewu. Zauważyła jeszcze kilka stopni prowadzących w stronę łoża z baldachimem, osłoniętego kotarami przetykanymi złotą nicią. Potem już tylko poczuła, jak pada na jego skrzypiącą miękkość.

Odsunęła się gwałtownie, zerwała z głowy zasłonę, obróciła jeszcze raz i... spadła z łoża na podłogę. Poderwała się natychmiast na nogi. Z rozwichrzonymi włosami i bez tchu spojrzała w stronę drzwi: książę niedbale, niemal z gracją stał pomiędzy nią i wyjściem. Zamknął drzwi i obrócił się w jej stronę. Uśmiech ukazał się na jego ustach, a zaraz potem rozjaśnił turkusowe oczy.

- Teraz, Mademoiselle - rzekł z nieskrywanym zadowoleniem - pod maską i grymasami, pod kobiecymi sztuczkami, pod udawaną skromnością poszukajmy wreszcie słodkiego ziarna prawdy.

- III -

W pokoju panowała ciemność, którą nieco rozpraszało czerwonepomarańczowe światło padające od pieca. Angelinę końcem języka zwilżyła wargi. Wpatrywała się w księcia, jak ten odwracał się od drzwi. Była roztrzęsiona. Rolfe podszedł do stolika stojącego pod frontowym oknem, wziął do ręki hubkę i krzesiwo. Kilkoma uderzeniami rozniecił płomyk i zapalił świecę w srebrnym lichtarzu. W jej blasku błysnął pierścień z wygrawerowaną, w stylu romańskim, głową wilka z odsłoniętymi kłami. Światło świecy objęło również jego twarz, aż w oczach zatańczyły niebieskie iskierki.

Angelinę wzięła głęboki oddech.

- Nie musi pan poszukiwać prawdy. Podaruję ją panu. Nie jestem Claire. Nazywam się i jestem Angelinę Fortin, co zresztą powiedziałam już panu zaledwie pięć godzin temu na przyjęciu.

- Wybaczysz mi, jeśli teraz nie uwierzę ci tak samo jak wtedy?

- Wybaczyć nazywanie mnie kłamcą? Wybaczyć porwanie z domu? Nie, tak wielkoduszna nie jestem!

- Jeśli moje zachowanie ci nie odpowiada, jest sposób, by się mnie pozbyć. Musisz mi tylko powiedzieć, co wiesz o śmierci mego brata.

- To mogę bez trudu zrobić. Nie wiem na ten temat nic. Powiedziałam już panu, że nie jestem tą kobietą, której pan szuka. Jestem jej kuzynką.

Z całym spokojem, na jaki tylko mogła się zdobyć, opowiedziała mu cały swój życiorys, poczynając od daty urodzenia, poprzez imiona rodziców i dziadków, pokrewieństwo z Claire poprzez swoją matkę, a siostrę jej ojca. Mimo że jego twarz zdradzała zniecierpliwienie, opowiedziała mu, w jaki sposób zmarli jej rodzice i w jakich okolicznościach znalazła się w domu ciotki. Opowiadanie zakończyła wyjaśnieniem swego podobieństwa do Claire.

Czekała na jego reakcję.

- Gratuluję sobowtóra. Tylko czy on, jak w dziecinnej zabawie, weźmie na siebie całą odpowiedzialność?

- Odpowiedzialność? Nie ma chyba za co.

- Obawiam się, że jednak jest.

Angelinę wpatrywała się w niego; przez myśl przemknęło jej wspomnienie opowiadania Claire o zdradzie i usiłowaniu morderstwa.

- Za co?

- Gniew wzgardzonej kobiety, który pchnął ją do spisku na życie mego brata, wykorzystanie niewątpliwego wdzięku i zażyłości, by ten ostatni raz dostać się na jego pokoje, w końcu - zbrodnię porzucenia umierającego w kałuży krwi - jego i swojej własnej. Jak na początek, to chyba wystarczy?

Słuchając tego, Angelinę zbladła jak płótno. Gdy się odezwała, głos miała zmieniony nie do poznania:

- Chyba nie mówi pan tego poważnie?

Szedł w jej kierunku lekki, mocny, atletyczny, wzbudzający nieokreślony strach.

- Zapewniam cię, że najpoważniej. Pozwolisz, że wezmę twój płaszcz?

Nie czekając na odpowiedź, wyciągnął ręce, rozwiązał tasiemkę przy kołnierzu, rozsunął poły i zdjął z jej ramion. Odruchowo chwyciła go za przeguby rąk.

- Nie zostanę tutaj! - zawołała.

- Nie?

W jego głosie nie czuło się zdziwienia, raczej pewność

siebie. Spojrzał jej w oczy. W dotyku jego dłoni czuła jakąś dziwną moc, która mogłaby z łatwością złamać jej opór. Ciarki ją przeszły. Puściła jego ręce, jakby były z rozpalonego żelaza, i zaraz sama przeraziła się tego niemądrego odruchu. Patrzyła, jak zdejmuje jej płaszcz i pedantycznie układa na krześle.

Przyglądał się jej dłuższą chwilę, a potem ujął za ramię.
- Podejdź do ognia - powiedział miękko.

Szarpnęła się, ale sama podeszła do kominka. Odwróciła się. Stał tak blisko niej, że odruchowo cofnęła się o krok. Ujął ją powyżej łokci i przyciągnął do siebie. Tracąc równowagę, oparła się o niego niemal całym ciałem. Poczowała ucisk orderów i guzików munduru na piersiach. O biodro ocierała się ręką szabli. Trwało to tylko przez chwilę, bo natychmiast oparła się rękami o jego piersi i usiłowała się odsunąć.

- Udawanie świętej niewinności nie jest w tym momencie ani potrzebne, ani pożądane. Taki spektakl oglądałem nie tak dawno.

Przestała z nim walczyć. Oddychała nierówno, a na plecach czuła falę gorąca. Przez zaciśnięte zęby powiedziała:

- Czy, w swej dobroci, pozwoli mi pan odejść?

- Dobroć? A niby dlaczego miałbym okazać dobroć? Czy choćby litość?

- Nie wiem - odparła z goryczą. - Proszę wybaczyć, ale w przypływie złości pomyślałam, że może pan mieć takie same ludzkie odruchy jak inni.

- Moje odruchy - powiedział wolno, przyglądając się cudownej linii jej szyi i ramion z jaśniejącym pasemkiem włosów, które spłynęło na piersi - nie mają nic do rzeczy.

Otworzyła szeroko oczy. Czuła się tak, jakby jego jasnyniebieskie oczy rozbierały ją do naga, jakby tego właśnie chciał.

- Sądziłam... oczekiwałam, że będzie się pan... że zachowa się pan jak gentleman...

- Odwoływanie się do rycerskich gestów? Fatalny błąd - to nie w moim stylu.

Rozluźnił uchwyt ramion. Dotknął jej włosów, zagłębił w nich palce, w dłonie ujął tył głowy. Nachylił się, by zbliżyć usta do jej ust. Próbowła się obrócić, ale trzymał ją tak mocno, że nie była w stanie się poruszyć. Próbował rozchylić jej wargi i zaciśnięte zęby. Po chwili ją puścił. Oddech miał szybki, a oczy z jasnoniebieskich zmieniły się w granatowe.

- Z moimi odruchami jest wszystko w porządku, ale twoje mnie zaskoczyły. Opierasz się jak źrebiczka, która jeszcze nigdy nie poczuła wędzidla, albo raczej, jak narowista klacz...

- A... a pan... czego się spodziewał? - spytała ledwo słyszalnie.

- Zwyczajnej dziwki, ze wszystkimi jej atrybutami - odpowiedział wprost.

Zmarszczył czoło i widać było, jak głęboko się nad czymś zastanawia. Zauważył, jak zbladła.

- Pytałaś, więc ci odpowiedziałem.

Krew uderzyła jej do głowy.

- Arogancki, zarozumiały!...

- Zaczynamy się wzajemnie poznawać, co? - przerwał jej bezceremonialnie. - Widzę, że jesteś nie tylko zakłamana, ale i przebiegła. Nie doceniałem cię i przyznaję - to była głupota z mojej strony. Powinienem był wiedzieć, że kobieta, która wkradła się do łóżka Maxa i potem go zabiła, musiała być bardzo cwana. Teraz pozostaje tylko pytanie, czy mam dokonać zemsty zaraz czy może poczekać...

Spróbowała mu się wyrwać, ale trzymał ją w żelaznym uścisku. Przełknęła podchodzący do gardła strach. Ochrypłym głosem zaczęła mówić:

- Jestem kuzynką Claire. Może pan spytać, kogo chce: służby, mojej ciotki, Madame Delacroix, księża proboszcza - powiedzą panu! Nigdy nie widziałam

pańskiego brata. Najdalej, gdzie w życiu byłam, to Nowy Orlean. Byłam tu, w czasie gdy Claire...

- Powtarzasz się. Przejechałem za tobą pół świata, przez góry i rzeki, po drogach i bezdrożach. Przebyłem ocean, aby cię, odnaleźć. Moi ludzie i ja deptaliśmy ci po piętach, jechaliśmy w kurzu opadającym po twoim przejeździe. Zadawaliśmy tysiące pytań, opisywaliśmy, wyjaśnialiśmy, posługiwaliśmy się kłamstwem, groźbami i złotem. Ciągłe zmniejszaliśmy dzielącą nas odległość. Teraz, kiedy w końcu mam cię w rękę, myślisz, że dam się zwieść twoim żałośliwym wyglądem czy oszukańczą opowieścią o dwu podobnych do siebie kobietach, pięknych i inteligentnych, które z mężczyzn robią durniów?

To był prawdziwy potok słów, pięknie sformułowanych, ale bolesnych. Patrzyła na niego w bezsilnej furii, kiedy ciągnął dalej:

- Mój brat, przyszły król, wykarmiony na migdałach, kobyli mleku i ojcowskiej miłości, z jasno ukształtowanym umysłem, ćwiczony w rozlicznych dyscyplinach, był przygotowany do kierowania sprawami państwa. Nie miał umrzeć w rozpustnym łożu z ladaczną. Ja, przeciwnie, nie zostałem starannie wychowany ani gruntownie wykształcony. Wyklęty przez ojca, włóczyłem się, gdzie mi się żywnie podobało. A teraz oto stoję oko w oko z morderczynią brata... Nikt mi nie wmówi, że nie istnieje przeznaczenie.

Oczy mu płonęły, choć mówił głosem dość jednostajnym. Nagle przerwał. Pochylił się, jedną ręką chwycił ją od tyłu poniżej kolan, drugą - pod pachy i podniósł. Była tak przerażona, że nawet nie próbowała się bronić przez te kilka sekund, jakich potrzebował, by donieść ją do łóżka.

Na swój sposób kochał brata, podziwiał go, darzył go uznaniem, a teraz chciał się pozbyć bólu wywołanego jego bezsensowną śmiercią. Chciał ukarać kobietę, którą uznał za winną wszystkiemu. Co chciał osiągnąć? Czy przez

swoje poświęcenie sprawie miał nadzieję dowieść, że nadaje się do objęcia rządów w Ruthenii? Może przez swoje oddanie się poszukiwaniom chciał zdobyć przychylność ojca?

Zaskrzybiały sprężyny materaca, gdy rzucił ją na łóżko i sam kładł się obok niej. Zdjął buty i zaczął rozpinać guziki munduru. W obronnym geście wyciągnęła przed siebie ręce.

- Wasza Wysokość, proszę poczekać. Czy nie mógłby pan sprawdzić tego, co mówię?

Oczy miał zamknięte, gdy zdejmował bluzę munduru.

- Odkładać to co nieuniknione? Dać ci czas, byś znowu coś wymyśliła? To odpada. Masz dwa wyjścia. Pierwsze, zakładając, że jesteś kuzynką Claire, powiedzieć, gdzie ona jest...

- A jeśli, będąc niewinna, nie zrobię tego, to co?

- Musisz. I możesz, jeśli tylko jesteś tą, za którą się podajesz. Ostatnie informacje, jakie zdobyliśmy, wyraźnie wskazywały, że zmierza do St. Martinville, do domu matki. Jeśli jesteś jej krewną i mieszkasz tam, musiałaś ją widzieć. Służący powiedzieli, że ostatniego wieczoru tylko jedna młoda kobieta była w tamtym domu, więc jeśli ty nie jesteś Claire, to ona sama musi być gdzieś w pobliżu, może nawet w mieście. Angelinę Fortin może być natychmiast uwolniona. Wystarczy powiedzieć...

- A drugie wyjście? - ledwo wykrztusiła przez ściśnięte gardło.

Wiedziała, że odmowę wydania kuzynki księżę potraktuje jak współudział w przestępstwie. Ale przecież nie może jej zdradzić. Pograżenie kuzynki dla własnego bezpieczeństwa - to kłóciłoby się z jej sumieniem.

- Możesz liczyć na moją wielkoduszność, jeśli tylko wyznasz, jak i dlaczego pozbawiłaś życia Maxa i kto był twoim współnikiem.

Angelinę uświadomiła sobie, że cała zagadka sprowadza się do tego pytania, a groźba, jaka nad nią zawisała,

miała zmusić ją do odpowiedzi. Zaczynała się domyślać, że tu nie chodzi o zemstę oszukanej kobiety, co sugerowałaby opowieść Claire, ale raczej o nieudaną próbę upozorowania samobójstwa Maxa z Claire jako drugą ofiarą. Jaką miała szansę, by przekonać go o prawdzie, skoro nabił sobie głowę swoimi racjami, a ją uznał za winowajczynię?

Odetchnęła kilka razy głęboko, zanim się zdecydowała.

- Godząc się na pańską propozycję, podjęłabym, oczywiście, duże ryzyko, jako że sam pan powiedział, że pańska łaska jest już - żeby tak rzec - na wyczerpaniu i...

- A jednak zapamiętałaś - powiedział nie bez satysfakcji.

Poruszał się wolno. Niespiesznymi ruchami zdjął mundur. Zaczął rozpinąć spodnie.

Błada z przerażenia patrzyła mu w oczy. Nagle odskoczyła, rzucając się w drugi koniec łóżka. Od-ruchowo schylił się i chciał ją złapać za rękę, ale udało mu się chwycić tylko za rękaw. Materiał pękł i spod okrycia ukazało się nagie, jak z alabastru, ramię. Przez moment nie wiedziała, co zrobić, ale zaraz szarpnęła: oderwany rękaw pozostał mu w palcach.

Zgubiła gdzieś buty i pod bosymi stopami czuła zimną podłogę, gdy biegła w kierunku drzwi. Zawahała się na ułamek sekundy: wiedziała, że na zewnątrz są ludzie księcia gotowi ją w każdej chwili zatrzymać. Ale w tej chwili nie było to ważne. Jej jedyną szansą było przemknąć między nimi.

Ten moment zawahania wystarczył: dopadł ją. Ramię, niczym żelazna obręcz, objęło ją wpół, kolana się ugięły i już leciała na podłogę. Nie upadła jednak. Pod-trzymywana, osunęła się na kilim przed kominkiem.

- Pierwszy upadek przede mną i punkt dla mnie - rzekł z nieskrywanym zadowoleniem.

Ogarnęła ją dzika furia. Wygięła się w łuk, wyciągniętymi rękami dosięgnęła jego twarzy. Paznokcie

pozostawiły na policzkach głębokie ślady. Złapał ją za nadgarstki, skrzyżował ręce na plecach i przyciągnął do siebie. Piersi jej unosiły się w rytm urywanego oddechu. Desperackie próby uwolnienia się tylko zwiększały nacisk twardego męskiego ciała. Z zaciśniętymi zębami próbowała uwolnić rękę. Usiłowała kopać, ale podciągnął kolana, przełożył w poprzek jej nóg, całkowicie ją unieruchamiając. Musiała się poddać. Patrzyła na niego z bezsilną złością jak zwierzątko zamknięte w klatce.

Zapadła cisza, w której słychać było tylko trzaski ognia w kominku. Płomienie tańczyły na twarzy nachylonego nad nią mężczyzny, oświetlając szramy, jakie przed chwilą zostawiły jej paznokcie.

Powoli, wpatrując się w jej oczy, dotknął ustami jej ust.

Pocałunek był mocny, brutalny. Rozwarł jej zaciśnięte wargi. Nigdy do tej pory nie doświadczyła fizycznej przemocy. Była czysta, nietknięta. O namiętności, jaka może towarzyszyć miłości, miała jedynie blade wyobrażenie. Jej wuj, na długo przed śmiercią, zwykł był całować ją w policzek, a Andre Delacroix, jej adorator, podnosił czasem koniuszki jej palców do gorących warg. Nic więcej. Ten gwałt był dla niej niezrozumiały, był jak przykre zdarzenie, które burzy jej radość życia i pozostawia po sobie wyniszczającą rozpacz.

Odsunął na bok złoty wisiołek z flakonikiem perfum. Łańcuszek zaślnił odbitym światłem, tworząc złotą linię w poprzek szyi. Flakonik zginął w gęstwie włosów. Zdjął z niej biało wyszywany gorset uwalniając ze skrępowania kuszące, kształtne piersi. Z bolesną powolnością ujął palcami stanik i pomału, w dół, przez biodra, zdjął go z niej razem z resztą bielizny.

Otwartą dłonią dotknął nagiej skóry brzucha. Przeszedł ją dreszcz, oddychała pospiesznie, obracała głowę raz w lewo, raz w prawo w geście rozpaczliwej obrony. Czuła pulsującą w żyłach krew, zalewającą całe ciało uczuciem głębokiego poniżenia, a zarazem czegoś

oczekiwanego, bez radości, ale nieuniknionego. Zacisnęła powieki i tylko rzęsy drgały jej nerwowo.

Opór jej słabł. Oddech stawał się coraz krótszy i urywany, gdy jego pieszczoty docierały do coraz intymniej szych zakątków jej ciała. Starła się nie reagować, ale czuła, że traci panowanie nad sobą. Rozpalone uda budziły ostre poczucie wstydu. Zapra gnęła ciemności, by się w nich skryć, ale sama już nie wiedziała, czy starczyłoby jej siły, by przed tym, co w sposób nieunikniony nadchodziło, uciec w nieprzenik nioną noc.

Podniecenie rosnęło. Ostre dreszcze przeszły ją raz i drugi. Mięśnie brzucha tężały. To było wyrafinowane okrucieństwo, gwałt zadawany zmysłom. Doprowadzenie jej do takiego napięcia było wymyślną torturą. Ale pozostawienie jej w takim stanie byłoby już diabolicznym aktem zemsty.

Leżała rozpalona, ledwo oddychając. Piersi poruszały się nieznacznie w rytm bicia serca. Gdy na moment podniosła powieki, ukazały się spod nich płonące, wielkie, jakby zdziwione oczy.

On patrzył na nią takim wzrokiem, jakby zamiast oczu miał rozpalone węgle. Mięśnie twarzy, ściągnięte i naprężone, pokryły się drobnymi kropelkami potu. Mimo doświadczenia, pewności siebie, nie pozostawał obojętny. Zamierzał jedynie przełamać jej opór, ale sam uległ swojej grze. Zrozumiała to instynktownie. Na spierzchnięte wargi usiłowała przywołać coś w rodzaju uśmiechu i odwrócić się od niego.

Pochwycił ją gwałtownie i przydusił tak, że nie była w stanie się poruszyć. Chrapliwym głosem wykrztusił:

- Teraz punkt dla ciebie.

Ogarnęło ją jakieś dziwne, niezrozumiałe poczucie tryumfu, gdy zrywał z siebie spodnie, rozchyłał jej uda w gwałtownym poszukiwaniu. Poczul opór. Chciał się zatrzymać. Rzucił jakieś ledwo dosłyszalne przekleństwo.

Ale było już za późno. Krzyk uwiązał jej w gardle, ostry ból przeszył ciało. Nie mogła oddychać, nie była w stanie się poruszyć, całkowicie pochłonięta bólem w swoim wnętrzu.

Czas stanął w miejscu. Dopiero po długiej chwili puścił jej rękę i pogłaskał po ramionach. Przysunął się bliżej i w jej rozsypane włosy powiedział skruszonym głosem:

- Proszę o rozejm. A ponieważ to ja cię źle potraktowałem i zraniłem, pozwól, że opatrzę ci rany.

Objął ją. Wargami dotykał jej czoła, brwi, delikatnych kącików ust, aż się same rozchyliły. Ujął dłońmi piersi, palcami pieścił ich sterczące szczyty, aż wyzbyła się strachu i zaczęła poddawać jego powolnym ruchom. W całym ciele czuła coś zupełnie nowego, coś, co siecią nerwów rozpływało się po niej całej. Podniosła rękę, by go od siebie odsunąć, ale zamiast tego objęła go za szyję, zagubiona w przeżywaniu nowych doznań.

Poza tą chwilą nie istniało nic: żadna przeszłość, żadna przyszłość, tylko uderzenia krwi, tylko całkowite zapomnienie, gwałtowne stopienie ciał, a potem - zupełny bezruch.

Długo leżeli spleceni ze sobą. Czuła na piersi uderzenia jego serca i powolne opadanie napięcia z własnego ciała. Dopiero po jakimś czasie podniósł się trochę i oparł na łokciu, ona zaś otworzyła oczy i z rozpaczą patrzyła na niego. Przyglądał się jej w skupieniu spod opadającej na czoło grzywy złotych włosów. Nie zdradzał swoich uczuć, poza momentem skruchy sprzed chwili, bo uznał, że przynajmniej tyle jest jej winien. Całkowicie wynagrodzić tego, co jej zrobił, nie był teraz w stanie.

Unikała jego wzroku. Podniosła rękę pokrytą gęsią skórą i nagle zdała sobie sprawę, że w pokoju panuje przenikliwie zimno. Książę również to spostrzegł, więc zaraz podniósł się na jedno kolano, wsunął pod nią rękę.

i stanął na nogach, trzymając ją w objęciach. Położył ją na łóżku i okrył kołdrą.

Odwrócił się i, zupełnie nagi, skierował się do drzwi. Był wspaniale zbudowany: szeroki w ramionach, z płaskim brzuchem, z długimi, kształtnymi nogami, bez grama tłuszczu. Mięśnie pleców odznaczały się wyraźnie, gdy otwierał drzwi.

- Sarus! - krzyknął, aż echo poniosło się po domu.

Służący pojawił się, zanim wezwanie przebrzmiało w hallu. Stanął w drzwiach i w milczeniu czekał poleceń. W stronę Angelinę nawet nie spojrzał, ale była pewna, że nie przeoczył nic: garderoby rozrzuconej po całym pokoju, jej bladości ani potarganych włosów. Jeśli nawet coś takiego go dziwiło, to nie dał tego po sobie poznać.

- Brandy dla dwojga - rozkazał ksiązę. - I kolację, też dla dwojga.

Zamknął drzwi i wolno wrócił do pokoju. Przyklęknął przy kominku, by dorzucić drew. Robił to szybko i zręcznie, jakby nie wiedział, że takie zajęcie nie pasuje do książęcych rąk. Potem dopiero podniósł spodnie, założył je, obrócił się w jej stronę i idąc w kierunku łóżka, zapinał pasek.

Łoże, z opartym na czterech drążkach baldachimem, wykonane z wiśniowego drzewa, zdobiły misternie rzeźbione lilie. W nogach łoża, powyżej ścianki, umieszczony był drążek służący do przewieszania pościeli podczas wygładzania materaca i zaścielania. Na tym drążku Rolfe oparł ręce i przyglądał się Angelinę zaintrygowany.

- Zdaje się, że znalazłaś trzecią drogę, by udowodnić, kim jesteś, Angelinę Fortin.

Bez zdziwienia przyjęła to, że użył jej imienia i nazwiska.

- Mogę pana zapewnić, że nie miałam takiego zamiaru.

- Przepraszam za użycie siły, ale nie mam wprawy w postępowaniu z cnotkami...

Mogła mu nawet uwierzyć, ale to wcale nie rozpraszało jej przygnębienia.

- Tak, rozumiem. Wprawę ma pan w postępowaniu z... utrzymankami...

Rozmowę przerwało pukanie do drzwi. Sarus wniósł tacę z karafką brandy oraz całym zestawem potraw, nakryć i szklanek. Ustawił ją na stole przysuniętym do łóżka. Otworzył karafkę i nalał po trochu w dwa kieliszki, po czym cofnął się, oczekując dalszych poleceń. Księżę przyjrzał się uważnie tacy i dał mu znak, by wyszedł. Wziął do ręki oba kieliszki i jeden wręczył Angelinę.

- Dziękuję, nie. Nie jestem przyzwyczajona do mocnych trunków.

- Żadna dama nie jest. Rozumiem to - powiedział z nutką zniecierpliwienia w głosie - ale w takiej chwili jak ta, ratafia czy rozcieńczone wino nie wystarczą.

- Nic mi nie trzeba, naprawdę.

Podniósł w górę brwi.

- Sądysz może, że chcę cię upić? Pragnę zwrócić ci uwagę, że taka potrzeba w tej chwili nie istnieje.

Rumieniec gniewu oblał jej twarz. Przesunęła się wyżej na poduszce, pochwyciła kołdrę i okryła się szczelnie.

- Ani mi to przez myśl nie przeszło.

- To co się stało? Może chcesz, żebym cię zmusił? Może to będzie przyjemniejsze?

Z błyskiem w oczach pochwyciła kieliszek. Dotknięta aluzją zawartą w jego słowach, wzięła zbyt duży łyk piekącego trunku. Utknął jej w gardle, zabrakło jej tchu. Przełknęła z wysiłkiem, aż łzy pojawiły się w oczach.

Błysek rozbawienia rozjaśnił mu twarz. Upił trochę ze swego kielisza i siadł na brzegu łóżka.

- Brandy i wściekłość to piorunująca mieszanka na bezsensowną...

Łańcuszek, który miała na szyi, przesunął się na swoje miejsce, gdy niósł ją do łóżka. Flakonik z per-

fumami tkwił między piersiami. W momencie kiedy próbowała się cofnąć, wysunął się stamtąd i światło odbiło się w jego misternych splotach. Księżę zauważył go. Pochylił się, gorącymi palcami dotknął jej skóry, gdy chwycił flakonik. Przyglądał mu się dokładnie przez dłuższą chwilę.

- Najpierw dopij brandy - rzekł - a potem powiesz mi, gdzie ona jest.

Teraz nie piekąca moc brandy, ale niebezpieczny błysk w jego oczach spowodował, że zaczęła się jąkać.

- Nie... nie wiem... o czym pan mówi...

- Nawet nie próbuj się wykręcać. Jak nie mogę przypuszczać, żeby mój brat był na tyle głupi, by utrzymywać kochanki dziewice, tak ciebie nie mogę oskarżać o jego śmierć. To oczywiste. Ponieważ jednak drobiazg, który masz na szyi, oznaczony jest jego inicjałami, a tak zwykł był znakować prezenty rozdawane w zamian za wyświadczane mu usługi, nie możesz zaprzeczyć, że widziałaś się z Claire de Buys. Pytam cię jeszcze raz, ostatni raz: Gdzie ona jest?

- A jeśli nie zechcę panu powiedzieć, to co wtedy?

Podniosła zaczepnie głowę, chociaż wiedziała, że to niemądry gest. Ale nie mogła się powstrzymać.

Puścił flakonik, tak że z cichym plaśnięciem upadł na jej piersi.

- Złość nie jest dobrym środkiem podniecającym. Przyjmij to do wiadomości. A głupotą będzie, jeśli uznasz, że nie masz się już czego bać.

Przymknęła oczy. Obracała kieliszkiem tak, że brandy cieniutką warstewką opływało wewnątrz szkła.

- Jeśli nawet widziałam się z Claire, jeśli nawet wiem, gdzie ona w tej chwili jest, to jak mam panu powiedzieć? Przecież to byłaby zdrada kogoś z rodziny, jedynej, jaką mam. To tak, jakbym własną siostrę wydała w pana... ręce...

- Twoje skrupuły są godne podziwu, ale czy zdajesz sobie sprawę, ile cię mogą kosztować?

Spojrzała mu prosto w oczy.

- O ile jeszcze te koszty mogą wzrosnąć?

- Zastanów się - rzekł odwróciwszy głowę. - W domu ciotki nic się nie poruszyło, gdy tam wchodziłem. Nic się też nie stało, gdy stamtąd wychodziliśmy. Z całą pewnością nikt nie zauważył twojej nieobecności i jeśli jeszcze tego ranka wrócisz, nikt się nie domyśli, że coś się stało. Nikt ci nie będzie mógł niczego zarzucić. Nic, co mogłoby ci w przyszłości zaszkodzić. Ale, z drugiej strony, jeśli odwiozę cię tam w pełnym świetle dnia, przewieszoną przez siodło, na oczach sąsiadów i służących twojej ciotki, to co wtedy?

Nie miała co zgadywać. Plotka rozniesie się natchmiast. Starsze panie, stróże moralności, zrobią swoje. Rodzice jej koleżanek zapoznają ze sprawą swoje córki i nakazą, by się z nią nie kontaktowały, bo same mogą stracić dobrą opinię. Kawalerowie nie będą się do niej odzywać, chyba że po północy, pod jej oknami, by się z niej powyśmiewać. Może się sama skazać na los samotnej starej panny albo, jeśli to okaże się nie do zniesienia, ulicznej dziewczyny w mieście.

- Bardzo nieciekawe widoki - powiedział przyglądając się jej zastygłej twarzy.

- Nie... nie powinien... nie będzie pan tak okrutny.

- Przeciwnie. Będę. I posunę się jeszcze dalej, byleby wykryć morderców mego brata.

Angelinę odwróciła się do ognia.

- Jeśli to jest droga, którą musi pan iść, nic na to nie poradzę. Zrobi pan to, co zrobić musi...

- Nie sądzę, byś zdawała sobie sprawę z tego, na co z takim spokojem się narażasz - rzekł i pochwycił ją za rękę. - Zastanowiłaś się chociaż przez moment, czy Claire jest warta tego poświęcenia?

- Nie robię tego dla niej. Robię to dla zachowania własnej godności.

- A więc wiesz, gdzie ona jest i w swym świętoszkowatym uporze odmawiasz mi odpowiedzi? Czy wiesz, jak mało brakuje, żebym cię naprawdę zbił?

Mówił głośno, z trudem hamując gniew. Ślady po jej paznokciach wystąpiły mu na policzkach, czerwone i żywe. Niebieskie ogniki zapaliły się w oczach. Pochylił się nad nią. Patrzyła mu wyzywająco w oczy.

- Zastanawiam się tylko, kiedy do tego dojdzie.

- To dłużej się nie zastanawiaj!

- Mam się czołgać przed panem i błagać o litość? Myślę, że to nie miałyby sensu. Jak pan widzi, pańska taktyka nie przynosi efektów. Przestraszyć kogoś można tylko czymś mu nie znanym. Mnie uczynił pan najgorsze, co można uczynić kobiecie, więc niczym więcej już mnie pan nie przerazi.

Czy to wypita brandy dodała jej odwagi, by rzucić mu w twarz takie słowa? Nie wiedziała, ale wypowiedziała je bez wysiłku i bez strachu.

Dopił swoją brandy, odstawił kieliszek na tacę, wyciągnął ręce i całym ciężarem oparł się na jej ramionach.

- Jeżeli uważasz, że to, co cię spotkało, było najgorszą rzeczą, jaka cię spotkać mogła, to zapewniam cię, że się mylisz. To tylko wstęp do tego, na co mnie stać. Jesteś moim więźniem. Mogę zrobić z tobą, co zechcę. Jeśli będziesz oporna, dopuszczę się nawet tortur, aby zdobyć potrzebne mi informacje.

- Ciotka rano zauważyła moją nieobecność i podnieśli alarm.

- To niewykluczone. Ale nie sądzę, by wysnuła podejrzenie, że jesteś ze mną. Będzie się obawiała niepotrzebnych pytań w rodzaju: dlaczego uprowadziłem właśnie ciebie. Nie, nie sądzę, abym natrafił na jakieś przeszkody...

- Myli się pan - ledwo wykrztusiła Angelinę.

Wyciągnął rękę, podniósł jeden z loków opadających na ramiona i przesunął go pomiędzy jej piersi.

- Myślę, że nie. Zresztą już mi trochę pomogłaś. Wiem, że Claire jest gdzieś w pobliżu. Jeszcze trochę, a powiesz więcej. Tymczasem zaś będę cię zabawiał swoim towarzystwem.

- Odkryją tu pana w ciągu jednego dnia.

- Bardzo możliwe, ale takie ryzyko gotowy jestem podjąć.

Wyciągnął rękę w stronę flakonika wiszącego między jej piersiami.

- Nie podoba mi się ta prymitywna ozdoba. Może była dobra dla Claire, ale nie dla ciebie.

Zręcznie rozpiął zameczek i zdjął wisiołek. Następnie wyjął kieliszek z jej ręki i odstawił na stół. Obok położył łańcuszek z flakonikiem. Obrócił się do niej, wsunął rękę pod plecy i przyciągnął ją do siebie.

Protest zamarł jej na wargach, kiedy chłonał je w gorącym pożądaniu. Leżała sztywna. Jak miała z nim walczyć? Czego miała bronić? Nie będzie miał z nią żadnej przyjemności. Niczym nie da po sobie znać, co się w niej dzieje. Może zrezygnuje? Musi za wszelką cenę uciec. I niech robi, co chce. Od niej nie dowie się niczego. Niczego.

- IV -

W chłodnym powietrzu unosił się podniecający zapach kawy. Angelinę obudziła się. Był jasny dzień. W całym ciele czuła dziwną ociążałość, jakby spała długo i głęboko. Było jej ciepło i wygodnie i wcale nie miała ochoty ruszać się stąd. Przeciągnęła się, z uśmiechem podnosząc ręce wysoko ponad głowę, a czubkami palców u nóg dotykając szczytu łóżka.

Odwróciła się i zobaczyła leżącego obok Rolfe'a. Natychmiast, niczym zły sen, wróciły wspomnienia wydarzeń ubiegłej nocy. Gwałtownie odwróciła głowę i spojrzała księciu w oczy. Leżał obserwując ją ze spłoszoną miną.

- Życzę ci przyjemnego dnia - powiedział.

Twarz miał pooraną czerwonymi pręgami - ślady po jej paznokciach. Ranne porwanie to nie był sen, to była okropna rzeczywistość. A teraz, w świetle dnia, jeszcze okropniej sza.

- Dzień dobry - mruknęła w odpowiedzi.

- No, myślę, że jest już późne popołudnie. A ty jesteś chyba trochę rozbita.

- To... to... uprzejmie z pańskiej strony, bo inaczej pewnie umknęłoby to mojej uwagi.

- Zła, co? Dobrze. Objawy złego humoru wymagają leczenia zdecydowanymi środkami.

- Groźby z samego rana? Przed śniadaniem? Ma pan dość schematyczny sposób rozmowy, prawda?

Uśmiechnął się, a wokół oczu uwidoczniła się siateczka zmarszczek.

- To brzmi jak skarga, która zaraz jednak zostanie wysłuchana. Czy pozwolisz, że zwrócę twoją uwagę na tacę tuż przy łokciu? I czy mogę cię prosić o kawę?

Zmarszczyła czoło i, nie dowierzając jego nagiej uprzejmości, odwróciła głowę i zobaczyła stół przysunięty do łóżka, ustawiony niewątpliwie przez bezgłośnie poruszającego się Sarusa. Stał na nim srebrny czajnik, z kłębem pary unoszącym się z dzióbka, dzbanek z gorącym mlekiem, zestaw srebrnych i kryształowych pojemniczków z dżemem i powidłami oraz koszyczek pełen pachnących drożdżowych bułeczek, a wszystko nakryte białą, lnianą serwetą. Podciągnęła się wyżej na poduszce, aż kołdra opadła i odsłoniła nagie, sterczące piersi. Nagle zdała sobie sprawę z dwuznaczności sytuacji, w jakiej się znajdowała: leżała naga w łóżku nieznanego mężczyzny, który najspokojniej w świecie podawał jej filiżankę, by nalała mu *café au lait*.

Co mogła zrobić?

Czuła się nieswojo, nalewając kawę do filiżanki z chińskiej porcelany, mieszając ją z mlekiem, podając ją siedzącemu obok mężczyźnie z naturalną gracją damy zasiadającej przy stole w czasie popołudniowej herbaty. Jeszcze bardziej krępujące było to, że czuła ogromny głód i bez trudu pochłonęła dwie bułeczki. Kiedy sięgnęła po trzecią, zdało się jej, że książkę z aprobatą skinął głową, ale ponieważ rozmyślnie starała się przez całe to krępujące śniadanie nie patrzeć w jego stronę, nie była tego zupełnie pewna. Im dłużej jednak o tym myślała, tym bardziej się w tym utwierdzała i było jej coraz trudniej przełykać. Niemal z ulgą przyjęła podaną filiżankę, by mu ponownie nalać kawy.

Wziął podany napój, poprosił o następną bułeczkę, posmarował ją dokładnie masłem, potem dżemem figowym.

- Myślę, że nie doceniłem ani ciebie, ani Claire.

- Czyżby?

- Wczoraj wieczorem z domu twojej ciotki wyszły dwie kobiety. Tak mówił Leopold. Biorąc pod uwagę zwyczaj kobiety europejskiej, które krokiem nie ruszą się z domu same i nawet w drodze do szpitala wymagają towarzystwa, doszedłem do wniosku, że jedną z tych dwu była Claire, a drugą jej służąca. Później, kiedy zobaczono ciebie samą na drodze, pomyślałem, że służąca albo idzie przed tobą, żeby sprawdzić drogę, albo przestraszona uciekła. W jednym i drugim wypadku ta druga kobieta przestała mnie interesować, jako że miałem ciebie, a raczej Claire, bo tak wtedy sądziłem. Udowodniłaś mi, że się mylę. Ale w tej sytuacji powstaje pytanie, co się stało z tą drugą kobietą. Czy rzeczywiście była to służąca? A może ta druga kobieta to była Claire? Może to ty sama zabrałaś Claire z domu ciotki, odprowadziłaś pod osłoną ciemności do miejsca ukrycia, a potem tą samą drogą wracałaś do domu?

Wpadła w popłoch. Nie mogła dać tego po sobie poznać, więc spokojnie popatrzyła w jego stronę.

- To chyba jasne, Wasza Wysokość, że nie mogę tego ani potwierdzić, ani temu zaprzeczyć, prawda?

- W tej sytuacji - powiedział marszcząc czoło - wolałbym, żebyś mówiła mi po imieniu. A co do twego pytania, to chyba masz rację. Niemniej, fortuna *favet fortibus!*

Znała łacinę.

- To prawda, że fortuna sprzyja odważnym. Ale odwaga może nie wystarczyć, by znaleźć osobę, której tu nie ma.

- Zgadza się, tylko że w takim wypadku moim ludziom będzie wstyd, że...

Ponieważ nie odpowiadała, położył się w poprzek jej nóg, by odstawić na stół filiżankę. Cofnęła się instynktownie. Widząc tę reakcję, najpierw się skrzywił, a potem

uśmiechnął. Położył ciężką rękę na biodrze Angelinę, tak że kołdra sama się osunęła, odsłaniając piersi.

- Pozwoliłem ci nazywać się po imieniu, ale dotychczas nie usłyszałem tego z twoich ust.

- Nie miałam jeszcze okazji...

- Ze względu na konwenanse chcesz zachować dystans? Na to nie mogę pozwolić. Masz się zwracać do mnie po imieniu.

Nachylił się, ustami dotknął jej obojczyka, potem sięgnął niżej, do kształtnych, sterczących piersi.

- Nie! - zawołała bez tchu. - Co ma za znaczenie, jak będę pana nazywała?

- Jestem przyzwyczajony, żeby mnie słuchano i nie znoszę żadnych oporów.

Gdy poczuła gorąco jego oddechu, podniosła ręce i... zanurzyła palce w jego miękkie loki.

- I jest pan zepsuty ponad wszelką miarę.

- W ten sposób szukasz dobra mojej duszy czy wyrażasz swoje oburzenie?

Próbowała go odepchnąć, ale zupełnie nie zwracał na to uwagi. Koniuszką języka dotykał jej wrażliwych miejsc, a ręką coraz niżej ścierał kołdrę. Dotknął bioder, potem ud.

W tym momencie rozległo się pukanie do drzwi. Angelinę odetchnęła z ulgą.

- Ktoś puka.

- To tylko Sarus - powiedział nie podnosząc głowy. Pukanie się powtórzyło.

- Proszę, Rolfe. Proszę.

Podniósł się, ułożył kołdrę na swoim miejscu. Z ociąganiem przesunął się na drugą stronę łóżka.

- Ten człowiek dobrze wie, co ma robić - powiedział z ponurym uśmiechem.

Sarus wniósł miedzianą wannę i gorącą wodę. Kąpiel zdawała się należeć do codziennego rytuału, jako że nie słyszała, by książe ją zamawiał. Sarus też niczego nie

tłumaczył. Chociaż sama bardzo lubiła kąpiel, to jednak taka dbałość o czystość u mężczyzny zaskoczyła ją, tak że skupiła uwagę bardziej na samym myciu niż na Rolfie, który, nie zwracając uwagi na płaszcz kąpielowy, ułożony przez Sarusa na skraju łóżka, zeskoczył z materaca i wszedł do wanny.

Kąpał się tak, jak robił wszystko inne: szybko, precyzyjnie, bez zbędnych ruchów. Chłodu, panującego w pokoju, mimo ognia, który Sarus rozпалиł, książę zdawał się nie dostrzegać, gdy w kłębach pary, unoszącej się z gorącej wody, namydlał się i opłukiwał. Potem wyszedł z wanny, pozwolił służącemu ubrać się w nieskazitelnie biały, chociaż nie tak oficjalny i poważny mundur jak ten z poprzedniej nocy. Sarus przyniósł świeżo wyczyszczone buty, podał rękawiczki i przeczesał mu włosy. Kilkakrotnie podczas tego ceremoniału Rolfe pochwycił spojrzenie Angelinę, ciesząc się wyraźnie jej zmieszaniem. Na koniec Sarus podszedł ze szpadą, by mu ją przypasać do boku.

Dobry humor Rolfe'a zniknął, gdy stanął gotowy do wyjścia. Poleciał służącemu przygotować kąpiel dla Angelinę i wydał jeszcze inne, niezrozumiałe dla niej polecenia. Na koniec powiedział:

- Wykonasz każde jej polecenie, z wyjątkiem wyszukania sposobu na opuszczenie tego domu. Gustave pozostaje na straży.

Wiedząc, że to ostatnie polecenie wydane zostało bardziej na użytek jej niż służącego, spytała:

- A kto to jest Gustave?

- To mój najstarszy, a więc, jeśli idzie o ciebie, najbardziej godny zaufania człowiek.

Stał, czekając na jej reakcję. Zdobyła się na nikły uśmiech.

- Postaram się pograć mu na nerwach.

- Nie radziłbym - rzekł zbliżając się lekkim krokiem. - Nie jest aż taki stary...

Z jedną ręką na gardzie szpady, nachylił się nad nią, by ją pocałować. Spróbowała się cofnąć, lecz chwycił ją za podbródek i zmusił do pocałunku.

- Z tego zwyczaju mam szczerzy zamiar wyleczyć cię zaraz po powrocie.

- Nie będzie mnie tu! - zawołała z wymuszoną brawurą.

Wyprostował się i ruszył w stronę drzwi, które Sarus przed nim otworzył.

- Będziesz - rzucił, nie odwracając głowy.

Angelinę poczekała, aż służący zamknął drzwi za sobą i swoim panem i kroki księcia ucichły w głębi domu. Rozejrzała się za swoim ubraniem, ale nigdzie nic nie mogła znaleźć. Przypomniała sobie białe zawiniątko, które Sarus trzymał pod pachą. Czemu je zabrał? Czyżby dlatego, by uniemożliwić jej ucieczkę? Chyba nie. Nie słyszała na ten temat żadnych poleceń, a nie sądziła, by służący zrobił to z własnej inicjatywy. Może pomyślał, że to jakieś szmaty? Ich wygląd mógł to sugerować. Musi go spytać, gdy tylko się tu pojawi.

Podjrzliwie popatrzyła na płaszcz kąpielowy księcia leżący w nogach łóżka, ale odwróciła się: nie posunie się do tego, by ubierać się w cudze rzeczy. Owinęła się w prześcieradło i wstała z łóżka. Podeszła do frontowego okna, odsunęła zasłony i wyjrzała.

Na podwórzu stały konie przywiązane do metalowych słupków, osiodłane i niecierpliwie przestępujące z nogi na nogę. Uprząż błyszczała w słońcu. Słychać było głośne rozmowy. W głębi domu rozległ się urywany męski śmiech. Gdzieś trzasnęły drzwi. Z domu wyszedł książę, a za nim wysypali się jego ludzie. Dosiedli koni z zadziwiającą wprawą. Rolfe uniósł rękę, a światło zagrało odbite w pierścieniu. Ruszyli galopem. Wkrótce odgłos kopyt umilkł w oddali.

Angelinę dłuższą chwilę stała przy oknie z czołem wspartym o zimną szybę i patrzyła w przestrzeń nic nie widzącym wzrokiem. Czuła się zawieszona w próżni.

W końcu sama. Bez wibrującej obecności Rolfe'a. Nierzeczywistość ostatnich wydarzeń zdawała się jeszcze narastać. Takie rzeczy nie przydarzają się młodym niewinnym kobietom ze środowiska takiego jak jej. Wiedziała, że będzie musiała ponieść ich konsekwencje, ale nie wiedziała, czy w którymś momencie mogła postąpić inaczej.

Zastanawiała się, czy ciotka zauważyła jej nieobecność, a jeśli tak - to co o tym pomyślała. Czy pozostał jakiś ślad, który mógłby wskazywać, że księżę był w ich domu? Nie wydawało się to prawdopodobne. Tylne drzwi były zamykane jedynie na klamkę; do domu można było się dostać bez wyważania drzwi. Wszystko wskazywało raczej na to, że nie wróciła, że nie spała w swoim pokoju. Czy Madame, jej ciotka, brała pod uwagę taką możliwość, że została na noc w klasztorze? Znając matkę Teresę i jej troskliwość o Angelinę, musiała się liczyć z taką ewentualnością. W takim razie nie tak szybko podniesie alarm. O takiej możliwości, że ciotka w ogóle nie da nikomu znać, wołała raczej nie myśleć.

Na delikatne pukanie do drzwi poderwała się i odwróciła od okna. Podbiegła do łóżka, wsunęła się pod kołdrę i dopiero wtedy powiedziała:

- *Entrez.*

Był to Sarus. Przyniósł gorącą wodę do kąpieli. Stanąwszy w drzwiach, najpierw się ukłonił, a dopiero potem wszedł i postawił naczynia. Z widoczną łatwością chwycił wannę z zimną wodą i wylał ją do pustych wiader. Wannę ustawił bliżej kominka, na którym teraz buzował już wielki ogień. Napełnił ją wodą. Wszedł i po chwili wrócił z parawanem, który ustawił tak, by osłonić Angelinę od przeciągów. Położył ręczniki i kostkę pachnącego mydła, ukłonił się ponownie, wziął wiadra z zimną wodą i wyszedł z pokoju.

Nie spodziewała się takiej dbałości o jej wygody. To było cudowne uczucie móc wejść do wanny, zanurzyć się w gorącej wodzie. Miała lekkie siniaki pod żebrami,

w miejscu gdzie Rolfe ją chwycił, by podnieść na siodło. Miała też trochę obrzmiałe wargi. Sine i czerwone plamy widoczne były na przegubach rąk, a także drobne otarcia skóry po wewnętrznej stronie ud. To były ślady po przeżyciach nocy i tak naprawdę - innych nie odczuwała. Nie czuła się odmieniona. Chociaż były to bez wątpienia przeżycia bardzo przykre, nie zamierzała się samobiczować. Myśl, że mogą się powtórzyć, nie była przyjemna, ale też nie doprowadzała do rozpacz. Nienawidziła mężczyzny, który ją tu siłą sprowadził i wziął przemocą. Chętnie zobaczyłaby go na szubienicy. Ale też zdawała sobie sprawę, że nie bardzo może na to liczyć. Mogła kopać i krzyczeć, ale na co by się to zdało?

Cóż mogła zrobić? Z pewnością znajdzie się jakiś sposób, by się na nim zemścić, ale na razie musi postępować bardzo ostrożnie. Jej sposobem na najbliższą przyszłość może być tylko obrona. Nie może się poddać, musi zachować godność. A najłatwiej to osiągnąć kierując się rozumem, nie emocjami.

Na jak długo starczy księciu cierpliwości? Ile czasu upłynie, zanim posunie się do użycia siły, by uzyskać potrzebne wiadomości? Ostatniej nocy tego nie zrobił, ale nie mogła się łudzić, że tak potrwa długo. A jeśli przejdzie zwycięsko tę próbę i nie zdradzi, to co wtedy? Będzie musiała pozostać tu na stałe? Zostanie kochanką Rolfe'a ze wszystkimi zobowiązaniami z tego tytułu płynącymi?

Widoki na przyszłość były okropne, ale myśl o powrocie też nie była pocieszająca. Przyszłość księżę przedstawił jej w ponurych barwach. Straci dobrą opinię - to bezsporne. Powrót do domu ciotki nie wchodził więc w rachubę. Wzięto by ją na języki, roztrząsano problem jej niewinności, opowiadano by o jej uporze i lekkomyślności. Gdyby jej cnota pozostała nienaruszona, mogłaby wyjść za mąż i w ten sposób opuścić dom ciotki. A tak będzie jedynie ciężarem dla Madame de Buys.

Do ciotki nie może wrócić, chyba że znajdzie się

Claire. Co zrobi Rolfe, jak ją znajdzie? Sprowadzi tutaj? Potraktuje tak samo jak ją?

Skrzywiła się na samą myśl o tym. Było bardzo wątpliwe, by odnalezienie Claire coś tu pomogło. Co Claire mogła wiedzieć o śmierci Maximiliana ponad to, co już powiedziała? Mogła być jedynie przypadkowym świadkiem, który znalazł się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwym czasie. Rolfe pewnie myśli, że Claire w jakiś sposób przyczyniła się do śmierci Maximiliana. Ale tak być nie mogło. Co do tego Angelinę była przekonana. Chociaż poprzedniego dnia też była święcie przekonana, że to niemożliwe, by Claire była metresą Maximiliana...

W tych rozważaniach jednym z najbardziej niepokojących momentów był strach Claire. Jeśli była tylko przypadkowym świadkiem morderstwa, to dlaczego tak pośpiesznie uciekła? Dlaczego nie udała się do władz, by zgłosić zbrodnię i zaoferować swoją pomoc w celu ujęcia mordercy człowieka, o którym mówiła, że go kocha? Formalności mogłyby być nieprzyjemne, mógłby też paść na nią cień podejrzenia, ale nic nie mogło być gorsze od życia tropionego zwierzęcia, jakie wiodła przez ostatnie tygodnie.

Z tego punktu widzenia usiłowania Rolfe'a, by porozmawiać z Claire, wydawały się całkowicie uzasadnione. Czemu jednak kuzynka nie chciała się na to zgodzić? Pewnie, gdyby dowiedziała się, że Angelinę nie wróciła do domu, przypomniałaby sobie zwiadowcę na drodze i domyśliła się, kto i dlaczego mógł ją schwytać. Czy w takim wypadku nie powinna z własnej woli przyjść i przekazać księciu wiadomości, jakie posiadała? Myśląc o Claire takiej, jaką widziała ostatnio, przerażonej, a jednocześnie zapatrzonej w siebie, nie miała na to wielkiej nadziei.

Była jeszcze inna ewentualność. Mogło być tak, że przerażenie Claire i działanie Rolfe'a miały to samo źródło: wiadomości, które Claire posiada, mogły wskazy-

wać na jego udział w śmierci brata... Długi czas siedziała, wpatrując się w ogień, aż wzdrygnęła się i powróciła do rzeczywistości.

Namydlała się dokładnie, opłukiwała, zanurzała w pachnącej wodzie, ciesząc się każdym szczegółem tego rytuału; innego zajęcia nie miała. Rozglądała się po pokoju, po zawieszonych draperiami ścianach, po bogatych, choć już wyblakłych zasłonach łóżka, po podłodze z cyprysowego drzewa z porozkładanymi na niej dywanami. Z całą pewnością te pomieszczenia odpowiadały księciu i jego ludziom bardziej niż główna siedziba de la Chaise, majestatyczna i pełna blasku.

Kiedy woda zaczęła stygnąć, wyszła z wanny i wytarła się ręcznikami. Z ponurą miną owinęła się w prześcieradło, wolny koniec wciskając między piersi. Podeszła do toaletki, wzięła srebrny grzebień i zaczęła doprowadzać do jakiegoś takiego porządku potargane włosy.

Nie potrafiłaby powiedzieć, czy Sarus podsłuchiwał, kiedy skończy kąpiel, czy był to tylko zwykły przypadek, ale właśnie w tym momencie wszedł. Wniósł jej ubranie i bieliznę oraz świeżo upraną, obszerną tunikę, podobną do tej, jaką sam miał na sobie.

Pochylił głowę.

- Obawiam się, Mademoiselle, że naprawa ubrania nie zadowoli pani. Przyniosłem to, by ukryć uszkodzenia, jeśli panienka pozwoli...

Mówił beznamietnie, podając jej najpierw ubranie i bieliznę, a następnie tunikę. Przyglądał się jej dokładnie spod w półprzymkniętych powiek, starając się zawsze stać między nią i drzwiami.

Tunika okazała się rodzajem obrzernej bluzy, nakładanej przez głowę, z dwoma kieszeniami na piersiach, przy czym na jednej z nich widniała wyszywana korona. Bluzę uzupełniała jedwabna jasnoniebieska przepaska. Sarus pomyślał, że taką bluzą da się zakryć nieumiejętnie przyszyty rękaw.

Kiedy chciał wyjść, podała mu tunikę.

- Nie chcę tego.

- Jest nie dość... ładna... modna? - spytał zakłopotany. - Nic innego w tym męskim otoczeniu się nie znajdzie.

- Nie chcę cię tego pozbawiać.

- Ach, o to chodzi - odrzekł weselej. - Proszę ją zatrzymać, Mademoiselle. A kiedy się pani ubierze, proszę zejść na dół, żebym mógł posprzątać pokój na powrót księcia.

Powiedział to tonem pełnym uszanowania, ale i zdecydowanym. Pod tym względem przypominał swego pana.

Tunika okazała się wcale nie najgorsza. Wyglądała trochę jak peleryna, nazywana „kozaczką”, która poprzedniego roku uchodziła za *dernier cri*. Rękawy miała za długie, dłuższe niż jej ręce, ale podwinęła je powyżej łokci. Opaskę przewiązała w pasie, co nadało jej wygląd chłopki. Wrażenie to potęgowały włosy spływające swobodnie na ramiona oraz zarumienione po gorącej kąpieli policzki. Nie miała spinek ani grzebieni - zgubiła je w lesie podczas ucieczki. Musiała ułożyć fryzurę bez nich, nie miała innego wyjścia. Poszukała bucików: jeden znalazła zagubiony w pościeli, drugi - pod łóżkiem. Nałożyła je i podeszła do stołu.

Leżał na nim wisiołek, który dostała od Claire. Błyszczał w rannym świetle. Podniosła go, ale zaraz położyła na poprzednie miejsce. Rolfe miał rację: zapach konwalii nie pasował do niej. Poza tym flakonik był za ciężki i jak na jej gust o zbyt przeładowanej formie. Gdy mu się tak przyglądała, zrodziło się w niej jakieś niejasne, ledwo uświadamiane podejrzenie - chociaż nie - przecież Claire nie mogła przewidzieć, że Rolfe ją uwięzi, nie mogła zaplanować, by pomylił je ze sobą... To niemożliwe. A nawet jeśli taka myśl powstałaby w głowie Claire, to i tak trop byłby fałszywy. Bez tego wisiora Rolfe nie miałby takiej pewności, że Angelinę

wie o miejscu pobytu kuzynki, nie miałyby więc powodu jej więzić. Pewna była jednego: nie powinna go nosić. Nigdy go już nie założy. Zwinęła wisiołek, położyła na stole i wyszła z pokoju.

Poza wielkim holem na parterze cały dom zbudowany był w stylu georgiańskim. Piętro podzielone było na dwie części długim korytarzem. Angelinę nie mogła się powstrzymać, by nie przyjrzeć się pomieszczeniom. Szła korytarzem wyłożonym perskim dywanem. Po obu stronach znajdowały się sypialnie podobne do tej, jaką dopiero co opuściła. Było ich razem sześć. W przeciwnym końcu korytarza znajdowały się schody kuchenne, których używano przy podawaniu posiłków do pokoi. Obawiając się, że może tam spotkać Sarusa, zawróciła.

Schody główne zaopatrzone były w poręcze u szczytu i u stóp wychylone na zewnątrz. Stopień po stopniu, zaczęła ostrożnie schodzić. Na samym dole rozejrzała się po ogromnym hallu. Nie było nikogo. W kominku palił się ogień, a na stole leżał rozłożony do czyszczenia rewolwer. Drzwi frontowe były otwarte. Stąd, przez las, prowadziła droga do siedziby pana de la Chaise. Byłby pewnie bardzo zaskoczony, gdyby się dowiedział, że jest tu przetrzymywana wbrew woli. Na pewno by jej pomógł, gdyby tylko zdołała tam dotrzeć.

Nim jednak zdążyła zrobić krok ku wyjściu, na tyłach domu dały się słyszeć ciężkie kroki i w głębi korytarza ukazał się mężczyzna, z kuflem w jednym, a kawałkiem chleba z serem w drugim ręku. Był to jednooki, siwy weteran, Gustave.

- To by znaczyło, że nasza piękność już wstała - powiedział, aż zadudniło w pomieszczeniu, i kiwnął kuflem w jej stronę. - Łykniesz coś i przegryziesz, żeby dotrzeć do obiadu, co?

- Nie, dziękuję.

- To chodź, siadaj, a ja będę jadł. Smutno jeść samemu.

- Nie będę dla pana dobrym towarzyszem - odpowiedziała z rezerwą.

- Patrzenie na twoją ładną buzię, zamiast na tych zarośniętych nieokrzesanych drabów, co mnie tu zostawili, to dla mnie tak miła odmiana, że możesz nawet milczeć. Chodź, siadaj.

Zachowywał się naturalnie i nic nie wskazywało na to, że jest pod jego strażą, niemniej czuła, że ani na moment nie traci jej z oczu, gdy tak krąży między schodami a otwartymi drzwiami. Ponieważ na razie nie mogła wrócić do pokoju, nie pozostawało jej nic innego, jak przyjąć to dość obcesowe zaproszenie.

- Tam będzie dobrze, co?

Gdy siadała, przedstawił się. Wymienił wiele nazwisk i tytułów o jakimś ostrym, gardłowym brzmieniu, dodając do tego rodzaje broni i stopnie wojskowe połowy armii europejskich. Pociągnął z kufła ogromny łyk czegoś tracącego alkoholem.

- Jestem z Rolfe'em ostatnie dziesięć lat, od czasu, jak stał się pełnoletni. Widziałem go, jak gołą ręką chwycił kule muskietowe, jak zajeżdżał na śmierć konie na stepie, bo szło o zakład, jak w teatrze, zaraz po opadnięciu kurtyny, porywał ze sceny do swojej łoży sławną aktorkę, jak pojedynkował się na sztylety z cygańskim królem o względy półdzikiej dziewczyny, ale niczego nie robił z takim sercem jak wczorajsze polowanie na ciebie.

- Pochlebia mi pan... albo raczej księciu Rolfe'owi - powiedziała chłodno.

- Nie - odrzekł. - Kiedy przed chwilą zszedł, powiedział nam, że nie jesteś ta właściwa. Będziemy się mogli długo bawić jego kosztem. Nieczęsto zdarzają mu się takie pomyłki.

Angelinę złożyła ręce i oparła je o stół.

- Jeśli idzie o mnie, to nie jest mi do śmiechu.

- Nie wątpię, *meine Liebe*, widząc zły humor księcia.

Czuliśmy, że coś jest nie tak, ale gdybyśmy wiedzieli, że jesteś taką... panną, tobyśmy...

- Więc to wam też powiedział?... - spytała ze ściśniętym gardłem.

- Nie, nie! On, nasz ksiązę, zawsze mówi mało. Ale ja domyślałam się z tego, czego nie mówi. I ze szczegółowych poleceń, jakie mi zostawił, jak mam się z tobą obchodzić.

- Rozumiem. Przykro mi, że w taki ładny dzień musi mnie pan tu pilnować.

- Taka służba jak każda inna. Na pewno nie chcesz dołączyć do mnie? A może filiżankę czekolady? Kieliszek wina?

Potrząsnęła przecząco głową. Patrzyła na ciemny dębowy stół. Nie dbano o niego. Był porysowany i pocięty. Biesiadnicy musieli bawić się nożami, wycinając misterne wzorki w jego krawędzi. Wyciągnęła rękę i powiodła palcem po niezliczonych śladach kufli i szklanek odcisniętych na blacie.

- Jak pan sądzi, jak długo tu pozostaniecie? - przerwała kłopotliwe milczenie.

- Jak długo będzie trzeba.

Spojrzał na nią spod ciężkich brwi. Zmrużył jedyne oko.

- Martwisz się, co będzie z tobą, gdy stąd odejdziemy? Nie musisz. Rolfe cię odpowiednio wynagrodzi.

- Taki wspaniałomyślny? - uśmiechnęła się gorzko.

- Nie wierzysz? Przysięgam, że skoro wszedł w twoje życie, nie opuści cię.

- Jeśli pan uważa, że moim jedynym pragnieniem jest pozostać przy nim, to bardzo się pan myli.

Palce, którymi wodziła po stole, drżały. Zacisnęła je w pięść.

- Boisz się go?

- Oczywiście, że nie!

Zdawał się przeżuwać słowa, które chciał wypowiedzieć.

- Ja tak, ja się bałem. W czasach, kiedy dużo pił. Ty jesteś kobietą, niezbyt pokąźną, bronić się też nie masz czym. Powinnaś mieć więcej powodów do strachu.

- To miło, że mnie pan tak pociesza.

Uśmiechnął się, odgryzł potężny kęs i popił winem. Połknął chleb i otarł usta szorstką dłonią.

- Masz charakter. Z Rolfe'em trzeba wet za wet. Zacznie myśleć, rozerwie się trochę, a tego mu w tej chwili najbardziej potrzeba.

- To znaczy - mam mu dostarczyć rozrywki? Trochę tańca byłoby mile widziane?

Przyglądał się jej w skupieniu.

- Teraz to żartujesz. Ale jeśli mogłabyś na jakiś czas oderwać go od jego myśli, od spraw, które go prześladują, zaskarbiłabyś sobie wdzięczność całej naszej gwardii.

- Oczywiście. Na niczym innym bardziej mi nie zależy.

- Jesteś tak samo zła jak Rolfe - mruknął wkładając do ust resztki chleba i stawiając kufel na poręczy fotela. - Tobie pewnie nie byłoby tak trudno go zrozumieć, zwłaszcza jeśli zapoznasz się trochę z jego przeszłością.

Nastąpił długi wywód z wieloma wątkami ubocznymi i równie licznymi, pełnymi szczegółów uwagami. Rolfe, drugi syn szóstego z dynastii króla Ruthenii, został osierocony przez matkę przy swoim urodzeniu. Chorowite dziecko oddane zostało pod opiekę nianiek, gdyż ojciec musiał zająć się wychowaniem dorastającego starszego syna, naturalnego następcy tronu. Wykształcenie Maximiliana od samego dzieciństwa powierzono całemu zastępowi nauczycieli, z których każdy był uznaną sławą w swojej dziedzinie.

Rolfe'a oddano pod opiekę weneckiego nauczyciela, który wykształcił w nim takie dziwactwa, jak skłonności estetyczne, pociąg do poezji klasycznej i nauk ścisłych. Zajęcia odbywały się na świeżym powietrzu. Do zakresu jego edukacji należały liczne ćwiczenia, proste, zdrowe jedzenie i równoległe - bogaty zestaw myśli i idei.

Z chorowitego dziecka wyrósł zdrowy chłopiec - mocny i pełen energii. Lecz chociaż był w stanie pokonać starszego brata w każdej dyskusji, jak również w pięciu na sześć dyscyplinach sportowych, u ojca króla nie znajdował uznania. Wyglądało to tak, jakby ojciec uważał, że Rolfe wygrywa tylko dlatego, że stosuje niedozwolone chwytaki.

Maximilian nie miał do niego pretensji. Bracia żyli zgodnie. Problemy zaczęły się dopiero wtedy, gdy dorośli. Rolfe był wyłączony z życia towarzyskiego dworu i wszystkich spraw z tym związanych. Zadawał się więc z Cyganami i różnymi podejrzanymi typami, miesząc się w zupełnie nie swoje sprawy. Włóczył się po całej Europie ze swoją doborową gwardią, wznecając burdy i bijatyki, odwiedzał też swego rosyjskiego dziadka, który darzył go miłością. Jego znaki w kształcie głowy lwa nosił wytatuowane na ramionach. Maxa spotykał od przypadku do przypadku, to w Paryżu, to w Wenecji albo w Rzymie. W Ruthenii przebywał rzadko.

Kilka tygodni przed śmiercią brata dotarły do niego jakieś niepokojące pogłoski. Znaleźli się wśród Ruthenian tacy, którzy chcieli zmienić kolejność w następstwie tronu, a nawet tacy, którzy planowali zabójstwo króla i starszego z książąt i byli gotowi dużo za to zapłacić.

Rolfe natychmiast wrócił do kraju, lecz nie był w stanie wykryć spisku. Wszystko było jak dawniej, z wyjątkiem jednego: u boku Maxa pojawiła się rudowłosa amerykańska piękność - utrzymana o manierach księżnej. Jedynym problemem był jej charakter - tak przynajmniej uważał Gustave. Maximilian też zachowywał się jak dawniej. Jak zwykle pokazywał się w operze, na otwartych przyjęciach i polowaniach, nadskakiwał ojcu, ale powoli odsuwał od siebie rudowłosą piękność, jakby nią zmęczony.

I wtedy to się stało. Maximilian zginął. Kiedy wiadomość dotarła do króla, dostał ataku apopleksji.

Nie był to pierwszy atak; jeden już przeżył poprzedniej wiosny. Ten był jednak znacznie poważniejszy. Przez kilka godzin obawiano się nawet o jego życie. Rolfe, na skutek krążących plotek, został oskarżony przez złozonego niemocą ojca o udział w zabójstwie brata. W chwili gdy opuszczał pałac królewski, zaatakowała go banda zbójów. Tylko dzięki zręczności, z jaką posługiwał się szpadą, nie został następną ofiarą.

Angelinę bacznie przyglądała się poznaczonej bliznami twarzy siedzącego naprzeciw niej mężczyzny.

- Chce pan powiedzieć, że istniał jakiś związek...?

- Z początku na to nie wyglądało. Później, kiedy zamach powtórzono - ktoś w ciemności rzucił w Rolfe'a nożem, kiedy zbliżał się do domu, w którym poprzednio mieszkała Mademoiselle de Buys - sprawa zaczęła przybierać inny obrót. A kiedy w Le Havre z liny zerwał się ładunek, cudem nie zabijając Rolfe'a, należało spojrzeć prawdzie w oczy.

- Po śmierci Maximiliana, przy poważnej chorobie ojca, Rolfe stał się najbliższym kandydatem na tron?

- Zgadza się, *meine Liebe*.

- A kto po Rolfie, gdyby zginął, dziedziczyłby tron?

- Takie pytanie narzuca się samo przez się, co? Tym następnym byłby Leopold, królewski siostrzeniec.

- Ten czarnowłosey, który teraz z nim jest?

- Właśnie on - potwierdził Gustave. - I to Leopold, na wieść o zamachach na życie Rolfe'a, zebrał tę *garde du corpse**. On nas skaptował, mówiąc, że nikt nie może nam odmawiać prawa do pójścia za nim.

- Czy mógłby to być chwyt, sposób na odwrócenie od siebie podejrzeń, a co za tym idzie - możliwości podejmowania dalszych prób?

- Wszystko jest możliwe. Próba uderzenia, kiedy czekaliśmy na statek w Le Havre, czyni to jeszcze

* *Garde du corpse*, dokładnie: ochrona osobista Rolfe'a.

bardziej prawdopodobnym - powiedział po namyśle, po czym dodał: - W Nowym Orleanie też były kłopoty.

- Jeszcze jedna próba?

- Trudno właściwie powiedzieć. Jeden z koni tam zakupionych o mało nie zatratował Rolfe'a na śmierć. Kiedy go dostarczono, wydawał się bardzo nerwowy, ale nie na tyle, by go nie można było ujeździć. Gdyby Rolfe miał mniej doświadczenia, z całą pewnością już by nie żył. Wkrótce potem koń padł. Możliwe, że przed sprzedażą nakarmiono go jakimś trującym zielkiem, by wyglądał na dzikszego, niż był, ale sprzedawca przysięgał, że tak nie jest. Podejrzenie budził fakt, że zdarzyło się to z koniem, który wybrał sobie Rolfe, a nie z żadnym z pozostałych.

Po zastanowieniu musiała się z tym zgodzić. Zamachy na życie księcia obalały zasadność jej pierwotnych podejrzeń. Okoliczności wskazywały, że było mało prawdopodobne, by mógł być odpowiedzialny za śmierć brata. Musiała przyznać, że zarzut, jaki mu postawiła poprzedniego wieczoru po tańcu, był coraz mniej uzasadniony. Zamachy te, jak dotąd, nie udały się, ale też nie wydawało się możliwe, by to on sam je pozorował w celu odwrócenia od siebie podejrzeń.

- Teraz rozumiem, dlaczego księżę chce koniecznie przepytąć moją kuzynkę o okoliczności śmierci swego brata. Ale czy w tym celu nie można było wysłać za nią kogoś innego?

- Myślisz o jakimś przedstawicielu prawa? Ktoś taki poza Ruthenią nie mógłby nic zdziałać. Ponadto z całą pewnością nie jechałby za nią tak wytrwale i szybko jak my. I jeszcze - po znalezieniu Mademoiselle de Buys - nie zależałoby mu tak bardzo na dotarciu do prawdy o okolicznościach śmierci Maximiliana. Dla Rolfe'a łączenie samobójstwa z imieniem brata jest równie odrażające jak morderstwo. Jest plamą na jego honorze. Jest jeszcze inna rzecz, ale to mogę już tylko zgadywać: myślę czasem, że Rolfe wbił sobie do głowy, że wyjeżdżając z Ruthenii,

ściągnął na siebie pogoń, odciągając niebezpieczeństwo od ojca...

- Ściągnął pogoń na siebie albo zabrał ze sobą ścigającego?

- Tak właśnie, Mademoiselle.

Jej zielone oczy pociemniały z wrażenia.

- Przebywać w jednym miejscu z mordercą, zawierzać swoim umiejętnościom i losowi, że uniknie się ciosu, nie wiedząc, z której strony może paść - to przecież straszne ryzyko.

- Zaczynasz poznawać naszego księcia! - zawołał Gustave z grymasem na twarzy, który miał oznaczać uśmiech, i pustym kuflem uderzył w stół, aż zadźwięczało.

Potem zaczęli rozmawiać o innych sprawach. Przysunęli kanapę do kominka, gdyż wczesny mrok zimowego wieczoru wkradał się już do środka. Doszedł ich też nikły zapach przyrządzanej kolacji, wydobywający się zza nie domkniętych drzwi kuchni, gdzie Sarus pilnował czarnego kucharza przysłanego tu przez pana de la Chaise.

Na obramowaniu kominka widniały posążki myśliwych, a na kaflach powyżej paleniska widoczne były postacie jeleni, dzików, królików i wiewiórek w naturalnych kolorach. Kanapa, na której siedzieli, była z ciemnego dębu, wyłożona matą z końskiego włosia, twarda i niezbyt wygodna.

Gustave zaczynał się niepokoić. Spoglądał na Angelinę z niezadowoleniem, jakby żałował, że uległ chęci wygadania się.

Nie było jeszcze na tyle ciemno, by zapalić świece, ale już nie tak widno, by dojrzeć powrót Rolfe'a i jego świty. Frontowe drzwi otworzyły się z hałasem i książe wkroczył do środka. Ściągnął rękawice, rzucił je na stół i rozejrzał się wokoło.

- Sentymentalne pogawędki w półmroku? Rumieniec jest dowodem winy, więc już nie musisz tak chować twarzy. Gdybym wiedział, że tak łatwo cię zbałamuci, zostawiłbym z nią Oswalda i Oscara.

- Nie pozostawiłeś żadnych szczegółowych poleceń co do rozmowy - odpowiedział Gustave.

- To przeoczenie - uciął książę. - I błąd z mojej strony, że polegałem na twoim rozsądku.

Weszli pozostali i stanęli za Rolfe'em, z twarzami zmęczonymi, ale i rozbawionymi. Jeden z nich, płowowłosey, z szarymi oczami, z blizną w kąciku ust przyglądał się jej szczególnie bacznie.

Angelinę podniosła się.

- Obawiam się, że to moja wina, Wasza Wysokość.

- Zdaję sobie z tego sprawę - odparł, ledwo na nią spojrzawszy; miało to pewnie oznaczać naganę za mieszanie się między niego i jego ludzi.

- Nie - wtrącił się Gustave rozdrażnionym tonem. - Ona nie zrobiła nic, poza słuchaniem paplaniny, którą ja sam zacząłem.

- Bawisz się w obronę niewinątek, Gustave? Jeśli chciałeś wziąć na siebie całą winę, to nic z tego, na nic twoje starania.

Książę ruszył w stronę schodów. Angelinę dał znak ręką, by poszła przed nim. W pokoju zdjął tunikę i rzucił ją na łóżko. Następnie rozpiął rękawy koszuli, podwinął je, z dzbanka nalał wody do miednicy, umył ręce i z twarzy spłukał kurz, jaki osiadł podczas jazdy. Wziął ręcznik ze stojaka i obrócił się do Angelinę.

- Czy było potrzebne to zawracanie głowy Gustave'owi?

- Dziwne pytanie - odpowiedziała i podeszła do okna; przyglądała się ludziom pojącym konie. - Nie mogę potwierdzić zarzutu, bo jest nieprawdziwy. Ale jeśli powiem, że nie, to przyznam się, że to robiłam.

- Więc mam to przyjąć jako zaprzeczenie?

- Jak pan sobie życzy.

- Będzie mi przyjemnie - rzekł z jedną ręką opartą na biodrze, a drugą na parapecie okna - dowiedzieć się, dlaczego tak się o mnie wypytyjesz.

Spojrzała na niego ukradkiem, świadoma jego bliskości, ciepła, zapachu zmieszanego z ledwo wyczuwalnym zapachem konia.

- Usiłowałam dowiedzieć się, czyim jestem więźniem.
- Na to był prosty sposób: spytać mnie.

Udała zdziwienie.

- Powiedziałyby pan to, co dla pana najwygodniejsze. A ja miałabym temu ufać?

- To już sprawa twojej umiejętności rozpoznawania prawdy. Każdy jest czymś obarczony - im szybciej zrzuci z siebie ciężar, tym lepiej.

- Więc sprawa zaufania nie gra tu roli? I odmawia mi pan prawa wyboru źródła wiadomości?

- To już mój przywilej.

Popatrzyła na niego przez chwilę, a potem się uśmiechnęła.

- Sądząc po pańskim roztargnieniu, Wasza Wysokość, dzisiejsze popołudnie nie było zbyt udane?

Nawet nie zwrócił uwagi na tę uszczypliwość.

- Już drugi raz okazałaś się nieposłuszna, używając mojego tytułu. Widzę, że potrzebujesz mocnej ręki. Od tej chwili każdą taką niesubordynację będę traktował jako wyzwanie...

Znaczenie tej groźby stało się aż nadto jasne, kiedy sprytnie chwycił i rozwiązał opaskę przy jej tunice. Uniosła rękę, oparła o jego pierś. Poczuła ciepło jego skóry przez cienką koszulę.

- Nie... nie powiem... nie teraz...

- Wiem, że nie powinienem teraz, ale... ale twój widok, takiej staromodnej, takiej odważnej, powoduje, że zapominam o moralności...

- I łamiesz mój opór?

- Nie, nie. Ja go ratuję!

Ujął delikatnie jej ramiona i popatrzył w szarozielone oczy. Wargami poczuł ciepły aksamit jej rozchylnych ust.



Jak na zwyczaj St. Martinville, obiad był spóźniony.

Płomienie świec w czarnych żelaznych kandelabrach, zawieszonych nisko nad stołem, pełgały w lekkim przewiewie panującym w hallu. Do odległych rogów pomieszczenia światło nie docierało i panował tam mrok. Po suficie tańczyły różnokształtne cienie. W otwartym kominku paliła się ogromna szczapa. Białe płomienie wydobywały z ciemności skupione twarze zgromadzonych wokół stołu mężczyzn, ostro, w kolorze czerwonym, pomarańczowym i niebieskim, rysując ich kontury.

Rolfe, z podświetlonymi na czerwono i złoto włosami, z kieliszkiem brandy przed sobą, siedział u szczytu stołu. Po jego prawej ręce, w zbluzowanej tunice i perkalowej spódniczce, sztywno i z godnością, siedziała Angelinę. Została oficjalnie przedstawiona siedzącym przy stole mężczyznom. Najpierw Leopoldowi, czar nowłosemu, o hardym wyglądzie, siedzącemu po lewej ręce Rolfe'a. Wielkiemu, spokojnemu Meyerowi, siedzącemu za Leopoldem. Również Oswaldowi, jednemu z bliźniaków o jasnobrązowych włosach, orzechowych oczach i zmysłowych ustach. Także Gustave'owi, który siedział naprzeciwko Oswalda: jemu Angelinę posłała króciutki uśmiech, gdy siadała przy stole. Skinął jej głową, skrępowany, ale z błyskiem w nie przysłoniętym oku. Na koniec Oscarowi, drugiemu z bliźniaków, spokojnemu i bardziej opanowanemu niż brat.

Na spóźniony obiad była zupa z żółwia, dwa dania z ryb, comber z sarny oraz zapiekanka z gołąbki. Do tego wytrawna malaga i bordeaux. Na deser - owoce konserwowe w zalewie likierowej, sery, orzechy i świeże jabłka. Brandy podano na sam koniec posiłku.

Chociaż w Luizjanie nie było zwyczaju, by kobiety z chwilą pojawienia się brandy na stole wstawały od obiadu, Angelinę, wiedząc, że tak jest w wielu krajach europejskich, chciała odejść. Rolfe na to nie pozwolił. Siedziała więc przy stole, dłubiąc w miseczce z rodzynkami i bawiąc się kieliszkiem wina. Głosy mężczyzn stawały się coraz głośniejsze, żywsze były gesty - wynik - jak sądziła, wypitego alkoholu oraz napięcia i zmęczenia ostatnimi wydarzeniami. By zagłuszyć podświadomy niepokój, często chwyтали kieliszki, tak że opowieść o wyścigu dojnej krowy z wielbłądem została tak poplątana, że pewnie sam Leopold, który ją opowiadał, nie wiedział, jak się skończyła.

Oswald odchylił się do tyłu i kolebał na tylnych nogach krzesła, z kolanem opartym o kant stołu.

- Jeśli już mówicie o krowach, to widziałem dzisiaj piękny obrazek, który skojarzył mi się z podążającym do domu stadem. Zakonnica prowadziła grupkę dorastających panienek, wszystkie ubrane na biało, w fartuszkach, z włosami splecionymi w warkocze opuszczone na plecy. Kiedy tak szły, *religieuse* nadawała rytm marszu srebrnym dzwonkiem.

- Zachwycający obrazek. I dorastające dziewczyny, powiadasz? Wiadomo, dlaczego przyciągnął twoją uwagę - rzekł drugi z bliźniaków.

Oscar, ten spokojniejszy, przyniósł do stołu gitarę pokrytą przedziwnymi romańskimi znakami i teraz stroił ją, wybijając cichy rytm w trakcie rozmowy.

Oswald westchnął ostentacyjnie.

- To było bardzo przygnębiające oglądać taki sznur panienek na wydaniu, nietkniętych i pieczołowicie strzeżonych.

Gustave odchrząknął głośno, jakby piła zazgrzytała, i spojrzął w stronę Angelinę. Oswald, speszony, zamilknął i tylko rumieniec wystąpił mu na policzki.

Rolfe przerwał obserwowanie swojego kieliszka.

- Jest tu w pobliżu jakiś klasztor?

- Klasztor, jako taki, nie. Istnieje niewielka szkoła przyklasztorna prowadzona przez trzy siostry miłosierdzia.

- Mam nadzieję, że tego nie przeoczyłeś?

Słowa zabrzmiały dość zgryźliwie. Toteż łatwo można było zauważyć, że Oswald ucieszył się, mogąc odparować zarzut.

- Nie. Sprawdziłem najlepiej, jak można było bez wzbudzania podejrzeń. Jest to niewielki konwent z dwudziestoma, może trzydziestoma dziewczętami, przy czym większość z nich mieszka tam przez cały okres zimowy. Został założony przez którąś z tutejszych dziedziczek w wyniku ślubu, jaki złożyła, kiedy zachorowała jej najmłodsza córka. Młoda dama, z którą rozmawiałem, czarująca dziewczyna, która zatrzymała się na drodze, by zawiązać sznurowadło przy buciku, dokładnie w momencie gdy ja musiałem zsiąść z konia i dociągnąć popręg, powiedziała, że jedynymi dorosłymi osobami w konwencie są trzy zakonnice, które jednocześnie są nauczycielkami. Nie ma żadnych nowych pensjonarek, a ostatnio żadne dorosłe panie, powyżej dwudziestu lat, nie przychodziły w odwiedziny.

- Nie bardzo potrafię sobie wyobrazić pannę de Buys w szkole klasztornej - powiedział Meyer; blizna, jaką miał w kąciku ust, zginęła, gdy to mówił ze śmiechem.

Rolfe nagle odwrócił się do Angelinę.

- A co ty byś powiedziała o takiej możliwości?

Spodziewała się podobnego pytania.

- Co mogę powiedzieć? Jeśli uznasz, że Claire może tam być, zbadasz to dokładniej. Jeśli nie, to nie. Powiem ci tylko, że takie uświęcone miejsca raczej nie służą za kryjówki.

- Nie mam takich doświadczeń, ale zobaczymy - powiedział, przymykając oczy. - Znasz tę szkołę?

- Uczęszczałam tam od dwunastego roku życia do ostatniego czasu.

Uśmiechnął się ironicznie na jej rozmyślne utożsamienie się z niewinnymi uczennicami szkoły.

Przesłuchanie na tym się nie skończyło. Mężczyźni, jeden po drugim, składali raporty, opisywali teren, który przemierzali, i ludzi, z którymi rozmawiali: starców na rogach ulic, stare kobiety zbierające mech do wypełniania sienników, chłopca prowadzącego do domu zbłąkaną krowę. Jeździli w dół zlewiska, rozmawiali z mieszkańcami przedmieścia, ze służącymi jadącymi na zakupy do miasta, a nawet z miejscowym proboszczem z kaplicy poświęconej świętemu Marcinowi z Tours.

Gustave, po swojej „służbie wartowniczej” na miejscu, nie miał nic do relacjonowania. Wziął z koszyka jabłko. A ponieważ owoce były misternie ułożone w piramidkę, jedno spadło i potoczyło się po obrusie. Jednooki wziął je do ręki, podrzucił do góry, a trzymane w ręku włożył do ust i zmiażdżył w dużych, białych zębach. Po chwili odrzucił ogryzek i wziął następne z koszyka, po czym zaczął oba przerzucać z ręki do ręki. Latające w powietrzu złotobrazowe owoce, tworzyły błyszczący okrąg w świetle ognia. Spojrzał w stronę koszyka, chwycił trzecie jabłko i puścił je w obieg, podrzucając wszystkie coraz wyżej. Pochłonięty zabawą nie zwracał uwagi na żelazny kandelabr nad głową z połsetką świec. W chwili gdy chytał podrzucone jabłko, uderzył ręką w obejmę świecy i roztopiony wosk strumieniem polał się na obrus.

Gustave zaklął, chwycił spadający ogarek i wytrącone z obiegu jabłko i jedno, i drugie włączył ponownie do zabawy.

Siedzący przy stole nagrodzili to rześzystymi oklaskami, Oswald ze śmiechem skoczył na równe nogi, chwycił jabłko i rzucił pod sufit. Zatoczyło łuk i wpadło do koszyka. Znajdujące się w nim owoce potoczyły się po całym stole. Po chwili pojawiły się w powietrzu nad stołem, rzucane z niebywałą precyzją. Żelazny kandelabr rozkołysał się uderzany ze wszystkich stron. Jedna ze świec poleciała w dół. Za nią, z sykiem i ogonami dymu, zaczęły lecieć następne, niczym spadające gwiazdy.

To była niewybredna zabawa, pełna śmiechu i głośnych krzyków, rozgrywająca się na oczach bóstw wymalowanych na suficie.

Tylko Rolfe siedział z boku zapatrzony w ogień.

Oscar bez przekonania protestował przeciwko takiej zabawie, uchylając się odruchowo przed lecącymi w jego kierunku jabłkami. Zdawał się nie dostrzegać rozgardiaszu wokół siebie, starając się wydobyć z gitary jakieś akordy. Angelinę z półuśmiechem obserwowała całą zabawę. Zastanawiała się, jak długo to potrwa.

W momencie największego wychylenia się kandelabra Leopold trafił go jabłkiem z ukosa. Pół tuzina palących się świec poleciało na obrus prosto na napełnione brandy kieliszki. Ostry zapach trunku przeniknął powietrze. Jednocześnie na stole zatańczyły bladoniebieskie ogniki płonącego alkoholu. Kłęb dymu z palącego się obrusa i brandy uniósł się nad stołem. W następnej chwili Oscar zauważył płomień między strunami gitary i zaraz potem poczuł je na palcach. Z przekleństwem zerwał się ze swego miejsca i uderzeniami dłoni zaczął gasić ogień.

Leopold śmiał się. Śmiech miał przyjemne brzmienie, ale można było w nim wyczuć również fałszywe nuty.

Oswald, drugi z bliźniaków, jabłkami i dopalającymi się świecami zaczął rzucać w czarnowłosego kuzyna księcia. Rozbawienie zniknęło z oczu Leopolda. Uderzenia odbijał w stronę Gustave'a, który z kolei kierował je na Meyera. Ten, broniąc się, rzucał je w stronę obu bliźniaków.

Zabawa niespodziewanie przyjęła zły obrót: zmieniała się w wojnę. W powietrzu coraz ostrzej fruwały jabłka i świece, a każdemu rzutowi towarzyszyła chęć sprawienia bólu trafionemu. Angelinę odsunęła się ze swoim krzesłem tak, że znalazła się poza zasięgiem zabawy. Nie mogła jednak oderwać od niej oczu. Rosnąca zaciętość walki powodowała, że włosy zjeżyły się jej na głowie.

Wtedy od szczytu stołu dał się słyszeć odgłos odsuwanego krzesła. To Rolfe podniósł się ze swego miejsca. Podeszedł w stronę kominka. Kątem oka Angelinę zauważyła, że ukląkł przy ogniu, jakby chciał ogrzać ręce. Zaraz jednak wstał, trzymając w gołych rękach płonące główne. Powietrze napełnił dym i snopy iskier. Rzucił płonące szczapy prosto w bawiących się mężczyzn. Chwycił je odruchowo pierwszy z brzegu, lecz zaraz, z okrzykiem bólu, odrzucił dalej do następnego. Świece i jabłka padały na podłogę, w miarę jak płonące główne leciały z rąk do rąk i po kolei wracały do księcia. Ten wrzucał je z powrotem do ogniska, aż żar rozpryskiwał się wokoło. Na podłogę leciały rozpalone węgielki, a jeden padł aż pod stopy Angelinę; błysnął jaśniejszą czerwienią i zgasł, pozostawiając po sobie warkoczek dymu.

Rolfe położył ręce na oparciu krzesła.

- Koniec na dzisiejszy wieczór, dzieciaki - rzekł. - Pojeździliśmy przed południem ostro i teraz musicie odpocząć. Weźcie po ogarku, by sobie oświecić samotną drogę do łóżka.

Stali sztywno, jak posągi, spoglądając wzajemnie po sobie. Wosk kapał na podłogę z leżących na skraju stołu ogarków. Na kominku trzaskał ogień. Nagle ktoś wybuchnął śmiechem. Ktoś mu zawtórował. Zadudnił głos Gustave'a. Potrząsając głowami, klepiąc się wzajemnie po plecach, rozcierając przypalone dłonie, podnosząc przewracane, niedopite kieliszki brandy do ust z nadzieją, że coś w nich jeszcze jest, mężczyźni ruszyli w ustalonym porządku do swoich pokoi. To bezwzględne posłuszeństwo było najbardziej zadziwiającym wydarzeniem tego wieczoru.

Wszystko zaczęło się i skończyło tak szybko, że ostatni niebieskawy płomyk palącej się brandy zgasł razem z zanikiem odgłosu kroków... Przyglądając się pobjowisku na stole, Angelinę poczuła wdzięczność, natychmiast zresztą stłumioną, dla tego człowieka, który jednym gestem zakończył cały ten kram.

- Co za bałagan - powiedziała tylko.

- Sarus sobie z tym poradzi. Zostawmy mu to.

Podszedł do szczytu stołu, wziął swój kieliszek z brandy oraz karafkę stojącą obok. Nawet nie drgnął, kiedy jej ostry kant wbił mu się w przypalone palce.

- Zraniłeś się i nie rób sobie z tego okazji do żartów - rzekła podniesionym głosem. - Co cię do tego podkusiło?

- Walczące psy rozdziela się polewając je wodą. Nie miałem jej pod ręką.

Opuścił złociste rzęsy tak, że nic nie mogła wyczytać z jego oczu.

- To nie były psy. To ludzie - rzekła.

- Jak wolisz. Ale to są ludzie walki, wyszkoleni i przygotowani do działania. Jego cel, nie przedmiot, jest dla nich ważny. Są ludźmi czynu, raz zmuszanymi do bezczynności, raz do wysiłków na skraju ludzkiej wytrzymałości w nie kończących się wędrówkach w celach, które nie są ich celami. Poszukują ujścia dla

skrępowanej energii i nie mają, poza sobą wzajemnie, gdzie jej wyładować.

- Na takie zabawy nie możesz pozwalać.

- Nie mogę pozwalać na walkę pomiędzy nimi. Nie czas na to.

- Nie mogłeś im tego po prostu zabronić? - spytała, pewna, że tak byłoby najrozsądniej.

- Z jakim skutkiem? - niecierpliwie wzruszył ramionami. - Posłuszeństwo kosztem niechęci, tłumionego gniewu i podejrzania o faworyzowanie, bo zareagowałem dopiero w momencie, gdy do całej hecy wciągnięty został Oscar? Musisz się, Angelinę, jeszcze długo uczyć, zanim zaczniesz mi udzielać mądrych rad, jak mam postępować z moimi ludźmi.

Uszczypliwość ukryta w ostatnim zdaniu spowodowała, że rumieniec wystąpił jej na twarz. Zaciśnęła usta. Ręce złożyła na piersiach.

- Macie tu jakąś maść, coś, czym można by opatrzyć ci ręce?

- Nie trzeba.

- Trzeba ze względu na zakażenie. W tutejszym klimacie bardzo o to łatwo.

Spojrzał na nią z niebieskim błyskiem w oczach.

- Mówię ci, że to nie jest potrzebne.

- Utwierdzasz mnie w przekonaniu - powiedziała podnosząc wysoko głowę - że wypiłeś tyle, iż nie odczuwasz bólu.

- A dasz się również utwierdzić w przekonaniu, że zrobiłem to rozmyślnie i że ten stan potrwa dłużej?

- Jeśli tak sobie życzysz? To naprawdę mnie nie interesuje. Jak, gdzie i kiedy umrzesz, to już wyłącznie twoja sprawa.

- A jeśli byłoby to zejście w męczarniach, myślę, że takim przedstawieniem bardzo byś się ubawiła - powiedział z lekkim uśmiechem i ręką, w której trzymał karafkę, dał jej znak, by weszła przed nim na schody.

- Bardzo odkrywcz.

Ruszyła przed nim.

Pomimo tej sprzeczki Angelinę jasno zdawała sobie sprawę z tego, że idzie do sypialni, którą będzie z nim dzieliła. Jego równy chód tuż za nią, gdy wchodzili po schodach w panujący u góry mrok, przejmował ją dziwnym dreszczem. Głupie wydało się jej wypowiedzianie słów takich jak przed chwilą, w perspektywie tego, czego może zechcieć od niej, gdy będą przez całą noc zamknięci w sypialni.

Wzdrygnęła się, gdy ją wyprzedził, by otworzyć drzwi, tak samo - gdy je za nimi zatrzasnął.

Łóżko było zasłane. Światło od roznieconego ognia padało na pokój. Kilka świec płonęło na stojącym na środku pokoju stole. W smudze światła leżało kilka lnianych bandaży, buteleczka spirytusu kamforowego oraz pudełko maści. Angelinę najpierw obejrzała leżące medykamenty, a dopiero potem, zdziwiona, spojrzała na Rolfe'a.

- Sarus wydaje się służącym doskonałym: spokojny, sprawny, dobry kucharz, potrafi przewidzieć twoje potrzeby, a zapewne i życzenia...

- Swego czasu dostał dobrą szkołę.

- Gdyby robił coś nie tak, na pewno byś tego nie tolerował. A czy coś cię cieszy?

- W przeszłości nic mnie nie cieszyło. Teraz zaczynam się zastanawiać - rzekł i nie dając jej czasu na zastanowienie się nad znaczeniem tych słów, ciągnął zaraz dalej: - Czy sprawi ci przyjemność opatrzyć mi rany, czy raczej zabawisz się w siostrę miłosierdzia, strzępiącą sobie język nad krnąbrnym chłopcem, który w pojęciu większości kobiet tkwi w każdym mężczyźnie? W obu przypadkach jestem do twojej dyspozycji.

Postawił karafkę na stole, kieliszek obok. Siadł swobodnie, oparł się na łokciach i wyciągnął ręce wewnętrzną stroną dłoni do góry. Światło świec pełgało

po jego twarzy, wydobywając z cienia układ kości policzkowych, podkreślając zmarszczki, pozostawiając oczy w głębokim cieniu.

Jego całkowita zmiana frontu zbiła ją z tropu. Przyglądała mu się przez dłuższą chwilę. Jakie miał zamiary? Poznała go już na tyle, by wiedzieć, że niczego nie robi bez określonego celu.

- Śmiało - zachęcił ją cicho. - Chyba że opatrywanie moich ran straciło już dla ciebie urok?

Słowa były wystarczająco jasne. Dlaczego wyczuła w nich groźbę, nie mogłaby powiedzieć, ale tak było. Przebycie kilku kroków, które ich dzieliło, wymagało od niej takiego wysiłku woli, jakiego nigdy dotąd nie musiała podejmować. Podnieść szarpie, zanurzyć je w kamforze, ułożyć na jego dłoniach i jeszcze potem delikatnie opuszkami palców wyrównać zagięcia, było jeszcze trudniejsze. Siedział w całkowitej ciszy. Patrzył nie na to, co ona robi, ale w jej twarz. Zanurzyła następny kawałek płótna i położyła na drugiej dłoni: chłodzące działanie kamfory powinno uśmierzyć ból. Jeśli jednak mimo to go czuł - nie dał tego po sobie poznać.

Pachnącymi kamforą dłońmi ujęła pudełko z maścią i otworzyła je. Zawartość była jasnorożowa, pachniała delikatnie olejkiem różanym i jakimiś składnikami, których nie potrafiłaby określić. Dotknęła maści i stwierdziła, że jest ni to oleista, ni to sproszkowana. Wyglądała na masę powstałą z wymieszania różnych ziół leczniczych.

Unikając jego spojrzenia, koncentrując się na czynności, którą miała wykonać, znurzyła koniec palca w maści. Spojrzała na jego zastygłe rysy twarzy, na ślady pozostawione przez jej paznokcie. Nie poruszył się, choć pod palcami wyczuła, jak napina mięśnie. Coś ścisnęło ją w piersi. Opadło jej pasemko włosów i końcem przesuwano się wzdłuż jego ramienia. Odrzuciła je

szybkim ruchem głowy. Dotknęła przy tym kolanem jego uda, co pogłębiło jej zakłopotanie. Nie mogła jednak dłużej zwlekać. Nabrała ponownie maści i przyjrzała się oparzelinom. Nałożyła na nie grubą warstwę. Na jego dłoni i palcach odkryła odciski i zgrubienia, jak u kogoś, kto często używa mięśni do pracy i nie unika ćwiczeń. Odciski na dłoniach były czymś, co kłóciło się z jej wyobrażeniami o Rolfie jako o lekkoduchu i hulace. To te odciski sprawiły, że rany nie były tak groźne, jak z początku myślała. Niemniej w środku dłoni oraz między kciukiem i palcem wskazującym były brzydkie blizny. Z największą ostrożnością obwiązała je bandażem, a końcem zawiązała w płaski węzeł na wierzchu dłoni.

Z nieruchomą twarzą wzięła pokrywkę pudełka z maścią, zamknęła je, zakorkowała buteleczkę z olejkiem kamforowym, obróciła się i chciała odejść, ale Rolf stanął i zamknął jej drogę. Chwycił ją za ramiona. Uchwyt był silny, ale nie na tyle, by nie mogła się obrócić. Zdała sobie jednak sprawę, że obracając się sprawiłaby mu ból. Stała więc cicho, wstrzymując oddech w piersiach. Wolno uniosła powieki.

- Miałem rację - powiedział powoli. - Nie potrafisz zadać bólu, choćbyś nawet chciała. Zwalczyłać pokusę, by sprawić mi cierpienie, mając ku temu doskonałą okazję. Powstaje więc pytanie, czy spotkawszy się z taką delikatnością z twojej strony, będę miał dość siły, by powstrzymać się od jej wykorzystania. Odpowiedź, niestety, brzmi: nie.

Przyciągnął ją bliżej do siebie, zbliżył usta do jej ust. Pocałunek miał smak brandy i pożądania i jeszcze czegoś - gwałtownej potrzeby zapomnienia bolesnych wspomnień. Jego ramiona były ciepłe i opiekuńcze. To doznanie w połączeniu z bliskością całego jego ciała odbierało jej wolę oporu. Ustami dotknął jej policzków, kaskady kasztanowych włosów, delikatnego kształtu szyi. Z westchnieniem rozchyliła wargi, oparła się

o niego, uspokojona, poddająca się jego objęciom. Zmysły nabierały mocy, rozbudzane delikatnym naporem nieznanymi dotąd uczuć. Nawet nie zauważyła, kiedy podeszli do łóżka. Już się nie opierała.

Drugiego dnia zmieniono przy Angelinę strażnika. Teraz pilnował jej Oscar. Pozostali penetrowali okolicę w poszukiwaniu Claire. Oscar siedział z gitarą, przebiegał palcami po strunach, wydobywając z nich delikatne i tęskne melodie. Pilnował jej znacznie mniej dyskretnie niż Gustave. Kiedy wszyscy wyjechali, siedział pod jej drzwiami na schodach i nie odstępował jej na krok, jeśli opuszczała pokój. Kiedy przemierzała hall, wodził za nią wzrokiem, kiedy podchodziła do okna, zbliżał się i stawał obok. Kiedy słońce rozproszyło poranną mgłę, a Angelinę wyraziła chęć wyjścia na spacer, szedł tuż obok, czujny, choć nie narzucający się.

Podczas spaceru rozważała możliwość ucieczki. Jeśli spróbuje tego na otwartej przestrzeni - Oscar zaraz ją dogoni i zatrzyma. Jeśli pod jakimkolwiek pozorem spróbuje odejść na ustronie, pewnie będzie się rumienił, ale pójdzie za nią.

Ze swoim bratem bliźniakiem był jednym z młodszych członków gwardii księcia. Z natury nie był rozmowny i na jej próby nawiązania konwersacji odpowiadał monosylabami. Trwało to do momentu, kiedy podeszli do płataniny winorośli zwisających nad drogą. Zachwycony niezwykłym widokiem, zarzucił Angelinę pytaniami: kiedy kwitnie winorośl, kiedy owocuje, jak wyglądają grona, jaki mają smak. Potem poszli dalej, w stronę dębiny podchodzącej pod samą drogę. Zachwycał się zielonością liści mimo zimowej pory, dopytywał się, jaki wiek mają drzewa i do jakiej wysokości dorastają.

W trakcie spaceru Angelinę pokazywała mu różowe, czerwone i białe dęby, klony błotne, magnolie i krzewy laurowe. Zwracała uwagę na dzikie azalie z napęczniałymi pąkami, które wkrótce pękną i zakwitną, na zielone pędy dzikiej jagody, na zarośla czarnych jeżyn. Wszystkiego tego nauczyła ją matka Teresa, zapalona amatorka spacerów, podczas których zapoznawała dziewczęta z bogactwem flory i fauny Nowego Świata, niespotykanej na suchych i jałowych polach Hiszpanii, skąd pochodziła.

Temat rozmowy powoli się wyczerpywał. Szczęśliwie, wzmianką o napojach, jakie ze sfermentowanych owoców przygotowują Akadowie, mieszkańcy przedmieść St. Martinville, skierowała uwagę Oscara w nieco innym kierunku.

Akadowie byli francuskojęzycznymi mieszkańcami Nowej Szkocji, zmuszonymi przez Anglików w połowie ubiegłego stulecia do opuszczenia swoich terenów. Po wielu latach tułaczki dotarli do Luizjany, gdzie znaleźli się wśród ludzi mówiących tym samym językiem, wyznających tę samą wiarę i mających podobne zwyczaje. Pracując ciężko, a równocześnie z miłością i oddaniem, osiedlali się wzdłuż zlewiska, tworząc warunki życia podobne do tych, jakie mieli na dawnej ziemi. Uprawiali ziemię, hodowali bydło, nie stronili od polowania, traperstwa i rybołówstwa. St. Martinville stało się centrum Akadów. Byli wieśniakami, więc rzadko obracali się w tych samych kręgach co plantatorzy La Petite Paris, chociaż nie zawsze tak było. Madame Delacroix, na przykład, która przed dwoma dniami wydawała przyjęcie, była z pochodzenia Akadyjką i bardzo się tym chlubiła. Tłumy Akadów w mieście, podążających na mszę świętą, stojących na rogach ulic, dyskutujących i gestykulujących, jadących całymi wielkimi rodzinami na targ, stanowiły imponujący widok. Na wozach rozsiadały się wymyte, wystrojone dzieciaki, zadziorni,

rozkodani, wąsaci ojcowie, pulchne mamy, babcie w odświętnych czarnych spódnicach, w białych zawiązanych pod brodą czepeczkach, w obszernych, białych fartuchach, na których zwykle spoczywały najmłodsze,; czarnookie wnuczeta.

Chociaż Oscar chętnie wybrał się na daleki spacer, poczuł się lepiej, kiedy zawrócili w stronę domu: tu nie musiał już jej tak nieustannie pilnować.

Rolfe wrócił przed innymi i sam. Nie uszło jego uwagi, że Oscar, pochłonięty rozmową z Angeliną o polowaniu na bekasy, sprawiał wrażenie niezadowolonego, że zostaje zdjęty z posterunku. W głosie Rolfe'a zabrzmiała jakaś ostra nutka, kiedy wydawał Oscarowi nowe polecenie, a gdy zauważył, z jakim ociąganiem się oddalił, skrzywił się z niezadowoleniem.

Do Angelinę Rolfe nie odezwał się słowem, ale sposób, w jaki prowadził ją w górę schodów, jak zamawiał sherry dla siebie i herbatę dla niej, sprawił, iż poczuła wyraźniej niż kiedykolwiek przedtem, że jest tu więźniem.

Napłynęły chmury i zaczęło się ściemniać. Okazało się, że Rolfe wrócił przed pozostałymi z powodu korespondencji, którą musiał pilnie załatwić. Z karafką sherry i świecznikiem siadł przy sekretarzyku i zaczął pisać zaostrzonym gęsim piórem.

Angelinę siedziała przy ogniu, popijała herbatę, dłubała widelczykiem w kawałku ciasta i od czasu do czasu spoglądała w kierunku piszącego. Nie było zimno; w powietrzu czuło się wiosenne ciepło.

Wstała i podeszła do okna, zapatrzyła się w bladoniebieski półmrok. Co robi teraz Claire? - pomyślała. Pewnie je niewyszukaną kolację składającą się z chleba, sera i mleka, jako że w klasztorze główny posiłek spożywano w południe. Czy wiedziała, co przydarzyło się kuzynce? Czy się tym przejmowała?

Obróciła się, usłyszawszy jakiś szelest za plecami. Rolfe siedział oparty na łokciach, czyszcząc czubek

gęsiego pióra. Zauważyła w jego oczach dziwny błysk, który ją zaniepokoił.

Nie zastanawiając się, zapytała:

- Jak długo masz zamiar mnie tu trzymać?

Odpowiedział nie od razu.

- Aż wyrocznia przemówi.

- Nie mogę ci powiedzieć tego, co byś chciał usłyszeć.

- W takim razie znajdujesz się w matni na własne życzenie. Klucz do wyjścia z niej masz w ręku. Możesz go użyć albo nie. Wszystko zależy od ciebie.

Na tę przewrotną odmowę aż się w niej zagotowało. Palce zacisnęła w pięści, paznokcie wbiła w dłonie, byle tylko opanować wzburzenie.

- Jeśli muszę tu pozostawać, to może są chociaż jakieś książki, bym miała się czym zająć?

- Na ile znam pana de la Chaise, nie sądzę, aby tu były.

- Ty, rzecz jasna, nie miałeś czasu dorzucić czegoś takiego do swojego bagażu.

- Łaciński traktat o kampanii Aleksandra Wielkiego, w języku niemieckim opracowanie gatunków botanicznych występujących w dorzeczu Amazonki i tom poezji w sanskrycie, cudowny, ale dość frywolny. Jeśli znasz któryś z tych trzech języków, możesz śmiało korzystać z mojej biblioteki.

- Dziękuję - powiedziała oschłym tonem. - Kampania Aleksandra Wielkiego zajmie mi kilka godzin.

Oczy Rolfe'a rozjaśniły się. Gestem wskazał szafę. Nie skorzystała jednak z tak beztrósko udzielonego pozwolenia.

- Jest jeszcze jedna przyziemna sprawa, na którą muszę ci zwrócić uwagę: nie mogę całymi dniami chodzić w tym samym ubraniu.

- Sarus ci przepierze twoje szatki - odparł bez specjalnego zainteresowania.

- Wiem. I potrafi to robić. Ale moje ubranie się rwie i niedługo będzie w strzępach.

- Rozwiązanie narzuca się samo.

Spojrzała na jego pochyloną głowę.

- Mnie nie.

- Masz wolny dostęp do mojej biblioteki. Teraz rozszerzam to pozwolenie na szafę, z której już i tak korzystasz. Czego chcesz jeszcze?

- Twoja... - zaczęła i spojrzała na tunikę, którą miała na sobie. - Sarus mi to dał. Myślałam... myślałam, że to jego.

- Nie, nie. W jego bluzie mogłabyś sprzątać, gdybyś mocno przewiązała ją sznurkiem...

Drżącymi palcami zaczęła rozwiązywać węzeł przepaski.

- Nie chcę tego.

- Nie? - spytał z rozbawieniem. - Proponujesz cię kawę rozwiązanie.

Przestała szarpać się z węzłem, więc mówił dalej:

- Rozwahałem możliwość, by na czas mojej nieobecności zostawiać cię tu nago...

- Ty... Co?! - krzyknęła.

- Zarzuciłem tę myśl z powodów praktycznych. Pierwszym czynnikiem była pogoda. Zdrowy więzień sprawia mniej kłopotów niż chory i przeziębiony. Drugim czynnikiem byłby wpływ twojego... hm... wyglądu... na moich ludzi. Już sam fakt, że tu jesteś, że ze słodkim uśmiechem i gracją poruszasz się między nimi, choć poza ich zasięgiem, podnieca ich. Dalsze prowokowanie losu mogłoby wywołać bunt. Tak myślałem. Tak zresztą było, zanim zauważyłem, że chcesz pomóc...

- Wiesz bardzo dobrze - zaczęła, ale zaraz urwała.

Wiedziała: chciał jej uświadomić dwuznaczność jej obecnej sytuacji i stan zagrożenia, w jakim się znajduje. To mu się udało, chociaż starała się tego po sobie nie pokazać.

Zwilżyła wargi językiem.

- Nie sędzę, by któraś z twoich tunik mogła mi służyć za ubranie. Zauważyłam, że zmysły mężczyzn mogą zostać pobudzone przez znacznie słabsze podniety niż ta...

- Masz zupełną rację - powiedział pospiesznie i zbliżył się do niej. - Czasem jedno małe nagie miejsce - gdzieś w wyobraźni - zupełnie wystarcza...

Nie dowiedziała się, co chciał zrobić, gdyż w momencie gdy podszedł do okna, całą jego uwagę pochłonęły dwie postacie wynurzające się zza drzew. Rozpoznał obie natychmiast. Pochwycił Angelinę za ramię, odciągnął ją od okna, zanim miała czas coś zrobić, zanim sama rozpoznała zbliżających się jeźdźców.

Pierwszy jechał Meyer, drugi - Andre Delacroix.

Ro[^]d[^]iał

- VI -

Rolfe spojrzał na nią uważnie. Całe jego rozbawienie zniknęło zastąpione trzeźwym opanowaniem.

- Wydasz jeden głośniejszy dźwięk, krzyk, by zwrócić jego uwagę, a umieścisz go na marach, z liliami w złożonych rękach. Rozumiesz?

Patrzyła na niego bystrym, wyzywającym wzrokiem, wytrzymując natarczywe spojrzenie. Zrozumiała, że dla niego takie pojęcia, jak władza, honor, moralność, jeśli stają na drodze do osiągnięcia celu, nie istnieją. Jej głos był ledwo dosłyszalny, gdy powiedziała:

- Tak.

Popatrzył jeszcze na nią przez moment, potem szybko się obrócił i wyszedł z pokoju. Usłyszała, jak woła Sarusa. Nie wiedziała, czy służący miał pilnować jej drzwi, by uniemożliwić ucieczkę, czy może miał pomóc w stawieniu oporu intruzowi. Jeśli to drugie - to jakie szanse miał Andre przeciwko księciu, Meyerowi i Sarusowi?

Stała na środku pokoju ze złożonymi na piersi rękami. Dlaczego Andre przyjechał? Może ciotka, domyśliwszy się, gdzie ona jest, przysłała go tutaj? A może przyjechał z własnej inicjatywy, jako że jej zniknięcie łatwo można było skojarzyć z pobytem księcia w okolicy? Co mogą mu zrobić? Czy mogą go uwięzić, tak jak ją, do czasu, aż Rolfe dowie się wszystkiego, czego chce, albo zaprzestanie poszukiwań? A może uznają, że jest dla nich zagrożeniem i bez względu, jak się zachowa, zabiją go?

Podeszła do drzwi na palcach i zaczęła nasłuchiwać. Drzwi i ściany były jednak tak grube, że nie przepuszczały żadnych dźwięków. Powoli, wstrzymując oddech, nacisnęła klamkę i uchyliła drzwi.

Doszły ją słowa swobodnego powitania, śmiechy i dźwięk szkła, gdy podano napoje. Złudzenia przysły: Andre nie przyjechał tu po to, by ją ratować. Były to raczej przypadkowe odwiedziny, by pozdrowić królewskiego gościa. Rolfe wylewnie witał go na kawalerskim gospodarstwie.

Odeszła od drzwi. Pięknie wykrojone usta zniekształcił bolesny grymas, a oczy pociemniały. Jakaż była głupia myśląc, że Andre ją wyratuje, że w ogóle ktoś będzie ją ratował. Aby ją oswobodzić, musiałaby przyjechać cała kawalkada z bliższego i dalszego sąsiedztwa. Lecz jeśli Andre, jej adorator, przyjeżdża tu w odwiedziny, przyjmuje poczęstunek, pije jego wino, może to znaczyć tylko jedno: nie wie, że ona tu jest, pewnie nawet nie dopuszcza takiej myśli.

Wniosek był jednoznaczny: jeśli chce uciec z niewoli od Rolfe'a, księcia Ruthenii, musi zrobić to sama.

Nie mogła narażać Andre na niebezpieczeństwo. Ale gdyby udało jej się samej wyjść z domu, niespostrzeżenie dotrzeć do określonego miejsca na drodze, a dopiero potem skorzystać z pomocy Andre... Mógłby ją wziąć na swego konia i odjechać, zanim jej nieobecność zostanie zauważona. Teraz, kiedy Rolfe zajęty jest obowiązkami gospodarza, a Sarus obsługuje gości, jest najlepszy czas.

Skoczyła do szafy, gdzie Sarus schował jej płaszcz, wzięła go, przewiesiła przez ramię i wróciła pod drzwi. Nie namyślając się wiele, zaczęła otwierać je cal po calu. Blask świec, palących się za jej plecami, rozjaśniał mrok w hallu. Nie było nikogo, nikt nie stał tu na straży. Otworzyła szerzej drzwi. Serce tłukło się jej w piersi. Ruszyła wolno przed siebie, ale zaraz przystanęła.

W hallu naprzeciwko schodów znajdowała się sypialnia Meyera. Drzwi były otwarte, a w środku panował półmrok. Na tle okna widniała sylwetka mężczyzny, wysoka i barczysta. Stał w rozkroku, z rękami założonymi na plecy. Wyglądał przez okno. Pewnie miał jej pilnować, ale w tym momencie trochę się zaniedbał. Pewnie pozory pogodzenia się z losem, jakie sprawiała, brak skarg czy gróźb, że ucieknie, spowodowały, że nie był dość czujny na posterunku. Mogła sobie pogratulować, że udało się jej uśpić jego czujność, chociaż cieszyć będzie się dopiero wtedy, gdy niespostrzeżenie uda się jej wymknąć z domu.

Zrobiła ostrożnie krok, potem drugi. Gdy posuwała się po perskim chodniku, któraś z desek zaskrzypiała. Stała z oczami utkwionymi w plecach stojącego mężczyzny. Zdawał się całkowicie zatopiony w rozmyślaniach. Nie poruszył się. Wstrzymując oddech, przytrzymując spódnicę, by nie wydawała żadnego szelestu, zrobiła kilka pospiesznych kroków, by jak najszybciej zniknąć mu z pola widzenia. Nie widząc żadnej reakcji z jego strony, posuwała się dalej przez hall w stronę zaplecza domu, tam, gdzie znajdowała się klatka schodowa dla służby. U jej podnóża paliło się światło. Pochodziło, jak zdołała się zorientować, od pojedynczej grubej świecy stojącej w pomieszczeniu przeznaczonym do chwilowego przechowywania potraw, by nie wystygły po przeniesieniu z kuchni, mieszczącej się w oddzielnym budynku. Tu również składano brudne naczynia przed wyniesieniem ich do mycia. Słyszała odgłosy jakiejś rozmowy. Zdawały się dochodzić od strony drzwi wejściowych, jak gdyby Andre, zatrzymany przez księcia, dopijał swój kieliszek i szykował się do wyjścia.

Gdzie mógł być Sarus? Jeśli był w kuchni, zajęty doglądaniem przygotowań do kolacji, a z dochodzących stamtąd zapachów można się było tego domyślać, mógł

ją zobaczyć, gdy będzie wychodziła z domu. Ale musiała podjąć to ryzyko.

Zeszła ze schodów, okrążyła słupek przy najniższym stopniu, ominęła stolik z marmurowym blatem. Połą płaszcz dotknęła srebrnej tacy ze stojącymi na niej szklankami. Pierwsza z brzegu zadzwięczała, a w ślad za nią następne. Wszystko jednak po chwili ucichło. Odetchnęła z ulgą.

Stała przy drzwiach. Nie dochodził tu żaden głos. Nacisnęła klamkę, przekroczyła próg i bardzo wolno zamknęła za sobą drzwi. Na palcach przemknęła przez galeryjkę trzymając płaszcz dokładnie owinięty wokół siebie. W kuchni paliło się światło, a przez otwarte drzwi widać było Sarusa, jak poruszał się po pomieszczeniu na tle ognia, nad którym wisiały garnki. Zrobiła kilka kroków i znalazła się poza zasięgiem jego wzroku.

Opadała lekka mgła, której delikatna wilgoć chłodziła rozpaloną skórę. Otaczała drzewa, powodując, że z gałęzi padały opaste krople. Płaszcz nasiąkał wodą, gdy przemykała się pod gałęziami.

Po jej prawej ręce, do połowy ukryte wśród drzew, stały stodoła i szopa. Jeśli tam dotrze, będzie mogła wziąć jednego z zapasowych koni. Umiała jeździć konno. Obie z Claire, jeszcze jako dziewczynki, pobierały lekcje jazdy, gdy tylko jej kuzynka sobie tego zażyczyła. Angelinę miała trochę wątpliwości, czy zdoła się utrzymać na koniu na oklep, ale nie miała czasu na zastanawianie się. Na podejściu usłyszała odgłos kroków - znak, że Andre wychodził. Rolfe w każdej chwili mógł zauważyć jej nieobecność i podnieść alarm. Nim to jednak nastąpi, ona musi przebyć las aż do zakrętu, gdzie Andre musi przejeżdżać. Musi tam dotrzeć.

- Hej! - zawołał ktoś tuż koło niej.

Odwróciła się i zobaczyła biało-niebieski mundur odcinający się na tle otwartych wrót stodoły. Po głosie domyśliła się, że to Leopold. Musiał tam pójść w czasie,

gdy ona pokonywała schody. Teraz stał i w zapadającym mroku wycierał sierść konia. Rzucił szczotkę i ruszył w jej kierunku. Angelinę podniosła wysoko spódnicę i rzuciła się do ucieczki.

Instynktownie skierowała się w stronę głównego wejścia i jeźdźca galopującego drogą, już niemal znikającego wśród drzew. Jechał wyprostowany, w kapeluszu przeciwdeszczowym na głowie, w opończy j okrywającej go razem z koniem, takiej, jakich kiedyś używali rycerze.

Zapominając o niebezpieczeństwie, zapominając o wszystkim, co stało na drodze do odzyskania wolności, nabrała powietrza w płuca, by krzyknąć.

Coś szarpnęło ją za połą płaszcza. Straciła równowagę, potknęła się o kępę dzikiej róży i jak długa padła na trawę. Leopold już klęczał obok niej. Szarpnęła się, spróbowała usiąść, patrząc na niego w niemej rozpacz. Usłyszała zbliżające się kroki.

- Niewybredne zalecanki zdają się twoim fatum, słodka Angelinę - powiedział ksiązę.

- Nic z tych rzeczy - odparł ponuro Leopold. - Tę przyjemność zostawiam tobie.

- Strasznie się z tego cieszę. Ale w takim razie skąd się tu wzięłeś, baraszkując w trawie z moją... z moim więźniem?

- Ten twój więzień właśnie uciekał, podczas gdy ty zabawiałeś swego gościa. Udaremniłem jej ucieczkę.

- To bardzo ładnie ze strony Mademoiselle Fortin, że stworzyła ci okazję do zrehabilitowania się za to, jak dwa dni temu straciłeś ją z oczu. Zamiast jednak liczyć na moją wdzięczność, mógłbyś się chociaż przedstawić albo zająć się jej... skaleczeniami.

Złość minęła mu natychmiast. Spojrzał na Angelinę z wyrazem szczerzej troski.

- Skaleczyła się pani?

- Ależ skąd! - burknęła.

- Twoje szczęście! - rzekł z naciskiem książę, podając jednocześnie Angelinę rękę i pomagając jej wstać.

Rumieniec gniewu oblał twarz Leopolda.

- Jeśli to ma być groźba...

- Jak możesz tak myśleć! - zawołał Rolfe, nie patrząc na niego; całą uwagę poświęcał ocieraniu z twarzy Angelinę kropel osiadłej rosy i żdźbeł trawy.

- Łatwo się tego w twoich słowach dopatrzeć!

- Nie wysilaj swojej wyobraźni. Jeśli miałyby to być groźba, wiedziałbyś dokładnie.

Z dłońmi zaciśniętymi w pięści Leopold postąpił krok naprzód.

- Niech cię diabli, Rolfe. Przyjmujesz przysługi z mniejszą wdzięcznością niż ktokolwiek ze znanych mi ludzi.

- Mówisz o tym, że nie proszony dojechałeś aż tutaj?

- Mówię o tym, co wydarzyło się w tej chwili!

- Tak? A ja mówię o czym innym.

- W porządku - rzekł zrezygnowanym tonem Leopold. - Nie chciałeś, żebym tu przyjeżdżał, wiem, ale zaczynają mnie już męczyć te twoje zgryźliwe przycinki i to w sprawie, która jest równie dobrze twoja jak i moja.

- Czepiałeś się mojej wyprawy jak markietanka swojego sierżanta i jeszcze oczekujesz, że będę cię głąskał?

- Po równo w twoim, jak i moim interesie leży, by dowiedzieć się, kto zabił Maxa. W związku z jego śmiercią oraz chorobą twego ojca mówi się, że ja bym najwięcej skorzystał, gdyby tobie się coś przydarzyło. Nie wiesz o tym?

- Wiem, człowieku. Ale czy zastanowiłeś się nad tym, że będąc przy mnie w chwili, gdy ulegam nieszczęśliwemu wypadkowi, sam z siebie robisz kozła ofiarnego? Zupełnie co innego, gdybyś był w Ruthenii: ja ginę, a ciebie obwołują królem Leopoldem, ostatnim z naszej dynastii i to bez jakichkolwiek machinacji.

- Nie mam ochoty być królem zamiast ciebie. I zrobię wszystko, by to się nigdy nie stało.

Rolfe zaśmiał się głośno, aż echo poniosło w wilgotnym powietrzu.

- Ty i mój anioł stróż! Wzruszające!

- Możesz się śmiać, ile ci się podoba, możesz uważać mnie za głupka, mój książęcy kuzynie, ale ja cię nie opuszczę. Sam nie wrócę do Ruthenii.

Leopold obrócił się na pięcie i przez wilgotną trawę ruszył wyprostowany jak na defiladzie. Rolfe patrzył za nim ze ściągniętymi brwiami, jakby się nad czymś głęboko zastanawiał. Nagle chwycił Angelinę za rękę, położył jej dłoń na swoim ramieniu i z gracją poprowadził do domu.

Szła z nim raz dlatego, że nie miała innego wyjścia, a po wtóre - czuła jakiś przymus, który nie miał nic wspólnego z jego ciepłymi palcami dotykającymi jej ręki, ale było coś w tym człowieku, jakaś moc, jakaś siła przyciągania, która bez trudu przełamywała jej opór.

W całym zamieszaniu zupełnie zapomniała o Andre.

Kolacja upływała w milczeniu. Nie ulegało wątpliwości, że pozostali, chociaż zmęczeni i zziębnięci, zostali po powrocie powiadomieni o jej próbie ucieczki. Spoglądali to na Rolfe'a, to na nią, ze skrywanym współczuciem dla niej, co było i ujmujące, i denerwujące, bo zapowiadało, że będzie musiała ponieść jakąś karę. W sposobie zachowania Rolfe'a nic tego nie zapowiadało, kiedy wcześniej odprowadzał ją do sypialni. Siadł do swego pisania. Długo skrobał gęsim piórem po pergaminie, co było wyczerpującym sprawdzianem jej opanowania. Widok Sarusa, od drzwi zapraszającego na kolację, uspokoił ją całkowicie.

Po posiłku Rolfe wstał i podszedł do kominka. Stał w lekkim rozkroku, z rękami założonymi na plecy. Twarze siedzących przy stole spoważniały. Spoglądali po sobie. Poruszali się niespokojnie, kiedy wzrok ich

pana padał kolejno na każdego. Nawet Angelinę wyczuła jakieś napięcie.

Światło świecy załamało się we włosach Rolfe'a, kiedy nagle uniósł głowę.

- Powołuję trybunał.

Z ich reakcji łatwo można się było domyślić, że to wyrażenie ma dla nich określone znaczenie.

Gustave, z poważną twarzą, wstał wolno.

- Kogo mamy sądzić?

- Myślę, że chodzi o mnie - powiedział Meyer, również wstając.

- Jaki zarzut?

- Zaniedbanie obowiązków - głos Rolfe'a nie był ani głośny, ani podniesiony, słowa padały w gęstniejącą ciszę.

- Kto będzie świadczył?

- Angelinę.

Na dźwięk swego imienia rzuciła mu spłoszone spojrzenie. Patrzył na nią bez zmrużenia oka. Końcem języka zwilżyła wargi.

- Ja... ja... nie potrafię nic... o tym powiedzieć.

- Nie doceniasz się - odparł spokojnie. - Potrzebne jest tylko to, żebyś nam opowiedziała, w jaki sposób dzisiaj po południu opuściłaś ten dom.

Spojrzała na Meyera. Stał obserwując ją, po wojskowemu wyprostowany. Tylko po oczach było widać zdenerwowanie, jakby żałował, że uległ chwilowej słabości i pozwolił jej przejść.

Śledztwo, które teraz nastąpiło, było wyczerpujące.

Każdy z mężczyzn, łącznie z oskarżonym, miał prawo pytać i odpowiadać. Nie było w całym postępowaniu niczego powierzchownego ani połowicznego, był gruntowny wysiłek, by dojść do pełnej prawdy, by dokładnie ustalić, w jakim stopniu Meyer ponosi winę za jej ucieczkę. Przez cały czas Angelinę odpowiadała na wszystkie pytania na tyle zgodnie z prawdą, na ile tylko potrafiła. Ręce trzymała splecione na kolanach, by

powstrzymać je od drżenia. Czy to z rzeczywistych wątpliwości, przeciwstawnych zdań i opinii, czy wreszcie nieuświadomianej wdzięczności za to, że umożliwił jej wymknięcie się spod straży, twardo obstawała przy wersji, że nie mógł jej zauważyć, gdy opuszczała dom.

Kiedy wydawało się, że wszystko zostało już powiedziane, Rolfe spojrział na Meyera.

- Wolisz osąd i karę ferowaną przez towarzyszy czy walkę?

Meyer objął rękami głowę i stał z wyrazem głębokiego zamyślenia na szerokiej twarzy. Potem uśmiechnął się i rozłożył ręce.

- Przyznaję się dobrowolnie do zaniedbania, ale protestuję przeciwko osądzeniu, że uśpiono moją czujność. Powiem więcej: nie widzę żadnego uzasadnionego powodu do trzymania tutaj tej kobiety. Z drugiej strony - znając poczucie odpowiedzialności i rozsądek moich przyjaciół, nie obawiam się ich osądu. Nawet mogę zgodzić się z tym, że należy mi się nagana. Ponieważ jednak bardziej honorowym, niż publiczna kara, wyjściem z tej sytuacji będzie walka, dająca mi jednocześnie możliwość odpłacenia pięknym za nadobne - wybieram walkę.

Błysk w oczach Rolfe'a był jedyną oznaką jego zadowolenia.

- Do mnie należy wybór broni. By udowodnić, że nie tylko ty posiadasz umiejętności rycerskie - wybieram drzewce.

- Drzewce! - zawołał Gustave. - Niczego takiego nie mamy ze sobą.

- Las jest pełen młodych drzew.

Nic więc nie musiał dodawać. Z wyjątkiem Meyera wszyscy wybiegli w deszczową noc, szukając siekier, sprzecząc się o wymaganą grubość pni. Kiedy ich głosy umilkły, Angelinę podniosła się i powiedziała stłumionym głosem:

- Wolałabym pójść na górę.

- Zostaniesz.

To był rozkaz.

- Wolałabym nie być tu widzem.

- Bez ciebie całe to widowisko nie miałoby sensu.

Wiedział, co zrobił Meyer, i w ten sposób zarówno odpowiedzialność, jak i karę chciał podzielić między nich oboje. Meyer dodatkowo zapłaci nie tylko za drobne zaniedbanie, ale przede wszystkim za sprzeciwianie się jego woli, za mieszanie się do jego spraw, za przedkładanie litości ponad cel, w jakim tu są. Wybór walki na drzewce nie był przypadkowy i na pewno nie faworyzował Meyera. Chodziło raczej o to, by nikt nie odniósł jakiejś poważniejszej rany. Jednak lekcja miała być wystarczająco bolesna.

Meyer zrozumiał wszystko dokładnie.

- Mam walczyć z tobą, czy wyznaczysz mi przeciwnika?

- Znasz mój sposób postępowania w tym względzie. Nigdy nie walczę z nikim spośród mojej gwardii. Nie będę też musiał nikogo wyznaczać. Twoim pierwszym przeciwnikiem będzie Gustave, potem Leopold, następnie Oswald i Oscar.

- Wszyscy?

- Tak. Po kolei oczywiście.

- Oczywiście - powtórzył jak echo Meyer, chociaż minę miał ponurą, a szrama w kąciку ust nabrała wyrazistego czerwonego koloru.

Uznanie walki za wyjście honorowe było pomyłką. Czekało go zdrowe obicie. Chociaż, sądząc po budowie, był z nich najsilniejszy, to jednak nie mógł się spodziewać, że da radę wszystkim. W miarę walki będzie mu ubywało sił, więc pewnie dojdzie do tego, że najsłabszy z nich dopełni dzieła. Wszystko będzie zależało od weterana Gustave'a, na ile on da mu się we znaki.

Walka była tak brutalna, jak Angelinę się domyślała, że musi być.

Krzesała odstawiono pod ściany, tworząc wolny plac na środku pomieszczenia. Przeciwnicy rozebrali się do pasa. Zapach świeżo okorowanych drzewc, mocny i wyrazisty, mieszał się z zapachem dymu, jedzenia i potu walczących. Rozlegał się odgłos głuchych uderzeń, szurania butów, gdy walczący krążyli wokół siebie. Drzewce wydawały specyficzny stłumiony dźwięk, podobny do stuku kijem po szprychach obracającego się koła. Rozlegały się pomruki i przekleństwa. Wnet też obaj, i Gustave, i Meyer, mieli czerwone i sine plamy na rękach i ramionach i krwawili z ran na plecach, dłoniach i czole.

Gustave był sprytny i doświadczony. Dawał Meyerowi dobrą szkołę. Jednak wkrótce zaczął z trudem łapać powietrze. Wtedy Meyer zaatakował, uderzając po żebrach i przeponie, dokładnie mierząc ciosy. Otrzymał jeszcze kilka uderzeń, jeden nawet tuż nad uchem, aż mu głowa odskoczyła, ale zaraz zebrał się w sobie, uderzył sam i Gustave podniósł drzewce nad głową na znak, że się poddaje.

Leopold był wypoczęty i mocny. To przez Meyera na nim skupił się gniew Rolfe'a, więc nie miał ochoty oszczędzać przeciwnika. To, że Meyerowi udało się szybko z nim wygrać, było nie tyle wynikiem jego umiejętności czy wytrzymałości, ile szczęścia. W momencie kiedy Leopold pośliznął się na kropli krwi na podłodze i stracił równowagę, Meyer zaatakował i rzucił go na ziemię. Upadek znaczył koniec walki.

Oswald, następny w kolejce, choć twardy i bojowy, był ostrożny. Dużo czasu poświęcał na markowanie, wybiegi, udawanie, a dopiero potem doskakiwał i pod gardą Meyera - uderzał. Taka taktyka miała na celu osłabienie Meyera tak, jak on uczynił to z Gustave'em.

Obserwując przebieg tej nieustępliwej walki, Angelinę pomyślała, że jest w niej coś niezwykłego. W gronie znajomych nie znalazłaby nikogo, kto chciałby albo potrafił czymś takim się bronić, nie mówiąc już o atakowaniu. Szybkość i zręczność każdego z tych mężczyzn była wynikiem ciągłego ćwiczenia. Byli maszynami do walki i dlatego sposób, w jaki wyrównywali swoje porachunki, chociaż okrutny, wydawał się najodpowiedniejszy.

Meyer miał na policzku sinoczerwony ślad i rozciętą brew, z której cienka strużka krwi spływała mu prosto do oka. Oswald też nie był bez szwanku. Miał rozcięte ucho, a na żebrach głęboką ranę. Następne uderzenie zdarło mu skórę wzdłuż linii włosów. Ból i wściekłość ściągnęły mu rysy. Rzucił się na Meyera, ale nie trafił w jego drzewce. Meyer zakleszczył je w swoich ramionach, szarpnął i broń wyleciała z rąk Oswalda.

Drugi z bliźniaków podniósł ją z podłogi. Zdjął tunikę i zbliżał się powoli i z rozwagą. Jego styl walki był zupełnie inny: rozważny i wyliczony. Każdy ruch, choć wykonany nie tak błyskawicznie, jak robił to brat, był dokładny, z mierzoną siłą i kierowany w ściśle określony punkt. Zdawało się, że nigdy nie chybia celu, nigdy nie musi korygować kierunku uderzenia, nigdy nie musi robić dodatkowego kroku, by uniknąć ciosu, nigdy też nie pozwala, by ten go dosięgnął. Meyer zachwiał się po pierwszym uderzeniu i zaraz potem - po następnym. Pewnie gdyby nie był zmęczony, już samą wagą i wzrostem musiałyby osiągnąć przewagę nad Oscarem. W sytuacji takiej jak teraz - wynik walki wydawał się przesądzony.

- Dość!

Jakby wyzwolony spod uroku tym ostrym rozkazem, Oscar cofnął się natychmiast. Meyer, szykujący się właśnie do uderzenia, usłyszał rozkaz jak przez mgłę.

Nie mógł już zatrzymać wymierzonego ciosu. Oscar próbował jeszcze unieść drzewce, ale broń Meyera już go dosięgnęła. Zgrzytnęła kość. Oscar wypuścił drzewce z dłoni, która teraz wykonała jeszcze jakiś niepotrzebny ruch i opadła bezwładnie.

Angelinę podniosła się błyskawicznie i chciała podbiec, ale Rolfe był już przy niej.

- Anioł opiekuńczy byłby pewnie dla Oscara pociechą, ale potrzeby takiej nie ma. Meyer ma duże doświadczenie w nastawianiu kości i podawaniu środków przeciwbólowych. Chodź, czas odpocząć.

Chwycił ją za łokieć i skierował w stronę schodów.

- A kto zajmie się Meyerem? - spytała ostro.

- Tyle, ile jemu potrzeba, każdy z nich potrafi.

Dalszy upór był bezcelowy. Nawet jeśli Rolfe by pozwolił, nie była pewna, czy oni tę pomoc chcieliby przyjąć. Przecież to ona była winna wszystkiemu. Poczucie winy w stosunku do nich było bolesne, choć w pewnym stopniu łagodziło je podejrzenie, że Rolfe taki właśnie efekt chciał osiągnąć.

Nie wiedziała, czy zależało mu na ciągłym wyprowadzaniu jej z równowagi myślą, że zostanie tu z nim sam na sam. Ale bez względu na to, czy tego chciał czy nie - tak było.

Drgnęła na odgłos trzaśnięcia, z jakim zamknął drzwi. "Wszystko, na co ją było w tej chwili stać, to nie obracać się gwałtownie, jak robi to zwierzę, gdy zatraskują się za nim drzwiczki klatki.

- Zdejmij ubranie.

- Jak?... Co?... Co masz na myśli?

- Myślę, że zrozumiałaś mnie dobrze.

Zbliżał się do niej w świetle świec pozostawionych na stoliku. Lśniło mu we włosach i odbijało się w złotych guzikach tuniki, gdy nachylał się nad blatem, by wziąć leżące tam gęsie pióro. Stanął przy niej i jedną rękę wsunął głęboko w wycięcie jej tuniki.

- Jeśli ponownie zmusisz mnie do zdejmowania jej siłą, nie będzie już co zszywać.

- Dlaczego? - spytała z zaschniętym gardłem.

- Czyżbyś wątpiła w siłę swego przyciągania? A może boisz się o swą perłową skórę?

- A czemu nie jedno i drugie? - spytała, patrząc mu hardo w oczy.

- Taka szczerość zasługuje na nagrodę.

- Wasza Wysokość... Rolfe... - zaczęła, lecz nie mogła znaleźć słów, które by nie zabrzmiały jak tchórzostwo czy poddanie. Gdy włożył jej dłoń do stanika, chwyciła go za rękę, by mu przeszkodzić. Spojrzał na jej zbielełe palce i przymknął oczy.

- Jeśli nie możesz znieść mojego dotyku, to jest łatwy sposób, by tego uniknąć. Powiesz mi wszystko, co chcę wiedzieć, i zaraz zawiozę cię do ciotki.

- Nie mogę ci powiedzieć, czego nie wiem!

- Myślę, że kłamiesz, Angelinę. Myślę, że strach i lojalność powodują, że milczysz. A oni o tobie nie pomyślą nawet wtedy, kiedy z ciebie w moim ręku pozostanie już tylko cień.

- Nie boję się ciebie! - rzekła podniesionym głosem.

- Wiem, że nie. Ale mogę ci powiedzieć coś, co cię może przestraszyć.

- To nie zrobi mi żadnej różnicy.

- Możliwe, że nie. Ale może starczy, gdy ci powiem, że o twoim porwaniu z domu de Buys nie wie nikt. Tym, którzy o ciebie pytają, jak na przykład Andre Delacroix, odpowiada się, że leżysz w łóżku w zaciemnionym pokoju z tak silną gorączką, że nikt nie powinien się do ciebie zbliżać, że zachorowałaś nagle w tę noc, kiedy odbył się bal u Delacroix.

Przerwał na chwilę.

- Nie wydajesz się zaskoczona.

- Nie. W przeciwnym przypadku Andre nie byłby tu taki serdeczny. Gdyby wiedział, że mnie porwano,

ciebie pierwszego, jako obcego, by podejrzewał. A szczególnie po tym, jak mnie „wyróżniłeś” na balu.

- To jasne - zgodził się. - Ale wiarygodności takiej bajki długo utrzymać się nie da. Jeszcze dzień, może dwa i ludzie będą chcieli zobaczyć albo ciebie, albo twój kondukt pogrzebowy. Ratuuj samą siebie, Angelinę. Nie zmuszaj mnie, bym zrobił coś, co spowoduje, że znajdziesz się poza społecznością, do której należysz.

- Ja do niczego cię nie zmuszam - powiedziała wolno, choć głos jej trochę drżał.

- No, dobrze - rzekł i wolną ręką chwycił węzeł przepaski, którą miała związaną tunikę. - Takie stawianie sprawy czyni ze mnie w równym stopniu głupca jak despotę. Nie chcesz skorzystać z mojej rady, broń się zatem sama najlepiej, jak umiesz.

- VII -

Rozbieranie siłą, bezsilność, wdzieranie się w nią, w jej najgłębszą intymność, wszystko to było nie do zniesienia. Walczyła z nim, obracając się i rzucając na wszystkie strony. Krew uderzyła jej do głowy, a paniczny strach dodawał sił. Uwalniał się od jej chwytów, zdawał się nie czuć wbijanych paznokci ani uderzeń pięściami. Jej włosy rozsypane w nieładzie okrywały ich oboje połyskliwą kurtyną, płaczącą się pomiędzy nimi.

Z pomrukiem zniecierpliwienia podciągnął jej tunikę i w ten sposób unieruchomił ręce w obszernych fałdach. Przyciągnął ją mocno do siebie, rozpiął spódnicę, chwycił wpół, zarzucił sobie na ramiona i skierował się w stronę łóżka. Z jedną nogą na stopniu, nachylił się i upuścił ją na materac. Sam położył się obok. Potem powoli, nie zwracając uwagi na jej opór, naciągnął jej tunikę na głowę. Odrzucił zaplątaną przepaskę. Kiedy się szarpnęła, by złapać powietrza, zdjął jej bieliznę. Wyciągnął jej ręce z rękawów tuniki i zanim zdążyła rzucić się na niego, związał je i umieścił nad głową.

Z przerażenia znieruchomiała. Oczy otworzyła szeroko i wpatrywała się w niego. Piersi jej unosiły się i opadały w podnieceniu, które ją zaczęło ogarniać. Ich miękkie szczyty dotykały jego munduru, gdy pochylał się nad nią, by powstrzymać jej ruchy. Twarz miał nieprzeniknioną, zamkniętą, usta zaciśnięte. W ręku trzymał gęsie

pióro. Angelinę popatrzyła na nie, potem na jego twarz i gdzieś w brzuchu poczuła skurcz strachu.

- Mówi się, że wyobrażenie sobie, co to będzie, jest najboleśniejszym stadium tortury. Domyślasz się chociaż, moja słodka,* niewinna Angelinę, co zamierzam?

Coś zaświtało w zakamarkach jej świadomości, ale zaraz to odrzuciła. Nic nie odpowiedziała. Milcząca, skoncentrowana na tym, by ukryć napięcie, leżała w całkowitym bezruchu.

- Przyjemność to funkcja nerwów. Jeśli się jej nadużyje - sprawia ból. Najczulsze punkty znajdują się tuż pod skórą i koncentrują się wokół otworów naszego ciała, o tu, tu, tu i tu.

Bardzo delikatnie przesunął końcem pióra po obrzeżu jej ust, dotknął konchy ucha, samego szczytu piersi i wolno prowadził je w dół po napiętych mięśniach brzucha aż do punktu najdelikatniejszego. Mówił głosem obojętnym, bez śladu złośliwości czy zdenerwowania, jakby sam stał z boku, jakby nie odczuwał przyjemności ani bólu.

Ogromnym wysiłkiem woli spróbowała zebrać myśli. Bezpośrednia walka z nim nic nie dała - może słowa pomogą?

- Dzisiejszego popołudnia starłeś się z Leopoldem o niezbyt poważną sprawę. Czy groźby i tortury też rezerwujesz wyłącznie dla siebie?

- Na to wygląda.

- Ja nic ci nie zrobiłam. Nic ci też nie mogę powiedzieć.

- Jeślibym ci uwierzył, musiałbym uderzyć się w piersi i odesłać cię do domu. Ale w tej sytuacji zmuszasz mnie do użycia przemocy, bym mógł dojść prawdy. Każdy twój złocisty włos na głowie chroniłbym jak skarb, a twoja cnota byłaby nienaruszona jak świętość - gdybyś tylko chciała mówić.

Melodyjne brzmienie jego głosu i wyszukane słowa działały jak narkotyk usypiający czujność, przenikający do głębi.

- Nawet gdybym mogła ci pomóc, to i tak nie masz prawa...

- Oczywiście, żadnego. Z jednym wyjątkiem: mam takie, jakie sam sobie nadaję.

- A jeśli się mylisz? W jaki sposób usprawiedliwisz swoją... to, co robisz? Nie masz prawa popełniać przestępstwa dla ratowania własnego imienia...

- Może i masz rację, tę plamę na duszy będę musiał znieść nawet za cenę twego potępienia. Ale to tylko wówczas, jeśli rzeczywiście się mylę.

Co mogła na to odpowiedzieć?

Z poczuciem całkowitej bezsilności patrzyła, jak oczy mu się zwięzają, jak obraca w palcach pióro, jak oparty na łokciu powoli przemieszcza je coraz wyżej. Przesunął nim po jej rozchylnych ustach. Uczucie było niesamowite. Zaciśnęła pięści i odwróciła głowę. Pióro wędrowało przez jej policzek, powieki, po linii włosów do nasady ucha. Tu zawróciło i spłynęło delikatnie w dół łukiem szyi i przez obojczyk do wznoszących się piersi.

W delikatnej pieszczocie poruszał tym niezwykłym narzędziem tortur tak, że poczuła, że sutki zaczynają reagować. Westchnęła głośno i zębami zagryzła wargi. Czuła, jak cała skóra zaczyna jej płonąć ze złości, wstydu i nasilającego się pożądania. Koniec pióra podążał dalej w dół, dotykając brzucha. Zwinęła się, usiłując zewrzeć nogi, ale przeszkodził jej swoim kolanem. Wreszcie po wewnętrznej stronie uda dotarł do trójkąta u samej ich nasady. Przeniknął ją dreszcz, a ciało pokryło się gęsią skórą. Rzeczywistość zniknęła, pozostała jedynie rozkosz, której bezwolnie się poddała.

Doznawała słodkiego i przenikliwego uczucia, któremu nie potrafiła się oprzeć. Gardło miała zaciśnięte, że

ledwie mogła oddychać, a łzy zbierały się jej w oczach i spływały spod rzęs słonymi strumykami w dół, ginąc we włosach. Z maestrią doprowadził ją do punktu, którego ostateczną postać zaczęła sobie już wyobrażać. W dreszczu emocji poczuła, przed chwilą nie do pojęcia, więź z mężczyzną, który trzymał ją w objęciach, intymny związek, silniejszy niż wszystko, co dotychczas przeżywała. Spełnienie przyniosło uspokojenie, ale nie zmniejszyło bólu rozkoszy trzymającej niby w potrzasku.

Otworzyła oczy, spojrzała na nachylonego nad nią księcia i spytała cicho:

- Jak mogłeś?

W jego rysach zauważyła jakąś szarość, której tam przedtem nie było, a nad górną wargą - ledwo widoczne kropelki potu. Znieruchomiał. Zaśmiał się gorzko i odchyliwszy się rzucił pióro w kąt.

- Nie mogę... - wykrztusił.

Szybko rozpiął tunikę, zsunął buty z nóg, zrzucił spodnie. Przyciągnął ją do siebie. Chciała się bronić, opierać, ale gwałtowność jego ruchów pozbawiła ją oddechu. Wcisnął się w nią głęboko, napełniając taką rozkoszą, że umysł jej przestał działać. Podniosła związane ręce, przerzuciła mu je nad głowę i zacisnęła na karku. Ich oddechy złączyły się w jeden, usta rozdzielały się i na nowo spotykały. Spirala doznań wciągnęła ich w swój wir.

Mimo ogromnej, porażającej rozkoszy to złączenie się było dla nich wyniszczające. Wzniosło się falą, zacierającą wszystko, co ich dzieliło, z bezwzględną siłą, jak rzeka, gdy przerwie tamę, i opadło - pozostawiając ich wyczerpanych i przerażonych, wyrzuconych razem na mieliznę, pełnych dalej nieprzezwycięzonych sprzeczności.

Ułożył się obok niej, pochylił głowę, by uwolnić się od jej związanych rąk. Ujął je ciepłymi palcami, rozwiązał opaskę i zaczął delikatnie rozcierać. Po chwili ułożył je

miętko na jej piersiach, obrócił się i zsunął z łóżka. Poszukał spodni i ubrał się. Patrzył na nią niebieskimi, wilgotnymi oczami, gdy dopinał pas. Pochylił się, jedną ręką pochwycił tunikę i buty, drugą przeczesał włosy, podszedł do drzwi i otworzył je gwałtownie. Zatrzymał się jeszcze w progu, spojrzął do tyłu z resztkami furii na twarzy. Z cichym przekleństwem wyszedł z pokoju trzasnąwszy drzwiami.

Angelinę obróciła się na brzuch powoli, jak ktoś, kogo przed chwilą zbito, a teraz boi się nawrotu bólu. Ułożyła głowę na rękach. Nie zastanawiając się, czemu i nad kim płacze, pozwoliła płynąć oczyszczającym łzom.

Tej nocy Rolfe nie wrócił do łóżka. Również rano nikt jej nie przeszkadzał. Wyczerpana, spała, aż obudziło ją odległe, ale głośne i mocne uderzenie drzwiami.

Deszcz przestał padać. Ciepłe, wilgotne powietrze znad zatoki, które go wcześniej przyniosło, ustąpiło, a dzień za oknem stał się jasny i senny. Było tak przyjemnie, że nie potrzebowała ognia, by się spokojnie ubrać. Marzyła o kąpieli, ale nikt jej nie przygotował, a sama bała się wytknąć głowę z pokoju, by zawołać Sarusa, jak robili to inni. Nigdzie też w zasięgu wzroku nie było tacy ze śniadaniem; byłaby na pewno, gdyby Rolfe był w domu. Dopiero później, gdy już się ubrała i wyszła za drzwi, znalazła tacę z zimną kawą i nieświeżym mlekiem.

Mężczyźni wyjechali. Jedynie Meyer był w hallu głównym, rozparty w rogu kozetki w pobliżu kominka, na którym niezależnie od pogody palił się ogień. Przed nim, na niskim stoliku, stał dzbanek świeżo zaparzonej kawy oraz talerz z pieczonymi rogalikami.

Wstał, ale poruszał się sztywno. Starał się odwracać do niej lewą stroną. Twarz z prawej strony miał poznaczoną sińcami w czerwonej obwódce, jedno oko do połowy zasłonięte, a skroń przewiązaną bandażem.

Pochylając głowę w ukłonie rzekł:

- Już zaczynałem myśleć, że cały dzień upłynie mi bez pani widoku.

- To tak długo pan tu siedzi? - spytała, starając zachowywać się zupełnie swobodnie; na moment zatrzymała wzrok na tym, co pewnie było jego śniadaniem.

- Wiedząc, że nic pani nie jadła, czekałem tak długo, jak mogłem - zapewnił z miłym uśmiechem, gdyż podążając za jej wzrokiem, zaraz się domyślił, że jest głodna. - Zechciałaby się pani dołączyć?

Odmówić byłoby niegrzecznie. Zapach kawy i świeżych bułeczek jeszcze bardziej zaostrzył jej apetyt. W dodatku jego zaproszenie brzmiało szczerze, jako że na stole przed nim stały dwie filiżanki. Dziękując za zaproszenie, zajęła wskazane miejsce na kozetce obok.

Krzywiąc się z bólu, pochylił się, by podać jej talerz z bułeczkami. Angelinę szybko chwyciła jedną, by nie musiał długo trwać w tej pozycji. Gdy się odwrócił, przyjrzała mu się szybko.

- Ja... to znaczy... bardzo mi przykro, że moja próba ucieczki była przyczyną tylu pańskich kłopotów.

- To ja bardzo przepraszam - rzekł z lekkim wzruszeniem ramion - że musiała pani korzystać z takiej drogi, by nas opuścić.

Podnosił się z trudem, by nalać kawy, ale Angelinę ubiegła go: położyła mu rękę na ramieniu.

- Mogę ja to zrobić?

- Będę wdzięczny.

Siadł i przyglądał się jej.

Napełniła filiżankę i podała mu. Potem nalała sobie. Podniosła filiżankę do ust, upiła trochę.

- Może się mylę, ale wydaje mi się, że pan umyślnie pozwolił mi wyjść.

Spojrzał na nią trochę wystraszony.

- Poprzedniego wieczoru, gdy panią przesłuchiowano, nie wspomniała pani o tym ani słowem.

Serce zabiło jej radośnie: chyba nie wie, co zaszło między nią a Rolfe'em poprzedniej nocy - wraca do przesłuchań przed trybunałem.

- Kara byłaby chyba surowsza, gdybym coś takiego powiedziała.

- Więc winien jestem pani podziękowanie. Ja ze swej strony natomiast muszę zmienić swoją opinię o pani. W czasie przesłuchania, które Rolfe prowadził, zachowywała się pani wspaniale. Widywałem już mężczyzn, którzy stojąc przed nim jękali się ze strachu, gotowi przyznać się do wszystkiego. Musi pani być zrobiona z mocniejszego materiału, niż myślałem, albo on - ze słabszego. A nie mogę uwierzyć, by prawdziwa była ta druga możliwość.

- Pan... wy wszyscy... traktujecie go, jak półboga. Czemu nie miałyby mieć takich samych słabości jak inni?

- Właściwie tak. Ale to pewnie dlatego, że jeszcze nigdy nie zauważyłem u niego żadnego załamania, może jedynie jakąś beztroskę w kierowaniu swoim życiem, może skłonność do szukania ucieczki przed... doskonałością... w picciu... Jest przyszłym królem, wie pani o tym, i dlatego powinien być doskonały w każdym calu, o sile, o waleczności, o wszechmocy równej bogom.

- Nie są to czasem zbyt wygórowane wymagania?

- Nie można tak mówić. Maximilian też się tym odznaczał, a może jeszcze czymś więcej. Ale Rolfe zawsze stał w jego cieniu.

- Brzmi to trochę...

- Gorzko? - spytał. - To tylko tak chwilowo, bo mam żal do niego za tę moją publiczną karę. Poza tym, niby dlaczego nie miałbym widzieć jego błędów? Mamy przecież tę samą krew.

Podniosła głowę zaciekawiona.

- Jesteście krewnymi?

- Nikt pani dotychczas nie powiedział? Nie ma to zresztą większego znaczenia i nie warto nawet

o tym mówić. Jestem jego przyrodnim bratem. Moją matką była dziewczyna z gospody, sprowadzona na dwór dla zachcianek ojca i wydana za mąż za szlachcica z jednego z najznamienitszych rodów Ruthenii.

- Nie, nikt mi o tym nie powiedział.

Jako syn nieślubny nie miał prawa do dziedziczenia tronu i chociaż dwa lata starszy od Rolfe'a - pomyślała - musiał służyć jego rozkazów i uwag.

- Rozumie pani, mam nadzieję, że mam większe niż ktokolwiek inny prawo, by go osądzać. Kiedy razem dorastaliśmy na dworze: Maximilian, Rolfe, Leopold i ja, trzymałem się bliżej Maxa, pewnie z powodu podobnego wieku i usposobienia. Jedyna rzecz, jaka mi się w tej chwili nie podoba, to sposób, w jaki Rolfe chce zdobyć potrzebne mu wiadomości. Muszę powiedzieć, że jego... nadużycia, przynajmniej w części, są dla mnie niezrozumiałe...

- Więc nie uważa pan, że to głupie, że nie mogę...

Pokręcił przecząco głową.

- Jeśli to sprawi pani jakąś satysfakcję, to powiem pani, że Rolfe zaczyna żałować tego, co zrobił. On rzadko popełnia błędy. Ale jeśli już coś źle zrobi, płaci za to wysoką cenę. Do tego stopnia, że traci panowanie nad sobą. Dzisiaj rano był taki pijany, jakim go jeszcze nie widziałem.

- Dlaczego nie chce pozwolić mi odejść? - To pytanie wyrwało się jej samo.

- Tylko on to wie.

Dalsza rozmowa na ten temat nie miała sensu. Zaczęli więc mówić o innych sprawach. Rozmawiali o kierunkach poszukiwań, o zaangażowaniu każdego z osobna, nawet bliźniaków, którzy musieli się rozdzielić. Żeby coś powiedzieć, wspomniała o ich wieku.

- Są młodzi, ale Rolfe'owi służą już dziesięć lat albo i więcej. Posiadł ich ciała i dusze. Są jego własnością i dbają wyłącznie o niego.

- Są jego własnością? Co mam przez to rozumieć?

- Ich ojciec mu ich podarował, kiedy Rolfe obronił go wraz z gospodarstwem przez napadem rozbójników. Panuje taki zwyczaj w Ruthenii, że zaściankowa szlachta rutheńska w zamian za wyświadczone przysługi oddaje na służbę do księcia swoich synów. Pierwotnie byli pomyślni jako służący, lecz Rolfe w tym charakterze ich nie chciał. Dla nich było to wielkie wyróżnienie, gdyż inaczej całe dni musieliby spędzać na polowaniach albo na pilnowaniu chłopów przy pracach polowych.

- Oscar chyba nie pasuje do wojennego rzemiosła?

- Ale woli to niż grzebanie się w bibliotece Rolfe'a. Nie można ich nie doceniać. Pod zewnętrzną powłoką, jak u wszystkich Słowian, kryje się w nich pewna dzikość i wrodzony fatalizm. Uważam, i nie bez powodu, że jeden i drugi odda życie za Rolfe'a, a jeśli to będzie konieczne - zabije. To pamiątka od Oscara - dotknął kącika ust, gdzie widniała blizna w kształcie półksiężyca.

Przyjrzała się miejscu, które pokazał.

- Od Oscara?

- No, miał ku temu powód albo przynajmniej tak uważał. Mocowaliśmy się razem z Maxem i Rolfe'em. I wtedy Max uznał za stosowne, by młodszemu bratu dać nauczkę i trochę go upokorzyć. W tym celu posłużył się mną. Nie chcieliśmy mu zrobić krzywdy, ale Oscar tak tego nie widział. Dla wyrównania szans posłużył się „rózgą królewską”, żelaznym, zaostrzonym prętem, służącym zwykle do odganiania psów i żebraków. Miałem szczęście, że udało mi się uskoczyć. Działo się to bardzo dawno temu, zaraz po tym, jak bliźniacy znaleźli się w posiadaniu Rolfe'a.

- Czasem odnoszę wrażenie, że Rolfe nie... nie lubi, gdy go ktoś broni.

- Racja. To on powstrzymał Oscara, zresztą ku niezadowoleniu mojemu i Maxa. Ale takie właśnie

postępowanie Rolfe'a sprawia, że jest niekwestionowanym przywódcą, kimś, od kogo przyjmuje się bez szemrania nawet najbardziej ogłupiające polecenia, jak chociażby przetrząsanie lasu w poszukiwaniu pani kuzynki.

- Albo pilnowanie mnie?

Zamiast odpowiedzi uśmiechnął się tylko.

- Co z ręką Oscara? Mam nadzieję, że rana nie była zbyt poważna, skoro rano mógł już dosiąść konia.

Meyer spowaźniał.

- Pożałowania godny wypadek. Nigdy bym tego rozmyślnie nie zrobił. Wyrzucam to sobie. Na szczęście to tylko drobne złamanie, wnet się zagoi. Jak przystało na członka naszej gwardii, Oscar nie uczynił z tego pretekstu do zwolnienia się ze służby.

- Ale nie będzie chyba poza domem tak długo jak pozostali?

- Jeśli o to idzie, zrobi wszystko, co mu zlecono. Wszyscy wrócą przed zmrokiem.

Spojrzała na niego ukradkiem.

- Po co mi pan to mówi?

- Wcześniej rano mieliśmy tu wizytę pana de la Chaise. Na dzisiaj wieczór przygotował zabawę dla nas, a właściwie - dla siebie.

- Ma pan na myśli jakieś przyjęcie?

- Nie, nic tak poważnego. Myślę, że zaplanował jakieś dobre jedzenie przygotowane we własnej kuchni, a podawane tutaj przez własną służbę. Zamówił również dobre wina i trochę mocnych trunków. Poza tym - grupę wędrownych muzyków i tancerzy, którzy, jak nas zapewniał, są najlepsi w całym Teche.

- Domyślam się, dlaczego chce coś takiego urządzić. Będzie mógł się chwalić, że na jego przyjęciach bywali członkowie monarszych sfer. Przez następne lata będzie się o tym opowiadało przy stołach w okolicy.

- Chyba nie. Na tym przyjęciu mają być kobiety...

- Co?

- Żeby przyjęciu nadać lekki charakterek, będzie na nim grupa kobiet z Nowego Orleanu.

Spotkała jego pytający wzrok, ale zaraz odwróciła oczy. Podniosła filiżankę, by natychmiast odstawić ją na stół.

- Rozumiem. To pewnie bardzo ładnie ze strony pana de la Chaise, prawda?

- Wygląda to trochę na planowanie małej orgii. Ale, jak powiedziałem, to sam gospodarz będzie się najbardziej cieszył ze swej gościnności. Chyba że Madame, jego żona, zorientuje się, co się tu święci. Nam w każdym razie surowo zakazano wspominać o tym, gdybyśmy ją przypadkiem spotkali.

Angelinę nie była w stanie powstrzymać się od śmiechu.

- Pewnie spotka go zawód. Takich wielkich przygotowań nie sposób ukryć, zwłaszcza że jedzenie będzie przyrządzane pod nosem żony. Madame pewnie już teraz wie o wszystkim, a zapewne wiedziała już wcześniej, kiedy tylko zaczął składać zamówienia.

- Nieszczęśnik.

- Tak - zgodziła się, chociaż myślami była już daleko stąd: musiała się przez chwilę spokojnie zastanowić.

- Pan sam pełni tu straż?

- Nie licząc nieodzownego Sarusa - tak.

Spojrzała na niego błagalnie.

- Jeśli wczoraj wieczorem pozwolił mi pan opuścić dom, czy nie mógłby pan... może...

- Zrobić tego jeszcze raz? - dokończył za nią i potrząsnął głową. - Bardzo bym chciał.

- Ja... tak... rozumiem.

- Jeśli sądzi pani, że to z powodu wczorajszego lania, jakie dostałem, to się pani myli. To jest sprawa zasad. Wczoraj, w chwili słabości, mogłem patrzeć w inną stronę i mogło to zostać poczytane

za chwilę nieuwagi, coś, czego nie można tolerować w *gardę du corps* księcia Ruthenii, ale też nie można było uznać tego za zdradę. Dzisiaj sytuacja jest zupełnie inna - jestem osobiście odpowiedzialny. O to dokładnie chodziło. Rolfe jest w tym względzie diablo sprytny.

- Więc to jest sprawdzian dla pana?

- Tak.

- Czy on zawsze tak traktuje swoich ludzi?

Na posiniaczonych wargach Meyera ukazało się coś na kształt uśmiechu, a szrama stała się wyraźniejsza niż zwykle.

- Jesteśmy jego przyjaciółmi. Jednocześnie jednak jesteśmy członkami grupy bojowej, małej wprawdzie, ale tak pomyślanej, że w każdej chwili możemy się stać załącznikiem potężnej siły o ogromnej wartości dla każdego kraju, który czegoś takiego potrzebuje. Były już czasy i pewnie jeszcze takie nadejdą, że będziemy musieli polegać na sobie wzajemnie, by przeżyć. Człowiek niesprawny w naszym gronie jest zagrożeniem dla pozostałych.

- Dość nieprzyjemny sposób na życie - powiedziała.

- Zgadza się. Dlatego też ludzie, którzy nie wytrzymują tempa, jakie Rolfe narzuca, nie dochodzą do takiego stopnia samodyscypliny, jakiej wymaga - i odchodzą. Nikogo nie zatrzymuje się siłą. Jedynym magnesem, trzymającym nas tutaj, jest intensywność przeżyć, świadomość, że jesteśmy w stanie wykonać każde zadanie, jakie przed nami postawi.

- Podziwia go pan - powiedziała cicho - pomimo tego, co panu zrobił wczorajszego wieczoru.

- Trudno, żeby było inaczej - odpowiedział równie cicho.

Wypił resztę kawy i podał jej filiżankę, by mu nalała. Wyraz jego twarzy nie zachęcał do dalszych pytań.

Na resztę dnia Meyer znalazł rozrywkę. Pokazał jej szafę z masą pożółkłych i zniszczonych czasopism,

głównie na temat rolnictwa i polowania, ale było też kilka na temat literatury, i to mniej zniszczonych niż pozostałe. Później, pokonawszy wewnętrzne opory, poprosiła o przygotowanie kąpieli. Sarus najpierw przyniósł wodę, potem odchyliwszy gobelin wiszący na ścianie naprzeciw kominka, zniknął, by po chwili pojawić się z miedzianą wanną, którą zaraz ustawił i napełnił. Po jego wyjściu Angelinę sama podeszła do gobelinu i odsunęła go. Pod nim znajdowały się drzwi prowadzące do niewielkiej garderoby, o której istnieniu nie miała pojęcia. Stał tu taboret ze złamaną nogą i wytartym siedzeniem, z którego sterczało końskie włosie. W kącie leżało kilka par zniszczonych butów, pleśniejących w panującej tu wilgoci. Stała kozetka ze zniszczonym materacem, przeznaczona zapewne dla służącego, żeby był pod ręką, gdy młodzi panicze de la Chaise wracali nocą do domu. Przez małe zakurzone okno wpadało niewiele światła. Pomieszczenie swym wyglądem nie zachęcało do wejścia.

Opuściła gobelin i wróciła do sypialni. Rozwiązała opaskę tuniki, obwiązała nią włosy i weszła do wanny. Rozkoszowała się gorącą wodą, zanurzywszy się aż po brodę, czując, jak napięcie i jakieś nieznanne dotychczas bóle mięśni - pozostałość po nocy - ustępują pomału.

Pomyślała o ciotce. Co mogła teraz myśleć? Czy przejmowała się przedłużającą się nieobecnością bratanicy? Zapewne sądziła, że gdy Rolfe odkryje, kim jest Angelinę, będzie bezpieczna. Nie miała racji i powinna to wiedzieć, gdyby sprawę dokładnie przemyślała. Rolfe bez trudności domyślił się, że Angelinę musi wiedzieć, gdzie ukryła się Claire. I nie można mu było brać za złe, że chciał z tych swoich domysłów zrobić użytek.

A co z Claire? Czy już wie, że Angelinę została porwana? Czy coś robi? Cokolwiek. Prawdopodobnie nic. Jak to wszystko się skończy i kiedy? Czy będzie taka sama jak przedtem? Czy będzie mogła o wszystkim zapomnieć?

Nie było sensu nad tym rozmyślać. Na razie nie mogła nic zrobić.

Na kominku, rozpraszając nadchodzący wieczorny chłód, palił się mały ogień. Bijące od niego ciepło było miłe i uspokajające. Leżała na plecach z głową opartą o szczyt wanny. Zbierała dłońmi pachnącą pianę. Nikt jej nie niepokoił. Bez obowiązków, bez konieczności podejmowania jakichkolwiek decyzji, w całkowitym, choć pozornym spokoju...

Była tak rozluźniona, że nawet nie usłyszała odgłosu końskich kopyt na podjeździe. Że Rolfe wrócił, zauważyła dopiero w momencie, kiedy z hałasem otworzył drzwi i wszedł do pokoju. Usiadła. Natychmiast jednak zauważyła, że jej piersi, mokre i lśniące, unoszą się ponad poziomem wody, więc zaraz ponownie się zanurzyła.

Przez moment stał w progu, potem zatrzasnął za sobą drzwi i wszedł do pokoju. W przeciwieństwie do zwykłej elegancji, w tej chwili wydawał się zaniedbany. Złoty, nie ogolony zarost pokrywał mu twarz, mundur był wymięty, pod tuniką nie miał koszuli. Włosy były potargane od wiatru, oczy zaczerwienione i zapadnięte. Tylko w sposobie bycia nie widać było żadnej zmiany: był władczy i energiczny jak zawsze.

- Oto, czego mi najbardziej potrzeba: kąpieli - powiedział z wesołością w oczach.

- Będziesz musiał zamówić...

Rozglądała się za ręcznikiem: leżał na krześle poza zasięgiem ręki.

- Ale wolałbym razem z tobą - powiedział i zaczął zdejmować tunikę.

- Tu nie ma miejsca! - zawołała, z lękiem obserwując jego ruchy.

Przyjrzał się uważnie nie tylko wannie, ale również jej kształtom niezbyt dokładnie ukrytym w na pół przezroczystej wodzie.

- Szkoda. Wygląda jednak na to, że twoją kąpiel będę musiał przyspieszyć. Mogę ci umyć plecy?

- Dam sobie radę - rzuciła pospiesznie, lecz on nie zwróciwszy nawet uwagi na jej protest, ukląkł na jedno kolano koło wanny, zanurzył rękę w wodzie i udając, że szuka myjki, przesuwał dłońią po zagłębieniach i wypukłościach jej ciała.

- Czy tego szukasz? - spytała lodowatym tonem, podając mu myjkę.

- Gdzie ją schowałaś?

Namydlił ją i ponownie zanurzył w wodzie nacierając jej brzuch. W odpowiedzi na to jedną ręką chwyciła mydło, drugą - jego dłoń i wetknęła mu do niej śliską kostkę.

- No, tak! - zawołał z udawanym niezadowoleniem. - Siadaj i pochyl się do przodu.

- Nie wróciliście zbyt wcześnie? - spytała, nie ruszając się.

- Trochę. Zrobiliśmy, co mieliśmy do zrobienia, i albo mogliśmy pojechać dalej w teren, albo wrócić na naradę z kimś, kto mógłby nam posłużyć... nieocenioną pomocą...

Zmienił pozycję za jej plecami. Zanim zdążyła odgadnąć jego zamiary, objął ją i podniósł, przewiesiwszy sobie przez ramię.

Parsknęła głośno, szarpała się, ale przytrzymał ją mocno i uspokajał jak znarowioną klacz.

- Co ty wyprawiasz?!

- Myję ci plecy. Siedź spokojnie!

Namydlił myjkę i zaczął okrągłymi ruchami myć całą jej górną część ciała, masując i uciskając mocno, czasem nawet za mocno.

- Poczekaj... przestań...

- Nie wierć się! - pouczył ją i wolną ręką szukał na jej mokrym i śliskim od mydła ciele jakiegoś punktu zaczepienia. Znalazł go na jej piersi. Gdy próbowała

odsunąć jego rękę, wzmocnił nacisk. Oddychała z trudem.

- Jeśli to ma być nowa forma tortur, by wydobyć ze mnie zeznanie, gdzie jest Claire...

Puścił ją tak nagle, że odchyliła się gwałtownie, a woda z wanny poleła się na podłogę. Podniósł się i stanął nad nią z rękami opartymi na biodrach.

- To nie jest tak - rzekł wymawiając każde słowo oddzielnie - chociaż to nie twoja wina, że tak to odbierasz.

Powiedziała to ze złości i w podnieceniu, bez przekonania, że to posądzenie może mieć podstawę. Nie patrząc na niego, spłukała resztki mydła, a potem wzięła ręcznik, rozwinęła, okręciła się nim i z gracją wyszła z wanny. Nie była już tak zakłopotana swą nagością jak przedtem.

Przyglądał się jej, a jego spojrzenie rejestrowało każdy szczegół jej ciała, błyszczącego na tle pełgającego ognia. Założył ręce za pas i odwrócił się.

Nie odszedł jednak daleko. Nachyliwszy się nad szczytem łóżka obserwował z denerwującą natarczywością każdy jej ruch, jak się wycierała. Pobiegł wzrokiem za jej spojrzeniem, niechętnym i zrezygnowanym, tam, gdzie na oparciu krzesła leżała jej mocno zniszczona bluzka.

- Martwi cię mizerny stan twojej garderoby? Powiedziałem ci już, jak temu zaradzić.

Szybko podszedł do szafy. Z głębi półki wyjął coś z białego lnu, równie pięknego i delikatnego jak jedwab. Była to długa nocna koszula z obszernymi rękawami i koroną wyhaftowaną złotą nicią na lewej piersi.

Wyciągnął do niej rękę, podając ubiór, lecz ona cofnęła się, kurczowo przytrzymując ręcznik.

- Nie mogę tego wziąć.

- Ależ zapewniam cię, że nigdy tego nie używam. Sarus to zapakował, bo go nauczono, że coś takiego

powinno znajdować się w garderobie gentlemana. Dla mnie nie ma to żadnej wartości.

Nie czekając, aż weźmie koszulę, sam ją na nią nałożył. Potem wziął jej ubranie, związał w węzełek i położył za drzwiami, gdzie Sarus powinien się tym zająć.

Kiedy wrócił do pokoju, ciągle stała tam, gdzie ją zostawił, z wyrazem wściekłości w oczach.

- Tak bezceremonialna taktyka może i przynosi jakieś efekty w stosunku do kogoś innego, ale nie w stosunku do mnie! Proszę przynieść moje ubranie!

Nie ruszył się z miejsca. Zamiast tego zaczął zdejmować buty o mosiężny stojak przy kominku i rozpinąć spodnie. Nagi wszedł do wanny i z głośnym sapnięciem zanurzył się w wodzie.

- Dlaczego? - zapytał, kiedy odwróciła się gwałtownie. - Doskonale wiesz, że wcale go nie chcesz. I wiesz również, chociaż nie chcesz się do tego przyznać, że lubisz mieć związane ręce...

- To dopiero śmieszne! - parsknęła.

Delikatny materiał spływający jej z ramion pachniał rozkoszną świeżością, lecz nie dała się temu oczarować, tak jak nie poddawała się czarowi jego gładkich, słodkich słów. Słyszała, jak opryskał się wodą i nacierał myjką.

- Śmieszne? Jest to coś zastępczego i nie wygląda sztywnie. Ale co chciałabyś dostać? Może jakiś strój paryski, powiewny i przezroczysty jak dla arabskiej odaliski lub panienki z półświatka?

Zatkało ją.

- Myślisz, że mam ochotę walczyć o lepsze z...?

- Z wesołymi panienkami? Może jestem zbyt rozrutny, nadając spodziewanym tu dzisiaj dziewczętom taką nazwę. Tak można by nazwać twoją kuzynkę Claire. Te zamówione na dzisiaj do zabawy pewnie nie będą takie bystre.

- Ani ich zalety, ani sprawa mojego ubioru na dzisiejszy wieczór nie mają tu nic do rzeczy. Ja i tak nie zejdem...

- Nie? - odgłos namydlania umilkł nagle.

- Myślę, że ci na tym nie zależy. Byłoby to zresztą dość ryzykowne.

- Jeśli boisz się rozpoznania - rzekł z lekkim uśmiechem - to widocznie czujesz więcej, niż okazujesz...

Gorący rumieniec okrył całą jej twarz: zrozumiała, że robi aluzję do jej udawanej oziębłości w jego ramionach aż do chwili, kiedy pieśczołami przełamywał jej opory. W momencie podniecenia, kiedy wszedł do pokoju w trakcie jej kąpieli, była w stanie zapomnieć, co ostatniej nocy wydarzyło się między nimi. Teraz przypomniał jej to rozmyślnie, by ją dotknąć.

- Angelinę - zaczął mówić i poruszył się w wannie, jakby chciał wstać, aż woda polała się na podłogę, lecz ona już się opanowała i wysoko podniosła głowę.

- Nie oczekuję żadnego rozpoznania, ale te kobiety zauważą mnie i nie omieszkają oplotkować, gdy tylko wrócą do Nowego Orleanu. Do miasta jest wprawdzie dość daleko, ale znowu nie tak bardzo, jeśli się weźmie pod uwagę to, że mieszkańcy St. Martinville mają tam wielu krewnych, starych kobiet i ciekawskich mężczyzn, którzy nie mają nic lepszego do roboty, jak siedzieć i dogadywać takie historyjki.

Głośne pluski towarzyszące jego myciu ustały.

- Z tego, co wcześniej mówiliśmy, wynikało, że nie dbasz już o swoją opinię. Skąd teraz nagle taka troska o nią?

Czyżby teraz starał się zatrzeć wrażenie, że chciał jej dokuczyć? Przewrotne postępowanie. Jeśli zależało mu na tym, żeby jego słowom nie nadawać podejrzanego znaczenia, powinien w ich używaniu być ostrożniejszy.

Zignorowawszy jego pytanie, mówiła dalej:

- Rozumiem, że pan de la Chaise będzie tu także. Jest lekkomyślny, kocha dobre jedzenie i picie i inne... przyjemności, ale nie przyjmie mojej obecności przy tobie bez wiarygodnego wyjaśnienia, bez względu na to, co ty o tym myślisz.

- Nie będziemy mieli zaszczytu gościć go tutaj. Spotkaliśmy jego posłańca na drodze. M'sieur przeprasza, ale kolację musi zjeść z żoną.

Jeszcze się chwilę chlapał, ale zaraz usłyszała, jak wychodzi z wanny.

- Może mi pożyczysz swego ręcznika?

Poczuła silną pokusę, by odmówić prośbie. Przewyciężyła się, ale najpierw posłała mu piorunujące spojrzenie, a dopiero potem obciągnęła koszulę, odwinęła z siebie ręcznik i rzuciła mu.

Spokojnie wytrzymał jej wzrok i wolno zaczął wycierać krople wody z opalonej piersi.

- Masz coś przeciwko tym kobietom? Wolałabyś się nie przyłączać do takiego pospolitego towarzystwa, mizdrzącego się do mnie i moich towarzyszy, prawda?

Miał chyba rację, chociaż sama nie wiedziała dokładnie, dlaczego nie potrafiłaby się pogodzić z myślą, że miałyby dzisiejszego wieczoru dołączyć do tego grona.

- Czy to coś złego? Nigdy... to jest, nie wiem, jak...

- Nie masz doświadczenia w takich kawalerskich zabawach i nie chcesz go nabywać?

- Tak.

Patrzyła na niego niepewnie, spodziewając się wybuchu gniewu albo... śmiechu.

- Nie sądzę - rzekł wolno - żeby taka nieugięta i szczerą niewinność, jaką sobie przypisujesz, w sprawie tak nieważnej, jak zalecanki szlachetnie urodzonych do dziewczyn z półświatka, mogła zostać narażona na szwank.

- Widzę to inaczej: jak mam nie być przeszkodą w takim towarzystwie i takiej zabawie?

Patrzył na nią, jakby ją odkrywał: na znamionujący dumę kształt szczęki, na zmrużone oczy, na całą twarz oblaną gorącym rumieńcem. Zgadzał się w duchu z jej odmową, chociaż na zewnątrz nie chciał się do tego przyznać. Dopiero kiedy sięgnął po leżące z boku spodnie, skinął głową na znak zgody.

- Niech tak będzie. Zostań tu, z dala od tego pijaństwa i bezeceństwa. Odgłosy tej zabawy będą tu pewnie docierały, ale rozmiar rozpusty pozostawiam już twojej wyobraźni.

• * *

Diabło przenikliwy - tak go nazwał Meyer. I to określenie pasowało do Rolfe'a.

Ponieważ nie mogła wpuścić Sarusa z kolacją ubrana jedynie w ręcznik, musiała nałożyć nocną koszulę, którą jej dał. Później nie mogła powstrzymać się od snucia domysłów, co tam na dole się dzieje.

A ponieważ Rolfe zostawił ją samą, schodząc na dół, nie mogła nie zadawać sobie pytania, czy przyczyną tego nie były tamte kobiety. Nie miało to wielkiego, a właściwie żadnego znaczenia. Niemniej było denerwujące, jako że nie potrafiła się nawet domyślić, co Rolfe będzie tam robił, mówił czy myślał.

Odgłosy trącanego szkła o szkło stawały się coraz głośniejsze, w miarę trwania zabawy unosząc się ponad dudnienie męskich głosów, rzępolenie skrzypiec na przemian z rozstrojonym klawesynem. Rozbrzmiewał śmiech kobiet przechodzący w tłumiony chichot. W powietrzu unosił się zapach alkoholu zmieszany z zapachem tanich perfum.

Angelinę nerwowo przemierzała pokój, a boki nocnej koszuli, rozciętej do kolan, plątały się jej wokół kostek, od

czasu do czasu odsłaniając zgrabne nogi. Końce niebieskiej jedwabnej przepaski, której użyła, by zebrać obszerne fałdy koszuli, fruwały w powietrzu przy każdym kroku. Podwinęła rękawy do łokcia, skąd zwieszały się w ciężkim zwoju, rozwijającym się przy każdym opuszczeniu ręki. Dekolt, wielki na tyle, by przeszła przezeń męska głowa, opadał na jej szczupłej sylwetce, odsłaniając dość głęboko piersi. Wyszyta z boku korona przypadała akurat na miejsce, gdzie tkwił szaroczerwony szczyt jednej z nich, lekko widoczny przez delikatny materiał.

Do swego wyglądu w tej koszuli nie przywiązywała zbyt dużego znaczenia, tak samo zresztą, jak do kaskady włosów luźno opadających poniżej pasa i współgrających z szarzielonymi oczami. Bardziej interesowało ją to, jak wyglądały te kobiety na dole.

Czy te gdczące kokoty były ładne? Czy ze swym krzykliwym wdziękiem i łatwością odpowiadały gustowi Rolfe'a? Był z nimi obyty. Nie dbała o to, czy będzie się z nimi zadawał czy nie. Czy były to blondynki czy szatynki? Młode czy stare? Wolałaby, żeby były starsze. Takie by go dobrze obsłużyły i przytłumiły jego wybująy temperament.

Staną nasłuchując. Chichoty dochodzące z dołu, wymieszane z basowymi śmiechami, nie wskazywały na to, by były to kobiety stare. Z ich brzmienia można się było raczej domyślać, że były to młode, głupie i bez powodu podniecone dziewczyny. Nie potrafiła zrozumieć, jak takie kobiety mogły przyciągać mężczyzn. Miała nadzieję, że hałasy niedługo ustaną i wszyscy pójdą do łóżek.

Co mogło ich tak śmieszyć?

Angelinę stała z zaciśniętymi ustami i przysłuchiwała się wybuchom śmiechu, docierającym aż tu, do sypialni. Nie wytrzymała. Otworzyła drzwi i wyszła z pokoju. Zatrzymała się na górnym podeście. Nie było stąd

widać nikogo. Hall na dole był mocno oświetlony. Położyła rękę na balustradzie i pochyliła się, by spojrzeć w dół. Zobaczyła niewiele. Mężczyźni siedzieli przy stole, więc z tego miejsca widziała jedynie ich nogi. Zobaczyła również nagie nogi kobiet. Uklękła, nachyliła się jeszcze bardziej i przysunęła głowę do szczebli poręczy.

Grali w karty. Mężczyźni siedzieli rozparci na krzesłach z kartami w rękach, a przed każdym z nich stał kielich wina. Pili najwyraźniej dużo. Rozmawiali podniesionymi głosami. Twarze mieli zaczerwienione. Pozdejmowali tuniki i byli tylko w koszulach z krótkimi rękawami. Meyer siedział z przymkniętymi oczami i palcami uderzał po kartach. Oswald odchylił się do tyłu razem z krzesłem i mówił coś do Oscara. Ten patrzył na brata jakimś osowiałym wzrokiem. Leopold był rozpalony, czarne włosy opadały mu na czoło, co sprawiało, że wyglądał na zagubionego, a to zupełnie nie pasowało do sytuacji. Gustave z przekrzywioną opaską na oku pracowicie liczył punkty w kartach, dotykając każdej po kolei zniszczonym palcem.

Kobiety zebrały się w jednym końcu stołu, za siedzącym tam samotnie graczem. Brały udział w grze w charakterze stawek, co im widocznie odpowiadało. Obejmowały ramionami tego, kto je wygrywał.

Niebieskie oczy Rolfe'a były jasne od wypitego wina. Przyjmował ich pieszczoty równie obojętnie jak ich poświęcenie, kiedy los się od niego odwrócił i zaczął przegrywać. Kobiety, młode i atrakcyjne, w przeważającej części brunetki, choć jedna czy dwie jaśniejsze, były roznegliżowane. Zdejmowały z siebie po jednej części garderoby, w miarę jak ich partnerzy przegrywali. Zdejmowaną garderobę rzucały na stół. Pas do pończoch obsyty koronkami, teraz zwinięty w jedwabny rulonik, powitały głośne okrzyki zachęty, gdyż dziewczyna, która go zdjęła, miała na sobie już tylko krótką koszulkę.

Dołączono go do dwu jaskrawych sukien i kilku par pantofli. Jeśli gra potoczy się dalej w tym tempie, nagie kobiety staną się własnością zwycięzcy w ciągu paru minut.

W pierwszej chwili Angelinę była przerażona tym, co widzi, ale wkrótce jej to zobojętniało. Całą uwagę skupiła na Rolfie, cieszącym się w tej chwili z przegranej swoich przyjaciół. Nigdy nie widziała go jeszcze tak rozluźnionego, bez śladów napięcia na twarzy. Swobodny uśmiech wyrównywał surowe zmarszczki, w ich miejsce pojawiała się wesoła siateczka wokół oczu. Tak pewnie zachowywał się do momentu śmierci brata - pomyślała - zanim nie oskarżono go o tę śmierć i o usiłowanie objęcia tronu ojca. Tak musiał wyglądać, gdy bił się i włóczył po całej Europie, gdy puszył się przed swymi cygańskimi utrzymankami, gdy podbijał serca rodaków i członków przybocznej gwardii. W tym momencie, zapomniawszy nawet o niej, odrzucił brzemię niechcianej odpowiedzialności i szukał zapomnienia w rozrywkach, nie stroniąc także od alkoholu.

Nie był trzeźwy. Potrzebowała trochę czasu, by to zauważyć. Ręce trzymał spokojnie, wzrok miał czysty, przy licytacji mówił wyraźnie, ale ponosiła go trochę brawura, coś w rodzaju nonszalancji - skutek wypicia większej ilości wina. Złocisty zarost na twarzy był trochę dłuższy, oczy odrobinę bardziej podkrążone niż zazwyczaj. I jeszcze jedno mogło wskazywać na to, że jest pijany: mimo że poruszała się ukradkiem, powinien ją zauważyć, a jednak nie spojrzał w tym kierunku ani razu.

Była jedna osoba w tym towarzystwie, która ani nie brała udziału w zabawie, ani nie występowała w roli stawki w grze. Była to jedna z kobiet, dziewczyna może siedemnastoletnia. Stała trochę na uboczu, ze wzrokiem utkwionym w podłogę. Kiedy w pewnym momencie Leopold zwrócił się z czymś do niej, uśmiechnęła się

nieśmiało, jakby prosząc o wybaczenie i zaraz odwróciła się w drugą stronę.

Wyglądała na Akadyjkę, z miękkimi lokami i brązowymi oczami, krępa, ale o delikatnych rękach i subtelnych rysach twarzy, o ruchach nerwowych, lecz nie zdradzających wstydu.

Gdzie byli jej znajomi, jej rodzice? A może nie miała nikogo? Może była sama?

Rolfe zwrócił uwagę na dziewczynę dopiero wtedy, gdy zaczepił ją Leopold. Uśmiechnął się do niej lekko, ignorując pozostałe kobiety uwieszone u jego ramion, ujął ją za rękę, przyciągnął do siebie i posadził na kolanach. Patrzyła na niego trochę wystraszona. Podniósł kieliszek, upił trochę wina i podał jej. Bez zastanowienia zaczęła z niego pić i to z tego miejsca, którego przed momentem dotykały jego wargi.

Angelinę podniosła się bardzo ostrożnie. Nogi jej zeszywniały i zdrętwiały. Z trudem zrobiła kilka kroków wstecz, by zniknąć z pola widzenia. Weszła do sypialni. Musiała się bardzo pilnować, by nie trzasnąć drzwiami.

- VIII -

Po domu, obijając się od ścian, niósł się odgłos wystrzału. Po chwili rozległ się wibrujący strachem pisk. Angelinę zerwała się i siadła na łóżku. Jeszcze dobrze nie zasnęła, zamknęła na chwilę oczy. Wsunęła się pod koce, bo było jej zimno w nogi. Przebudzona nagle, w pierwszej chwili nie wiedziała, gdzie się znajduje, jakby gdzieś na skraju sennej mary, która wnet powinna zniknąć.

Następny strzał rozdarł ciszę nocy i odbił się od ścian. To już nie była senna mara. Ponownie rozległ się pisk przechodzący w kobiecy chichot. Z hallu dochodziły wymieszane głosy.

Nagle wszystko ucichło.

Co się stało?

Angelinę zgarnęła włosy do tyłu i wysunęła się z łóżka, obciągając na sobie nocną koszulę. Przez moment pomyślała, że to może odsiecz po nią, ale zaraz tę myśl porzuciła. W głosach dochodzących z dołu nie było słyhać wołania o pomoc, a jedynym niepokojącym dźwiękiem był piskliwy krzyk jednej z kobiet.

Angelinę podeszła do drzwi. W chwili, gdy je otwierała, padł trzeci strzał. Zaraz potem rozległ się jęk:

- Nie mogę... ja już nie mogę...

- Trzymaj spokojnie, na miłość boską! - zawołał Oscar.

Pijani gwardziści kołysali się w tył i w przód i pokrzykiwali w stronę dziewczyny trzymającej w ręku kartę, dodając jej otuchy.

- Wymień kartę - rozkazał Rolfe odkładając na stół trzymany w ręku pistolet.

Oscar, z jedną ręką na temblaku, ruszył przez pokój. W ręku trzymał szóstkę pik. Z palców dziewczyny wyjął szóstkę kier i w to miejsce włożył nową kartę. Dla większego bezpieczeństwa podniósł jej rękę trochę wyżej i odsunął trochę dalej od głowy, po czym wrócił na swoje miejsce.

- Cztery z sześciu! - zawołał z zadowoleniem. - A wszystkie w kartę. Nieźle!

Rolfe uniósł pierwszy pistolet. Akadyjka skurczyła się ze strachu i odwróciła twarz. Wolną ręką zakryła usta. W świetle świec jej skóra nabrała zielonego odcienia, a z oczu wyzierało przerażenie.

Rolfe wycelował i strzelił. W nowej karcie, w miejsce czarnego serca, pojawiła się dziura. Dziewczyna krzyknęła i zgięła się w pół. Oscar odwrócił od niej pobladłą twarz.

Angelinę dłużej nie mogła wytrzymać. Szybko zbiegła ze schodów.

- Co wy tu wyprawiacie? Nie widzicie, że dziewczyna ledwie żyje?

Nie czekając na ich reakcję, podeszła do Akadyjki, stając pomiędzy nią a strzelającym. Wyrwała kartę z ręki dziewczyny i trzymając ją sama, ujęła płaczącą za ramię.

- Ejże! - zawołał ktoś. - Zakład jeszcze nie skończony!

Angelinę nie zareagowała. Odprowadziła ją na bok i posadziła na krześle.

- O n a ma kartę! - zawołała któraś z kobiet. - Może sama chce potrzymać?!

Inna to powtórzyła, a jeszcze inna klasnęła w ręce. Angelinę spojrzała na Rolfe'a. Stał z drugim pistoletem w ręku, z wyrazem zakłopotania na twarzy.

Wypity alkohol pozbawił ich możliwości racjonalnego myślenia: chętni, gotowi za wszelką cenę zrobić z czegoś

lub kogoś dobrą zabawę. Nie martwili się o to, że dla głupiego zakładu narażali na niebezpieczeństwo czyjeś życie. Strach, jakiego jeszcze nigdy przedtem nie doznała, przeszył ją na wskroś. Kiedy się zastanawiała, czy poddać się tej próbie, dotarł do niej ich śmiech. Chciała na nich krzyknąć, ale powstrzymała ją jakaś wewnętrzna duma. Nie zniży się przecież do ich poziomu. Jedyne, co jej pozostało, to ich głupocie przeciwstawić swoją dumę.

Z podniesioną wysoko głową ruszyła w kierunku świeczników. Podeszła do postrzelanej ściany i z uśmiechem na ustach wyciągnęła rękę z szóstką pik z jednym serduszkim już przestrzelonym.

Zapadła cisza. Przerwał ją Meyer.

- Skoro zmienia się osoba trzymająca kartę, czy nagroda też się zmienia?

Ciemne brwi Rolfe'a ściągnęły się w jeden łuk rozcięty głęboką zmarszczką. Oscar, z brązowym lokiem na czole, najpierw spojrzał na Angelinę, potem na Akadyjkę, a jeszcze potem, niepewnie, na księcia.

W tym momencie Angelinę w pełni zrozumiała, jaką grę przerwała. Stawką zakładu była dziewczyna: od wyniku strzelania zależało, kto będzie ją miał na tę noc. Przez niedopatrzenie zaproszono tylko pięć kobiet, o jedną za mało, gdyż mężczyzn było sześciu: Gustave, Leopold, Meyer, Oswald, Oscar i oczywiście sam książę.

Rolfe, zamiast skorzystać z przysługującego mu prawa decyzji, przyjął takie rozwiązanie. Jak do tego doszło? Czy Rolfe'a opuściło szczęście i stracił wygrane dziewczyny jedną po drugiej? Czy w tej ostatniej rozgrywce szło mu o to, by trzęsąca się teraz na krześle dziewczyna zdjęta koszulę jako wygraną Oscara i pokazała, zawstydzona, swoją nagość? Czy ten, kto w tych okolicznościach, w migocącym świetle świec i tańczących cieni, wykaże się większymi umiejętnościami strzelec-

kimi, dostanie i koszulę, i tę, która ma ją na sobie, a przegrywający nie dostanie nic? Czy ona zajmując miejsce tej dziewczyny, sama, jak to delikatnie określił Meyer, staje się nagrodą w tej grze? Czy w tym momencie ma przestać być dziewczyną tylko księcia, a stać się dziewczyną ich wszystkich?

Zainteresowanie wagą wygranej było jasne. Zrozumiałe też było załamanie młodej Akadyjki, gdy stała się ceną w grze i jednocześnie półnagim celem dla nietrzeźwych graczy. No, tak. Tej przedziwnej, wykraczającej poza zdrowy rozsądek sytuacji już nie zmieni. Najlepszym rozwiązaniem będzie szybkie jej zakończenie.

Angelinę stała wyprostowana, a światło świec rozplątywało się w jej włosach niczym płynna miedź. Przebijało się przez delikatną tkaninę nocnej koszuli ukazując doskonałą symetrię jej kształtów w otocze półprzezroczystej materii.

Rolfe przyglądał się jej z ponurą miną. Zaciśnął szczęki. Nie zwracając uwagi na pytanie Meyera i napięcie, jakie ogarnęło wszystkich, spojrzął na kartę, którą trzymała w ręku. Na niej skoncentrował całą uwagę. Światło odbijało się od pistoletu, kiedy stawał bokiem, jak do pojedynku, i kiedy podnosił broń do wysokości oczu.

Huk wystrzału w pomieszczeniu był ogłuszający. Koło ucha usłyszała coś, jakby bzyk komara, poczuła szarpnięcie karty i uderzenie na policzku okruchów tynku, który kula odłupała od ściany. Zmrużyła oczy, ale nawet nie miała czasu się cofnąć, kiedy padł drugi strzał, a po nim następne jeden po drugim, oddawane po króciutkim celowaniu, każdy pod trochę innym kątem. Kiedy umilkł huk szóstego wystrzału, Rolfe zniknął w chmurze szaroniebieskiego dymu.

Opuścił broń, ale dalej stał w poprzedniej pozycji, dopóki Oscar nie podszedł do Angelinę i nie wykrzyknął:

- Wszystkie sześć!

Rozległ się ogólny hałas i wołanie o wino, by to uczcić. Wszyscy wypili toast za odwagę Angelinę, po czym mężczyźni, odwróciwszy się, rzucili kieliszki w dogasający ogień na kominku. Kobiety śmiały się i piszczały, kiedy mężczyźni z radości zaczęli obejmować ich uległe ciała. Rolfe rzucił swój kieliszek w ciemniejące palenisko, odwrócił się i ruszył w stronę Angelinę.

W tym momencie Oscar, uderzając zgiętym palcem w kartę, którą wyjął z ręki Angelinę, zawołał zaczepnie:

- Zabierasz obie kobiety, Rolfe, czy pozwolisz, że ze względu na to, że ta, co dla mnie trzymała kartę, była mniej spokojna niż twoja, również dla mnie potrzyma kartę, a do zwycięzcy będzie należał wybór, którą sobie weźmie?

Hałas ucichł. Rolfe podszedł do Angelinę i ujął ją za rękę.

- Nie będzie już żadnych pojedynków - powiedział, a głos drżał mu z hamowanej emocji. - Dopuszczałem do pierwszego, bo tego wymagała uczciwość. Żaden inny powód nie istniał. Po wygraniu do mnie należy wybór. Zrzekam się prawa do tamtej dziewczyny i wybieram Angelinę. Nie będę narażał jej na niebezpieczeństwo. Jest moja.

To był rozkaz do rozejścia się, oznaczał koniec zabawy na dzisiejszy wieczór. Nie czekając na pytania czy protesty, ruszył w kierunku schodów, zabierając ze sobą Angelinę. Zabolało ją, że tak bezceremonialnie każe jej iść, rozgniewał całkowity brak delikatności, nonszalancja, z jaką ogłosił ją swoją kobietą, tupet, z jakim prowadził do sypialni.

Wyrwała mu rękę.

Obrócił się, spojrzał na jej rozpalone policzki.

- Masz zamiar zgłaszać pretensje? Bardzo proszę, ale nie teraz.

- Myślę, że to akurat najlepszy czas! - zawołała z błyskiem w oczach.

- Nawet jeśli miałyby to oznaczać ponowny, odmienny sposób podziału kobiet? W tej chwili wszystko się zgadza, a osiągnięto tę równowagę bez przelewu krwi i bez konfliktów. Nie mogę zagwarantować, że ten stan się utrzyma, jeśli masz zamiar zburzyć tę równowagę... znowu zburzyć...

- Znowu?! - zawołała stłumionym głosem. - Co to była za równowaga, kiedy niemal do obłędu doprowadziłeś tę biedną dziewczynę, walcząc o nią z Oscarem!

- Połowa przerażenia tej biednej dziewczyny brała się ze strachu, że mogę wygrać. Ponieważ była najsmakowitszym kąskiem w tym towarzystwie, chciałem ją zostawić Oscarowi, ale w uczciwej walce. Gdybyś się nie pojawiła, przegrałbym zakład i zostawił ją jemu pomimo widoków, że w swoim łóżku zastanę chlipiącą i biadolącą...

W piersiach poczuła nagłą ulgę.

- Więc chciałeś... miałeś zamiar... zostawić ją Oscarowi?

- Powinnaś się starać kryć swoje uczucia na tym pokazie litości. A teraz idziesz, czy decydujesz się skorzystać z rozkoszy powszechnego zbliżenia? Jeśli masz zamiar dołączyć do tego, będę ci musiał zarezerwować miejsce.

Z wahaniem popatrzyła w kierunku, który jej wskazał.

W jednym końcu pokoju Oscar klęczał przed Akadryką, coś jej pieszczotliwie tłumaczył i ocierał łzy końcami palców. W drugim końcu pozostałe pary splecione ramionami siedziały na kozetkach lub stały oparte o stół. Szybko odwróciła wzrok i nie zwracając uwagi na jego teatralny gest ruszyła schodami na górę, jakby popychana niewidoczną siłą.

W pokoju podeszła zaraz do toaletki, wzięła szczotkę i nachyliwszy się, zaczęła wyczesywać z włosów okruchy tynku. W lustrze widziała, jak Rolfe podszedł i stanął

tuż za nią. Przez moment pomyślała, że jej dotknie. Zamarła w bezruchu. Obrócił się jednak, zdjął tunikę i rzucił ją na krzesło.

- Duszony w sobie gniew jest wrogiem snu - rzucił przez ramię - trzeba znaleźć środek na jego rozładowanie. Chcesz mi coś powiedzieć?

Jego całkowity brak poczucia winy mógł doprowadzić do szału.

- Wiesz to bardzo dobrze.

- Ale oferuję ci radość wylania potoku oskarżycielskich słów na moją biedną głowę. Będzie to furia czy tylko poważne ostrzeżenie?

- Dobrze - powiedziała podniesionym tonem. - Nie jestem twoja!

- Co cię tak denerwuje: publiczne przyznanie się do tego, czy świadomość, że to wnet nastąpi?

- Ani jedno, ani drugie!

Z ręką tak zaciśniętą na uchwycie szczotki, że aż zbiełały jej palce, obróciła się powoli, by spojrzeć mu w oczy.

- Nie jestem ani zabawką, ani maskotką. Jestem Angeliną Fortin. Jestem tu nie z własnej winy, a tym bardziej - nie w własnej woli. Należę jedynie do siebie. To, że zostałam zmuszona do pozostania tutaj, niczego nie zmienia.

- Tak myślisz? Sądzę, że już dałem ci do zrozumienia, że bez względu na to, co mi powiesz, bez względu na wynik naszych poszukiwań Claire, nie pozwolę ci odejść. Co czy kto może mi cię odebrać?

- Ty nie myślisz... nie możesz tak myśleć!

- Nie mogę? A jeślibym mógł, to co? Co byś na to odpowiedziała?

Spojrzała na niego zaskoczona.

- Grozisz mi wiecznym więzieniem?

- Takie określenie nie pieści ucha, ale oddaje istotę rzeczy.

- Nigdy ci się to nie uda i to mnie nie martwi. Zresztą twoje zainteresowanie mną zniknie, skoro tylko znajdziesz Claire.

- To sprawdzian, moja droga? Niemądry. Domyślasz się zapewne, jak trudno mi się przeciwstawić tak ostrej krytyce.

Wesołe nutki w jego głosie odczuwała jak chłostę.

- Chcesz mnie nastraszyć.

- Nawet jeśli mi się to udaje, to i tak potrzebuję pocieszenia.

- Zraniona duma? - rzuciła ostro. - Spodziewasz się może, że rzucę ci się w ramiona z wdzięczności?

- To byłoby coś nowego.

- Jeśli to jest to, czego ci potrzeba, to możesz spróbować z którąś z tych kobiet na dole. Ich udawana przyjemność, sprzedawana i kupowana, jest pod ręką, jeśli tylko chcesz.

- Nie! - rzekł krótko, a oczy zwięziły mu się w niebezpieczne szparki. - To następna próba?

Musi temu zaprzeczyć - pomyślała - ale nie była w stanie tego zrobić.

- Nie wolno ci traktować mnie, jak ci się tylko podoba. Dlaczego robisz rzeczy, których nie rozumiem? A nie rozumiem chociażby tego, dlaczego mnie tu w ogóle trzymasz.

- Dlaczego? Z takiego powodu, dla którego mnich nosi włosienicę na gołym ciele - jako przypomnienie ślubów składanych z najwyższych pobudek.

- Prawda. Przecież ciebie cieszy to, że cię nikt nie rozumie.

- W tym jest sens, jeśli go tylko poszukasz.

Wróciła do toaletki, odłożyła szczotkę. Czuła na sobie jego spojrzenie, była jak królik, obserwowany przez wilka. Wiedział, że ma nad nią przewagę. Co więcej, ona też o tym wiedziała. Mógł sobie pozwolić na wszystko.

Co było zdumiewające, to jego dotychczasowa cierpliwość. Jeśliby uznała go za gentlemana, człowieka honoru, to musiałaby też uznać, że to poczucie winy w połączeniu z przekonaniem, że odnajdzie Claire, powstrzymało go dotychczas od użycia brutalnej siły, by wydobyć z niej informacje. Faktem było, że dotychczas próbował jednego sposobu przekonywania, a nie był to sposób salonowy, choć po prawdzie, nie był też zbyt bolesny. Teraz jednak, kiedy przeczesywanie terenu nie dało żadnego rezultatu, pewnie gotów jest zastosować inną taktykę, by znaleźć to, czego szukał. Bo jak inaczej rozumieć znaczenie jego słów?

Lekki skrzyp podłogi ostrzegł ją, że się do niej zbliża. Jedną ręką chwycił ją delikatnie za ramię, a drugą objął w biodrach i lekko przyciągnął do siebie. Wdychał różany zapach jej włosów, odrastającą brodą łaskotał skronie, kiedy nachylił się, by ustami dotknąć delikatnej skóry na jej szyi tuż pod uchem.

- Zostaw! - powiedziała ostro, wciągając powietrze; chciała uwolnić się z jego objęć, ale trzymał ją mocno.

- Dlaczego? Boisz się, mimo wszystko, ulec urokowi szczęścia? - mówił niskim głosem. Na policzku czuła jego oddech.

Kiedy odchyliła się tak, że mogła na niego patrzeć, jej włosy spłynęły w dół i zakryły jego ramię.

- Pochlebiasz sobie. Z prawdą mijasz się z daleka, zwłaszcza gdy myślę o pobudkach, jakimi się kierujesz.

- To znaczy? - spytał ze wzrokiem utkwionym w jej ustach.

- Nie jestem tak naiwna, by myśleć, że po prostu podobam ci się... Wykorzystujesz moje uczucia do tego, żeby...

Uśmiech pojawił mu się na twarzy.

- Twój czar pocałunków? Niezła myśl.

- Nie - powiedziała przez zaciśnięte zęby - jeśli mogę tego uniknąć.

- A możesz? To jest właśnie pytanie.

Patrząc jej prosto w oczy, pochylił się, by dotknąć jej ust. Wargi miał mocne, ciepłe, delikatne i smakowały winem. Czuła, jak wbrew jej woli zaczynają działać zmysły i chociaż starała się budować linie obrony przeciwko niedostrzegalnej osaczającej inwazji, nie mogła przewyciężyć ogarniającej jej bezwładnością, która zdawała się łamać w niej wszystko. Poddawała mu się całą sobą. Oczy błyszczały, a usta miała lekko rozchylone.

Przez moment stała cicho. Potem przez ściśnięte, suche gardło zaczęła mówić.

- Uważaj, bo może się stać tak, że rozbudzając zmysły i uczucia, stracisz kontrolę nad swoimi. A ja się nie zawaham, to ci mogę obiecać, użyć twojej własnej broni przeciwko tobie i jeśli to miałoby się zdarzyć, nakazać ci zaprzestania poszukiwań i powrót tam, skąd przybyłeś.

- To ładnie z twojej strony, że mnie ostrzegasz, ale musisz zdać sobie sprawę z ryzyka.

- O jakim ryzyku mówisz?

Siłę jego ramion odczuwała jako rękojmię bezpieczeństwa i całkowitej pewności, której pragnęłaby się poddać.

- Jeśli na swą duszę nałożę kajdany i stanę się twoim dobrowolnym niewolnikiem, to może się zdarzyć, że będę cię tak bezgranicznie potrzebował, że nie cofnę się przed użyciem siły, by cię zabrać ze sobą.

Takie widoki na przyszłość powinny ja przerazić. To, że tak się nie działo, było bardziej niepokojące niż wszystko, co powiedział. Nie miała jednak czasu głębiej się nad tym zastanowić.

Pochylił się nad nią i pocałował ponownie. Pocałunek był mocny, rozbijający, tak zdecydowany, jak on sam przed chwilą, gdy brał do ręki pistolet na dole w hallu. Jego pragnienie, kontrolowane rozumem i nieugiętą wolą, przypuszczało ostry szturm, którego nie miała nadziei odeprzeć. Czuła, jak zmysły brały górę i po-

chłaniały resztki jej oporu. W ostatnim przebłytku świadomości zrozumiała, że w tych sprawach natury nie należy poprawiać: odpowiedzią kobiety na męską brutalną siłę zawsze było miękkie poddanie. Walka z nim, przy pełnej świadomości, że jest słabsza, jest tylko prowokowaniem przegranej. Jeśli natomiast wyjdzie mu naprzeciw i to z gracją - może go rozbroić, zranić, otworzyć na własne rodzaje broni.

Przesuwał rękę coraz wyżej, aż dotarł do jej piersi. Wielkim palcem, przez delikatny materiał, dotykał samego ich szczytu. Wnet poczuła naprężenie i ciarki przenikające całe ciało. Rosła siła nacisku. Nie mogła zrozumieć, jak to się stało, że przed chwilą broniła się przed nim z taką determinacją, a teraz bezwładnie tkwi w jego ramionach i wcale nie zamierza się bronić. Opierała mu głowę na ramieniu, a całe ciało było zupełnie bezwolne.

Powoli obrócił ją twarzą do siebie. Potem bez wysiłku wziął ją na ręce, podszedł do brzegu łóżka i ułożył na materacu. Kilkoma ruchami zrzucił ubranie i położył się obok niej, szczupły i brązowy w świetle palących się na bocznym stoliku świec. Niebieski płomień palił mu się w oczach, gdy wyciągał się koło niej. Podciągnął jej koszulę aż do bioder. Gdy poczuł przepaskę, cicho zaklął i za moment już jej tam nie było. Przez głowę zdjął z niej tę obszerną szatę i z zachwytem wpatrywał się w piersi, teraz całkiem odkryte.

Odrzucił koszulę, wyciągnął się obok niej, objął i obrócił tak, że znalazła się na nim. Zanurzył palce w jej włosach, które zaraz opadły i niczym kurtyną okryły ich głowy. Ujął jej twarz w swe twarde ręce szermierza i zbliżył do swoich ust.

Czuła jednostajne podnoszenie się i opadanie jego piersi, uderzenia serca i łaskotanie włosów na piersiach. Jego brzuch był płaski i mocny, uda poznaczone węzłami mięśni. Czuła, jak rozluźnia się wewnątrz, jak to, co

przeżywa, pochłania ją całą. Leżąc w takiej pozycji w jakiś sposób panowała nad nim i nie mógł nią tak łatwo zawładnąć. Mimo jego siły i ciężaru nie była mu tak całkowicie poddana. To rodziło w niej poczucie wolności.

Głaskał jej plecy, potem obłe kształty bioder. Czuła wzrastające podniecenie, gdy przechylał się na bok, ciągle trzymając ją mocno przy sobie. Piersiami dotykała jego piersi. Mimo chłodu panującego w pokoju było jej gorąco. Czuła, jak płonie. Palcami wolnej ręki przesunęła po jego twarzy dotykając miejsc, gdzie stykały się ich usta. Stwarzało to uczucie całkowitej bliskości, zbliżenia ponad wszystkimi granicami, aż do zupełnego zagubienia się, kiedy rozsunał jej uda i powolnym ruchem bioder wniknął w nią jak pulsujący płomień.

Wstrzymała oddech. Po chwili podniosła się lekko razem z nim. Chciała go mieć bliżej i bliżej. Nie myślała o niczym innym. Ciało zamieniało się w żywy ogień. Nie wiedziała nic, niczego nie chciała poza tym żarem. Zdawała się w nim rozpływać, niknąć. Oczekiwała już tylko całkowitego zagubienia. Mięśnie jej stężały, poczuła skurcz. Z sykiem wciągnęła powietrze.

Jego ruchy ustały. Chrapliwym głosem, gdzieś z głębi piersi, powiedział:

- Chodź, kochana, a zabiorę cię tam, gdzie wieczna wiosna...

Oparła się, podniósł i wsunął ją pod siebie. Wtulił się w nią, a ona przystosowała się do jego ruchów. Odpłynęła gdzieś w ponadczasowym zapomnieniu. W przypływie podniecenia zapominała, gdzie i kim jest. Słyszała jego świszczący oddech, mocne bicie serca, czuła dreszcz, jaki przez niego przebiegał. I w tym momencie nastąpiła eksplozja. A potem - bezruch. Wtuleni w siebie czuli tylko, jak przepływa przez nich fala płynnego ognia.

Minęło trochę czasu. Angelinę leżała bez ruchu, z wolna przychodząc do siebie. Rolfe leżał obok niej,

z ręką na jej piersiach i twarzą w jej włosach. Oddychali wolno i spokojnie. Wracali z dalekiej podróży, chociaż nie minęło więcej jak pół godziny. Poczwała zimno. Czwała ciepło jego uda na swoim. Jeśli się poruszy, może go obudzić, ale jeśli jeszcze trochę tak poleży - zmarźnie.

Obróciła się delikatnie z nadzieją, że ją uwolni z uścisku albo może naciągnie na nich kołdrę, jak to już nieraz robił przedtem. Nie poruszył się. Pierś unosiła mu się w spokojnym rytmie, a powieki nawet nie drgnęły. Spał spokojnie i głęboko.

Jeśli do tego momentu miała jakiegokolwiek wątpliwości, czy był pijany, to w tym momencie się ich pozbyła. Nie mogła sobie wyobrazić, by w jakichkolwiek innych okolicznościach mógł tak szybko i mocno zapaść w sen. Wcześniej, ilekroć się poruszyła, budził się natychmiast.

A skoro był pijany, to niczego, co mówił, nie powinna brać na serio. Jego delikatność, jego chęć sprawienia jej przyjemności, mówienie o tklivości nie było niczym innym jak pijackim bełkotem. Stwierdzenie tego faktu było dokuczliwe. Bolesny był zawód, który ją spotkał.

Jaka była niemądra! Nic już nie może zrobić - i z tym musi się pogodzić. Jak płytkie były jej myśli, gdy pochlebiała sobie, że oto została wyróżniona, że Rolfe postawił ją ponad tamte kobiety. Zabrał ją na górę, a ona ten fakt poczytała za wyróżnienie. Cała jej przekora i mizerny opór nie miały sensu. Jej próżność została połączona tym, że człowiek, który ją porwał, który stosował wobec niej wymyślne tortury, w jakimś porywie uczucia wybrał ją i kochał z najwyższą tklivością. Powinna była zawierzyć instynktowi, który jej podpowiadał, że coś się za tym wszystkim kryje.

Teraz pozostawił ją samą, złą na siebie za to, że zdradziła własne ciało. Pasja, z jaką reagowała na niego, zaskakiwała ją i przerażała. Mało tego. Był taki

moment, kiedy trzymał ją w objęciach, że gotowa była obdarzyć go czymś zbliżonym do uczucia. Nie to, żeby była w nim w jakimkolwiek stopniu zakochana czy coś w tym rodzaju. Ale też nie było możliwe, żeby przy takim zbliżeniu z mężczyzną nie czuć niczego.

Znienacka przeszedł ją dreszcz. W poczuciu buntu przeciwko wszystkiemu, co wydarzyło się na tym łożu, poczuła desperacką potrzebę ucieczki od Rolfe'a, potrzebę znalezienia się sam na sam ze sobą. Cofnęła się, wysuwając się spod jego bezwładnej ręki. Rozejrzała się za swoją nocną koszulą. Była wetknięta pomiędzy dwie poduszki, przy czym jeden jej rękaw tkwił pod tą, na której leżał Rolfe. By go nie obudzić, wzięła swoją poduszkę, podłożyła mu pod głowę i powoli wyдостаła rękaw. Poruszył się, więc poczekała chwilę, ale obrócił się tylko i objął ręką poduszkę. Wstrzymując oddech odczekała jeszcze chwilę, aż się uspokoi. Dopiero wtedy zsunęła się z łóżka z koszulą w rękę. Założyła ją dopiero, gdy bosymi stopami dotknęła zimnych desek podłogi.

Krzeseła znajdujące się w pokoju nie były wygodne. Miałyby marną noc, gdyby zechciała na którymś z nich się przespać. Mogła ułożyć się na kilimku leżącym przed kominkiem, z plecami w stronę dogasających węgli, ale chodniczek był cienki, a podłoga twarda. Gdy tak stała, namyślając się, co robić, przypomniała sobie kozetkę w niedawno odkrytej garderobie. Jest tam pewnie zimno - pomyślała - ponieważ ciepło nie docierało tam od wielu dni, może miesięcy, a może nawet lat. Będzie potrzebowała jakiegoś okrycia.

Niepewnie przyjrzała się skotłowanym okryciom w nogach łóżka; mogła je wziąć, ale ryzykowała obudzenie Rolfe'a. Miała do wyboru: odsunięcie się od niego i niewygodę albo zbliżenie i przytulne ciepło. Do diabła z kimś, kto nawet we śnie potrafi stwarzać problemy! Jeśli kiedykolwiek miała szanse wygrać z nim, z tym księciem Ruthenii, to właśnie teraz.

Udało się. Z kołdrą w ręku odwróciła się i popatrzyła na nagą sylwetkę. Stała. W takim stanie, w jakim się znajdował, mógł leżeć godzinami, zanim poczuje zimno i przykryje się. W tym wilgotnym, przenikliwym, zimowym subtropikalnym chłodzie jak nic złapie zapalenie płuc.

Z ponurą miną odłożyła kołdrę, wróciła do łóżka, naciągnęła na niego prześcieradło i koc aż po ramiona i rękę przytrzymującą poduszkę. Gdy wszystko było już gotowe, uśmiechnęła się gorzko. Dziwne, ale wyglądało to trochę tak, jakby ktoś ciągle jeszcze z nim spał. Popatrzyła na jego opaloną twarz, odwróciła się szybko i podniosła kołdrę. Zdmuchnęła świece w lichtarzach stojących przy łóżku i ruszyła w stronę ściany, gdzie za zasłoną znajdowały się drzwi do garderoby.

Pomieszczenie było bardzo wilgotne i zimne, tak jak przypuszczała. Bez świecy, w bezksiężycową noc za oknem, było też ciemne. Zastały kurz, poruszony teraz jej wejściem, unosił się w powietrzu razem z zapachem pleśniejącej skóry. Położyła się na kozetce, zawinęła w kołdrę jak w kokon. Zaczęła nasłuchiwać odgłosów nocy w domu i na dworze. Wiatr hulał po poddaszu i poruszał bezlistnymi gałęziami drzew rosnących tuż przy oknach. Od czasu do czasu coś trzeszczało w ścianach i belkach domu. Był to naturalny akompaniament do odgłosu sprężyn materaców, jaki dawał się słyszeć po całym domu. Nie było niczego tajemniczego w tych odgłosach. Gwardziści wzięli kobiety na górę i teraz kotłowali się z nimi, każdy w swoim pokoju. Przez moment pomyślała, czy również z pokoju, który ona dzieliła z Rolfe'em, dochodziły takie hałasy i czy też wszyscy je słyszeli. Na samą myśl o tym zarumieniła się. Wtulając się jeszcze głębiej w kołdrę, zamknęła oczy, starając się nie myśleć już o niczym i zasnąć.

W jej niespokojny sen wtargnęły głośne trzaski, stając się elementem składowym majaków, jakie ją opanowały. Zobaczyła słup ognia unoszący się w niebo. Była zaciekawiona i przerażona, pełna pożądania i rozpacz. Słyszała trzask ognia i czuła zapach dymu. Oczy szczypały i zachodziły łzami. Drobiniki popiołu drapały w gardle, zaczęła się dusić.

Obudziła się kaszłąc, z kwaśnym zapachem dymu w nozdrzach. Oczy ją piekły. Skądś z bliska dochodził mocny i wyraźny odgłos strzelających płomieni. Siadła, nasłuchując trzasków dochodzących z pokoju obok. Przez szparę pod drzwiami widoczna była smuga tańczącego czerwopomarańczowego światła.

Wstała ze swego pościana i podeszła do drzwi. Otworzyła je i odsunęła kotarę. Łóżko, na którym tak niedawno temu leżała, całe stało w ogniu. Szkarłatne i złote płomienie obejmowały zasłony, czerniąc dymem sufit. Biegły wzdłuż szczytu łóżka, lizwały pościel, rzucały światło nawet w najdalsze kąty pokoju. Otaczały złotą aureolą głowę Rolfe'a, leżącego pod kocami tak, jak go zostawiła.

- O, Boże! - zawołała i rzuciła się w jego kierunku. Chwyciła go za rękę i spróbowała odciągnąć od tańczących płomieni. Był ciężki i bezwładny. Unieść go nie mogła w żaden sposób. Płonący strzęp materiału oderwał się od baldachimu nad łóżkiem i padł mu na ramię. Nie zareagował.

Przygryzając wargi podbiegła do toaletki i chwyciła dzbanek do połowy napełniony wodą. Chlusnęła nią na Rolfe'a i pościel. Trochę ognia z sykiem przygasło, ale płomienie, obejmujące zasłony, szalały dalej. Potrzebowała pomocy. Teraz. Natychmiast.

Rzuciła dzbanek i pobiegła do drzwi. Otworzyła je z hałasem i przez hall podbiegła do pokoju Meyera.

- Pali się! - krzyknęła. - Pali się!

W hallu na dole otworzyły się drzwi i ukazał się w nich zaspany Gustave.

- *Gott im Himmel!* - zawołał, gdy zobaczył płomień w ciemnym hallu. - Właśnie wydawało mi się, że gdzieś czuję dym.

- Tam jest Rolfe! - zawołała w jego stronę. - Nie mogę go dobudzić!

Za chwilę hall wypełniły przekleństwa mężczyzn i piski kobiet. Gwardziści rzucili się w stronę pokoju, gdzie leżał ich przywódca. Nie bacząc na rany i oparzenia, zerwali zasłony z łóżka, zgasili je, a potem kocami i poduszkami stłumili resztę płomieni. Leopold i Oscar przenieśli Rolfe'a w odległy kąt pokoju i położyli go na podłodze. Kiedy się cofnęli, ocknął się i z wyraźnym wysiłkiem otworzył oczy. Żrenicami pomniejszonymi do wielkości główki od szpilki wpatrywał się w Gustave'a i Meyera stojących na materacu, otoczonych kłębamii dymu i popiołu, jak dogaszali uparte resztki płomieni na baldachimie. Nie wiadomo, czy rozumiał, co się przed chwilą stało, ale zareagował w charakterystyczny dla siebie sposób.

- Co za bałagan! - wycodził przez zęby. - Do diabła! Nie mniejszy niż na całej tej przedziwnej ziemi.

Wszyscy poczuli ulgę. Sarus przyklęknął obok swego pana, blady jak ściana. Oscar patrzył na Leopolda i brata, którzy ze ścian zrywali resztki spalonych materiałów.

- Dzięki Bogu! - rzekł Meyer, a Gustave zeskoczył z łóżka i stanął nad leżącym.

- O co ci właściwie chodziło? - spytał siwy weteran. - Miałeś zamiar spalić ten dom razem z nami, czy chciałeś się tylko trochę ogrzać?

Rolfe zamknął oczy.

- Nie ma co podnosić hałasu. Będę musiał wyrównać szkody panu de la Chaise, ale z tego, co pamiętam, ta zabawa nie jest moim dziełem.

- Widywałem cię, jak piłeś co najmniej tyle, ile dzisiaj, albo i więcej, bez widocznych skutków. Jak więc się stało, że o mało się nie upiekłeś?

- Zawiodłeś się na mnie? Nic na to nie poradzę. Zagadki tej też ci nie wyjaśnię.

Gustave zamyślił się, a potem nagle przyklęknął na jedno kolano, uniósł Rolfe'owi jedną powiekę i przyjrzał się zwężonej źrenicy.

- Działają niezależnie od siebie, ale razem - rzeki książę, z trudem trzymając oczy otwarte; uniósł jedną brew, jakby o coś pytał.

- Narkotyk - rzekł Gustave. - Domyślam się, że to turkmeriski mak.

Leżącym wstrząsnął bezgłośny śmiech.

- Podtruły i bezsilny.

- Jak to się stało...? - zaczął Gustave, ale nie dokończył.

- Jeśli już musisz pytać - rzekł Rolfe zamykając oczy - to ci powiem: po prostu za dużo wypięłem.

Sarus wstał i wyszedł z pokoju. Angelinę popatrzyła na drzwi, za którymi zniknął, a w których teraz pojawiły się poblądłe kobiety.

Należało znaleźć odpowiedzi na wiele pytań. Kto dodał narkotyku do jedzenia czy napoju Rolfe'a? Czemu podał narkotyk, a nie truciznę? Czy miał nadzieję, że narkotyk zmieszany z winem wystarczy, by zabić? Widząc, że nie - zastosował dodatkowy sposób. A może zależało mu na tym, by to pożar spowodował śmierć, a narkotyk miał pozostać tajemnicą, którą Rolfe miał zabrać do grobu?

Oswald podszedł bliżej i jedną nogą oparł się o ścianę.

- Chcesz powiedzieć, że ktoś wszedł do domu, dodał opium do jedzenia Rolfe'a, ukrył się na czas, aż on zaśnie, potem przyszedł i podłożył ogień pod łóżko? To chyba niemożliwe. Przyznaję, że w przeszłości było kilka podejrzanych wydarzeń, ale trudno uwierzyć, by ktoś, obojętne kto, wchodził do naszych kwater. Poza

tym, czy zauważyliście, że lichtarze stały na samym skraju stołu? Myślę, że to jednak wypadek.

- A co z narkotykiem? - spytał Gustave.

- Na razie to tylko twoje podejrzenie. Nie można tego wytłumaczyć kilkudniowym przemęczeniem i zwiększoną podatnością na złe działanie wina?

- Tylko moje podejrzenie?! - wrzasnął Gustave i zerwał się na nogi.

Rolfę uniósł rękę i nie otwierając oczu, powiedział:

- Pytanie całkiem uzasadnione.

Teraz głos zabrał Meyer.

- Nie widzę uzasadnienia, by twierdzić, że ktoś, kto to zrobił, przyszedł z zewnątrz. W domu wieczorem było pięć obcych osób, a właściwie sześć, jeśli liczyć Angelinę. Poza tym, służący pana de la Chaise, który wciąż jeszcze leży w kuchni. Ich też trzeba liczyć. Do tego dostawców...

- I nas samych - powiedział Oscar na wpół do siebie.

Jakby zmówieni, wszyscy spojrzeli na Leopolda, który się podniósł z zaciśniętymi pięściami.

- To popatrzcie...

- Nie można liczyć Angelinę - powiedział szybko Gustave, jakby chciał zażegnać kłótnię. - To ona nas zaalarmowała. Inaczej moglibyśmy nie zdążyć na czas. A poza tym, będąc z Rolfe'em, była narażona na takie samo niebezpieczeństwo.

- Racja - powiedział Meyer zwracając się w jej stronę. - Może pani coś... może pani kogoś widziała?

- Ja nie... nic... ja nikogo. Kiedy się przebudziłam, wszystko wokół już się paliło.

Ze zrozumiałych względów nie chciała wchodzić w szczegóły, dlaczego nie była w tym samym pokoju, co Rolfę, a tym bardziej - w tym samym, co on, łóżku.

Któraś ze stojących w drzwiach kobiet zaśmiała się.

- Musiała mocno spać. Ciekawe dlaczego?

Meyer ostro spojrział w jej stronę, a potem powiedział do pozostałych:

- To prowadzi nas donikąd. Odłóżmy do jutra sekcję zwłok.

Wszedł Sarus niosąc na srebrnej tacy wielki kielich. Ukłakł obok Rolfe'a i podtrzymawał go, kiedy ten pil. Oparty na jednym łokciu książkę rzekł:

- Chyba za wcześnie na sekcję zwłok, Meyer.

Meyer obrócił się i ze śmiechem w oczach odparł:

- Na szczęście masz rację. A teraz co by tu z tobą zrobić?

Prześcielono dla księcia łóżko w pokoju Meyera. On sam zszedł na dół, by resztę nocy spędzić na jednej z kozetek. Kobieta, którą miał ze sobą, a która zaczęła głośno protestować, uspokoił, wciskając jej w rękę złotą monetę. Rolfe, nie podtrzymywany przez nikogo, podszedł do łóżka, położył się i z rozbawieniem w oczach przyglądał się Angelinę, zdenerwowanej i zarumienionej, unikającej zbliżenia się do niego, zanim wszyscy, jeden po drugim, nie wyjdą z pokoju i nie zostawią ich samych.

- Wiem, że zawdzięczam ci życie - powiedział, gdy wreszcie przysiadła na skraju łóżka obok niego.

- To nic takiego.

- Może dla ciebie, ale ja tę przysługę cenię wysoko.

- Nie miałam na myśli... - zaczęła z wahaniem.

- Wiem, co miałaś na myśli - przerwał jej. - Muszę się zastanowić nad nagrodą.

- Nie rób sobie kłopotów. Moje uwolnienie wystarczy za wszystko - powiedziała cierpko.

Popatrzył na nią błyszczącymi od narkotyków oczami i powiedział:

- Wszystko, tylko nie to.

- IX -

Angelinę była pewna, że Rolfe pości długo. Ale nie spał. W niecałe cztery godziny od powrotu do łóżka był znowu na nogach, ogolony, ubrany, jakby gotowy do drogi. Wydawało się, że ostatnie wypadki odbiły się niekorzystnie jedynie na jego opanowaniu. Najpierw obszedł się ostro z Sarusem, którego znalazł śpiącego na progu sypialni. Podobnie zachował się w stosunku do Angelinę, gdy nie odpowiedziała natychmiast, co by chciała na śniadanie. Zbeształ Gustave'a, który chciał mu dać jakiś środek na ból głowy. Schodząc do głównego, hallu zawołał na wszystkich, by za pół godziny, w mundurach, zebrali się na dole.

Kiedy mężczyźni, kryjąc ziewanie, w wymiętoszonych tunikach, zasiedli w charakterze doraźnego sądu, Rolfe nakazał sprowadzenie wszystkich kobiet na przesłuchanie. Było ono tak wyczerpujące, że kobiety po nim albo milczały z zaciśniętymi zębami, albo głośno płakały. Młoda Akadyjka była tak zdruzgotana, że Oscar musiał jej pomóc wyjść z pokoju, a ona sama ledwie powstrzymywała łkanie. Kiedy nadszedł czas odjazdu, nie można było jej uprosić, by jeszcze trochę została, chociaż Oscar bardzo na to nalegał. Odjechała z pozostałymi krótko przed południem, wgramoliwszy się do bryczki, którą pan de la Chaise podesał, żeby je odwieźć. Nawet się nie obejrzała, gdy pojazd odjeżdżał.

Popołudnie poświęcono na naradę, z której Angelinę wyłączono. Zaprowadzono ją do pokoju, który dzieliła

z Rolfe'em, gdy wybuchł pożar. Wprawdzie był już doprowadzony do porządku, ale ciągle jeszcze czuć było przykry zapach dymu, pomieszany teraz z zapachem mydła i olejku cytrynowego, którym przetarto meble. Po zakończeniu pracy Sarus wyszedł z ukłonem, zostawiając ją samą. Poszedł przygotowywać obiad.

Kilka razy słyszała odgłos kopyt końskich na podjeździe, widziała tego i owego z gwardzistów, jak wyjeżdżał i wracał z wyprawy, której celu mogła się jedynie domyślać. Wyglądało na to, że Rolfe'a zmęczyło długotrwałe przeczesywanie terenu i postanowił przyspieszyć poszukiwania Claire. Powodu nietrudno było się domyślić: wypadki ostatniej nocy musiały nim wstrząsnąć - przypominały okoliczności, w jakich zginął jego brat. Nienaturalna śmierć kolejnego następcy tronu Ruthenii we własnym łóżku - to za wiele. Wbrew temu, co mówił Oswald, pożar nie wyglądał na przypadek. Tego była niemal pewna. Zanim przeszła do garderoby, osobiście zdmuchnęła świece palące się na stoliku przy łóżku. Myśl więc, że złoczyńca mógł pochodzić z zewnątrz, miała cechy prawdopodobieństwa. Tylko że w takim wypadku musiałby otrzymać jakieś informacje od wewnątrz albo sam musiałby dokładnie wszystko obserwować. To byłoby bardzo ryzykowne. Bardziej logicznym wyjaśnieniem było to, co Gustave powiedział kilka dni temu: osoba, której zależało na śmierci Rolfe'a, należała do jego *gardę du corpse*.

Ale czemu ona się tym martwi? Powinna raczej zająć się samą sobą i dwuznaczną sytuacją, w jakiej Rolfe ją postawił. Powinna pomyśleć o swojej przyszłości i o tym, co zrobić, jeśli jego groźba zatrzymania jej przy sobie zostanie spełniona. Będzie musiała od niego uciec. Jeszcze nie miała pojęcia, jak to zrobi, ale nie może pozostać bierna i pozwolić mu na traktowanie jej wedle własnego widzimisię. Zgoda na to oznaczałaby na przyszłość życie takie, jakie wiodą kobiety dowieszone

tu poprzedniego wieczoru, życie od przypadku do przypadku, bez honoru i poszanowania, z koniecznością uznawania mężczyzny za swego pana, ale bez przynależności do niego, bez przynależności nawet do samej siebie.

Ściemniało się wcześniej, niebo pokryło się chmurami, a mgła spowiła drzewa. Zbierało się na deszcz. Angelinę wykapała się i umyła włosy. Rozczesawszy ich płataninę w długie, wilgotne, jedwabiste pasma, nałożyła swą kretonową bluzkę oraz tunikę, którą Sarus przyniósł świeżo upraną i uprasowaną. Siedziała przed kominkiem i suszyła warkocze, gdy nagle otworzyły się drzwi i wszedł książę. Stał, przyjrzał się jej uważnie, a potem zamknął je za sobą. Podszedł bliżej. Mówił tak, jakby chciał powiedzieć akurat nie to, jakby myśli miał zaprzątnięte czymś innym.

- Może w nagrodę za ostatnią noc chciałybyś dostać coś nowego do ubrania?

- Dziękuję, nie.

- Bardzo niedawno uskarżałaś się, że nie masz nic na zmianę.

Przyjrzała mu się, nie patrząc w oczy.

- Mam dość ubiorów w domu ciotki.

- Ale nie masz do nich dostępu. Jeśli te szmatki, które masz na sobie, są przykładem tego, co tam jest, nie masz za czym tęsknić.

- Co masz do zarzucenia tej bluzce?

- Nie mówiąc już o tym, że jest z najtańszego kretonu i pewnie drze się jak papier - odparł, jakby chciał sprowokować jej gniew - to jeszcze wygląda tak, jakby wyszła z mody pięć lat temu. A poza tym, zupełnie ci w niej nie do twarzy. Może była dobra dla Claire jako *jeune filie*.

Słowa były uszczypliwe, bardziej zjadliwe niż wszystko, co jej dotychczas powiedział, od chwili gdy się spotkali po raz pierwszy, gdy wziął ją za Claire. Opuściła

szarozielone oczy, przyćmione gniewem i czymś jeszcze, do czego nawet sama przed sobą nie chciała się przyznać.

- To jest wszystko, co mam.

- Proponuję ci, jak temu zaradzić.

- Nie jest to ani twoim obowiązkiem, ani prawem.

- Mylisz się - powiedział już miękko. - Jeśli zapragnę okryć cię diamentami i perłami, to mogę to zrobić. Jeśli sprawi mi przyjemność widzieć cię ubraną w kwiaty, z nogami owiniętymi w futra i z rubinem w pępku - to tak musi być. Żebyś nie mówiła, że nie wiesz. Wszystko, czego chcę od ciebie...

- Wiem! Stosowania się do twoich poleceń. Wybacz, jeśli stan mojej garderoby nie odpowiada twoim oczekiwaniom. Wyszłam źle przygotowana do długiego pobytu poza domem i zupełnie bez pojęcia, jaką rolę przyjdzie mi pełnić. Musisz się pogodzić z tym, że jestem, jaka jestem.

Stał nad nią wyprostowany, z oczami jak ciemne szafiry.

- Rozważam powrót do myśli, by cię utrzymać w ryzach, rozkazując ci, byś chodziła nago. Będzie to nie tylko wygodne, ale też powstrzyma cię od zbytniego spoufalania się z moją gwardią, od grania na ich uczuciach, żeby pozwalali ci na wszystko, czego będziesz chciała.

- Chyba... przesadzasz.

- Z trzymaniem cię nago, czy z reakcjami moich ludzi? Zapewniam cię, że jedno i drugie jest całkowicie możliwe i prawdziwe.

Ukląkł na jedno kolano przy krześle, na którym siedziała, i wyciągnawszy rękę, przesuwając palcami po jej policzku i w dół po szczęce, dołku poniżej szyi aż po zagłębienie między piersiami.

Jego słowa, łącznie z obietnicą zapłaty, uderzały w nią jak bolesne razy. Nie były wprawdzie niczym nowym - tego przecież mogła się po nim spodziewać,

niemniej gdzieś w głębi wzbierała w niej wściekłość jak nigdy dotąd. Odtrąciła jego rękę i wstała.

- Bardzo to miło z twojej strony - zaczęła łamiącym się głosem. - Ale...

W tym momencie rozległo się ciche pukanie do drzwi. Rolfe podniósł się, prostując na całą wysokość. Zrobił krok w stronę drzwi i zatrzymał się, jakby się wahał. Ich spojrzenia skrzyżowały się i zdało się jej, że w jego żywych oczach zauważyła jakiś błysk, jakby żalu. Odwrócił się jednak gwałtownie, ruszył do drzwi i otworzył je.

W progu stał Sarus. Naradzali się po cichu przez chwilę i służący zaraz odszedł. Z ręką na kłamce Rolfe zwrócił się w stronę Angelinę.

- Sarus powiedział mi, że obiad jest podany. Ale wynikła sprawa wymagająca mojej obecności. Wnet dołączę do ciebie w hallu na dole.

Już miał się odwrócić, ale spojrzał na nią, jakby się rozmyślił.

- To tak dla twojej informacji: odkryto miejsce ukrycia Claire. Rano będziemy ją mieli.

Angelinę przez długi czas wpatrywała się w drzwi, które zamknęły się za Rolfe'em. Zrobiła długi, głęboki, uspokajający wdech, przyciskając obie ręce do piersi. Nic w tej chwili nie mogła zrobić. Chciałaby być sama, chciałaby zapomnieć o jedzeniu, o wszystkim, co ją teraz czekało. Jeśli się jednak nie pojawi przy stole, Rolfe może zaraz po powrocie wprowadzić w czyn swoją groźbę. Nie chciała go do tego prowokować. Na razie musi robić, co jej każe, ale tak nie będzie zawsze.

Włosy niemal wyschły. Przeczesała je jeszcze raz, odrzuciła na plecy i wyszła z pokoju.

Schodząc po schodach zastanawiała się nad tym, co jej Rolfe powiedział. Przyglądała się dębowym stopniom i wykładzinom na ścianie z *faux bois* pomalowanym na marmur. Z ręką na poręczy rozejrzała się dokoła. Drzwi frontowe były otwarte na oścież, jakby ktoś przed chwilą

wszedł w pośpiechu do domu. Napływało stamtąd wilgotne zimno. Nie namyślając się ruszyła w ich stronę, by je zamknąć. Chwyciła za klamkę, ale wstrzymała się - zapatrzyła się w mglistą noc.

Przed schodami, uwiązany do metalowego słupka, stał osiodłany koń. Szarpał się nerwowo. Popatrzyła na niego płonącymi oczami. Poczowała nagłą pokusę, by wybiec przez drzwi, wskoczyć na siodło i odjechać. Obróciwszy wolno głowę, spojrzała w stronę hallu głównego, gdzie na stole stało już wszystko przygotowane do kolacji, lśniąca porcelana, kryształami i srebrem. Przy stole nie było nikogo, nikt też nie siedział na kozetkach przed kominkiem, w którym płonął ogień. Pewnie wszyscy byli na naradzie z Rolfe'em, o której mówił wcześniej. Sarus pewnie na zapleczu przygotowuje pierwsze danie. Wsłuchiwała się intensywnie i wychwyciła odgłosy jakichś rozmów. Zza hallu dochodził ledwie dosłyszalny brzęk naczyń. Niewiarygodne, ale tutaj była sama.

Przemknęła się przez drzwi, zamknęła je bardzo cicho za sobą, na palcach zeszała po schodach. Palce jej się trzęsły, więc potrzebowała dobrej chwili, by odwiązać lejce od słupka. Stojący tu koń to był wałach o jedwabistej, białej sierści i mądrych oczach. Pogłaskała go po karku i cofnęła pod blok do wsiadania. Włożyła nogę w strzemię, podniosła się i wskoczyła na siodło. Koń parsknął, odwrócił głowę, jakby chciał o coś spytać, ale nie wykonał żadnego nerwowego ruchu, by ją zrzucić z grzbietu. Cmoknęła cicho, wparła pięty w jego boki i skierowała w dół podjazdu.

Oparła się pokusie, by ruszyć galopem. Im dłużej nie zauważą jej ucieczki, tym większą będzie miała szansę. Udało się jej wyjść z domu, wsiąść na konia, ale nie łudziła się: jeszcze w każdej chwili mogą ją dopaść. Obejrzała się za siebie, tam, gdzie stał dom, z którego dopiero co wyszła. Przez okna widoczne były palące się świece, stwarzające atmosferę pełnej czujności. Przy

domu jednak nie było widać żadnego ruchu. Przygryzając wargi, jechała wolno naprzód.

Ogromną ulgę poczuła dopiero wtedy, gdy puściła konia kłusem. Jej szanse rosły z każdym metrem, jaki dzielił ją od ludzi księcia. Będą musieli siodłać konie, a to pochłania trochę czasu. Jeśli nawet byli lepszymi jeźdźcami, to konie pod nimi będą się męczyły szybciej. Kłus to było tempo, którym wałach będzie mógł pokonać wiele kilometrów. A taką odległość musi pokonać.

Gdy zbliżała się do plantacji de la Chaise, poczuła silną pokusę, by w tym kierunku jechać dalej. Im szybciej dotrze do ludzi, których będzie mogła zawiadomić, co ją spotkało, do kogoś, kto będzie mógł jej pomóc, tym lepiej dla niej. Pomyślała o Claire w konwencie u sióstr, szykującej się do snu, pewnej, że jest bezpieczna. Musi ją ostrzec.

Ominęła z daleka dom de la Chaise i wjechała na główną drogę.

Teraz skierowała tylko konia we właściwym kierunku i zdała się na instynkt zwierzęcia. W ciemności pochmurnej nocy i we mgle ciągnącej znad rzeki trudno było wypatrzeć drogę i koleiny wyjeżdżone kołami wozów. Koń sam wyczuwał wszystko najlepiej. Sylwetki drzew migały coraz szybciej: nie wiedziała, czy rumak wyczuwa jej niepokój, czy może coraz mocniej ścisnęła go kolanami, opuszczając przy tym swobodnie wodze. Przez chwilę pomyślała o domu myśliwskim de la Chaise, zastanawiając się, czy już odkryli jej nieobecność, czy Rolfe sam uda się w pościg za nią, czy tylko wyśle ludzi.

Nagle wydało się jej, że słyszy tętent koński, ale przy odgłosie, jaki wydawały kopyta jej konia, przy szumie wiatru w uszach i łoskocie uderzeń jej serca nie była tego pewna. A ponieważ tętent się nie powtórzył, uznała, że to pewnie echo odbite od zwartej ściany lasu.

Była wolna, wolna od Rolfe'a, wolna - i wracała do ciotki. To był bieg jej życia. Uciekła, wystrychnęła na

dudków całą tę gwardię i tego, który nią dowodził, wymykając się im spod nosa z zadziwiającą łatwością. Czuła radość zwycięstwa! Zwiodła ich tym, że nie histeryzowała, że była potulna, uprzejmie z nimi rozmawiała. Pewnie nawet myśleli, iż jest zadowolona z tego, że jest utrzymanką Rolfe'a. Mogli pomyśleć, że po tym, co zrobiła ostatniej nocy, nie trzeba jej już tak czujnie pilnować. I taki jest rezultat.

Ale w miarę jak ubywało drogi, zaczęło ogarniać ją jakieś nieprzyjemne uczucie. Rolfe wcale nie myślał, że się poddała: ubliżające słowa, jego nastawienie, sposób, w jaki na nią patrzył, mówiły zupełnie coś innego. Jego ludzie mogli pozwolić sobie na zmniejszenie czujności - w jego charakterze to nie leżało. Przywódca nie mógł sobie na taką nieuwagę pozwolić. A jednak kazał jej zejść na dół, mimo że wiedział, iż nie będzie tam nikogo z jego ludzi, a Sarus będzie zajęty przygotowaniami do kolacji.

Tak. Jej ucieczka była śmiesznie łatwa. Pusty hall, otwarte drzwi, osiodłany i gotowy do drogi koń. Uciekła - zrozumiała to nagle z gorzką pewnością - bo Rolfe chciał, by to zrobiła. Docinkami i groźbami spowodował, że miała dość powodów, by się na to zdecydować. By ją niemal do tego zmusić - powiedział jej o odnalezieniu kryjówki Claire, wiedząc, że jeśli tylko będzie miała możliwość, postara się ją zawiadomić, że miejsce ukrycia nie jest już bezpieczne.

Z podniecenia ucieczką do wolności i jazdą nie odczuwała dotychczas żadnego chłodu, przenikającego przez cienki kreton bluzki, którą miała na sobie. Teraz zaczęła się trząść, czując, jak mgła wnika jej we włosy, jak wilgotne ubranie klei się do ciała, jak kryształki lodu docierają aż do serca.

Dlaczego? Dlaczego pozwolono jej uciec z domu? Nietrudno było na to pytanie odpowiedzieć. Rolfe i jego ludzie nie wiedzieli, gdzie jest Claire. Całą rzecz, dokładnie przemyślaną na popołudniowej naradzie,

ułożono tak, by ona, Angelinę, zaprowadziła ich do niej.

Była tak pochłonięta swoimi myślami, że o mało nie przeoczyła słabo widocznej, wiodącej do klasztoru ścieżki. Ściągnęła wodze i przystanęła na moment, rozpaczliwie zastanawiając się, co robić. Jeśli ma rację, to Rolfe i pozostali muszą być tu gdzieś w pobliżu. Może nawet wysłali kogoś naprzód, kto teraz ją obserwuje. Zaprowadzić ich do Claire było ostatnią rzeczą, którą chciałaby zrobić. W tej sytuacji jedyny wybór, jaki jej pozostał, to dom de Buys i ciotka.

Decyzję podjęła błyskawicznie. Ścisnęła konia udami i puściła go galopem ledwo widoczną wąską ścieżką przez las. Wzdłuż niej płożyło się dzikie wino, wysoko wystawały korzenie, a zwisające gałęzie mogły w każdej chwili wyrzucić ją z siodła. Będzie miała szczęście, jeśli koń nie złamie nogi albo ona karku. Wydarzyć się też może i jedno, i drugie naraz. Popędzała ją świadomość, że dobrowolnie weszła w pułapkę zastawioną przez Rolfe'a, że zrobiła dokładnie to, co zaplanował, że jeszcze raz wywiódł ją w pole, a ona cały czas myślała, że to jej udała się ucieczka. Możliwości, że może się mylić, nawet nie brała pod uwagę. Wszystko było tak misternie przygotowane, że tylko on mógł to zrobić.

Jakby na potwierdzenie jej rozmyślań w tym momencie usłyszała tętent koni, wygłuszony miękką nawierzchnią drogi. Dochodził wyraźnie i zbliżał się szybko. To nie było echo.

Przytuliła się do końskiego karku. Jedną ręką uchwyciła się grzywy i zmusiła konia do dalszego galopu. Przemawiała do niego pieszczotliwie, nie wiedząc, co mówi, z oczami utkwionymi w sylwetki drzew, które wybiegały jej naprzeciw. Drogę znała dobrze. Pokonać by ją mogła z zawiązanymi oczami. To była jej przewaga nad pościgiem. Oni musieli jechać znacznie wolniej i ostrożniej. Nie mogli się też rozproszyć, by ją okrażyć.

Mogli jechać tylko jeden za drugim. Gdyby zdołała dojechać do domu przed nimi, obudzić ciotkę czy chociażby służących, to możliwe, że księżę poniechałby pościgu. Wolałaby dojechać spokojnie, bez obecności służby, jeśli byłoby to w ogóle możliwe. A że nie było, musi zrobić wszystko, co w jej mocy, by pokrzyżować plany człowiekowi, który ją więził.

Gałęzie biły ją po twarzy. Pasemko włosów zaczepiło o konar i niewiele brakowało, a wypadłaby z siodła. Na szczęście pękła gałąź i została jej we włosach. Koń już mocno robił bokami i płaty piany leciały mu z pyska. Przemawiała do niego dalej, więc rwał do przodu, jakby płynął w powietrzu.

Skroś drzew zobaczyła błysk światła. To był czworokąt domu de Buys ukryty w ogrodzie. Przed frontem stał lekki powozik. Światło padające z okien odbijało się od jego niebieskiej, lśniącej farby. Ściągnęła lejce i koń zarył kopytami w warstwie skorupki ostryg pokrywających podjazd. Przerzuciła nogę nad końskim karkiem, zsunęła się z siodła i wylądowała na ziemi. Od strony lasu w milczeniu, nie kryjąc się, nadjeżdżała grupka jeźdźców.

Z zaciśniętymi ustami spojrzała na moment w tamtym kierunku, potem zgarnęła ręką długą spódnice i pobiegła w stronę schodów i jasno oświetlonych drzwi wejściowych.

Był tu taki zwyczaj, że zamykano je dopiero wtedy, gdy cała rodzina udawała się na spoczynek. Pod naciskiem dłoni klamka uchyliła się i jedno skrzydło drzwi się otworzyło. Doszły ją głosy z salonu po lewej stronie, więc pobiegła w ich kierunku. Usłyszała również krótkie rozkazy, które wydawał Rolfe. Z głębi domu dało się słyszeć szuranie nóg starego czarnego służącego. Popatrzył na nią zaskoczony i przerażony, gdy zobaczył jej ubranie: poszarpaną spódnice i o wiele za dużą męską tunikę, na dodatek rozwichrzone włosy.

- Panienska Angelinę!
- Ciotka! Gdzie jest ciotka?

- Jest w salonie, panienko. Ale nie możesz... tak nie możesz tam wejść. Jest z...

Nie czekała, aż dokończy. Podbiegła do drzwi salonu, pchnęła je i wpadła do środka.

Salon, przeznaczony przede wszystkim do przyjmowania gości, urządzony był luksusowo. Wyposażenie stanowił komplet stylowych francuskich mebli z pluszowymi obiciami. Zawieszony był ciężkimi, brokatowymi zasłonami. Na ścianach wisiały lustra w połączonych ramach rzeźbionych w złote kwiaty i obrazy o tematyce pasterskiej w stylu Fragonarda. Wszędzie leżały drobiazgi z chińskiej porcelany i polerowanego srebra. Na stolikach pod ścianami połyskiwały ozdobne kryształy.

Ciotka siedziała na kanapce, ubrana do kolacji w suknię z surowego płótna i kapelusik z tego samego materiału, ozdobiony czarną wstążeczką. Pograżona była w rozmowie z Andre Delacroix, który w wieczorowym stroju, z zalotnie podkreślonym wąsikiem i uprzejmym uśmiechem na twarzy, stał przy kominku. Jedną ręką opierał się o marmurową obudowę, a w drugiej trzymał kieliszek rubinowoczerwonego burgunda.

Madame najpierw się zdenerwowała i dopiero po chwili, gdy poznała bratanicę, zbladła jak trup.

- Angelinę - powiedziała ledwo dosłyszalnie.

- Angelinę! - zawołał Andre tak gwałtownie, że aż wino chlusnęło z kieliszka na marmurową obudowę, zabarwiając ją na kolor krwi.

Na nic więcej nie było czasu. Książę i jego ludzie stali już u frontowych drzwi, które wyważyli z zawiasów. Słysząc było, jak stary odźwierny głośno protestuje, ale w chwilę potem Rolfe na czele swoich ludzi wszedł do salonu. Każdy trzymał w ręku pistolet gotowy do strzału. Książę jednym spojrzeniem ocenił sytuację. Podszedł do Angelinę i objął ją takim gestem, jakby była jego własnością. Obejmowanie mogło wyglądać dość niewinnie - w rzeczywistości była to żelazna obręcz.

- Przeszukać dom! - wydał krótki rozkaz i spojrzął na Leopolda i Oswalda. Dopiero teraz zwrócił uwagę na panią domu i bez przesadnej uniżoności skłonił się w jej stronę.

- Pani de Buys, jak sądzę? Dobry wieczór pani.

- Co... co to wszystko ma znaczyć? - spytała starsza pani, wolno wstając z kanapy.

- Drobne zamieszanie, które wnet się skończy. Proszę się nie denerwować.

- Nie denerwować się?! - matka Claire starała się opanować strach i już wyniosłym tonem spytała: - Chcę wiedzieć, czemu zawdzięczam tę wizytę?

- Myślę, że domyśla się pani jej celu, choćby z uwagi na czas, jaki pani bratanica spędziła ze mną ...

Andre nie spuszczał wzroku z Angelinę aż do tej chwili. Ale teraz zwrócił się do ciotki z wyrazem niedowierzania w oczach.

- Mówiła pani, że Angelinę jest chora. Powtarzała to pani za każdym razem, ilekroć...

- To było takie niewinne kłamstwo dla jej dobra. Chciałam chronić jej opinię, ale widzę, że niepotrzebnie.

- Czy to ma znaczyć - spytał Andre z wypiekami na oliwkowej twarzy, kierując wzrok na Rolfe'a - że przez cały czas ona była z tym człowiekiem?

Rolfe uśmiechnął się. Jego odpowiedź skierowana była do Andre, chociaż cały czas patrzył na starszą panią.

- O, zapewniam państwa, że całkowicie wbrew jej woli.

Andre zwrócił się gwałtownie w stronę Madame.

- I nic pani nie zrobiła?

- Nic pan nie rozumie - odparła ostro Madame.

- Proszę mu wyjaśnić - rzekł książę. - Proszę mu powiedzieć, jak opuściła pani młodą delikatną dziewczynę, pozostawiając jej przekonanie mnie o swej niewinności lub... ucieczkę. To drugie zrobiła dzisiaj-wieczoru. I stąd nasze niespodziewane najście.

Gdy Angelinę wolną ręką spróbowała zrobić jakiś drobny ruch, chwycił ją za przegub i przyciągnął do siebie.

Piersi Madame podnosiły się i opadały od tłumionego gniewu. Nie odezwała się.

Przez sufit słychać było odgłos ciężkiego stąpania: przeszukiwanie trwało.

Andre ruszył w stronę księcia.

- Muszę prosić, by puścił pan Angelinę.

- Nawet gdybym chciał, a nie chcę, byłbym zmuszony odmówić - odrzekł Rolfe.

- Ale ja nalegam!

Rolfe spojrział mu prosto w oczy.

- Jest pan rozsądnym człowiekiem, Delacroix, i spokojnym. Rozumiem, że poczuwa się pan do obowiązku ratowania niewinnej dziewczyny, ale nie wie pan, w co się pan wdaje. Uczciwie panu radzę nie mieszać się do tego.

Te niby to uprzejme słowa Rolfe poparł argumentem nie do odparcia: w rękę trzymał nabity pistolet. Rysy mu stężały, jakby coś postanowił. Ale w tej chwili rozległy się głośne kroki i Leopold wszedł do salonu.

- Nic - zameldował. - Poza służącym i służącą tej pani nie ma w domu nikogo.

- Gdzie są? - spytał Rolfe.

- W hallu. Oswald ich pilnuje.

- Zwiąż ich! - rozkazał książę.

- Jak pan śmie?! - krzyknęła Madame. - To mój dom i moi służący! Nie może pan!...

- Mogę.

Książę Ruthenii zwrócił się do Andre.

- Proszę wybaczyć, M'sieur Delacroix, ale pana też muszę kazać związać. Przykro mi, ale przez następne kilka godzin nie może się pan stąd ruszyć.

Nim książę skończył, Gustave podszedł do zasłon i przy akompaniamencie krzyków Madame zerwał sznury

służące do ich przesuwania. Razem z Meyerem podeszli do młodego kreolskiego gentlemana. Po krótkiej, ostrej walce, której wynik nietrudno było przewidzieć, Andre stał ze związanymi na plecach rękami.

- To okropne, barbarzyńskie! - krzyczała Madame de Buys coraz głośniej, grożąc pięściami i tupiąc nogami. - Jesteś zwierzęciem, ty nędzne książątko, podłą świnia!

- Madame! - rzekł groźnie Rolfe - by uciszyć kwiczącą świnie, przecina się jej gardło. Perlica, która skrzeczy najgłośniej, pierwsza idzie pod nóż. Czy wyrażam się dość jasno?

Starsza pani umilkła natychmiast. Nie odezwała się nawet wtedy, kiedy Gustave chwycił ją za ramię i wyprowadził do hallu.

Parter domu de Buys, jak w wielu innych domach w okolicy, służył jako podwyższona suterena. Wszystkie ważniejsze pomieszczenia, z obawy przed powodzią, znajdowały się na pierwszym piętrze. Część sutereny służyła jako skład żywności i różnych innych potrzebnych rzeczy, inna część - jako loch dla niewolników dopiero przywiezionych z Afryki czy Karaibów, a także jako miejsce oczekiwania służby na karę za drobniejsze przewinienia. Stary służący, pod groźbą pistoletu, przyniósł klucze do tych pomieszczeń i pokazał je. Wolał siedzieć w wilgotnym lochu niż na zewnątrz, ale w towarzystwie ludzi księcia. Maria, służąca Madame, i Andre woleliby odwrotnie, ale nie mieli wyboru: związani, powędrowali pod klucz. Drzwi za nimi zostały zamknięte i zaryglowane.

Rolfe zastanawiał się, czy nie zrobić użytku z powozu Andre, ale zrezygnował z tego. Nakazał, by Madame umieścić na koniu, którym tu przyjechała Angelinę.

- Co?! Chyba nie myślicie mnie stąd zabierać?! - krzyczała Madame, aż oczy wychodziły jej z orbit.

- A co? To takie straszne? Chyba nie...

- Nie będziecie mieli ze mnie żadnego pożytku.

- To się dopiero okaże. Wsiądzie pani sama, czy woli pani, by ją związano i jak worek kartofli wieziony na targ, przerzucono przez siodło?

W końcu siadła w siodle, wyprostowana, związana linką przeciągniętą pod końskim brzuchem. Lejce trzymał Gustave. Angelinę wziął na swego konia Rolfe. Posadził ją przed sobą, objął rękami i grzał ciepłym swego ciała. Poczuł, że jeszcze się trzęsie, więc szybko zdjął bluzę munduru i mimo jej słabych protestów, zarzucił jej na ramiona.

Jadąc tak, jakby najazdy na obce domy i porywanie ludzi było dla nich codziennością, spokojnie skierowali konie na drogę prowadzącą do domu myśliwskiego de la Chaise.

Kapelusik Madame de Buys przekrzywił się i opadł jej na oczy, gdy wprowadzono ją do głównego hallu. Skoro tylko uwolniono jej ręce, zaraz go poprawiła. Kazano jej stanąć razem z Angeliną na środku pokoju przed stołem. Rolfe i jego ludzie siedli za nim. Miało to wyraźnie znaczyć, że tu i teraz nie działają zwykłe reguły zachowań. Krzesła skrzypiały i słychać było przytłumione głosy. Za wysokim oparciem krzesła Rolfe'a stanął Sarus i coś z nim szybko omawiał.

Madame de Buys z wyrzutem spojrzała na Angelinę.

- To ty jesteś wszystkiemu winna, niewdzięcznico. Ty ich naprowadziłaś na mój dom.

- Uciekłam im. Dokąd miałam się udać, jeśli nie do domu. Chyba że do konwentu...

Głos Angelinę był spokojny, ale spojrzenie szarozielonych oczu ostre. Starsza pani ukradkiem spojrzała na Rolfe'a i syknęła:

- Cicho bądź, *grisettel* Nie waż się wspominać tego miejsca, bo nigdy więcej nie przekroczysz progu mego domu!

- Dotrzymałam tajemnicy przez cały ten czas.

- *Oui*. Kiedy myślę o tobie, tu, między tymi mężczyznami, ogarnia mnie przerażenie. Dobrze się stało, że nie zaręczyliście z Andre Delacroix, bo nie jesteś godna nawet jego spojrzenia.

- Może podać paniom po kieliszku wina do przepłukania gardła? - to odezwanie Rolfe'a przerwało ich sprzeczkę jak nożem uciął. - Nie? A nie będziecie miały nam za złe, jeśli my wypijemy? Jazda konno nocą zaostrza apetyt. Przynajmniej w moim wypadku.

Nie przerywając potoku słów, wskazał krzesło po swojej prawej stronie.

- Angelinę, moja droga, tu jest twoje miejsce.

Podniósł się, przytrzymał jej krzesło, gdy siadała sztywna i opanowana. Dopiero gdy siadła, zauważyła, że nogi jej drżą: w mówiła sobie, że to skutek długiej jazdy do domu de Buys i z powrotem.

Rolfe zajął swoje miejsce przy stole i zaraz chwycił jej dłoń w swoje ciepłe palce. Gdy zauważył, jak się trzęsie, wyraz zaniepokojenia pojawił się na jego twarzy. Sarusa, który wszedł z zupą, najpierw skierował w jej stronę i nie ruszył się ani nie zaczął rozmowy, dopóki nie zobaczył, jak przełknęła pierwsze łyżki gorącego rosółu.

Angelinę pomyślała, że dobrze będzie się w ten sposób wzmocnić, chociaż płyn w żaden sposób nie chciał jej przejść przez ściśnięte gardło. Tak samo, jak Rolfe po krótkim dotyku zorientował się w stanie jej ducha, tak i ona zauważyła napięcie, jakie w nim pulsowało. Nie miała pojęcia, co zamierzał, i to nie dawało jej spokoju. Był zdolny do wszystkiego, dokładnie do wszystkiego. Teraz, kiedy porwanie jej ciotki wyszło na jaw, czas, by coś zrobić, miał ograniczony.

Rozdrażniona lekceważącym potraktowaniem Madame de Buys nie wytrzymała.

- Chcę wiedzieć, co to wszystko ma znaczyć. Domagam się, by mi powiedziano, dlaczego w tak uwłaczający

mojej godności sposób porwano mnie z domu i sprowadzono w to miejsce.

Rolfę wziął łyżkę zupy do ust, przełknął i popił winem.

- Sądzę, Madame, że dobrze pani wie, dlaczego znalazła się pani tutaj. Niemniej - powiem pani. My - ja i moi ludzie - chcemy wiedzieć, gdzie jest pani córka, Claire de Buys.

- Mogę na to odpowiedzieć i to bez trudności, Wasza Wysokość - głosem, w którym pobrzmiwała nutka szyderstwa, zupełnie nie pasująca do wypowiedzianych słów, odrzekła Madame. - W tej chwili spędza czas w gościnie u krewnych we Francji.

- Nie. Proszę powtórzyć.

- Ależ, zapewniam pana...

- Proszę przestać! Próba osłaniania córki jest dla mnie zrozumiała, ale całkowicie niepotrzebna. Nie chcę od niej nic poza kilkoma minutami rozmowy. Nie rozumiem, dlaczego ona uważa to za takie straszne - takie przynajmniej sprawia wrażenie. W tym celu dotarłem z Europy pod drzwi pani domu i nie mogę pozwolić na to, by mnie stąd odprawiono z kwitkiem.

Madame zmieniała ton.

- Dążę pana sympatią, Wasza Wysokość, ale nawet dla pana nie jestem w stanie sprowadzić jej z Francji.

Rolfę nachylił się w jej stronę.

- Może mnie pani uważać za łajdaka, ale niech pani nie próbuje robić ze mnie głupca. Wie pani równie dobrze jak ja, że Claire nie jest we Francji. Pani wie, gdzie ona jest, i jeśli szanuje pani swoją godność i spokojne życie, powie to pani. Teraz.

Madame de Buys przyglądała mu się z niepokojem.

- Nic mi pan nie zrobi. Andre Delacroix wie, kto mnie porwał z domu, wie, że pan od szeregu dni więzi moją bratanicę. Poruszy całą okolicę, by przyjść nam z pomocą.

- Jest pani tego pewna? Na jego miejscu co by pani zrobiła? A nawet, gdyby chciał to zrobić, najpierw

musi sam się wyzwolić. A to zajmie mu więcej czasu, niż nam go potrzeba.

Angelinę odłożyła łyżkę i z uwagą obserwowała całą scenę. Wiedziała, że to on ma rację. Może minąć kilka godzin, zanim kucharz i służąca w kuchni zaczną się zastanawiać, czemu kamerdyner nie przychodzi i nie każe podawać do stołu. Jeszcze więcej czasu może upłynąć, zanim znajdą Andre, Marię i czarnego służącego. Kiedyś to nastąpi i wtedy może się zdarzyć to, o czym mówi ciotka Berthe, ale na tym nie powinna opierać swej nadziei na uwolnienie.

Angelinę usiłowała ściągnąć na siebie uwagę ciotki, by ją ostrzec, lecz ta nie poświęcała jej żadnej uwagi. Jej czarne oczy rzucały złowrogie błyski, gdy mówiła:

- Andre wnet się tu pojawi, a wtedy będzie pan miał niemałe kłopoty. Tu nie jest Ruthenia, nawet Europa, gdzie ktoś szlachetnie urodzony może robić, co mu się podoba. Doświadczy pan tego, że tu jest Luizjana, gdzie nikt bezkarnie nie może podnosić ręki na kobietę. Nawet jeśli nie ma męża ani żadnego mężczyzny w najbliższej rodzinie, przyjaciele i sąsiedzi pomszczą jej krzywdę. Książęcy tytuł też pana nie obroni.

- Możliwe. Ale przedtem zostanie pani rozebrana do naga i będzie pani paradowała przed nami, trzęsąc się ze strachu. Kłuta szpada, zacznie pani tańczyć ku naszej uciechu: makabryczna, ale podniecająca zabawa. I co pani zrobi, jeśli tak się na pani koszt zechcemy zabawić?

- Pan... ty tego... nie możesz zrobić. Angelinę jest z panem od kilku dni i nie widać po niej, żeby przez coś takiego przechodziła.

- Proszę nie mieszać spraw - powiedział książę spokojnym głosem; oczy miał zmrużone i błyszczące. - Jej stała się nieodwracalna krzywda, najgorsza, jaka może się przydarzyć młodej kobiecie. W tym czasie pani, Madame, nie zrobiła nic, by przyjść jej z pomocą, nawet nie próbowała pani się z nią zobaczyć, chociaż musiała się

pani domyślać, gdzie jest. I nie przyszła pani prosić, by ją nietkniętą, oddać w pani kochające ramiona. Pozostała ją pani na mojej łasce, a sama siedziała w domu owinięta w jedwabne, wyperfumowane koronki i zbywała pytających o nią tym, że leży bezpiecznie w swoim łóżku, gdy tymczasem leżała zagrożona - w moim.

Puder na twarzy starszej pani wydał się ceglasty na tle pobladłej nagle skóry. Wstrząsnęła ramionami.

- Jak na kogoś, kogo tak źle traktowano, wygląda całkiem nieźle.

Na tę uwagę od stołu, przy którym siedzieli pozostali mężczyźni, dał się słyszeć groźny pomruk, ale Rolfe uciszył go jednym gestem.

- Bo ma mężne serce - ponad pani wyobraźnię, i jest uparta bardziej niż ja.

- Niemniej nie widać po niej żadnych śladów złego traktowania - powiedziała Madame, przyglądając się bratanicy.

- I to uspokaja pani sumienie? Blizny ma na duszy. Myślałem, że są mniej bolesne, ale to błąd z mojej strony. Jednak na pani życzenie mogę go naprawić i zrobić z niej kalekę. Tego pani chce?

Angelinę poczuła, jak oblewa ją gorący rumieniec. Przy stole panowała cisza. Mężczyźni spoglądali niepewnie raz na Rolfe'a, raz na Madame de Buys. Sarus zebrał talerze po zupie i zaczął podawać pieczeń. Gustave chwycił widelec, ale tkwił nieruchomo, obserwując Rolfe'a. Oscar siedział zamyślony, opierając pięść na kancie stołu.

- Jest pan chyba szalony! Nie idzie mi o to, by zrobić jej krzywdę, ale jak teraz nie mogę temu zapobiec, tak i przedtem tego nie mogłam. Nawet gdybym przyszła tu wcześniej.

- I jak nikt nie może zapobiec temu, co panią spotka za kilka minut. Proszę to dokładnie przemyśleć. Angelinę, młoda i piękna, obdarzona powabem niewinności

dziewczyna, wymaga innego traktowania niż pani, Madame, która nie może pochwalić się żadnym z tych przymiotów.

Pani de Buys potrząsnęła głową i złożyła ręce na kolanach.

- Niech się pan nie spodziewa, że ja, rodzona matka Claire, wydam ją panu. Może pan robić, co pan chce. Ja nie powiem nic.

- Z pani słów wynika, że wie pani, gdzie ona jest - rzucił Rolfe.

- Niczego nie wiem i niczego nie powiem!

Angelinę była pod wrażeniem odwagi, z jaką ciotka odpowiadała na pytania księcia. Bała się, ale starała się tego po sobie nie pokazać. Jak na dłoni widać było, że zupełnie nie dba o bratanicę i że dla Claire poświęci wszystko. Angelinę zauważyła, że Rolfe jej się przygląda. Dwie pionowe bruzdy przecinały mu czoło. Wargi miał zaciśnięte.

Uważnie i pomału uniósł kieliszek z winem i upił trochę, zanim zwrócił się do pani de Buys.

- Ma pani całkowitą rację, Madame. Było błędem oczekiwać, że wyjawi nam pani miejsce ukrycia córki. Obawiam się, że traktowałem panią zbyt poważnie. Od tej chwili staje się pani pionkiem, czymś, co przesuwają się z jednego miejsca w drugie, co jest bez wartości i czego bez żalu można się wyzbyć. Od tej chwili nie będzie już pani w stanie przeciwdziałać niczemu, co ma panią spotkać, niezależnie od tego, co pani powie, o co będzie prosić. Na nic już nie będę zwracał uwagi, choćby mnie pani błagała, by panią wysłuchać, i przysięgała na Najświętszą Panią i duszę zmarłego męża, że będzie mówiła prawdę...

- Ma pan... myśli pan, że mogę iść - pani de Buys zrobiła niepewny krok w stronę stołu.

- Czy coś takiego powiedziałem? Proszę tak tego nie rozumieć. Nie. Informację, której potrzebuję, otrzymam

od kogoś innego, kogoś, kto będzie siedział i patrzył na pani upokorzenie i ból, wiedząc, że tylko on może to powstrzymać.

Angelinę, obserwując Rolfe'a, domyślała się, co ma nastąpić, gdy tylko zaczął mówić. Zerwała się na nogi tak gwałtownie, że zaczęła o stół, aż wszystkie naczynia zadźwięczały.

- Nie!

- Tak - chwycił ją za rękę i posadził na krześle.

- Nie wolno ci tego robić! Nie w ten sposób!

Spojrzał na nią bez niechęci.

- Angelinę nie powie panu tego, czego pan chce. Nie powie! - Ciotka Berthe powiedziała to ze wzrokiem utkwionym w twarzy bratanicy. - Nie ma żadnego znaczenia, co mnie spotka.

- Czy mamy się przekonać?

Pytanie było zupełnie niewinne, ale wypowiedziane zostało takim tonem, że zmroziło Angelinę do szpiku kości. Oblizała spierzchnięte wargi, a w myślach nerwowo poszukiwała wyjścia z sytuacji. Mogła ocalić albo ciotkę, albo kuzynkę. Obu nie mogła.

Bezdźwięcznym głosem poprosiła:

- Rolfe, proszę, nie rób tego.

- Znajdź mi inne wyjście, a będę ci nogi całował, a moja *garde du corpse* zaśpiewa „Hosanna”.

Nie potrafiła znaleźć. W głowie miała chaos, rozdarta przez dwie przeciwstawne racje, bez możliwości wyjścia. Z jej oczu wзираł ból i przerażenie: wszystkiemu winien był stojący obok niej mężczyzna.

Nagle puścił jej rękę, jakby chciał z nią zerwać, by zająć swoje naturalne miejsce przywódcy. Odsunął talerz i rzekł:

- Oswald, Leopold i Meyer - wy to zrobicie.

Wezwani popatrzyli po sobie i wstali. Obeszli stół i stanęli obok starszej pani. Madame de Buys patrzyła na nich, jak do niej podchodzili, wpatrywała się w ich

nieruchome twarze - nic z nich nie mogła wyczytać. Oblizując spieczone wargi, spojrzała na Angelinę. Drżała nieznacznie, kiedy ustawiali się po jej bokach. Między nimi wyglądała znacznie mniej groźnie, mniej apodyktycznie, a przede wszystkim mniej pewna siebie. Takiej ciotki Angelinę nigdy jeszcze nie widziała.

Na znak Rolfe'a Oswald ze sztucznym uśmiechem na twarzy, którym starał się pokryć obrzydzenie, stanął przed Madame, wyciągnął rękę i chwycił kapelusik okrywający jej siwiejącą głowę. Błyskawicznym ruchem odtrąciła jego dłoń. Mężczyźni chwycili ją za ręce i przytrzymali. Wyjęli długą szpilę mocującą kapelusik - i nakrycie głowy znalazło się na podłodze. Z bezwładnych rąk zdjęli bransolety i - z niejakimi kłopotami - wszystkie pierścienie. Leopold przyklęknął i, jeden po drugim, zdjął jej z nóg buty. Zaraz potem pończochy. Podniósł się, spojrzał na Rolfe'a i na jego skinienie stanął za jej plecami i zaczął rozpinać długi szereg guziczków podtrzymujących suknię na jej ramionach.

Madame de Buys zaczerpnęła głęboko powietrza, jakby do tej chwili wstrzymywała oddech, jakby dopiero w tym momencie zauważyła, co się z nią dzieje. Ogień na kominku trzaskał, sypiąc pomarańczowymi iskrami. Gustave odłożył nóż i widelec takim gestem, jakby nagle zupełnie stracił apetyt. Oscar, z oczami utkwionymi w talerz, żuł kęs chleba.

Angelinę pomyślała o Claire, o takiej, jak ją widziała ostatni raz: z wyrazem dumy i goryczy na pięknej twarzy; jaka była niezadowolona z przygotowanego dla niej lokum i jak godziła się na nie ze strachu przed Rolfe'em. Bała się niebezpiecznie. Doświadczenia, które sama przeszła, jak również to, co działo się tutaj, uzasadniały ten strach.

Odwróciła się do Rolfe'a.

- Jak... jak możesz oczekiwać, że zaprowadzę cię do Claire, skoro wszystko, co spotkało mnie, może również spotkać ją?

Madame szarpnęła się, jakby próbowała uwolnić się z rąk trzymającego.

- Nie, *chere*, nie wolno ci się załamać! - zawołała ochryple.

Rolfe spojrział na Angelinę.

- To co? Mam przysięgać, że tak nie będzie? Ale na co? Co cię zadowoli?

Góra sukni Madame w miarę rozpinania guzików opadała coraz niżej. Leopold ściągnął z ramion szerokie rękawy i przez nadgarstki - suknia, nie napotykając już oporu, opadła na podłogę. Madame stała w obszernej halce sięgającej jej do kolan, mocno zesnurowanej na wysokości żeber i wypychającej w górę przekwitłe piersi. Serce waliło jej jak młotem.

- Może... może przysięgniesz na Pismo Święte - powiedziała pospiesznie Angelinę - ale myślę, że są również inne wartości, które cenisz równie wysoko, a może jeszcze wyżej. Przysięgnij na honor twej *garde du corpse*, że nie skrzywdzisz mojej kuzynki, że nie zrobisz nic ponad to, że ją przesłuchasz w związku ze śmiercią brata, tak jak powiedziałeś.

- Nie! - zawołała Madame rzucając się do przodu. - Ty durna dziewczyno, nie wolno ci frymarzyć bezpieczeństwem Claire! Nie możesz tego zrobić, nie możesz!

Angelinę zawahała się. Rolfe uspokoił się, ale tylko na moment, bo po chwili chwycił leżący na talerzu z pieczenia nóż, wytarł go starannie, błysnął nim w powietrzu i... rzucił w kierunku Madame de Buys. Nóż był źle wyważony, z rączką z kości słoniowej, więc obracał się w powietrzu i łukiem leciał prosto w szyję Madame. Angelinę krzyknęła przeraźliwie, bo wydawało się jej, że za moment wbije się w ciało ciotki.

Oswald wychylił się nieznacznie przed Madame i chwycił nóż w powietrzu. Przez chwilę potrzymał go przed jej przerażonymi oczami, po czym stając ponownie

za nią, wolno dotknął nim sznurów gorsetu. Puściły z przytłumionym wybuchem, jak pęka kukurydza pieczona na gorącej blasze. Madame de Buys krzyknęła i padła na kolana, gdy halka ze sznurówką opadły na podłogę ukazując fałdy tłuszczu na całym ciele. Gdy ponownie postawiono ją na nogi, twarz miała zupełnie szarą. Wargi drżały jej konwulsyjnie.

Angelinę uchwyciła się brzegu stołu z taką siłą, że straciła czucie w palcach. Z przerażeniem obserwowała, jak Oswald stanął przed ciotką, chwycił za koszulę z półprzezroczystej tkaniny i rozerwał ją z głośnym trzaskiem.

- Zaczekaj - szepnęła Angelinę i zaraz mocniejszym głosem dodała: - Zaczekaj.

Rolfe odwrócił się do niej i popatrzył jej w oczy.

- Oświadczam, że Claire de Buys nie dozna ode mnie żadnej krzywdy, że, bez względu na moją chęć zemsty, pozostanie nietknięta w swej mocno nadszarpniętej niewinności i podejrzanych pretensjach. Pozostanie bezpieczna, ale z jednym zastrzeżeniem: w swej obronie nie będzie się posługiwała oszustwem. Przysięgam na mój honor, który jest jednocześnie honorem mojej gwardii.

- I dotrzymasz tego? - spytała dla pewności Angelinę, uważając, że cena tego szczegółu może być bardzo wysoka. - Nawet wtedy, jeśli to, co powie, nie będzie po twojej myśli?

- Nawet wtedy.

Czy miała inny wybór poza tym, by mu uwierzyć, by zawierzyć pierwotnemu instynktowi, by ulec hipnotycznemu i spokojnemu błyskowi niebieskich oczu?

Nabrała głęboko powietrza.

- Jest w konwencji u sióstr.

— X —

- Nie! Tam nie ma mojej córki! Nie wolno wam o tej godzinie niepokoić sióstr! To będzie świętokradztwo! I na nic! Mówię wam!

Madame de Buys mogła równie dobrze nie mówić nic, gdyż Rolfe i tak jej nie słuchał. Jak jej wcześniej powiedział, nie zwracał uwagi na jej protesty. Zdawał się nie słyszeć nawet tego, gdy wołała, że Angelinę chce ich wyprowadzić w pole. W kilka minut po tym, jak Angelinę powiedziała im o kryjówce Claire, cała gwardia siedziała na koniach gotowa do drogi.

Rolfe w ostatniej chwili pomyślał, że będą mogli potrzebować zakładników, więc zarządził, że Angelinę i starsza pani pojedą z nimi. Podczas gdy Sarus szukał płaszczy dla obu kobiet, ktoś inny osiodłał konie i przyprowadził pod drzwi. Rolfe nie wierzył, że Angelinę pojedzie z nimi dobrowolnie. Podał lejce konia Madame Gustave'owi, a sam zajął się koniem Angelinę.

Nad wierzchołkami drzew rozpościerał się niebieskoszary świt, kiedy podjechali pod bramę frontową prowadzącą do konwentu. Wszystko pogrążone było w głębokim śnie. Rolfe po cichu wydał rozkaz Oswaldowi i Gustave'owi, by stanęli na straży przy tylnej bramie. Leopold, zsiadłszy z konia, zapukał do bramy głównią szpady. Po chwili, która wydawała się wiecznością, zobaczyli zbliżający się mizerny płomyk latarni. Zza bramy odezwał się zniecierpliwiony głos, pytający, kto i po co przychodzi.

- Jego Wysokość Księżę Ruthenii chce się widzieć z siostrą przełożoną.

- Siostra Teresa jest na modlitwie i nie wolno jej przeszkadzać - padła odpowiedź.

- Ale to bardzo pilna sprawa.

- Nikogo teraz nie przyjmie. Proszę przyjść rano o stosownej porze, po wschodzie słońca.

- Sprawa nie może czekać tak długo! - zawołał Leopold. - Ostrzegam cię, kobieto, jeśli nie chcesz narazić się na poważny wydatek na nową bramę w tym walącym się płocie...

- Siostrzo Marto, pozwoli siostra, to ja, Angelinę Fortin - zawołała szybko Angelinę, starając się zagłuszyć groźbę Leopolda. - Czy mogę wejść? Zapewniam, że sprawa jest naprawdę bardzo ważna i musimy porozmawiać z siostrą Teresą.

Zapadło dość długie milczenie, podczas którego Angelinę miała dość czasu, by się zastanowić, dlaczego stara się pomóc tym ludziom wejść do konwentu. Nie chodziło jej o to, by im ułatwić wejście. Gdyby tego chciała, zaprowadziłaby ich do tylnej bramy, gdzie mogliby się spotkać bezpośrednio z siostrą przełożoną. Nie. Chciała jedynie obronić przed przemocą to miejsce i kobiety, które tam mieszkały.

- Angelinę, to naprawdę ty?

Gdy Angelinę potwierdziła, stara zakonnica pilnująca bramy, mrużąc coś pod nosem, odsunęła wielki rygiel.

- Co ty robisz z tymi ludźmi? Możesz za nich ręczyć?

Rolfę zeskoczył z konia i wyciągnął ręce, by pomóc zejść Angelinę. Meyer zrobił to samo z Madame, pogrążoną w ponurym milczeniu, a Oscar uwiązał konie do słupka. Ruszyli w stronę bramy. Rolfę pchnął uchylone skrzydło tak, że zakonnica musiała cofnąć się o krok.

- Proszę wybaczyć, siostrzo Marto - rzekł z ukłonem.

Uśmiechnął się do niej tak ciepło, aż starą kobietę

zatkało. Zeszła mu z drogi bez słowa. Skierowali się do otwartych drzwi wejściowych.

Od tego chwili była to już operacja czysto wojskowa. Zarekwirowali latarnię siostry Marty, drugą przyniesiono skądinąd. Od tylnego wejścia odwołano Gustave'a i Oswalda i podczas gdy Angelinę i Madame de Buys, razem z Rolfe'em i siostrą Martą, stali w hallu głównym, gwardia, podzielona na dwie grupy, systematycznie przeszukiwała pokój po pokoju. Nie pominięto żadnego schowka, każdą szafę otwarto, zaglądnięto za każdą zasłonę. Obejrzelik dokładnie mały, surowy salon, gdzie uczennice mogły przyjmować odwiedziny rodziców i przyjaciół. Przeszukali jadalnię z długim stołem z surowego drewna i ławkami bez oparc. Nie pominięli klas pachnących papierem, węglem drzewnym i oprawnymi w skórę foliałami. Zajrzeli do komórek zawieszonych pęczkami schnących ziół, pełnych kamiennych garnków wytopionego tłuszczu, a także bel materiału na habity i stroje dla dziewcząt. Weszli nawet do niewielkiego pomieszczenia służącego za kaplicę, z prowizorycznym ołtarzem i przepięknie rzeźbionym krzyżem z bawarskiego dębu. Dotarli również do sypialni - długiego pomieszczenia zastawionego wąskimi łózkami, w których spały uczennice. Jedne leżały bez ruchu, jakby porażone strachem, inne podniosły się z łóżek i stojąc w półprzezroczystych nocnych koszulach piszczały i płakały. Nie wiadomo, czy wejście przystojnych mężczyzn w eleganckich mundurach do tych dziewiczych pomieszczeń było najbardziej przerażającym czy najbardziej podniecającym wydarzeniem w ich życiu.

- Co to ma znaczyć?

Pytanie, wypowiedziane władczym, suchym tonem, zadała siostra Teresa, która właśnie w tym momencie nadeszła z pomieszczeń w głębi. W prostym habicie, w kornecie tak sztywnym, że wpijał się w czoło, szła prosto w stronę Rolfe'a.

- Proszę wybaczyć najście - rzekł z ukłonem. - Wiem, że to godne ubolewania. Ale konieczne.

- W to nie wierzę - rzekła krótko matka Teresa.

W tym momencie obie grupy, skończywszy przeszukiwanie, pojawiły się w sieni. Brak zatrzymanej i niepewne spojrzenia świadczyły, że cała akcja była bezcelowa. Matka przełożona popatrzyła na nich i odsławszy przerażone dziewczęta do łóżek, w milczeniu oczekiwała na wyjaśnienia.

- Moi ludzie i ja szukamy kobiety, Claire de Buys, która mogłaby nam udzielić informacji o śmierci mojego brata. Mieliśmy powody, by podejrzewać, że jest tutaj.

- I było konieczne nachodzenie nas w środku nocy, by sprawdzić, czy słuszość miał wasz informator? - rzekła siostra Teresa, kładąc szczególny nacisk na ostatnie słowo.

Angelinę bardzo rzadko spotykała się z niechęcią ze strony zakonnicy, toteż teraz odczuła ją boleśnie. Chciała wyjaśnić, jak doszło do tego, że ich tu sprowadziła, chciała się usprawiedliwić, ale nie było na to czasu.

- Istniało niebezpieczeństwo, że przejęta strachem, podejmie próbę ucieczki - spokój, z jakim Rolfe to mówił, wydał się nienaturalny.

- Jestem w stanie zrozumieć pański pośpiech, ale nie mogę zgodzić się z metodami poszukiwań. Jedno pytanie mogło wszystko wyjaśnić.

- Mogło? - spytał zaraz Rolfe.

- Tak - odrzekła matka Teresa, pochylając głowę. - Już jej tu nie ma.

- Mówiłam wam, że jej tu nie ma! - zawołała z gorzkim tryumfem Madame de Buys.

Śmiała się chrapliwym głosem, ale przestała natychmiast, gdy tylko Oswald stanął u jej boku.

- Była tu? - spytał księżę ciągle jeszcze spokojnym głosem.

- Spędziła tu trzy dni. Wczoraj rano Maria, służąca jej matki, przyniosła jej jakąś wiadomość. Nie wiedzia-

łam, o co chodziło, ale wczoraj, gdy tylko się ściemniło, po Mademoiselle de Buys przyjechał powóz. Wsiadła i odjechała bez słowa pożegnania czy podziękowania.

- W którym kierunku? - spytał książę.

- Nie wiem. Ale może siostra Marta wie?

- Na północ, siostró Tereso - odparła zakonnica.

Teraz było zupełnie jasne, dlaczego Madame de Buys starała się opóźnić przyjazd do konwentu, wiedząc, że jej córki już tu nie ma. Jadąc powozem na północ i nie wiedząc, że miejsce jej ukrycia i fakt ucieczki już się wydały, nie pokonywała drogi tak szybko, jak mogła to robić gwardia księcia konno. Przez swój upór i głębokie upokorzenie zmusiła Rolfe'a do kilkugodzinnych, bezowocnych poszukiwań. Miała nadzieję, że ten czas pozwoli Claire uciec na bezpieczną odległość.

- Wygląda na to - powiedział wolno Rolfe - że będziemy musieli na nowo podjąć pościg.

Mówiąc to, pochwycił Angelinę za rękę.

- Chwileczkę - rzekła matka przełożona.

Wzrok miała utkwiony w rozchylony wyłóg płaszcza Angelinę, przez który widać było porwany i wygnieciony kreton bluzki, tej samej, którą miała na sobie, kiedy przyprowadziła Claire do konwentu. Popatrzyła na jej potargane* włosy, które kasztanową kaskadą opadały na ramiona. Gdy zakonnica napotkała spojrzenie szarozielonych oczu, w jej wzroku odbiło się przerażenie.

- Muszę pana prosić - powiedziała do księcia - żeby pan zostawił ze mną tę dziewczynę.

Gwardziści zbierający się już do wyjścia stanęli jak wryci, spoglądając to na matkę Teresę, to na Rolfe'a. Siostra Marta wstrzymała oddech, a Madame de Buys podniosła głowę z takim wyrazem twarzy, jakby całe zajście było dla niej obraźliwe. Rolfe patrzył na Angelinę, zatrzymując na moment wzrok na jej rozchylonych wargach.

- Jest mi bardzo nieprzyjemnie, że muszę sprawić siostrze zawód, ale do przeciwności losu jest pewnie

siostra przyzwyczajona, prawda? Skorzystam jednak z prośby siostry i zostawię tu tę drugą panią, która jest ze mną - Madame de Buys, z nadzieją, że tej zmiany nie weźmie mi siostra za złe.

Wyszli z konwentu. Dobiegło ich jeszcze tylko wołanie Madame:

- Niech idzie! Ona tego chce! Niech leci za tym swoim parszywym książką! Życzę ci dobrej zabawy z nim, ty mała ladacznico!

Ostatnie słowa biegły za Angelinę i dźwięczały jej w uszach nawet wtedy, gdy już jechała z całą gwardią. Zdawały się zapadać w głąb jej duszy, przypominając gorzką prawdę. Nie zrobiła żadnego gestu, nie protestowała, nie stawiała oporu, gdy wyprowadzali ją z konwentu i sadzali na konia. Może więc słowa ciotki były uzasadnione? Może naprawdę jest niemoralna? Ale choć była z Rolfe'em nie z własnej woli, nigdzie nie czuła się tak akceptowana jak tu. Wydawało się jej, zwłaszcza po tym, co jej ciotka powiedziała, że w pewnym stopniu zasłużyła sobie na nienawiść krewnej. Jej udział w naprowadzeniu Rolfe'a na trop Claire miał tu też swoje znaczenie. Potępienie ze strony zakonnic za dwuznaczną rolę, jaką odegrała, było nie do zniesienia nawet wtedy, gdyby mogła tu zostać. Matka Teresa darzyła ją sympatią, ale trudno było wymagać zrozumienia. Pozostałe siostry pewnie nawet by się o to nie starały. Z całą pewnością nie chciałyby mieć w konwencie kogoś, kto zszedł na złą drogę, a teraz miałby się na co dzień stykać z niewinnymi uczennicami. Ich nastawienie miałoby oczywiście wpływ na nastawienie całej lokalnej społeczności. Nie mogłoby zresztą być inaczej, gdyby tylko fama rozniosła się po okolicy. Otoczona ze wszystkich stron pogardą i fałszywą litością, dlaczego nie miałyby odczuwać ulgi, a nawet czegoś w rodzaju wdzięczności, że Rolfe chce ją mieć przy sobie?

To jednak żadna przyszłość dla niej. Cała sprawa się skończy, Claire zostanie pochwycona, wszystkie wiadomości przekazane. Nie będzie już żadnego powodu, by pozostać z gwardią w Luizjanie, nic, co mogłoby ich powstrzymać przed powrotem do pełnej przepychu i zepsucia Europy. Nie mogła spodziewać się, żeby Rolfe chciał zabrać ją ze sobą. Ona sama zresztą też tego nie chciała. Chciała znaleźć własną drogę. Bo chyba istnieje taka, którą można podążyć, nie tracąc dobrego imienia, nie gubiąc własnej duszy? Musi istnieć.

* * *

Angelinę poznała ich od razu: byli to przyjaciele i sąsiedzi jej ciotki. Na ich czele jechał - z gołą głową - Andre.

- Są! To oni!

Rozległ się szcęk wydobywanych z pochew szpad. Z olster wyciągnięto pistolety. Rozległ się strzał i zaraz potem okrzyk bólu i strachu. Obie grupy jeźdźców wpadły na siebie z impetem. Rozległ się brzęk stali uderzającej o stal, posypały się iskry. Walczący pokrzykiwali i klęli. Konie parskwały, szarpiąc się na wszystkie strony.

Liczebność obu grup była zbliżona, gdyż Andre nie zdążył dotrzeć do St. Martinville, by zebrać więcej ludzi.

- *Sacre bleu!* - krzyknął któryś z sąsiadów ciotki - ci przybysze walczą niczym diabły.

Andre, ze szpadą wyciągniętą przed siebie, ruszył w stronę Angelinę. Na drodze stanął mu jednak książę.

- O, Wasza Wysokość! - zawołał Andre, nacierając na Rolfe'a. - Myślę, że nie spodziewał się pan nas tak szybko.

- Kto wypuścił was z lochu?

- Syn kucharza, bystry chłopak, przyszedł zapytać, dlaczego opóźniają się z kolacją. Usłyszał nasze stukanie.

- No, to miał pan szczęście - rzekł Rolfe, broniąc się dość niedbale.

- Pan za to go nie miał, prawda? A co pan zrobił z Madame do Buys?

- Co zrobiłem? Nie widać jej tu nigdzie w błocie, chociaż na to zasłużyła. Zostawiliśmy ją w konwencie, gdzie przeklina nas na cały głos. Nie wiem tylko, czy dlatego, że ją tam zawieźliśmy, czy dlatego, że przedtem trochę pocierpiała.

Angelinę wydawało się, że gdy stawali w strzemionach, gdy nacierali na siebie i cofali się, było kilka takich momentów, że przy odrobinie większym wysiłku, przy odrobinie dłuższym pchnięciu Rolfe mógł zranić Andre i skończyć walkę. Wyglądało na to, że raczej szuka okazji, by wytrącić mu broń z ręki, nie czyniąc mu krzywdy. Podobnie walczyli gwardziści: stanęli w zwartym szyku i bez trudności odpierali ataki.

W pewnej chwili szyki się przemieszały i Rolfe został zaatakowany z trzech stron. Andre wycofał się z bezpośredniej walki i wyrwał z rąk Rolfe'a wodze konia Angelinę. Na szarpnięcie jej koń przysiadł na zadzie, podniósł się i nagle cofnął. Angelinę, nie mając w rękę cugli ani lęku przy siodle, którego mogłaby się przytrzymać, ścisnęła konia kolanami i wpiła palce w jego srebrzystą grzywę. W tym momencie poczuła straszliwy ból w nodze. Jej koń starł się z koniem jednego z gwardzistów i nie znajdując wolnej przestrzeni, zachwiał się. Angelinę poczuła, że wypada z siodła i leci wprost pomiędzy końskie kopyta. Chciała zawołać, lecz krzyk utkwiał jej w gardle. Poczuła jeszcze przejmujący ból w skroniach, a potem ogarnęła ją ciemność.

• • •

Pomału wracała jej świadomość: czuła, jak się kołysze. Ból pulsował przy każdym poruszeniu. Mdłości podchodziły do gardła. Z trudem przełykała ślinę. W skroniach

czuła bolesne pulsowanie. Jakaś ciepła i mocna ręka odgarniała włosy z twarzy i z rany na głowie. W tym miejscu bolało ją najmocniej. Zmarszczyła czoło i odwróciła głowę z głuchym westchnieniem.

- Twoja uroda nie doznała szwanku - usłyszała znajomy głos - chociaż nie mogę tego powiedzieć o zdrowiu.

Spostrzegła, że Rolfe trzyma ją w ramionach. Było jej wygodnie. Uniosła powieki i od razu napotkała spojrzenie jego niebieskich oczu. Leżała na jego kolanach nakryta futrem. Rolfe siedział wciśnięty w kąt powozu. Wnętrze wybite było ciemnobrązowym aksamitem. Na ile mogła się zorientować po mijanych drzewach - wehikuł poruszał się dość szybko.

Zamknęła oczy.

- Co się stało? Jak się tu znalazłam?

- Szczęśliwa dziewczyna. Przespała cały ten obrzydliwy kram. Naprawdę nie pamiętasz?

- Nie.

- Podniosłem cię, jak spadał z konia - powiedział Rolfe z nutką wesołości w głosie. - Oddałem cię pod opiekę Gustave'owi i Oscarowi. Zostaliście wysłani naprzód, a reszta pozostała ze mną jako straż tylna przeciwko tym, co nas nieporadnie, z zapałem i niepotrzebną brawurą atakowali. Walka z farmerami i ich synami, rozsierzdzonymi, a nie mającymi pojęcia o szermierce, to nie jest sport, który mi najbardziej odpowiada.

- Żałujecie, że nie natknęliście się na godnych siebie przeciwników? I co? Zostawiliście ich tam w polu, żeby się wykrwawili?

- Tylko kilka przeszytych ramion i może jakieś drobne rany, po których pozostaną piękne blizny, będą się nimi chwalić na najbliższym balu. Ale w sumie nic poważnego. Starsi uczestnicy wyprawy przeciwko nam zastanowili się i, dla dobra swych wnuków, sami otworzyli nam drogę i pozwolili zupełnie spokojnie odjechać.

Brak jakiegokolwiek lekceważenia czy oznak drwiny, których tak się bała, sprawił, że zaraz poczuła się lepiej.

- To było... to ładnie z twojej strony, że znalazłeś czas i zająłeś się mną.

- To nie było ładnie - to było bezwzględnie konieczne. Jak bez ciebie mógłbym dalej prowadzić swoje poszukiwania?

- Jak? Już byś dalej prowadził pościg za Claire...

- Nie przejmuj się, nie myśl, że opóźniasz nasz marsz. Gustave wybrał dobry powóz. Jest wygodny i lekki i można nim jechać niemal tak szybko jak konno.

- Miałam na myśli, że gdybyście nie mieli kłopotów ze mną na samym początku...

- Droga Angelinę - przerwał jej miękkim głosem Rolfe - to naprawdę nie był żaden kłopot, zapewniam cię.

Zacisnęła wargi. Oczy też miała zamknięte.

- Widzę, że potyczka z sąsiadami pani de Buys nie nauczyła cię ani odrobiny pokory, nawet zwyczajnej uprzejmości...

- A miała nauczyć? To oni napadli na nas na żądanie twego adoratora Andre Delacroix. A jeśli myślisz, że chodziło mu o przekwitłe wdzięki twojej ciotki, to nie kto inny, tylko ty potrzebujesz lekcji, i to nie pokory, ale jak pokorę przewycięzać.

- A Andre, czy on...?

- Rozwścieczony, szarpał się z pół tuzinem trochę mądrzejszych od siebie, którzy w końcu odwiedli go od zamiaru pościgu. Takim go ostatni raz widziałem. Nie odniósł żadnej rany.

Bezwiednie odetchnęła z ulgą.

- To dobrze.

- Tak myślę. Ale gdybym wiedział, że jego niemądre działanie narazi cię na takie niebezpieczeństwo, wziąłbym go za kark i przyprowadził tu, byś mogła się nim nacieszyć. Nigdy nie byłem wplątany w żadne *menage a trois*, ale widzę, że to może być nawet zabawne.

Odkryła, że najłatwiej obrażał innych, gdy sam był zakłopotany.

- Zabawne? A ja sądziłam, że to, co lubisz najbardziej, to obrażanie innych i - brandy. Dziwię się, że siłą nie wlałeś mi do gardła czegoś mocnego.

- Nieprzytomne kobiety nie potrafią się delektować dobrymi trunkami, ale miałem już zamiar posłać po sole trzeźwiące, by cię obudzić z omdlenia.

- Z omdlenia? - jęknęła tak, jakby brzydziła się tym słowem. - Myślę, że to było coś poważniejszego.

- Tak sądzisz?

- Dobrze wiesz, że było.

Nie miała pojęcia, dlaczego tak lekko traktował całe wydarzenie. Może, żeby ją zniechęcić do odgrywania roli kogoś, kto nie jest w pełni sił? Ale takiego zamiaru nie miała.

- Chcesz podważyć moje umiejętności lekarskie?

- Jedynie twoją diagnozę, że byłam tylko osłabiona, podczas gdy tak naprawdę otrzymałam cios w głowę.

Wzrok miała mętny. Na widok migających w oknie powozu drzew poczuła nowy przypływ mdłości. Szybko zamknęła oczy i podniosła dłoń do ust.

- Zatrzymać powóz? - spytał szybko.

Potrząsnęła energicznie głową, ale zaraz tego pożałowała: ból wzmógł się natychmiast.

- Tę pewnie był błąd, że już cię obudziłem. Miałaś lekki wstrząs mózgu. Nie powinien być niebezpieczny, ale jazda powozem nie jest w takim wypadku najlepszym lekarstwem.

Zmusiła się, by rozewrzeć powieki. Zauważyła, że Rolfe coś głęboko rozważa. Przebiegło jej przez myśl, że może zastanawia się, czy nie odesłać jej do ciotki.

- Ja zaraz... zaraz mi przejdzie...

- Myślisz? - spytał i lekko się uśmiechnął.

- Tak. Myślę, że tak.

- W swoich jukach miałem proszki nasenne działające szybko i skutecznie, ale nie było czasu, by zawiadomić

Sarusa, żeby się spakował i zabrał z nami. Wszystko zostało więc w domu myśliwskim pana de la Chaise. Będzie tam musiał pozostać do czasu, aż otrzyma wiadomość, żeby się spakował i dołączył do nas. Nie przewiduję, żebyśmy tędy mieli wracać. Może zdarzy się sposobność, by przygotować coś podobnego na następnym postoju, kiedy postaramy się zdobyć świeże konie.

- To może być trudne - szepnęła Angelinę.

- Tak, to już wcześniej zauważyłem. W tej dzikiej okolicy nie ma żadnej porządnej stacji, gdzie można by to zrobić. Co zwykle robią ludzie, kiedy tędy przejeżdżają?

- Przede wszystkim jeżdżą wolno, a nie tak na złamanie karku - powiedziała z jękiem, bo właśnie koło powozu trafiło na dziurę na drodze i Angelinę poleciała do przodu, nim Rolfe zdążył ją chwycić; kiedy jazda się trochę uspokoiła, mówiła dalej: - Przejeżdżający tędy otrzymują świeże konie zależnie od tego, jak się umówią z gospodarzami: właścicielami folwarków i plantacji, którzy też przyjmują ich na nocleg.

- Myślę, że tylko ci, co mają plantacje w tej dzikiej okolicy, jeżdżą w tym kierunku co my. Większość podróżuje raczej w przeciwną stronę, do St. Martinville czy Nowego Orleanu.

- W dzikiej okolicy? Już drugi raz o tym mówisz...

- Tak ona mi się jawi - odrzekł i spojrział w okno, za którym cały czas migały bezlistne gałęzie drzew. - Jedziemy w stronę osady, której nazwa pewnie pochodzi z jakiegoś indiańskiego narzecza: Natchitoches...

- To nazwa szczepu indiańskiego. To stare miasto, kiedyś nawet fort francuski, zupełnie dobrze zorganizowane.

- To bardzo dobrze.

- Ale dlaczego jedziemy właśnie do Natchitoches?

- Ktoś słyszał, jak woźnica twojej kuzynki pytał o tę miejscowość.

Samo miasto, w otoczeniu ogromnych plantacji, odznaczało się dużymi walorami, ale droga prowadząca w jego stronę, jak również tereny, przez które trzeba było przejeżdżać, były niemal całkowicie bezludne. W ciągu jego ponadstuletniego istnienia jedyną drogą do miasta i z miasta była rzeka. Jechało się w górę Missisipi aż do Rzeki Czerwonej, nad którą leżało. Dopiero w ostatnim dziesięcioleciu wytyczono drogę lądową, tę, którą w tej chwili jechali. Madame de Buys miała tu krewnych, ale to, że Claire zdecydowała się u nich ukryć, mogło świadczyć o desperackim szukaniu ratunku. Jeżeli St. Martinville uważała za zapadłą dziurę, to Natchitoches musiałaby uznać za deskami zabity koniec świata.

Jazda w tamtym kierunku kryła w sobie pewne niebezpieczeństwo. Te okolice stały się ostatnimi czasy terenami przygranicznymi. Osadnicy z południowego wschodu traktowali je jako tereny wypadowe w stronę otwartych przestrzeni hiszpańskiego Teksasu. Roiło się od ludzi wyjętych spod prawa - rzecz zwyczajna w przypadku ekspansji na kolonizowane tereny. Ziemia ta nosiła miano Ziemi Niczyjej. Zajmowała powierzchnię około pięciuset tysięcy mil kwadratowych. Ciągnęła się wzdłuż Sabiny River w południowo-zachodniej części stanu. Od 1806 roku, to znaczy od czternastu lat, prawa do tego terytorium zgłaszały tak Stany Zjednoczone, jak i Hiszpania. Aby uniknąć starć, które mogłyby się przerodzić w prawdziwą wojnę, wydzielono z obu stron neutralne pasy ziemi, których nie patrolowała ani amerykańska, ani hiszpańska armia. W rezultacie te wydzielone tereny stały się rajem dla złodziei i morderców, ludzi ściganych przez prawo, napadających na pogranicza obu krajów, jak również na osadników zdążających na zachód. Tu bez ograniczeń prowadzono zabronione gdzie indziej rodzaje działalności, jak handel niewolnikami i kontrabandę, kontrolowaną, jak się

mówiło, przez pirata, a zarazem bohatera bitwy o Nowy Orlean, Jeana Lafitte. Mówiło się też dużo o tym, że zbierają się całe oddziały, mające podjąć walkę o to, by Teksas oderwać od Hiszpanii i przyłączyć do Stanów Zjednoczonych.

Tak więc nie była to bezpieczna okolica. Każdy, kto zdecydował się na przejazd przez nią, podejmował poważne ryzyko. Po wielu takich śmiałkach słuch zagaął raz na zawsze. Każda kobieta, jaka przez ten teren przejeżdżała, nawet stara i brzydka, potrzebowała zbrojnej ochrony. Dla Claire przejazd tą drogą samotnie był w najwyższym stopniu niebezpieczny. Można było jedynie mieć nadzieję, że ludzie Rolfe'a dogonią ją odpowiednio wcześniej.

Angelinę miała ochotę opowiedzieć o tym Rolfe'owi, ale jego ponure milczenie zdawało się wskazywać, że wszystko to wie. Nie było więc o czym mówić. Zresztą trudno by jej było zdobyć się w tej chwili na taki wysiłek.

Leżała spokojnie z policzkiem na jego piersi, czując jego miarowy oddech, regularne bicie serca, a także ruchy, jakie wykonywał, by przeciwdziałać wstrząsom i chybotaniom powozu. Z każdym obrotem kół, z każdą przebytą milą oddalała się od wszystkiego, co dotychczas było jej bliskie: krewnych, przyjaciół, społeczności, kościoła. Była sama z opanowanym chęcią zemsty księciem. Nie wiedziała, jak się to skończy ani co się z nią stanie, kiedy zakończy się ta cała przygoda. Bynajmniej nie cieszyła jej sytuacja, w jakiej się znajdowała. Ale też nie za bardzo ją martwiła.

CZEŚĆ II

t

Ko[^]d[^]iał

- XI -

Minęły dwa koszmarne dni ostrej, wyczerpującej jazdy: wciąż dalej i dalej. Zatrzymywali się tylko wtedy, gdy było to absolutnie konieczne, aby napoić lub wymienić konie, przełknąć coś naprędce, spytać o drogę na nie oznakowanych traktach. Angelinę większą część drogi przesypiała dzięki wspaniałym proszkom nasennym, które sporządził Rolfe. On i jego ludzie drzemali w siodłach. Pilnie śledzili wszelkie ślady swej ofiary i robili wszystko, by im się po nocy gdzieś nie wymknęła.

Wielkich trudności nie napotykali. Drogę mościli sobie osobistym, egzotycznym czarem i błyszczącym strumykiem złota. Zestaw tych argumentów pokonywał wszelkie opory, sprawiał, że zamknięte drzwi otwierały się niezależnie od tego, czy to była stajnia, kuchnia czy apteka. Powodował, że nawet po ich odjeździe ludzie trwali w pokłonie z wyrazem miłego zaskoczenia na twarzach. Te same argumenty otworzyły Rolfe'owi również drzwi szafy z damską garderobą. Wyszukawszy wśród napotkanych młodych kobiet jedną w zaawansowanej ciąży, tak jej się przyglądał, że spłonęła rumieńcem mimo swego stanu. Z nią dobił targu, by odstąpiła część swoich fatałaszków, których, póki co, i tak nie mogła zakładać. Wybrał więc szarą suknię z surowej wełny w różowe cętki, dużą chustę z jedwabnymi frędzlami, nocną koszulę i sztywną halkę oraz strój do jazdy konnej z zielonego aksamitu, tak ciemnego,

że wydawał się czarny. Zestaw uzupełniał wysoko upięty kapelusik z niewielką białą woalką.

W stanie ducha, w jakim się znajdowała, nie zwróciła zbyt wiele uwagi na te ubiory. Rolfe przyniósł je i ułożył na jednej gromadzie na siedzeniu w powozie. Zwinięta w kłębek, z ręką pod głową, nawet nie podniosła się, by mu podziękować. Ale za każdym przebudzeniem czuła się coraz mniej chora, choć jeszcze nie na tyle dobrze, by móc zaryzykować wyjście z powozu.

Drugiego dnia po południu siadła na chwilę, by popatrzeć przez okno. Po zapadnięciu zmroku mogła już trochę zjeść: kubek rosołu i sucharki. Rolfe, siedząc z nią w powozie, zjadł pieczonego kurczaka, świeży chleb na drożdżach i ciasto z jabłkami. Na czas posiłku nie przerwali jazdy. Powóz posuwał się drogą, nad którą nagie gałęzie drzew tworzyły sklepienie. Nie zareagował, gdy mu powiedziała, żeby choć na chwilę zdjął buty i zdrzemnął się. Przyglądał się jej w świetle latarni powozu: jej wilgotnym od rosy, potarganym włosom, piersiom wyraźnie rysującym się pod tuniką, którą ciągle jeszcze miała na sobie. Uśmiechnął się nieznacznie, gdy spostrzegł, że w ręku trzyma nie ruszone jeszcze kurcze udko. Po chwili przeprosił ją i wysiadł z powozu.

Niemal natychmiast gwardia zaczęła śpiewać wesołą, nieprzyzwoitą piosenkę o dziewczynie z Pragi, której dziwaczne skłonności do śpiących towarzyszy, ubrane w dwuznaczne słowa, powodowały, że uszy Angelinę zaczęły płonąć. Głos Rolfe'a wybijał się ponad pozostałe; wesołe i lubieżne francuskie słowa zmieniał na rutheńskie. Wymawiane z głębokim, gardłowym brzmieniem zdawały się przyjmować jeszcze bardziej zmysłowe znaczenie. Piosenka jako antidotum na przygnębienie okazała się doskonała. Na zmianę chwaleni i przeklinani, pocieszani i przynaglani, utrzymywali ogromne tempo,

które narzucał Rolfe. Niezmordowanie pędzili w ciemną noc.

Nad ranem stwierdzili, że Claire musi być tuż przed nimi. Porzuciła wóz, pozostawiając go w polu niedaleko przygodnej zagrody, kupiła konie dla siebie i swego woźnicy i pojechali dalej konno. Gwardziści nie wiedzieli, w jaki sposób tak ich wyprzedziła, jakimi metodami przynaglała swoją eskortę i przewodnika. Niemniej byli niemal pewni, że przed wieczorem powinni ją dogonić.

Niebo było zupełnie czyste. Z upływem czasu dzień stawał się coraz cieplejszy, jak to czasem bywa w Luizjanie w styczniu. Angelinę była zmęczona ciągłym kołysaniem i rzucaniem z jednego kąta powozu w drugi. Była zmęczona ciężkim zapachem obić, kurzem, który dostawał się do środka przez szpary przy zawiasach drzwi i okien, monotonnym skrzypieniem obudowy gdzieś nad tylnym kołem. Chciała znaleźć się na świeżym powietrzu, poczuć na twarzy ciepło promieni słonecznych.

Wyciągnęła nogi i rozwinęła swój strój do konnej jazdy. Wiedziała, że jest przynajmniej jeden zapasowy wierzchowiec, a pewnie było ich więcej. Były uwiązane do tyłu powozu, tak że można je było zmieniać bez konieczności zatrzymywania się i dawać im w ten sposób odetchnąć.

Pojawiła się jeszcze pewna trudność - jak zmienić ubranie. Poradziła sobie w ten sposób, że okna zasłoniła spódnicą i suknią utykając je między oprawę i ramę. Za taką zasłoną szybko zdjęła z siebie kretonową bluzkę i mocno przybrudzoną tunikę i nałożyła strój do konnej jazdy. Był trochę za luźny w talii, a trochę za ciasny w białym, ale nie na tyle, by nie mogła go nosić. Nałożyła marynarkę skrojoną trochę jak krótki męski płaszcz, pod nią bluzkę z żabotem i kamizelkę zapinaną pod szyją, przykrywającą wytarty na biodrach aksamit.

Po raz pierwszy od dłuższego czasu poczuła się dobrze ubrana. Bardzo przydałaby się kąpiel, ale o tym nie miała odwagi nawet wspomnieć.

Wolałaby mieć silną wolę i być w stanie odrzucić pokusę ubrania się w te fatalaszki, które Rolfe jej kupił. Ale temu nie potrafiła się oprzeć. Zdjęła z okien ubrania, złożyła je starannie, po czym otworzyła okno, by zawołać na Gustave'a, który powoził, by się zatrzymał.

Dosiąść konia w długiej i powłóczystej spódnicy bez potknięcia i pokazywania całej długości nóg nie było sprawą łatwą. Pilnowanie i konia, i stroju, trzymanie kapelusza z woalką, w której plątały się rozwiane włosy, też było trudne. A wszystkim starała się podołać z gracją, na jaką tylko było ją stać. Z długimi kasztanowymi włosami niesionymi wiatrem podjechała do gwardzistów. Powitali ją gromkimi okrzykami aprobaty. Rolfe uśmiechnął się, nie kryjąc zadowolenia, i podjechał do niej tak, że dalej jechali pierś w pierś.

Przyjrzał się jej dokładnie, nie omijając żadnego szczegółu stroju.

- Czujesz się równie dobrze, jak wyglądasz?

- Znacznie lepiej. Przynajmniej tak myślę. Podziwiam twój gust, jeśli idzie o strój, i dziękuję za troskliwość, z jaką go dobrałeś.

- Nie ma o czym mówić, a tym bardziej dziękować za używane ubranie, które może dobrze pasowałoby do jakiejś guwernantki czy służącej, ale nie do kobiety, którą ja...

- Tak? - chciała, by dokończył rozpoczęte zdanie. - Do kobiety, z której zrobiłeś swoją utrzymankę? Czy to miałeś na myśli?

- Czy ta myśl tak cię nęka? Pozwól, że nazwiemy to inaczej: do kobiety, która jest wielką pomocą w moich poszukiwaniach. A w ogóle to jestem ci wdzięczny, że nie pozwalasz obdarzać się bez podejrziwości.

- Wiesz bardzo dobrze, że nie zrobiłam niczego, do czego nie zostałam zmuszona.

Spojrzał na nią z błyskiem w oczach.

- To wiem. Ale w pewnych sprawach pomogłaś nam dobrowolnie.

Nie chciała się z nim kłócić. Nie widziała w tym sensu. Nic w ten sposób nie zyskiwała, a stracić mogła dużo. Zaraz też zmieniła temat - zaczęła przekomarzać się z Gustave'em i Oscarem. Pozostali też dołączyli do nich i droga mijała szybko. Wczesnym przedpołudniem zatrzymali się nad niewielkim strumieniem, by napić konie. Angelinę odeszła kawałek w las, a Rolfe stał na straży. Kiedy wróciła, stanęła obok niego pod rozłożystym, wiecznie zielonym krzewem wawrzynu. Pilnie obserwował skrawek widocznego stąd nieba. Słońce straciło promienną jasność, zakrywane stopniowo szarocynowymi kłębamii chmur, nadciągających z południowego zachodu.

- Ranek był wiosenny - powiedziała - a teraz wygląda na to, że zaraz zacnie lać.

- Dla moich ludzi i dla mnie samego, przyzwyczajonych do ostrzejszej zimy, wygląda to na lato. Ale to nie znaczy, że lubimy deszcz.

- Lubiany czy nie - wygląda na to, że zaraz będzie. Jak myślisz, czy ma to jakieś znaczenie? Zła pogoda może wam przeszkodzić w dogonieniu Claire?

- Ją deszcz dotknie tak samo jak nas. Jeśli nie bardziej. Sam deszcz nie jest problemem, chyba że zmieni się w burzę.

- Tutaj burze o tej porze roku raczej się nie zdarzają. Kłopotem mogą stać się roztopy.

- Myślę, że dogonimy Claire, zanim to nastąpi.

- Co... jak myślisz, co zrobisz, gdy ją znajdziesz?

Spojrzał na nią kpiąco.

- Czego się obawiasz? Dałem ci słowo, prawda?

- Powiedziałeś, że nie zrobisz jej krzywdy. Przy twojej inwencji pozostawia to dość duże pole manewru...

- Chłosta biczami czy różgami? Chciałbym więcej. Chciałbym wykorzenić z niej jej zadufanie w sobie. Chciałbym ją za włosy powiesić na którejś z wież pałacu mego ojca. Ale nie zrobię tego, bo ci przysiągłem. Nie potrafisz zawierzyć tej przysiędze? I mnie?

- Wierzę. To znaczy - wierzyłam, dopóki nie zdałam sobie sprawy, jak bardzo nieodpowiedzialna potrafi być Claire. Poza tym, ona może nie wiedzieć nic, co byłoby ci przydatne. Czy kiedykolwiek rozważałeś taką sytuację, jak się poczujesz, co zrobisz, jeśli po takiej pogoni cała ta podróż okaże się bezcelowa?

- Czy chcesz przez to powiedzieć, że nie potrafisz opanować swoich odruchów? - spytał bardzo spokojnie.

- Tego nie powiedziałam.

- A więc?

- Musisz przyznać, że dawałeś mi powody, aby tak myśleć.

- Niczego takiego nie mogę ci przyznać. A odruchy w tym, co robię, odgrywają bardzo niewielką rolę.

- Nie mówisz tego poważnie! - zawołała. - Jak inaczej wytłumaczysz, że zabrałeś mnie z domu ciotki, to, że muszę... że jestem z tobą, że zabrałeś mnie z konwentu, kiedy okazało się, że Claire uciekła? Chyba nie chcesz mi wmówić, że to wszystko wcześniej obmyśliłeś?

- A czemu pytasz?

- Takie działanie z zimną krwią byłoby przerażające.

- No, nigdy nie powiedziałem, że wszystko to zrobiłem z premedytacją - mówił z uśmiechem. - Jeśli mówisz o tym, co zaszło między nami... prywatnie... to pozwól sobie powiedzieć, że chciałem cię i byłem zdecydowany mieć cię od chwili, kiedy na moment miałem cię w ramionach na przyjęciu u Madame Delacroix. Twoja niewinność mnie zaskoczyła. Ale szczerze mówiąc, nie wiem, czy postąpiłbym inaczej, gdybym wiedział...

Czy wszystko to, co się stało, to było wyłącznie jego działanie? Czy ona sama, przez słowa, gesty, spojrzenia nie prowokowała, nie brała czynnego udziału? Tak czy inaczej - nie widziała powodu do dumy. Patrzyła gdzieś w bok, milcząca, głęboko wewnętrznie rozdarta.

- Nie musisz popadać w rozpacz i winić siebie. To nie była twoja wina.

Podniosła wysoko głowę.

- Nigdy tego tak nie rozumiałam.

- To co cię tak gnębi? Może przeceniłaś swoje siły? Wróć do powozu.

- Bardzo pan dzisiaj uprzejmy! - zawołała buńczucznie, mimo że rzeczywiście zaczynała odczuwać jakąś słabość w całym ciele, co by znaczyło, że nie był daleki od prawdy. Jej niechęć, by przyznać mu rację, brała się po części stąd, że nie wiedziała, jak się zachować, a po części stąd, że pod jego spojrzeniem w całym ciele odczuwała dziwne mrowie.

- Bardziej, niż sądzisz - odpowiedział. - I nie chcę cię tam posyłać samej.

- Masz na myśli... chcesz jechać powozem razem ze mną...

- Dodaje ci to życia czy może... budzi strach?

Poczuła, jak gorący rumieniec zabarwia jej policzki, ale starała się nie zwracać na to uwagi.

- Nie jestem pewna, czy jazda powozem dobrze mi zrobi.

- A jeśli będę nalegał? Oczywiście, jedynie ze względu na twoją ranę...

- Będziesz nalegał? A to czemu? Zapewniam cię, że moja chwilowa niedyspozycja nie będzie opóźniła jazdy.

- Tak, ale ja myślę również o sobie.

Roześmiał się widząc, jak uparcie stara się nie rozumieć tego, co tak wyraźnie jej mówił.

- Jesteś już tak blisko pochwylenia Claire. Pewnie

ty i twoi ludzie chcecie pozostawić powóz i mnie, żeby przyspieszyć... A my was później dogonimy?

- I pozwolić ci jechać przez Ziemię Niczyją jedynie pod opieką Gustave'a?

- To już znajdujemy się na Ziemi Niczyjej?

- Od dziesięciu, a może i więcej mil.

- Nie miałam pojęcia.

- Bo to nie było ważne. Ale teraz wiesz, dlaczego chcę ci osobiście zapewniać ochronę?

- Nie - odpowiedziała szybko.

- Bo jesteśmy na niebezpiecznym terenie, a także dlatego, że bardzo mi zależy na tym, by robić to osobiście.

- Jestem pewna, że żaden z tych motywów nie ma nic wspólnego z tym, że chcesz jechać ze mną w powozie.

- Mądra i odważna! - zawołał ze śmiechem.

Pochwycił kapelusz z woalką, jaki miała na głowie, i rzucił go w krzaki. Zgarnął ręką jej opadające włosy i zarzucił jej na piersi.

- Gdybyś jeszcze była uległa...

Nie miała żadnych szans, by nie być. Chwytał ją i poprowadził do powozu, który już czekał z Gustave'em siedzącym na koźle. Otworzył przed nią drzwi. Był moment, że mogła odmówić, gdy stała i patrzyła na niego. On czekał, nie ruszając się z miejsca. Gdy zaczął mówić, głos miał tak cichy, że nikt prócz niej nie mógł go usłyszeć.

- Zróbmy próbę - zaproponował - czy natrafię na jakąś przeszkodę, na przykład: czy ktoś z mojej gwardii przybędzie ci na pomoc, gdy zawołasz, czy raczej, choć będą mi zazdrościli, staną po mojej stronie? Czy pomogą swemu księciu czy zaakceptowanej i niekwestionowanej ich pani? Czy wreszcie ty, gdy oni dokonają wyboru, poddasz się ich werdyktowi?

To było szyte grubymi nićmi. Nie wiedziała, jak na to wpadł, ale interes tak przedstawiony wydawał się

zbyt niepewny, by można było ryzykować. Podczas gdy się zastanawiała, co zrobić, padły pierwsze grube krople deszczu, jakby nawet pogoda zastosowała się do jego życzenia. Sztywna, położyła dłoń na jego ramieniu i pozwoliła się wprowadzić do powozu.

Coś w niej kipiało, ale nie bardzo wiedziała co.

Dopiero gdy znalazła się w zamkniętym wnętrzu, zauważyła, że się ściemniło. Gdy tylko weszli do środka, deszcz zaczął lać na dobre, uderzając w dach, bijąc po oknach i ścianach.

Jechali dalej. Koleiny na drodze rozmiękły i pełne wody zmieniły się pod kołami w płynną maź. Dziury w drodze groziły zapadnięciem się powozu po same piasty. Gwardziści, z pochylonymi głowami, owinięci w nieprzemakalne płachty, jechali przed powozem.

Rolfe trzymał Angelinę na kolanach i głaskał jej włosy opadające mu na ramiona. Na palcu ręki, którą ją obejmował, lśnił pierścień ze starego złota z wygrawerowaną głową wilka. Byli bezpieczni, nie mokli na deszczu, ukryci w swym odosobnieniu. Pochylił głowę, by na nią popatrzeć. Uśmiechał się nieśmiało. Palcem spróbował zebrać kropelkę rosy, która tkwiła na jej rzęsach. Podniosła powieki i napotkała spojrzenie jego niebieskich oczu. Z głębokim westchnieniem pochylił się nad nią jeszcze głębiej i dotknął wargami jej warg. Dotknął palcami jej policzka, a potem całą dłońią objął jej pierś.

Angelinę poczuła, jak ogarnia ją podniecenie. Z nagłą siłą, która ją samą przerażała, zapragnęła, by mocno przytulił ją do siebie. Z trudem chwytając powietrze obróciła głowę i oderwała usta od jego ust.

- Nie rób tego. Zobaczą nas.

- Nie zobaczą. A nawet jak zobaczą, to zaraz odwrócą wzrok.

- Ale jest jasny dzień... nie możesz...

- Czego nie mogę?...

Jego palce szybko uwijały się przy guzikach jej żakietu, wysupłując je z dziurek z dużą wprawą.

- Rolfe, nie! To jest nieprzyzwoite!

- A co ma tu do rzeczy przyzwoitość?

Rzeczywiście, co?, pomyślała Angelinę z nagłą goryczą. Ale jego usta pochłoneły cały jej opór zagubiony w przypływie namiętności. Deszcz bił o dach powozu jak przytłumione *obligato*, a jego uderzenia zdawały się współbrzmieć z pulsowaniem krwi. Chłodne, mokre powietrze wciskało się do wnętrza tak, że ich skóry, przez wilgotne ubranie, przywierały do siebie. Rozpiął jej żabot, odsunął na bok koronki, odpiął guziki od koszuli i odsłonił różowe, pełne piersi. Najpierw pieścił je ciepłymi rękami, potem wargami, wzbudzając fale pożądania. Przywarła do niego. Słyszała tylko, jak schrypniętym głosem powtarzał jej imię: Angelinę... Angelinę...

Rozsunął poły jej żakietu. Podciągnął okrycie siedzeń powozu w jeden kąt, a potem nakrył nim ich oboje. Pod nim jego ręce objęły jej plecy, głaskały delikatnie zaokrąglenia bioder, przyciągały ją coraz ciaśniej do siebie. Poczuła, jak jego dłoń przesuwają się wzdłuż jej uda aż do kolana, a potem podciąga w górę aksamitu spódnicy. Jednym ruchem zsunął spodnie i obróciwszy ją w swoją stronę, przełożył jej nogę ponad sobą i przytulił do siebie.

Powóz podskakiwał na wybojach i zdawało się jej, że słyszy jego zduszony śmiech, gdy trzęsła się oparta jedynie na jego ramionach. Ruchy powozu powodowały, że opadała na niego coraz mocniej, aż osunęła się zupełnie. Trzymał ją na sobie, gdy koło powozu zapadło się w dziurę. Poczuła, jak leci gdzieś w przód i jak natychmiast przeciwdziała temu Rolfe, jak obraca ją i ściąga z powrotem pod siebie i potem, jak nie chcąc zdusić jej swoim ciężarem, zwisa nad nią na rękach. W tym momencie koło ze zgrzytem osiadło na dnie,

a oni oboje polecili na podłogę. On padł pierwszy, a Angelinę wylądowała mu na piersi. Wypuścił z sykiem powietrze z płuc i zaczął się trząść. Poczuła, jak przenika ją dreszcz przerażenia. I dopiero wtedy spostrzegła, że Rolfe się śmieje. Ją też opanowała niespodziewana wesołość i leżąc na płataninie tego, co z siebie zdjęli: spódnicy i spodni, koszuli i sukni, razem z miękkim, błyszczącym futrem - dali na cały głos upust swemu rozradowaniu.

- Uprawianie miłości na kozacką modłę: w drewnianym siodle, na galopującym koniu, jest pewnie większym przeżyciem, niż myślałem - powiedział.

Ciągle się uśmiechając, podniósł się z podłogi, objął ją i powoli ułożył pod sobą. Wpatrując się w jej oczy, szarozielone i ogromne, wniknął w nią ponownie.

To było coś jak cudowne zakwitanie, magiczne odprężenie, które pozwoliło im wznieść się na nieznane wyżyny, zadziwiające i ulotne. To było dzielenie się szczęściem, całkowite zjednoczenie dwojga rozpalonych ciał, zaspokojenie aż do bólu, samo dla siebie, nie potrzebujące nikogo więcej, pełny sens istnienia, któremu niczego już nie trzeba...

Jeszcze leżała w jego objęciach, gdy rozległ się pierwszy strzał z pistoletu.

Rolfe zaklął siarczyście i poderwał się na nogi. Bez wysiłku podniósł Angelinę i posadził w kącie. Potem szybko naciągnął spodnie, zapiął guziki, pchnął drzwi pędzącego pojazdu i wychylił się, by zobaczyć, co się dzieje. Strzelanina nasilała się. Słychać było głośne krzyki i ochrypłe wrzaski, kiedy gwardziści otworzyli ogień. W sufit powozu coś uderzyło głucho, jakby jakiś ciężar spadł na dach z gałęzi nad powozem. Rolfe cofnął się natychmiast, wziął zamach i kopniakiem wybił szybę w drzwiach. Postawił nogę w tak zrobionym wyjściu, odbił się i wskoczył na dach.

Powóz zwiększał szybkość. Przechylał się z jednego boku na drugi, jakby nikt już nim nie powoził.

Angelinę, rzucona od ściany do ściany, w pośpiechu zapinała guziki. Dolatywały ją przekleństwa i odgłosy walki. Wiedziała, że to Gustave i Rolfe walczą z którymś z napastników. Przez okno zobaczyła jeźdźców pędzących obok powozu i usiłujących pochwycić konie za uzdy i starających się wskoczyć na ich grzbiety.

- Bierzcie żywych tych sukinsynów! Za każdego ściągniemy dobry okup!

Rozległ się strzał, ktoś na dachu zawył z bólu, i zaraz potem walka ucichła. Kiedy po kilku szarpnięciach powóz się zatrzymał, z dachu poleciało na ziemię jakieś bezwładne ciało.

- Rolfe! - krzyknęła Angelinę i otworzyła szeroko drzwi. Wyskoczyła, pobiegła na miejsce, gdzie upadł, i przyklękła przy nim. Leżał twarzą do ziemi, więc szybko go odwróciła. Oczy miał zamknięte, twarz spokojną i śmiertelnie bladą i tylko krople deszczu zbierały się na zaciśniętych wargach. Nad uchem we włosach ukazała się duża plama krwi. Na twarzy miał brudną ranę - zapewne ślad po upadku na ziemię. Nie było to jednak wszystko: na białej tunice pod mundurem, tuż ponad pasem widniała ogromna plama krwi.

Walka była skończona. Ktoś nadszedł na koniu rozbryzgując przed sobą brudną wodę. Ochrypłym głosem kłął mężczyzn gramolących się z dachu powozu. Zsiadłszy z konia, podszedł do tego, który jeszcze trzymał w ręku dymiący pistolet i jednym uderzeniem potężnej jak młot pięści rzucił go w błoto.

- Cholerny, zasmarkany głupcze! Jeżeliś go zabił, to z twoich ślepi zrobię sobie kości do gry, a ze skóry na gardle - kapciuch na tytoń!

Najwidoczniej był to przywódca napastników. Obrócił się i stanął nad klęczącą nad Rolfe'em Angelinę.

- I co, nie dycha?

Wymowę miał tak czysto szkocką, że minęła chwila, zanim go zrozumiała. Cofnęła rękę z miejsca na piersiach, gdzie pod tuniką starała się wyczuć bicie serca.

- Nie... Tak. Jeszcze tak. Może by go położyć do powozu...

Stał z rękami opartymi na biodrach, ogromny i kanciasty, z włosami jak brunatna kopa siana, rudą brodą i brązowymi jak liść tytoniu oczami. Przyjrzał się jej, zmarszczył czoło, potem ściągnął brwi w zagadkowy łuk, jakby się głęboko zastanawiał nad jej poprawnym akcentem. Wzruszył ramionami.

- No przecie, można.

Odwrócił głowę i coś wrzasnął. Natychmiast podeszło kilku mężczyzn. Angelinę cofnęła się, by mogli podnieść Rolfe'a i ułożyć go w powozie. Popatrzyła na drogę, wszędzie byli ranni. Rozbrojeni gwardziści leżeli na ziemi, a nad każdym stało co najmniej trzech napastników z pistoletem lub wielką strzelbą w rękach.

Gustave był ranny w czoło - strużka krwi zalewała mu zdrowe oko. Meyer krzywił się z bólu od rany w ramię. Oscarowi krwawił nadgarstek. Byli ranni, ale żyli.

Nie można było tego powiedzieć o napastnikach. Wokół miejsca, gdzie gwardziści zajęli pozycje, leżały trupy. Leżało też kilku rannych, którzy wołanie o pomoc przeplatali głośnymi przekleństwami. Okazało się, że napastników było ponad czterdziestu, a więc, w porównaniu z gwardzistami Rolfe'a - siedem razy więcej. W otwartym polu, zaskoczeni, nie mieli żadnych szans. Jeśli mieliby jakąś osłonę, coś, za czym mogliby się skryć, wynik walki mógł być zupełnie inny.

- To co, chcesz wejść z nim?

Angelinę odwróciła się, bo do niej skierowane było to pytanie. Zobaczyła, że przywódca stał przy drzwiach powozu, czekając, by weszła do środka. Rolfe leżał na przednim siedzeniu. Ciemna, krwawa plama wyglądała

tak, jakby ktoś rozlał czerwone wino, które spływało z jego boku na brązowe obicie. Już chciała zapytać, dokąd ich zabierają i co mają zamiar z nimi zrobić, ale zmilczała. Są rzeczy, których lepiej nie wiedzieć naprzód. Gdy przywódca napastników chwycił ją za ramię, by szybciej wsiadła, wyszarpnęła rękę i spojrzawszy na niego z niechęcią, bez pomocy weszła do środka.

Powóz ruszył. Uspokoiła się. Przyklęknęła na jedno kolano. W ponurym milczeniu chwyciła leżącą na siedzeniu koszulę, którą tak niedawno z siebie zdjęła, i zaczęła odrywać dolne falbany, by zrobić z nich bandażę. Gdy mijali miejsce, na którym przedtem leżeli gwardziści, zauważyła, że pomagano im stanąć na nogi i wsiąść na konie. Pozostali napastnicy zbierali ciała zabitych towarzyszy i zarzucali je na puste siodła. Odwróciła się jeszcze raz i zobaczyła, jak Leopold szarpie się z jednym z napastników, który przystawił mu pistolet do pleców, i jak Meyer kładzie rękę na ramieniu książęcego kuzyna, by go uspokoić. Na nic więcej nie miała już czasu. Nachyliła się nad Rolfe'em i zaczęła odpinać guziki jego tuniki.

Po jakimś czasie wjechali na błotnisty trakt, tak wąski, że gałęzie drzew ocierały się o boki powozu i wpadały do środka przez dziurę w drzwiach. Kiedy wlekli się po wybojach, zapadając się i wydostając z nich, Rolfe zaczął się poruszać. Z ust wydobył się cichy jęk i otworzył oczy. Wpatrywał się w Angelinę. Poznał ją, bo po chwili bardzo cicho powiedział:

- „Duma przed klęską”, a tak chciałem cię obronić...
- Było ich za dużo i wpadliśmy w zasadzkę.
- Tak. Ale jak myślisz, kto mógł ich uprzedzić?

Mogła to być tylko jedna osoba, ale myśl o niej była tak nieprawdopodobna, że nie chciała jej nawet wypowiedzieć.

- Jak się czujesz? - spytała, zamiast odpowiedzieć na jego pytanie.

Na moment dziwny błysk zmieszał się z wyrazem bólu w jego oczach.

- Jak wiązka siana albo bezwolny dzieciak, ale z młotem bijącym gdzieś pod czaszką. Jeśli to jest to samo, co było z tobą po uderzeniu w głowę trzy dni temu, to mogę cię tylko przeprosić za jazdę powozem w takim stanie.

- Straciłeś dużo krwi. Ktoś cię postrzelił na dachu powozu i spadłeś...

- Tchórze! Ciekawe tylko, dlaczego nie znalazł się nikt, kto dokończyłby dzieła.

Jego lekceważące potraktowanie całej sytuacji było denerwujące.

- Myślę, że im idzie o okup, którego się spodziewają za ciebie i pozostałych.

- No to w porządku - rzekł i zamknął powieki. - Będziemy niewątpliwie mieli dobrą zabawę.

Krótko potem powóz zatrzymał się przed długim budynkiem z bali cyprysowych, z dachem krytym gontem, z glinianymi kominami w obu szczytach, wyrzucającymi w tej chwili grube warkocze dymu. Dwie podobne budowle stały po bokach pierwszej, a w głębi znajdowały się jeszcze stodoły i stajnie dla zwierząt. Położone były w pewnej odległości od budynku, który wyglądał na fortecę nadgranicznych rabusiów. Miejsce to robiło wrażenie zbrojnego obozu: na portyku domu stali wartownicy, trzymając w rękach długie strzelby. Wrażenie to potęgowała jeszcze sfora sparszywiących psów, które wybiegły zza budynku. Ogromne kundły nieznanego pochodzenia, brązowe, brudnożółte i bure, ujadały wściekle. Niebezpiecznie byłoby w tej chwili wysiąść w powozu.

Uspokojono je głośnymi wrzaskami i kilkoma dobrze wymierzonymi kopniakami. Wciąż jeszcze kręciły się wokół powozu, obwąchując go i chwytając zębami za koła, ale już znacznie spokojniej. Gwardziści, których

zdjęto z koni, pomaszzerowali po schodach w stronę pierwszego domu. Rolfe uniósł się i usiadł z dłonią przyciśniętą do boku. Nie zważając na protesty Angelinę, poczekał, aż wysiadła, a potem sam wyszedł z powozu. Sądząc po tym, jak zbladł - dużo musiał go ten wysiłek kosztować.

- Nie wyglądasz mi dobrze, Wasza Wysokość. Przykro mi za to, co cię spotkało, ale gdybyś się nie pchał do bitki, nie byłbyś potłuczony, jak jesteś.

Kilku opryszków prowadziło konie z ciałami zabitych towarzyszy w stronę miejsca oznaczonego drewnianymi krzyżami. Klęli głośno, ale ich przywódca zdawał się tego w ogóle nie słyszeć.

- Myślę - rzekł dość obcesowo książe - że mógłby się pan przedstawić.

- Czemu nie? Jestem McCullough, przywódca tej bandy opryszków. Wejdiesz pan do środka z tego deszczu i odpoczniesz?

Rolfe skinął głową, a Szkot, chcąc pójść w jego ślady, też niezgrabnie się uklonił. Życzenia księcia Ruthenii traktowano jak żądania, gdyż pomimo opłakanego stanu, w jakim się znajdował, budził ogromny respekt.

- Pańska gościnność jest zniewalająca - rzekł Rolfe.

Z Angelinę u boku, wchodził powoli po schodach, unikając strumienia lejącego się z dachu. Powiał przenikliwy, wilgotny wiatr. Przyniósł zapach dymu oraz zgniły odór skór zwierzęcych rozciągniętych na ramach i rozwieszonych na ścianach jako ozdoby razem z jelenim porożem, łapami niedźwiedzi i sznurem krowich dzwoneczków. Wspaniale prezentowały się futra niedźwiedzi, lisów, wilków, norek, szopów, oposów i gdzieniegdzie bobrów.

Gdy przystanęli, McCullough wyprzedził ich i poprowadził do prawego skrzydła domu, w ślad za gwardzistami. Gdy podeszli bliżej, drzwi prowadzące do lewego skrzydła otworzyły się i wyszła z nich młoda Indianka odziana w samodziałową spódnicę i kwiecistą

perkalową bluzkę, z jedwabistymi, czarnymi jak skrzydło kruka warkoczami. Za nią ukazała się kobieta ubrana w żółtą jedwabną suknię lamowaną czarnymi koronkami i szal z indyjskiego kaszmiru, wyszywany we wszystkie kolory tęczy. Na szyi i na rękach miała mnóstwo bransolet i pierścionków. Na nogach - satynowe pantofelki z kolorowymi sprzączkami błyskającymi spod kraju sukni.

- Claire! - zawołała Angelinę.

Kuzynka popatrzyła gdzieś ponad nią, ponad Rolfe'em, tam gdzie po przeciwnej stronie domu stali zebrani gwardziści. Twarz miała bardzo bladą i gdy odwróciła się do niej, wyglądała, jakby z trudem zbierała myśli.

- Droga Angelinę! - zawołała zdziwiona - nie przypuszczałam, że możesz być z nim, chociaż *Maman* mi mówiła, że cię porwał...

Angelinę zauważyła, jak Claire spojrzała na stojącego przy niej Rolfe'a i jak skłoniła mu się lekko i trochę jakby lekceważąco.

- To ty nasłałaś na nas tych ludzi, prawda? - odważyła się w końcu powiedzieć Angelinę. - Skąd jednak wiedziałaś...

- Skąd wiedziałam, że mnie gonicie? Zgadłam, *chere*. *Maman* mi powiedziała, że nie możesz - że nie będziesz w stanie wytrzymać przesłuchań, którym zostaniesz poddana, więc muszę uciekać. Znając trochę księcia - zgodziłam się z nią. Szczerze jednak mówiąc, nie spodziewałam się, że jesteście aż tak blisko...

- A mnie żeś powiedziała, że są za tobą o kilka godzin - wtrącił się ostro McCullough.

Claire tylko wzruszyła ramionami.

- Bo tak się rwaliście... Myślałam...

- Już chciałaś się mnie pozbyć, by stąd prysnąć i żebym w tym czasie złapał Jego Wysokość, żeby zgubił twój ślad, bo tak to mi się widzi. I nie wyszło, co?

Spojrzała na niego wściekła.

- Nie wiedziałam, że będzie mnie tu pilnowała twoja kochanka dzikuska i to z nożem na gardle. Wiedziałaś, jaka potrafi być okrutna. Jestem cała posiniaczona od jej ciągłego poszturchiwania. Ale przysięgam sobie - zapłaci mi za to.

- Nie radzę ci z nią zadzierać - rzekł McCullough. - To dzika kocica.

- Nie mam zamiaru się z nią bić. Istnieją inne sposoby.

- To się jeszcze zobaczy. A jeszcze też się zastanowię, po co żeś mnie posłała jak po błędny ognek. Wygląda mi na to, że to wcale nie jest prawdziwy książę. A ty sprawiłaś, że straciłem sześciu dobrych ludzi. I na nic.

W tym momencie Angelinę poczuła rękę Rolfe'a na swoich ramionach. Dotyk był bardzo lekki, jakby się chciał tylko trochę oprzeć, by nie stracić równowagi. Znaczyło to, że czuje się bardzo słaby.

- Czy moglibyśmy już wejść? - spytała cichym głosem.

- No, jakże.

Rolfe przeszedł przez pomieszczenie ogólne z palącym się w piecu ogniem, pochylił głowę, by wejść przez niskie drzwi do sypialni. Podszedł od razu do prostej pryczy, która, obok stołka i prymitywnej umywalki, stanowiła jedyne umeblowanie pomieszczenia. Siadł na podniszczonym kocu okrywającym siennik i... stracił przytomność.

McCullough chciał pomóc Angelinę ułożyć go na pryczy, ale odmówiła. Próbowwała unikać wszelkich nieostrożnych ruchów, by nie spowodować na nowo krwawienia, które tak niedawno udało się jej zatamować. Wyszedł więc popatrzeć na swoich nowych jeńców, którzy zgromadzili się w jednym końcu wielkiej ogólnej izby, a do pomocy Angelinę posłał indiańską dziewczynę, która, choć milcząca, okazała się bardzo pomocna.

Wspólnie ściągnęły z Rolfe'a oblepiony błotem mokry mundur i wydostawszy spod niego koc, okryły go nim aż pod brodę. Angelinę poprosiła, żeby z powozu przyniesiono wszystkie ich rzeczy, między nimi - drewniane pudełko, w którym były proszki nasenne, które Rolfe przygotował dla niej. Wyjęła kilka i wymieszała z wodą, by podać, gdy tylko wróci mu przytomność. Potem siadła na skraju pryczy i czekała. Indianka wzięła mundur, by go uprać i usunąć krwawe plamy.

Czas mijał. Po jakiejś godzinie Rolfe poruszył głowę i otworzył oczy. Angelinę podniosła się natychmiast i wzięła do ręki lekarstwo.

- Masz - powiedziała i podniosła mu głowę. - Wypij.
- Co to?

Wyjaśniła mu; zdziwiła się tylko, jak mocno zabrzmiał jego głos.

Napotkał jej wzrok.

- Będę po nich ospały i bezwolny, otumaniony, nieporadny jak dopiero co od piersi odstawiony dzieciak. Nie, zabierz to.

- Mnie to dawałeś...
- Tobie świadomość i siły nie były potrzebne.
- No tak. Byłam więźniem.
- Teraz ja mam nim być?
- Nie. A przynajmniej nie tak, jak ty to rozumiesz.
- Droga Angelinę, nigdy nie używaj dwuznacznych wyrażen. Powiedz otwarcie, że jestem bezradny, całkowicie zdany na łaskę twoją i naszych szkockich przyjaciół.

- Tak, masz rację! I pewnie tak pozostanie, jeśli będziesz odmawiał przyjęcia pomocy, której potrzebujesz, by wyzdrowieć! - powiedziała odrobinę podniesionym głosem, pochylając się nad nim.

- Dobrze. Widzę, że nie tracisz ducha - rzekł nieco ironicznie. - A może zażyczysz sobie jeszcze, żebym wysłał do ojca wiadomość z prośbą o prawo do

korzystania z jego skarbcza, by się wykupić? Nie podziękowałyby ci za to i nie mogłabyś oczekiwać od niego, że będzie cię traktował lepiej niż ja.

- Czego się boisz? Że z przytępioną świadomością nie będziesz w stanie wydawać rozkazów i dowodzić? Teraz tego też nie możesz robić. Że stracisz kontrolę nad swą gwardią? Już i tak jej nie masz. Że gdy będziesz spał, wypadki potoczą się nie tak, jak byś sobie tego życzył? Nic nie możesz na to poradzić.

- Chcesz powiedzieć, że to wszystko prawda i że mam przyjąć warunki, które mi proponujesz?

- Tak, dlaczego nie?

Wargi wykrzywił mu dziwny uśmiech, który nie obejmował oczu.

- Czy myślisz, że jesteś moim więźniem, jest ci aż tak przykra, że chcesz, bym ja stał się twoim?

Na taki zarzut, aż jej dech zaparło. Wpatrywała się w niego, usiłując z całą uczciwością dojść, jak jest naprawdę.

- A nie może być tak, że wolę cię w pełni sił niż rannego, w nadziei, że twój powrót do zdrowia jest również dla mnie najpewniejszą drogą wyjścia z tej matni?

- Bardzo to rozsądne, ale nie odpowiedziałas na moje pytanie.

- A co to ma teraz do rzeczy? Jesteśmy tu oboje i tu jest Claire. Nie może ci uciec, bo jest równie dobrze strzeżona jak my. Może pojawi się jakaś możliwość wydostania się stąd, ale na razie niczego takiego nie widzę.

Błądził po niej niezupełnie przytomnym wzrokiem.

- Nieustraszona, bojowa czarownica, podająca balsamy i leki, w rozchełstnym odzieniu. Wydaje mi się, że wolę taką niż porażoną dziewczycę. I dziwne - takiej łatwiej mi zaufać.

Wyjął kubek z jej rąk, wypił do dna proszki wymieszane z wodą, po czym położył się ze wzrokiem utkwionym w jej twarzy, blady jak bandaż, którym

miał obwiązane czoło. Po chwili zamknął oczy. Rzęsy z rozjaśnionymi koniuszkami nawet nie drgnęły. Zasnął głęboko.

Angelinę przez chwilę wpatrywała się w jego twarz. Westchnęła z uczuciem, jakby przed chwilą stoczyła długą i ciężką walkę, którą, mimo ogromnych trudności - wygrała. Obróciła się i siadła na krześle przy łożku.

Ubranie miała poszarpane i nie podopinane. Co musieli o niej myśleć ci, którzy ją widzieli: McCollough, Claire, gwardziści, cała reszta? Niedbaluch - to byłoby delikatne określenie; ladacznica - tak nazwała ją ciotka. W tej chwili nie miało to już wielkiego znaczenia, ale szybko zapinała żakiet i koszulę pod nim. Bardzo by chciała zatrzeć pierwsze wrażenie i wszystko zacząć od nowa.

To Rolfe doprowadził ją do takiego stanu, ale nie mogła go winić za wszystko. Nie stawiała wystarczająco mocnego oporu. Mało tego - przygoda w powozie nawet ją bawiła, chociaż z początku do tej zabawy została zmuszona. Przez ostatnie kilka dni nie poznawała siebie. Wyrwana z ustabilizowanego życia u ciotki, rzucona w wir wydarzeń, nagle zaczęła w sobie odkrywać nie znane jej samej skłonności i słabości.

Zaczął już zapadać wczesny zimowy zmrok, gdy usłyszała pukanie do drzwi. Na sztywnych nogach podeszła do wyjścia. Na zewnątrz, z niepewną miną, stał Leopold. Na jego pytanie o stan księcia Angelinę mogła odpowiedzieć tylko tyle, że Rolfe śpi i że krwawienie ustało.

- Naradziliśmy się między sobą - powiedział bardzo cicho. - Widzimy możliwość wydostania się stąd mimo podwójnych straży przy drzwiach i oknach. Ale w żaden sposób nie zrobimy tego, dopóki nie będziemy mogli zabrać Rolfe'a. I jest jeszcze druga sprawa: Mademoiselle de Buys jest tutaj. Jej odnalezienie było głównym

celem naszej podróży. Teraz nie możemy stracić jej z oczu.

- Tak, rozumiem. Znam się trochę na ranach, gdyż często pomagałam ciotce, gdy trzeba było opatrywać je niewolnikom. Wiem, że kula ześlizgnęła się po żebrze i wyszła bokiem. Rana jest rozległa i byłoby najlepiej nie ruszać go przez co najmniej kilka dni. A jeśli idzie o Claire, skoro nie można zorganizować ucieczki tak, by ją zabrać ze sobą, to myślę, że Rolfe wolałby zostać tam, gdzie jest ona, przynajmniej tak długo, jak długo nikomu z nas nie grozi żadne bezpośrednie niebezpieczeństwo.

Leopold pokiwał głową.

- Z tego, co zdążyłem się zorientować, to ten oprych sądzi, że wszyscy pochodzimy ze znakomitych rodów, które będzie można doić jak mleczne krowy. Sądzi, że za okup za nas urządzi się tu jak dziedzic. Będzie bardzo zawiedziony, ale zanim to nastąpi - upłynie sporo czasu.

- A właśnie czasu teraz bardzo potrzebujemy - rzekła Angelinę.

Leopold przyjrzał się jej uważnie.

- Wygląda pani, Mademoiselle, na bardzo zmęczoną. Chętnie go popilnuję, a pani niech trochę odpocznie.

- Może trochę później - odrzekła. - Na razie dam radę sama.

To instynkt podsunął jej takie rozwiązanie - pomyślała, gdy zamknęła za nim drzwi. W chwili gdy proponował jej pomoc, nie pomyślała o niebezpieczeństwie grożącym życiu Rolfe'a. Dopiero teraz, gdy popatrzyła na leżącą na pryczy postać, uświadomiła sobie, że taka właśnie myśl kołatała się jej po głowie. W stanie, w jakim się znajdował, był łatwą ofiarą dla zabójcy, jeśli ktoś taki naprawdę jest pomiędzy nimi. Rolfe nie wspomniał o tym, gdy odmawiał przyjęcia środków nasennych, które mu chciała podać; teraz

zastanawiała się, czy nie to właśnie było główną przyczyną jego nieufności. Człowiek nieprzytomny jest bezbronny. A ponieważ to ona podała mu środek nasenny, musi teraz stać na straży. Jak długo jest przy nim, tak długo jest bezpieczny.

Nadszedł wieczór. Twardy taboret nie był najwygodniejszym siedzeniem. Podniosła się więc i rozejrzała po pustych ścianach pokoju. Dwie miały okna, w trzeciej były drzwi prowadzące do pomieszczenia ogólnego, a w czwartej - drzwi prowadzące na tyły domu. Chodziła po pokoju, zatrzymywała się, by poprawić rozrzucone koce, które Rolfe ściągnął z siebie w niespokojnym śnie, sprawdzała bandaże, by się upewnić, czy nie pojawiają się jakieś świeże plamy krwi. Kładła mu dłoń na czole, by sprawdzić temperaturę - wiedziała, że pod wieczór gorączka rośnie. Kilka razy majaczył przez sen. Próbował zrzucić z siebie okrycia, zsunąć się z łóżka i stanąć na nogi. Powstrzymywała go siłą, szeptała mu coś do ucha i zmuszała do położenia się na sienniku. Nie było to łatwe.

Gdy zrobiło się zupełnie ciemno, przyniesiono jej jakąś zupę i chleb oraz wysoką zapaloną świecę. Spróbowała obudzić Rolfe'a, by zmusić go do jedzenia, ale to było niemożliwe. Majaczył cały czas i rzucał się przez sen tak, że wytracił jej łyżkę z rąk. Sama przełknęła trochę i odstawiła tacę.

W chwilę później zauważyła, że koc okrywający mu piersi drży. Jego ciało było gorące jak rozpalony piec. Bilo od niego gorąco i jednocześnie wstrząsały nim dreszcze. Powietrze w nie ogrzewanym pomieszczeniu było wilgotne i przenikliwie zimne. Angelinę czuła to na sobie. Próbowła ogrzać kostniejące ręce świecą, ale jej kopający płomyk zaraz gasł.

Poza ich pokojem cały dom spał. Bolały ją plecy, a ćmiący ból pod czaszką stawał się coraz bardziej

dokuczliwy - to było przypomnienie, że całkiem niedawno czuła się podobnie jak Rolfe w tej chwili.

Coś trzeba było zrobić. Temperatura niebezpiecznie rosła. Znała sposoby na jej obniżenie: zimne kompresy, zawijanie w chłodne, mokre prześcieradła. Wahała się jednak. Może stan Rolfe'a jeszcze nie wymaga takich zabiegów. Bała się wziąć na siebie odpowiedzialność. Potrzebowała czyjejś rady.

W tym momencie przypomniała sobie, że Meyer potrafi nastawiać połamane kości. Stała wpatrując się w nierówną ścianę z bali, zastanawiając się, czy Meyer śpi, co sobie pomyśli, gdy go poprosi o radę, czy jego własna rana nie będzie mu przeszkadzała w udzieleniu pomocy, wreszcie - czy ma pójść szukać go teraz czy może poczekać do rana.

Podeszła do łóżka i końcami palców dotknęła policzka Rolfe'a. Tego dotyku, ostrożnego i delikatnego, musiał się chyba przestraszyć, bo natychmiast otworzył oczy. Błyszczące od wysokiej gorączki skierował prosto na nią, gdy stała pochylona nad nim w pełgającym świetle świecy.

- Angelinę - szepnął - nie przejmuj się. Nic nie możesz zrobić.

- Może zawołam Meyera? Może on...

- Gdybym tego chciał, poprosiłbym go już wcześniej.

- Ale twoja gorączka...

- Opadnie, gdy tylko wyzdrowieję. Nie przejmuj się. Jeśli potrafiłabyś potraktować to raczej jak męczeństwo niż molestowanie, to połóż się przy mnie.

- Mogłabym ci zrobić krzywdę.

- Może i tak, ale nic innego nie możesz zrobić. Chodź.

Odsunął koc i czekał. Chęć, by zrobić to, o co prosił, i w ten sposób całą odpowiedzialność za jego zdrowie złożyć w jego ręce, była, nie do odparcia. Mimo to jednak dużo ją kosztowało, by go posłuchać.

- Potrzebujesz doktora.

- Nie zabrałem cię ze sobą, byś pełniła rolę mojej niańki.

- Nigdy nią być nie chciałam - powiedziała leciutko podniesionym głosem - ale ktoś musi się tobą zajmować.

- Pozwól, że sam zdecyduję, co mi jest potrzebne, a co nie. Teraz potrzebuję ciepła twojego ciała, a nie mądrego i zimnego anioła, który nade mną czuwa.

Mówił cichym, niespokojnym głosem. Sprzeczenie się z nim nie miało w tej chwili sensu. Mogło jedynie wyczerpać resztki jego sił. Zdecydowanymi ruchami zdjęła żakiet, bluzkę, ciężką, aksamitną spódnicę i ułożyła wszystko na kocu jako dodatkowe nakrycie. W samej koszuli weszła do łóżka. Objął ją ramieniem i mocno przytulił do siebie. Z początku drżał trochę, bo jej zziębnięte kończyny zbyt kontrastowały z jego rozpalonym ciałem, ale po chwili zaczął się uspokajać, jakby sama jej obecność uśmierzała ból. Po jakimś czasie zapadł w głęboki sen.

Angelinę leżała bez ruchu. Czuła, jak jego ciepło przenika ją na wskroś. Był dla niej obcy. Był księciem Ruthenii. Wybijał się ponad przeciętność: nieprzeciętnie inteligentny, o żelaznej woli, przekonujący, prostoliniowy, nie bał się niczego, ani ludzi, ani przeciwności losu, które mógłby mu zesłać zniecierpliwiony Bóg. Nie istniały dla niego rzeczy święte, z wyjątkiem może, choć nie na pewno - akceptacji ze strony ojca oraz przekonania o własnej wartości. Tymi cechami osobowości zdobywał, jak to powiedział Gustave, uwielbienie współziomków, lojalność tych, co poszli za nim i... miłość kobiet.

Oczywiście miłość tylko niektórych kobiet. Nie wszystkich. Jej to, z łaski *le bon Dieu*, nie dotyczyło. Poruszenie zmysłów, które odczuwała, gdy znajdowała się w jego pobliżu, powodowane było strachem, brakiem zaufania i niezrozumiałym niepokojem wobec człowieka, który rozbudził w niej drzemiące do tej pory namiętności.

Fakt, że chwilowo uznał ją za atrakcyjną czy nawet godną pożądaną, wprowadzał tylko dalsze zamieszanie. Byłoby zupełną głupotą z jej strony mylić naturalne reakcje na bieżące wydarzenia z czymś, co może mieć jakieś trwałe znaczenie na przyszłość. Nie jest taka naiwna. Nie może być.

Rolfe niedługo wyzdrowieje, dowie się od Claire wszystkiego, co chce wiedzieć, i będzie wolny. Wsiądzie na statek i odpłynie... z jej życia. Nic tego nie może zmienić, nic go tu nie zatrzyma. Nie, żeby tego chciała, skądże. Pałace, gorzkie łzy, spływające jej po policzkach, świadczyły wyłącznie o tym, że ciężko przeżyła kilka ostatnich dni. Niemądrze byłoby uznać je za znaczące.

Ro[^]d[^]iał

- XII -

Po męczącej nocy nadszedł ranek. Kilka razy z niespokojnego snu budziły ją odległe krzyki i hałasy, szczekanie psów, pochrząkiwanie dzikich świń gdzieś niedaleko chaty. W drewnianych ścianach poświstywał wiatr, który zerwał się zaraz, gdy tylko przestało padać. Czuła się gorzej niż wieczorem, gdy się kładła. Stan Rolfe'a nie zmienił się. Gorączka nie opadała, wargi miał suche i popękane. Bez protestów połknął proszki rozmieszane w wodzie, co już samo w sobie wzbudziło jej niepokój.

Kiedy zasnął na nowo, Angelinę nałożyła suknię, którą Rolfe jej kupił, i wyszła z sypialni. Weszła do ogólnej izby, gdzie po kątach leżeli zawinięci w derki ludzie, i zaczęła szukać przywódcy.

Dostrzegła go przy stole. Siedział, jedząc posmarowane masłem i obłożone wędzonym boczkiem suchary. Obok niego siedziała Claire - dłubała w kawałku czegoś, co pewnie było jakimś ciastem. Dalej Meyer i Leopold, a także kilku ludzi McCullougha. Patrzyli na Angelinę, jak podchodziła do zwalistego Szkota.

- Witam cię! - zawołał jowialnie. - A jak się czuje tego ranka Jego Wysokość?

- O tym właśnie chciałam z panem pomówić - odrzekła Angelinę.

Mruknął coś, co miało znaczyć, że słucha, i zabrał się z ochotą do żucia kawałka mięsa. Widać jednak było, że obserwuje ją, tak samo zresztą jak cała reszta zebranych przy stole.

- Jest z nim źle. Czy nie można by sprowadzić chirurga?

- Miła dziewczyno - powiedział Szkot, gdy tylko przełknął to, co miał w ustach. - W odległości pięćdziesięciu mil nie ma tu nikogo takiego, a nawet gdyby był, toby nie wszedł na tę Ziemię Niczyją, gdzie tylko diabeł zbiera swoje opłaty.

- To co robicie, gdy kogoś postrzelą?! - zawołała Angelinę.

- Zdrowieje sam albo przy pomocy Gwiazdy Porannej, jeśli mu zechce pomóc.

Kiwnął głową w stronę Indianki, która właśnie podnosiła z paleniska wielki żeliwny garnek i jego zawartość rozlewała do drewnianych talerzy. Angelinę spojrzęła na dziewczynę i spotkała jej obojętny wzrok.

- Może ją posłać do tego twojego księcia, co? - spytał ze złośliwym uśmiechem.

Rozmowę przerwał Meyer.

- Myślę, że będzie lepiej, jak księciem zajmą się gwardziści. Ja sam mógłbym zająć się jego ranami.

Angelinę zwróciła się w jego stronę i popatrzyła mu w oczy.

- Jeśli o mnie idzie, bardzo chętnie skorzystam z pańskiej pomocy, ale nie jestem pewna, czy on się na to zgodzi.

- Jeśli ma dość sił, by się opierać - zaśmiał się Meyer - to lekarz jest mu niepotrzebny.

Nie chciała, by Rolfe'owi udzielano pomocy, której on sam nie chciał, ale coś trzeba było robić. Musiała się zgodzić na propozycję Meyera.

- Dobra! - zawołał McCullough i otwartą dłonią uderzył w stół. - A jak mamy to z głowy, to co - siadaj z nami do śniadania. Ta twoja kuzynka pewnie się ucieszy z twojego towarzystwa, nie?

Angelinę spojrzęła na Claire. Rudowłosa piękność usiłowała ukradkiem cofnąć dłoń spod ogromnej łapy Szkota.

- Dziwi cię, że znam wasze pokrewieństwo, co? - zaśmiał się. - Przecie to proste. Mam oczy w głowie i zaraz widzę, jak jesteście do siebie podobne. I Claire mi powiedziała to i owo przez noc.

Angelinę przypomniała sobie głośne rozmowy i krzyki, jakie słyszała przez niespokojny sen. Z ponurego wyrazu twarzy Claire mogła się domyślić, że kuzynka kłóciła się ze Szkotem. Co poza tym mogło zająć między nimi? Niczego nie chciała się domyślać, ale z głupkowatej, zadowolonej miny przywódcy opryszkow można było dużo wyczytać.

- Dziękuję, ale wolałabym zjeść w sypialni - odparła chłodno Angelinę.

- To se sama musisz przygotować - warknął Szkot. - Gwiazda Polarna ma za dużo do roboty na głowie, żeby jeszcze latać z żarciem do tych, co sami mogą zrobić.

- Oczywiście.

Angelinę odwróciła się od stołu. Meyer wstał. Leopold zrobił to samo. We troje wyszli z pomieszczenia. Meyer zaczął dokładnie wypytywać o rozległość i umiejscowienie ran.

Rana na głowie była brzydka, ale nie wydawała się zbyt groźna. Bardziej niebezpieczna była druga: kula weszła z boku i wyszła na plecach. Problem polegał na tym, że razem z kulą do rany dostały się strzępy koszuli oraz błoto i brudna woda. Wysoka temperatura przy takiej ranie była objawem, że zaczął się proces gojenia i z tego względu nie była groźna. Groźne było to, że gorączka mogła podnieść się za wysoko lub trwać zbyt długo. Pytania, które stawiał Meyer, jak również jego objaśnienia były dla Angelinę pokrzepiające, gdyż świadczyły o dość rozległej wiedzy medycznej.

Kiedy we troje przechodzili przez izbę ogólną, Oscar i Oswald unieśli głowy znad zatłuszczonych kart. Podnieśli się, zbudzili chrapiącego Gustave'a i gdy ten

naciągał buty, stanęli pod drzwiami, za którymi zniknęła Angelinę z Meyerem.

- Czy to przymusowa opieka? - zapytał księżę, który pod nieobecność Angelinę podniósł się na pryczy i siedział z błyszczącymi oczami. - Zupełnie niepotrzebna. Lepiej zająłbyś się rozpoznaniem tej wiejskiej fortecy i jej załogi.

- Chciałem się tylko dowiedzieć, czy z tobą wszystko w porządku - odpowiedział Meyer, zatrzymując się w progu.

- Przyjrzyj się, naciesz oczy i żegnaj - rzekł księżę mocnym głosem.

- Zrobię to, jeśli tylko pozwolisz mi obejrzeć twoje rany.

- Nie lubię odmawiać, ale teraz wolę zachować je w tajemnicy.

Meyer zbladł.

- Jesteśmy od ciebie zależni, Rolfe. Jeśli cokolwiek miałyby się wydarzyć...

- Nie napieraj się, bo to i tak nic nie pomoże.

- Bądź rozsądny. Twoje rany...

- ... są kłopotliwe, ale nie niebezpieczne. A rozsądek? Po co mi? I tak jestem przyszłym królem Ruthenii.

Powiedział to z ironią, ale i z wyraźną goryczą. Był osamotniony jak każdy król. I nie ufał nikomu, bez względu na to, jak bardzo chciałyby komuś zaufać.

Angelinę podeszła bliżej i oparła ręce na biodrach.

- Meyer może ci pomóc. Powinieneś mu pozwolić.

- Nie potrzebuję żadnej pomocy - odpowiedział, patrząc na nią szeroko otwartymi, niebieskimi oczami. - Niczego nie wymagam, od nikogo niczego nie potrzebuję, a już najmniej - udawanego zatroskania i płaczących próśb. Możesz stąd wyjść razem z pozostałymi.

To było wyproszenie jej, ich wszystkich, nawet Gustave'a, który z założonymi rękami stał w drzwiach. Jak długo miał dość siły, by im się przeciwstawić, tak

długo nie pozostawało im nic innego, jak słuchać jego rozkazów.

Angelinę wyszła do wielkiej izby i stanęła przy piecu. Wyciągnęła zziębnięte ręce w stronę ognia. Meyer podszedł do niej. Po chwili, zamknąwszy drzwi sypialni, zrobił to również Leopold.

- To było do przewidzenia - rzekł kuzyn Rolfe'a - że nie pozwoli nikomu zająć się sobą. Zawsze taki był.

- Uparty jak muł - dodał Meyer.

- Lubi myśleć o sobie, że jest niezwykły i może nawet nie jest daleki od prawdy - powiedział w zamyśleniu Leopold.

- Jest człowiekiem jak wszyscy - mówił Meyer. - Nie sądzę, żeby się bał oczyszczania ran, które tego wymagają, by uchronić go przed zakażeniem. To duma jest jego grzechem głównym, duma zbyt wielka, by przyjąć pomoc, która jest mu konieczna.

Leopold spojrział na Angelinę, która westchnęła głośno. W jej oczach widoczny był strach, który ogarnął ją na myśl, że Rolfe'owi trzeba będzie dwa razy rozpalonym do białości żelazem oczyszczać rany. Potem zwrócił się do Meyera.

- Nie sądzę, że to tylko duma. To raczej jego sposób bycia i wrodzona godność osobista. Bez względu jednak na powody, widać, że utknęliśmy w martwym punkcie. Idę zobaczyć, co z końmi, jeśli uda mi się przekonać mego strażnika, by mi pozwolił wyjść poza pomieszczenie, gdzie jedzą śniadanie.

- A co? Jest jakieś śniadanie? Idę też! - zawołał Oswald.

- Ja z wami - rzekł Oscar.

- Też czymś na ząb nie pogardzę - powiedział Gustave, chociaż było widać, że ociągał się z odejściem.

Odeszli pozostawiając Angelinę z Meyerem. Zaraz dołączyli do nich strażnicy. Rozmawiali chwilę, a potem było słychać, jak się oddalali. Ogień trzaskał w palenisku.

Meyer podszedł do miejsca, gdzie leżała jego derka, podniósł ją, zawinął w koc i umieścił w schowku pod ławą.

- Przykro mi z powodu pani kuzynki - powiedział po chwili. - Bez względu na to, jaką rolę odegrała przy śmierci Maximiliana, nie życzyłbym żadnej kobiecie sytuacji, w jakiej się znalazła.

- Jakiej sytuacji?

- Kochanki, jeśli tak to można określić, naszego przyjaciela McCullougha.

- Myśli pan, że jest...

- Wiem. Ten człowiek pokazał to dobitnie przy stole podczas śniadania, zanim pani weszła. Miało to być ostrzeżenie, by nikt nie odważył się wchodzić mu w paradę. Tak to dokładnie wyglądało.

Angelinę miała pewne wątpliwości co do tego, czy miał rację, ale nie potrafiłaby na taki temat dyskutować z mężczyzną.

- Biedna Claire - powiedziała tylko zrezygnowana.

- To chyba zły los pani kuzynki, że spotyka wyłącznie mężczyzn, którzy, poza tym, niczego więcej od niej nie chcą. Maximilian miał więcej ogłady niż ten tu, ale efekt końcowy był podobny. W takich okolicznościach jak tamte nie mogła spodziewać się niczego innego. Jeśli się tylko nad tym zastanawiała, wiedziała, że on nie może jej zaoferować niczego ponad to.

- Claire była znana z tego, że nigdy nie zastanawiała się nad konsekwencjami swego postępowania.

- Czego się mogła spodziewać? Nawet głupsza od niej dziewczyna powinna zrozumieć, że żony Maximilian musiał szukać na którymś z europejskich dworów królewskich. Tego wymagała jego pozycja, nie wspominając już o pogładzie ojca na tę sprawę.

- Tak, to zupełnie jasne.

Było również jasne, że Meyer mówi o tym, by jej uświadomić sytuację, w jakiej znalazła się wobec Rolfe'a.

To było pocziwe z jego strony, że martwi się o nią, ale w jej przypadku trudność sprowadzała się do tego, że w tej chwili nie miała żadnego wyboru - musiała pozostać przy księciu.

- Szkoda mi Mademoiselle de Buys. Chciałbym w tej sprawie móc coś zrobić, ale nie widzę możliwości. Nasz gospodarz nie wygląda na kogoś, kto posłuchałby prośby, nawet bardzo elegancko sformułowanej, by zaprzestał jej nagabywania. A broni, by taką prośbę odpowiednio poprzeć, nie mam.

- Nie sędzę, żeby Claire czegoś takiego oczekiwała - odrzekła Angelinę i odwróciła się do ognia.

Myliła się. W niecałe pół godziny kuzynka ją odszukała. Meyer został odwołany do McCullougha, zapewne, by omówić warunki okupu. Angelinę siedziała sama w wielkiej izbie, walcząc z pokusą, by nie podkraść się pod drzwi sypialni i nie zajrzeć do środka. Bała się jednak obraźliwych słów, które mógłby rzucić pod jej adresem, gdyby ją zauważył. Claire zaskoczyła ją swoim przyjściem.

- Musisz coś zrobić! - zawołała od progu. - Jeśli ten potwór dotknie mnie jeszcze raz, wścieknę się z obrzydzenia!

- Ty... to znaczy, masz na myśli McCullougha?

- A kogóż by innego?! Obejmuje mnie swymi łapskami jak niedźwiedź plaster miodu, całuje, że tracę oddech. To brutalny buhaj, który nigdy nie ma dość, i co najgorsze - jestem tego niemal pewna - ostatniej nocy prosto ode mnie poszedł do tej swojej złodziejskiej kochanki, Gwiazdy Porannej!

- Wyobrażam sobie, jakie to musi być straszne dla ciebie - powiedziała cicho Angelinę - ale nie wiem...

- Straszne? Nawet sobie nie możesz tego wyobrazić. Ale pewnie myślisz, że dobrze mi tak za to, że z *Maman* zostawiłyśmy cię Rolfe'owi. Mogę się domyślać, że tak właśnie uważasz.

- Tego nie powiedziałam.

- Nie musiałaś. Widzę to w twoich oczach. Nigdy nie potrafiłaś kryć swoich uczuć - powiedziała Claire i potrząsnęła rudą, wysoko upiętą fryzurą z taką miną, jakby oczekiwała zaprzeczenia.

- Możesz myśleć, co chcesz - odparła Angelinę - ale ja jestem bardzo zmartwiona, że taki właśnie jest efekt twojej ucieczki.

- Innymi słowy, to wszystko moja wina - rzuciła gorzkim tonem Claire. - Moja wina, że mój woźnica został zabity, moja wina, że zostałam ujęta...

- Trudno temu zaprzeczyć. Ale to nie pomniejsza moich zmartwień.

- Szlachetne! - zawołała Claire ze śmiechem i zaczęła szybko chodzić po izbie. - Mogę cię zapewnić, że chociaż Rolfe jest bardzo szorstki, byłaś ostatniej nocy w o tysiąc razy lepszej sytuacji niż ja. Zostałam zgwałcona - tylko tak mogę określić to, co mnie spotkało. Porwał na mnie ubranie, a ja musiałam bezwolna leżeć pod tym obscurnym opryszkim. Sprawię, że jeszcze tego pożałuje, choćby to miała być ostatnia rzecz, jaką w życiu zrobię. Ale najpierw muszę się stąd wydostać.

- Wszyscy tego chcemy.

- Tak? A ja gotowa byłam pomyśleć, że Rolfe jest zadowolony. Przecież w końcu mnie dostał, prawda?

Obróciła się gwałtownie i spojrzała na Angelinę swoimi zielonymi oczami.

- Jest w takim stanie, że nie może się z tego cieszyć.

- Myślisz, że jest naprawdę chory? To niedobrze. A byłam pewna, że pomoże mi się stąd wydostać, za odpowiednią cenę, oczywiście.

- Co masz na myśli?

- Za informacje, jakich potrzebuje - powiedziała Claire niecierpliwie, choć już mniej agresywnie.

- A więc wiesz coś na temat śmierci Maximiliana?

- Czy to takie dziwne? Przecież byłam tam wtedy - przypomniała Claire z zagadkowym uśmiechem na ślicznych wargach.

- Tamtego wieczoru, po przyjęciu, nie wspomniałaś o tym ani słowem.

- W pokoju była *Maman*, moja kochana matka. Nie ma sensu niepotrzebnie rozczarowywać kobiety, która cię urodziła.

Cynizm tej uwagi zmroził Angelinę. Chociaż miała tylko mgliste pojęcie o sprawie, o której mówiła kuzynka - o sytuacji, w jakiej się znalazła jako utrzyman-ka Maximiliana - tak nie powinna o tym mówić.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- A czy to ma teraz jakieś znaczenie? - Claire wzruszyła ramionami. - Wszystko to wydarzyło się tak dawno temu... Pomyślmy raczej, co teraz...

- Powiedziałam ci już...

- Tak, tak! Wiem. Ale przecież musi być jakieś wyjście. Jeśli będę zmuszona działać sama, to znajdę jakiś słaby punkt tego Szkota. Myślę, że boi się swoich ludzi. Boi się też o swoją pozycję w tej przez Boga przeklętej dziczy. Dowodzi zbrojnym obozem - chyba to zauważyłaś? - czymś, czego nie tworzy się ze strachu przed prawem. Z tego, co słyszałam, jak mówił do jednego ze swych kompanów, jest uwikłany w jakieś kłopoty z inną, taką samą jak ta, bandą. Byłoby dobrze, gdyby ta druga banda na nich tu napadła. Kto to będzie - nie ma znaczenia.

- W jakiej sytuacji znajdziemy się my? - spytała szorstko Angelinę.

- To nie ma nic do rzeczy, byleby McCullough dostał porządnie w kość. Może udałoby nam się uciec w zamieszaniu.

- Ale nie ma żadnej pewności, że jeśli nam się nie uda, ci inni zbóje nie potraktują nas znacznie gorzej.

- Musimy wykorzystać szansę...

- To niemożliwe, gdy ma się ze sobą rannego, który nie tylko, że sam nie może się bronić, ale jeszcze...

- Nie może się bronić? To musi być upokarzające dla niego, co? Ale myślę, że jest dość twardy, by przeżyć. Zresztą widać, że nie musisz przy nim siedzieć.

- Tak naprawdę, Claire - powiedziała Angelinę z naciskiem - to absolutnie nie twoja sprawa. I powiem ci otwarcie: nie będę brała udziału w żadnym z twoich spisków, nawet jeśli w jakikolwiek sposób udałoby ci się doprowadzić do napaści na ten obóz. Sama zresztą uznasz to za śmieszne, gdy się trochę zastanowisz.

- Ja osobiście nie muszę maczać w tym palców. Z tego co wiem, takiego napadu oczekują tu od kilku dni. Moje działanie sprowadza się to tego, żeby w odpowiednim momencie zmylić ich czujność i wyrwać się z gościny u McCullougha. A poza tym, co mam do stracenia?

- Ależ to szalone! - zawołała Angelinę, ale Claire przemierzając izbę w tę i z powrotem, nie zwracała na nią uwagi.

Przez resztę dnia z pokoju, gdzie leżał Rolfe, nie dochodziły żadne odgłosy. Angelinę siedziała w izbie ogólnej. Odmówiła nawet południowego posiłku, mówiąc, że nie jest głodna. Później zastanawiała się, czy nie powinna przygotować jakiejś zupy czy rosołu dla Rolfe'a - tak długo nie można go przecież pozostawiać bez jedzenia. Pod wieczór Gustave zdecydował się wejść do jego sypialni. Rolfe spał, więc gwardzista zaproponował jej, że razem z Leopoldem będą go pilnowali, a ona żeby poszła w drugi koniec domu i zjadła kolację.

Kolacja jeszcze nie była gotowa. Angelinę stojąc w drzwiach zastanawiała się, co zrobić: siąść przy stole razem z McCulloughem i kilkoma jego ludźmi, czy wrócić do izby ogólnej, gdzie gwardziści grali w karty lub współzawodniczyli ze swymi strażnikami w pluciu

na odległość. Miała jeszcze inną możliwość: pomóc Gwieździe Porannej. Ponieważ Claire nie było w pomieszczeniu, Indianka sama zajmowała się przygotowaniem jedzenia. Podnosiła pokrywy garnków, by w nich zamieszać, polewała tłuszczem piekące się na rożnie mięso, wykładała na wielką drewnianą misę nieodłączne suchary. Nie zwracając uwagi na powitalny ukłon McCullougha, stanęła obok Gwiazdy Porannej i z uśmiechem, wyjmując jej chochlę z ręki, zaoferowała swą pomoc. Indianka popatrzyła na nią z niedowierzaniem, ale widząc, jak zgrabnie obraca rożen i polewa mięso, uznała, że gotowanie jest w dobrych rękach, i odeszła.

Mężczyźni zgromadzili się wokół Angelinę z krzykiem, niewybrednymi dowcipami i wilczymi apetytami. Gwardziści niemal po przyjacielsku rywalizowali z nimi w takim zachowaniu. Widać było, że zgodnie starali się zdobywać przychylność swoich strażników i zarazem usypiać ich czujność. Nie mieli w tym zbyt dużych osiągnięć, ale byli na dobrej drodze.

Samotni mężczyźni należący do bandy jedli razem ze swoim przywódcą. Ci, co mieli żony lub inne kobiety, które mogły się nimi zająć, udali się do oddzielnych domków stojących obok budynku głównego. Podczas dnia Angelinę słyszała hałas bawiących się dzieci, płacz niemowląt i inne charakterystyczne odgłosy normalnej osady ludzkiej. Co się z nimi stanie, jeśli obóz zostanie zaatakowany? - pomyślała. Jacy naiwni i głupi musieli być ci mężczyźni, jeśli z rozmysłem narażali swe rodziny na takie niebezpieczeństwo!

Pojawiła się Claire. Wyglądała jak paw: starała się ściągnąć spojrzenia wszystkich mężczyzn siedzących przy stole. Miała na sobie długą spódnicę z aksamitu i żakiet z pomarańczowej satyny. Włosy upięła wysoko - wyglądało na to, że całe popołudnie poświęciła na przygotowanie toalety na wieczorny występ.

Minęło trochę czasu, zanim Angelinę spostrzegła, że jest również obiektem obserwacji. Tylko że ją badawcze spojrzenia mężczyzn, zatrzymujące się na jej włosach, twarzy zaczerwienionej od ognia i palcach bez pierścieni, przyprawiały o brak apetytu. Nawet sam McCullough, ładując do ust fasolę, na niej koncentrował spojrzenia swoich brązowych, pożądlivych oczu.

Napiętej sytuacji przy stole nie rozładowywali Meyer i Oscar siedzący po obu jej bokach, gotowi w każdej chwili wystąpić w jej obronie. Meyer, by podkreślić, że w tym celu tu siedzi, często odkładał co smaczniejsze kęsy na jej talerz, nisko nachylał się w jej stronę, mówił coś do niej po cichu, od czasu do czasu dotykał jej ramienia, by zwrócić na siebie jej uwagę, zaglądał w szarozielone oczy.

Claire obserwowała całą tę grę z drwiącym grymasem na twarzy. Rozkruszając suchar w długich białych palcach, spojrzała w stronę brodatego opryszka, bez jednego ucha. Ten po chwili z sobie tylko znanego powodu napadł na siedzącego obok towarzysza. Kiedy obaj padli na podłogę, okładając się pięściami, szarpiąc i kopiąc, Claire obserwowała ich z pogardą, chociaż pod opuszczonymi powiekami oczy błyszczały jej żywym podnieceniem.

Nikt nie zwracał na nich szczególnej uwagi, dopóki w świetle lampy nie błysnęło ostrze noża. McCullough wykrzyknął jakiś rozkaz i jednocześnie z dezaprobatą popatrzył na Claire. Uśmiechnęła się tylko, gdy zauważyła, że drugi nóż przeciął powietrze i z brzękiem utkwiał w podłodze w zasięgu ręki jednouchego bandyty.

Mężczyźni krążyli wokół siebie. Doskakiwali, popychali się, obrzucali wyzwiskami i przekleństwami, nie czyniąc sobie zbytnej krzywdy. Pot strumykami spływał im po twarzach, zwilżał samodziałowe koszule, napełniał kwaśnym odorem ciężkie od dymu powietrze. Znowu błysnął nóż i w rozciętym rękawie jednouchego opryszka

pojawiła się krew. Twarz wykrzywił mu grymas bólu. Podskoczył do przeciwnika i zaciskając zęby, zadał cios. Uderzony wrzasnął, jego nóż z brzękiem upadł na podłogę, a on stał, trzymając się za krwawiącą rękę - krew lała się z obciętego palca.

- Okrutne i chamskie - powiedziała głucho Claire. - Każdy z ludzi księcia zrobiłby to o połowę szybciej i z większą finezją. Sam księżę, jestem tego pewna, w stanie, w jakim jest, w bandażach, wysłałby ich obu naraz na tamten świat. Jeśli to są twoi najlepsi ludzie, to nie dziwię się, że nawet na kobiety musisz robić zasadzki.

- Tak myślisz? - burknął McCullough.

- Ja to wiem.

- A co, może zrobić próbę? - spytał Szkot.

- Mnie pytasz? Ty musisz wiedzieć, co ci pasuje i co cię bawi.

- Tu się nie rozchodzi tylko o zabawę - odrzekł i chytrymi brązowymi oczkami wpatrywał się w siedzącą przy nim kobietę. - Też bym chciał wiedzieć, co to za chłopcy z tych poprzebieranych modnisiów, co tu przyszli z dalekich krajów.

Gwardziści przysłuchujący się tej rozmowie popatrzyli po sobie. W ich spojrzeniach nie było niechęci, raczej - niemiłe zaskoczenie, że sprawy przybierają niewłaściwy obrót: chcieli być jedynie biernymi, a nie czynnymi więźniami.

- Prawdziwa próba powinna się składać co najmniej z szermierki i strzelania, prawda? - spytała niewinnie Claire.

Słyszając to Angelinę nagle zrozumiała, że Claire idzie o to, by gwardziści zostali uzbrojeni. To był konieczny warunek ucieczki. Również jej ucieczki. Mademoiselle de Buys nie wzięła pod uwagę jednego: że przywiązanie gwardzistów do księcia nie pozwoli im na opuszczenie go. Patrząc na McCullougha pomyślała, że Szkot chyba

nie da się otumanić Claire. Uśmiechał się kwaśno, spoglądając raz na nową kochankę, raz na swoich ludzi przy stole, głośnymi okrzykami wyrażających swoją gotowość udowodnienia, że Claire nie ma racji. Nie był do końca pewny, czy potrafi zapanować nad sytuacją i nad ludźmi księcia w momencie, gdy otrzymają broń do ręki.

Nagle ogromną dłonią uderzył w blat stołu.

- Tu w środku nie ma dość miejsca. Zabrać lampy i idziemy na dwór.

Zebrali się na zamkniętym podwórzu, przekrzykując się i śmiejąc, z ręki do ręki podając sobie butle z samogonem. Przepędzane psy ujadają, kobiety plotkowały, mężczyźni zakładali się. Rozwieszane na ścianach skóry śmierzdały. Ostry zaduch dawno nie mytych ciał unosił się nad całym tłumem. Wiatr rozwiewał dym z pochodni i sprawiał, że płomienie tańczyły chybocliwie, rzucając niepewne cienie na drewniane ściany domów. Blask lamp oświetlał łopaty i kilofy, lemiesz i obręcze kół, plecione kosze i worki ze zbożem i suszonymi owocami, podwieszane pod wysunięte okapy. Światło wydobywało z ciemności ruchliwe i podniecone twarze tych, co mieli stanąć do walki. Odbijało się też w szmaragdowych oczach Claire.

Zawody miały rozpocząć się od strzelania. Jako cel ustawiono cyprysowy gont z wymalowanym niewielkim punktem w samym środku. Angelinę uderzyła panująca tu atmosfera, do złudzenia przypominająca tę, jaka panowała pamiętnej nocy, kiedy trzymała kartę do gry, a Rolfe do tej karty strzelał.

Na podwórze wkroczyła grupa strażników, w sumie ponad tuzin, i zajęła miejsca po jednej stronie podwórza. Każdy uzbrojony był w długą strzelbę, nabita i gotowa do strzału.

Angelinę przeszedł dreszcz. Nie miała już siły stać tu ściśnięta w tłumie. Zaczęła przepychać się w tę stronę

domu, gdzie leżał Rolfe. Przy wejściu spostrzegła Gustave'a i Leopolda pograżonych w cichej rozmowie. A więc Rolfe musi być sam - pomyślała. Przemknęła obok nich, kierując się do izby ogólnej, pchnęła drzwi i wpadła do środka.

Drzwi do sypialni Rolfe'a były otwarte. Światło jedynej świecy, którą pozostawiono na obramowaniu kominka w izbie ogólnej, wpadało do ciemnego pokoju. Oświetlało stojącą bez ruchu tuż przy wejściu męską postać. Angelinę podeszła bliżej.

Był to Oswald. Spojrzał na nią z roztargnieniem.

- Chciałem sprawdzić, czy hałas z zewnątrz nie obudził go.

Angelinę skinęła głową, chociaż takie wyjaśnienie wcale jej nie zadowoliło.

- Nie wiem, jak to będzie, gdy zaczną strzelać.

- Niedobrze.

- A myślisz, że on jeszcze śpi?

Zanim Oswald zdążył odpowiedzieć, z ciemnego pokoju doszedł ich zachrypnięty głos:

- Nie. I nie chcę spać, gdy banda opryszków w ciężkich buciorach łązi po całym obejściu i rozgrywa jakieś hałaśliwe zawody, a reszta, jak spiskowcy, szepcze coś po kątach. Albo idź i uspokój ich, albo chodź tu i wyjaśnij, co się dzieje. I nie rób takiej miny, jakbym już stał nad grobem.

Angelinę szybko weszła do sypialni. Oswald zatrzymał się na moment, udając, że coś robi przy świecy. Gdy wszedł, ustawił świecznik tak, by światło nie raziło Rolfe'a w oczy i zaczął fachowy i dokładny opis sytuacji. Rolfe leżał, wpatrując się w niego z nieodgadnionym wyrazem twarzy, co znaczyło, że nad czymś głęboko się zastanawia.

- Jakie są szanse? - spytał po chwili.

- Minimalne, żeby nie powiedzieć - żadne.

- Co proponujesz?

- Poczekać na lepszy układ, aż sam będziesz mógł dowodzić - rzekł szybko Oswald.

- Mam nadzieję, że mój stan nie miał wpływu na twoją ocenę sytuacji.

Pięciu uzbrojonych ludzi to znacznie cenniejszy nabytek dla obłązonego dowódcy niż ta sama piątka, nawet lojalna, ale bez broni.

- To jasne, że McCullough boi się jakiegoś spisku czy zamachu. Obawiam się, że musimy się tak zachowywać, żeby się nas nie bał i żeby na nas musiał liczyć.

- Więc co? Chcecie uspić jego czujność i pokazać mu swoje umiejętności?

- Tak, jedno i drugie.

Nie chodziło o obustronne zaufanie, chodziło jedynie o wzajemne uznanie. Angelinę nie mogła się powstrzymać, by nie przyjrzeć się dokładnie Oswaldowi, gdy zegnał się i wychodził, by dołączyć do pozostałych gwardzistów. Powodem jego tutaj obecności mogło być dokładnie to, co powiedział, ale równie dobrze coś innego. Nikt w tej chwili nie był wolny od podejrzeń.

Kiedy się odwróciła, Rolfe leżał z zamkniętymi oczami. Oddech miał szybki i płytki, jakby ta rozmowa stanowiła dla niego poważny wysiłek. Temperatura nie opadała. Widać to było po popękanych wargach i napiętych rysach twarzy. Wystające, słowiańskie kości policzkowe nadawały jej wyraz kruchości i bezradności. Ręce leżały spokojnie na kocu. Mocne, spiczaste palce wydawały się rozluźnione. Tylko złocisty pierścień z wilczą głową błyskał w blasku świecy.

Nie wiedziała, czy zdawał sobie sprawę z jej obecności w pokoju; nie dawał po temu żadnego znaku nawet wówczas, gdy podeszła i stanęła tuż przy samym łóżku. Domyślała się, że zapadł w stan półomdlenia. Upewnił ją w tym jego brak reakcji nawet na pukanie do drzwi.

To była Gwiazda Poranna. W jednym ręku niosła parujący, przyjemnie pachnący garnek; w drugim - cienki, długi nóż.

- Ty jesteś kobieta z sercem, nie - jak tamta druga. Pomogę ci z twoim mężczyzną.

Angelinę zawahała się. Meyer, mimo całej swojej biegłości, nie zrobił niczego, co mogłoby poprawić stan księcia i to chyba nie dlatego, że brakowało po temu czasu. Co pozostawało? Oczyszczenie ran przez wypalanie, które sugerował. Ale to ją samą przerażało.

- Nie jestem pewna, czy na to pozwoli - rzekła Angelinę.

- Tobie nie odmówi - odparła Indianka.

Angelinę nie była taka pewna.

Nie drgnęło mu żadne ścięgno, żaden mięsień, kiedy ściągnęła z niego koc. Nie podniosły się złocisto obramowane powieki, spokojnie spoczywające na oczach, kiedy ostrzem noża dotknęła płaskiego brzucha, zanim wsunęła go pod mocno napięte bandaże na biodrach, które teraz musiała przeciąć. Materiał przysechł do brzegów rany, tej na boku i tej na plecach. Zwilżyła je wywarem z ziół z garnka, który przyniosła Gwiazda Poranna, i powoli, oszczędzając mu bólu, zdjęła opatrunek.

Indianka powiedziała jej, jak przyrządzone przez nią zioła nałożyć na rany. Angelinę nabrała pełną łyżkę, ostudziła trochę, by nie parzyły, i ułożyła rudozieloną masę na ranie w boku.

Przez całe ciało Rolfe'a przebiegł dreszcz, ale zaraz się uspokoił. Z pomocą Gwiazdy Porannej odwróciła go, by dostać się do drugiej rany. Ta była bardziej zaogniona i wyglądała źle. Czystymi bandażami umocowały na niej opatrunek z ziół i przykryły księcia. Teraz zajęły się jego raną na głowie. Zdjęły z niej zabrudzony opatrunek, wymyły ją ciepłym jeszcze wywarem, usunęły z włosów zakrzepłą krew.

Podczas tych czynności Angelinę słyszała jakieś strzały, później - szcęk szpad, broni gwardzistów. Była jednak tak pochłonięta tym, co robi, że nie zwróciła na to szczególnej uwagi.

W końcu Indianka zabrała swój garnek i obiecawszy, że wróci rano sprawdzić działanie leków, wyszła. Angelinę wzięła szary czysty ręcznik i zaczęła wycierać księciu zmoczone podczas zakładania opatrunku włosy.

- Zostałem nafaszerowany i przybrany ziołami, upieczony we własnej gorączce jak prosiaczek. Jaki będzie ciąg dalszy?

Angelinę poderwała się z miejsca. Była pewna, że księżę jest nieprzytomny. To, że się odezwał tak niespodziewanie, było dla niej szokiem.

- Więc nie śpisz?! - zawołała nedorzecznie.

- No, nie.

- Ale... przecież... pozwoliłeś mi opatrywać rany...

Otworzył błyszczące gorączką oczy.

- Tak bardzo zależało ci na tym, żeby coś zrobić, była to taka nieszkodliwa uległość...

- To bardzo uprzejmie z twojej strony! - zawołała ze ściśniętym gardłem.

- Czyżbym ci sprawił przykrość? - spytał niezupełnie pewnym głosem. - Ale czemu? Nigdy nie miałem żadnych zastrzeżeń do tego, co... co... dla mnie robiłaś.

- Nic dla ciebie nie robiłam!

- Ale teraz robisz i nie możesz mnie potępiać za to, że się cieszę.

- Majaczysz.

- Z radości.

Nie zważając na to, co powiedział, zawołała:

- A gdybym tak chciała poderżnąć ci gardło?!

- To byłoby okrutne, bardzo okrutne. Ale jeśli miałyby to być zemsta, to wolałbym inną: delikatniejszą, miłszą, pachnącą i taką, przed którą nie ma się chęci bronić.

Udobruchana wbrew woli, chociaż zdecydowana nie okazać mu tego, wzięła proszki nasenne, rozmieszała w wodzie i podała mu.

- Proszę. Wypij i śpij.

Nie wyciągnął po nie ręki.

- Unieszkodliwiający sen, który otępia zmysły i rozładowuje napięcie. Myślisz, że mogę tak bez obaw...?

- Twoje gardło jest bezpieczne. Zrób to.

Zamknął oczy.

- Hałas na dworze ustały. Zawody się skończyły?

- Chciałbyś wiedzieć, kto wygrał?

- Moja gwardia. Ćwiczyłem ich i znam. Ale jeśli nie wygrali - to taka wiadomość niech poczeka.

Ostatnie zdanie wypowiedział już tylko szeptem. To nie ogarniający go sen pozbawiał go sił, lecz choroba. Nawet nie wyciągnął ręki po lekarstwo, które trzymała. Pochyliła się więc, wsunęła mu rękę pod głowę. Uniósł powieki i wpatrując się w jej oczy, wypił wszystko.

Po kilku minutach pierś zaczęła się rytmicznie unosić i opadać. Zapadał w uśmierający wszystko sen. Tym razem był to sen głęboki i spokojny. Nie poruszył się, gdy po jakimś czasie zgasła świeca, gdy Angelinę wsuwała się do niego pod koc, nie reagował, gdy dłonią dotykała czoła. Wydawało się jej, że leży już całe godziny, bez ruchu, szeroko otwartymi oczami wpatrując się w ciemność. W końcu zasnęła z palcami w jego włosach.

Szary świt rozjaśniał pokój, gdy się obudziła. Rolfe ciągle jeszcze pogrążony był w głębokim śnie. Nic nie wskazywało na to, by udawał. Pomyślała, czyby nie wytrzeć go trochę wilgotną gąbką, ale w wyszczerbionym kamiennym garnku pozostała jedynie odrobina wody na samym dnie. Wzięła go i wyszła z sypialni. Przez izbę ogólną poszła na drugą stronę domu.

McCullough siedział na krześle opartym o ścianę, tak że tylko dwie nogi stały na podłodze; na jej widok wyprostował się.

- No, jesteś. A myślałem, gdzieś się podziewała całą noc.

- Mam chorego, którym musiałam się zajmować.

- Jak się ma? Czy dziś by napisał list?

- Nie wydaje mi się - odrzekła ostro.

- A mnie się wydaje. Mówiłem już, że przedstawicielstwo Francji w Nowym Orleanie pilnuje interesów Ruthenii w Stanach, tak bez grzeczność. Pomyślałem, że by było dobrze taki list, co napisze ten twój Wasza Wysokość, tam zanieść. Tak bym szybciej dostał swoje pieniądze, nie?

- Nie znam się na tym.

- Ale ten książę się zna.

- O to musi pan spytać jego samego - odpowiedziała i chciała odejść.

Chwycił ją za rękę.

- Zapytam. I z radością bede czekał, co będzie. Oni, ci jego ludzie, mówią, że jest szybki na pistolety. A na szpady, mówią, jeszcze lepszy od nich...

- I co? Są lepsi od pana i pańskich ludzi?

- Lepsi od tych baranów, co są ze mną. Sam żem się nie próbował, ale nie jestem zły w pistoletach albo nożach. Parę lat pływałem z Lafittem, aż była tam zdrowa awantura. Jak się skończyła, to powiedziałem pardon i zszedłem na ląd.

- Skoro tylko wyzdrowieje, a myślę, że nastąpi to niedługo, będzie pan miał możliwość przekonać się, co on umie.

- Tak, tak. Chciałbym. Byłoby dobrze zobaczyć jego styl. Bardzo dobrze.

- Tak, myślę, że tak - przytaknęła mu Angelinę, usiłując wyzwolić się z jego ręki. - Może mnie pan puścić? Muszę się nim zająć.

- Dobra by była z ciebie pielęgniarka! Chłop by cały dzień z tobą mógł leżeć w łóżku. To by było całkiem co innego niż ta Claire, ta czarownica, co to drapie i bije, gryzie i wrzeszczy i wszystko przewraca do góry nogami. Ty byś była spokojna, ducha byś w chłopie uśpiła, a obudziła krew. Ma dobrze z tobą Jego Wysokość, nie?

- Prosiłam, by mnie pan puścił - powiedziała Angelinę i zaparła się nogami o podłogę, by nie dać się przyciągnąć bliżej. - Ma pan już dwie kobiety. Jeszcze panu nie dość?

- Mam dwie i to dość. Ale teraz jest już tylko jedna.

- Co?! - zawołała przerażona; pomyślała, że ten człowiek mógł zabić Claire albo sama odebrała sobie życie.

- Gwiazdy Porannej już nie ma. Musiałem ją puścić, bo tak chciała ta czarownica. To był taki zakład na oczach ludzi księcia. I ona wygrała. I moja Gwiazda Poranna musiała iść. Chciała mnie przebić nożem ta indiańska diablica i musiałem jej dać w dziób. A jeszcze mnie kopała i drapała, jak żem ją wrzucił na konia.

- A teraz nie ma kto ugotować panu śniadania? A to pech!

- Bo Claire nie gotuje.

- O tym trzeba było myśleć, gdy się pan zakładał.

- Ale wtedy byłem pewny, że wygram. A to, co miałem do wygrania, było warte ryzyka.

Już otworzyła usta, by spytać, co to miało być, ale widząc obleśny błysk w jego oczach, nie odezwała się.

- Musi się pan postarać o inną kobietę.

- No, niby tak, ale bym musiał czekać, aż ona sama sobie nagotuje.

- Otóż to - rzekła i wyrwała rękę.

Już podchodziła do drzwi, gdy McCullough zerwał się z miejsca tak szybko i z taką siłą, że krzesło za nim

przewróciło się z hałasem. Ponownie chwycił ją za rękę i obrócił do siebie.

- Puść ją! - to Meyer w tym momencie pojawił się u jej boku. Właśnie wchodził z podwórza. Za nim szli jeszcze Gustave i Oswald. Potężnie zbudowani, chociaż bez broni, byli zbyt groźni, by odważył się im przeciwstawić. Puścił jej rękę.

- Nie chciałem jej zrobić żadnej krzywdy - rzekł, wycierając dłoń o siedzenie samochodowych spodni. - Bo ona jest jak miód, co przyciąga pszczoły. Nie mogłem się nijak oprzeć. A teraz słuchajcie, co chcę powiedzieć.

- Słuchamy - odrzekł Meyer i spojrzał w stronę Angelinę, dając jej głową znak, by wyszła. Nie potrzebowała dalszej zachęty. Szybko wyminęła Szkota i przeszła na drugą stronę domu, gdzie na ławie przy palenisku stało wiadro ze świeżą wodą ze studni. Napełniła garnek i wracała drogą, którą przyszła. Przez niedomknięte drzwi usłyszała McCullougha, jak rozmawiał z gwardzistami o szkoleniu jego ludzi.

- Jakbym miał pięćdziesiąt takich jak wy, tobym mógł zająć całą Ziemię Niczyją. Zrobić przeprawy, stacje dyliżansów i co tam trzeba. Byłbym tak bogaty, że już nie musiałbym napadać. I co najważniejsze: mój żmijowaty Hiszpan, co jest przeciw mnie, takie szanse by miał jak kurwa przeciw kaznodziei.

Pierwszą rzeczą, jaką Angelinę spostrzegła po powrocie do sypialni, były krople potu na górnej wardze i na czole Rolfe'a. Zbierały się w drobniutkie strużki, spływały powoli wzdłuż linii włosów i wsiąkały w poduszkę. Włosy miał mokre. Koce, którymi był okryty, były wilgotne. Pot błyszczał w zagłębieniach mięśni ramion i na piersiach, z których zrzucił nakrycie w niespokojnym śnie.

Stała nad nim i czuła, jak łyzy napływają jej do oczu. Ręką zakryła usta, by nie krzyknąć. Gdy pierwszy szok

minął, odwróciła się i zaczęła zastanawiać się, co zrobić. Największym niebezpieczeństwem w tej chwili było to, że tak spocony leżał w porannym chłodzie. Trzeba, i to zaraz, obmyć go i dokładnie wytrzeć, zmienić mu pościel i podać coś pożywnego do zjedzenia, jakiś rosół lub zupę: gdyby sam nie chciał zjeść, należałoby by to w niego wmusić. Potrzebowała jednak pomocy. A że Gwiazda Poranna odeszła - musiał to być któryś z gwardzistów. Wszystko jedno który.

Cała ich piątka siedziała z McCulloughem. Dyskutowali głośno, gestykulując i przerywając sobie nawzajem. Spojrzeli na nią pytająco, gdy z impetem wpadła do ogólnej izby.

Zanim jednak zdążyła cokolwiek powiedzieć, od frontu domu doszedł ich odgłos końskich kopyt i w kręgu światła ukazało się dwóch jeźdźców. Pomiędzy sobą prowadzili konia, na którym siedział ktoś z pochyloną, opuszczoną na piersi głową. Na policzku miał ogromnego siniaka. Ręce związane na plecach. Był bez kapelusza. Długie czarne włosy powiewały na wietrze. Pierwsze poranne promienie słońca oświetliły jego twarz, ukazując oliwkową śniadą cerę i mały czarny wąsik. Czarnymi oczami wpatrywał się w stojącą w sieni grupę osób. Po chwili spojrzął w stronę stojącej samotnie Angelinę. Niemal bezgłośnie wymówił jej imię i - roześmiał się.

To był Andre.

- XIII -

Przez następne dni Rolfe spał, budził się, by zjeść trochę rosółu, popić burgundem, i zasypiał na nowo. Częściowo opiekę nad nim przejęli gwardziści, którzy siadywali przy nim parami nie tylko dla jego obrony, ale również jako zadośćuczynienie za dotychczasowe zaniedbania w tym względzie. W ciągu dnia rzucał się niespokojnie, ale gdy tylko zapadał zmrok leżał cicho i nawet huk strzałów pistoletowych - sygnały nie kończącego się współzawodnictwa z gwardzistami - dźwięki harfy, skrzypiec czy gitary, a nawet hałas spędzanego do fortecy pod osłoną nocy stada bydła nie były w stanie go obudzić.

Angelinę zwalniana z obowiązków w ciągu dnia, miała możliwość porozmawiać z Andre. Swoją obecność tutaj wyjaśnił bardzo prosto. Ruszył śladami jej porywaczy i wpadł w tę samą zasadzkę. Siniak na twarzy powoli znikał, ale cios zadany jego dumie wymagał dłuższego leczenia. Chciał ją ratować, ale jego wysiłki były dość nieporadne. Na razie upierał się, że nie zdradzi swego nazwiska ani miejsca zamieszkania najbliższej rodziny, chociaż zdawał sobie sprawę, że to tylko kwestia czasu: wiedział, że zostanie zmuszony do poddania się. Nie miał nadziei, że uda mu się wydostać stąd Angelinę, nawet gdyby udało mu się uwolnić ją od ludzi księcia.

- Angelinę - odezwał się do niej któregoś dnia, gdy spotkał ją przy moczeniu wołowiny w solance i przyprawianiu czerwonym pieprzem.

- Proszę? - odpowiedziała mu z uśmiechem.
- Jesteś pewna, że chciałybyś się stąd wydostać?
- Też pytanie! - trzymając wysoko w powietrzu nóż, spojrzała na niego zaskoczona na tyle, że nawet nie potrafiłaby się na niego obrazić.

- Bardzo cię przepraszam - powiedział cicho - ale myślę, że nasza... nasza dawna... przyjaźń upoważnia mnie... Jesteś kochanką Rolfe'a prawda?

- Oczywiście, że nie!

- Nie próbuj zaprzeczać. Jesteś mu oddana jak najlepsza żona, a poza tym - śpisz z nim...

Pochyliła głowę i z uwagą zaczęła wykrawać kawałki tłuszczu z wołowiny.

- Był bardzo chory...

Machnął niecierpliwie ręką, jakby stan Rolfe'a nie miał żadnego znaczenia.

- Zdaję sobie sprawę, że na początku byłaś do tego zmuszana, ale teraz, gdybym cię poprosił, żebyś ze mną stąd odeszła, zrobiłabyś to?

- Wiesz, że nam na to nie pozwolą.

- Ale gdybyśmy mogli? - nalegał.

- To nie byłoby uczciwe w stosunku do ciebie wciągać cię w niebezpieczną grę, obarczać odpowiedzialnością za moje dalsze losy...

- To już moje zmartwienie.

Podniosła głowę.

- Nie mogę go opuścić, przynajmniej tak długo, jak długo jestem mu potrzebna - powiedziała z wysiłkiem i nutą przerażenia w głosie.

Siniak na jego twarzy zrobił się żółty; skóra wokół miała kolor zbliżony do jego śniadej cery.

- Rozumiem. Masz więc zamiar pozostać z nim na stałe?

- Chcesz wiedzieć, czy mamy zamiar się pobrać?

Odpowiedź brzmi: nie. Nie mamy takiego zamiaru. Ostrzeżono mnie, że to niemożliwe, a ja się z tym zgodziłam.

- Ostrzeżono?! - wykrzyknął. - Chcesz powiedzieć, że to książatko ośmieliło się...

- To nie książę - powiedziała szybko.

- Więc kto?

- Czy to ma jakiegokolwiek znaczenie?

Jej podniesiony głos spowodował, że przerwał rozmowę, choć dalej patrzył na nią pytająco, gdy po jakimś czasie zaczęli rozmawiać na inne tematy. Z ulgą przyjęła pojawienie się Oscara, który zabrał go na próbę strzelania za stodołą.

Kiedy spotkali się następnym razem, na początku oboje czuli się dość niezręcznie, ale po jakimś czasie wyzbyli się skrępowania. Stopniowo wracała ich dawna zażyłość. Andre, bardziej niż gwardziści, starał się jej pomagać, szczególnie przy cięższych pracach - przy noszeniu wody i drzewa na opał. Szybciej niż inni zauważał jej zmęczenie. Czuła, że cały czas pilnie ją obserwuje, a szczególnie pod koniec dnia, kiedy szła do pokoju, który dzieliła z Rolfe'em. W takich chwilach jego twarz nabierała jakiegoś twardego wyrazu, przez co wyglądał dużo starzej, niż był w rzeczywistości. Oczy błyszczały mu ledwo skrywaną wściekłością.

Jednak mimo złości do księcia, w miarę upływu czasu sam wciągał się w niebezpieczną grę, jaką gwardziści prowadzili z pilnującymi ich opryszkami. Ucząc się strzelać, władać szpadą w innych celach niż tylko jej prezentowanie w trakcie symulowanych pojedynków, stawał się pod jego okiem lepszym szermierzem niż inni. Robił tak szybkie postępy, że z łatwością mógł pokonać większość z opryszków McCullougha i nieznamnie tylko ustępował członkom *gardę du corpse* księcia. Kiedy osiągnął te umiejętności i kiedy zdał sobie sprawę, komu to zawdzięcza, zaczął podświadomie nabierać szacunku dla człowieka, który to sprawił. Jednak kiedy to tylko było możliwe, unikał bezpośredniej styczności z Rolfe'em.

Na pobycie tutaj skorzystał nie tylko Andre. Gwardziści, angażując się w ciągłe ćwiczenia, znajdowali ujście dla nagromadzonej energii. Pozwalało im to zapominać, że oto znaleźli się w martwym punkcie swej życiowej drogi. Mieli też okazję rozwinąć zakres swych umiejętności. Dotychczas walka na szerokie noże myśliwskie, chaotyczna i bez określonych reguł, która zwykle kończyła się wybiciem oka czy obcięciem ucha, była im zupełnie obca. Byli silni, posiadali umiejętności błyskawicznego działania i podejmowania natychmiastowych decyzji i dlatego wnet opanowali jej technikę i śmiało mogli posługiwać się tą bronią. Celował w tym zwłaszcza Meyer.

Wkrótce nadarzyła im się okazja użycia noży - zorganizowano wyprawę na półdzikie świnię. Zwierzęta te, pozostawione samopas w lesie, żywiły się korzonkami, orzechami, nasionami roślin i jagodami. Wytropić można je było jedynie z pomocą psów. Bezpośrednio po ustrzeleniu trzeba było koniecznie nożem przeciąć gardło lub przebić serce takiego zwierzęcia, by się całkowicie wykrwawiło. Inaczej mięso nie nadawało się do jedzenia.

Wieprzowina w ten sposób zdobywana stanowiła liczący się składnik wyżywienia ludzi McCullougha i jego więźniów. Do Angelinę należało ćwiartowanie i solenie mięsa przed jego umieszczeniem w wędzarni. Pomagali jej w tym Andre i Oscar, a czasem także Meyer. Było to bardzo pracochłonne i brudne zajęcie, ale plasterki pachnącej wędzonki, podawane z chlebem na kolację, sprawiały, że chętnie te prace podejmowano.

Stopniowo również całe gotowanie przeszło w jej ręce. Starła się przygotowywać dla Rolfe'a dania czyste i zdrowe. A skoro robiła to dla niego, to przygotowanie większych porcji, tak by starczyło również dla innych, nie stanowiło wielkiego problemu.

Z sobie tylko znanych powodów McCullough przyjął takie rozwiązanie jako osobisty ukłon Angelinę w jego stronę. Kiedy patrzył na nią żółtymi jak liść tytoniu

oczami, pojawiało się w nich zadowolenie, co jej działało na nerwy. Niejednokrotnie musiała robić gwałtowne uniki, gdy próbował jej dotknąć przy nadarzającej się okazji. Któregoś jednak razu nie udało się jej usunąć w porę. Ale za to zrobił błąd - chwycił ją w momencie, kiedy w rękę trzymała kubek z gorącą kawą. Obróciła się gwałtownie, a wrzątek brunatną plamą wylał mu się na spodnie. Wrzasnął z bólu i chwycił za materiał, by go odciągnąć od skóry. Wściekły spojrzał na Angelinę, ale nie odważył się zrobić nic więcej, gdyż cała scena rozegrała się na oczach Oscara i Claire.

Angelinę zdawała sobie sprawę, że po większej części właśnie kuzynce zawdzięcza to, że McCullough nie prześladowuje jej zbyt często. Claire, mimo że go nienawidziła, coraz wyraźniej stawała się kobietą przywódcy. Oznaczało to dla niej większą pewność siebie, wolność od napastliwości ze strony pozostałych członków bandy, którzy i tak kręcili się wokół niej jak stado zgłodniałych wilków o wściekłych, ale ujarzmionych, ciągle niebezpiecznych oczach.

Któregoś dnia Angelinę zobaczyła Claire, jak stała oparta plecami o ścianę, otoczona półkołem przez pięciu czy sześciu opryszków, niczym łania w matni. Z prowokującym uśmiechem wymknęła się im, ale nie wyglądało to na ucieczkę - raczej na zaproszenie do dalszej zabawy.

Zatrzymały się przed drzwiami kuchni. Claire chwyciła Angelinę za rękę.

- Angelinę, *chere*, czy kiedykolwiek czujesz się tak... no... żebyś aż musiała prosić mężczyznę, jakiegokolwiek, żeby się z tobą... położył? Czy taka chęć, taka potrzeba narasta w tobie i to do tego stopnia, że nie jesteś w stanie myśleć o niczym innym? Że wydaje ci się, że tylko w ramionach mężczyzny możesz o tym zapomnieć, znaleźć ukojenie w bólu, jaki tkwi w twoim wnętrzu, a który jest zarazem i cierpieniem, i rozkoszą?

Padało. Szare strumyki leciały z cyprysowych gontów dachu. Przenikliwa wilgoć wisiała w powietrzu. Uderzenia wody o dach zagłuszały wszystkie inne dźwięki. Angelinę wpatrywała się w kuzynkę, zaskoczona jej nienawiścią do samej siebie wyraźnie wyczuwalną w jej głosie i oczach.

- Ja... Ja... To znaczy pragnę... tylko jednego mężczyzny...

- Ty pragniesz? I do tego twego księcia, co? - rzekła z drwiącym uśmiechem. - To nie to, o czym ja mówię. Chociaż myślę, że mężczyźni, nawet książęta, są, jacy są. Więc też do tego dojdiesz.

- Claire...

- Oszczędź mi swojej litości, bo mogę ją przyjąć tylko jako zniewagę. Dobrze wiem, że swoim postępowaniem zniszczyłam sobie życie. I tobie przy okazji. Kobiety też są, jakie są. Wiedziałaś chyba o tym. Czemu mnie nie nienawidzisz? Łatwiej bym to wszystko zniosła.

- Nienawidzić bym cię mogła tylko wówczas, gdybym była przekonana, że to ty jesteś winna wszystkiemu.

Claire zaśmiała się sztucznie.

- A skąd wiesz, że tak nie jest?

- Nie możesz być. To byłoby zbyt potworne - odparła Angelinę natychmiast, chociaż bez pełnego przekonania.

- Tak? Wszystko bym zrobiła, by sama być pewna, jak rozróżnić co dobre, a co złe.

- Co się stało z Maximilianem? Możesz mi powiedzieć? - pod wpływem niespodziewanego impulsu spytała Angelinę.

- Max? - Claire wymówiła to imię tak, jakby samo jego brzmienie było dla niej gorzkie. - Kochałam go i to jest najważniejsze. Cała reszta jest... niemiła i nie warto o niej mówić.

Po drugiej stronie sieni otworzyły się drzwi i wyszedł z nich Oscar. Claire poderwała się natychmiast i udała się do kuchni.

Oscar uchodził za najspokojniejszego z gwardzistów.

- Wygląda pani na zmartwioną. Czy coś nie w porządku? - spytał, stając obok niej.

- Wszystko i nic - odparła z wymuszoną wesołością.

Brak widomych oznak powrotu do zdrowia po odniesionych ranach, potulność przy połykaniu kleików i mlecznych zupek, które dla niego przygotowywała, otepienie - wszystko to było u Rolfe'a nienaturalne i stanowiło źródło ciągłego niepokoju Angelinę. To prawda, że stracił dużo krwi i spustoszenia, jakich dokonała gorączka, mogły powalić nawet najmocniejszego, ale Angelinę, z sobie tylko znanych powodów, była przekonana, że tak może być u wszystkich innych ludzi, ale nie u niego. Śmieszne, ale tak myślała.

Rana na głowie zmieniała się w długi ściągnięty strup i była chyba poważniejsza, niż pierwotnie myśleli. A może załamanie psychiczne związane z uwięzieniem powodowało, że nie starał się wyzdrowieć? Myślała, że powinno być odwrotnie: powinien starać się wyzdrowieć, by się stąd wydostać. A ponieważ był przykuty do łoża, a wątpliwości, czy wyzdrowieje, wisiały nad obozem jak czarna chmura, McCullough nie naciskał na pisanie listu o okupie do króla Ruthenii.

Któregoś dnia Angelinę zatrzymała się pod uchylonymi drzwiami sypialni, by uporządkować jedzenie, jakie niosła na tacy. Wydało się jej, że słyszy mocny, podniesiony głos Rolfe'a, jak beztrąsko zwraca się do Gustave'a i Leopolda, którzy byli u niego. Tak ją to zaskoczyło, że ręce jej zadrżały, a naczynia na tacy zadźwięczały, uderzając o siebie. Ale gdy weszła do środka, leżał spokojnie i bez ruchu, z rękami złożonymi na kocu i tylko Gustave, trochę jakby zawstydzony, pozdrowił ją skinieniem jednej ręki - drugą skrzętnie chował za siebie. W pomieszczeniu unosił się mocny zapach pieczenia.

- Co pan tam ma? - spytała patrząc na Gustave.

- Ależ, Angelinę, *mętne Liebe* - jąkał się zapytany.

- Co pan tam chowa?

- To tylko kawałek indyka, jaki został z obiadu - odpowiedział w końcu jednooki gwardzista.

Była to ćwiartka jednego z dzikich indyków upolowanych poprzedniego dnia.

- To pewnie coś, co pozwoli panu wytrzymać do następnego posiłku, prawda?

- Może... tak może to pani nazwać - mruknął Gustave i ukradkiem spojrzął w stronę Leopolda.

- Sądziłicie zapewne, że na wasz widok, żujących ze smakiem to mięsiwo, Rolfe nabierze apetytu? - spytała z wyraźną ironią w głosie.

- Tak... jak by tu rzec... to głupie - jękał się gwardzista i spojrzął błagalnie na Rolfe'a, ale ten odwrócił wzrok i tylko w samych kącikach ust błąkał mu się jakby cień uśmiechu.

- W takim razie możecie się stąd zabierać razem z waszym jedzeniem.

Posłuchali z nigdy dotychczas niespotykaną skwapliwością. Po ich wyjściu zaczęła się zastanawiać, co mogło być przyczyną wesołości, jaką zauważyła w oczach Leopolda, oraz porozumiewawczych spojrzeń między Rolfe'em a Gustave'em wychodzącym z pokoju z ćwiartką pieczonego indyka w ręku.

Później wydarzyło się jeszcze coś.

W dniu gdy gwardziści wybrali się na polowanie, Angelinę rozpałała wielki ogień w ogólnej izbie, ustawiła na nim wannę, nalała pełno wody i zagrzała. Przygotowała sobie długą, dawno oczekiwaną kąpiel łącznie z myciem włosów. Wymyta, wspaniale odświeżona, zaróżowiona od gorącej wody, owinęła się w cienki, szary ręcznik i weszła do sypialni, by się uczesać. Wzięła z umywalki drewniany, ręcznie robiony grzebień, stanęła przed małym lustrem z polerowanej stali i próbowała uporządkować mokre, potargane przy myciu włosy. Gdy się nachyliła, by szybkim ruchem

głowy odrzucić je na plecy, ręcznik rozwiązał się i upadł na podłogę, odsłaniając zaróżowione, jędrne kształty jej ciała.

Od strony łóżka, na którym leżał Rolfe, doszedł ją wyraźny syk jakby ostro wciąganego powietrza. Zorientowała się, co oznaczał. Ale gdy się obróciła, by spojrzeć w jego stronę - leżał z zamkniętymi oczami.

Tej nocy leżał na pryczy pod ścianą, sztywny i niedostępny. Nie zrobił najmniejszego ruchu, by jej dotknąć czy przyciągnąć do siebie, jak to często robił nawet w malignie. Gdy obracała się niespokojnie, ich nogi ocierały się o siebie i napięcie stawało się wyraźnie wyczuwalne. Przy każdym, nawet najkrótszym dotyku odnosiła wrażenie, że jego mięśnie są napięte do ostateczności. Chciała już spytać dlaczego, ale przerwanie milczenia uznała za niewłaściwe. Nie był chory. Oddech miał głęboki i równy, jakby dokładnie kontrolowany. To nie ból z powodu ran był teraz jego problemem - ostatnio już nawet spokojnie mógł leżeć na zranionym boku.

Po głowie błędziła jej pewna myśl, ale ją od siebie odpędzała. Dlaczego tylko wzdychał, a nie wyciągał ręki i nie brał tego, czego bardzo chciał? Kiedy zmęczona całodzienną pracą zasypiała, wiedziała, że Rolfe jeszcze ciągle leżał spięty. Otwartymi oczami wpatrywał się w ciemność.

W jakieś cztery dni później cała gwardia, łącznie z Andre, wybrała się na całonocne polowanie. Do kur, które na noc zaganiają na grzędy do prowizorycznego kurnika, zamiast pozwalać im nocować gdzieś w koronach drzew, gdzie były względnie bezpieczne, ostatnimi czasy zaczęły zakradać się lis.

Mężczyźni ukryli się w pobliżu i czekali, dopóki nie zaalarmuje ich głośne gdakanie, świadczące o tym, że lis jest w środku. Angelinę wiedziała, że z tego polowania szybko nie wrócą, jako że dodatkową jego atrakcją było rozpalanie wielkiego ogniska i... picie. W ten sposób czekali, aż kury podniosą harmider. Wtedy wsiadali na

konie, brali w ręce pochodnie i butle z samogonem i podążali za goniącymi lisa psami. Gonitwa trwała do skutku.

Chociaż była to doskonała zabawa, nie wszyscy mogli w niej uczestniczyć: forteca musiała mieć załogę. Na warcie pozostał sam McCullough, a także wszyscy ci, którym dzisiaj wypadła służba na drogach prowadzących do osady. Pozostali również ci, którzy mieli rodziny. McCullough zachęcał gwardzistów do udziału w polowaniu.

Zrobiło się późno. Angelinę siedziała w izbie ogólnej, wciśnięta w kąt starej kozetki, i wpatrywała się w ogień. Tęskniła za książką, za jakąś robótką ręczną, za czymś, czym mogłaby zająć ręce i myśli. Miała wrażenie, że jej myśli wytyczyły sobie jeden tor, którego nic nie było w stanie zmienić. Ciągłe na nowo analizowała swoją sytuację i nie dostrzegała niczego, co mogłaby zmienić przedtem i teraz, niczego, co mogłaby zrobić w przyszłości, aby naprawić swoje życie.

Za jej plecami skrzypnęły drzwi prowadzące do sieni. Uniosła głowę - to wchodził McCullough. Ruszył prosto w jej kierunku, pewny siebie, z zadowolonym uśmiechem ukrytym w rozczochranej brodzie.

- Tu żeś, dziewczyno. Na tako chwile, żeby być z tobo sam, czekałem długo. Teraz, kiedy ta czarownica Claire śpi, a wszystkich poniosło na cztery wiatry, mozem zrobić dobry użytek z czasu, co go mamy.

Angelinę poderwała się na równe nogi.

- O czym pan mówi?!

- Niby nie wiesz, że cie mocno chce, co? Kobity to zawsze wiedzo - z jego brunatnych oczu przebijała pewność siebie i jawne pożądanie.

- Ale ja nie chcę pana!

- Chcesz się ze mno podroczyć, co? Wiesz dobrze, że ze mno lepiej wyjdiesz. Ja cie mogę chronić, on nie - z podniecenia mówił coraz niewyraźniej.

Angelinę cofnęła się, okrążając kozetkę tak, żeby ich oddzielała.

- Co... co jest z Claire?

- Ano, żaden kłopot, bo ja wiem, jak takie dziwki traktować. Żeby się nie dać, chłop nie może się do nich plecami odwrócić, i musi mieć bat w ręce. Jak tylko widzo, kto tu rządzi - już po kłopotcie.

- Ma ją pan. Więc czego chce pan ode mnie?

- A, bo ty jesteś mała i słodka, i ładna, i milutka, i panujesz nad chłopem, jak jaka kobita z marzeń albo nawet jak anioł, co się od niego nazywasz*. Nie odpychaj mnie.

Przymiłał się, a może naprawdę tak myślał, chociaż chytry wyraz twarzy, gdy odsuwał kozetkę, przeczył jego słowom. Zbliżał się do niej z wyciągniętymi rękami, a wypchnięte z przodu spodnie dobitnie świadczyły o jego zamiarach.

- To głupie, całkiem głupie - Angelinę starała się mówić zupełnie naturalnym głosem. - Muszę pana prosić o pozostawienie mnie w spokoju, bo inaczej zmuszona będę zawołać...

- Niby kogo? Jego Wysokość, co? A wołaj se, jak chcesz. Dla mnie to taki kłopot jak komar. I tobie taka sama pomoc.

Rozejrzała się szybko w poszukiwaniu czegoś, czym mogłaby się bronić. Znalazła: przy kominku leżał ciężki, żelazny pogrzebacz.

- A inni, jego ludzie, myśli pan, że pozwolą?

- Ich tu ni ma.

Wyciągnął po nią rękę. Uskoczyła w bok i unikając jego dłoni, chwyciła pogrzebacz. Z taką bronią w ręku obróciła się i bez namysłu uderzyła. Wrzasnął z bólu, gdy żelazo ugodziło w wydatny brzuch. Ale zaraz z głuchym przekleństwem chwycił za wysmarowany sadzami koniec,

Gra słów: Angelinę - anielska (przyp. tłum.).

wyrwał go z jej rąk i rzucił pod ścianę. Sadze, które miał na ręku, zostały na rękawie jej sukni, gdy ją chwycił i przyciągnął do siebie. Kopała, próbowała mu się wyrwać, ale jej opór zdawał się go jedynie bardziej podniecać. Z ogromną siłą pociągnął ją w kąt, gdzie leżała rozpostarta mata, taka, jakiej używali gwardziści.

- Nie! - krzyknęła, z trudem łapiąc powietrze. - Nie!

- Nie wyprawiaj takich brewerii - wymamrotał, gdy udało mu się ułożyć ją na macie. Sam ukląkł obok niej i ze śmiechem zdjął szelki z ramion. - Poczekaj chwilę, zara zaczniesz ci się to podobać.

Położył się na niej. Brodą drapał jej twarz, gdy wargami usiłował natrafić na jej usta. Sadzą wysmarował jej stanik, pozostawiając czarne plamy na bieliźnie i na wydobytej z ukrycia piersi. Poczwała taki przypływ furii, że paznokciami usiłowała dostać się do jego oczu.

Odchylił głowę, chwycił ją za przeguby rąk, przełożył kolano nad jej udami, by nie mogła go kopać ani zrzucić z siebie. Ręce jej zdrętwiały w żelaznym uchwycie. Poczwała mdłości podchodzące do gardła, gdy jego gorące wargi przesuwają się po jej policzku.

Nagle wydał głuchy jęk i zastygł w bezruchu. Angelinę, ledwo chwytając oddech, wysunęła się z jego objęć, które się całkowicie rozluźniły. Dopiero w tej chwili otworzyła oczy.

Na skraju maty klęczał na jednym kolanie Rolfe. Miał na sobie jedynie w pośpiechu założone spodnie i szeroki, biały opatrunek wokół bioder. W ręku trzymał nóż myśliwski, czubkiem wpijający się w byczy kark McCullougha. Kropelka krwi błyszczała w powstałym zagłębieniu. Był blady, ale ręka nawet mu nie drgnęła. Twarz miał kamienną.

- I co teraz? - spytał cicho. - Śmierć, litościwa i bez krzyku, czy bydlęce, niezasłużone dalsze życie?

Pytanie to skierowane było do niej. McCullough zrozumiał to szybciej niż ona sama.

- Angelinę - jęknął. - Na miłość boską...

- Zwracaj się do niej - rzekł ostro Rolfe - panno Fortin.

- Wszystko! - zawołał szybko Szkot, czując zwiększający się nacisk ostrza noża na karku. - Panno... Fortin!

- Nie rób tego! - zawołała Angelinę, przerażona wyrazem twarzy księcia. - Nie zabijaj go!

Spojrzał na nią z wyrzutem.

- Czemu nie krzyczałaś? Nie wołałaś pomocy?

- Zabrakło mi tchu... i nie... nie wiedziałam, że ty... że to coś pomoże.

Moment grozy jeszcze nie minął. McCullough zamknął oczy, a wielkie krople potu wystąpiły mu na czoło i wolno spływały po nosie. Stawy palców Rolfe'a, zaciśnięte na rękojeści noża, ciągle jeszcze były białe z napięcia. Angelinę wstrzymała oddech. Dopiero gdy uniósł nóż, odetchnęła z ulgą.

Rolfe bez wysiłku podniósł się z klęczek, przełożył nóż do lewej ręki, a prawą podał Angelinę i z nieoczekiwaną siłą pomógł jej powstać. Spojrzał na przywódcę opryszków i rzekł krótko:

- Wstawaj!

McCullough poczuł, że bezpośrednio niebezpieczeństwo minęło.

- Durniaś ze mnie robił, co? Tylko żeś udawał chorego i umarlaka? Ale to ci nic nie pomoże.

Nachylił się, sięgnął do cholewy buta i wyszarpnął z niej nóż.

Rolfe natychmiast odepchnął Angelinę za siebie i stanął gotowy do walki. Na ten widok McCullough roześmiał się radośnie.

- Nie! - jęknęła Angelinę; poczuła, jak coś twardego podchodzi jej z żołądka do gardła. Nakryła dłońmi usta, by powstrzymać cisnące się słowa. Krążący wokół siebie mężczyźni i tak nie zwracali na nią uwagi.

- Pewnieś jest dobry - syknął Szkot - ale ze mno nie wygrasz. To je moja wielka gra.

- W Ruthenii Cyganie uczą rzeźbiarzy, jak trzymać nóż i nim władać. W młodości miałem cygańskiego parobka, który nauczył mnie jazdy konnej, przywoływania konia niesłyszalną dla człowieka piszczałką i kilku innych sztuczek, dzięki którym udawało mi się wyjść z niejednej opresji. Nie sądzisz, że w walce na noże znam sztuczki, którymi cię zaskoczę?

- Nie masz siły, bo z ciebie uszła dziurom, co jo masz w boku. Chcesz dostać jeszcze jedno za te kilka minut, co chce mieć z twojo kobito? A nic ji przecie nie ubendzie.

- Względy tej pani, za jej zgodą, należą do mnie, i jak kutwa, strzegący swego złota, nie oddam z tego nic.

- Ładnieś to powiedział - zachrypiał Szkot - ale zobaczym, czy dasz se rade.

Noże błysnęły w świetle padającym od ogniska. Obaj trzymali je ostrzami do góry, tak żeby w przypadku trafienia przebić mięśnie, dotrzeć do wnętrzości i narobić jak największego spustoszenia. Z twarzy McCuUougha biło nieukrywane zadowolenie, jakby ta walka sprawiała mu wielką przyjemność. Czujnie wpatrzony w przeciwnika, pozorował gwałtowne pchnięcia, sprawdzając siłę jego gardy. Rolfe bez trudności unikał ciosów. Całą uwagę koncentrował na ostrzu noża Szkota. Był ostrożny, ale osłabienia nie było po nim widać.

Był wyższy od McCuUougha i miał większy zasięg ramion. Z bryłowatej postaci Szkota emanowała siła. Grube nogi i potężne ramiona musiały budzić respekt. Rolfe tę siłę równoważył rozważą i zwinnością.

W miarę jak Rolfe, zamiast atakować, ograniczał się do obrony, na twarzy McCuUougha pojawiał się coraz szerszy uśmiech. Co chwila zdawał się przełamywać obronę księcia, a błysk jego noża tylko o włos omijał obandażowaną pierś przeciwnika. Rolfe cofał się nie-

tknięty. Uniki wykonywał bez wysiłku, w przeciwieństwie do Szkota, który w każdy atak wkładał ogromnie dużo sił. Na efekt nie trzeba było długo czekać. Na czoło McCullougha wystąpiły ogromne krople potu, zalewały mu oczy, błyszczały na brodzie i pojawiały się w postaci ciemnych plam na koszuli.

Ze wstrzymywanym aż do bólu tchem w piersiach Angelinę pomyślała, że Szkot raczej nie zamierza zabić księcia. Zechce go pewnie tylko unieszkodliwić na tyle, by bez przeszkód mieć ją i jednocześnie zachować możliwość uzyskania okupu. Jeśli idzie o Rolfe'a, nie wiedziała, czy zamierza coś więcej niż ująć z życiem z tej walki. Póki co, cofał się jedynie, robił sprytne uniki i pilnie obserwował przeciwnika.

Przywódca opryszków był coraz pewniejszy siebie. Z piersi wydobywał mu się jakiś charkot, który zapewne miał być śmiechem. Ciężki nóż przerzucał z ręki do ręki, jakby kusił Rolfe'a do ataku, w chwili gdy nóż zdawał się wisieć w powietrzu. Krażyli po obwodzie niewidzialnego koła, ich oczy błyszczały, oddychali coraz ciężiej. Tupot nóg na glinianej, ubitej podłodze przybierał jakiś magiczny rytm. Blask ognia odbijał się pomarańczowo w kropelkach potu, jakie pojawiły się nad brwiami Rolfe'a.

Nagle nóż w lewym ręku Szkota zatoczył ostry luk i skierował się w najsłabsze miejsce księcia: pokiereszowany, zabandażowany bok.

Angelinę wydało się, że nie ma żadnej szansy na powstrzymanie ciosu, żadnego sposobu, by go uniknąć. A jednak Rolfe zrobił unik, zupełnie jakby się go spodziewał. McCullough zamarkował przerzucenie noża do drugiej ręki i ponowił atak. Pomruk zadowolenia wydobył się z jego gardła.

I natychmiast ucichł. Rolfe sparował uderzenie. Ostrze jego noża ześlizgnęło się po ostrzu noża przeciwnika, dotarło do palców zaciśniętych na rękojeści. Jednym błyskawicznym szarpnięciem Rolfe obciął mu czubki

palców. Szkot wrzasnął, zaklął, cofnął się i zasłonił. Przerzucił nóż do prawej ręki, a krwawiącą lewą dłoń próbował przycisnąć do szorstkiego materiału spodni. Uśmiech zniknął mu z twarzy.

- Odsłoniłeś się - rzekł Rolfe spokojnie. - Cygan w takiej sytuacji wypatroszyłby cię jak rybę. Pilnuj się!

- Przypilnuję, ale ciebie!

Ze zmrużonymi chytrymi oczkami rzucał się na Rolfe'a, starając się go dosięgnąć na różne sposoby. Przestał już myśleć, w które miejsce uderzyć, chciał się jedynie zemścić. Rolfe, czujny i opanowany, parował jego uderzenia, starając się zachować jak najwięcej sił na ostateczną rozgrywkę. Po każdym nieudanym ataku Szkota tłumaczył mu, jaki popełnił błąd. Tylko jednego mu nie mówił: że robi jeden, z całą pewnością nieświadomy - tuż przed atakiem wzrokiem wybierał miejsce uderzenia.

Po każdej nieudanej próbie dosięgnięcia przeciwnika, którego zresztą uważał za chorego, na oczach kobiety, o którą walczył, coraz bardziej tracił panowanie nad sobą. Ze złości zgrzytał zębami, z trudem utrzymywał nóż w śliskiej od potu dłoni. Zaczął wykonywać jakieś dzikie i niezrozumiałe ruchy, byleby tylko dosięgnąć księcia. Przestawał myśleć - chęć zemsty przesłoniła mu wszystko. I to był jego największy błąd.

Zebrał się w sobie i z całej siły rzucił do przodu. Chybił celu, zaklął, obrócił się i z potężnym zamachem próbował zadać cios, który, gdyby był celny, przeciąłby przeciwnika na pół. Ale nie trafił. W chwili, kiedy po próbie uderzenia miał szeroko rozpostarte ręce, Rolfe błyskawicznie chwycił go za ramię, wykręcił je i jednocześnie podciął mu nogę. Szkot z hałasem upadł na podłogę. Zaczął wrzeszczeć, ale gdy tylko poczuł, że ostrze noża Rolfe'a dotknęło jego pulsującej na karku aorty, ucichł natychmiast. Wystarczyło mu rozumu, żeby się poddać. Wstrzymując oddech i rozluźniając

palce, pozwolił, by nóż wysunął mu się i z hałasem padł na podłogę.

- Teraz możemy pogadać - rzekł spokojnie Rolfe.

Szkot natychmiast się opanował.

- Jak krzyknę, to zara dwadzieścia ludzi tu wpadnie, obłupio cie ze skóry, a resztę rzucę psom.

- Ale najpierw zobaczą, jak umierasz.

- Nie rób se żartów, oni zara tu bendo.

- Mam wątpliwości, czy zechcą ryzykować życiem za coś, co na pewno uznają za twoją prywatną sprawę - rzekł Rolfe. Miało to być przypomnienie, że nie zapomniał nachalnych umizgów, z jakimi narzucał się Angelinę leżący teraz na ziemi opryszek. - Ale nawet gdyby tu zaraz wpadli, gdyby mnie ujęli, żadna to korzyść dla ciebie. Przypomnij sobie, jak to jest wśród wilków, kiedy ginie ich przewodnik - rozszarpują go, zaspokajając swój głód.

- Cholera! Chyba to racja. Jak mnie moje ludzie zobaczo w takim stanie, to moje życie dolara Doego nie bendzie warte.

Angelinę słyszała już gdzieś, że dolar Doego to była fałszywa moneta produkowana przez człowieka o takim nazwisku. Wielkością zbliżona do rzadko spotykanego srebrnego dolara meksykańskiego, ale bardziej ozdobna i powleczonej cieniutką warstewką srebra. Była w obiegu tu, na Ziemi Niczyjej. Poza nią nie miała żadnej wartości.

- Cieszę się, że się ze mną zgadzasz.

- Sie zgadzam - mruknął McCullough - ale gdybym tu zginol i tak byście stąd nie wyśli z samym nożem w rękę. Moi ludzie by was zastrzelili, zanimbyście zrobili trzy kroki.

- Pewnie masz rację albo raczej miałbyś rację, gdyby mnie tu zobaczyli. Ale tak się nie stanie, bo ty mi dasz słowo honoru, i to słowo honoru nie kogoś, kim jesteś w tej chwili, ale kogoś, kim zwykłeś być, że od tej chwili już nigdy nie będziesz naprzykrzać się Angelinę.

Po twarzy Szkota widać było, że walczy z samym sobą.

- Niby że uznasz moje słowo?

- Uznam.

- Ale jeśli je pan złamie - wmieszała się do rozmowy Angelinę - spojrzeniem, słowem lub czynem, ja już postaram się o to, żeby wszyscy pańscy ludzie natychmiast się dowiedzieli, jak łatwo księżę sobie z panem poradził.

- Ale wciąż chce okupu - ostrzegł Szkot.

- O tym porozmawiamy później - odparł Rolfe.

- Ale z was dobrana para. Cieszę się, że z cało skórą z tego wychodzę. Mogę już wstać?

Rolfe podniósł się i cofnął o krok, pozwalając Szkotowi stanąć na nogi. Opryszek otrzepał spodnie i odetchnął z ulgą, jakby przez cały czas powstrzymywał powietrze w płucach. Ukradkiem spojrzął w oczy Rolfe'a; może chciał się przekonać, czy nie wyczyta w nich szyderstwa.

- Życzę dobrej nocy - rzekł Rolfe z ukłonem.

Szkot lekko sinął głową.

- Nie zapomnę tego ...szej Wysokości.

- Chcę w to wierzyć.

- Bo gdyby nie, to gotowyś pan lekcję powtórzyć.

- Źle mnie oceniasz - mruknął Rolfe. - Nigdy nie tracę czasu na robienie doświadczeń, które w przeszłości okazały się nieskuteczne.

- No, tak - mruknął Szkot i skierował się do drzwi. Odwrócił się jeszcze na chwilę ze spojrzeniem człowieka, który w swoim domu udzielił schronienia grzechotnikowi, pochylił głowę i wyszedł.

Angelinę natychmiast zwróciła się do Rolfe'a:

- Mogłeś go zatrzymać jako zakładnika, użyć jako tarczy, gdybyś chciał bezpiecznie przejść przez straż obozu...

- Nie ma żadnej pewności, że jako tarcza przedstawiałby jakąkolwiek wartość. Poza tym nie wiem,

gdzie w tej chwili są moi ludzie. Nie miałbym żadnej możliwości ostrzec ich, by tu nie wjeżdżali. Naraziłbym ich na zemstę tych, którym bym uciekł. I jest jeszcze jeden powód: nie mogę odejść stąd bez Claire. A w sytuacji, jaka jest w tej chwili, nie mogę liczyć na jej pomoc. I jesteś ty, moja Angelinę. Nie mogłem pozwolić, by narażać cię na jeszcze większe nieszczęścia niż te, jakich już doświadczyłaś. Pozostawienie cię tutaj w ogóle nie wchodziło w rachubę.

- Przykro mi, że jestem ciężarem... - powiedziała cicho i odwróciła się, by ukryć zmieszanie i łzy, wymykające się spod powiek; nie chciała, by je zobaczył.

- Źle mnie rozumiesz.

Spokój jego głosu sprawił, że zaczynała się gubić we własnych myślach.

- A co tu jest do rozumienia? - spytała niepewnie.

- Nic nie jest dla mnie ważniejsze od twojego bezpieczeństwa.

Wstrzymując oddech, odwróciła się twarzą w jego stronę. Pragnęła, by ta jego wypowiedź była dokładniejsza, bardziej jednoznaczna, żeby nie kryła w sobie wątpliwości. Zdawała sobie sprawę, że nie była mu zupełnie obojętna, ale wątpiła, by było to coś więcej niż tylko pożądanie, niż pociąg fizyczny, pogłębiony współczuciem, może nawet wyrzutami sumienia. Chcąc zwalczyć przemożną chęć, by spytać go o to wszystko, i w instynktownej obronie przed samą sobą - zaczęła mu robi wyrzuty.

- Jeżeli tak się o mnie martwisz, to czemu ukrywałeś przede mną swój powrót do zdrowia? Dlaczego pozwalałeś mi tkwić przy sobie, gotować nie kończące się zupki i rosołki, które pewnie zaraz po moim wyjściu wylewałeś do kubła?

- Ależ nie! - przerwał jej z iskierkami rozbawienia w oczach. - Zjadałem wszystko do ostatniej łyżki.

- A Gustave przemycał ci mięso z kuchni, jak wtedy tę ćwiartkę indyka, z którą go złapałam.

- To była wielka ofiara, że pozwoliłem mu z nią odejść.
- Jemu zaufałeś, Leopoldowi też, bo i on w tym uczestniczył. Pewnie wszyscy twoi ludzie o tym wiedzieli i po cichu podśmiewali się ze mnie, że jestem taka głupia i martwię się o ciebie, gdy niebezpieczeństwo dawno już minęło. Dlaczego?

Wsunął nóż za pas, podszedł do niej i bardzo delikatnie ujął ją za ramiona.

- Ponieważ ty byłaś jedyną osobą, którą dokładnie obserwował McCullough, którą obserwowali wszyscy. Nie byłem pewny, czy wiedząc, że taka potrzeba już nie istnieje, dalej będziesz mi gotowała zupki i kleiki. Czy potrafisz udawać głębokie zatroskanie moim stanem zdrowia i w ten sposób trzymać z dala ode mnie ewentualną straż.

- A co to miało za znaczenie, skoro i tak byłeś więźniem?

- Jeśli wracałem do sił, a oni o tym nie wiedzieli, to każdy podstęp prowadzący do ucieczki stąd dawał większe szanse powodzenia.

- Ale tyle straconego czasu! Myślałam, że będziesz chociaż próbował wypytać Claire o okoliczności śmierci brata.

- Czy sądzisz, że twoja kuzynka opowiedziałaby mi to, co chcę wiedzieć, gdybym próbował ją do tego zmusić? Nie wydaje mi się. A w obecnej sytuacji, pod przemożną opieką McCullougha, nie widzę nawet sposobu, by ją do tego namówić. Prosiłem swoich ludzi, by starali się wybadać, w jaki sposób można do niej najlepiej dotrzeć.

- I odkryliście - powiedziała wolno Angelinę, przypominając sobie swoją wcześniejszą rozmowę z kuzynką - że najlepszy sposób to brzęknąć złotem?

- Dobrze znasz swoją kuzynkę.

- Tak. Tak myślę.

Przyglądała się jego brodzie z odrastającą złocistą szczeciną.

- A teraz McCullough odkrył twój podstęp i wszystko na nic?

- Misterna akcja nie przyniosła spodziewanego efektu - zgodził się książę. - Ale nie żałuję.

Spojrzała na niego zaskoczona.

- Nie żałujesz?

- Tak bardzo się cieszyłem, gdy pochylałaś się nade mną - mówił ciepło, aż krew poczyniała szybciej krążyć jej w żyłach. - Przykucie do łóżka miało swoje złe strony, z których wcale nieostatnią była konieczność przekonania cię, że wymuszając na tobie zbliżenie, stałem u wrót śmierci. Nigdy - na to masz moje słowo - moja samokontrola nie przechodziła takich prób. Mężczyzna może spać tylko tak długo, jak długo pomaga mu to zwalczać nudę, znosić towarzystwo mężczyzn tak długo, jak długo ma w pobliżu kochaną kobietę. Gotowy byłem udawać delirium, byle cię mieć blisko siebie.

- Obawiam się, że byłabym zbyt przerażona, by ci się poddać - powiedziała cicho i opuściła powieki; nikły uśmiech pojawił się w kącikach jej ust.

- A teraz? - spytał i nie czekając na odpowiedź, dotknął ustami jej ust.

Ten dotyk płomieniem przebiegł po jej żyłach. Żal, wątpliwości, pretensje za wyłączenie z tajemnego spisku, wszystko to poszło natychmiast w zapomnienie. Otwartymi dłońmi oparła się o jego pierś, przesunęła je wyżej, ponad ramiona i w końcu zacisnęła na karku, przyciągając do siebie jego głowę. Ich wargi chciwie wpijały się w siebie. Jego dłonie wolno wędrowały w dół wzdłuż jej boków, odnajdowały kształty jej bioder, jakby palcami chciał zapamiętać każde ich wgłębienie i każdą wypukłość.

Mata, zmiętoszona, ale mimo to" bardziej miękka niż podłoga, ciągle jeszcze leżała w kącie pomieszczenia. Podprowadził ją do niej z podniecającym pośpiechem. Ukląkł na jedno kolano, poczekał, aż ona uklęknie obok niego. Potem ujął ją delikatnie i położył na macie.

Pochylił się i ustami zaczął pieścić jej wargi. Rękami obejmował przejące się piersi. Powoli obrócił ją na brzuch i zaczął szybko rozpinać guziki sukni. Czynność tę przerywał jedynie po to, by ustami próbować ciepła skóry coraz szerzej obnażanych pleców.

Zsunął jej bluzkę i stanik najpierw z ramion, potem przez biodra aż do dołu. Ułożył się obok niej. Przyciągnął ją do siebie, tak że jej plecy dotykały jego rozpalonych piersi. To było nigdy dotąd nie przeżywane uczucie. Wdychał głęboko intensywny zapach jej włosów, z ustami tuż przy jej skroniach powtarzał jej imię. Wolno przesunął wargi wzdłuż obłego kształtu szyi. Czują, jak zębami ostrożnie wyszukuje poszczególne mięśnie ramion. Obróciła się twarzą do niego, tłumiąc gdzieś głęboko w krtani rodzący się śmiech radości. Nie pamiętała, by coś tak zmysłowego przeżywała kiedykolwiek przedtem. Nigdy wcześniej nie odczuwała w ten sposób dotyku włosów na piersiach, mocnego i jednocześnie delikatnego nacisku warg na swoich ustach, twardości napiętych mięśni. Nigdy tak nie przeżywała siły pożądania. Jej piersi unosiły się i opadały w rytm płytkich oddechów. Poddawała się z całkowitym oddaniem, umożliwiając mu nieograniczony i nieskrępowany dostęp do swego ciała. Z zamkniętymi oczami obracała głowę raz w jedną, raz w drugą stronę. Trzymając ją jak najbliżej siebie, znowu wchłonał ustami jej usta. Wolną ręką zaczął rozpinać guziki spodni...

I wtedy, jak odległy grzmot, doszedł ich odgłos strzałów. Zaraz po nich dał się słyszeć tętent szybko zbliżającego się konia. Jeździec krzychał coś piskliwym z podniecenia głosem. Kiedy wpadł na podwórze, zahaczył o linkę z dzwonkami i podniósł ogólny alarm.

Dopiero wtedy Angelinę zrozumiała, co krzyczy jeździec:

- Napad! To jest napad!

Rolfe zerwał się na równe nogi, jeszcze zanim usłyszał krzyki. Szybko pozapinał guziki.

- To już zaczyna wchodzić w zwyczaj! - zawołał.

Pomógł Angelinę wstać, nałożyć bieliznę i ubranie, szybko ją pocałował i wybiegł z pomieszczenia.

Angelinę, najstaranniej jak mogła, rozprostowała ubranie, sięgnęła rękami za plecy i drżącymi z pośpiechu i zdenerwowania palcami pozapinała guziki. Właśnie kończyła tę czynność, gdy zupełnie niespodziewanie do pomieszczenia weszła Claire. Zbliżyła się do Angelinę, jej oczy błyszczały, a długie włosy były rozpuszczone. Najwyraźniej dopiero co zerwała się z łóżka. Miała na sobie jedynie przezroczysty kusy szlafrok, który raczej uwydatniał, niż krył, kształt jej wydatnych piersi.

- To nasza szansa, Angelinę. Jeśli się postaramy, to uda nam się uciec!

- Uciec? Masz na myśli przedzieranie się przez coś takiego? - gestem ręki pokazała w stronę frontu domu, skąd dochodziła narastająca kanonada, wskazująca na to, że to nie potyczka, a bitwa.

- Tak! - zawołała Claire, pochodząc bliżej. - Jeśli wyjdziemy na tyły domu, nawet tego nie spostrzegą. Są zajęci czymś innym. Możemy dotrzeć do dowodzącego tym atakiem. Kto wie, czy nie uda nam się go przekonać, żeby dał nam eskortę do domu.

- Na jakiej podstawie tak sądzisz? - spytała Angelinę. - Przecież to może być ktoś jeszcze gorszy niż McCullough.

- To niemożliwe. Zresztą wiem, dlaczego się wahasz. Widziałam, jak Rolfe, zadziwiająco sprawny, zerwał się z łóżka. Widziałas go całego i zdrowego i teraz, jak zakochana w zakonnym braciszku mniszka, nie chcesz się z nim rozstać! - krzyczała podniecona Claire.

- To nieprawda! Myślę, że to szaleństwo rzucać się dobrowolnie w wir, o którym nic się nie wie. Z tego, co słyszałam, to łotr i bandyta spod ciemnej gwiazdy.

- Kto ci to powiedział?! Pewnie McCullough. A niby czemu miałyby dobrze mówić o swoim wrogu?! - zawołała Claire, odrzucając w tył głowę. - Ja nie zostanę tu jak szczur w pułapce i nie będę czekała, aż ta nieokrzesana banda zdecyduje za mnie o moim losie. Uciekam, a ty, jak chcesz. Zostań albo chodź.

W chwili gdy Claire skierowała się w stronę drzwi, te nagle się otworzyły i stanęło w nich czterech opryszków z McCulloughem na czele. Ten skinął głową w stronę drzwi prowadzących do sypialni, a następnie popchnął w tym kierunku obie kobiety. Zaraz potem podszedł do zasłoniętych okien. Jego ludzie porobili już sobie w nich otwory i strzelali w ciemność. Robili to jak na strzelnicy: oddawali strzał, cofali się, ładowali broń i ponownie strzelali.

Krztusząc się dymem, który już zaczął wypełniać pokój niebieską chmurą, Angelinę, popychając przed sobą Claire, skierowała się do sypialni. Zamknęła za sobą drzwi i obróciła się do kuzynki. Z jej twarzy widać było wyraźnie, jak się cieszy, że bieg wypadków wymknął im się z rąk.

Ale trwało to krótko. Claire stanęła na środku pokoju z rękami wspartymi na biodrach, z ustami zaciśniętymi w prostą, wąską linię. Rozejrzała się szybko po pokoju. Całą uwagę skoncentrowała na prowadzącym na tyły domu oknie. Jeszcze raz spojrzała na Angelinę, a potem ruszyła w jego kierunku. Szybko odsunęła zasuwkę i otworzyła je szeroko.

- Claire, nie! - zawołała Angelinę, podbiegła do kuzynki i chwyciła ją za ramię.

Claire odwróciła się. Z jej oczu biła ledwo hamowana złość.

- Zdecydowałam się uciekać, czy tego nie rozumiesz?! Angelinę, ja... ja się... boję tu zostać. Boję się.

- Rolfe'a? Przyrzekł mi, że nie zrobi ci krzywdy.

- Rolfe'a? Nie, to znaczy, tak. Nie wiesz, dlaczego

się boję. A nie ma teraz czasu na wyjaśnienia. Uciekaj ze mną. Teraz.

- To szaleństwo! Nie mogę!

- To puszczaj mnie.

Claire wyrwała rękę kuzynce, podeszła do parapetu i przerzuciła przezeń nogi.

- Nie! Poczekaj! - Angelinę próbowała ją chwycić, ale Claire zniknęła już w ciemności. - Wracaj! - zawołała, ale nie otrzymała już żadnej odpowiedzi.

Nie zastanawiała się dłużej. Wysokość od okna do ziemi była większa, niż się spodziewała. Upadła na kolana, ale zaraz się podniosła i ruszyła przed siebie w ciemność na poszukiwanie kuzynki. Nie słyszała jej kroków, pewnie zagłuszyły je odgłosy walki, musiała pobiec w stronę, gdzie się toczyła, chociaż Angelinę nie była tego pewna.

Ciemność nocy rozdarł ostry, wibrujący krzyk. Angelinę, nie namyślając się ani chwili, ruszyła w tamtym kierunku. Wychyliwszy się zza węgła domu, zobaczyła błądy zarys postaci Claire, walczącej z dwoma opryszczkami. Usłyszała jeszcze odgłos rozrywanego jedwabiu, a potem ponownie przeraźliwy krzyk.

Angelinę nie dotarła do kuzynki. Jakieś twarde ręce pochwyciły ją od tyłu, złapały za włosy i zdusiły krzyk. Próbowała walczyć, kopała, drapała, wściekła w swej bezsilności. Słyszała stłumione przekleństwa mężczyzn, którzy ją trzymali, czuła na twarzy ich oddechy i odór spoconych ciał. Kątem oka dojrzała wzniesioną do uderzenia pięść i zaraz potem poczuła w skroniach przejmujący ból. Ogarnęła ją ciemność nocy, miękka i uspokajająca.

• * *

Jęki. Pochlipywanie. Nie kończące się dźwięki o nasilającym się i słabnącym natężeniu, któremu towarzyszył jeszcze jakiś inny odgłos, skowyczący i przeciągły.

Zapach dymu i butwiejących liści. Zimno. Jedna strona ciała, wystawiona na przejmujący wiatr, marzła, podczas gdy druga, osłonięta, chłoneła nikłe ciepło. W powietrzu czuć było wilgoć i ostrą woń końskiego potu. Instykt samozachowawczy podpowiedział jej, by się nie ruszać. Stopniowo powracała jej świadomość. Spostrzegła, że leży na końskiej derce rozpostartej na ziemi. Pod derką wyczuła twarde patyki i gałązki. Tuż obok płonęło niewielkie ognisko. Głośno płakała jakaś kobieta. Mogła to być jedynie Claire.

Bardzo powoli zaczęła obracać głowę i ostrożnie rozchyliła powieki. Leżała na polanie, w przejmującej, nocnej ciszy lasu oświetlanego jedynie nikłymi płomieniami ogniska. Warkocz dymu znad ognia przedzierał się przez sklepienie nad polaną korony drzew. Niedaleko od niej pięciu mężczyzn stało wokół rozłożonego na ziemi koca. Leżała na nim szarpiąca się i wijąca kobieta. Suknię miała zadartą powyżej bioder, widać było nagie uda błyszczące w blasku ognia. Jeden z mężczyzn ze spodniami opuszczonymi do kostek leżał na niej i poruszał się rytmicznie. Trzej inni stali z boku i dzielili się uwagami. Piąty, z rozpiętymi spodniami, przykucnął przy jej głowie i trzymał ją za rękę.

- Pospiesz się, Hoss, bo ja już jestem twardy jak skała i zaraz strzelę, niczym z armaty.

Claire już się nawet nie opierała. Widać było, że poddała się całkowicie. Jej jęki były coraz cichsze, słysząc w nich było jedynie tępy ból i coś, co można by nazwać pogardą dla samej siebie.

Jeden z mężczyzn spojrzął w stronę, gdzie leżała Angelinę.

- Możemy się złapać za tamtą drugą. Też ma to samo do wykorzystania.

- Jeszcze jest nieprzytomna. I nie musisz tak ostro szarpać, Charlie. Możesz porozrywać taką ładną...

Angelinę starała się nie słyszeć i nie widzieć dalszego ciągu, kiedy czwarty z mężczyzn odsunął się od Claire, a piąty, sapiąc niczym pies, zajął jego miejsce. Zaciśnęła powieki i z trudem hamowała wymioty.

Co mogła zrobić? Nie była zdolna do żadnej myśli. Nie miała bronii i chociaż z całej siły chciała pomóc kuzynce, jej siły w takiej sytuacji nie znaczyły nic. Tak naprawdę jej sytuacja wcale nie była lepsza. W każdej chwili mogli się zorientować, w jakim jest stanie, i zrobić z nią to samo co z Claire - niezależnie od tego, czy będzie przytomna czy nie.

Rozległ się głośny tętent. Ten dźwięk przywrócił jej pełną świadomość. Gdzieś blisko zarżały konie. Odpowiedziały im te stojące blisko ogniska. Usłyszała jakieś krzyki. Spod przymkniętych powiek obserwowała grupkę jeźdźców podjeżdżających i zatrzymujących się w kręgu światła. Spośród nich wyszedł jeden, wysoki, chudy, ze zmrużonymi oczami i opadającymi cienkimi - na modłę hiszpańską - wąsami, nadającymi jego twarzy wyraz okrutny i odpychający. Miał długie czarne włosy związane z tyłu rzemieniem, w sposób, który już dawno wyszedł z mody. Nosił kurtkę z ciemnozielonego zamsku z długimi frędzlami opadającymi na skórzane spodnie, powycierane od ciągłego używania do tego stopnia, że powyżej wysokich butów wyzierały z nich gołe kolana. Na biodrach zwisał skórzany pas z pochwą, z której wystawała inkrustowana srebrem i złotem rękojeść sztyletu. Klnąc w mieszanym angielsko-hiszpańskim żargonie, podszedł do ogniska i zaczął je rozwalać butami.

- *Bastardos!* Świńskie bękarty! Mogłem się domyślić, że poszło o babę! Przez waszą parszywą chuć ten pyszałek McCullough nas pobił! A na dodatek palicie tu latarnię morską, by temu szkockiemu synowi samego diabła dokładnie wskazać drogę!

- Potrzebowaliśmy kobiety - burknął jeden z nich; cofnęli się już od Claire. Piąty z nich właśnie gramolił się

z niej zapinając spodnie. Ona leżała jeszcze, ale już starała się ściągnąć zadartą suknię i zakryć bielejące podbrzusze.

- Nie mogliście poczekać? Jeszcze kilka minut i mielibyśmy wszystkie kobiety, a nawet cały obóz: żarcie, konie, zrabowane złoto i na dodatek samego McCullougha, dyndającego, ku naszej uciezce, na końcu sznura.

- Ale te dwie same wpadły w nasze ręce.

- Nie mieliście prawa opuszczać nas w samym środku walki po to, by je rozłożyć na ziemi. Głupcy! Zdrajcy! Powiniennem was rozstrzelać!

Opryszek nazwany Charliem podniósł wysoko pięści i postąpił krok naprzód.

- A idź do diabła! Dostaliśmy to, po cośmy tu przyszli!

- Do diabła, idź ty, *mi compadre* - odrzekł spokojnie herszt. Płynnym ruchem wyszarpnął sztylet z pochwy i w mgnieniu oka chwycił go za czubek. Rzucił niemal bez zamachu. Charlie wydał zduszony jęk, padając na wznak i próbując chwycić ręką za rękojeść wystającą mu z piersi tuż powyżej serca. Upadł, rozrzuciwszy szeroko ręce, w poprzek nóg leżącej Claire. Dziewczyna szarpnęła się, zrzuciła go z siebie i spróbowała usiąść.

Martwa cisza zapanowała na leśnej polanie. Ludzie otaczający dogasające ognisko z przerażeniem w oczach czekali na dalsze ruchy przywódcy.

Ten, zupełnie niespodziewanie, zaśmiał się przeciągle. Podeszedł do trupa i wyrwał z niego sztylet. Wytarł go starannie o nogawkę spodni i włożył do pochwy. Potem, jakby dopiero teraz zauważył leżącą Angelinę, ruszył w jej kierunku.

Zacisnęła powieki. Kroki, powolne i jakby odmierzane, zbliżały się. Stał nad nią. Świadomość, że patrzy, jak leży, bezbronna i bezsilna, była nie do zniesienia. Najchętniej skoczyłaby na równe nogi, spojrzała mu w oczy, wykrzyczała swą bezsilność, a może i uderzyła.

Ale dobrze wiedziała, że jeśli da się ponieść nerwom, przepadnie. Zaciskając zęby, zmusiła się, by leżeć spokojnie, udawać nieprzytomną, nawet wtedy kiedy Hiszpan, z chrzęstem skórzanych spodni, pochylił się nad nią. Ujął ją za bezwładną rękę.

- Zdaje się, że porywając ją, dopiekliscie temu sukinsynowi McCulloughowi bardziej, niż mogliście się spodziewać, *amigos*. Co z nią?

Z wyjaśnieniami pospieszyła cała czwórka.

- Byłby kłopot... byłoby bardzo niedobrze, gdyby to było coś poważnego...

W spokojnym głosie przywódcy czaiła się groźba. Czterej mężczyźni pospieszyli z zapewnieniami, że uderzenie, jakie otrzymała, to była jedynie próba jej uspokojenia. Chcąc odwrócić jego uwagę, jeden z nich podsunął mu nową myśl.

- Możliwe, Don Pedro, że ona tylko markuje trupa, zwinięta w kłębek, żeby ją zostawić w spokoju.

- A, śpiąca królewna? - odrzekł wesoło Hiszpan. - Ciekawe, czy zbudzi się dla mnie?

Podniósł ją z ziemi i objął bezceremonialnie. Jego wargi, cienkie, mocne i ciepłe, o smaku tytoniu, obrzeżone kłującymi wąsami, dotknęły jej ust. Przez chwilę była jeszcze w stanie udawać, ale gdy językiem spróbował rozchylić jej wargi, poczuła, jak coś jej rośnie w żołądku i podchodzi do gardła. Szarpnęła się z jękiem, podniosła rękę, by go odepchnąć i uwolnić się z jego objęć.

Rozległy się wesołe śmiechy.

- Obudziłeś ją, stary! Teraz powinieneś ją mieć!

Hiszpan popatrzył twardo w jej szarozielone oczy. Tak jak nagle ją pochwycił, tak równie nagle puścił. Padła na wznak.

Niech poczeka, aż będzie trochę bezpieczniejszej - i przyjemniej. Z niektórymi sprawami nie należy się spieszyć.

- XIV -

- Wsiadać, *amigos!* Jedziemy.

To nie była jazda, którą Angelinę chciałyby zachować w pamięci. Jechała na siodle z tyłu za Hiszpanem. Ręce, którymi musiała obejmować go w pasie, miała związane w nadgarstkach. Całkowicie rozstrojona nerwowo, siedziała za nim sztywno, starając się dotykać go jedynie na tyle, na ile to było absolutnie konieczne. Plecy i ręce miała cały czas napięte. Rzucało nią w tył i w przód i od czasu do czasu musiała opierać się o jego plecy. Wtedy raczej czuła, niż słyszała jego zadowolony śmiech. Kusiło ją, by się szarpać i w ten sposób utrudnić mu trochę prowadzenie konia, ale uznała, że byłaby to jedynie niepotrzebna utrata resztek sił.

Ciało zabitego pozostawili przy resztkach ogniska, na pożarcie lisom i wilkom. Taka brutalność w postępowaniu ze zmarłym pozbawiała ją resztek nadziei.

Marzła. Ubranie było wilgotne od mokrej końskiej derki, na której leżała przy ognisku. Nie miała płaszcza. Zimne, nocne powietrze przenikało ją do szpiku kości, tak że w końcu była mu w jakiś sposób wdzięczna za odrobinę ciepła promieniującego z jego ciała. Ale jeśli jej było zimno, to jak musiała czuć się Claire, owinięta jedynie w resztki swej jedwabnej sukni? Widziała kuzynkę jako niewyraźną plamę, za plecami jednego z opryszków. Od czasu do czasu zdawało się jej, że poprzez dźwięk końskich kopyt słyszy jej cichy płacz.

Angelinę pozwoliła swobodnie biec myślom. Zastanawiała się, co w tej chwili robią Rolfe i McCullough, czy gwardia wróciła już z polowania, czy może wyruszyła w ślad za bandą? W to ostatnie nie bardzo wierzyła. Sądziła, że McCullough wiedział, gdzie obozuje Hiszpan ze swoimi ludźmi, ale nie miała żadnej pewności, czy pomoc nadejdzie na czas. Na razie mogła zdać się jedynie na siebie.

W porównaniu z obozem Hiszpana forteca McCullougha była pałacem. Angelinę i Claire wepchnięto do obszernego pomieszczenia z rozłożonymi na brudnej podłodze matami, z drzwiami od frontu i od tyłu, ze ścianami z nierównych, gdzieniegdzie nawet nie okorowanych bali. W takim pomieszczeniu trzy łoża z polewanego drewna, z rzeźbionymi nogami i inkrustowanymi szczytami, zdawały się całkowitym nieporozumieniem. Na nich leżały ręcznie tkane kołdry, piękne koce gęsto zdobione haftem, a także prześcieradła z widocznymi monogramami - wszystko w stanie skrajnego zaniedbania. Piękne dywany walały się na brudnej podłodze, a w pobliżu byle jak zbudowanego paleniska leżały posrebrzane i mosiężne narzędzia kominkowe oraz poszczerbione i nadtłuczone filiżanki, talerzyki i talerze, które kiedyś zapewne stanowiły wielki porcelanowy serwis.

Angelinę przyszło natychmiast na myśl, że musiały to być trofea rozbójnicze - sprzęty domowe zrabowane napadniętym i pomordowanym osadnikom, gdy przemierzali Ziemię Niczyją. Poczuła mdłości. A kiedy jej wzrok padł na pieczołowicie rzeźbioną kołyskę, musiała mocno zacisnąć zęby, by nie wymiotować.

Ona i Claire nie były jedynymi kobietami w tym pomieszczeniu. W najdalszym kącie łóżka, z dala od paleniska, siedziała jakaś kobieta, niechlujna, z szarą twarzą i niedbale zwisającymi pasmami tłustych włosów. W przytłumionym świetle pełgającego ognia widać

było jej szeroko otwarte, dzikie oczy. Ciało zniekształcała zaawansowana ciąża. Poruszała wargami, lecz nie wychodził z nich żaden dźwięk. Wierzchem dłoni bez przerwy wycierała zbierającą się w kącikach ust ślinę.

- O, Boże! - szepnęła przerażona Claire i bez zastanowienia rzuciła się twarzą w dół na najbliższe łóżko. Angelinę, sztywna jak manekin, zbliżyła się do niej i położyła jej dłoń na ramieniu. Przeraźliwe spazmy przebiegały ciałem dziewczyny, aż łóżko od nich drżało. Angelinę przeraziła się, gdy zobaczyła, jak chuda jest kuzynka. Ostre kości zdawały się przebijać skórę. Nachyliła się, chwyciła brzeg kołdry i starannie naciągnęła ją na Claire.

Do pokoju wszedł Hiszpan i zaraz zaczął wykrzykiwać przez ramię jakieś rozkazy. Za nim weszło kilku jego ludzi. Podeszli do ogniska, rozcierali zmarznięte ręce i zdjawszy pokrywki z garnków, zaczęli z nich pić niesfermentowany jeszcze dobrze samogon. Któryś warknął coś do siedzącej na łóżku kobiety, a ta zwlekła się zaraz ze swego miejsca. Trzęsąc się, w pośpiechu, zaczęła nabierać warzachwią jakąś nieokreśloną masę z wiszącego nad paleniskiem gara i podawać stojącym. Mężczyźni łapczywie pochłaniali podane jedzenie, kawałkami chleba wycierając resztki z misek.

Angelinę siedziała przy kuzynce i rozcierała jej nogi i ręce, by w ten sposób wlać choć trochę ciepła w jej zziębnięte ciało. Cały czas czuła na sobie spojrzenia, jakie znajdujący się tu mężczyźni rzucali w jej stronę. Chociaż ze strachu przechodziły ją ciarki, robiła wszystko, by tego nie dać poznać po sobie. Mijały minuty. Claire ciągle drżała konwulsyjnie. Trwania w beczynności i oczekiwaniu, aż mężczyźni podejmą decyzję, co z nią zrobić, Angelinę nie uznała za najlepsze rozwiązanie. Podniosła się i ze wzrokiem utkwionym w jednym z gąsiorków z samogonem zsunęła się

z wysokiego łóżka na podłogę i podeszła do stojących przy palenisku.

- Mogę dostać trochę tego? - spytała i ręką wskazała na butlę z alkoholem.

Hiszpan spojrział na nią z rozbawieniem.

- Ależ, oczywiście, *señorita*.

Angelinę rozejrzała się dokoła, wzięła cynową miseczkę i trzymając ją w wyciągniętej ręce czekała, aż jeden z opryszków, łysiejący, bez dwóch przednich zębów, naleje jej samogonu.

- Dziękuję.

Odwróciła się i podeszła do łóżka. Pomogła Claire usiąść i podała jej miseczkę. Claire przełknęła łyk i zakrztusiła się mocnym trunkiem, ale Angelinę z ulgą zauważyła, jak na jej bladych policzkach wykwitają nikłe kolory.

- A dla siebie nie chcesz trochę, *señorita*?

Angelinę spojrzała na Hiszpana ze strachem.

- Tego, co mam, wystarczy i dla mnie.

- Powinnaś wziąć więcej. Ja, Don Pedro Alvarez y Cazrola, nalegam.

- Dziękuję, nie.

- Kobieta z charakterem? Ale uważaj. Zaczynasz mnie intrygować.

Hiszpan odchylił się na fotelu i wyciągnął przed siebie długie nogi. Mężczyźni zebrani przy palenisku parsknęli, przyglądając się jej z zaciekawieniem.

To jest zabawa w kotkę i myszkę, pomyślała Angelinę. Z nią jako ofiarą. Bez słowa odstawiła miseczkę, udając, że jest całkowicie pochłonięta układaniem Claire i jej okrywaniem. Kuzynka wpatrywała się w nią z przerażeniem w zielonych oczach.

- Zostaw wreszcie tę swoją przyjaciółkę, *señorita*, i podejdź do mnie.

Angelina spojrzała na niego bez strachu.

- To jest moja kuzynka.

- Więc zostaw kuzynkę i chodź. Natychmiast.

Mogła nie posłuchać i zmusić go, by sam przyszedł do niej i wymusił na niej posłuszeństwo. Albo mogła go posłuchać. Wołała nie dawać mu pretekstu do stosowania przemocy wobec niej, więc podniosła się i podeszła z całą swobodą. Zatrzymała się tuż przy jego fotelu i wyzywająco uniosła brodę.

- Chce pan czegoś ode mnie?

- Oczywiście. Chcę ci się lepiej przyjrzeć. Jak na ciebie wołają?

Oczy miał jasnobrażowe, niemal żółte, z czerwonym obrzeżem, jak u drapieżnego ptaka.

- Angelinę.

Odpowiedziała mu najobojętniej, jak tylko potrafiła.

Popatrzyła na innych, potem przyjrzała się narzędziom przy kominku, naczyniom i sztuccom, jakimi posługiwali się jedzący, szukała jakiejś broni, noża, czegoś do obrony. Niczego takiego nie było w zasięgu ręki. A może? Hiszpan ciągle jeszcze miał przy pasie pochwę z ozdobnym sztyletem.

Don Pedro zwrócił się do łysiejącego opryszka:

- Gdzie twoje maniery, Sanchez? Podaj pani coś do picia.

Ten, którego nazwano Sanchezem, chwycił z uśmiechem porcelanową filiżankę bez uszka, wytarł palcem jej wnętrze i nalał samogonu. Don Pedro wziął z jego rąk filiżankę i dał swój kubek do napełnienia, po czym odwrócił się do niej, podając jej filiżankę.

- Napijesz się ze mną, Angelinę?

To nie było pytanie, chociaż tak zabrzmiało. Angelinę wzięła do ręki podsunięte naczynie.

- Dlaczego ja? Nie ma tu dość mężczyzn, żeby dotrzymali panu towarzystwa?

- Masz na myśli moich ludzi? Jest ich dość, ale na ciebie patrzy mi się znacznie przyjemniej niż na nich.

- Pijana kobieta nie będzie z pewnością miłym towarzystwem...

- Mylisz się. Może być całkiem wesoło. Tylko że jesteś zimna, a chciałbym, żebyś... tego... żebyś miała trochę cieplejszą krew.

- To nie zależy od picia. Od picia jestem tylko chora. Nikły, zimny uśmiech pojawił się na jego ustach.

- Chcesz mnie zniechęcić przez takie gadanie? To może przynieść odwrotny skutek.

Podjęła jeszcze jedną próbę.

- Byłoby lepiej użyć tego - wskazała trunek w filiżance - do przemycia ran twoich ludzi. Mam w tym zakresie trochę doświadczenia. Mogę je obejrzeć?

- To całkiem szlachetne z twojej strony, zważywszy na sytuację, w jakiej się znajdujesz.

- Nie wiem, w jakiej jestem sytuacji.

Obiema rękami obejmowała filiżankę; resztki obtłuczonego uszka boleśnie wpijały się jej w dłoń.

- Nie udawaj. Dobrze wiesz.

Patrzyła mu w oczy, nie zwracając uwagi na ból w palcach i uderzenia krwi do głowy.

- Chodzi o McCullougha? Nie jestem i nigdy nie byłam jego kobietą, nie ma więc powodu, żebym to ja była waszą zemstą na nim. Do chwili porwania przez pańskich ludzi byłam raczej jego więźniem.

- I ja mam w to wierzyć? Przecież przebywałeś z nim pod jednym dachem.

- On miał kobietę, z którą... którą był bardziej zainteresowany...

Nie było sensu zagłębiać się w dalsze szczegóły. Siłą woli powstrzymała się, by nie spojrzeć w stronę Claire.

Hiszpan ruchem głowy wskazał na łóżko.

- Tamtą? A to dureń.

Nie stłumił głosu ani nie starał się ukryć pogardy. Claire otworzyła oczy, zmarszczyła czoło i uniosła się na jednym łokciu. Wzięła cynową miseczkę, którą

Angelinę zostawiła przy łożku. Jednym haustem przeknęła jej zawartość.

Pociemniałymi z przerażenia oczami Angelinę patrzyła to na kuzynkę, to na Hiszpana.

- Nie sądzę.

- Ale ja tak. To znaczy, że jesteś dziewicą?

- To już zupełnie nie pański interes!

Gorący rumieniec oblał jej twarz. Nie wiedziała, co ją bardziej zdenerwowało: pytanie czy obcesowość, z jaką zostało zadane.

- Przeciwnie. Bardzo mnie to interesuje.

- Może pan sobie dać z tym spokój. Skorzysta pan z moich usług - jako pielęgniarki dla pańskich ludzi?

Uniósł brwi, nie wiedział, jak ma się zachować. Wyjął ciemne meksykańskie cygaro, przypalił od węglika z paleniska, zaciągnął się, wypuścił z ust obłoczek dymu.

- Jestem pewny, że będą ci bardzo wdzięczni.

Zaczęła przygotowania. Nagrzała wody i zaczęła przemywać rany od kul. Były dość czyste i na ogół niezbyt groźne. Ci z poważniejszymi ranami, którzy nie byli w stanie sami dosiąść koni i wrócić, zostali zdani na łaskę McCullougha.

Gdy krzątała się po pokoju, była świadoma, że Hiszpan ani na chwilę nie spuszcza jej z oka. Wiedziała, że jego cierpliwości już nie na długo starczy. Groźba rzucona pod jej adresem na leśnej polanie, że będzie ją miał, przerażała ją bardziej niż jawne pożądanie McCullougha. Pomyślała, że otwarte przeciwstawienie się może być błędem i że pewnie przyjdzie jej drogo zapłacić za każdą minutę zwlekania.

Któremuś z rannych musiała wyjąć kulę. Rannym był młody, może dwudziestoletni chłopiec, ale kłął z niewiarygodnym urozmaiceniem, gdy Angelika niezbyt ostrym nożem próbowała wydostać ołów.

- Proszę, *señorita*. Może ten będzie lepszy?

To Don Pedro nachylał się nad ławą, na której leżał ranny, i na wyciągniętej dłoni podawał jej swój sztylet. Uśmiechał się przy tym zachęcająco. Głos miał spokojny, zupełnie naturalny, nie zwracał uwagi na nikogo z otoczenia. Zaciągnął się po raz ostatni cygarem i ogarek wrzucił do ognia.

Wyciągnęła dłoń i ujęła smukłą rękojeść. Pokusa, by uderzyć stojącego nad nią mężczyznę, była tak wielka, że aż w głowie jej się zakręciło. Jedyne świadomość, że zrobił to celowo, by ją wypróbować, a na ewentualny atak jest doskonale przygotowany, pozwoliła jej się opanować. Użycie sztyletu przeciwko Hiszpanowi byłoby samobójstwem. Nie mogła mieć żadnej nadziei, że uda się jej wymknąć tuzinowi mężczyzn, znajdujących się w pomieszczeniu, nawet jeśli udałoby się jej z Don Pedrem. Pewnie wszystko dobrze obmyślił - jego uśmiezek zdawał się potwierdzać jej przypuszczenia.

Gdy wydostała kulę, położyła sztylet na ławce i zaczęła oczyszczać głęboką ranę. Hiszpan nie sięgnął po nóż. Czekał, dopóki nie zawiązała ostatniego wężła na bandażach i dopiero wówczas wyciągnął rękę.

- Moja broń, *señorita*.

- Pozwoli pan, że ją obmyję? - zapytała spokojnie. Wiedziała z doświadczenia z Rolfe'em, że grę nerwów trzeba umieć prowadzić. Kolejnymi czynnościami: zanurzeniem sztyletu w wodzie, dokładnym myciem z krwi, wycieraniem, oglądaniem zyskiwała jedno - czas. Zdawała sobie również sprawę z tego, że mężczyźni, którym opatrzyła rany, poczują się zobowiązani do czegoś w rodzaju wdzięczności. Nie miała żadnej pewności, czy podjęte działania miały jakikolwiek sens, ale nic innego teraz i w tych okolicznościach zrobić nie mogła.

- Proszę - powiedziała i delikatnie położyła nóż na dłoni Hiszpana. Spojrzała mu spokojnie w oczy, bez poczucia winy, bez strachu.

Gdzieś na zewnątrz zaszczekał pies. Don Pedro wstał, podszedł do drzwi, otworzył je, wyjrzał. Claire patrzyła za nim niewidzącym wzrokiem, jak w transie, nieświadoma zupełnie tego, co się wokół niej dzieje. Wpatrywała się w otwarte drzwi, a potem w zamknięte, gdy już Hiszpan je zatrzasnął.

- Nie ma nic - powiedział jakby sam do siebie.

Ciężarna kobieta wróciła na łóżko. Spod koca wyciągnęła cytę i zaczęła na niej brzdąkać. Grała jakąś zdumiewająco delikatną i kojącą melodię. Jej dźwięki rozpływały się w mroku. Trzej spośród rannych, którzy rozłożyli się na matach, chrapali w pijanym śnie. Inni, zawinięci w koce, leżeli z plecami zwróconymi w stronę ognia. Jeszcze inni siedzieli spokojnie przy palenisku, czekając na swoją kolej do pełnienia warty.

- Zrobiłaś to bardzo dobrze, *mil gracias* - podziękował jej Hiszpan.

Odwróciła się, zanurzyła ręce w miednicy, a potem wytarła je w kawałek materiału, który kiedyś był prawdopodobnie męską koszulą.

- Każdy mógłby to zrobić, nawet pan.

Wzruszył ramionami.

- Jeśliby mi się chciało. Nie spodziewam się, by o mnie ktoś tak się zatroszczył, gdybym został ranny. Czemu innym ma być lepiej?

- To taki swoisty stoicyzm, czy też dotychczas udawało się panu uchodzić bez ran?

- Współczujesz moim ludziom? - odpowiedział pytaniem na pytanie. - Mnie mogłabyś też włączyć do tego kręgu?

Spojrzała na niego pytająco.

- Ukrywa pan jakąś ranę?

- Coś ukrywam, ale to nie jest rana - powiedział bez radości w głosie, ale w jego oczach tańczyły jakieś wesołe ogniki.

Jego bliskość ją porażała, inaczej nie potrafiłaby tego określić. Nie wiedziała, z jakiego powodu - zabójstwa na polanie, beztroski, z jaką na pastwę losu pozostawił rannych, zbójckiego zajęcia czy wreszcie okrutnej gry, jaką z nią prowadził, ale bała się go tak jak nikogo dotąd. To, że dotychczas nie użył w stosunku do niej przemocy, nie zmniejszało jej obaw. Jeśli to cokolwiek zmieniało, to tylko na gorsze, bo w żaden sposób nie mogła się domyślić, jakie ma wobec niej plany, co zamierza z nią zrobić.

Patrzyła na niego jak zahipnotyzowany przez węża ptak, gdy wyjmował z jej rąk ścierkę. Następnie zacisnął palce na jej nadgarstku i ruchem głowy wskazując jedyne wolne łóżko, powiedział krótko:

- Chodź!

Więc chciał ją mieć tu, w tym przepełnionym pomieszczeniu, na oczach mężczyzn stojących przy ogniu. Chciał ją rozebrać do naga i zrobić z tego widowisko dla swoich ludzi, chce zniszczyć to, co w niej najdelikatniejsze. Ta myśl ją przeraziła. Cofnęła się, zdecydowana stawiać mu opór z całych sił. I wtedy spostrzegła, że był z tego zadowolony, wręcz podniecony jej zdecydowanym oporem.

Dźwięki cytry umilkły, ginąc w mętnych akordach. Wiazania łoża, na którym leżała Claire, zaskrzypiały, gdy dziewczyna uniosła się, obserwując poczynania Angelinę. Po chwili niespodziewanie stanęła na materacu. Jej cień w mizernym świetle ognia, groteskowy i upiorny, rzucony na ścianę, poruszał się niezdarnie. Zaczęła się śmiać głębokim gardłowym śmiechem, który zdawał się wydobywać z głębi jej trzewi, nabierał mocy i życia, przechodził w histerię. Z przymkniętymi oczami zaczęła rozsuwać naderwany dekolt sukni, pozwalając szerokim rękawom ześlizgnąć się z ramion i odsłonić pełną kragłość wypukłych piersi. Poruszając się jak w powolnym tańcu, pozwoliła, by kolorowy jedwab osuwał się

coraz niżej, odsłaniając biodra, obły kształt brzucha, uda, na których przez chwilę się zatrzymał, skrywając ciemny trójkąt włosów, aż upadł w fałdach u jej stóp. Wtedy zanurzyła ręce we włosach, rozgarnęła ich rudą masę i okryła się nimi jak peleryną. Z błyszczącymi oczami, wyginając się i prostując, zaczęła wykonywać ruchy parodiujące akt miłosny.

Hiszpan, z dłonią zaciśniętą na nadgarstku Angelinę, zatrzymał się. Słyszała, jak ktoś za jej plecami głośno przełknął ślinę, ktoś inny zaklął szeptem. Ogień zaskwierczał, rzucając na wszystkich czerwono-niebieskie i pomarańczowe światło. Na zewnątrz zawył wiatr i ponownie zaszczekał pies. Potem wszystko ucichło.

W nagłej furii Don Pedro skoczył w stronę ciężarnej kobiety, trzymającej w rękach cytrę. Coś zazgrzytało, jakby ktoś nagle nożem przeciął struny. Claire uniosła oczy w górę. Usta wykrzywił jej grymas, który zapewne miał być uśmiechem. Odsunęła nogą suknię, podeszła na skraj łoża i lekko zeskoczyła na podłogę. Z wyciągniętymi rękami podeszła do Hiszpana i objęła go delikatnie za szyję.

- Weź mnie - powiedziała niskim, łamiącym się głosem, z oczami pełnymi łez. - Weź mnie. Teraz.

- Claire, nie! - zduszonym głosem szepnęła Angelinę.

Uderzył ją jakiś przedziwny dźwięk w głosie kuzynki. Nie wiedziała, czy to perwersyjne pożądanie, czy zazdrość, że to na Angelinę, a nie na niej Don Pedro skupił swą uwagę, czy wreszcie chęć, by ją oszczędzić, by odciągnąć od niej Hiszpana.

- Czyżbyś była zazdrosna, kuzyneczko? - zachrypiała cicho. - Nie musisz. Twój czas jeszcze nadejdzie.

Don Pedro puścił Angelinę. Chwycił za ramię Claire z taką gwałtownością, że cała krew odpłynęła jej z twarzy i szarpnął tak, aż głowa poleciała jej do tyłu.

- Wracaj do łóżka!

- Co? Nie chcesz mnie?

- Nie!

Gdy Claire się ociągała, oderwał jej rękę, jakby ich dotyk napełniał go odrazą. W oczach pojawiło się jakieś drapieżne rozbawienie. Chwycił Angelinę za rękę, a Claire popchnął przed siebie.

- Już wiem, użyjemy tego łoża we troje.

Zanim Angelinę pojęła znaczenie tych słów, Claire prychnęła jak kocica i rzuciła się na niego. Ręce zacisnęła na jego karku, nogami oplótła uda i z siłą szaleńca wpiła się w niego paznokciami.

- Nóż, nóż! - wrzasnęła i nagle zatopiła zęby w jego szyi.

Nie było czasu na zastanawianie się. Angelinę poderwała się i z pochwy u pasa Don Pedra wyrwała sztylet. Odskoczyła w chwili, gdy Hiszpan mocnym uderzeniem powalił Claire na ziemię. Schowała się za kołyskę w rogu i tylko kątem oka zauważyła, jak Claire podciąga pod siebie nogi i włosami niczym płaszczem okrywa swoją nagość. Jej pięknie wykrojone usta były czerwone od krwi. Z nienawiścią patrzyła na Hiszpana, który stał z boku, trzymając się za szyję.

- Czemu go nie zabiłaś?

- Bo... - zaczęła Angelinę, ale Hiszpan zaraz jej przerwał.

- Bo, w odróżnieniu od ciebie, dziwki, co to myśli tylko tym, co ma między nogami, wiedziała, że to na nic.

Odwrócił się do Angelinę i powoli zbliżał się do niej z wyciągniętą otwartą dłońią.

- Oddaj mi to. Oddaj mój nóż, a będziesz tylko moja. Jeśli mnie zmusisz, bym ci go odebrał, jeszcze tej nocy weźmie cię każdy, kto będzie tego chciał. Będziesz jak ta w kącie, Alice, której mogą używać wszyscy. To ci obiecuję.

- O, Angelinę - szepnęła przerażona Claire, patrząc na podnoszących się ze swoich miejsc opryszków.

Zdawała sobie sprawę, o co tu idzie gra. Angelinę już wcześniej to rozumiała. Teraz patrzyła, jak się zbliżał

wolno i pewny siebie. Ważyła w dłoni ciężką, inkrustowaną rękojeść; wiedziała, że nie może się poddać, że drugi raz broni oddać nie może. Czuła, że cała w środku sztywnieje, ciemność wchłania jej poczucie rzeczywistości. Wciągnęła głęboko powietrze. Patrzyła na niego z całkowitym spokojem.

Był pewny swego. Bo czemu nie? Czyż poprzednio bez słowa nie zrezygnowała z okazji, jaką miała? Podszedł jeszcze bliżej, dotknął jej niemal, z wyrazem tryumfu w drapieżnych, pożądliwych oczach.

Uderzyła, trzymając ostrze tak, jak to widziała zaledwie kilka godzin wcześniej u Rolfe'a, całą siłą kierując ostrze w wąski, odsłonięty brzuch.

Przyjął uderzenie na przedramię, podbijając jej rękę, ale o ułamek sekundy za późno. Ostrze rozorało mięśnie do samej kości i przecięło żyły. Wściekłość wykrzywiła mu twarz, podniósł rękę i z rozmachem uderzył ją w policzek otwartą dłonią. Padła na ścianę. Nóż wyleciał jej z ręki. Hiszpan podniósł sztylet zakrwawioną ręką i z wyszczerzonymi zębami i śmiercią w oczach zbliżał się do niej.

Angelinę odskoczyła, usiłując tak się ustawić, by kolebiąca się kołyska odgradzała go od niej. Don Pedro odrzucił ją na bok. W tej samej chwili Alice jęknęła i podniosła się z łóżka, padła na kolana i w pośpiechu zaczęła przerzucać delikatną, błękitną zawartość kołyski, która wypadła na podłogę.

Angelinę odskoczyła do tyłu. Któryś z siedzących przy palenisku opryszków wyciągnął rękę, by ją chwycić. Hiszpan wrzasnął i tamten natychmiast się cofnął.

- Zostaw, durniu! Jest moja i tylko do mnie będzie należała zemsta!

Mimo tego rozkazu ustawili się tak, że odcięli jej drogę do drzwi, do których próbowała się przedostać. Musiała więc uciekać w stronę łóża, na którym leżała Alice. Tuż przy nim stał stolik, a na nim dzbanek i kilka filiżanek. Zaczęła rzucać nimi w Hiszpana z taką

szybkością, na jaką tylko było ją stać. Jedna rozcięła mu policzek, pozostawiając krwawy ślad, ale nawet tego nie zauważył. Przed następnymi uchylił się. Zbyt długo jednak zatrzymała się w jednym miejscu - długim susem odciął jej drogę i zapędził w róg. Kiedy już wyciągnął po nią rękę, rzuciła mu w twarz poduszkę, a zaraz potem - kołdrę, zyskując znowu chwilę. Szarpnęła poduszkę z taką siłą, że powłoczka pękła, a pióra zawirowały w powietrzu. Przeskoczyła przez szczyt łóżka, zaplątała się w fałdach spódnicy, padła na podłogę, kalecząc dłonie o skorupy rozbitych filiżanek. Zerwała się i przebiegła pod przeciwległą ścianę.

- Angelinę, Angelinę, Angelinę - jęczała Claire, pochylając się raz w tył, raz przód, z przerażeniem w oczach. Jej jęki zmieszane z głośnym pochlipywaniem Alice i chrapliwymi okrzykami mężczyzn tworzyły niesamowity zgiełk. Angelinę podbiegła do kuzynki, starając się nie patrzeć w stronę tylnych drzwi. Ale Don Pedro zorientował się w jej zamiarach i pierwszy do nich dopadł. Chciała zmienić kierunek ucieczki, ale w tej samej chwili Claire uniosła się i wpadły na siebie. Zanim zdążyła się podnieść, poczuła mocne, twarde palce we włosach, a zaraz potem silne ramiona oplatające ją żelaznym uściskiem. Poczowała mdły zapach krwi.

- A teraz - rzekł zduszonym głosem Don Pedro - pokażę ci, jak jest traktowana *puta*, która odważyła się podnieść na mnie rękę.

Czerwone płaty zatańczyły jej z bólu przed oczami, gdy pociągnął ją w stronę najbliższego łóżka i przerzucił twarzą w dół przez jego szczyt. Rzeźbiona deska wpiła się jej w biodra. Poczowała ostre ukłucie u nasady karku. Uniósł jej nogi w górę, a twarz wdusił w materac. Jakiś ciężar zawisł na jej udach i zaraz potem rozległ się chrzęst rozdzieranego materiału.

Rozcinał na niej suknię. Skurczyła się pod dotykiem ostrza i wtedy poczuła, jak opada z niej stanik, a gołe

plecy ogarnia chłodny powiew. Dłonie obejmujące ją w pasie zamykały się i otwierały. Przesunął nożem w dół i rozciął na niej resztki ubrania. Za chwilę stanie naga, bezradna wobec gwałtu. Spełni swą groźbę. Ale nie podda się bez walki. Szarpała się, kopała, wykręcała głowę, by złapać trochę powietrza, cały czas słysząc chrapliwy, przyspieszony podnieceniem oddech Hiszpana...

Ostry trzask rozdarł ciszę. Tylne drzwi pomieszczenia wyrwane z jednego zawiasu rozwarły się z hukiem i uderzyły o ścianę. Gdy Don Pedro, z soczystym, hiszpańskim przekleństwem puścił Angelinę, ta obróciła się, zerwała z materaca i rozejrzała wkoło. Jacyś mężczyźni, z pistoletami w ręku, tłoczyli się u wejścia. Na ich czele stał wysoki blondyn o błękitnych oczach.

- Rolfe! - zawołała z ulgą.

Stojący przy palenisku mężczyźni, pokrzykując coś beładnie, rzucili się na poszukiwanie broni. Claire kołysała się na boki i nagle, jakby dopiero w tej chwili zdała sobie sprawę, że jest naga, skrzyżowała ramiona na łonie. Gdzieś poza domem słychać było odgłosy strzałów, rozdzierających ciszę nocy.

Rolfe stał u progu. Ogarnął spojrzeniem całe wnętrze i dopiero wtedy zatrzymał wzrok na Angelinę.

Poczuła ogromną ulgę. Dało jej to taką siłę, że wyrwała się Hiszpanowi, przeskoczyła łożo, padła na podłogę i potoczyła się tuż pod nogi Rolfe'a. Poderwała się zaraz i stanęła przy nim. Objął ją opiekuńczym gestem. Rozległy się strzały. Claire z przerażeniem w oczach rzuciła się w stronę Angelinę i Rolfe'a.

Don Pedro, straciwszy jedną ofiarę, zwrócił się ku drugiej. Rzucił się w stronę Claire, pochwycił ją od tyłu i jej nagim, ciepłym ciałem osłonił się jak tarczą. Dziewczyna krzyknęła rozpaczliwie, łzy rozpaczy napłynęły jej do oczu.

- Stój tam, gdzie stoisz, *amigo* - powiedział spokojnie, ale złowrogo Hiszpan do Rolfe'a, rozpoznając w nim

bezbłędnie przywódcę. - Ta dziewczyna nic dla mnie nie znaczy, zupełnie nic. Dotknij mnie, a przetnę jej gardło, jak kucharz ucina łeb kurczakowi.

Gwardziści, poza kilkoma strzałami, nie włączali się dotychczas do walki. Dopiero teraz Andre z Meyerem wpadli do izby z takim impetem, jakby mieli zamiar zaatakować. Palce Don Pedra zacisnęły się na rękojeści noża, a ostrze przyłożone do obnażonej szyi dziewczyny błyszczało groźnie.

- Stać! - rzucił ostro Rolfe.

Zapadła cisza. Ludzie Hiszpana, znajdujący się w środku, już się poddali. Dochodziły jedynie odgłosy walki toczonej gdzieś na zewnątrz. Andre i gwardziści stali nieporuszeni, obserwując, jak Don Pedro, krok po kroku, popychając przed sobą Claire, przesuwa się w stronę drzwi frontowych.

Nie można było nic zrobić. Angelinę czuła, jak w otaczającym ją ramieniu Rolfe'a drżą wszystkie mięśnie, bezsilnie i z wściekłością przyglądał się, jak Claire po raz kolejny wymyka mu się z rąk.

Hiszpan kopniakiem otworzył drzwi i z drwiącym uśmiechem, który zdawał się unosić końce jego opadających wąsów, zawołał:

- Spróbujcie mnie gonić, *amigos*, a znajdziecie tę kobietę martwą w przydrożnym rowie.

Przestąpił próg. Słyszeli tupot jego ciężkich, odalających się kroków i odgłos bosych stóp Claire. Strzały nasiliły się na chwilę, ale zaraz wszystko ucichło w oddali.

Podbiegli do drzwi i dołączyli się do strzelaniny, jaką prowadzili, bez przekonania, ludzie McCuIlougha i on sam. Ich włączenie się do walki sprawiło, że ludzie Hiszpana rzucili się do koni i pognali drogą w kierunku, gdzie przed chwilą zniknął ich przywódca.

- Tylko głupiec chwali się zwycięstwem w walce, w której miał przewagę nad przeciwnikiem w ludziach i sprzęcie - powiedział sentencjonalnie Rolfe, stając nad leżącym na końskiej derce McCulloughem.

- Możesz mi gadać, zem głupi i sie tego nie bać, bo wiesz, że ci dużo zawdzięczam - mruknął McCullough. - Juzem ci mówił, że sie wyrzeknę okupu za ciebie i twoich, a nawet tego Andre, boś uratował mi głowę. Ale nie myśl, że twoje obelgi bede znosił na spokojnie.

- A jak? - spytał Rolfe, unosząc brwi i spoglądając z uśmiechem na leżącego Szkota.

W odpowiedzi McCullough popatrzył tylko z wściekłością na stojącego nad nim księcia. Jęczał i stękał, gdy Angelinę zakładała mu opatrunek na kolano - oberwał w ostatniej fazie walki. Kula rozerwała mięsień i lekko naruszyła kość.

- Wszystko jedno, ale uciekali, jak parszywe kundle z podwiniętymi ogonami.

- Tak, ale z Claire w siodle najbardziej wściekłego kundla.

- Taka szkoda - powiedział McCullough bez cienia żalu w głosie, spoglądając niby to z troską w stronę Angelinę.

- Trochę więcej niż tylko szkoda, bo znaczy to tyle, że całą operację trzeba będzie podjąć na nowo. Musimy wreszcie dosięgnąć tego drania Hiszpana.

- Ze względu na te kobitę?

- Właśnie - potwierdził Rolfe i dodał: - I dla twego własnego spokoju. Wiesz równie dobrze jak ja, że choć puściłeś jego chałupy z dymem, zapasy żywności zamieniłeś w popiół, to on w miesiąc postawi te budy na nowo, a żarcie zdobędzie na tobie podczas pierwszego napadu.

- To prawda. Żeby ślepiec stracił!

- A ty co na tym zyskałeś?

- Poznałem się na tobie, diable wcielony! - rzucił McCullough. - Ty tylko po toś moich ludzi chciałeś, żeby ci pomogli to twoją babę dostać. A i tak nie wiem, na co ci ona, kiedy masz Angelinę.

- Nie wiesz? To ci powiem, bo dobra z niej gospodyni - odrzekł Rolfe z niewinną miną.

Szkot tylko parsknął i odwrócił się ze złością.

Kilka kilometrów dalej musieli koniecznie zatrzymać się na popas. Nie tylko, by opatrzyć rannych. Wszyscy byli wyczerpani. Wymęczone były też konie - jechali przecież całą noc. Meyer, Oscar i Andre pomogli opatrzyć rannych i teraz opryszki McCullougha i gwardziści, ci prawdziwi i ten nowo przyjęty do ich grona, zawinęci w koce, leżeli wokół ogniska. Szkot domagał się, by opatrzone go na końcu i by zrobiła to wyłącznie Angelinę. Nikomu innemu nie pozwalał dotknąć swego kolana. Jej nie robiło to żadnej różnicy. Wolała być zajęta, by nie mieć czasu na myślenie, na zastanawianie się.

W chwili gdy skończyła opatrywać ranę, stanął obok niej Rolfe i pomógł jej wstać.

- Dałabyś mi jeszcze trochę wody, co? - poprosił Szkot.

Nim zdążyła odpowiedzieć, Rolfe ją wyręczył:

- A sam nie mógłbyś sobie wziąć? Angelinę już dość się narobiła.

- Dość dla innych, tylko nie dla ciebie? Mogę się założyć.

Rolfe zacisnął szczęki, ale nic nie odpowiedział. Odprowadził ją kawałek od ogniska, do niewielkiej kotlinki, w której rozłożono koce. Ktoś jęknął półgłosem, gdy mijali leżące postacie. Alice jeszcze teraz wzdychała nad pustą kołyską.

Męski płaszcz, jaki znaleziono dla Angelinę, by ochronić ją przed przenikliwym zimnem, włókł się za

nią po ziemi, zahaczając o kamienie i korzenie. Owijając się nim szczerze myślała, czy Claire też dostała coś do okrycia, czy w ogóle żyje, czy jeszcze jest z Don Pedrem, czy może porzucono ją gdzieś po drodze. Oswald i Gustave zostali wysłani, by obserwować uciekających ludzi Don Pedra i uratować Claire, jeśli coś takiego by się wydarzyło. Dostali jednak też rozkaz, by trzymać się dość daleko z tyłu, aby nie wpaść w zasadzkę i nie podejmować żadnych akcji, które mogłyby zagrozić życiu Claire.

Nie było to wiele, ale Angelinę nie potrafiła wymyślić niczego, co można by zrobić w tej sprawie. Czuła się tak, jakby opuściła kuzynkę w nieszczęściu. Jazda w przeciwnym niż Don Pedro kierunku zakrawała na zdradę. Ale przecież nie mogła zostać tu sama, nie mogła też za to winić Rolfe'a i innych. Wiedziała, że im wszystkim zależy na Claire, ale Hiszpan będzie się teraz miał na baczności, by drugi raz nie dać się zaskoczyć. Musi upłynąć trochę czasu, nim zacznie myśleć, że McCuUoughowi i pozostałym nie zależy na dziewczynie i że nikogo nie obchodzi, czy on sam wróci do wypalonych domów, czy ukryje się w jakimś innym zakazanym miejscu. Ale nikt nie był w stanie przewidzieć, kiedy to może nastąpić.

Choć była szczerze okryta kocami, poczuła zimne dreszcze. Wiedziała, że to nie z zimna. Było jej dość ciepło, zwłaszcza że Rolfe leżał blisko, choć nie na tyle, by jej dotykać. Była to reakcja na wypadki nocy, fizyczna odpowiedź na strach i poniżenie, jakiego doznała. Dopóki miała zajęcie, nie myślała o tym - dopiero teraz. Sądziła, że to zaraz minie, ale nie przechodziło. Dreszcze były tak gwałtowne, aż szczękała zębami, a całe ciało napinało się jak łuk.

- Angelinę - szepnął Rolfe, wsuwając się pod jej koce i kładąc rękę na jej biodrach. - Co ci jest?

Nie miała odwagi, by odwrócić się do niego. Przecież nie wiedziała, co myślał o porwaniu jej przez Hiszpana, o scenie, którą, na jej szczęście, przerwał. Nie mogła się jednak poddać: musiała przezwyciężyć strach.

- Obejmij mnie - szepnęła ledwo dosłyszalnie. - Proszę cię, obejmij mnie.

Zamknął ją w ramionach. Jego objęcia, bez pożądania, były schronieniem, a dotyk warg na brwiach i powiekach rozbrajającą pieśczęcią. Mówił cicho i uspokajająco.

- Spokojnie, dziecino. Zapomnij o strachu i zmorach nocy. Jesteś ze mną, bezpieczna, i nie pozwolę ci odejść choćby na krok. I nie będę prosił o nic, czego nie mogłabyś dać. Zaufaj mi i wybacz wszystko, co zrobiłem w przeszłości, a co chciałbym ci wynagrodzić dzisiejszej nocy. Przyjmij moją miłość, niech będzie ci tarczą i pancerzem, wypędź złe zjawy z pamięci, a zatrzymaj jedynie pojednanie...

Słowa płynęły do niej powoli, ale gdy w pełni dotarły do jej świadomości, ogarnął ją spokój. Odetchnęła głęboko raz, drugi, czując równomierne uderzenia jego serca tuż przy policzku. Kiedy się odezwała, głos jej już nie drżał. To słowo wypowiedziała bardzo wyraźnie:

- Miłość?

- Gdybym mógł ci ją dać świetlistą i jaśniejącą, opatrzoną pieczęciami i przewiazaną wstęgami. Ale nie mogę tego zrobić, więc przyjmij taką, jaka jest: ciernistą i nieromantyczną, ofiarowaną ci tak nieporadnie.

- O, Rolfe - szepnęła poprzez łyzy - byłoby nieuczciwe, gdybyś mówił to jedynie dlatego, by zagłuszyć wyrzuty sumienia albo złagodzić ból poprzednich doświadczeń...

- Nie! - przerwał jej zdecydowanie.

- Ale ja i tak nie mogę... nie mogę ich... przyjąć, chyba że... w zamian przyjmiesz... moją miłość?

Nie wiedziała, skąd wzięły się te słowa. Zupełnie jakby nagle wy dostały się skądś z jej wnętrza, gdzie czekały na

ten właśnie moment, dobrze ukryte, od szeregu dni, może miesięcy, lat, a może od samego początku jej życia?

- Lepszej wymiany nie mógłbym sobie wymarzyć - powiedział miękko.

Jego ramiona pozostawały spokojne, bez drżenia, znamionującego podniecenie. Trochę ją to zaniepokoiło, zwłaszcza że sama poczuła mrowienie.

Odchyliła głowę, usiłując przyjrzeć się jego twarzy. Wiedziała, że patrzy na nią, chociaż widziała ledwie zarys jego głowy, słaby błysk oczu, odbijających rodzące się światło wstającego poranka. Zebrała całą odwagę, podniosła rękę i końcami palców dotknęła jego policzka, ostro zarysowanej szczęki i niżej - napiętych ścięgien szyi. Przyciągnęła do siebie jego głowę i rozchylone usta zbliżyła do jego warg. Przyjął jej pocałunek, odwzajemnił, przedłużył, aż poczuła przyspieszone bicie serca. Zapadło milczenie, w którym słyszała jego spokojny, jakby celowo kontrolowany oddech.

- Odpoczniemy tu do rana. Śpij teraz.

Żywość, z jaką to powiedział, wskazywała, wbrew pozorom, że wcale nie potrzebował odpoczynku.

- A jeśli nie mogę?

- Musisz.

Opuściła powieki; jednym palcem sunąc wzdłuż konturów jego ucha, wyszeptała:

- Muszę?

- To pomoże mi wytrwać w postanowieniu...

- Nie prosić... nie prosić o więcej, niż mogę ci dać? Ale co... jeśli to ja jestem tą, która... prosi?

- Angelinę, jestem tylko mężczyzną...

- Jesteś księciem, który pewnego dnia zostanie królem, a co się z tym wiąże - chyba że w Ruthenii jest inaczej? - *noblesse oblige*?...

Zaśmiał się cichutko i śmiech jeszcze trwał w jego głosie, gdy mówił:

- Angelinę, kochanie, ja cię... to znaczy, jeśli to nie uszczupli twoich sił...

- Tym nie musisz się martwić.

- Jak mam się nie martwić? Wszystko, co tobie szkodzi, boli i mnie.

- Również to, że chcę, byś mnie objął, kochał?

- Jesteś uparta i bezpośrednia, prawda? - spytał szeptem tuż nad jej uchem.

- Tak myślisz?

- To mnie raduje. Leż spokojnie, zbieraj siły i pozwól się kochać po królewsku, nawet jeśli nie będzie to całkiem nobliwe.

Jego umiejętnościom, królewskim czy nie, dorównywało jedynie jego skupienie. Rozebrał ją z wymyślnymi pieściami, a każdej z nich towarzyszyły słowa zachwytu nad kształtem ciała, nad perłową karnacją skóry, nad zapachem włosów, zachwytu okazywanego, odczuwanego, radośnie z nią dzielonego. Odpowiadała na jego pieścizny, nie kryjąc, co sprawia jej największą przyjemność. Zdawał się szukać dojścia do głębi jej duszy, ale nie robił nic bez jej woli.

Stwardniałe dłonie zamknął na jej odsłoniętych piersiach. Ustami muskał skórę płaskiego brzucha i niżej, i jeszcze niżej. Rozsunął powoli jej uda, odsłaniając ich miękkie wnętrza. Otwartą dłonią przykrył najdelikatniejszy punkt jej ciała.

Nie była już bierna, odgradzona wewnętrznymi oporami, od tego, co się z nią działo. Ogarniał ją ogień, płonęła skóra, umysł tracił punkty zaczepienia. Kiedy rękę zastąpiły gorące wargi, westchnęła głęboko i głośno, objęła dłońmi jego głowę z oddaniem i wdzięcznością, przeniesiona w sferę zupełnie nowych dla niej doznań.

Jej zmysły nabierały mocy, ostre pożądanie napinało wszystkie mięśnie. Oddech stawał się coraz krótszy, zmęczenie przemieniało się w uniesienie, torując drogę odprężającej błogości. Ujęła jego twarz w dłonie,

przesunęła palce wzdłuż szyi aż do ramion. Cichym, stłumionym głosem powtarzała: - Rolfe... Rolfe... Rolfe...

- Wytrzymasz to jeszcze?

Ręce zacisnął na jej piersiach; otwartą dłonią szukał miejsca, gdzie biło jej serce.

- Wytrzymać nie potrafiłabym tylko odmowy...

To jej nie groziło. Znowu przygarnął ją do siebie, nowa fala pożądania przyniosła mu nowe siły. Ich ciała zwały się w konwulsyjnym uścisku. Nie istniało nic, nie istniał świat, nie było przeszłości ani przyszłości. Wstający poranek niósł ze sobą smugi światła, które zmuszały cienie do odwrotu. A w ich oczach zapalały się srebrne i złote błyski, gdy tak leżeli zatopieni w sobie. W ich spojrzeniach nie było nic z ciemności. Tylko jasność i nadmiar szczęścia.

- XV -

- Jestem długoogoniastym, kociookim synem bagnisk! Mój ojciec to miś grizzly, a moja matka to w połowie pantera, a w połowie orlica. Na aligatorze potrafię jeździć jak na kucyku, potrafię pięścią powalić bawołu, a Missisipi używać jako spluwaczki. Chodź tu! U, ha!

Okrzyk przerwał ciszę poranka.

Angelinę podniosła oczy znad łatanej koszuli, jednej z wielu podartych przez Rolfa i jego ludzi podczas pogoni za Hiszpanem i w drodze powrotnej. W garnku zawieszonym nad ogniem gotowała się kolacja. Mężczyźni pałętali się po fortecy McCullougha pijąc, grając w karty i ziewając z nudów.

Ciszę przerwało wołanie.

- Ki diabeł? - zawołał McCullough, zrywając się z krzesła; zaklął głośno, uderzywszy chorym kolaniem o nogę stołu. - To mi wygląda...

Rolfe, z błyskiem w niebieskich oczach, natychmiast przerwał czyszczenie pistoletu. Inni zamilkli.

- Wyleziesz sam, ty sparszywiały, zżarty przez pchły, łysy Szkocie, czy mam tam po ciebie przyjść?!

- O, diabli! - szeroki uśmiech pojawił się na twarzy McCullougha. Ruszył w stronę drzwi. Kilku innych również powstało z miejsc i pospieszyło za nim. Angelinę odłożyła na bok szycie i z Rolfe'em poszła za nimi.

Ogromny jeździec stał przy schodach wiodących na podwórze. Ubrany był dość starannie, w kurtkę z szarej wełny, kremową kamizelkę zdobioną czarnym jedwab-

nym haftem, obszerne spodnie miał wpuszczone w błyszczące wysokie buty z cielęcej skóry. Gdy zobaczył Angelinę, uchylił kapelusza, ukazując jasnorude włosy nad szeroką twarzą, o regularnych rysach, w której dominowały ciemnoszare oczy.

- Mademoiselle Fortin! - zawołał z niedowierzaniem w głosie.

- Pan Bowie - odrzekła z uśmiechem Angelinę.

- Kiedyś mówiła pani do mnie: Jim - odparł, przyglądając się jej uważnie; dopiero po chwili popatrzył z niechęcią na McCullougha. - Czy może mi pani powiedzieć, jak się pani tu znalazła?

Wszystkich uderzyła zmiana tonu, gdy zwracał się do Angelinę; do McCullougha mówił jak marynarz z rzecznego statku do swego kumpla.

- Może byś tak zlazł z tej swojej szkapoty, co? - przerwał mu Szkot. - Ja ci to wyjaśnię.

- W porządku, możesz to zrobić ty. Znam się z Mademoiselle Fortin od jakiegoś czasu. Nasze rodziny, można powiedzieć, mieszkały po sąsiedzku w pobliżu St. Martinville, dopóki ostatniego roku mój ojciec nie wbił sobie do głowy, że trzeba się przenieść w jakieś mniej zaludnione strony. Wydaje mi się dziwne, że spotykam ją w tym przez Boga zapomnianym miejscu z kimś takim jak ty i twoi kumple.

To ostatnie zdanie przyjął McCullough bez oznak niezadowolenia.

- Opowiem ci wszystko w domu, kiedy zleziesz z konia i wejdiesz. Ty tam, Jack, weź jego konia!

Jim Bowie, mimo ogromnej tuszy, zręcznie zeskoczył z siodła. Z kapeluszem w rękę ruszył w stronę Angelinę, ujął jej dłoń i pochylił się nad nią. Spojrzenie, jakim obrzucił Rolfe'a, obejmującego ją w talii, było jeszcze mniej przyjazne niż to, którym na początku obdarzył Szkota.

Obaj byli mniej więcej tej samej postury i budowy, chociaż Bowie wyglądał na trochę niższego i lżejszego. Rolfe, chyba z racji wieku, wydawał się bardziej władczy - był o jakieś cztery, pięć lat starszy od dwudziestoczteroletniego Bowie. Widoczna, choć trudna do określenia, była też jego przewaga w sposobie bycia, wynikająca z większego doświadczenia życiowego. Spokojnie, z przymrużonymi oczami, poddawał się taksującemu spojrzeniu przybyłego, a gdy McCullough zaczął ich sobie przedstawiać, skłonił się lekko.

- Książę - mruknął Jim - jest pan daleko od domu. Zastanawiam się, co pana sprowadza do naszego kraju?

- Prywatna sprawa.

- Musi to być coś poważnego, skoro sprowadziło pana aż na takie odludzie.

- Tak - głos Rolfe'a był spokojny, ale niezbyt zachęcający do dalszych pytań.

- Mam nadzieję, że chętnie pan stąd odejdzie?

- Niezupełnie. Jak dotąd, jest to fascynująca przygoda i bardzo niechętnie bym z niej zrezygnował.

- Ufam, że będzie pan czuł to samo, gdy będzie nas pan opuszczał.

Rolfe ukłonił się ponownie.

- Na to wygląda.

Ta wymiana uprzejmości między nimi jakoś podświadomie niepokoiła Angelinę. Nie uspokoiło jej również pojawienie się Andre, który podszedł do Jima, jako do dobrego znajomego z St. Martinville.

- To miło zobaczyć cię tutaj - rzekł Andre z uśmiechem i wyraźnym zadowoleniem w głosie.

- Ja też się cieszę - odparł Jim z niemal niedostrzegalnym ukłonem w stronę Angelinę.

Andre trochę się skrzywił.

- Przebywanie tutaj to średnia przyjemność. Czasem jednak wszystko, co można zrobić, to czekać.

McCullough, zniecierpliwiony, że nikt nie zwraca na niego uwagi, przerwał im dalszą rozmowę.

- Dość tego gadania na schodach. Właż, Jim, zara tu znajdziem coś do picia.

Ruszyli w kierunku domu, przy czym nowo przybyły gość zatrzymał się u wejścia, by przepuścić przed sobą Angelinę. Na progu obejrzała się i zauważyła, że Rolfe stał nadal w tym samym miejscu, obserwując Jima Bowie i Andre. Widać było, że głęboko nad czymś rozmyśla.

Kiedy mężczyźni zaczęli rozmowę, Angelinę oddaliła się, by podać coś do jedzenia.

Jim znalazł się tu, na Ziemi Niczyjej, jak sam powiedział, by kupić większe połacie ziemi. On sam, jak również jego bracia, Rezin i John, spekulowali działkami. Mówiło się głośno o traktacie, który miał być wkrótce podpisany między Stanami Zjednoczonymi a kimś, kto sprawował nadzór nad terenami położonymi w dorzeczu Sabinę River, to znaczy - Hiszpanią lub władzami rewolucji meksykańskiej, które zmieniały się tu z dnia na dzień. Rzeka stanowiłaby wtedy granicę państwa. Na podstawie tego traktatu armia amerykańska zostałaby upoważniona do wkroczenia na ten neutralny pas ziemi i oczyszczenia go ze zbrojnych band. Skoro tylko tereny te staną się bezpieczne, cena ziemi znacznie wzrośnie, a jej właściciele zrobią na tym niezłe fortuny.

- Człowieku - zawołał McCullough - takie bzdury gada się już osiem lat, a może i więcej, odkąd generał Hampton posłał swoich poruczników McGee i Zabulona Pika w dwunastym roku. Spalili mi chałupy chyba ze trzy razy, ale, jak do dzisiaj, nic mi nie zrobili. Takie tam pierdoły. A wy straciecie tylko ciężko zarobione pieniądze, chłopaki. Ja się na to nie pisze.

- Ja tak nie uważam - przerwał mu Jim. - Gdybym był tobą, McCullough, to albo bym się zaczął zastanawiać, jak przekonać żołnierzy z Fort Claiborne, że

jestem uczciwym obywatelem, albo ruszyłbym do Teksasu.

- Co, do Teksasu? Jużście próbowali to w zeszłym roku, ty i ten dureń Long. Coście to chcieli zrobić. Przyłączyć Teksas do Stanów? A tego pirata Lafitte zrobić admirałem teksańskiej marynarki wojennej. I gównu wam z tego wyszło!

- Wymłócili nas wtedy, to prawda. Ale była to uczciwa wojna i cel też był dobry. Teksas powinien należeć do Stanów i, z bożą pomocą, jeśli tylko nadarzy się okazja, znowu będę o to walczył.

- To mi wygląda, jakbyś szukał samobójstwa - mruknął pod nosem McCullough - ale jak tego chcesz, to pewno znajdziesz.

Jim zawsze był skłonny do rycerskości. Kiedy usłyszał o uprowadzeniu Claire, zgłosił natychmiastową pomoc w uwolnieniu jej. Z Claire nigdy się nie spotkał. Była we Francji w czasie gdy rodzina Bowie osiedlała się w St. Martinville. Znał jednak złą sławę Don Pedra i na myśl, że szlachetnie urodzona dziewczyna znajduje się w jego rękach, złe błyski pojawiły się w jego szarych oczach.

Nie dowierzał opowieściom Szkota i nie wyzbył się podejrzeń co do Rolfe'a. Późnym wieczorem, kiedy Angelinę sprzątała ze stołu, wziął wielki ciężki garnek ze stołu i zaniósł go na miejsce, gdzie zmywała naczynia.

- Powiedz mi szybko, czy jesteś tu z własnej woli - powiedział, nachylając się nad stawianym na ławie garnkiem.

Nie było dziwne, że o to spytał, skoro McCullough, pod bystrym okiem Rolfe'a, rozmyślnie pomijał jej udział w całej historii Claire. Sama też się zawahała, co odpowiedzieć, gdy pomyślała o uprowadzeniu ciotki, o tym, że sama nie miała wyboru, a również o tym, co podpowiadało jej... serce.

- Tak - powiedziała po chwili.

- Mam co do tego wątpliwości. Wydaje się nieprawdopodobne, żeby taka kobieta, jak pani, podróżowała z nim, żyła z nim.

Jego zainteresowanie było dla niej i przyjemne, i bolesne. Jim kiedyś lubił z nią przebywać. Często towarzyszył jej na leśnych ścieżkach wiodących z konwentu sióstr do domu ciotki. Wiedziała, że kłamie, kiedy mówił, że niby przypadkiem spotykał ją na drodze. Zdarzało się to zbyt często. Potem wyprowadził się z całą rodziną. Krążyły plotki, że zajmował się handlem niewolnikami w Galvez Town z Lafitem, który dostarczał ich ze statków stojących daleko w morzu przez nie kontrolowany port na teren hiszpańskiej części Teksasu. Stąd przerzucał „towar” przez Ziemię Niczyją do Stanów Zjednoczonych. Nigdy w to nie wierzyła - aż do tej chwili. Bo jak wytłumaczyć jego zażyłe stosunki z człowiekiem, który w oczywisty sposób kontrolował ten pas ziemi?

- Nic na to nie poradzę. Życie ludzi się zmienia. Ludzie zresztą też.

- Ale nie pani, Angelinę. Chciałbym z panią porozmawiać.

Zmusiła się do uśmiechu.

- Nie ma o czym. Niech pan spyta Andre. On panu opowie, co jest ze mną. Może wtedy pan zrozumie...

- Zrobię to, oczywiście - powiedział i po chwili milczenia dodał: - Ale chciałbym pani pomóc. Jeśli mógłbym cokolwiek zrobić, jestem do dyspozycji.

- Nie ma takiej potrzeby - chciała to powiedzieć zdecydowanie, ale głos jej się załamał.

- Mieszkała pani z ciotką w St. Martinville, prawda? Może mógłbym tam panią zawieźć? Byłbym szczęśliwy... - ponieważ potrząsnęła głową, przerwał, ale za chwilę ciągnął dalej: - Może przekazać jakąś wiadomość? Dostarczę, jeśli zechce pani cokolwiek napisać. Mogę również przekazać ustnie...

Czy powinna przesłać ciotce jakąś wiadomość o Claire? Może lepiej powstrzymać się do czasu, aż ona sama się odezwie albo gdy będzie już bezpieczna?

- Dziękuję panu, Jim. Doceniam pańską chęć pomocy, ale nie.

Na dalszą rozmowę nie było już czasu. Ze stosem brudnych naczyń podeszli do nich Oscar i Andre: to było zupełnie coś nowego - zdumiona popatrzyła w stronę stołu, gdzie Rolfe organizował całą brygadę sprzątaczy, którzy posłusznie, choć niechętnie odnosili brudne naczynia na miejsce, gdzie Angelinę je myła. Spotkali się wzrokiem ponad stołem. Rolfe był wyraźnie zadowolony z wyniku swoich działań - oddzielił ją od Jima.

Wzajemna niechęć obu mężczyzn, choć starannie skrywana, nie umknęła uwagi McCullougha. Było mu to na rękę. Obserwował ich bardzo uważnie, starał się wciągać w ostre dyskusje, jak chociażby na temat polowania w Europie i Stanach, o różnym podejściu do niego, o zwierzynie, o stosowanej broni.

- Pokaż księciu swój nóż, Jim - rzekł, pokazując w uśmiechu żółte zęby.

- Mój nóż?

Jim wydobył go z ukrytej pod połą marynarki pochwy. Obracał nim tak, że srebrna i złota inkrustacja rękojeści oraz samo ostrze połyskiwało na jego dłoni.

- Pozwoli pan? - spytał Rolfe ze wzrokiem utkwionym w nóż.

- Oczywiście - odparł Jim i podał mu.

Był to z całą pewnością unikalny egzemplarz. Do jego śmiertcionośnego, długiego na osiemnaście cali ostrza dopasowana była niewielka garda osłaniająca dłoń. Samo ostrze miało niewielkie zwężenie od środka do czubka, a zaostrome było jedynie na długości kilku centymetrów.

Rolfe ważył w dłoni nóż, starając się wyczuć jego środek ciężkości.

- Pierwszorzędna broń, podobna do *cinquedeas*, krótkiej szpady z półokrągłą lub krzyżową osłoną na dłoń. Musiał ją robić niezły majster, chociaż nie jest tak finezyjna jak klasyczna szpada.

- Zrobił ją dla mnie ze starej raszpli murzyński kowal, który był u ojca na plantacji - wycodził przez zęby Jim. - Dałbym z tego zrobić kopie, gdybym spotkał kogoś, kto by się tego podjął.

McCullough skinął głową i chytrymi oczkami spoglądał to na jednego, to na drugiego.

- A jak przyjdzie go użyć, nie ma lepszego od Jima. Ty, Wasza Wysokość, jesteś dobry w nożu, ale ten tu jest lepszy od ciebie.

Angelinę wcierała gęsi tłuszcz w popękane od szarego mydła dłonie. Na dźwięk ostatnich słów Szkota zamarła. To było wyzwanie, rzucone lekkim tonem, ale Rolfe, urażony w swej dumie, mógł się poczuć zobowiązany do podjęcia go. A taki krok był bardziej niebezpieczny, niż sądził. Wiadomo było powszechnie w tych stronach, że Jim, mimo młodego wieku, w walce na noże już niejednego posłał na tamten świat. Ale uchylenie się od walki byłoby jednoznaczne z utratą autorytetu w oczach tych wszystkich opryszków, a może nawet w oczach jego własnych ludzi.

Rolfe spojrzął na Bowiego, który z kolei przyglądał się uważnie Szkotowi.

- Niewątpliwie bardzo przydatna umiejętność, zwłaszcza tu i teraz.

- Uważasz się pewnikiem za mistrza, a może to tylko twoje ludzie tak cie nazywają. Może byś się spróbował z Jimem, tutejszym mistrzem, co?

- Żeby ci zrobić przyjemność? - spytał Rolfe. - Wprawdzie nie leży w moim zwyczaju sprawianie zawodu gospodarzowi, ale tym razem nie widzę rozsądnego powodu, by w coś takiego się zabawiać. Albo raczej stać się ofiarą tej zabawy.

- Boisz się, że przegrasz? - zawołał z ceglastymi wypiekami na twarzy Szkot, zdradzając swoje rzeczywiste zamiary. W ten sposób szukał zemsty za swoją przegraną.

- Tego nigdy nie da się wykluczyć.

- To by była walka! Jesteś to winien sam sobie, żeby pokazać, kto jest lepszy!

Rolfe z nikłym śmiechem popatrzył na Jima.

- Mamy się pociąć bez powodu? Bezmyślnie rozlewać własną krew? I to za zwiędły wianek z wątpliwych laurów?

- Nie chcę i nie szukam z panem zwady - rzekł Jim, opuszczając wzrok. Spojrzał przy tym ostrzegawczo na McCullougha. - Jedyna walka, jaką jestem naprawdę zainteresowany, to ta z Hiszpanem, z Don Pedrem.

Wypowiedź Jima przyjęto głośnymi okrzykami, gwizdami i wzajemnym poklepywaniu się po plecach. Wszyscy wiedzieli, że będzie doskonałym sprzymierzeńcem. Zaraz też zasiedli do stołu, by się wspólnie naradzić. Zaczęli oglądać mapy i opracowywać plany: brakowało tylko jednego - nie znali miejsca, gdzie ukrył się Hiszpan ze swymi ludźmi.

Angelinę nie wykluczono z narady, ale też nikt nie pytał jej o zdanie. Powróciła więc do szycia, ale nie bardzo jej szło. Niespokojna, chodziła po pokoju, dokładała drewna na ogień, podmiatała wióry rozrzucone przy ogniu, sięgała do wiadra z wodą, by się napić. Powietrze było ciężkie od zapachu jedzenia, dymu z paleniska, oparów samogonu podawanego w wielkich butlach z ręki do ręki, przepełnionych sopluczek i nie domytych ciał. Od rozpalających się polan na ogniu rosła temperatura w izbie i jeszcze bardziej gęstniało powietrze. Angelinę podeszła do drzwi i uchyliła je. Napływające powietrze było tak czyste, że otworzyła drzwi szerzej, a potem wyszła na zewnątrz i zamknęła je za sobą. Chłód nocy orzeźwiał. Złożyła ręce na piersiach i ruszyła na wewnętrzne podwórze, i dalej, aż

do stopni wiodących w dół. Tu stanęła na chwilę, wpatrując się w ciemność. Podniosła wzrok i zapatrzyła się w samotną gwiazdę, błyszczącą niczym latarnia, skroś splecione, bezlistne gałęzie drzew.

Wtedy usłyszała, jak ktoś zakasał. Pewnie któryś ze strażników, pomyślała. Nastrój prysnął. Wciągnęła głęboko w płuca czyste powietrze i ruszyła w stronę, skąd przyszła.

Nagle drzwi się otworzyły i, przy akompaniamencie podniesionych głosów, gęsto przeplatanych niewyszukanymi przekleństwami, ktoś wyszedł na podwórze. Był to Meyer. Jego potężne bary na chwilę przesłoniły wydobywające się z wnętrza światło.

- Przeziębi się pani - powiedział z wyraźną troską w głosie.

- Nie jest mi zimno - odpowiedziała.

- Nie chcemy, żeby nam pani zachorowała. Już i tak dość pani przeszła - rzekł i zanim się spostrzegła, zdjął bluzę i narzucił jej na ramiona. Otuliło ją ciepło i zapachy wnętrza, które przed chwilą opuściła. Nie pozwolił, kiedy chciała mu oddać okrycie.

- To może lepiej wejdę do środka? - spytała.

- Może za chwilę? Od kilku dni czekałem na okazję, by z panią porozmawiać, Angelinę. Ale przy Rolfie i innych, stale kręcących się przy pani, nie było to możliwe.

- O co chodzi? - spytała, gdy zauważyła, że się zawahał.

Poprawił na niej bluzę, oparł jedną rękę o mur i pochylił się nad nią.

- Obserwuję panią od chwili, gdy Rolfe sprowadził panią do nas. Podziwiam sposób, w jaki się pani zachowuje, umiejętność, z jaką przystosowuje się pani do zmieniającej się sytuacji. Często współczułem pani. Trudno mi to wyrazić...

- To bardzo miło z pana strony, ale...

- Nie. Proszę mi pozwolić skończyć. Jest pani wewnątrznie taka silna, chociaż zewnątrznie wydaje się być krucha. Chciałbym pani strzec. Może nawet coś więcej - chciałbym mieć prawo troszczyć się o pani bezpieczeństwo. Teraz i później. Wie pani, kim jestem: nieślubnym dzieckiem królewskim. Niemniej jednak coś w Ruthenii znaczę. Jako moja żona miałaby pani określone miejsce na dworze, cieszyła się poważaniem...

- Pańska żona? - spytała podnosząc wyżej głowę. - Proponuje mi pan małżeństwo?

- Właśnie. Czy pani sądzi, że mógłbym proponować pani to, co robi teraz Rolfe? Na taką zniewagę nigdy bym sobie nie pozwolił.

- Ja... przykro mi... nie dał mi pan żadnego powodu, bym mogła myśleć inaczej... spodziewać się czegokolwiek od pana.

- Okoliczności są trochę niezwykle. Rolfe z pewnością nie podziękuje mi za mieszanie się w jego sprawy osobiste: jest moim dowódcą i jednocześnie przyrodnim bratem. Ale głęboka troska o panią też nie pozwala mi milczeć.

- Mówił pan o współczuciu i podziwieniu, o niczym więcej?

- Znam wiele szczęśliwych małżeństw opartych na znacznie słabszych podstawach. Ale jeśli myśli pani o miłości - mogę ją pani dać.

Patrzyła na niego, pochylonego nad nią w ciemności, pełna własnych myśli i doznań. Proponował jej bezpieczeństwo, szacunek, dostatek. Czy mogła to odrzucić? Ale w porównaniu z pasją i radością doznań, jakie przeżywała z Rolfe'em, takie sprawy nie miały znaczenia. Były nie do przyjęcia.

- Panie Meyer, nie mogę... proszę zrozumieć. Pan mnie przecież nie zna, tak zresztą jak ja pana...

- Wiem wszystko, co trzeba, i nie spodziewam się, by się pani natychmiast zgodziła. Nie oczekuję, że pani

od razu opuści Rolfe'a i przyjmie mnie. Wiem, że on też by się z tym nie pogodził. Ale później, gdy cała ta przygoda się skończy... Będę czekał cierpliwie i ponowię prośbę.

Było jasne, że liczył, iż kiedyś, w określonych okolicznościach, Rolfe ją zostawi, a wtedy on gotów jest ją przyjąć. Powinna być mu wdzięczna, ale zamiast tego czuła jedynie dojmujący gniew.

Na odgłos otwieranych drzwi podniosła głowę i zobaczyła, że z domu wyszedł Rolfe. Zbliżał się do nich krokiem czającego się wilka, z włosami połyskującymi złotem od światła stojących z tyłu lamp.

- Twoja kolej na wartę - powiedział do Meyera cicho, ale bardzo wyraźnie.

- Tak, oczywiście - odpowiedział i natychmiast odwrócił się, by odejść.

- Poczekaj! - zawołał Rolfe. - A bluza?

Zdjął bluzę z ramion Angelinę i rzucił Meyerowi. Ten pochwycił ją w locie. Spojrzenia obu mężczyzn skrzyżowały się, po czym Meyer skłonił się nieznacznie, odwrócił na pięcie i zniknął w ciemnościach.

Rolfe ujął dłoń Angelinę i poprowadził ją w stronę tej części domu, gdzie znajdowała się sypialnia.

- Idziemy spać?

Z zimnym dreszczem, zupełnie bez związku z tym, że nie miała już na sobie bluzy Meyera, pozwoliła się poprowadzić przez pustą teraz wspólną izbę do sypialni, którą z nim dzieliła. Otworzył przed nią drzwi i poczekał, by weszła pierwsza. Pod jego badawczym spojrzeniem poczuła się nieswojo. Podeszła do łóżka i zaczęła niezdarnie zdejmować okrywający je koc.

- Pełno tu wokół zdrajców - powiedział jakby do siebie. - Rosną niczym posiew ze smoczych zębów, oferując... No, właśnie, co? Oparcie w potrzebie, poważanie, coś takiego, za czym tęskni twoja dusza...

Przestała na chwilę otrząpywać poduszkę. Nie patrząc na niego, spytała:

- Martwi cię to?

- Ależ skąd! To takie *fort amusant* w dzieciennym i tragicznym zarazem stylu.

- Rada jestem, że cię to bawi - odpowiedziała i bez mrugnięcia popatrzyła mu w oczy.

- To o to ci chodziło? Powinnaś mnie była ostrzec. A tak nie mam cię czym rozbawić. Wybaczysz mi?

- Nie!

To słowo zawisło między nimi, jak ostrze przecinające wszelkie wątpliwości: zamiast obojętności wołałaby scenę zazdrości, chociaż powodem wcale nie musiał być ktoś, z kim on ją łączył.

Wybuchnął głośnym śmiechem. Głęboka zmarszczka między oczami zniknęła mu całkowicie. I nagle znowu spoważniał.

- A może jest ich więcej?

- Kogo? Zdrajców? Nie mogę powiedzieć.

- Zapewne miałybyś ochotę wyjechać stąd z któryms z nich.

Zacisnęła wargi, spojrzała na niego spod półprzy-
mkniętych powiek, jakby się nad czymś zastanawiała.

- Tak myślisz? - spytała.

- Ja to wiem - odpowiedział, idąc w jej stronę. - Ale gdyby któryś próbował cię do czegoś zmusić, to z jego kości zrobię ci spinki do włosów, a z zębów paciorki do różańca, żebyś się mogła za niego modlić. Tylko w takiej postaci będzie się mógł do ciebie zbliżyć.

Gdyby to była deklaracja, mogłaby sprawić jej dużą radość, ale to nie było żadne zobowiązanie, żadna obietnica szczęśliwego życia ani propozycja małżeństwa.

Mogłaby mu powiedzieć o rozmowie z Jimem Bowie, który chciał ją odwiedzić do domu ciotki, albo o zdumiewającej ofercie Meyera, że poślubi ją, gdy on sam ją porzuci. Ale nie chciała niczego na nim wymuszać.

Wyglądałoby na to, że ma teraz nad nim przewagę i oczekuje od niego jasnego stanowiska. Chciała tego, ale nie tą drogą.

Co mogły oznaczać słowa, które jej powiedział, że chce jej dać miłość „świetlistą i jaśniejącą, opatrzoną pieczęciami i przewiazaną wstęgami”, gdyby tylko mógł? Czy to znaczy, że chciałby ją poślubić uroczyście, z wszelkimi ceremoniami? Czy mówiąc to wszystko chciał powiedzieć w sobie właściwy sposób, że pragnie, by została jego żoną, jeśli tylko okoliczności na to pozwolą?

Ale jakie okoliczności? Sankcjonowane tradycjami małżeństwa wyłącznie pomiędzy rodami królewskimi w celu zachowania czystości „błękitnej krwi”? Choć te sprawy w Nowym Świecie nie odgrywały już zbyt wielkiej roli, to w Europie nadal miały duże znaczenie. Niewątpliwie jego ojciec, a obecny król, spodziewa się, że Rolfe weźmie za żonę którąś z europejskich księżniczek. Takie zapewne było małżeństwo, którego owocem byli Maximilian i Rolfe. Matka Meyera to był tylko królewski kaprys...

Nie, nie mogła się spodziewać, że przyszły król Ruthenii ją poślubi.

Co więc ją czeka?

Leżała wpatrzona w ciemność, pogrążona w myślach. Obok niej Rolfe leżał bez ruchu. Instynktownie wyczuwała, że nie śpi. Wydawało się, że zamknął się w sobie, a w niej - czuła to - narastał jakiś chłód, połączenie gniewu i strachu. Jeśli chce być szczerą wobec siebie samej, to musi przyznać, że istniał inny powód, dla którego nie przyjęła składanych jej za plecami Rolfe'a ofert: gdyby się o nich dowiedział, mógłby ją, dla jej własnego dobra, odesłać do ciotki albo zmusić do przyjęcia oświadczyn Meyera, by w ten sposób uwolnić się od wszelkiej za nią odpowiedzialności. Wielce prawdopodobne, że takie rozwiązanie mogło

mu odpowiadać, jak odpowiadało jego ojcu: mieć pod ręką kochankę wydaną za męża za innego. Raczej wątpliwe, by Meyer próbował się temu przeciwstawić.

Nie, tak nie wolno myśleć! To prowadzi do cynizmu i rozpaczy, do stanu, jaki przeżywa Claire, do obrzydzenia, jakie w stosunku do siebie samej odczuwa kuzynka. To jest pułapka, której musi i której chce uniknąć, bo nikt nie odbierze jej poczucia godności, dopóki sama na to nie pozwoli. A ona tego nie robi.

Claire. Co się z nią dzieje? Co robi w tę zimną, mokrą noc? Jaki ból i poniżenie przeżywa, podczas gdy mężczyźni, którzy zamierzali ją uwolnić, siedzą tu teraz beczynn timer, tracą na próżno czas, gadają, nic nie robią? Posłano wprawdzie zwiadowców, by sprawdzili, co się z nią dzieje, ale nie wolno im podejmować działań, które mogłyby zagrozić jej życiu. Między nimi byli gwardziści, zwłaszcza Gustave i Oswald, których Hiszpan z łatwością wyprowadził w pole zaraz pierwszej nocy, znikając w dziewiczym gąszczu wraz z Claire i swoimi ludźmi. Wysiłki, by ich odnaleźć, były mizerne. Angelinę uważała, że kuzynka nie była winna wszystkiemu, co działo się z nią po jej pierwszym porwaniu. Jak długo mogła wytrzymać takie traktowanie? Ile czasu potrzeba, by stała się podobna do Alice, żyjącej w ciągłym przerażeniu?

Po powrocie do obozu McCullougha Angelinę wielokrotnie rozmyślała o tamtej nocy, gdy razem z Claire została uprowadzona. Czy niebezpieczeństwo, w jakim kuzynka znajduje się teraz, jest większe czy mniejsze od tego, przed którym uciekła? Uznała, że Claire najbardziej bała się Rolfe'a, jego sideł - chociaż nie mówiła tego wyraźnie. Angelinę nie mogła oprzeć się wrażeniu, że dziewczyna zrobiła to z rozmysłem. Co lub kto ją tak nastraszył, że zrezygnowała ze względnego bezpieczeństwa pod osłoną przywódcy opryszków?

Całą noc przewracała się z boku na bok, poszukując odpowiedzi na swoje pytania, ale rankiem nadal ich nie znała.

W piątym dniu po ich powrocie do obozu McCullougha przed bramą pojawiła się Gwiazda Poranna. Nie zsiadła z konia, czekając na deszczu i wietrze, dopóki straż nie doniosą Szkotowi o jej przybyciu. Ten, usłyszawszy nowinę, mruknął coś pod nosem, podrapał się po głowie, ale w końcu pozwolił jej wejść, a nawet sam wyszedł na spotkanie. Nikt nie wiedział, co sobie powiedzieli, bo rozmawiali szybko w chrapliwym indiańskim narzeczu, ale efekt był taki, że Indianka zsunęła się z konia i z nieruchomą twarzą, ale lekkim krokiem, weszła do domu. Udała się prosto do kuchni urządzonej wokół paleniska, gdzie spróbowała wszystkich potraw, które przygotowała Angelinę, za każdym razem obwąchując podejrzliwie chochlę, zanim dotknęła jej ustami. Niczego nie odmówiła, ale Angelinę odniosła wrażenie, iż powodem było raczej poszanowanie, jakim Indianie darzą każde jedzenie, niż uznanie dla jej umiejętności kulinarnych.

Gwiazda Poranna ulokowała się w miejscach, które uznała za swoje: w łożu McCullougha i w kuchni.

Niedługo po przybyciu Indianki do obozu zaczęły napływać różne wiadomości o Hiszpanie: że przekroczył Sabinę River promem pod Camino Real, cudem uniknąwszy wojskowego patrolu z Sabinę Camp, że pod Arroyo Hondo porwał kobietę i że jego ludzie zabili jej męża, że sam Hiszpan miał u swego boku półnągą kobietę o rudych, długich włosach, że pod Grand Ecore zabrali jakiejś kobiecie dwa najlepsze konie i ukradli bydło, że wreszcie napadł na Los Aidas, starą misję niedaleko Nachitoches, założoną przez hiszpańskich zakonników.

W końcu dotarła wiadomość, na którą wszyscy czekali: odnaleziono Hiszpana. Założył obóz na skraju rozlewiska

Pierre, zajmąwszy jakieś porzucone zabudowania. Zrobił z nich dość solidną siedzibę, co świadczyło, że nie miał zamiaru tak szybko się stamtąd ruszać.

To, że w końcu osiadł w jednym miejscu, stwarzało dużą szansę na jego ujęcie. Gustave zmienił mundur na zwykłe ubranie, by nie rzucać się w oczy, i z jednym z ludzi McCullougha, jako przewodnikiem, przeczesywał lasy. Zatrzymali się któregoś dnia w małej miejscowości na skraju rozlewiska Pierre, by napić konie i zakupić trochę żywności, i wtedy zobaczyli człowieka, który wydał im się znajomy: zapamiętywanie raz widzianych ludzi było częścią specjalistycznych ćwiczeń, jakie przechodzili gwardziści. Idąc za nim, dotarli do obozu Hiszpana. Zbadali, ilu ludzi jest w obozie, ile domostw liczy osada, dojścia do niej, gdzie i jakie są drzwi i okna. Ze zdobytymi informacjami ruszyli pospiesznie w stronę fortecy McCullougha.

Wiadomości te spowodowały, że mężczyźni kleli głośniej niż przedtem, staranniej czyścili broń, w podnieceniu klepali się wzajemnie po plecach. Minęła jednak pełna doba, zanim udało się wcześniej już przygotowane plany wcielić w czyn. Tylko nieliczni orientowali się w szczegółach wyprawy, ale wszyscy - od Rolfe'a aż po kobiety i dzieci w obozie - odczuwali jej gorączkę. Jednym z widomych oznak zbliżającej się wyprawy było zwiększone pijaństwo. Poza tym mężczyźni stali się opryskliwi i głośni, robili sobie nawzajem głupie dowcipy, nawet podczas czyszczenia strzelb. Z kątów wyciągano ogromne płachty, mające chronić przed deszczem, który zwiastowało ciemniejące niebo.

Rolfe na zewnątrz wydawał się zupełnie spokojny, ale każdy, kto nie przygotowywał się starannie do wyprawy i nie odpowiadał szybko i trafnie na pytania, doświadczał na sobie ostrości jego języka.

Angelinę wzięła płaszcz i wyszła z domu, by choć na chwilę побыć w ciszy i uwolnić się od przyprawiającego

o nudności zapachu jedzenia, samogonu i nie domytych ciał. Przez podwórze udała się na zewnątrz obejścia. Jakiś kundel warknął na nią groźnie, ale usłyszawszy jej głos i poczawszy znajomy zapach, ucichł.

Zbliżał się wieczór. W zapadającym zmroku w pewnej odległości od domu spostrzegła na drodze jasny mundur. Odetchnęła głęboko świeżym powietrzem i ruszyła w jego kierunku.

To Oscar, ze strzelbą w skrzyżowanych na piersiach rękach, stał pod drzewem na warcie. Na jej widok uśmiechnął się pogodnie.

- Mademoiselle Angelinę, przyszła mi pani umilić to nudne zajęcie? Jediną rozrywką tutaj jest oglądanie psich polowań na dzikie króliki. Nie mam gitary, bo gry zabraniają jakieś regulaminy i rozkaz samego Rolfe'a.

- A nasza flora i fauna już pana zmęczyły?

Podeszła do drzewa, pod którym stał, i oparła się o jego chropowaty pień.

- Przyjrzałem się dokładniej każdej gałązce, ale o tej porze roku niewiele można zaobserwować. A poza tym zapada noc.

- Pewnie będzie pan tutaj, gdy nadejdzie wiosna. To już za kilka tygodni. W ogrodach krzewy okrywają się kwieciami, zakwitną też śliwy i wiśnie.

- Zauważyłem, jak nabrzmiewają pąki. Dzieje się to na moich oczach. Jak na luty to przedziwne. Jeśli jednak jutro wszystko pójdzie dobrze, wyjedziemy stąd, zanim przyroda stanie w pełnej krasie.

- Wyjeżdżacie do Ruthenii? Cieszy się pan?

- Czy tu, czy tam - mnie jest wszystko jedno. Ja i mój brat idziemy za Rolfe'em. Jego radości są naszymi radościami, a jego kłopoty naszymi kłopotami. Gdzie on się zatrzymuje, tam jest nasz dom.

Prostota i szczerłość tej wypowiedzi poruszyła ją do tego stopnia, że gdy się odezwała, drżał jej głos.

- W Ruthenii czekają was jakieś kłopoty?

- Zgadza się. Może nawet większe niż tutaj. Tam jest król... - urwał, jakby się przestraszył i chciał cofnąć ostatnie zdanie.

- Gustave wspominał mi o napiętych stosunkach Rolfe'a z ojcem - powiedziała.

- A czy wspominał również o tym, że to właśnie król najbardziej życzyłby sobie śmierci naszego księcia?

Angelinę spojrzała na niego zaskoczona.

- Och nie, na pewno pan się myli. Jeśli nawet podejrzewa, że to Rolfe był przyczyną śmierci Maximiliana, z pewnością nie chce jego śmierci.

- Nie jestem tego pewien. Zawsze bardziej kochał starszego syna. Po jego śmierci oszalał. I to pod wpływem plotek, które zaczęły obiegać dwór, a które sugerowały, że Rolfe jest w tę śmierć zamieszany. Nie zdziwiłoby mnie, gdybym się dowiedział, że zamachowiec, który idzie za nami krok w krok, jest na żołdzie króla.

- Ależ to barbarzyństwo! Jeśli Rolfe jest winien, to można było go oskarżyć, wtrącić do więzienia...

- Ale wtedy wszyscy by się o tym dowiedzieli. Nie, nie, królowi bardziej by odpowiadało załatwienie tej sprawy po cichu i najlepiej poza granicami kraju.

Słowa, chociaż wypowiedane zupełnie spokojnie, były w swej wymowie przerażające.

- Ale kto podjąłby się takiego zadania?

- Zawsze znajdują się tacy, gdy w grę wchodzi tron. Pokusa jest wielka - bogactwo, a może raczej zaszczyty, którymi król może obsypywać. Zawsze się znajdzie ktoś wystarczająco przebiegły, kto zdobędzie broń i zabije - dla króla.

- Ależ, Oscar, niech pan pomyśli: jeśli zginie Rolfe, nie pozostanie żaden następca tronu w prostej linii.

- I co z tego? Stary król zawsze utrzymywał, że w porównaniu z Maximilianem Rolfe wypadał gorzej, co nie było prawdą. Ale nie można go było o tym przekonać. Król zapewne byłby w pełni zadowolony,

gdyby tron objął jego bratanek Leopold. Odsunięcie Rolfe'a od sukcesji byłoby dla niego źródłem przewrotnej radości. I byłoby wbrew woli narodu.

Milczała przez chwilę, zastanawiając się, co powiedzieć.

- Jeśli to nie zamachowiec, który idzie krok w krok za Rolfe'em i czyha na jego życie, zabił Maximiliana, to w takim razie kto to zrobił?

- Kto to może wiedzieć? Mogło to być samobójstwo, mógł to być zazdrosny mąż, porzucona kochanka, choćby nawet sama Claire.

- Nie mówi pan tego poważnie?!

- Dziwniejsze rzeczy się zdarzały. Ona nie umarła. I wydaje się śmiertelnie przerażona.

W tym względzie miał rację, niemniej jednak Angelinę nie mogła się z tym pogodzić. Istniała jeszcze inna możliwość: król miał rację, że to Rolfe, w przypływie wściekłości, zamordował brata, ale zaraz tę myśl odrzuciła. Nie wierzyła w to, nie chciała wierzyć.

Zaczęli rozmawiać o innych sprawach, ale myśl o tym, że to król ojciec posyła płatnego mordercę za swym synem, tkwiła w niej niczym żarzący się w popiele węgielek. Nawet nie chciała myśleć, że może to być prawda, ale czyż nie tak było podczas pierwszego napadu pod zamkiem, kiedy to bezskutecznie usiłował spotkać się z ojcem?

Jeśli idzie o płatne morderstwo, to teoretycznie największe możliwości w tym względzie mieli jego ludzie. Lojalność, przyjaźń, wierność często da się złamać obietnicą bogactwa, godności i zaszczytów. Wiedząc o tym, a przecież musiał wiedzieć, jak mógł komukolwiek ufać? Jak mógł się spodziewać, że sytuacja się zmieni, gdy wykryje mordercę brata? Czy naprawdę wierzył, że wtedy ojciec zacznie go doceniać, a może nawet kochać? Ten wielki wysiłek, związany z tyloma niebezpieczeństwami, może okazać się daremny.

- XVI -

Wyruszyli następnego dnia tuż po południu. Rolfe i McCullough jechali na czele z gwardią i Andre, który trzymał się bardzo blisko Oscara i Oswalda. Pozostali uformowali się w luźny szyk za ich plecami. Mężczyźni pokrzykiwali i pogwizdywali, wyjeżdżając z obozowiska. Nawet gwardziści wydawali się zadowoleni, że znowu coś się dzieje, i przekrzykiwali się z pozostałymi. Tylko Rolfe miał skupioną minę i zapatrzony przed siebie, bez radości myślał o czekającym ich spotkaniu.

Pocałował Angelinę na pożegnanie, krótko i bez słów. Wpatrywała się w niego z gardłem zbyt ściśniętym, by móc się odezwać, zagubiona w jego błękitnych oczach. Odwrócił się, wskoczył na konia i tylko w jego włosach, mimo szarości dnia, zagrały złote ogniki. Uniósł dłoń. Wyjechali z podwórza, wzbijając w powietrze tumany kurzu. Tętent kopyt końskich oddalał się stopniowo i wkrótce umilkł w oddali.

W godzinę po ich wyjeździe zaczęły padać na ziemię krople deszczu, wielkie jak łzy głębokiego smutku. Zapaliła lampę, by rozproszyc mrok. Nadchodził wieczór. Nie było przyjemnie zostać samej, bez nieustannego wchodzenia i wychodzenia ludzi, bez śladów zabłoconych butów na podłodze, bez krzyków i gwaru. Siedziała przed kominkiem, zapatrzona w płomienie, starając się zebrać rozbiegane myśli. Czuła się, jakby była zawieszona w próżni, przejęta strachem i rodzącym się gdzieś w okolicy serca bólem.

Jak to się stało, że tak przejmuje się bezpieczeństwem tego człowieka? Nie sądziła, że może dojść do czegoś takiego. Mijały dni i noce, a ona była ciągle w niewoli. Co z tego wyniknie?

Był czas, by zastanowić się poważnie nad tym, co powinna zrobić. Unikanie decyzji, odkładanie jej na później niczego nie rozwiązywało. Nawet jeśli teraz odnajdą i uratują Claire, to wcale nie była pewna, czy ciotka zechce ją ponownie przyjąć do swego domu. A jeśli nawet ją przyjmie, to jej życie i tak stanie się jednym pasmem powolnego umierania: przez swą eskapadę straciła dobre imię. W takim stanie rzeczy propozycja Jima Bowie warta była rozważenia.

Była jeszcze propozycja Meyera. Obraz życia, jaki przedstawił, gdyby została jego żoną, nie był zachęcający. Czy potrafiłaby żyć według reguł i protokołów, bez miłości, w pobliżu Rolfe'a, ale oddzielona od niego? Czy potrafiłaby żyć w Ruthenii, z dala od wszystkiego, co było jej bliskie od urodzenia? A czy wiadomość o tym, że jest utrzymanką Rolfe'a, nie dotrze wraz z nią, kładąc się cieniem na jej przyszłości, choćby nawet nie miała zamienić z Rolfe'em jednego słowa od chwili gdy stracą z oczu brzegi Luizjany?

Chyba lepiej dla niej będzie, jeśli zamiast tego porozumie się z Andre. Ostatniego tygodnia kilkakrotnie próbował porozmawiać z nią na osobności, ale zawsze coś im przeszkadzało. Skoro wie, że nie ze swej winy znalazła się w obecnej sytuacji, może zdoła pokochać ją na nowo? Tylko czy ona sama tego chce? Czy zasłużył sobie na to, by wiązać się z kobietą, która w zamian może mu zaoferować jedynie to, że go lubi? Czy będzie szczęśliwy, jeżeli nie potrafi zapomnieć o tym, że należała do innego? Chciałaby żyć w Luizjanie, wśród ludzi, którzy mówią jej językiem, pielęgnują te same obyczaje, ale czym będzie dla niej to wszystko, jeśli szczęście się od niej odwróci?

Były jeszcze inne możliwości. Matka Teresa, nawet gdy sama nie będzie mogła przyjąć jej do swego konwentu w obawie przed niezadowolaniem rodziców uczennic, potrafi na pewno wskazać jej jakiś inny klasztor, który by ją przyjął. Gdyby to zawiodło, poszuka jakiejś posady, szwaczki czy guwernantki. Tylko co będzie robiła do tego czasu? Jak zdobyć posadę bez żadnego doświadczenia, bez listów polecających, bez świadectwa moralności? To były pytania, na które w tej chwili nie potrafiła sobie odpowiedzieć.

Trzeba koniecznie coś zrobić, a przynajmniej - zaplanować. Z Rolfe'em nie może wiązać całej swojej przyszłości: uzmysłowiła to sobie w ostatnich dniach zimnej poprawności między nimi. Jej dobre samopoczucie opierało się na kruchej podstawie - jego pożądania. Jeśli mu ono minie, zostanie sama, bez znajomych i przyjaciół, w obcym kraju. Nie mogła ufać zapewnieniom Gustave'a - czy może Meyera? - że Rolfe zapewni jej dostatnie utrzymanie, nawet gdy odsunie ją od siebie. Zdawała sobie sprawę, że takie obietnice nic nie znaczą, a zresztą i tak niczego od niego nie chciała. Duma była luksusem w takiej chwili, ale to była ostatnia wartościowa karta, jaką posiadała, nie zamierzała wyzbywać się godności, zdając się całkowicie na jego łaskę.

Jakiś stukot przerwał te rozmyślenia. Zaczęła nasłuchiwać. Wydało się jej, że słyszy Gwiazdę Poranną, krzątającą się po drugiej stronie domu, przy kuchni. Odgłos upadku czegoś ciężkiego na podłogę potwierdził jej przypuszczenia. Czyżby Indianka już przygotowywała jedzenie dla powracających? Niemożliwe, by mogli wrócić tak szybko. Na pewno minie jeszcze sporo czasu, zanim się tu pojawią. Może by jej tak zaoferować pomoc w robocie, zamiast siedzieć i bić się z myślami, które i tak prowadzą donikąd?

Indianka stała plecami do drzwi, gdy Angelinę je otworzyła. Zbierała z półki miski i garnki i pakowała je

do worka leżącego obok niej na podłodze. Wielka drewniana misa z hałasem uderzyła w ścianę.

- Co robisz? - spytała ostrym tonem Angelinę.

Gwiazda Poranna odwróciła się gwałtownie z żelazną chochlą w ręku i błyskiem w brązowych oczach.

- Zabieram co moje!

- Twoje? To wszystko twoje? - Angelinę wskazała na cynowe talerze poukładane na półkach, na worki mąki i kaszy, kawy i fasoli stojące pod ścianą.

- Moje. Mam do tego prawo. Gdy przyszedłam tu ze swego szczepu, miałam ze sobą stado bydła, a także futra i wyprawione skóry, które McCullough wkrótce sprzedał. A potem odesłał mnie z niczym. Więc teraz zabieram te wszystkie rzeczy.

- Nie mogę ci na to pozwolić. Kiedy mężczyźni wrócą, muszą mieć co jeść! - zawołała Angelinę.

- Tobie też radzę: weź, co ci się przyda, i uciekaj. Nie widzę powodu, by dłużej czekać.

Uśmiech, jaki pojawił się w oczach Indianki, nie zachęcał do stawiania oporu. Angelinę poczuła nerwowe dreszcze.

- Co masz na myśli? Przecież nic się nie zmieniło. Nie mogę stąd odejść.

- To zostań. Będziesz sama, jak te kobiety tutaj, wykorzystywana do końca. Mówię ci to dlatego, że potrafiłaś uśmiechnąć się do mnie i pomagać mi jak siostra tej samej krwi. Najlepiej dla ciebie będzie, jeśli odejdziesz. Zaraz.

- Co ty knujesz?! - spytała ostro Angelinę i postąpiła krok w stronę dziewczyny. Ta cofnęła się bez strachu i dalej pakowała naczynia do worka.

- Ja? Nic takiego. Po prostu zaniósłam wiadomość do Hiszpanów. To nic wielkiego, ale sprawiło mi dużą radość. A teraz jeden z nich, zwany Don Pedro, czeka na McCullougha, jadącego na jego spotkanie.

- A co... co z innymi? - spytała Angelinę, chociaż pytanie było zbyt oczywiste, sama domyślała się odpowiedzi.

- Pułapka ma szerokie wejście - odparła Indianka. - Ale czemu ty masz się o to martwić? Przecież ci, co mają zginąć, porwali cię od twoich bliskich, prawda?

Angelinę podeszła jeszcze bliżej do Indianki, aż dziewczyna ze strachem cofnęła się pod ścianę.

- Kto, kto prosił cię o przekazanie wiadomości?!

Gwiazda Poranna wbiła wzrok w podłogę.

- Ten, który zrozumiał moją nienawiść, widział ją...

- Jak się nazywa?

- Czy to ważne? Wskazał mi, jak mogę się zemścić.

- To powiedz mi przynajmniej, czy to ktoś z ludzi księcia?

Indianka cofała się w stronę drzwi, a Angelinę postępowwała za nią.

- Różni się tu kręca. Nie znam ich wszystkich i nawet tego nie chcę, bo nie wypada kobiecie patrzeć im wszystkim w twarz. Żegnaj, Angelinę. Ja odchodzę.

Odeszła jak widmo. Rozpłynęła się w gęstniejącym mroku. Jeszcze tylko przez chwilę słychać było odgłos końskich kopyt i nastała cisza. Angelinę stała bez ruchu, z założonymi rękami, i gryzła wargi. Nie mogła zebrać myśli. Czula jedynie ogromny strach. Dobrze zastawiona pułapka, a Hiszpan trzyma w ręku jej sprężyny... Rolfe i pozostali spieszyli się, by w nią wpaść.

Ile czasu minęło od ich odjazdu? Godzina? Może. Może trochę więcej. Chcieli dotrzeć do kryjówki Hiszpana przed zapadnięciem nocy. Padający deszcz pogłębiał ciemności.

Nabrała w płuca powietrza - poczuła, jak dojrzewa w niej decyzja. Tak, już wiedziała. Ruszyła w stronę drzwi, po drodze zdjęła płaszcz z kołka, owinęła się nim i przez podwórze pobiegła w stronę stajni.

Ciemnobrazowa klacz na jej widok nastawiła uszu. Nie miała kłopotów z jej osiodłaniem. Wyprowadziła

konia na deszcz, wskoczyła na jego grzbiet, przymierzyła się do hiszpańskiego siodła i nogami ścisnęła końskie boki. Klacz zarżała cicho, podrzuciła łeb i ruszyła w stronę traktu prowadzącego w głąb Ziemi Niczyjej.

Angelinę wiedziała, dokąd i jakimi drogami jechać, bo słyszała, jak Gustave wyjaśniał wszystko Rolfe'owi. Ale nie wiedziała, że główny trakt przecinają dziesiątki pomniejszych dróg i ścieżek, używanych przez wojsko lub znanych tylko Indianom albo po prostu wydeptanych przez zwierzęta. Zapadający stopniowo zmrok nie ułatwiał rozeznania. Wzdłuż traktu nie było żadnych znaków ani domów. Nie było podróżnych. Nie spotkała nikogo, kogo mogłaby zapytać o grupę mężczyzn.

Droga uciekała pod końskimi kopytami. Ich głuchy odgłos niknął wśród bezlistnych gałęzi drzew i w splątany leśnym poszyciu. Omijała głębokie kałuże tworzące się w koleinach, przeprowiała przez strumienie i rozlewiska powstałe po ostatnich deszczach. Od czasu do czasu zatrzymywała się, by odszukać ślady tych, którzy nie tak dawno tędy przejeżdżali, ale deszcz szybko je rozmywał, tak że tylko czasem udało jej się coś dostrzec.

Zaczęła odczuwać zmęczenie, nogi jej drętwiały i z trudem utrzymywała wodze w palcach. Ale nie rezygnowała z dalszej jazdy. Koń oddychał ciężko i czuła, że słabnie. Musiała na chwilę stanąć, by go choć napić w mijanym strumieniu, zaraz jednak, mimo piany, pokrywającej jego boki, mimo pary unoszącej się nad nimi w zimnym powietrzu, ruszyła przed siebie. Nie mogła ani sobie, ani klaczy pozwolić na odpoczynek. W tym wyścigu kara za spóźnienie mogła być zbyt wysoka. Zmrużonymi oczami starała się przebić zapadające ciemności, powstrzymać nadchodzącą noc. Modliła się, by Rolfe, McCullough i pozostali nie posuwali się zbyt szybko.

Nie czuła ani wiatru, ani deszczu na twarzy. Płaszcz przesiąkł wodą i ciążył jej na ramionach. Gdzieś pod

czaszką czułą głucho uderzenia końskich kopyt, wypierające wszystkie inne dźwięki.

Do jej świadomości dotarły dopiero huki wystrzałów, przytłumionych odległością. Pochyliwszy się nad karkiem konia, przynagliła go i prosiła o ostatni wysiłek. Zwierzę ruszyło do przodu, niosąc Angelinę coraz bliżej miejsca, skąd dochodziły strzały. Gdzieś niedaleko jęknęła odbita rykoszetem kula - i wszystko ucichło.

Szałemstwem byłoby podjeżdżać do zabudowań. Po kilku krokach Angelinę zatrzymała konia, zsiadła i wprowadziła go w las. Przeciskała się przez gęszcz poszycia. Czuła coraz mocniejszy zapach butwiejącego drewna, gnijących liści i zastałej wody. Gdy znalazła się na tyle daleko, że od strony drogi była zupełnie niewidoczna, przywiązała konia do pnia i ruszyła w stronę światła lampy, widocznego wśród drzew.

Światło padało z prostokątnych okien wielkiej izby. Oświetlało ganek, podwórze i leżące ciała mężczyzn. Ramiona mieli wyciągnięte w jakimś śmiertelnym geście. Postacie były jasnożółte, spłowiałowoczerwone, szare i ciemnoniebieskie, niemal czarne. Trochę z boku, jak jasna plama, leżał ktoś w czystym białym mundurze. Z tego miejsca nie mogła dostrzec, kto to był.

Z niewielkiego, ciemnego wozu, znajdującego się w bok od okna, rozległ się strzał. Zaraz po nim drugi, ale już z bliska, z miejsca, gdzie rosła kępa wiecznie zielonych cyprysów. Ktoś przyskoczył do okna w izbie i oddał w tamtym kierunku pojedynczy strzał.

Angelinę była niemal pewna, że Hiszpan pozostawił na przynętę kilku swoich ludzi w oświetlonej izbie, a główne siły zgromadził w wozie niedaleko budynku. Gdy Rolfe i pozostali ruszyli w stronę domu i znaleźli się w kręgu światła, zostali ostrzelani niczym dzikie kaczki na tle zachodzącego słońca. Ci, których nie dosięgły kule, szukali schronienia w gaju cyprysowym. Angelinę miała nadzieję, modliła się, by Rolfe znalazł

się wśród tych ostatnich. Postać w białym mundurze leżąca w błocie na podwórzu wydawała się jej zbyt szczupła jak na księcia Ruthenii. Jednak równie dobrze światło mogło zniekształcać obraz.

Ciemność rozdarł błysk wystrzału z wąwozu w stronę gaju. Odpowiedział mu głośny okrzyk bólu - znak, że cyprysy nie stanowiły pewnej osłony. Ludzie McCullougha i gwardziści nie mogli się nawet poruszyć z obawy, by nie zdradziło ich światło padające przez bezlistne gałęzie drzew, bo wtedy ludzie Don Pedra, sami dobrze ukryci, łatwo mogli ich dosięgnąć.

Gdzie w tym zamieszaniu i śmiertelnej strzelaninie może znajdować się Claire? Czy jest w izbie, pozostawiona na wabia, by skusić Rolfe'a do podejścia? A może leży w błotnistym wąwozie z Don Pedrem, jako zakładniczka, na wypadek gdyby coś poszło nie po jego myśli. Jedno było niemal pewne: nie było jej z tymi, którzy zebrali się w gaju.

Co ma zamiar zrobić Rolfe? Bo nie spodziewała się, by jakieś zdecydowane akcje podjął McCullough czy Jim Bowie. Z zaciśniętymi rękami rozważała różne możliwości: wszystkie były ryzykowne i niebezpieczne, ale - były.

Mógł frontalnie zaatakować wąwóz, licząc na dużą skuteczność ognia gwardzistów i tych, których sam niedawno ćwiczył, by w ten sposób przełamać pozycje Hiszpana. Ale podejmując taką decyzję, musiałby się liczyć z poważnymi stratami. Mógł wycofać się kilkadziesiąt metrów w stronę pozostawionych koni, ale w tym przypadku należało się liczyć z rzezią. I była jeszcze jedna możliwość: mógł sprowokować Don Pedra do wyjścia na otwartą przestrzeń i do zaatakowania gaju.

I wtedy od strony cyprysów rozległ się niski, drwiący głos:

- Mój hiszpański przyjacielu, wyrażam uznanie dla waszej bystrości, ale skuteczności strzeleckiej pochwalić nie mogę.

- Jest wystarczająca, by cię ubić, *amigo* - rozległa się natychmiast odpowiedź.

- Nadzieja to rzecz dobra, a nawet konieczna, kiedy się leży z brzuchem w błocie, w deszczu kapiącym za kołnierz i z wodą w butach. Nie masz ochoty na piękny, pachnący cedrem parasol, trochę ciernisty, ale za to doskonale chroniący naboje przed zamoknięciem? Radzę ci, nie zwlekaj, bo inaczej deszcz cię rozbroi. A to może być przykre.

Na dźwięk tych słów, płynnych, wypowiedzianych z lekkością, Angelinę poczuła dziwną błogość.

- Rolfe - szepnęła do siebie i osunęła się na kolana: nogi odmówiły jej posłuszeństwa, a łzy zakręciły się w oczach. Grzbietem dłoni roztarła je po całej twarzy, by lepiej widzieć.

Płynące z gaju obelgi, rzucane z celowym i umiejętnym opanowaniem, spotykały się z coraz gwałtowniejszą reakcją. Od czasu do czasu padał też strzał, ale nigdy nie pozostawał bez odpowiedzi. W krótkich chwilach ciszy Angelinę słyszała dochodzące aż tutaj porykiwania krów, jakby ktoś je niepokoił. Należały zapewne do jakiegoś osadnika, który teraz przeklina opryszków za kradzież.

Naszła ją nowa myśl. Hiszpan nie wiedział, że ona tu jest. Jeśli udałoby się jej narobić trochę hałasu, mogłaby na chwilę ściągnąć na siebie jego uwagę i w ten sposób umożliwić Rolfe'owi błyskawiczny atak. Nie miała żadnej broni. W pośpiechu nie pomyślała o pistolecie czy strzelbie, zresztą nie miała pojęcia, czy coś z tych rzeczy pozostało w domu. Mogła krzyczeć, ale to nie na wiele by się zdało. Co innego, gdyby zdołała pogasić światła w izbie, ale zbliżyć się na taką odległość, by kamieniem rozbić lampę, to zbyt ryzykowne. Poza tym, gdyby Hiszpan ją pochwycił, tylko by wszystko pogorszyła, bo Rolfe zostałby zmuszony do natychmiastowego działania, by ją uwolnić.

Co więc mogła zrobić? Najlepiej byłoby wypłoszyć Don Pedra z wąwozu. Ale jeden jeździec nic nie zdołał. Trzeba by całej grupy jeźdźców, którzy zaatakowałiby go od tyłu.

Rozmyślenia przerwał jej ryk krowy. Popatrzyła w tamtym kierunku i uśmiechnęła się. Z westchnieniem ulgi wstała i spieszenie zaczęła przekradać się do miejsca, gdzie zostawiła konia.

Prowadząc wierzchowca za uzdę, szła okreśną drogą, przedzierała się przez krzaki jeżyn i nisko zwisające gałęzie. Kierowała się tam, gdzie zaczynał się wąwóz, w którym zgromadzili się ludzie Hiszpana. Oświetlone okna domu, widoczne pomiędzy drzewami, były doskonałym drogowskazem. Trzymając się go dotarła na zaplecze domostwa.

Bydło trzymane w ogrodzeniu z pali wbitych w ziemię i połączonych liną. Kopyta zamieniły cały teren w grzęzawisko. Ryki i odgłosy uderzeń rogów o rogi czyniły niesamowity tumult.

Brama zrobiona była z żerdzi zbitych w prostokąt, którego jedna strona przymocowana była sznurem do słupa w płocie. Angelinę, starając się robić jak najmniej hałasu, pochyliła się i rozwiązała sznur. Brama ze skrzypieniem otworzyła się na całą szerokość.

Bydła nie trzeba było popędzać. Angelinę musiała jedynie szybko usunąć się z koniem z drogi, gdy krowy zaczęły wychodzić przez otwartą bramę. Na wolnej przestrzeni ruszyły za Angelinę. Teraz trzeba je było skierować we właściwą stronę. Klacz, jakby wyczuła intencję swej pani, dogoniła krowę biegnącą na czele stada i zepchnęła ją na prawo od zabudowań. Tu stado rozbiegło się trochę i zmierzało wprost na wąwóz, gdzie ukryty był Don Pedro ze swymi ludźmi.

Radość rozpierała jej piersi. Wolałaby znaleźć sposób, by o wszystkim zawiadomić Rolfe'a, ale wiedziała, że i tak potrafi skorzystać z takiego obrotu sprawy. Tuż

obok wężowu skierowała konia w bok, pozwalając stadu przegalopować przed sobą. Dopiero teraz zauważyła, jak ciężko oddycha koń i jak drży. Zeskoczyła, przerzuciła wodze nad łbem zwierzęcia i pogłaskała go czule po pochylonym karku.

Zajęta koniem nie zwróciła uwagi na panikę, jaką wśród ludzi Don Pedra wywołało pędzące stado, chociaż krzyki przerażenia docierały aż tutaj. Gdy przyjrzała się dokładniej, zobaczyła, jak krowy staczają się po ścianie wężowu, inne próbują go przeskoczyć, a te, które wpadły, próbowały się z niego wydostać. Hiszpan i jego ludzie z głośnymi przekleństwami i w panicznym strachu biegli w stronę ukrytych w gaju ludzi Rolfe'a i McCullougha.

Obie grupy zwały się ze sobą z krzykiem, wyzwiskami i przekleństwami, walcząc na pięści, bo nie było czasu na ładowanie pistoletów. Walczyli w padającym przez okna świetle lamp, błyskającym i odbijającym się od luf strzelb i ostrzy noży. Walka była krwawa, ale krótka. W ciągu kilku minut krowy rycząc rozbiegły się w ciemności; niektóre z połamanymi nogami pozostały na dnie wężowu, razem z rannymi ludźmi. Pokonany Hiszpan i ci z jego ludzi, którzy wyszli cało, zostali związani i ułożeni na podłodze ganku.

Rolfe, z mokrą gołą głową, szedł w świetle lampy w stronę leżącej na podwórzu postaci w białym mundurze. Przyklęknął na jedno kolano, dotknął ramienia leżącego i obrócił go na wznak. Oscar patrzył w górę niewidzącymi oczami. Włosy koloru piasku rozsypały się wokół twarzy. Bandaż, którym miał owinięty przegub, był brudny od błota, a ręce, jakby stworzone do strun gitary, bezwładne, tak że nawet pistolet wysunął mu się z palców. Przód i bok munduru były mokre i czerwone od krwi.

- Chwała tym młodym żołnierzom - szepnął niemal niedosłyszalnie Rolfe. - Ginęli za honor i w obronie

byłe jakich spraw, za ojczyznę, a czasem za niegodnych tego ludzi, nie - za miłość. Wyniszczyli swe ciała i umysły, przewyciężyli wszystko, co można nazwać strachem - nie dla miłości.

- On cię kochał - powiedziała Angelinę, wolno podchodząc i stając u boku Rolfe'a.

Obrócił głowę w jej stronę.

- Powiniennem był powiedzieć: nie dla miłości kobiety. Chwała także naszemu aniołowi stróżowi, mokremu teraz, obdartemu i utaplanemu w błocie, ale z radością witanemu. Tylko co, u diabła, ty tutaj robisz?

- Przybyłam, by was ostrzec. Niestety, za późno.

Chociaż oczy miała pełne łez, chociaż czuła się przygnębiona śmiercią Oscara, była zadowolona. W pewnej chwili na twarzy Rolfe'a zauważyła dziwny grymas, który mógł świadczyć o tym, że czuje się winny śmierci gwardzisty. A także jej obecności tutaj.

- Czy to były twoje te słodkie wołania, które słyszeliśmy, a które powiodły trzody Zeusa, by wymierzyły sprawiedliwość w iście zeusowy sposób?

- Zrobiłam, co mogłam.

Rozejrzała się dokoła. Spozobegła Jima Bowie, jak stał oparty o słupek krużganku, ze strzelbą w skrzyżowanych rękach, pilnującego pojmanyh opryszkow. Z boku zauważyła brata Oscara, jak z twarzą ściągniętą gniewem, z pistoletem w rękę, zmierzał w stronę Don Pedra. Widziała, jak podbiegli do niego Gustave i Leopold i powstrzymywali go, tłumacząc mu coś spokojnie. Meyer na stopniach krużganku opatrywał komuś krwawiącą ranę. Dopiero po dokładniejszym przyjrzeniu się poznała, że to Andre - był trupio blady.

- Mogli cię zabić - rzekł do niej bez ogródek Rolfe.

Angelinę odwróciła się i spojrzwała na niego przełkniętą.

- Ciebie też.

- Ja potrafię się bronić, a ty...

- A mnie chroni mój spryt i... szczęśliwa gwiazda. Zresztą co za różnica? Jestem tu cała i zdrowa.

Bardzo zapragnęła, by ją objął, przytulił, ogrzał sobą, by poczuła, że jest bezpieczna. Rozumiała jego poczucie winy i odpowiedzialności, także to, że jest zdenerwowany, ale to nie poprawiło jej samopoczucia.

- Nie bądź niegrzeczna w stosunku do swego nauczyciela - powiedział łagodnie. - Poza tym, że się bałem o twoje bezpieczeństwo, chciałbym jeszcze wiedzieć, co ci strzeliło do głowy, że uznałaś za konieczne, by tu przybyć?

Już otwierała usta, by mu odpowiedzieć, ale wtedy właśnie ujął ją za ramię i poprowadził do izby. Gdy znaleźli się w środku, podszedł do pieca i umiejętnie rozniecił duży ogień. Kiedy płomienie ogarnęły polana, zdjął jej z ramion przemoknięty płaszcz, wziął z łóżka koc, otulił ją i usadowił na krześle tuż przy piecu. Dopiero wtedy pozwolił jej mówić.

Kiedy ciepło przeniknęło jej przemoczone ubranie i dotarło aż do zziębniętej skóry, poczuła lekkie dreszcze, ale nie chciała, by wyczuł to w jej głosie. Kosztowało ją to sporo wysiłku, toteż opowieść nie była długa.

- Jesteś pewna, że Gwiazda Poranna nie powiedziała nic, co pomogłoby nam ustalić, kto ją do tego namówił? - spytał i nachylił się do ognia, nie zważając na gorąc buchający z pieca.

- Jestem pewna. Zresztą miałam dużo czasu, by się nad tym zastanawiać, gdy tu jechałam.

Minęła chwila, zanim znów się odezwał, ale jego słowa nie miały już nic wspólnego z tym, o czym dotychczas rozmawiali.

- Oscar został ranny w bok, z prawej strony, trochę z przodu.

Spojrzała na niego pytająco. Zaskoczenie z wolna znikało z jej twarzy; w to miejsce pojawiało się przerażenie.

Hiszpan i jego ludzie znajdowali się na lewo od izby, gdy gwardziści się do nich zbliżali. Ludzie Rolfe'a, dobrze wyszkoleni, nigdy nie podchodzili do takiego miejsca w zwartym szyku - robili to zawsze w małych grupkach i z różnych stron. Oscar, sądząc po miejscu, w którym leżał, był w grupce atakującej od frontu. Znaczyło to tyle, że w trakcie ataku strzelił do niego ktoś z tyłu. Po namyśle, z ociąganiem, musiała pogodzić się z myślą, że nie był to przypadek.

Czy Rolfe kogoś podejrzewał? Ból w głębi jego oczu był niejako odpowiedzią na to pytanie: domyślał się, ale pewnie nie wiedział, co zrobić. Może w ciemności pomyłono go z Oscarem? A może było to działanie celowe, może Oscar coś wiedział, zobaczył albo się domyślał?

Angelinę spojrzała na Rolfe'a: przypuszczenia Oscara, że król mógł wynająć mordercę, stawały się coraz bardziej prawdopodobne. Ale na widok jego stępałych rysów nie miała odwagi się odezwać. Miał teraz dość kłopotów i podsuwanie mu dodatkowo myśli, że ojciec ucieszyłby się na wieść o jego śmierci, uznała za zbyt bolesne. Martwił się o nią w chwili desperackiego ataku, ogrzał ją i troskliwie okrył, wyjawiał jej swe najskrytsze myśli. Nie mogła mu za to odpłacić tak strasznym podejrzeniem.

Zamiast tego spytała:

- A co z Claire?

- No, właśnie. Zobaczymy, co do powiedzenia na ten temat ma nasz hiszpański przyjaciel.

Jeśli Don Pedro sądził, że o swoje życie będzie się mógł potargować, rzucając na szalę posiadane informacje, to się mylił. Rolfe od razu wybił mu to z głowy. O jego życiu czy śmierci miał zdecydować McCullough.

Don Pedro, klnąc i złorzecząc, szybko się załamał. Powiedział, że Claire w krótkim czasie stała mu się ciężarem. Za konia z siodłem sprzedał ją komuś na

ulicy w Los Adais. Nabywca, zawodowy szuler, nie miał stałego miejsca pobytu. Wyglądało na to, że jest w drodze do Natchitoches, ale tylko jeden Bóg wie, czy mówił prawdę.

Potem wypadki potoczyły się już bardzo szybko. Oscar został pochowany przy świetle latarni. Grób oznaczono naprędce zbitym krzyżem. Rolfe i gwardziści zarekwirowali zapasy Hiszpana i załadowali je do sakw. Jim Bowie zaraz po skończonej walce musiał podjąć dalszą podróż, a że i tak miał jechać do Natchitoches, ofiarował się być przewodnikiem, co przez wszystkich zostało przyjęte z radością. Andre z Angeliną wracali do fortecy Szkota. McCullough miał tam ruszyć trochę później. Powodu opóźnienia nie wyjawiono, ale przyczyna była jasna: trzeba było coś zrobić z ciągle jeszcze związanymi ludźmi Don Pedra i z nim samym.

Angelinę, na polecenie Rolfe'a, wyłączono z ceremonii pogrzebowych Oscara: pozostała przy ognisku i wysuszyła sobie dokładnie ubranie. Gdy mężczyźni byli gotowi do drogi, rzuciła z siebie koc, którym była dotychczas okryta, i założyła suchy płaszcz. Rolfe podszedł do niej i narzucił jej na ramiona podgumowaną pelerynę.

- Nie dawaj mi tego - powiedziała dość obcesowo i zdjęła okrycie. - Sam zmokniesz.

- To nie moje. To Oscara. Już jej nie będzie potrzebował, więc nie masz co marudzić. A zdjął ją z siebie, nim zaczęła się strzelanina.

Spojrzała mu prosto w oczy.

- Ja... to znaczy... chciałabym, żebyś mi pozwolił... jechać z tobą do Natchitoches.

- Obecność Claire jest tam co najmniej wątpliwa i bardzo możliwe, że będziemy musieli pojechać dalej. I co wtedy?

- Ale Don Pedro przysiągł...

- To taka przysięga nieboszczyka i w dodatku, jak twierdzi McCullough, takiego, który nie dostanie się

do raju. Poza tym to bardzo długa i męcząca droga, jazda przez całą noc, bez odpoczynku.

- Jeżeli ty dasz radę, to ja też.
- Naprawdę tego chcesz, szczerze?

W jego oczach dostrzegła ciepło, aż dziwna błogość ogarnęła jej skołowane serce.

- Chciałabym spróbować...
- Wiem, ale nie mogę na to pozwolić. Jedź z Andre.

Tak będzie najlepiej.

W jego spojrzeniu nie było już śladu ciepła. Pochyliła głowę. Patrzył na nią przez kilka denerwujących sekund, a tymczasem inni zaczęli się już zbierać przy piecu, szukając jedzenia i czegoś do picia. Nagle podszedł do niej, przygarnął do siebie i pocałował prosto w usta. Mundur miał mokry, ale ta wilgoć pachniała świeżością nocy i ciepłem bliskiego mężczyzny. Pocałunek był dziwnie zaborczy, miał posmak traconej nadziei. Kiedy ją puszczał, wyglądało to tak, jakby się wahał, co zrobić. Dopiero po chwili odwrócił się i cofnął o krok.

Kilkoma słowami rozkazu zebrał swych ludzi wokół siebie. Wyszli z izby razem z Angelinę i Andre. Konie były już okulbaczone. Gustave pomógł jej wskoczyć na siodło. Z lejcami w ręku czekała, aż Andre, z ręką na temblaku, dosiadł swego konia. Potem otoczyli ją gwardziści. Nie widziała, czy dał im jakiś znak. To nie miało teraz znaczenia. Jej niedawny wielbiciel podjął wodze i wyprowadził konia z podwórza, spośród żegnających ją gwardzistów, jęczących i klnących ludzi Don Pedra, siłą stawianych teraz na nogi i prowadzonych w stronę wielkiego dębu, przez którego konary ludzie McCullougha już przerzucali powrozy.

Przez ramię popatrzyła w stronę, gdzie stał Rolfe - on też na nią patrzył. Aż do chwili, kiedy podszedł Meyer i ujął go za ramię. Obrócił się gwałtownie i szarpnął, wodze. *Garde du corpse*, teraz już tylko

czterooosobowa, oraz Jim Bowie, ruszyła przed siebie. Rozciągnęli się jak klucz dzikich gęsi, jadąc w kierunku przeciwnym niż ona.

Jeszcze przez chwilę widziała ich błyszczące od wody kapelusze, aż straciła ich z oczu.

Odwróciła twarz. Z każdą minutą zwiększała się odległość między nią i księciem Ruthenii. Była bardzo nieszczęśliwa, bolały ją niewypłakane łzy. W piersiach czuła nieznośny ciężar. Zupełnie jakby z oddalającym się mężczyzną łączyła ją niewidzialna nić, która z każdym krokiem napinała się coraz bardziej i która wreszcie pęknie, bo pęknąć musi. Ta chwila nadeszła: pozwoliła łzom swobodnie spływać po twarzy i mieszać się z padającym deszczem.

Andre jechał obok niej jak cień. Słyszała, jak o rondo jej kapelusza biły krople deszczu. Słyszała, jak kopyta ich koni miesiły błoto rozmiękłego traktu. Była zadowolona, że jest noc, że pada - nie musiała rozmawiać. W myślach jeszcze raz przeżywała pożegnanie z Rolfe'em i gwardią i usiłowała przekonać samą siebie, że nie było to pożegnanie ostateczne.

Ro%dt(iał XVII

Dym unosił się w powietrze ciemną smugą, mieszając się z szarością wstającego poranka. Kobiety z twarzami czerwonymi od płaczu i gorączki krzątały się tu i tam, starając się ocalić, co ocalić było można. Dzieci siedziały zbite w gromadkę pod osmolonymi drzewami. Jakaś dziewczyna z czarnymi warkoczami i wybitym przednim zębem nabierała wodę ze studni: wiadro, którym czerpała wodę, zdawało się jedynym całym naczyniem w obejściu.

Angelinę i Andre, nie schodząc z koni, przyglądali się temu, co do niedawna było fortecą McCullougha, Nie ocalał żaden z domów ani budynków gospodarczych. Wszystko było wypalone do fundamentów. W zasięgu wzroku nie widać było żadnego żywego inwentarza, z wyjątkiem obskubanego koguta z ubłoconym, rdzawym i zielonkawym upierzeniem, grzebiącego w miejscu, gdzie stała stajnia.

Andre podjechał do stojącego samotnie blondynka.

- Zrobili to złodzieje Indianie - odpowiedział na pytanie Andre. - Napadli na nas o północy pod wodzą kobiety McCullougha. Czego nie zabrali ze sobą, to spalili lub potłukli. Mama mówi, że musimy się stąd wynieść gdzie indziej, przynajmniej do czasu, aż zbuduje się nowe domy.

Chłopiec w locie chwycił centa, którego rzucił mu Andre.

- I co, Angelinę?

Zdobyła się na nikły uśmiech.

- Jeśli pytasz, co mam zamiar zrobić, to muszę ci odpowiedzieć, że nie wiem.

- Myślę, że McCullough znajdzie jakieś schronienie, chociażby to, które opuściliśmy. Tylko że musi tam zabrać te kobiety i dzieci. A na dębie, jak zgniłe owoce, wiszą ludzie Don Pedra. Wcale też nie jest pewne, czy wyjeżdżając, nie podłożyli pochodni pod dachy.

Angelinę zamyśliła się. Obraz przedstawiony przez Andre wydawał się bardzo prawdopodobny.

- A czy jest inne wyjście?

- Możesz pojechać ze mną do Nowego Orleanu, do mojej matki.

Madame Delacroix spędzała zimę w tym mieście nad rzeką. Zawsze na koniec stycznia zamykała dom w St. Martinville i przeprowadzała się do miasta, zabierając ze sobą pełne wozy sreber, porcelany, kryształów, a także kufry z ubraniami i pościelą, puchowe materace i poduchy, beczki wołowiny i wieprzowiny, marynowane figi, jabłka, gruszki i morele. Do tego cały zestaw galaretek i powideł. Zupełnie, jakby jej dom przy Rue St. Annę nie był doskonale zaopatrzony w żywność i sprzęty, przewietrzony i wysprzątnany, aż błyszczało.

- To... to bardzo ładnie... z twojej strony, ale niemożliwe. Niepotrzebne.

- Komu niepotrzebne? Mnie bardzo potrzebne. Kocham cię, Angelinę, i chciałbym się tobą opiekować. Cierpię, widząc, że nie masz nikogo, do kogo mogłabyś pójść, ani miejsca, gdzie mogłabyś się zatrzymać. Gdzie mogłabyś się przyzwoicie ubrać. Jedź ze mną, błagam.

- Nie chcę być nikomu ciężarem - odpowiedziała zgębiona. Patrzyła na kobietę, która otrzepywała z popiołu kawałek szynki, wydobyty spod gruzów. Jej okrzyki radości ściągnęły uwagę pozostałych kobiet, które teraz biegły w jej stronę.

- To nie byłby żaden ciężar. Moja matka zajęłaby się tobą i zrobiłaby to z radością, wiedząc, że będziesz jej synową.

Spojrzała na niego zaskoczona.

- Chciałbyś się ze mną ożenić? Po tym wszystkim?

- To moje największe pragnienie.

Jeszcze jedna propozycja. Musiała chyba wyglądać bardzo mizernie, skoro budziła w mężczyznach takie opiekuńcze uczucia. Ale wcale tak się nie czuła. Czuła się pełna życia i mocy. Choć może akurat teraz nic na to nie wskazywało. Tylko Rolfe wzbraniał się przed daniem jej swego nazwiska. Tylko on.

- Pomyśl, Angelinę, *ma chere* - mówił dalej, gdy mu nie odpowiedziała. - Co się stanie, jeśli księżę po ciebie nie wróci? A co będzie, jeśli... jeśli będzie... dziecko?

Podniosła głowę; na policzki wystąpiły jej rumieńce.

- No właśnie. Co wtedy?

- Będzie nosiło moje nazwisko i będę je kochał z miłości do ciebie. I nigdy - przysięgam! - nie będę ci tego wypominał ani do tego wracał.

- Jesteś aż nazbyt dobry, Andre. Ale i tak nie mogę...

- Dobry?! - zawołał. - Proszę cię, błagam, zgódź się. Zawsze ceniłem sobie twoją przyjaźń i podziwiałem twoją odwagę, twoją szlachetność i urodę. Ale nigdy nie zdawałem sobie sprawy, jak jesteś mi droga, dopóki nie zobaczyłem, jak podczas tych ostatnich tygodni potrafiłaś wznieść się ponad zło...

Ledwo słuchała tego, co mówił.

Podejrzewała, że może być w ciąży. Straciła rachubę dni i tygodni. Wiedziała, że ostatni okres miała jakieś dwa tygodnie przed przyjęciem u Madame Delacroix. Była zadowolona, że teraz nic się jej nie zdarzyło, bo w tych warunkach byłoby dość trudno sobie poradzić. Ale gdzieś w głębi duszy czuła strach - ciągły i nękający. Ostatnio zaczęły jej dokuczać zapachy, czasem czuła mdłości, były też inne, mniej wyraźne oznaki.

Co w tej sytuacji powinna zrobić? Pójść nie wiadomo dokąd z McCulloughem, kiedy tu powróci, wierząc, że Rolfe ją odnajdzie, zanim Szkot nabierze odwagi i spróbuje wziąć ją siłą, w czym tylko Rolfe mógł mu przeszkodzić? Rolfe wierzył, że Szkot będzie się bał odwetu, dlatego nie złamie danego słowa w obecności Andre. Ale jeśli ona odrzuci propozycję Andre, to co go tu zatrzyma?

Zsunęła z głowy kaptur i palcami odgarnęła włosy.

- Czy moglibyśmy zsiąść z koni? Czuję, że muszę się trochę przejść. Może przejdzie mi ból głowy...

- Czemu mi wcześniej nie powiedziałaś?! - zawołał i zeskoczył z konia; podbiegł, by jej pomóc zsiąść. - Konie zresztą też potrzebują odpoczynku, trzeba je napoić i nakarmić. Obawiam się, że oprócz wody, niczego tu nie dostaniemy. Tobie też przyniosę.

Angelinę podeszła do grupki kobiet i zaczęła rozmawiać z tymi, które już tu wcześniej poznała. Wydawały się dość nieufne i urażone tym, że zniknęła na tę tragiczną noc, a one pozostały same. Opowiedziała im, co się wydarzyło, a widząc nadchodzącego Andre ze srebrnym kubeczkiem w ręku, przerwała opowieść i ruszyła na jego spotkanie.

Podał jej kubek. Ze zmarszczonym czołem popatrzyła na mętny płyn.

- To proszek na ból głowy. Wypij. Zaraz przyniosę ci wody do picia.

Wstrzymując oddech, przełknęła pierwszy łyk: płyn był bardzo gorzki.

- Nie jest zbyt mocny?

- Możliwe, bo jest to dawka zalecana dla mnie, na moją ranę.

Poklepał po karku stojącego obok konia.

- To Rolfe dał go Meyerowi z przeznaczeniem dla mnie, więc na pewno jest dobry.

- Też tak myślę - odrzekła, choć odczuła przy tym dziwny niepokój.

Wypiła resztę lekarstwa i oddała kubek. Biorąc go od niej, ukradkiem spojrzął na drogę w kierunku, skąd przybyli.

- Ty też powinieneś je zażyć - powiedziała.

- Oczywiście, za chwilę.

Odwrócił się i szybko poszedł w stronę studni. Widziała, jak przyglądał się wiadru, którym czarnowłosa dziewczyna czerpała wodę, potem zanurzył kubek i wrócił. Kiedy wypita wodę, wziął naczynko i wypłukał je dokładnie. Następnie wyciągnął ze studni jeszcze jedno wiadro wody i napił się sam. Angelinę nie zauważyła, by wziął lekarstwo: pomyślała, że może podał jej ostatnią dawkę, jaka mu została. Te wszystkie poświęcenia dla niej zaczynały ją irytować: Meyer dał jej swoją kurtkę, Andre - lekarstwo, Oscar - pelerynę. No właśnie, miły, spokojny Oscar, który tak cudownie wygrywał cygańskie melodie na gitarze, już nie potrzebował peleryny....

Myśli zaczynały się jej plątać. Nogi stawały się ciężkie, jak z ołowiu, aż musiała się oprzeć o resztki płotu, do którego przywiązali konie. Andre kręcił się wśród dzieciaków, rozdając im jakieś drobniaki. Nie - teraz zbliżał się do niej, kołysząc się jakoś dziwnie; dwaj chłopcy, idący za nim, też się kołysali. Kołysały się drzewa gdzieś w głębi za nimi. Zrobiła niepewny krok w ich stronę...

Pochwycił ją w pół podtrzymując, pół niosąc, oparł znowu o płot. Chłopcy szybko podeszli z końmi.

- Bardzo mi przykro, Angelinę - szepnął - ale nie widziałem innego sposobu...

Uniósł ją i nie zważając na ból w zranionym ramieniu, zarzucił sobie na plecy, stanął na środkowej żerdzi płotu i używając jej jako stopnia razem ze swoim ciężarem dosiadł konia. Umieścił ją w siodle przed sobą. Siedziała bez ruchu, z policzkiem wspartym o jego pierś. Ścisnął udami konia. W chwili gdy ten ruszył, ciężkie powieki opadły jej na oczy i zasnęła.

Poranne słońce wlewało się złotą strugą do pokoju. Jego ciepło wypierało z wolna chłód nocy. Niewielki ogień na marmurowym kominku przydawał wnętrzu przytulności. Angelinę leżała w łożu z baldachimem, ozdobionym rzeźbionymi liśćmi akantu. Opierała się o zagłówek, obleczony białą powłóczką z koronkami, otoczona pękatymi poduchami w satynowych poszewkach, obrębionych szydełkiem i pokrytych haftem. Po jednej stronie łoża, na niskim mahoniowym stoliku leżała błyszcząca, srebrna taca. Na niej stał dzbanek z cieniutkiej porcelany z aromatyczną czekoladą, kubek, talerz z gorącymi bułeczkami, nakryty lnianą ściereczką, oraz niewielki bukietek narcyzów w srebrnym wazoniku. Zapach kwiatów mieszał się z zapachem czekolady i wypełniał cały pokój. Mieszalinę zapachów uzupełniała delikatna woń ziół, wydobywająca się ze szklanej czary stojącej na kominku i podgrzewanej jego ciepłem.

Wyciągnęła rękę po dzbanek z czekoladą i nalała sobie do kubka. Nigdy w życiu tak jej nie rozpieszczano, nawet gdy była chora. Z troskliwości, jaką ją tu otoczono, można by wywnioskować, że jest co najmniej obłożnie chora. Od trzech dni, jakie minęły od jej przybycia, nie pozwalano jej wstawać z łóżka. Dostała najnowsze pisma z Paryża, zestaw powieści i co rusz podsuwano jej jakieś smakołyki, aby tylko nabrała apetytu. Pani domu od czasu do czasu wpadała do niej na chwilę, ale większość czasu spędzała sama - miała odpoczywać i nabierać sił.

Z początku była zbyt wyczerpana, by robić cokolwiek innego, niż pozwolić, by otoczono ją luksusem. Była tak słaba, że nawet nie sprzeciwiała się, kiedy służąca Heleny Delacroix ją kapała, myła jej włosy jak dziecku i czesała. Otumanienie spowodowane nie tylko przemęceniem było dla niej w jakimś sensie zbawienne.

Niewiele pamiętała z drogi do Nowego Orleanu. Zanim się przebudziła po zażyciu proszków od bólu głowy, był już jakieś dwanaście godzin drogi od granic Ziemi Niczyjej. Leżała w łóżku ustawionym na wozie, który Andre skądś wypożyczył. Stanowczo odmówił zawrócenia z drogi, a ona sama była zbyt słaba, by to na nim wymóc. Gdy spróbowała stanąć na nogi, upadłaby, gdyby jej nie podtrzymał.

Jechali całą noc i cały następny dzień. Andre miał zapadnięte i podkrążone z przemęczenia oczy i wymiżerowaną twarz. W końcu zatrzymali się na jakiejś plantacji. Andre nie znał właścicieli, niemniej dostali jedzenie i posłanie w pokoju na zapleczu domu, przeznaczonym specjalnie na takie okazje. Tacy goście na tym szlaku nie należeli do rzadkości. Andre spał na zewnątrz pod wozem, zawinięty w derkę. Angelinę zajęła jedyne łóżko w pokoju. Nie dowiedzieli się, co o tym myśleli gospodarze, gdyż o pierwszym brzasku ruszyli w dalszą drogę. Po spokojnie przespanej nocy Angelinę poczuła się lepiej, ale odurzenie jeszcze nie minęło i było jej wszystko jedno, z kim i dokąd jedzie.

W pełni odzyskała świadomość dopiero, wtedy, gdy po kilku dniach podróży dotarli do domu Delacroix w mieście i stanęła przed obliczem Madame Helenę, matki Andre. Na jej wypiełgnowanej twarzy odbiło się wyraźne przerażenie. Najwyraźniej poraził ją opłakany wygląd Angelinę w niechlujnej sukience, obszarpanym płaszczu, z potarganymi włosami. Andre wyglądał podobnie. Co by to było, gdyby świadkiem ich przyjazdu był ktoś z przyjaciół? Gdyby zobaczył wehikuł, którym przyjechali?

Tiens! Lepiej o tym nie myśleć! Dopiero później zauważyła, że syn ma rękę na temblaku, i zaczęła się dopytywać, jak to się stało i kiedy.

Angelinę popijała czekoladę, przyglądała się tapetom w misterne wzory, zasłonom z różowego jedwabiu,

podwiązany plecionym sznurem, firankom tak delikatnym jak pajęczyna, wypolerowanej podłodze, wyścielonej kilimami w odcieniu różu, żółci i zieleni. Dom był przykładem doskonałej mieszaniny hiszpańskiego stylu budownictwa i francuskiej ornamentyki. Frontem zwrócony był do ulicy Vieux Carre, „starego skweru”, w samym centrum najstarszej dzielnicy miasta. Miał osiem pokoi, wszystkie na piętrze, tak że nie docierał do nich hałas i kurz uliczny. Parter przeznaczony był na mieszkania dla służby, a także na magazyny i komórki. Na tyłach domu znajdowało się piękne podwórze w stylu mauretańskim, z fontanną pośrodku, z żywopłotami z rododendronów wzdłuż ścieżek wyłożonych cegłami.

Wnętrze urządzone było w stylu paryskim. W pokoju, w którym leżała Angeline, znajdowała się toaletka, z jednej strony ozdobiona mosiężnym lichtarzem, z drugiej - obrazkiem pasterek z trzódką kóz. Szafy ukryto za koronkowymi zasłonami, a w witrynach stały kolekcje kufli ze srebrnymi pokrywkami oraz leżały szczotki i grzebienie o srebrnych rączkach. Obok na ścianie, w srebrnej ramce, wisiał miniaturowy portret Andre.

Andre. W czasie podróży był uosobieniem uprzejmości i troskliwości. Nie było rzeczy, której by nie zrobił, by zapewnić jej wygodę i spokój. Z jednym wyjątkiem: powrotu do McCullougha. Przepraszał za to, ale w swym postanowieniu był niewzruszony. Ani łzy, ani groźby nie zdołały zmienić jego decyzji. Martwiła go jej apatia po dwóch dniach i nocach nieustannej podróży, ale sam udawał radość i zadowolenie, chociaż ramię z pewnością sprawiało mu straszny ból przy powożeniu.

Ale chwilami była mu niemal wdzięczna za wymuszenie na niej tej podróży. Nie znaczy to, iż wybaczyła mu, że ją odurzył, ale jej niezdolność do podjęcia jakiegokolwiek decyzji paraliżowała każdy jej krok. Pójście za Andre było obraniem drogi z nakazu rozsądku

i wcale nie miała pewności, czy sama zdecydowałaby się na taki krok, na odejście od Rolfe'a. To przecież on sam odesłał ją, bez jednego słowa, czy i kiedy po nią wróci. Choć nie powiedział też, że tego nie zrobi.

Delikatne pukanie do drzwi sprawiło jej ulgę: pozwoli choć na chwilę oderwać się od zakłętego kręgu myśli.

- *Entrez!* - zawołała w stronę ozdobnych drzwi z chińską klamką.

Helenę Delacroix wkroczyła do pokoju w eleganckiej atłasowej sukni, lamowanej falbanką z morelowego jedwabiu, z fryzurą okrytą frymuśnym stroikiem ze wstążek i koronek. Za nią postępowała jej osobista służąca, z miną i manierami pielęgniarzki na pierwszym dyżurze, niosąc cały stos przewieszonych przez ramię sukien.

- *Bonjour, ma chere!* Mam nadzieję, że dobrze spałaś.

- O tak, cudownie!

Do północy przewracała się w łóżku, niespokojna gonitwą myśli i... brakiem ruchu na powietrzu. Ale o tym nie wypadało przecież mówić.

- To dobrze. Skoro czujesz się dość wypoczęta, może przymierzyłabyś coś?

- Nie wiem...

- Tylko musisz mi wybaczyć, *chere*. Moja córka absolutnie nie miała gustu w tym zakresie, a nie pozwalała sobie doradzać. A ja zawsze tak pragnęłam ubierać kogoś według własnej wizji!

- Mam ubranie... - odrzekła Angelinę.

- Tę szarą sukieneczynę? Nadaje się do spalenia i tak właśnie zrobiłam - powiedziała to jakby z poczuciem winy.

- Spaliła pani moją jedyną suknię? - spytała Angelinę z niedowierzaniem.

- Zapewniam cię, że to najlepsze, co można było z nią zrobić. Każdy, kto by cię w niej zobaczył, wzięłby

cię za pokutnicę. Do tego nie mogę dopuścić. Powinnaś wyraźnie pokazać, że nic cię nie obchodzą jakieś pokątne poszeptywania. To jedyny sposób na ludzi...

- Zupełnie możliwe, ale jedynie w przypadku, gdybym miała zamiar pokazywać się w jakimś towarzystwie. A nie chcę tego robić...

- Nie pokazywać się?! Fatalnie, *ma chere*, fatalnie! Wszyscy będą zaraz mówili, że pewnie masz coś do ukrycia.

Gdy tylko Madame spojrzała na twarz Angelinę, powstrzymała się od dalszej tyrady. Dopiero po chwili zaczęła mówić, już spokojnie.

- Nie myślę ci czegokolwiek narzucać. Ale musisz, *chere*, wiedzieć, że tu wszyscy dowiedzieli się o twoim porwaniu przez księcia. Jak długo jestem w mieście, tylko o tym się mówi. W tym sezonie jest to główny temat spotkań towarzyskich.

- W takim razie tym bardziej nie będę się nigdzie pokazywała - powiedziała Angelinę, odstawiając z hałasem kubek z czekoladą i odsuwając tacę.

- Będziesz musiała. Nie możesz się wiecznie ukrywać. Ale ja będę cię osłaniać. Szepnę kilku, ale naprawdę tylko kilku zaufanym osobom, że wszystko, co się na ten temat mówi, to gruba przesada, że Andre, twój prawie narzeczony, ruszył ci na ratunek i zdążył na czas. Potem ogłosi się zapowiedzi i wszyscy w to uwierzą, bo nie przyjdzie im nawet do głowy, że mój syn mógłby sobie wziąć za żonę dziewczynę o podejrzanym reputacji. To wszystko głupstwa. Dlaczego Andre miałby się z tobą nie ożenić, skoro cię kocha? A ludzie zawsze potrzebują trochę sensacji.

Angelinę spojrzała jej w oczy.

- O nie, Madame! To trochę za szybko. Jak dotychczas, między nami nie było żadnej rozmowy na temat ślubu czy małżeństwa.

Przez chwilę na twarzy Madame dał się zauważyć wyraz zadowolenia. Ale zaraz zastąpiło go współczucie i zatroskanie.

* - Andre powiedział mi, że tak będzie. A ponieważ opowiedział mi pokrótce całą historię - wydaje mi się, że tak byłoby najlepiej.

- Wzięłby na siebie zbyt wiele.

- Nie powinnaś mieć mu za złe, że zwierzył mi się z miłości do ciebie i poprosił o pomoc i radę. Zawsze wiedział, czego chce, i zawsze to osiągał.

- Nie wątpię - odpowiedziała Angelinę i sztuczny uśmiech wykrzywił jej wargi. - Ale nie mogę pozwolić, by moje życie układał według swego uznania.

Twarz Madame Delacroix była śmiertelnie poważna, gdy zwróciła się w stronę Angelinę.

- Co innego możesz zrobić, *chere*? Nie wiem, czy zdajesz sobie sprawę, jak potoczą się wydarzenia, jeśli nie postąpimy tak, jak mówię. Zrobię wszystko, co mogę, ale obawiam się, że bez ślubu, i to możliwie szybko, twoje życie stanie się jednym pasmem udręki.

- Na to nie można nic poradzić.

Matka Andre przez chwilę patrzyła na Angelinę. W końcu wzruszyła ramionami.

- Pozostawiam tę sprawę tobie i Andre, ale ostrzegam cię, jego niełatwo jest odwieść od raz podjętej decyzji. A póki co, nie możesz nago chodzić po domu, bez względu na to, czy będziesz się udzielała towarzysko czy nie. Zechciałabyś popatrzeć, co ci przyniosłam?

Mówiła to tak zdecydowanym tonem i tak rozsądnie, że skrajną głupotą byłoby się z tym nie zgodzić.

Służąca, Murzynka, o miłych kształtach, szczerym uśmiechu, w niewiele mniej ozdobnym stroiku niż ten, jaki miała na głowie jej pani, podeszła do łóżka i ułożyła na nim kolorowy niczym tęcza stos jedwabi i aksamitów, satyn i batystów. Widząc taką obfitość strojów, Angelinę zawołała zachwycona:

- Czy to nie za dużo?!

- No cóż - odezwała się Helenę smutnym głosem. - Przytyłam trochę w tym sezonie, a wszystko to szyto w Paryżu na moje zeszłoroczne wymiary. Chociaż bym chciała, nie mogę się w nie teraz wcisnąć. A Ceci nawet nie chce na nie patrzeć. Więc może ty...

Ceci to była siostra Andre, dobra przyjaciółka Angelinę, chociaż trochę od niej młodsza.

- Czy Ceci jest tutaj?

- Nie. Znałaś może kiedykolwiek bardziej irytującą dziewczynę? Na dwa tygodnie przed naszym tu przyjazdem nabawiła się ospy wietrznej. Ależ nas wystraszyła! To przecież mogła być ospa zakaźna, rozumiesz? Pozostanie z ojcem na plantacji, aż zginą jej krosty. Obawiam się, że na przyszły rok musi mieć własną lożę w teatrze. Ale dość tego. Przymierz tę sukienkę. Myślę, że po drobnej przeróbce będzie dla ciebie dobra.

Stroje wymagały wprowadzić gruntowniejszych zmian, niemniej jednak po dniu pracy Angelinę pokazała się ubrana z wyszukaną prostotą w brązowy żakiecik narzucony na jedwabną, zieloną suknię z podniesioną talią i dużym dekoltem na plecach, zwężającym się tuż przy eleganckiej stójce wokół szyi, z bufiastymi rękawami lamowanymi koronką. Obcięła włosy nad czołem, jedynie modne w tym sezonie spiralne loki opadały z boku, okalając twarz. Na nogi założyła eleganckie buciki z delikatnej skórki, na wysokości kostki lamowane aksamitem w tym samym kolorze co suknia. W sypialni na piętrze pracowała specjalnie zatrudniona szwaczka, która przerabiała jeszcze trzy dalsze zestawy, na które należała matka Andre: jeden w ciemnym granacie, jeden różowy z czepkiem z piórami i jeden czerwonozłoty w żółte prążki, z koronkowym kołnierzykiem w stylu van Dycka.

Madame Helenę była w swoim gabinecie. Tu za zwyczaj załatwiała korespondencję i przeglądała rachunki

związane z prowadzeniem domu. Angelinę zapukała do drzwi i z cichym szelestem sukni weszła do środka. Madame Delacroix uniosła wzrok znad biurka, odłożyła pióro na podstawkę z onyksu. Andre, stojący u jej boku, odwrócił głowę. Twarz rozjaśnił mu radosny uśmiech.

- Zachwycające! - zawołała Madame. - Czyż nie, Andre?

- Rozkoszne - odparł Andre i chrząknął, próbując pozbyć się niespodziewanej chryпки.

- Dziękuję wam obojgu - rzekła Angelinę wesoło, jakby wraz ze strojem odzyskała dawną radość życia. - Nad czym tak wspólnie pracujecie?

- Dobrze, że pytasz - Helenę szybko spojrzała na syna. - Dotyczy to ciebie, *chere*. Zapytałabym cię naturalnie o zdanie, zanimbym to wysłała. Przedtem jednak chciałabym z Andre uzgodnić formę. Widzisz, piszę do twojej ciotki, by ją zawiadomić o twoim szczęśliwym powrocie.

- Ach tak. To miłe, ale myślę, że niepotrzebne.

- Tak samo mówił Andre, ale moje sumienie nie pozwoliłoby mi utrzymywać ją w niewiedzy.

Czyżby Madame Delacroix liczyła na to, że ciotka natychmiast tu przyjedzie i zabierze ją, zanim jej syn postawi na swoim? Nie można jej za to winić. Ale myśl o tym była bolesna. Przecież nie tak dawno ten związek cieszył się jej pełną aprobatą.

- Postąpi pani, jak uzna za stosowne.

- Ależ, kochanie, nie patrz na to w ten sposób! - zawołała starsza pani. - Wcale się nie zdziwię, jeśli w ciągu tygodnia Berthe de Buys ściągnie do miasta. -Zobaczysz.

Tak się nie stało. Chcąc odwrócić uwagę Angelinę od tego, że ciotka nie dawała żadnej odpowiedzi, Madame zorganizowała wyprawę do sklepów, znajdujących się na parterach domów hiszpańskich i fran-

cuskich przy Vieux Carre. Kupiły chusteczki i pachnidła, rękawiczki, weloniki przeciw coraz mocniej przygrzewającemu słońcu, bieliznę i korzenie palczatki, której zapach odstraszał mole. Madame wynajęła dorożkę i pojechały do dzielnicy zwanej Farbourg St. Mary, zamieszkaney w przeważającej części przez ludność angielskojęzyczną. Przeszły się wzdłuż grobli, wokół placu Broni i skwerem przed kościołem Świętego Ludwika. Tu i tam wymieniały ukłony ze spotykanymi znajomymi, od czasu do czasu przystawały, a Madame przedstawiała im swoją młodą przyjaciółkę z chłodnym spokojem, zupełnie nie reagując na zdziwione spojrzenia i uszczypliwe niekiedy uwagi.

W niedzielę wieczorem wybrały się do Theatre d'Orleans, gdzie paryska śpiewaczka, ze skalą głosu niemal tak bogatą jak jej biały i niemal w całości odsłonięty biust, grała rolę Rosiny w operze Rossiniego *Cyrulik Sewilski*. Podczas antraktu ich lożę odwiedziły dwie starsze matrony o rzucających się w oczy arystokratycznych manierach, które więcej czasu poświęcały Angelinę, niż prezentującej się na scenie aktorce. Rozmawiały z Madame, od czasu do czasu rzucając Angelinę jakieś mało znaczące pytanie, lustrując uważnie jej ubiór, zachowanie, wyraz twarzy. Z wdzięcznością przyjęły zaproszenie do złożenia wizyty swojej drogiej przyjaciółce Helenę zaraz następnego dnia. I wyszły.

- Ach, *chere* - westchnęła z ulgą Madame, odchyłając się do tyłu w swym fotelu - jutro zobaczymy. W całym Nowym Orleanie nie ma nikogo znaczniejszego niż te dwie damy, niegdyś należące do dworu samej Marii Antoniny. Jeżeli one cię zaakceptują, reszta pójdzie już gładko. Jeśli nie - jesteśmy zgubione.

Angelinę wcale nie była pewna, czy ma ochotę, by oceniano ją niczym konia na aukcji czy niewolnika na targu. Ale następnego rana założyła suknię z różowego jedwabiu i sztywna udała się do salonu, w którym

Madame już od jakiegoś czasu rozmawiała ze starszymi paniami.

W starczych, wypielegnowanych twarzach ich czarne oczka wyglądały jak paciorki. Helenę nalewała im sok pomarańczowy ze srebrnej karafki i jednocześnie pokazywała służącej, jak i kiedy ma podawać drobne ciasteczka z nugatami i prażonymi migdałami oraz kandyzowane fiołki skrzące się kryształkami cukru.

Ręką wskazała Angelinę krzesło obok dam.

Spięta i zdenerwowana, Angelinę z trudem odpowiadała na ich ostre pytania. Podpowiadanie i zachęty ze strony Madame jeszcze bardziej wytrącały ją z równowagi. Pani domu próbowała choć na chwilę odwrócić ich uwagę, opowiadając o zderzeniu barki i parowca na Missisipi, ale wysłuchały jej bez słowa i zaraz przystąpiły do dalszego ataku. Pytania były proste, niezbyt wścibskie, budzące nawet zaufanie. Pewnie wie, jak wygląda katedra w stolicy Ruthenii - książę chyba o niej wspominał? Matka księcia była piękną kobietą, spokrewnioną z rodem Wittelsbachów bawarskich. Mówiło się, że którąś z księżniczek z tego rodu przeznaczono na żonę Maximiliana. Czy teraz planowano tę samą dziewczynę wydać za Rolfe'a? Czy coś o tym wie? Dziwne. Byłoby interesujące dowiedzieć się, na jakie tematy rozmawiała z księciem. Gusta i zainteresowania osób z królewskich rodów bywają nieprzeciętne, nie takie jak zwyczajnych ludzi, prawda?

W myśli już formułowała jakieś niegrzeczne odpowiedzi, ale w obawie, by nie wprowadzić w zakłopotanie Madame, powstrzymywała się z ich wypowiedzianiem. Ale były granice cierpliwości i opanowania, bez względu na to, jak bardzo potrzebowała akceptacji ze strony tych dam.

- Powiedz mi, Mademoiselle Fortin, jak oceniasz sposób prowadzenia rozmowy przez księcia. A może nie spędzałaś z nim zbyt wiele czasu na rozmowach?

Przez chwilę w jej uszach zabrzmiało echo wyszukanych słów i zdań przez niego wypowiedzianych.

- Jego sposób konwersacji - odpowiedziała wolno - bardzo rzadko był pospolity czy złośliwy. Nigdy z normalnej rozmowy nie robił pułapki, w którą chciałby złapać kogoś nieostrożnego. Jeśli chciał coś wiedzieć, pytał o to wprost, a kiedy nie otrzymywał jasnej odpowiedzi, to albo pytał inaczej, albo - milczał.

Aluzja była zupełnie przejrzysta. Zapadła denerwująca cisza. Po takim afroncie stara dama zbladła. Jej siostra zaniemówiła z wrażenia.

W tym momencie otworzyły się drzwi. Kamerdyner, zabrany z St. Martinville, ten sam, który anonsował księcia na wieczornym przyjęciu, wszedł do salonu i uklonił się.

- Bardzo przepraszam, Madame, ale jest tu książę.

- Oh! - jęknęła Madame; nie musiała pytać, o jakiego księcia chodzi. - Myślę... tak, trzeba go było zaraz wprowadzić.

- Nie ma potrzeby - zawołał wesoło Rolfe, wchodząc do salonu. - Pomyślałem, że zostanę przyjęty, i wierzę, że panie mi wybaczą najście i zarozumiałość.

Jednym spojrzeniem ogarnął cały salon, z Angelinę włącznie. Przyjrzał się Madame i starym kobietom. Potem podniósł do ust dłoń gospodyni. Stał przed nią w nienagannym białym mundurze, z peleryną spiętą na jednym ramieniu złotą spinką. Angelinę czuła, jak bije jej serce, a cała krew odpływa z twarzy i zaraz wraca gorącym rumieńcem. Złożyła ręce na piersiach - wiedziała, że Rolfe na nią patrzy.

- Czy mogę prosić o przedstawienie dostojnym paniom? - przerwał książę ciszę, która nagle zapadła.

Helena łamiącym się głosem zaczęła pospiesznie spełniać jego życzenie. Przedstawiła stare kobiety jako były członkinie dworu królewskiego, którym ledwo udało się umknąć z pogromu.

- No tak! - rzekł Rolfe i z szerokim uśmiechem pochylił się najpierw nad ręką jednej, potem drugiej damy. - To widać po twarzy. Strach można przezwyciężyć, prawda? Ale poczucia bezpieczeństwa i wiary w ludzi nie da się już tak łatwo odzyskać. Takie straty pozostają widoczne na zawsze.

- Twierdzę dokładnie to samo! - zawołała starsza z sióstr; z zadowolenia aż się trochę zarumieniła. - Emigrant zawsze pozna innego emigranta. Mają coś w oczach.

- Albo na twarzach, na których utrwała się i przeżyty strach, i przeżyta radość?

Gdyby miała w ręku wachlarz, ta wiekowa dworka królewska zasłoniłaby się nim teraz tak, jak robiła to pięćdziesiąt lat temu. Angelinę z niedowierzaniem przyglądała się, jak Rolfe swobodnie rozsiada się między siostrami. Wkrótce osiągnął to, że obie szczeniły i śmiały się niczym dziewczęta, opowiadając, jak ukryte w farze śmieci opuściły Paryż. Od czasu do czasu chwyciły go za rękaw, jakby chciały się upewnić, że rzeczywiście siedzi między nimi. Niepostrzeżenie do tej błyskotliwej, pełnej zaskakujących pytań i celnych odpowiedzi rozmowy Rolfe wciągnął Helenę i Angelinę. Stare damy zaakceptowały to bez protestu.

W pewnej chwili Rolfe zwrócił się do Helenę.

- Sądziłem, że spotkam tu również pani syna.

- Andre tuż przed pańskim przybyciem udał się do krawca, by uzupełnić swoją garderobę. Może posłać po niego?

- Dziękuję. Nie trzeba. Zobaczę się z nim kiedy indziej. Może panna Fortin będzie mogła mi udzielić informacji, jakich potrzebuję. Czy mógłbym porozmawiać z nią na osobności?

- Tak... nie, ależ... Wasza Wysokość, ja... - Madame Delacroix zaczęła się jąkać, wyraźnie walcząc z chęcią

wyrażenia na to zgody, a jednocześnie z koniecznością zachowania etykiety, zgodnie z którą dziewczyna, pozostająca pod jej pieczęcią, nie może się znaleźć sam na sam z mężczyzną.

- Musi pan wiedzieć - odezwała się starsza z sióstr - że Madame Delacroix nie może spełnić pańskiego życzenia, Wasza Wysokość. To byłoby niewłaściwe.

- Więc muszę się powołać na moją wcześniejszą znajomość z tą młodą damą, by zrobiono w tym względzie wyjątek...

- *Mais out* - odparła dama wzruszając kościstymi ramionami, okrytymi koronkami z czarnego jedwabiu - wiemy o niej. Ale reguły towarzyskie niestety na to nie pozwalają. Pan to chyba rozumie, prawda?

- Może więc w tym szczególnym przypadku - rzekł lekkim tonem, choć z pogłębiającą się zmarszczką między brwiami - dałoby się zastosować królewską dyspensę?

- O, Wasza Wysokość! Był pan jeszcze małym dzieckiem, kiedy ja już chodziłam po ogrodach Tuileries razem z książętami i tam nic takiego by mnie nie zdziwiło ani tym bardziej zaszokowało. Ale tutaj, muszę to z przykrością powiedzieć, to nie Francja ani Ruthenia.

Angelinę zdała sobie sprawę, że pytanie o Andre było tylko pretekstem - chciał jedynie wiedzieć, czy jest w domu. Nie pragnęła rozmawiać z Rolfe'em, a już zwłaszcza sam na sam. Nie ufała jego ogłądzie i jego manierom.

- Może przejdziemy w drugi koniec salonu i tam porozmawiamy? - zaproponowała.

Takie rozwiązanie nie odpowiadało Rolfe'owi, ale w zaistniałej sytuacji nie mógł zrobić nic więcej, jak tylko podejść z Angeliną do okiennej niszy, udrapowanej aksamitnymi storami, z marmurową nimfą na smukłej kolumnie, z widokiem na podwórze.

- Porwanie, zdrada, dokuczliwe plotki - nie masz łatwego życia, odkąd mnie poznałaś.

To nie było zdanie, którego oczekiwała.

- To bez znaczenia. Czy uważasz?...

- Oczywiście, że ma! - przerwał jej z hamowaną gwałtownością. - Zostałaś pozbawiona wolnego wyboru, sprowadzona do roli bezwolnego pariasa. I to bez winy z twojej strony. Przebaczysz mi, teraz, kiedy nie jesteś w moich rękach? Możesz mnie nawet potępić, bylebyś zechciała być ze mną.

- Jak to sobie wyobrażasz? - spytała. - Nie odpowiada mi rola markietanki czekającej na twoje powroty po ciągłych wyprawach, która nie wie, komu przypadnie, jeżeli ty przypadkowo zapomnisz, gdzie mnie zostawiłeś, albo w ogóle nie wrócisz.

Jaśniej sprawy postawić nie mogła. W jego ciemniejących źrenicach wyczytała, że doskonale ją zrozumiał.

- Masz moją obietnicę.

- Słowną?

- A jaka jeszcze może być? Prawo i kościół nadają jej uroczysty charakter, ale teraz jest to przecież niemożliwe.

Patrzyła, jak służąca wyszła z domu na podwórze, wdrapała się na wysoki stopień, by nabrać wody z olbrzymiej glinianej beczki stojącej tuż obok krużganku, otaczającego kuchenne skrzydło domu. Z pełnym wiadrem weszła do środka.

- Andre poprosił mnie o rękę - powiedziała wreszcie. Na chwilę zaległa cisza.

- To szlachetnie z jego strony - rzekł dopiero po chwili.

- Nie musisz z tego drwić.

- Jeśli to nawet tak zabrzmiało, nie miałem takiego zamiaru. To niewielkie poświęcenie. I przyjęłaś go?

- Nie... To znaczy, nie dałam mu żadnej odpowiedzi - zająknęła się trochę, ale słowa wypowiedziała wyraźnie.

- To dla ciebie bardzo dobre rozwiązanie. Andre jest z twego środowiska, twego kraju, posiada wystarczające środki, by ci zapewnić dostatnie życie. Jest rozumny, inteligentny, godny zaufania, będzie dbał o ciebie...

- Jednym słowem: doskonałość - dokończyła za niego bez radości w głosie.

- A gdybym ja ci teraz powiedział: Chodź ze mną?

Głos miał spokojny, głęboki, z odrobiną obcego akcentu. Ten głos zdawał się bardziej niż słowa wprawiać ją w drzenie, poruszać jakąś jej wewnętrzną strunę. Poczwała w sobie nieznany ból i siłę, która pchała ją, by rzucić się w jego objęcia, by zapomnieć o cichej przystani na przyszłość i iść za nim, gdzie poniosą go wichry przeznaczenia. Ale rozsądek i strach o przyszłość nakazywał ostrożność.

- Dokąd? Wiesz chociaż dokąd?

- W tej chwili do ambasady francuskiej, potem - do Ruthenii.

- Znaleźliście Claire?

Odwróciła się, ale dalej stała wyprostowana, z rękami skrzyżowanymi na piersiach.

- Straciliśmy jej trop w Natchitoches, ale zdobyliśmy wiarygodne informacje, że razem ze swoim aktualnym kochankiem wsiadła na pokład parowca z zamiarem dotarcia tutaj, do Nowego Orleanu.

- Więc wsiedliście na najbliższy statek i ruszyliście za nią? Nic dziwnego, że moja obecność tutaj tak cię zaskoczyła.

W jej szarozielonych oczach czaiło się rozbawienie, że nie potrafił opanować swego podziwu dla jej wyglądu.

- Przyznaję, że zbiło mnie z tropu, gdy cię zobaczyłem owiniętą w jedwabie i otoczoną troskliwością, jakbyś była rodzoną córką Madame Helenę. Ale nic poza tym. Bo w pobliżu spalonej osady McCuUougha, dokąd skierowałem swoje kroki, powiedziano mi, że byłaś tam, ale porwał cię jakiś plantator. Nieprzytomną.

- Podał mi jakiś z twoich proszków - to będzie oddzielna sprawa do wyjaśnienia między nim i mną, jeśli miałabym zostać jego żoną.

Nawet się nie poruszył, wydawał się bardzo spokojny.

- Rozumiem. Więc to nie był ratunek, a jeszcze jedno porwanie.

- Nie wiem, czy tak to można nazwać. Ale miał dobre intencje...

- ...których skutki skrupiły się na tobie? Zastanawiam się, czy to by pokrzyżowało twoje plany, gdyby Delacroix otrzymał nominację na dowódcę *gardę du corpse* jako jej honorowy członek.

Kiedy zrozumiała, o co mu idzie, cała krew odpłynęła jej z twarzy.

- Chyba nie chcesz... - zaczęła, ale wiedziała, że tak, że będzie chciał i to bez jakichkolwiek wyrzutów sumienia. Raz i drugi próbowała przełknąć ślinę.

- Czy to nie obłuda? - spytała w końcu.

- Tak - odparł z lekkim uśmiechem - ale to pokuta...

- Nie jesteś moim opiekunem!

- Niestety dobieirasz słowa i mieszasz ich znaczenie.

Wyciągnęła rękę i chłodnymi palcami dotknęła jego gorącej skóry.

- Obiecuj mi, że nie zrobisz mi krzywdy. To tylko nadałoby rozgłos sprawie.

- To twoje osobiste rozważania, jak sądzę? - spytał już bez wesołości w głosie.

- Muszę o tym myśleć, skoro ty nie myślisz - odparła cofając rękę.

- Do takich samych wniosków sam doszedłem dzisiaj rano. Teraz pozostaje jeszcze pytanie, w jaki sposób zapewnić ci nieskazitelną opinię: czy zignorować wszelkie plotki, czy szukać uznania w twoim środowisku. Byłoby dla mnie ogromnie pomocne, gdybyś zechciała wyrazić swoje życzenie w tej sprawie. Ale może też być przeszkodą, chyba więc będzie lepiej, jeśli sam wybiorę najlepszy sposób, przynajmniej dla jednego z nas dwojga.

Groźny błysk oczu księcia nie zachęcał do dalszej dyskusji. Nie miała zresztą możliwości, by postawić

mu dalsze pytania, bo Madame Helenę już zbliżała się do nich, szczebiocąc coś o przedłużającej się naradzie i że pozostali goście zaczynają jej zazdrościć.

- Proszę mi wybaczyć, Madame - rzekł na to książę - ale obawiam się, że nie będę mógł dłużej zostać. Kiedy wczorajszego wieczoru znalazłem się w ambasadzie francuskiej, przekazano mi kilkanaście depeesz, których nie doręczono mi wcześniej, bo nie miałem tu stałego miejsca pobytu. Teraz muszę się z nimi uporać.

- Proszę nie czynić nam takiego zawodu! - zawołała Madame. - Tak liczyliśmy na dłuższą wizytę.

- Myślę, że będę to mógł naprawić. Obowiązki następcy tronu, jakie na mnie ciążyą, są dość liczne i absorbujące, między innymi - reprezentowanie mojego kraju. Przez przybycie do ambasady nadałem swemu tu pobytowi niejako oficjalny charakter, a to pociąga za sobą określone zobowiązania towarzyskie. Jeśli pani i pozostałe obecne tu panie pozwolą, to w najbliższych dniach zostaną im doręczone zaproszenia na bal organizowany w ambasadzie. Ale na dzisiaj chciałbym już uwolnić panie od swego nużącego towarzystwa.

Z okrzykami zadowolenia i łaskawym ukłonem ze strony starszych pań zaproszenie zostało przyjęte. Po kilku dalszych komplementach i grzecznościach Rolfe opuścił salon. Kiedy zamknęły się za nim drzwi, wybuchła gorąca dyskusja o jego wyglądzie, sposobie bycia, manierach, mądrości. Angelinę nie brała w niej udziału. Jej myśli były tak rozbiegane, że nawet nie zauważyła promiennych spojrzeń, jakimi obdarzały ją niegdysiejsze dworki Marii Antoniny. Madame Helenę musiała zwrócić jej uwagę, że czas się pożegnać.

W trzy dni później przed domem Delacroix zatrzymał się przedpotopowy powóz Madame de Buys. Matka Claire bardzo zeszcupiała, twarz miała ziemistą i wynędzniałą. Cierpienie nie poprawiło jej manier. Nie tracąc czasu na grzecznościowe, puste frazesy ani słowem

nie podziękowawszy Madame Helenę za to, że przyjęła Angelinę, zabrała dziewczynę do domu nad rzeką, do swej owdowiałej siostry.

Niezbyt reprezentacyjne mieszkanie, usytuowane nad składem win, wynajmowanym kolorowym handlarzom, nieustannie przenikała wilgoć i... zapach alkoholu. Składało się ono z pięciu pomieszczeń: salonu, dwu sypialni, jednej od frontu i jednej od podwórza, jadalni oraz oddzielnego pomieszczenia wyposażonego w półki i szafy, gdzie przechowywano żywność i inne zapasy. Tylny pokój miał wyjście na werandę i na maleńkie podwórze. Kiedyś z części werandy zrobiono niewielki pokoik dla służącej. Ze względu na to, że wdowa nie była już w stanie pozwolić sobie na taki luksus, pomieszczenie to przydzielono Angelinę. Madame de Buys przywiozła ze sobą swoją garderobianą Marię i wołała dzielić pokój z nią niż z Angelinę. Angelinę odpowiadało takie rozlokowanie. Jej ciotka nie podejmowała zbyt wysiłków, by pokazać się Madame Helenę z jak najlepszej strony. Nie robiła też tego w stosunku do niej. Jej sposób bycia był tak ostry, że dziewczyna zastanawiała się, po co ciotka tu w ogóle przyjechała. Poważnie rozważała możliwość odmowy przeprowadzenia się do domu nad rzeką, ale w końcu uznała, że nie może nadużywać gościnności Madame Delacroix. Poza tym Andre, dowiedziawszy się, że Rolfe jest w mieście, zaczął się robić natrętny, podejrzliwy i pilnował jej na każdym kroku, gdziekolwiek się ruszyła, jakby swą ciągłą obecnością chciał złamać jej opór. A jej, przynajmniej na jakiś czas, potrzebna była samotność, by móc rozważyć, co zrobić.

Na szczęście Madame de Buys, a może Maria spakowała i przywiozła jej ubrania. Angelinę usiłowała oddać Madame Helenę stroje od niej, ale matka Andre powiedziała, że to wszystko jest jej i obrazi się, jeśli Angelinę ich nie przyjmie.

Angelinę rozwieszała je właśnie w staromodnej szafie, gdy do jej pokoiku weszła ciotka.

- Chcę z tobą mówić - rzekła bez jakiegokolwiek wstępu.

- Tak? Proszę - odpowiedziała Angelinę nie przerywając zajęcia.

- Chcę, żebyś wiedziała, że nie przyjechałam do Nowego Orleanu z twego powodu. Mam do załatwienia sprawy, które wymagają mojej tu obecności. Pomyślałam, że dobrze będzie zabrać cię z domu Delacroix, zanim wybuchnie skandal. Andre zrobił już z siebie głupca, lecąc za tobą, by niczym błędny rycerz ratować cię od...

- Księżę Rolfe całkowicie zgodziłby się z ciocią.

- Proszę, żebyś w mojej obecności nigdy więcej nie wymawiała tego imienia. Czuję do niego odrazę i żałuję, że je kiedykolwiek usłyszałam. Upokorzenie, jakiego doznałam od księcia, jest mi raną, z której już nigdy się nie wyleczę. To piętno hańby na mojej duszy. Wszystko, czego od ciebie chcę, to milczenie o tych sprawach, milczenie i poszanowanie dobrych obyczajów, jeśli jeszcze wiesz, co to znaczy. Nie będziesz stąd wychodziła, nie będziesz tu nikogo gościła, nie będziesz przyjmowała żadnych zaproszeń. Zrozumiały samo przez się, że nie opuścisz tego pokoju bez mojej wyraźnej zgody. W nadchodzących dniach znajdziesz dość czasu, by wszystko dobrze przemyśleć. Ja chcę ci tylko odpowiedzieć, byś rozważyła możliwość włożenia szat zakonnych i to w możliwie najbliższym czasie. To wszystko, co miałam ci do powiedzenia.

Gdy ciotka już się odwracała, by wyjść, Angelinę odważyła się spytać:

- Czy przyjazd cioci do miasta ma coś wspólnego z tym, że Claire może tu być?

- Co takiego? - spytała stara kobieta ostro, ale bez zdziwienia.

- Nie spytała ciocia o nią, nawet o to, czy żyje, czy ją widziałam, czy coś o niej wiem.

- Jeśli idzie o moją córkę, to to, co robi, gdzie jest, co o niej wiem, to już nie twoja sprawa. Dla nas już nie istniejesz. Jesteś poza rodziną. Dobrze zrobisz, jeśli sobie to zapamiętasz.

Angelinę uniosła brwi zaskoczona: dziwne, ale słowa starej kobiety wcale jej nie dotknęły.

- Jeśli chce ciocia zerwać wszelkie łączące nas więzi, musi się ciocia wyrzec również kontroli nad moim postępowaniem. Nie może się ciocia spodziewać, że bezwolnie poddam się jej rozkazom.

Madame de Buys obróciła się na pięcie.

- To się okaże.

- Oczywiście - zgodziła się Angelinę.

Ale w następnych dniach nie wychodziła ze swego pokoiku. Po co zresztą miałyby wychodzić, skoro nie miała dokąd pójść ani odezwać się do kogoś, kto byłby jej choć odrobinę przyjazny. Siostra ciotki Berthe była zahukanym stworzeniem, z której bieda zrobiła rozgoryczoną nieszczęśnicę. Nawet nie przyjrzała się dobrze Angelinę, gotowa zgodzić się ze wszystkim, co jej powie siostra, nawet nią pogardzać, wyłącznie dlatego, że siostra zapewniała jej chwilowo lepsze jedzenie. Maria sprzątała i gotowała w kuchni, prała i codziennie chodziła na rynek po zakupy. To Maria, kiedy już wszyscy się najedli, przynosiła Angelinę tacę z tym, co zostało.

Późnym rankiem, trzeciego dnia swego pobytu w domu nad rzeką, Angelinę leżała na łóżku wpatrzona w popękany sufit, którego jedyną ozdobą były plamy po zabitych komarach. Nie czuła się ani dobrze, ani źle, zupełnie jakby dotknęła ją jakaś choroba, z której nawet nie zdawała sobie sprawy. Bezwolna, obwiniła samą siebie za wszystko. Nie potrafiła skupić się na tym, co powinna zrobić. Była jak ryba złowiona w sieć:

im bardziej się szarpała, tym bardziej czuła się zaplątana i wyczerpana. Podświadomie wiedziała, gdzie leży przyczyna tego stanu, co powoduje jej chorobę, zmęczenie, ospałość. Ale nie chciała o tym myśleć, bo wtedy kłopoty otoczyłyby ją ze zdwojoną siłą.

Usłyszała trzaśnięcie drzwiami. W domu panował taki bezruch, że nawet ten dźwięk spowodował, iż zerwała się na równe nogi i podeszła do jedyne go w pokoju okna. W dole zobaczyła Marię, jak wyłania się spod schodów prowadzących na podwórze. Miała na sobie kapelusz i pelerynę. Szła w stronę kuchni. Pokręciła się po jej zaciemnionym wnętrzu i za chwilę pojawiła się na podwórzu z koszykiem w ręku. Angelinę pomyślała, że idzie na rynek, ale wtedy Maria poprawiła serwetkę okrywającą zawartość koszyka. Jeśli miała zamiar iść na rynek, koszyk powinien być pusty. Wyglądało na to, że dziewczyna niesie dokądś jedzenie.

Nie było czasu na pytania dokąd, komu i dlaczego. Angelinę domyśliła się i w mgnieniu oka odwróciła się, chwyciła leżący na łóżku szal, którym zwykle okrywała sobie nogi, spod krzesła wyciągnęła buciki i wciągnęła je już w drodze do drzwi. Wyszła cicho na galerię i na palcach zesłała po schodach. Nie bała się spotkania z ciotką, która pewnie usiłowałaby ją zatrzymać, ale hałasu, który mogłoby to wywołać. Stała na chwilę, by się upewnić, czy Maria minęła już furtkę z boku domu. Przeszła przez podwórze, uchyliła żelazną kratę, wyszła i bezgłośnie zamknęła ją za sobą.

Zobaczyła dziewczynę, jak pospiesznie podążała w dół ulicy, wyminęła kobietę, sprzedającą bezpośrednio z tacy ryżowe ciasteczka zwane *tout chaud calas*, i wysokiego Kreola opartego na srebrnej laseczce. Angelinę wyminęła parę siostr zakonnych w powiewnych habitach i podążyła za Marią.

Rynek był wąskim, zadaszonym placem. Jego bliskości można się było domyślać po natężającym się hałasie

rozmów prowadzonych w najróżniejszych językach: francuskim, hiszpańskim, angielskim, celtyckim, nareczach indiańskich, greckim, włoskim, maltańskim i pół tuzina innych, którymi posługiwali się marynarze z całego świata, targujący się o ceny wyłożonych na sprzedaż towarów. Do rynku należały też łodzie przycumowane na rzece, a docierające tu ze świeżymi rybami, krabami, dziczyzną, królikami, wiewiórkami, szopami, oposami, wędzonymi drozdami, gołębiami i małymi siewkami, zwanymi też *papabottes*, cenionymi między Kreolami za ich afrodyzjakowe właściwości. Były też warzywa powiązane w pęczki lub poukładane w koszach, a także egzotyczne owoce z Indii Zachodnich. Indianie oferowali skóry, wyplatane kosze, orzeszki ziemne i korzenie sasafrasu. Gdziekolwiek stali egzotyczni marynarze handlujący papugami i małpkami.

Handlem na rynku zajmowali się przede wszystkim mężczyźni. Uważano powszechnie, że dla kobiet jest to zajęcie zbyt prostackie. Byłyby narażone na upokarzające targowanie się z niezbyt grzecznymi sprzedawcami, musiałyby często znosić zaczepne spojrzenia nieokrzesanych, różnokolorowych typów, którym za całe ubranie służył szeroki, owinięty dokoła ciała koc. Kobiety, które się na rynku pojawiały, przychodziły zawsze w towarzystwie służących, które miały ich strzec i nosić za nimi to, co kupiły. Odnosiło się to zwłaszcza do białych, elegancko ubranych kobiet, u których widoczne były domieszki krwi innych ras, a które często były utrzymankami miejskich notabli. Takie damy miały też służące, których jedynym zadaniem było trzymanie wachlarza i odpędzanie wszędobylskich much.

Do Angelinę nie docierał cały ten kalejdoskop barw i odgłosów, odór rzeki i psujących się warzyw, zieleniny i nie wyprawionych skór, cebuli, czosnku, pieprzu i różnych korzeni. Wpatrywała się w idącą przed nią

dziewczynę, która zatrzymała się właśnie przy grubej, czerstwej Niemce, sprzedającej złociste gomółki sera. Zauważyła, jak inna kobieta, ubrana w czarny, obszerny płaszcz wzięła od Marii koszyk. Angelinę była tak pochłonięta obserwowaniem tego, co się przed nią rozgrywało, że nie zauważyła czarnego kocura tuż pod nogami. Nadepnęła mu na łapy. Kot zapiszczał przeraźliwie. Angelinę odskoczyła i łokciem zahaczyła o piramidę misternie ułożonych pomarańczy. Owoce rozsypały się na wszystkie strony. Dwaj chłopcy natychmiast rzucili się na nie. Sprzedawca podniósł wrzask. Zanim przywrócono jaki taki spokój, Maria i Claire zniknęły.

Czy Claire ją zauważyła? A może tylko zlekka się zamieszania i uciekła? Czemu się ukrywała? Czy wiedziała, że Rolfe ze swoją gwardią jest w Nowym Orleanie? A może miała inne powody, by się ukrywać? Czy powodem był strach, czy wstyd? Gdzie szukać odpowiedzi?

Poczuła tak przemożną chęć powiadomienia o wszystkim Rolfe'a, że stanęła jak wryta, sama zaskoczona nagłością tego impulsu. Od kiedy to tak mu ufa? Jeśli tak chce mu zawierzyć w tej sprawie, to czemu nie w innej - chociażby w sprawie swej przyszłości?

Na zdziwione spojrzenie zakonniczy, prowadzącej utykającego chłopczyka, ruszyła przed siebie, nie zdając sobie dokładnie sprawy, dokąd idzie. Przeszła obok kościoła św. Ludwika i przez położone za nim ogrody św. Antoniego. Przepełniało ją uczucie wolności, ale też świadomość własnej naiwności, dla której nie widziała usprawiedliwienia. To, co uznała za zaproszenie do małżeństwa, było tylko pustym frazesem. Była sama i opuszczona. Ale polegać można przecież wyłącznie na sobie. Na swej wewnętrznej sile. Z niej, niczym z fortecy, można robić śmiałe wypadki na spotkania z innymi w przyjaźni i miłości. Słabi wewnętrznie, ci, co poddają się przy pierwszym wyzwaniu i potrzebują ciągłego

podpierania, nigdy nie doznają radości, jaką daje samodzielność...

Nagle przerwała dalsze rozmyślania i ze zdziwieniem spostrzegła, że stoi przed ambasadą francuską, solidną budowlą z szarego kamienia i cegły. Odbywało się właśnie jakieś przyjęcie. Ubrani w liberie służący stali wzdłuż schodów, a słońce odbijało się w złotych guzikach ich stroju. Sznur pojazdów podjeżdżał pod bramę. Inni goście, mniej dbający o swój prestiż, pieszo podchodzili do frontowych drzwi. Damy w najelegantszych strojach, panowie w dopasowanych żakietach i w bogato haftowanych kamizelkach wstępowali na schody wiodące do otwartych drzwi.

Wewnątrz widać było skrzące się kandelabry, połysk jedwabnych kotar, blask biżuterii i orderów. W głębi stali przyjmujący gości gospodarze, ale z zewnątrz nie można było dostrzec, kogo honorowano. Widać było jedynie, że wchodzący mężczyźni kłaniali się w pas, a panie nisko pochylały głowy.

Komu mogli się tak kłaniać, jeśli nie komuś z królewskiego rodu? Na czyją cześć, jeśli nie Rolfe'a, wydano takie przyjęcie?

Czy ona w stosunku do niego zachowywała się kiedykolwiek tak uniżenie? Nie. Nawet podczas ich pierwszego spotkania. Był to zapewne błąd. Ale duma nie pozwalała jej na to. A może to tylko upór, ignorancja? Często, zbyt często nie myślała o nim jak o księciu. Chociaż nie zwracał na to uwagi, miało to chyba dla niego znaczenie. Ona tu nie pasowała. Niezależnie od tego, jak bardzo chciała powiedzieć temu następcy tronu Ruthenii, że zmieniła swe nastawienie, że chciałyby być z nim, nie mogła tego zrobić.

Nie stając się jego częścią, usytuowana gdzieś na obrzeżu jego świata, nigdy nie znalazłaby radości. Byłaby zbyt uzależniona od niego: za bardzo jego utrzymanką, za mało samą sobą.

A co, gdyby się to skończyło? Skoro już teraz, zaledwie po kilku tygodniach znajomości czuje taki ból, co by było, gdyby przyszło jej zostać samej po miesiącach, może latach zażyłości?

Nie, lepiej skończyć z tym teraz. Lepiej, by sama wybrała najlepszą - dla niego i dla niej - drogę, niż pozwolić, by później ktoś za nią dokonywał wyboru.

Odwróciła się i pospiesznie odeszła. Nic dziwnego, że w takiej trudnej chwili nawet nie pomyślała o Claire.

Ro[^]d[^]ia^ł

XVIII

Uchyliły się drzwi i do pokoiku Angelinę weszła Maria, niosąc tacę nakrytą wybrzuszoną serwetą. Madame de Buys i jej owdowiała siostra zachowywały zwyczaj dawnego kraju i kolację jadały tuż po zapadnięciu zmroku. Następnie Maria najpierw sprzątała po kolacji, a dopiero potem przynosiła jedzenie Angelinę.

- Do licha! - sarknęła służąca. - Czemu nie zapalisz świecy? Mogę sobie skrócić kark, wchodząc tu po ciemku.

- Nie ma tu nic do oglądania.

- Masz chandrę, co? Pewnie myślisz, że powinny ci pozwolić, byś poszła na bal?

- Na jaki bal? - spytała Angelinę. - Dzisiaj wieczorem?

- Oczywiście. Tylko mi nie mów, że nic o tym nie wiesz. O niczym więcej się tu nie mówi od dnia, kiedy Madame odesłała doręczone zaproszenia dla niej i dla ciebie. Teraz z siostrą poszły oglądać przybywających gości. Madame wprawdzie nie chciała, bo im mniej widzi tego księcia, tym dla niej lepiej. Ale jej siostra pali się do takich imprez i tak napierała na Madame, aż poszły się pogapić.

Angelinę patrzyła, jak Maria niezgrabnie stawia tacę na stoliku.

- Więc dla mnie też przyszło zaproszenie?

- Widziałam je na własne oczy i jeszcze inne jakieś oficjalne papiery z twoim nazwiskiem, które nadeszły

tu w ostatnich dniach. Listy, niemal wszystkie, poszły zaraz do ognia. A zaproszenie Madame włożyła posłańcowi do kosza, by odniósł je z powrotem. Miało to znaczyć, że nie chcesz tam iść.

- Bo rzeczywiście bym nie poszła.

- Myślę, że to najmądrzejsze, co mogłabyś zrobić - rzekła drwiąco Maria. - Damy z całego Nowego Orleanu będą się tam prześcigać, która ma najmodniejszy i najkosztowniejszy strój. Bal na cześć księcia to pewnikiem gwóźdź sezonu, o którym będzie się opowiadało przez najbliższe kilka lat. Przyjdą tam damy z pogranicza śmietanki towarzyskiej, szczególnie te *Ameïcaines*, które gotowe są zabić albo się sprzedać za kartę wstępu.

Wyglądało na to, że Rolfe zrobił w ciągu minionego tygodnia dobre wrażenie w mieście. Zastanawiała się, jak spędza czas, poza herbatkami i obiadami, przyjęciami i bankietami, które masowo organizowano na jego cześć. Czy poszukuje Claire tak samo usilnie, ale bardziej skutecznie jak wtedy, gdy mieszkał w domu myśliwskim. Nie była pewna, czy informacje, jakie zdobyła, przydałyby mu się na coś. Z całą pewnością ma tu swoich ludzi, bo jakże mógłby zaniedbać tak elementarną sprawę, jak obserwacja domu matki Claire? Dlatego właśnie sądziła, że to, co wie, nie jest dla niego zbyt ważne.

Patrzyła, jak Maria uderza w krzesiwo, by zapalić świecę. Czy służącą obserwowano? Jej spotkanie z Claire było bardzo krótkie i w rozgardiaszu na rynku mogło zostać nie zauważone, nawet jeśli któryś z gwardzistów za nią szedł. Była niemal pewna, że tak było; w przeciwnym razie już by odnaleziono Claire, a gdyby tak się stało, tu, w domu siostry wdowy musiałyby być widome tego oznaki. Chciałaby znaleźć jakiś sposób, by się o tym upewnić, może wysłać wiadomość do Rolfe'a i uzyskać potwierdzenie, że ją otrzymał.

Służąca wyszła z pokoju zawiedziona, że Angelinę nie zareagowała na jej rewelacje. Po jej wyjściu Angelinę

wstała z łóżka. Jedzenie pod serwetą: kawałek kurczaka i szparagi w zsiadłym mleku - nie wyglądało apetycznie. Czuła, że gdyby to zjadła, niechybnie by się rozchorowała. Wypiła jedynie szklaneczkę wina, którą znalazła na tacy, a resztę wystawiła za drzwi. Podeszła do maleńkiego lusterka wiszącego nad stolikiem, który służył jej również za umywalkę. W migotliwym blasku świecy wyglądała lepiej, niż się czuła. Miała kwitnącą cerę i srebrno-miedziane błyski w oczach. Włosy aureolą wiły się wokół głowy i kaskadą opadały na ramiona. Tego popołudnia, przełamując zwykłą apatię, wzięła gorącej wody z kuchni, wyszorowała schody na krużganku i przy okazji umyła sobie włosy. Mimo że już wyschły, nie upięła ich jeszcze, a jedynie nakryła podniszczoną chustką.

Rozległ się dzwonek przy bramie wiodącej na tył podwórza, czyli przy jedynym wejściu, jakiego używała wdowa, jako że brama od ulicy wiodła do składu win. Angelinę nie zareagowała na to: tym powinna zająć się Maria.

Jej uwagę zwróciły dopiero głośne, ciężkie kroki. Zbliżały się, były pewne i mocne, a ich odgłos na nierównych deskach podłogi krużganku świadczył o tym, że idzie więcej osób. Maria głośno protestowała, wykrzykując coś podniesionym głosem. Na pewno powiedziała im, że starszych dam nie ma w domu, a więc chodziło o nią. Gdyby w mizernych drzwiach jej pokoiku był jakiś zamek, powinna zrobić z niego użytek. Ale nie zrobiła. Zawiązała jedynie szczelniej chustkę na włosach i czekała.

Drzwi otworzyły się z hałasem. Do pokoiku wkroczyli Gustave, Meyer i Oswald. Przed sobą popychali Marię. Stanęli w progu, stuknęli obcasami i ukłonili się, przy czym Gustave przytrzymał służącą, a Oswald - wielkie pudło przewiązane wstęgą.

- Proszę wybaczyć nam najście, Mademoiselle - odezwał się Meyer. - Nie przyszliśmy tu we trzech jako matki chrzestne, ale po to, by zabrać panią na bal.

Uśmiechnęła się, uradowana swobodą, z jaką się zachowywali.

- To bardzo miło z waszej strony, ale...

- Jeśli zamierza pani odmówić - przerwał jej Gustave - to radziłbym tego nie robić. Jeśli nie pojedzie pani z nami, to Rolfe opuści wszystkich notabli miasta i ich wystrojone żony, polityków i generałów, którzy na siłę opowiadają mu, jak to przed sześcioma laty pognębili Anglików, i zaraz sam zjawi się tutaj, by panią zabrać.

- Ma trochę gwałtowny charakter - dodał Oswald powoli, jakby przyjął sposób zachowania po niedawno pochowanym bracie bliźniaku.

- Niewiele jest koronowanych głów, które z takim wdziękiem traktowałyby swoje zobowiązania towarzyskie, a z pewnością żadna nie robiłaby tego z taką ochotą - wyjaśnił Meyer. - Jest to sprawa, która sprowadza go do Nowego Orleanu, ale nie za dobrze mu idzie. A tu, na dodatek, odrzuca się jego zaproszenie.

- Nie mam z tym nic wspólnego. Ale to i tak nie zmienia faktu, że nie mogę z wami pójść...

- Musi pani.

- Nie mam niczego, co mogłabym włożyć na taką okazję.

Oswald wystąpił do przodu i położył na łóżku pudło, które dotychczas trzymał w ręku.

- Książę przewidział taką przeszkodę. To zostało kilka dni temu zamówione na pani miarę.

Ponieważ Angelinę nie ruszyła się, by rozpakować pudło, Oswald sam rozwiązał wstążkę i zdjął wieko. W środku leżała suknia z najdelikatniejszego jedwabiu: wyglądała jak zwiewny, gęsi puch rozwieszony na pajęczynie. Górną część sukni zdobiły hafty, które nadawały odpowiednią sztywność kołnierzowi zamykającymemu dyskretny dekolt.

- Co... ja nie... ja nie mogę czegoś takiego... przyjąć...

- Jeśli to zrobisz, to już Madame się postara, żebyś tego pożałowała - syknęła Maria.

- Zaraz ty pożałujesz, jeśli się jeszcze choć raz odezwiesz - huknął na nią Gustave.

- Jest pani w areszcie? - spytał Meyer. - Możemy zaraz porozmawiać z każdym, kto się odważył panią zamknąć.

- Nie... to znaczy, niezupełnie... tak.

- To czemu się pani zastanawia? Mogę panią zapewnić, że bardzo mu pani pomoże, pojawiając się na balu. Mówi się, że porwał panią z domu ciotki i bardzo panią skrzywdził. Jeśli zobaczą, że jest pani z nim na przyjacielskiej stopie, będą musieli uznać, że to czcze wymysły.

Angelinę popatrzyła w oczy Meyera. Dostrzegła w nich życzliwość i coś na kształt żalu, że musi przekazać jej zaproszenie w takim kontekście.

- Stracił panią z oczu i jest zdecydowany, by panią przynajmniej zobaczyć, skoro na razie nie może zrobić nic więcej - dodał Gustave.

- Ta kobieta tutaj uczesze pani włosy. Przedstawia się jako pokojówka Madame - rzekł Oswald. - Na dole mamy powóz, który zawiezie panią na miejsce.

- Proszę, nie - rzekła i uniosła dłonie do oczu, ale wiedziała, że to nic nie pomoże.

- Pod groźbą najsroższych kar przykazano nam nie używać siły. Ale ten zakaz nie obejmuje księcia - powiedział cicho Meyer.

- Zgoda. Ale musicie poczekać, aż Maria zrobi mi włosy.

- Już my dopilnujemy, by wykorzystwała wszystkie swoje umiejętności - przyobiecał Gustave. - W przeciwnym razie obejrzy, jak wygląda dno Missisipi.

Groźba była wystarczającą zachętą. Maria kunsztownie ułożyła włosy w koronę, kilka loków opuściła na ramiona. Pomogła jej założyć suknię, jedwabne pończochy i na

koniec - wyszywane srebrem buciki, które znalazła na dnie pudła. Na podziękowanie za pomoc nie zareagowała, ale podała Angelinę parę długich rękawiczek, poczekała, aż jej założy, i zapięła guziczki. Gdy skończyła, wyszła z pokoju i powiedziała czekającym na zewnątrz gwardzistom, że wszystko gotowe.

Angelinę przytrzymując ręką kraj sukni, wyszła z nimi z domu. Pomogli jej wsiąść do rozłożystego, utrzymanego w stylu paryskim powozu - własności ambasady. Meyer, Gustave i Oswald wskoczyli na siodła, a kiedy powóz ruszył - otoczyli go niczym honorowa eskorta.

Szybko zajechali pod budynek ambasady.

Po obu stronach bramy paliły się wielkie lampy oliwne w mosiężnych uchwytych, oświetlając przybywającym gościom wejście na schody. Okna wyglądały jak prostokąty złotego światła wylewającego się w ciemność nocy. Wesołe dźwięki skrzypiec, waltorni, harfy i klawesynu rozbrzmiewały w powietrzu, a po sali prawie w rytm tej muzyki przesuwali się dwaj czarni chłopcy, roznosząc napoje.

Kiedy Angelinę wysiadła z powozu, szmer podziwu przebiegł przez zebranych za bramą gapiów. Przez chwilę pomyślała, czy i ciotka znajduje się w tym tłumie, ale zaraz odpędziła od siebie tę myśl jako nieprzyzwoitą. Puściła trzymany dotąd w ręku kraj sukni i pozwoliła mu swobodnie sunąć po schodach, gdy szła w stronę otwartych drzwi oparta na ramieniu Meyera.

Weszła i uśmiechnęła się, gdy została przedstawiona konsulowi Francji oraz jego małżonce, z uśmiechem i niewystudiowanym wdziękiem skłoniła się Rolfe'owi, który ujął ją pod rękę. Uśmiechała się nawet wtedy, gdy napotkała poważny wzrok Leopolda. Dopiero teraz mogła swobodnie odetchnąć po tych wszystkich powitaniach. Mimo że Rolfe zwracał się do niej po imieniu, ścisnął jej rękę, nie odważyła się podnieść wzroku

ponad błękitną wstęgę na jego piersiach, na której widniało jakieś wysokie odznaczenie. Była niemądra: przecież on zaraz się domyśli, że coś jest nie w porządku. Ale spróbuje użyć wszelkich kobiecych sztuczek, by nie zdradzić mu prawdy. Po co ma wiedzieć, jak bardzo pragnęła znaleźć się przy nim? Co dobrego może wyniknąć z tego, że dowie się, iż spodziewa się jego dziecka? Ani jedno, ani drugie nie sprawiłoby mu radości. Zresztą ta druga sprawa to był jej problem, wyłącznie jej.

- Wygląda pani trochę spłoszona - odezwał się do niej Meyer. - Obawiam się, że zbyt panią przynagliśmy. Może by się pani czegoś napiła? Jest grzane wino, mrożony szampan, jest napój z kwiatu pomarańczy, który zdaje się cieszyć największym uznaniem nowoorleańskich dam.

- Proszę o ten napój - odparła i gdy Meyer odszedł, zaczęła się rozglądać po sali.

Nie było żadnej przesady w stwierdzeniu, że obecne tu panie przyszły w swoich najelegantszych toaletach. Były stroje z dalekowschodniego jedwabiu i lionskiego aksamitu, ozdobione koronkami i biżuterią, laminowane futrem i podszyte atłasem. Były brokaty i lamy. W świetle dwóch tysięcy świec błyszcząły diamenty na szyjach, rękach i w uszach. Wielobarwny odbłask szmaragdów, rubinów i szafirów igrał na ścianach, a w powietrzu mieszały się zapachy najdroższych perfum, niczym woń kadzidła pod sklepieniem katedry.

- Proszę bardzo - rzekł Meyer, stając ponownie u jej boku.

Ostrożnie wzięła szklanekę do rąk, podziękowała i uniosła do ust. W nozdrza uderzył ją zapach kwiatu pomarańczy. Nudności, jakie nagle poczuła, zdawały się ścinać z nóg, zupełnie jak proszki od bólu głowy, które zaaplikował jej Andre. Napój ten, podobnie jak narkotyki, robiono z wyciągu maku pakistańskiego.

Powinna to była wiedzieć: ciotka używała go często na uspokojenie nerwów.

- Co się stało? - spytał Meyer, odgradzając ją sobą od reszty gości; wyjął szklanę z jej drżącej ręki, drugą zaślaniała sobie usta.

- Nie, nic - powiedziała cicho i potrząsnęła głową. - To zaraz przejdzie.

- Jest pani pewna?

Skinęła głową, zmusiła się do bladego uśmiechu i opuściła rękę, gdy atak zaczął mijać. Nie była pewna, czy Meyer uwierzył. Przyglądał się jej skórze, która, mimo chwilowej niedyspozycji, wyglądała jak skórka moreli. Patrzył też na biel jej piersi, które dyskretnie wyłaniały się ze stanika. Rozglądała się za czymś, czym mogłaby odwrócić jego uwagę od siebie. Zauważyła, że szpaler witających już się rozprasza, a Rolfe, razem z żoną konsula, obchodzi salon. Na jego piersi, na błękitnej wstędze, wisiał krzyż maltański z emalii i złota, wysadzany diamentami, szafirami i rubinami.

- Proszę powiedzieć mi coś o odznaczeniu, które nosi Rolfe. Co to takiego?

Meyer spojrzał na księcia i jego order.

- Jest to odznaczenie ustanowione przez dziada obecnego króla w 1726 roku, nadawane za zasługi tym, którzy dowodzili wojskami w obronie ziemi Ruthenii. Rolfe otrzymał je kilka lat temu za udział w niewielkiej wyprawie przeciwko naszym sąsiadom z północy - przerwał na chwilę, ale zaraz zaczął mówić dalej: - To Max nalegał na tę dekorację. Ich ojciec - to znaczy, nasz ojciec - chciał tego unikać, zwłaszcza że Max nie brał czynnego udziału w wyprawie i nie mógł go otrzymać.

- Jest pewnie dumny, że je nosi?

- O ile wiem, niczego nie ceni wyżej - zgodził się z nią Meyer.

Podczas ich rozmowy Rolfe niepostrzeżenie wymknął się pani konsulowej i zniknął. Angelinę pochłonięto oglądanie gęstniejącego tłumu, lśniącego bielą i złotem.

- Władcza i czarująca zjawo, oszałamiająca umysł i wzrok, niedościgniona w tym domu, w tym mieście, na tym kontynencie i na całym świecie, piękna Angelinę, zatańczysz ze mną w pierwszej parze? - zapytał, stając za nią.

Nie była to dla niej najlepsza chwila do podjęcia wyzwania, jakim był on sam, ale musiała to zrobić. Obróciła się w jego stronę, zmusiła do uśmiechu, a słowom starała się nadać lekkość, by dostroić się do lekkości jego tonu.

- Chętnie. Ale sędzę, że twoim obowiązkiem jest poprowadzić w tym tańcu gospodynię przyjęcia.

- Ma sterczące zęby, a suknię, którą ma na sobie, nosiła już wtedy, kiedy tu było gorąco. Wolę, skoro już muszę, te taneczne podrygi robić z tobą.

Jego błękitne oczy były trochę za jasne. Pewnie pił. Nastrój miał tak radosny i beztroski jak wtedy w nocy, w domku myśliwskim, kiedy przegrywał i wygrywał panie dostarczone przez M'sieur de la Chaise i jak strzelaniem współzawodniczył o względy młodej Akadyjki. Pamiętała jednak, że picie w najmniejszym nawet stopniu nie przyciemniało jego umysłu.

- Będzie to potwierdzeniem, że godzę się na wszystko, nie sądzisz? Równie dobrze można by wywiesić afisz z informacją, że jestem twoją utrzymanką.

- Czemu nie? Tylko że to byłoby nieprawdą.

- Co to ma za znaczenie dla tych ludzi, skoro i tak wolą myśleć, jak myślą.

- Jesteś rozgoryczona, słodka Angelinę? Nie chciałem tego. Ale podaj mi rękę, a ja postaram się dać im powody do myślenia, że jeśli były jakieś chmury i burze, to teraz robię wszystko, by uczciwie zło naprawić.

Pozwoliła się wyprowadzić na parkiet i rzeczywiście jego manierom nie można było nic zarzucić. Spoglądał na tłum otaczający salę i czekający, aż zacznie taniec. Ukłonił się najpierw w jedną, a potem w drugą stronę, ze wzrokiem ponad głowami, a kiedy rozpoczął walca, zachowywał się tak, jakby była jego o dziesięć lat młodszą siostrą.

To było przygnębiające doświadczenie. Ale przyjrzała się jego nieruchomym rysom, jej usta mimowolnie złożyły się do uśmiechu. Tak szeroki wachlarz emocji był dla niej samej zaskoczeniem. Bezwiednie pokręciła głową.

- Co? Nie podobają ci się moje starania? - spytał, usiłując zajrzeć jej w oczy.

- Nie, bo w nich nie uczestniczę. Skoro ty jesteś znudzony, to jak ja powinnam się czuć?

- Przestraszona? - spytał z niewinną miną.

- Nie sędzę.

- To może wdzięczna?

- Nie - odparła już trochę niechętnie.

- Czy doprawdy nie ma tu nic, co mogłoby cię zabawić? Nic, czym można by ci zawrócić w głowie?

- Może to dziwne, ale nic mi tutaj nie odpowiada - odparła już zupełnie cierpko.

- Za to mnie odpowiada. Ale jedno jest tu zabronione: patrzeć na mnie wilkiem.

- Wcale tego nie robię!

- Robisz. I to mnie niepokoi. A może mam plamę na kołnierzu?

- Wiesz dobrze, że nie.

- Wiem tylko tyle, że zapłaciłem dużo pieniędzy Sarusowi, żeby wszystko było w porządku. Tak na marginesie - Sarus jest znowu ze mną.

- Jest na pewno zadowolony.

- Wniebowzięty! Przez cały dzień wysłuchuję jego utyskiwań, że podczas wyprawy do Ziemi Niczyjej

zniszczyłem mundur. Myślę, że brakuje mu damskich strojów do prania, bo ciągle dopytuje się o ciebie.

Przyciągnął ją bliżej. Spojrzała na niego niespokojnie.

- Całodzienne pilnowanie nie wchodzi już w grę, niemniej przekaz mu moje pozdrowienia i powiedz, że czuję się dobrze. A jeśli idzie o stroje, to dziękuję ci za suknię, jest zachwycająca.

- Drobiazg - powiedział jakby mimochodem, ale zaraz dodał odrobinę ostrzej: - Od Andre Delacroix dostawałaś przecież podobne rzeczy. Więc co to za prezent.

Odchyliła się, a w jej szarzielonych oczach dostrzegł groźny błysk.

- Od jego matki, która mnie zna od dzieciństwa. To zupełnie co innego!

- Ale nie możesz zaprzeczyć, że zrobiła to za jego namową?

- Może i tak, ale nie masz prawa robić mi wyrzutów...

- Miałem zawsze najlepsze intencje. Przyjmij to jako moje epitafium.

- O czym ty mówisz?

Uśmiechnął się rozbrajająco.

- Wszystko, co było między nami, było poważne.

Zaczynał się niepewny grunt. Zmobilizowała wszystkie swoje umiejętności, by zmienić temat.

- Wiem chyba coś, co muszę ci powiedzieć. Widziałam Claire.

- Gdzie?

Jego spojrzenie pozostało ciepłe.

Opowiedziała mu, teraz bardziej pewna, że nie ma to dla niego większego znaczenia, bo z całą pewnością ma swoje własne źródła informacji.

- Szkoda, że straciłaś ją z oczu. Była sama?

- O ile widziałam - tak.

Skinął głową, choć bez przekonania.

- Wolałbym, żebyś już nie śledziła służącej ciotki. To nie są żarty. Życie Claire może stać się stawką w grze, jeśli odnajdzie ją jako pierwsza osoba niewłaściwa. To samo może dotyczyć ciebie. Boję się, że trzymanie cię przy sobie może być poważnym zagrożeniem dla ciebie, ale z drugiej strony męką mi jest myśl, że sama możesz ściągnąć na siebie niebezpieczeństwo, kiedy mnie przy tobie nie będzie.

A więc nie miała racji: jej informacje były ważne. Ale najważniejsze było to, co pośrednio dał jej do zrozumienia: ani Claire, ani informacje o niej nie były tak ważne jak ona sama.

Zanim jednak zdążyła o cokolwiek zapytać, orkiestra przestała grać. Rolfe spojrzął jej w oczy, a potem ujął pod ramię i poprowadził do miejsca, gdzie stała Madame Delacroix z dwiema starymi damami, z którymi Angelinę już się spotkała. Uniósł jej dłoń do ust, ukłonił się damom i odszedł.

- Cudownie dzisiaj wyglądasz - powiedziała Helenę dość zimno. - I co najmniej jeden mężczyzna myśli tak samo jak ja. Ale księżę był zniewalający.

Młodsza z dam z westchnieniem złożyła na piersiach kościste ręce.

- To było wzruszające, jak cię pożerał wzrokiem.

- Ja nie... niczego takiego nie dostrzegłam - zaprzeczyła Angelinę.

- Nie wszyscy są tak spostrzegawczy jak my dwie, zresztą już wcześniej widziałyśmy was razem - starsza siostra poparła młodszą. - Ale nie musisz się denerwować.

- Panie nie rozumieją...

- Z niczego nie musisz się tłumaczyć, *ma chere* - rzekła starsza z dam, dotykając jej ramienia wachlarzem o uchwycie z poźółkłej kości słoniowej. - Od lat już się tak nie bawiłam i tak chętnie nie wracałam myślą do swej młodości. Zgrzeszyć z kimś takim to *bagatelle*, bez

znaczenia, chyba że dla samej grzesznicy. Takie sprawy trzeba wybaczać tym królewskim hultajom, ale także kobietom, na których spoczął ich wzrok.

Coś, jakby wspomnienie młodości, rozjaśniło jej twarz; zaraz jednak zaczęła mówić dalej.

- I w ten sposób będę mówiła każdemu, kto by się odważył powiedzieć o tobie coś złego w mojej obecności. Zresztą, gdyby ktoś powiedział o tobie coś złego, byłaby to wyłącznie czysta zazdrość.

Podszedł do nich Andre. Damy wymieniły między sobą spojrzenia i zmieniły temat. Gdy orkiestra zaczęła grać, Andre pospiesznie poprosił Angelinę do tańca. Nie potrafiła znaleźć żadnego rozsądnego powodu, by mu odmówić.

- Odeszłaś od nas bez pożegnania - powiedział, gdy już dostatecznie oddalili się od dam i matki.

- Wiem i bardzo mi z tego powodu przykro, ale moja ciotka przyjechała po mnie.

- Pewnie wini cię za zniknięcie Claire? Dobrze cię traktuje?

- Znośnie.

Nie uznała za konieczne, by wtajemniczać go w swoje problemy, zwłaszcza że nie życzyła sobie, by cokolwiek w tej sprawie robił.

- Mam co do tego pewne wątpliwości. Powtarzała mi za każdym razem, gdy o ciebie pytałem, że nie ma cię w domu, chociaż wiedziałem, że to nieprawda. Ale dajmy temu spokój. - Z wielką powagą popatrzył jej w oczy. - Muszę z tobą porozmawiać. Nie zakończyliśmy jeszcze pewnej sprawy, dotyczącej nas obojga. A jest pilna, przynajmniej dla mnie.

- Nie wiedziałam, że próbowałeś się ze mną kontaktować.

- Na moje listy też nie odpowiadałaś.

- Nigdy do mnie nie dotarły.

- Gdybyś dała mi jakikolwiek znak, że chcesz się ze

mną widzieć, nawet siłą wdarłbym się do środka. Ciotka nie ma prawa cię więzić.

Źle zrozumiał brak zachęty z jej strony.

- Nie o to chodzi, Andre. Twoja troskliwość jest zadziwiająca. Ale nie jestem pewna, czy mogę dać ci odpowiedź, o jaką ci chodzi.

- Proszę cię o niewiele.

- Wiem - odparła i popatrzyła w jego szczerą, śniadą twarz, z wąsikiem nad śmiejącymi się ustami - ale zasługujesz na więcej.

Rozdzielili ich gwardziści. Po kolei zapraszali ją do tańca. Rolfe w tym czasie musiał tańczyć z żonami zgromadzonych tu dygnitarzy. Zastanawiała się, czy gwardziści tańczyli z nią z własnej inicjatywy, czy taki dostali rozkaz. Gustave, czerwony na twarzy, zatańczył z nią dziarsko jakiś taniec ludowy. Z Meyerem tańczyła walca. Leopold, z ruchliwością żywego srebra, z gracją w najlepszym stylu, był jej partnerem do kadryla. Oswald kłaniał się przed nią w dworskim menuecie, który wszedł w modę, gdy na tron francuski powrócili Burbonowie. Maniery miał bardzo dystyngowane. Tak jak pozostali, na rękawie białego munduru nosił czarną opaskę. Był pełen kurtuazji, troskliwy, z ciepłym uśmiechem na twarzy, co bardzo upodobało go do Oscara. Angelinę, obserwując go kątem oka, miała dziwne uczucie, że to Oswald zginął, a ona tańczy z Oscarem.

Rozważania pochłoneły ją na tyle, że nie ścigała już wzrokiem księcia, a nawet zapomniała o swojej niedyspozycji. Postanowiła tylko, że do końca wieczoru nic już nie będzie piła.

Rolfe za to pił dużo.

- Robi tak - rzekł Meyer, stając obok niej - od czasu, gdy dotarliśmy do Nowego Orleanu, od kiedy zaczął przeglądać czekające tu na niego depesze. Pewnie ma powody ku temu. Nie znam ich treści, ale wiem, że

kilka było od ojca, z zarzutami, że zaniedbuje swoje obowiązki. Inne pochodziły od ministra finansów na temat jego wydatków, wreszcie - od ministra spraw zagranicznych o możliwości zaręczyn z jakąś bawarską księżniczką.

- To wystarczająco dużo, by każdego wyprowadzić z równowagi - powiedziała z wysiłkiem - a już zwłaszcza kogoś, kto ma tu do spełnienia takie zadanie.

- Zgadzam się. Ale jego energia jest niewyczerpana. Śpi bardzo niewiele, bo nadal poszukuje pani kuzynki, uczestniczy w ciągłych zabawach, ma czas dla drobnych handlarzy i cyrulików, którzy mogliby mu udzielić informacji. Oprócz tego udało mu się umocnić związki między waszym krajem a Ruthenią i jakby jeszcze tego było mało, sam odpowiada na całą otrzymywaną korespondencję.

- Wygląda na to, że potrafi genialnie organizować swój...

- I robi wszystko bez odkładania spraw na później. Martwi to tych, którzy są z nim, szczególnie teraz, kiedy niemal widać koniec naszej wyprawy.

- Ma jakieś wiadomości o Claire? - przerwała mu.

- W tej sprawie jest bardzo ostrożny i nie można mu tego brać za złe. Ale to bardzo możliwe.

- Jeśli tak jest, to czemu nic nie robi?

- Kto to może wiedzieć. Może tym razem chce mieć absolutną pewność, że ofiara mu się nie wymknie?

Może być też tak, pomyślała Angelinę, że nie dowierzając nikomu, utrzymuje ich wszystkich w niepewności.

Gdy zapowiedziano ostatni taniec przed kolacją pojawił się Rolfe, ujął jej dłoń, poprowadził na parkiet i wśród tuzinów innych roześmianych, rozgadanych par otoczył ją ramieniem i rozpoczął taniec. Obejmował ją bez słowa, ale teraz nie było w tym obojętności jak w pierwszym tańcu. Tulił ją, nie zwracając uwagi na

całe otoczenie. Twarz miał poważną, całą uwagę skupioną na niej, nikogo więcej zdawał się nie widzieć. Można było odnieść wrażenie, że to milczące pożegnanie.

Jego ramiona były jak bezpieczna przystań, gdy prowadził ją w tańcu po sali. Czuła się bezpieczna, zamknięta w maleńkim kręgu intymności. Każdym nerwem wyczuwała jego bliskość, obecność jego mocnego męskiego ciała, siłę, nad którą doskonale panował. Słyszała bicie własnego serca. Na całym ciele czuła podniecające mrowie i tylko gdzieś głęboko w krtani dusiła ból rodzący łzy. Uświadomiła sobie, że myśli o nocy, kiedy się po raz pierwszy spotkali, o jego bezceremonialnym nagabywaniu na środku salonu. Jak inaczej traktował ją teraz i jak bardzo by chciała, żeby było jak przedtem i - na zawsze.

Zrozumiała, że zaprosił ją tu dzisiaj, aby jak powiedział u Heleny w domu, przywrócić ją tutejszej społeczności, naprawić to, co niechcący zniszczył. Była mu za to wdzięczna, ale bała się, że jego wysiłki nie na wiele się zdadzą.

- Nie znudziło cię to całe bractwo? Te podrygi i jazgotanie? Ja muszę tu zostać do końca, gapić się, kręcić w koło i dopijać letni szampan. Jeżeli zechcesz wracać do domu, możesz to zrobić w każdej chwili.

Czuła się trochę zmęczona. Chyba będzie najlepiej, jeśli teraz, w szczytowym punkcie zabawy, wyjdzie stąd wesoła i z podniesioną głową, zamiast tkwić tu i przyglądać mu się płonącymi oczami aż do chwili, gdy i tak będzie musiała wyjść.

- Masz rację. Na dzisiaj wystarczy.

Odwoził ją Meyer. Siedział cicho w głębi powozu i przez pierwszy odcinek drogi nawet nie próbował nawiązać rozmowy. Dopiero po jakimś czasie odwrócił się do niej, obserwując jej profil, rysujący się wyraźnie na tle okna, za którym paliła się oświetlająca drogę lampa.

- Zastanawiam się, czy może pani... myślała o mojej propozycji... sprzed paru tygodni? - spytał niskim, cichym głosem.

- Myślałam o czymś innym: czy pan sam o niej nie zapomniał albo żałował, że ją wypowiedział - odparła wówczas cicho.

- Co też pani mówi! Tyle że tymczasem pojawiły się inne problemy, inne okoliczności, jak chociażby ucieczka, jeśli tak to można nazwać, z młodym Delacroix...

- Tak. I nie stawiam panu zarzutu, jak by to powiedzieć, opieszłości. Trudno pana winić za to, że ma pan wątpliwości. Powinnam była od razu zastanowić się nad pańską propozycją i odpowiedzieć, że z niej nie skorzystam.

Ponieważ przez jakiś czas się nie odzywał, spytała:

- Może pana obraziłam? Zapewniam pana, że nie miałam takiego zamiaru. Zawsze będę panu wdzięczna za pańską troskliwość, za ratowanie mnie w tak szczególnych okolicznościach. Ale nie wydaje mi się, by całkowite zdanie się na pańską dobrą wolę było dobrym rozwiązaniem. Żadne z nas nie byłoby szczęśliwe.

Przysunął się bliżej, jakby chciał jej dotknąć, wziąć w ramiona, ale ponieważ wtedy właśnie powóz zaczął zwalniać, a Leopold na koniu zrównał się z oknem pojazdu - cofnął się na poprzednie miejsce.

- Przykro mi, że pani odpowiedź jest odmowna. Wolałbym, żeby wypadki potoczyły się inaczej...

- Gdyby wypadki potoczyły się inaczej i my zapewne bylibyśmy inni - szepnęła.

- Tak - potwierdził suchym tonem i otworzył przed nią drzwiczki pojazdu.

Nikt nie pomagał jej w zdejmowaniu ozdób, rękawiczek, ciężkiego trenu, rozpinaniu długiego rzędu perłowych guziczków na plecach. Madame de Buys z siostrą były w domu - widać było światło w salonie, ale drzwi do niego były zamknięte, jakby się bały jej najścia.

Zdjęcie sukni zajęło jej dość dużo czasu, ale w końcu udało się i piękny strój znalazł się w szafie. Narzuciła na siebie znoszony szlafrok i wyjęła szpilkę z włosów, pozwalając im opaść swobodnie na plecy. Wzięła szczotkę, zaczęła je wolno rozczesywać. Potem zdmuchnęła świecę i położyła się na wąskim łóżku.

Nie miała nadziei na szybkie zaśnięcie, była zbyt przejęta. Leżała wpatrując się w ciemność: po jakimś czasie zapomniała, gdzie jest. Zapadła w półsen.

Wzdrygnęła się. Leżąc bez ruchu, usiłowała rozejrzeć się dokoła. Była noc, zupełnie ciemno, bez śladu brzasku, bez gwiazd.

Nie potrafiła powiedzieć, co ją zbudziło - tylko napięte nerwy zdawały się o czymś ostrzegać. Powoli zaczęła nabierać pewności, że nie jest w pokoju sama.

Oddech stawał się urywany, zmysły wyczulone na najmniejszy ruch, na najcichszy szelest. Mięśnie chwycił kurcz. Czas przestał istnieć. Gdzieś zapał kogut. Podmuch wiatru poruszył gałązki winorośli, tak że otarły się o cegły muru.

Zwilżyła wargi.

- Ciociu Berthe?

- Żadna stara baba, żaden nocny złodziej. To ja.

Głos dochodził od strony drzwi. Obróciła się w tę stronę.

- Rolfe?!

- Jeśli możesz, powstrzymaj się od zbyt głośnych powitań.

- Ale jak... skąd się tu wzięłeś? Po co?

Przeraził ją ledwo hamowany śmiech w jego głosie. Zaskrzypiał materac, gdy siadała na łóżku. Szybkim ruchem głowy odrzuciła włosy na plecy.

- Po to samo, po co żebrak zbliża się do cennego relikwiarza: by otrzymać błogosławieństwo.

- Powinieneś być chociaż zapukać.

- Żeby mnie wyproszone? Ryzyko było zbyt wielkie.

Tylko po zmieniającym się kierunku, z jakiego dochodził głos, domyślała się, że się zbliża - poruszał się bezgłośnie. Dreszcz przeniknął jej ciało. Ale zaraz też ogarnęła ją złość. Jak to może być, że tak łatwo udaje mu się ją podniecić, grać na jej zmysłach? Najpierw ją odsyła, potem chce z nią być, włamując się do jej pokoju.

- Wyjdź - powiedziała zdecydowanie. - Wypraszam to sobie. Nie ma znaczenia, kim jesteś, takich rzeczy robić nie wolno.

- Wszedłem tu forsując bramę, wspinając się po niebezpiecznych schodach pod okiem smoka i teraz miałbym odejść bez nagrody?

Był bezczelny - śmiał się z niej. Był na pewno pijany i dla żartu, dla kaprysu gotów narazić ją... Nieważne na co. Sam fakt, że chciał ją potraktować jak zabawkę, doprowadzał ją do białej gorączki.

- Będziesz musiał - powiedziała dobitnie.

- Nie przywitasz mnie, Angelinę? Nie pocałujesz? Bez targowania się. Jak mam żyć? Snem? Wspomnieniami?

Na ramieniu poczuła ciepły dotyk. Cofnęła się.

- Snem jest twoja obecność tutaj. Wyjdź, a wszystko będzie tak, jakby cię tu nigdy nie było.

- Wyjść stąd, zostawić cię śpiącą, zwinętą w kłębek, bezbronną i nieutuloną w tę zimną noc? Jestem mężczyzną, a nie duchem, który pojawia się i znika na życzenie. Moje pragnienie posiadania ciebie jest jak płomień spalający wolę i serce. To ono doprowadziło mnie tutaj.

Czuła, jak w miarę mówienia jego głos nabierał ostrzejszych tonów. Cofnęła się, gdy wyciągnął w jej stronę rękę. Z kocią zwinnością przerzuciła nogi na drugą stronę stojącego niemal przy samej ścianie łóżka. Stopami dotknęła podłogi i przykucnęła, słysząc jego kroki na dywanie, podchodził do drzwi, by odciąć jej drogę ucieczki. Nachyliła się i wsunęła pod wysoką

ramę łóżka. Na ramionach poczuła delikatne łaskotanie pajęczyny.

Zastygła w bezruchu, starając się wychwycić uchem nawet najcichszy szmer. Szeroko otwartymi oczami usiłowała przebić czerń nocy, by w porę zauważyć jego biały mundur, gdyby się zbliżał.

Nie było jej tu wygodnie. W miarę mijających sekund coraz mocniej musiała zaciskać zęby, by się nie poddać. Trudno było przez tak długi czas powstrzymać oddech. Drżała z gniewu, napięcia i jakiegoś szczególnego rodzaju podniecenia.

Jemu nie pozostało nic innego, jak stać na miejscu i pilnować, by nie uciekła z pokoju. Jeśli chce wyjść, musi usunąć go z drogi. Z największą ostrożnością wzięła poduszkę z łóżka i rzuciła w odległy kąt pokoju, możliwie najdalej od drzwi.

Skrzypnęła deska w podłodze, gdy skoczył w stronę, skąd doszedł go odgłos uderzającej o ścianę poduszki. Jeszcze zanim ta upadła na podłogę, Angelinę wysunęła się spod łóżka i dopadła klamki.

- To stary chwyt i mnie na niego nie nabierzesz - rzeki stając przy niej i z trudem hamując śmiech.

- A to? - zawołała zduszonym głosem i zaciśniętą pięścią uderzyła w ciemność, kierując cios w stronę, skąd dochodził głos.

Tego się nie spodziewał, ale zdążył cofnąć głowę na tyle, że jej pięść tylko otarła się o jego wargi. W to uderzenie włożyła cały swój gniew. Wyczuł to i po raz pierwszy od dawna nie wiedział, co zrobić. Ta chwila jego zawahania wystarczyła jej, by nacisnąć klamkę i wymknąć się z pokoju. Rzuciła się w stronę schodów wiodących na podwórze.

Usłyszała ciche przekleństwo, gdy ruszył za nią. Chwytiła ręką kraj nocnej koszuli, by na nią nie nadepnąć, i z rozwianymi włosami zbiegła w dół. Schody, niezbyt mocne, zatrzęsły się pod jego nogami.

Czuła, że ją dogania, ale nie oglądała się za siebie, dudniąc bosymi stopami po stopniach. Byle tylko dopaść podwórza - tam można się już gdzieś ukryć.

Poczuła dłoń na ramionach. Rzuciła się do przodu. Już chciała krzyknąć, gdy żelazna ręka chwyciła ją w pasie, aż się zgięła w pół. Szarpnęła się jeszcze raz i razem stracili równowagę. Zanim zdążył chwycić się chwiejnej poręczy, już polecieli w dół. Wylądowała na nim jak na poduszce. Leżała bez ruchu, z głową na jego barkach, dysząc ciężko, czując tylko mocne uderzenia jego serca.

- Nic ci nie jest? - spytał lekko przerażonym głosem, przesuając dłonie wzdłuż jej ciała.

Z zamkniętymi oczami czekała, aż poczuje jakiś ból, ale nic takiego nie następowało.

- Myślę, że nie.

Jego uchwyt zelżał. Miała wrażenie, że ustami dotyka jej włosów.

- Jesteś zwinna i niebezpieczna. Wygląda na to, że dużo się przy mnie nauczyłaś.

- Nie tyle, by cię pokonać.

- Jeśli to moje zwycięstwo, to wcale się nim nie cieszę.

- Zraniłam cię? - nie mogła się powstrzymać od zadania tego pytania.

- Na zawsze pozostanie mi blizna. Zobaczę.

Puścił ją, ale zamiast swej twarzy, dotknął jej bioder, przesunął dłonie w górę, objął pełne piersi.

Obróciła się trochę, odchyliła głowę do tyłu, usiłując popatrzeć mu w twarz, ale zobaczyła nad sobą tylko niewyraźną plamę. Jej gniew gdzieś się rozplątał, pozostawiając po sobie niepokojącą pustkę. Uniosła rękę, by dotknąć jego warg. Natknęła się na wilgotną, małą strużkę krwi w kącie ust.

- Bardzo niewielka.

- To bez znaczenia. Idzie o ranę na duszy, której nie da się wyleczyć. Jest bardziej bolesna niż nienawiść

mego ojca, niż nagła, niepotrzebna śmierć mojego młodego druha. Śmiertelna nie jest, chociaż gdy pomyślę, ile bólu mi przysporzy, pewnie wolałbym, by taka była.

Królewskie więzy krwi - to nie była jego wina. Nie było jego winą, że nieprzekraczalny mur pozycji i obowiązków oddzielał ich od siebie. Starał się nią opiekować i pomagać jej tam, gdzie każdy inny o jego pozycji i randze dawno by ją zostawił, by cierpiała w samotności. Jeśli przyszedł tutaj, nie zważając, jakie to może mieć skutki dla niej, to nie zastanawiał się również nad konsekwencjami dla siebie samego. I jeśli z początku wydawał się rozbawiony, teraz ten wesoły nastrój minął mu całkowicie. Pozostała udręka.

- Pozwolisz mi ją wyleczyć? - spytała.

- Jak? Przecierając ją wyrzutami niczym szorstką szmatką? A może narzekaniem?

- Nagrodą, jakiej szukałeś. Miłością, radością.

Dech mu zaparło. Leżał bez ruchu. W końcu, jakby słowa wydostawały się z niego wbrew jego woli, zapytał:

- Za jaką cenę?

- Nie będę liczyła. Tego nie można policzyć. Nigdy.

- Dar przez łyzy? - spytał cicho, niepewnie.

Angelinę nawet nie zauważyła, że płacze.

- Mówi się, że ból bywa błogosławieństwem - szepnęła niemal niedosłyszalnie.

- Sakramentalnym - powiedział bardzo wyraźnie.

Potem końcami palców dotknął jej łoż i przeżegnał się dotykając nimi czoła, piersi i obu ramion.

- Lecz jeśli to leczenie ma być sposobem na zapomnienie, nie przyjmuję go.

- Nie, nie - przerwała mu. - Pozwól, bym zachowała cię w pamięci, jeśli inaczej być nie może.

- Na zawsze ślubuję ci wiarę, bez końca, bez kresu.

Przesunął palcami wzdłuż delikatnej linii jej podbródka, uniósł go ostrożnie. Ich usta się spotkały. Smak krwi i łoż zmieszał się na językach, tworząc

nierozłączną jedność. Pocałunek się pogłębiał, nabierał mocy. Angelinę przyłgnęła do niego, uniosła ręce i objęła go mocno za kark. Piersią przywarła do jego piersi. Pełna rozpaczycy czuła, jak rozpala się w niej żar. Zapragnęła stać się jego częścią i by on stał się częścią jej. Z bolesnym westchnieniem zanurzyła palce w jego złotych włosach.

Jego usta łapczywie chłoneły jej usta, ramiona obejmowały coraz mocniej, jakby chciał skruszyć jej ciało i tym bólem wyprzeć wewnętrzne, intensywniejsze cierpienie. Zagubieni w rosnącym pożądaniu nie zdawali sobie sprawy, gdzie się znajdują, nie czuli, że leżą na twardych schodach. Pochłonięci sobą, stracili rachubę czasu i poczucie miejsca - ważna była jedynie ta chwila.

Zdjęła ręce z jego karku i drżącymi palcami zaczęła rozpinąć guziki jego płaszcza, wsunęła dłonie pod kurtkę munduru i pod koszulę. Potem sięgnęła niżej i rozpięła guziki spodni. Szybko zdjął z siebie błękitną wstęgę z krzyżem maltańskim. Kilkoma ruchami zrzucił z siebie koszulę i spodnie. Potem jednym płynnym ruchem zdjął z niej nocną koszulę. Uniósł się nad nią, rozsunał jej uda i zanurzył się w niej. Wstrzymała oddech, otwartymi dłońmi oparła się o jego pierś, by zaraz potem chwycić go za barki i przydusić do siebie. Jęknęła głośno, z ulgą.

- Ciesz się ze mną, moja ty miłości - rzekł chrapliwym głosem, z ustami zatopionymi w jej włosach. - Przystani ty moja i moje niebo. To wszystko, co nam teraz wolno.

Zanurzył się w niej po raz ostatni. Potem przygarnął ją do siebie. Zwarci ze sobą nagimi ciałami, jeszcze chwilę oddychali ciężko.

Napięcie zaczęło opadać. Skóra, gorąca i błyszcząca kroplami potu, zaczęła stygnąć. Uniesienie, które na tę chwilę zagłuszyło wszystko - mijało.

Angelinę poczuła, jak ostry kant stopnia wpija się w jej biodro, bolała ją kostka zakleszczona między szczelbami poręczy. Ramiona owiał zimny powiew. Zadrżała.

Rolfe wydał z siebie jakiś dziwny dźwięk, coś między jękiem a zduszonym śmiechem. Ukląkł na jedno kolano, zebrał ich rozrzucone ubrania i położył je na jej łonie. Nachylił się, wziął ją na ręce, uniósł na wysokość piersi i powoli ruszył w górę po schodach.

Byli już prawie u szczytu, gdy z wychodzącego na podwórze okna sypialni padło na nich żółte światło świecy. Zaraz potem z hałasem otworzyły się drzwi i ciotka Berthe, z turbanem z brązowego i niebieskiego muślinu na siwych włosach, zagroziła im drogę.

- No, ładnie! - syknęła spojrzawszy na Angelinę, leżącą nago w ramionach Rolfe'a. Nie dała po sobie poznać, czy to, że Rolfe był również nagi, robi na niej jakiegokolwiek wrażenie. Patrzyła na nich z tryumfem, jakby to, że jest ubrana, stanowiło jej przewagę nad nimi.

- Dobry wieczór pani - rzekł spokojnie Rolfe.

Zignorowała jego pozdrowienie; szyderczo wyduła usta, patrząc na Angelinę.

- Zdawało mi się, że słyszałam jęczącą dziwkę.

Rolfe, pewny siebie, ubrany czy nagi, uniósł jedynie brwi, jakby się zdziwił.

- To wymysł pani chorej wyobraźni.

Ta odpowiedź sprawiła, że Madame de Buys przeniosła wzrok z Angelinę na Rolfe'a. Wyprostowała się i z nienawiścią w oczach wycodziła przez zęby:

- Żądam, byście się stąd wynieśli!

- Żegnaj - powiedział cicho i krótko - i niech cię diabli wezmą!

- Za wiele sobie pozwalasz! Nie ścierpię takiego zachowania w domu mojej siostry!

- A kto mnie powstrzyma? Może mam posłać po Meyera czy Leopolda, a może także Oswalda? Zrobimy powtórkę...

Domyśliła się od razu, że idzie o tych, którzy pamiętnej nocy rozebrali ją do naga. Cofnęła się natychmiast.

- Tego nie zrobisz!

- Miła kobieto, droga krewno Angelinę, któraś z takim oddaniem troszczyła się o nią, powiedz mi, czemu miałbym tego nie zrobić?

Angelinę przeraziła się. Poczwała litość dla tej starej kobiety.

Madame de Buys zadrżała z gniewu i... strachu. Odwróciła się i trzasnąwszy drzwiami zniknęła w sypialni. Rolfe wszedł do pokoiku Angelinę i delikatnie ułożył ją na łóżku. Potem spokojnie zamknął drzwi i wrócił do niej. Ubranie rzucił na podłogę, a sam położył się obok dziewczyny. Podciągnął kołdrę i szczerze okrył jej plecy.

Z policzkiem na jego ramieniu, całym ciałem wtulona w jego ciepło, powoli uspokajała się i rozgrzewała. Rozłożyła ręce na jego piersi, twarzą dotknęła miejsca, w którym obojczyk styka się z szyją i wsłuchiwała się w tętniącą w tym miejscu krew.

Czas uciekał. Do rana było niedaleko. Obrócił się, przytulił ją do siebie. Końcami palców przesuwawała wzdłuż twardej linii jego podbródka. Zapraszająco rozchyliła usta - natychmiast przyjął jej pocałunek.

I tak, szepcząc słodkie słowa, delikatnie, ale i zachłannie wnikali w siebie, poszukując się i odkrywając się ciągle na nowo. Aż nasyceni sobą, ze splecionymi rękami, przytuleni, pograżyli się we śnie.

Światło wstającego dnia sączyło się do pokoiku.

Gdy Angelinę się obudziła, był jasny dzień. Słońce złotą strugą wlewało się do środka. Odbijało się od królewskiego orderu Ruthenii, który razem z błękitną szarfą leżał, starannie ułożony, na poduszce obok niej.

Była sama.

Ko[^]d[^]iał

- XIX -

W kuchni, stanowiącej oddzielne skrzydło domu wdowy, czuć było wilgoć i pleśń. Tynk odpadał od rozmiękłych cegieł wewnętrznych ścian. W powietrzu unosiła się woń zmywania oraz gotowanych wcześniej potraw. Do południa Angelinę nie czuła głodu, walcząc z nudnościami, ale teraz, pod wieczór, chętnie by coś zjadła.

Uniosła pokrywkę garnka z zupą rybną, zimną i z kożuchem tłuszczu na wierzchu. Wzdrygnęła się i zakryła naczynie. Nie była też w stanie przełknąć kawałka węgorza, leżącego obok. Do jedzenia nadawał się jedynie kawałek chleba, ser i kilka gotowanych krewetek. Wzięła to wszystko, wyszła z kuchni i ruszyła na górę. Była już w połowie schodów, gdy z pokoju wyszła ciotka, ubrana jak do wyjścia. Na ramionach miała krótką pelerynę, kosz na ramieniu i czepiec mocno naciągnięty na oczy. Pewnie kryza tego czepca zasłoniła jej widok, bo zauważyła Angelinę dopiero gdy znalazły się obok siebie. Ale mogło też być tak, że specjalnie zaczęła schodzić w tej właśnie chwili. Zajęła niemal całą szerokość schodów. Z zaciętą twarzą, mijając Angelinę, omal nie zepchnęła jej na poręcz. Nie oglądając się za siebie, poszła w stronę furtki prowadzącej na ulicę. Dziewczyna popatrzyła za nią z ponurym błyskiem w oczach. Z jednej strony bolało ją, że ta stara kobieta tak ją traktowała - przecież to nie ona była winna nieszczęść Claire. Z drugiej strony była jednak zado-

wolona, że ciotka ją całkowicie ignoruje. Wyglądało na to, że pamiętając o groźbie Rolfe'a boi się zrobić jej jakąkolwiek krzywdę.

Ale coś jeszcze zaskoczyło Angelinę w ciotce. Dopiero po chwili uświadomiła sobie, co to było. Ciotka nie miała na sobie zwykłego wyjściowego stroju. Ubrana była w pelerynę i czepek Marii. W ręku miała też jej koszyk.

Ciotka udawała się na spotkanie z Claire. Wiedziała, gdzie ją znaleźć - to było jasne. Z pewnością chciała wyjść z domu niepostrzeżenie. Nie spodziewała się, że może natknąć się na Angelinę, która zazwyczaj przez cały dzień nie opuszczała swego pokoju. Może w swym zaślepieniu myślała, że w przebraniu służącej nikt jej nie rozpozna? Z pozoru było to niedorzeczne, bo różnica była widoczna z daleka - ciotka jest korpulentna, a Maria wyjątkowo chuda. Ale kto się przejmował kręcącymi się tu i tam służącymi? Chyba żeby ktoś specjalnie ją obserwował.

Czy Rolfe miał tu swoich ludzi? Chciałaby to wiedzieć. I to, jakie kroki podejmuje, by odnaleźć Claire. Powiedział jej, żeby już nie śledziła Marii. Dlaczego? Może znał miejsce ukrycia kuzynki? A może nie chciał jej w tę sprawę mieszać?

Nie wspomniał jednak, żeby nie śledziła ciotki.

Zawahała się na chwilę, ale zaraz zbiegła ze schodów i ruszyła do furtki. Jeśli się dowie czegoś o Claire, nie musi tego zaraz opowiadać Rolfe'owi. Chciałaby ją zobaczyć, przekonać się, jak żyje, czy jest zdrowa. Miała dużo pytań, na które brakowało jej odpowiedzi. To było straszne, tak ją zostawić na łasce losu. Przed oczami wciąż miała jej obraz: naga w rękach Hiszpana, z szeroko rozwartymi przerażeniem oczami...

Nagle rzuciła wszystko, co trzymała w ręku, i wybiegła za furtkę.

Ulice były niemal puste. W Vieux Carre hołdowano staremu hiszpańskiemu zwyczajowi południowej drze-

mki. Na czas jej trwania zamykano sklepy na godzinę czy dwie. Potem ponownie je otwierano i handlowano do późnych godzin wieczornych.

Zobaczyła ciotkę dość daleko przed sobą: szła szybko w stronę rzeki.

Dzień był ciepły. W powietrzu wisiał odór kałuż zajmujących środek ulicy. Potrzebny był duży deszcz, by spłukać śmiecie i brudy, resztki jedzenia i końskie odchody. Na deszcz się zresztą zanosilo. Z ożywczym podmuchem z północnego zachodu napływały kłęby ciemnych chmur. Angelinę nie traciła czasu na szukanie okrycia - miała nadzieję, że nie będzie go potrzebowała. Ubrana była w dość ciepłą suknię w szare i kremowe paski z długimi rękawami i wysokim kołnierzem. W razie deszczu zawsze mogła skryć się gdzieś pod galerijkę, otaczającą każdy niemal dom.

Ciotka Berthe ominęła rynek i poszła w stronę szeregu domów tyłem zwróconych do tamy, która w czasie wzbierania wód Missisipi chroniła miasto przed kaprysami rzeki. Kiedyś mieszkała tu śmietanka towarzyska, z czasem jednak, na skutek wilgoci i ciągłych zagrożeń powodzią, domy podupadły. Właściciele przeprowadzili się do wyżej położonych części miasta, pozostawiając powykrzywiane podłogi i liszaje na ścianach. Domy te wnet zamieniono na kawiarnie, winiarnie i spelunki, nierzadko na domy płatnej miłości. Tu gromadzili się marynarze z zawijających do portu statków z całego świata i flotylli rzecznej, często z całosezonowym zarobkiem w kieszeniach, szukający miejsca, gdzie by go wydać. Tutaj też zjawiali się młodzi Kreole - rzeźmieszki, którzy tylko czekali na chwilę nieuwagi, by pieniądze zmieniły właściciela.

Niemal codziennie znajdowano tu martwe ciała. Równie często opowiadano o tajemniczych zawirowaniach wody i nieznanymi obiektach spływających w dół rzeki. Nie dalej jak rok temu młody człowiek, syn

właściciela trzech plantacji, na których pracowało cztery tysiące niewolników, zginął tu bez śladu. Niektórzy opowiadali, że podano mu narkotyki zmieszane z winem i załadowano na statek udający się do Chin. Inni mówili, że złodzieje najpierw go ograbili, a potem utopili.

Jedno było pewne: nie była to dzielnica, w której kobieta, nawet taka jak Madame de Buys, powinna poruszać się sama. To, że szła coraz dalej w głąb niebezpiecznego terytorium, świadczyło, jak bardzo kocha córkę. Było też jasne, dlaczego założyła ubranie swojej służącej: już samo narażanie się na zaczepki było dokuczliwe, ale rozpoznanie przez kogoś ze znajomych oznaczało ostracyzm towarzyski.

Stara kobieta skręciła w alejkę między budynkami. Angelinę poszła za nią. Minęła otwarte drzwi kawiarni. Usłyszała za sobą jakiś pijacki bełkot. Nie zwracając uwagi na nic, ruszyła alejką, w którą przed chwilą weszła ciotka.

Nagle poczuła, jak ktoś chwyta ją za ramię. Zanim się spostrzegła, już znalazła się w mrocznym pomieszczeniu z brudną podłogą i odorem lichego wina, wiszącym w powietrzu. Szarpnęła się, wyrwała rękę i stanęła oko w oko z kimś, kogo nigdy w życiu nie chciałaby spotkać.

- No, patrzcie! Jak to nigdy nie wiadomo, kogo można spotkać na ulicach Nowego Orleanu! - zarżał McCullough. - To jest dopiero coś, znowu cie spotkać, Mademoiselle Fortin, moja laleczko!

- Co pan tu robi? - spytała z niesmakiem, ale i przerażeniem.

- O to samo i ciebie pytam. Przecie tu nie miejsce dla kogoś takiego jak ty. A ten twój Wasza Wysokość to gdzie jest? Nie powiesz chyba, że cie nie dostał, tak jak chciał.

Przez chwilę podejrzewała, że to Rolfe go tu ściągnął.

- Nie mam pojęcia.

- A, tak. To cie pytam drugi raz: co robisz tu blisko rzeki i dokąd cie tak niesie?

- Mam tu coś do załatwienia - rzekła ostro. - Pan też nie powiedział, co pan tu robi.

- Ja chce tu pomieszkać trochę po miejsku - odparł wymijająco. - Ta Ziemia Niczyja staje się trochę za ciasna i coraz mniejsza. I młody Bowie miał racje o armii, co to wszędzie włazi. Żołnierze sie tam wszędzie kręcą, a to mi sie nie widzi.

Nie wierzyła, żeby to była cała prawda.

- Jeśli szuka pan Rolfe'a, może go pan znaleźć w ambasadzie francuskiej.

- Nie, nie! Po co mi ta Wasza Wysokość? Ty mnie interesujesz. I dawno cie szukam. Wiesz o tym.

- Musi mi pan wybaczyć. Nie mogę dłużej tracić czasu. Moje spotkanie jest bardzo ważne. Bardzo się spieszę.

Gdy usiłowała przejść obok niego, chwycił ją za rękę.

- To chyba ni ma nic wspólnego z łózkami tam na górze. Bo jak tak, to też tam chętnie zagładnę.

- Nie, nie ma! - krzyknęła i odepchnęła jego rękę; krwisty rumieniec oblał jej policzki.

- To o co chodzi? Jesteś z tym Francuzikiem Delacroix, tak? To on tam na ciebie czeka?

- Nie pański interes, z kim jestem. I nie mam czasu na dyskusję - schyliła się i pod jego ramieniem dała nurka wprost w stronę drzwi. Znalazła się na ulicy. Biegła przez chwilę, bojąc się, że McCullough może ją gonić. Obejrzała się i z ulgą stwierdziła, że nawet nie wyszedł za nią na ulicę.

Przeszła alejkę, w którą weszła ciotka. Od czasu do czasu oglądała się za siebie. Doszła do wąskiego zaułka i minęła go szybko. McCullough mógł nie zauważyć, że tu skręciła, ale skoro nie podjął pogoni za nią, to nie miało to większego znaczenia. Gdy znalazła się na otwartym placu, za domami, spostrzegła, że drży. Stanęła

na chwilę, odetchnęła kilka razy głęboko, by opanować rozdygotane nerwy. To na pewno był czysty przypadek, że McCullough się tu napatoczył, nic więcej. Nie mogło to mieć nic wspólnego z Claire. A może miało? Może to nie przypadek, że spotkała się z nim w tym miejscu?

Rozejrzała się dokoła. Zobaczyła grzbiet tamy pokrytej zeszłoroczną trawą. Na szczycie rosły bezlistne, cierniste krzaki dzikiej pomarańczy. Na tyłach niektórych domów znajdowały się maleńkie ogródki, otoczone ceglаныmi murkami. Przed innymi były tylko placyki, w poprzek których wisiały sznury suszącej się bielizny. Wszystkie stały obok siebie, ściana w ścianę. Wyglądało to tak, jakby się wzajemnie podpierały. Tyłne ich galeryjki, zwrócone w stronę rzeki, pochylały się pod niebezpiecznym kątem. Na tle ogólnego zaniedbania dobrym stanem odznaczały się biegnące wzdłuż dachów rynny, odprowadzające wodę do drewnianych beczek, stojących na solidnych żelaznych postumentach. Porządne były też schody prowadzące z górnych pięter na ziemię.

Ciotki nigdzie nie było widać. Jedyłą w zasięgu wzroku osobą była półczarna dziewczyna, która właśnie wyszła na schody wytrzepać ścierkę. Machnęła nią w powietrzu kilka razy, wzbijając tuman kurzu, po czym rozejrzała się dokoła i zniknęła w domu, trzaskając za sobą drzwiami.

Madame de Buys mogła wejść do każdego ze stojących tu rzędem domów. Angelinę, nie mając pojęcia, który z nich ciotka wybrała, nie mogła iść dalej. Stanęła więc w cieniu jakiejś cysterny nieopodal i czekała.

Czy była nierozsądna, przychodząc aż tutaj, by zobaczyć kuzynkę, która mało przecież o nią dbała, która sama nie podjęła najmniejszego wysiłku, by się z nią widzieć, nie pomogła jej wtedy, gdy potrzebowała pomocy, gdy wbrew swej woli wpadła w ręce obcego mężczyzny? Teraz Claire sama znalazła się w takiej

sytuacji. Ale jeśli tak jest, to czyż jej matka już wcześniej nie powinna czegoś zrobić, by ją stąd zabrać? Dlaczego nie przewiozła jej do domu siostry? Może sądziła, że tam byłoby zbyt łatwo ją wykryć? Może siostra miała jakieś opory? Może, znalazłszy kryjówkę, to Claire nie chciała jej opuszczać?

Niewykluczone, że i ona będzie niebawem potrzebowała jakiejś kryjówki. Nie mogła liczyć na to, że ciotka pozwoli jej pozostać pod swoim dachem, gdy spostrzeże, że ona jest w ciąży. Jej myśli znowu pobiegły tym samym torem co kiedyś, gdy rozmyślała o swojej przyszłości. Pokusa, by wszystko opowiedzieć Rolfe'owi, by na jego szerokie barki zrzucić cały ciężar i przyjąć każdą decyzję, jaką podejmie, była ogromna. Tylko myśl o rozwiązaniu, jakie w podobnej sytuacji zastosował jego ojciec, to znaczy wydał swą kochankę za męża za kogoś, kto był pod ręką, powstrzymywała ją od podjęcia takiego kroku.

Gdzieś skrzypnęły drzwi. Jakieś trzy domy dalej na schody wyszła stara kobieta w czepcu i czarnej pelerynie. Angelinę cofnęła się jeszcze bardziej w cień, gdy zobaczyła, że ciotka schodzi po stopniach, zapina rękawiczki i rusza alejką, którą tu przyszła.

Jej wizyta nie trwała długo, niewiele ponad pół godziny. Angelinę poczekała, aż zniknie za najbliższym zakrętem. Wtedy wyszła z ukrycia i podeszła do schodów, którymi zeszła ciotka. Szybko wbiegła na górę. Zatrzymała się przed drzwiami, nabrała powietrza w płuca, nacisnęła klamkę, pchnęła drzwi i weszła do środka.

Znalazła się na mroczonej antresoli. Na wprost miała schody z ozdobną balustradą, prowadzące na niższe piętro. Po ich obu stronach znajdowały się drzwi, otwarte w tej chwili. Z dołu dochodziły męskie głosy, brzęk szklanek i odgłos rzucania kośćmi. Podeszedłszy krok dalej, zobaczyła stół nakryty zielonym suknem, przy nim kilku mężczyzn z dużą wprawą zbierających

rozdawane karty. Przy łokciu każdego z nich leżał stosik złotych monet.

Zasłony z zielonego jedwabiu nosiły ślady zacieków, a dywan leżący na środku pokoju był bardzo wydeptany i zapewne od bardzo dawna nie trzepany. Wnętrze było połączeniem krzykliwej elegancji i czegoś, co powszechnie nazywano hazardowym piekiełkiem. Nazwę tę uzasadniał panujący tu zapach: mieszanina alkoholu i tytoniu, kurzu i kwiatów, które zbyt długo przetrzymywano w nie zmienianej wodzie. Angelinę słyszała o takich miejscach, ale jeszcze nigdy nie widziała żadnego z nich na własne oczy.

Zamknęła za sobą drzwi wejściowe.

Teraz, kiedy była już w środku, nie miała pojęcia, co powinna robić dalej. Nie wiedziała, czy zajrzeć do pokoju na górze, czy zejść na dół i zapytać grających o Claire. Na pewno nie mogła stać tu i czekać, aż kuzynka pojawi się sama. Drżąc ze strachu podeszła do najbliższych drzwi i zajrzała do środka. Była to sypialnia. Zasłony z granatowego aksamitu poszarzały od kurzu. Na prostym sosnowym stoliku stał wyszczerbiony dzbanek i miednica, pod stolikiem - wiadro i nocnik. Jeden róg zajmowało metalowe łóżko, drugi - szafa z okresu dyrektoriatu, ustawiona na tkanym w biało-czarne kwadraty kilimie. Łoże, nad którym na cienkich prętach rozwieszono moskitierę, było puste.

- *Bonjour*, panienko. A może - pani?

Angelinę odwróciła się gwałtownie i stanęła twarzą w twarz z wysokim, chudym Francuzem. Miał wąsy, spiczastą bródkę i tak zimne oczy, jakich Angelinę jeszcze nigdy w życiu nie widziała. Stał w drzwiach po przeciwnej stronie hallu.

- *Bonjour* - odpowiedziała machinalnie, zastanawiając się, jakie będzie następne pytanie.

- Szuka pani posady? A może czegoś na popołudnie, bardziej podniecającego niż nocne męzowskie nudy?

Na to nie była przygotowana.

- Nie, nie. Przyszłam tu w odwiedziny do mojej kuzynki, Claire de Buys.

- Do naszej kochanej Claire?

Zmrużył oczy i wszedł do pokoju. Obejrzał ją uważnie od czubka głowy aż po palce nóg, które wystawały spod niemodnej długiej spódnicy.

- Tak, widać wyraźne podobieństwo.

- Czy mogę się z nią zobaczyć?

Wzruszył ramionami.

- Mnie tam jest wszystko jedno, z kim się zabawia: z mężczyznami, kobietami czy kundlami, bylebym dostał swoje pieniądze. Zaraz!

Niemal równocześnie z jego zawołaniem coś poruszyło się w głębi hallu. W drzwiach ukazała się kobieta. Ubrana była w suknię z muślinu i jedwabnych koronek, przewiazaną w pasie błękitną szarfą. Z przodu miała przecięcie, przez które widać było szczupłe, białe ciało, wychudzone chyba do ostateczności.

- Etienne - powiedziała. - To przecież Angelinę.

- Claire, ja... - Angelinę chciała podejść do kuzynki, ale drogę zagroził jej Etienne; był to zapewne ten karciarz, który kupił Claire od Hiszpana. Pchnął Angelinę tak, że znalazła się w pokoju. Zatrzasnął jej drzwi przed nosem. Kiedy chwyciła za klamkę, z przerażeniem usłyszała chrobot przekręcanego w zamku klucza.

- Claire! - krzyknęła i zaczęła bić pięściami w drzwi i szarpać za klamkę. - Claire!

Zza drzwi doszedł ją odgłos szarpaniny i podniesiony kobiecy krzyk. Zaraz potem usłyszała odgłos uderzenia i płacz. Trzasnęły gdzieś drzwi, dały się słyszeć kroki, jakby ktoś biegł po schodach i wszystko ucichło.

Głupia, głupia i jeszcze raz głupia - wchodzić na ślepo, nic nie wiedząc o tym miejscu! Przemierzała pokój wzdłuż i wszerz, robiąc sobie wyrzuty. Powinna

przewidzieć, że to nie mogło pójść tak łatwo, chociaż równocześnie nie mogła pojąć, w jaki sposób ciotce udało się wyjść stąd bez szwanku.

Co może ją teraz czekać? Przypomniała sobie opowieści o porwaniach młodych kobiet, bezmyślnie opuszczających dom, o dziewczynach uciekających z pensji i konwentów, o takich, które za złe zachowanie wypędzono z domu. Ciotka celowała w opowieściach o niedobrych dziewczynach i o tym, co je za to czeka. Z lubością opowiadała o biciu, głodzeniu, o środkach odurzających, za pomocą których zmuszano je do sprzedawania swego ciała. Wtedy były to tylko opowieści - teraz groziło jej to naprawdę.

Claire, choć wymizerowana, nie sprawiała wrażenia, że ją źle traktowano. Obraz kuzynki stojącej na łóżku i kołyszącej się w świetle padającym od ogniska, wtedy, w forticy Hiszpana, bezmyślnie i lubieżnie kuszącej Don Pedra, powrócił jak żywy. Potrząsnęła głową, jakby chciała go odpędzić.

Rozgarniając pajęczyny wiszące między zasłonami, dotarła do okna. Z przerażeniem stwierdziła, że zostało starannie zabite gwoździami. Nie było w tej chwili ważne dlaczego: czy dlatego, żeby kobiety nie mogły stąd uciekać, czy żeby mężczyźni nie mogli z zewnątrz wchodzić do pokoju. Zresztą, z takiej wysokości i tak by nie skoczyła, a spleśniałe prześcieradła, podarte na pasy i skrócone w linę, pewnie by nie utrzymały jej ciężaru. Mogła dzbanem wybić szybę, ale okno wychodziło na rzekę i pewnie nikt nie usłyszałby hałasu, a nawet gdyby usłyszał, to wątpliwe, czy przyszedłby jej z pomocą. Na stoliku stała świeca, ale nie było jej czym zapalić, by ogniem zwrócić na siebie uwagę.

Co mogła zrobić poza nerwowym przemierzaniem pokoju? Przypomniała sobie kilka soczystych przekleństw, których czasem używał Rolfe. Wypowiedziała je półgłosem i zaraz raźniej zrobiło się jej na duszy.

Czas mijał. Podchodziła do drzwi, waliła w nie pięściami, wołała, ale nic nie wskazywało, by ktoś ją słyszał. Zapadał zmrok. W pokoju robiło się ciemno. Zaczęło padać. Krople deszczu dzwoniły o dach i szyby.

Siedziała na brzegu łóżka zrezygnowana. Maria zauważy jej nieobecność za jakieś dwie godziny, kiedy zanieśie do pokoju tacę z jedzeniem. Mało prawdopodobne, by wszczęła alarm. Najwyżej powie o tym ciotce. A to niewiele zmieni. Pomyśla, że poszła do Rolfe'a, a jeśli nie do niego, to może do Madame Delacroix. Minie pewnie kilka dni, zanim spostrzegą, że się pomyliły, ale nawet w takim przypadku nie zrobią zbyt wiele. Rolfe może będzie jej szukał usilnie i dokładnie, ale czy można się spodziewać, że trafi tu, do tego zakazanego miejsca?

W ciemności, w szumie dudniącego o dach deszczu, wsłuchiwała się w uderzenia własnego serca i rozmyślała o życiu, które od niedawna nosiła w sobie. Groźba, jaka zawisała nad nią, zawisała również nad nim. Zrobi wszystko, by je obronić. Wszystko. Nie pozwoli na nic, co mogłoby je ruszyć z delikatnego, ciepłego schronienia. Wkrótce zapewne stanie się ono wszystkim, co ma, wszystkim, co będzie w ogóle mogła mieć.

W szparach między futryną a drzwiami pojawiło się światło. Kto przychodzi? Klucz zazgrzytał w zamku. Drzwi otworzyły się na oścież. Ktoś wysoko uniósł lampę i w jej świetle Angelinę zobaczyła dwóch mężczyzn. Jeden był wysoki i chudy, z wąsikiem i spiczastą bródką, drugi - wysoki i barczysty, z włosami koloru piasku.

- Tak, to ona - powiedział Meyer. - Jestem twoim dłużnikiem.

Mężczyźni coś między sobą poszeptali; usłyszała dźwięk monet.

- Dziękuję, M'sieur - powiedział karciarz, podał lampę Meyerowi, skłonił się i wyszedł.

Angelinę wstała z łóżka i z uśmiechem ruszyła w stronę drzwi.

- Tak się cieszę, że pana widzę. Czy Rolfe też tu jest?

Nieślubny syn króla Ruthenii wszedł do pokoju, zamknął za sobą drzwi i postawił lampę na stole.

- Tak, tak. Niedługo tu będzie.

Złośliwe zadowolenie, które aż biło z jego słów, było jak uderzenie w twarz.

- Czy on wie, że... że jestem... tutaj?

- Wnet będzie wiedział.

- Ten człowiek przekaże mu wiadomość, tak jak przekazał panu?

- Bardzo rozsądnie pomyślane. Rozsądek to jedna z pani cudownych zalet.

Spojrzała mu w twarz, nie reagując na komplement. Poczowała się tak, jakby potężny ciężar legł jej na piersi, utrudniając oddychanie, a jeszcze bardziej - mówienie. Wątpliwości się potęgowały.

- Nie rozumiem, czemu mnie tu zatrzymano, skąd ten człowiek się domyślił, żeby pana powiadomić, a w ogóle - skąd pana zna?

- Nie widzę powodu, by nie zaspokoić pani ciekawości. Znał mnie, bo gdy wczoraj przyszedłem tu za Claire, uznałem za stosowne zawrzeć z nim znajomość. Powiadomił mnie, bo mu obiecałem odpowiednią nagrodę za zawiadomienie mnie, jak tylko pani się tu pojawi. Jeśli idzie o zatrzymanie pani tutaj, to wykazał się dużą przytomnością umysłu, która zresztą nie jest rzadka u ludzi jego pokroju. To, że pani tu trafiła, było jedynie szczęśliwym trafem. Myślałem, że będę musiał tu panią zwabić przez kogoś wysianego przez Claire. Jediną trudnością w porozumieniu się z tym tu człowiekiem jest to, że nie chce się pozbawić rozkosznych usług Claire. Ale myślę, że za odpowiednią cenę da się przekonać.

- Myśli pan, że...

- Pani kuzynka stanowi pewne zagrożenie - do czasu. Angelinę popatrzyła na niego, na złośliwy uśmiech tryumfu na szerokiej twarzy.

- Więc to pan jest tym, kogo kuzynka tak się bała, to przed panem uciekała od chwili kiedy opuściła Ruthenię.

- Możliwe. Ale co z panią, moja droga? Pani też się boi? Nie chce pani wiedzieć, dlaczego tak panią tropiłem?

Patrzyła na niego przerażona. Oblizwała wargi.

- To wydaje się jasne. Jeśli to pan jest tym, przed którym Claire tak ucieka, znaczy, że to pan zamordował Maximiliana i usiłował zabić ją. Z tego wynika również, że to pan nastawał na życie Rolfe'a. Ja dla pana nic nie znaczę, ale...

- Tego bym nie powiedział - przerwał jej z dziwnym błyskiem w szarych oczach.

Mówiła dalej, jakby go nie słyszała:

- Ale... myśli pan, że dlatego, że byłam... kobietą Rolfe'a w czasie naszego pobytu na Ziemi Niczyjej, teraz go tu zwabię?

- Ja tak nie myślę. Ja to wiem.

Zmusiła się do głośnego śmiechu i aż sama się zdziwiła, jak łatwo jej to poszło.

- Ależ to nonsens! Nie darzył mnie większym uczuciem niż Claire, za którą zresztą nie przepadał.

- Co pani mówi?! - zawołał. - Obserwowałem was tam, na tym pustkowiu, a także tamtej nocy na balu w ambasadzie, jego stosunek do pani na oczach całej *creme de la creme* Nowego Orleanu. I później, gdy poszedłem za nim z ambasady. I widziałem, nie, raczej słyszałem, jak panią niósł po schodach na górę, w domu, gdzie zatrzymała się pani z ciotką.

- Jak pan śmie! - krzyknęła.

Powinna czuć palący wstyd, słuchając tego, co mówił, ale zamiast tego narastała w niej gwałtowna wściekłość, gdy brukał to, co jako świętość chciała zachować w pamięci.

Zaśmiał się.

- Nigdy się jeszcze tak nie ubawiłem! I co? Myśli pani, że po tak żywych przeżyciach księżę Ruthenii nie przyjdzie tu sam i bez broni, jak tego zażądam, gdy się dowie, że to może panią uratować? On by to zrobił dla każdego ze swoich ludzi, nawet dla mnie. Czemu nie miałyby podjąć takiego ryzyka dla swojej słodkiej dziewczyny?

- Pułapka? Jak ta, zastawiona na Maxa, w której przynętą była Claire? Jak ta, gdy gwardziści razem z ludźmi McCullougha zaatakowali obóz Don Pedra?

- Obie były dobrze obmyślane, ale zabrakło mi trochę szczęścia. Tym razem będzie inaczej.

Był pewny siebie, spokojny, przekonany o swojej sile. Chciała w nim ten spokój zachwiać.

- Próbował pan kilka razy i nie udało się panu zabić Rolfe'a. Tak było w Ruthenii, w Le Havre, w Nowym Orleanie, w domku myśliwskim. Nie udało się to panu nawet w zмовie z Don Pedrem, który miał pana w tym wyręczyć. A kiedy w końcu, przerażony, strzelał pan w ciemności, zabił pan nie tego człowieka.

- Kiedyś już pani powiedziałem, że on jest bardzo czujny. Zupełnie jakby miał szósty zmysł ostrzegający go przed niebezpieczeństwem. I to biorę pod uwagę. Tuż przed zasadzką zastawioną przez Hiszpana wyczuł, że coś jest nie w porządku i nakazał odwrót, sam go osłaniając, i udało im się ukryć. Czy mogłem go zabić sam? Nie. Byłem za blisko i pozostali gwardziści też.

- Ale Oscara nie zabił Don Pedro ani nikt z jego ludzi.

- Smutna konieczność, która nie sprawiła mi żadnej przyjemności. Ale Oscar widział mnie z Gwiazdą Poranną i gdyby przeżył, mógłby sobie to przypomnieć, gdyby zaczęto analizować okoliczności...

Odwróciła się, nie mogąc znieść jego spokoju, precyzyjnych określeń, jakby wszystko to, co zrobił, i to, co jeszcze zamierzał zrobić, było całkowicie normalne.

- Jeśli zabił pan Oscara tylko dlatego, że coś widział...
- Na swój sposób jest pani równie szybka jak książę. Czemu nie przyjęła pani mojej oferty małżeństwa? Zrobiłbym wszystko, żeby pani tego nie żałowała. Opływałyby pani w dostatki, cieszyła się poważaniem. Nie próbowałbym się bynajmniej odegrać na pani za to, że ściągnęła go pani ze śmiertelnego stosu, jaki dla niego zbudowałem, ani że wypędziła pani tych hiszpańskich tchórzów z błotnistej wąwozu. Z jednym wyjątkiem - dziecko, które pani w sobie nosi, bękart Rolfe'a, musi umrzeć zaraz po urodzeniu. Tragiczne, ale nie ma się co martwić - będą następne.

Twarz jej skamieniała z przerażenia.

- Pan wie...

Nawet te dwa słowa było jej trudno wymówić.

- Jak miałbym nie wiedzieć? Wypatrywałem oznak jak akuszerka. Oglądałem pani bieliznę, gdy Sarus ją prał i później, gdy rozwieszała ją pani do suszenia. Do balu w ambasadzie nie byłem pewny. Nie trzeba się znać na medycynie, by rozpoznać chwilowe słabości, jakie kobiety miewają w takim stanie. Reakcja na zapach...

- A teraz? - wydusiła z siebie pytanie.

- Teraz? Teraz będę miał przyjemność, której mi dotąd odmawiałaś - przeszedł nagle na ty. - Coś, o czym od dawna marzyłem, możesz być pewna. Zawsze marzyłem o zdobyciu rzeczy, które należały do moich braci, nawet tych, które oni odrzucali.

Jasność słów i widoczna przyjemność, z jaką je wypowiadał, przyprowadziły ją o gwałtowne bicie serca. Z przerażeniem pomyślała, że nie może pozostawić jej przy życiu - za dużo wie.

- Kiedy Rolfe już tu przyjdzie, i gdy pan z nim skończy, co będzie ze mną? Zniknę?

- Takie rozwiązanie mi nie odpowiada, ale jest konieczne. Nie mogę pozwolić, byś komukolwiek

opowiedziała o dzisiejszej nocy. Gdy wrócę do kraju, będę potrzebował oddania i pomocy gwardii.

Odwróciła się gwałtownie.

- I naprawdę myśli pan, że gwardziści pozwolą Rolfe'owi przyjść tu bez broni, bez ich ochrony?

- Jeśli tego od nich zażąda - zrobią to. A zażąda.

- Ze względu na mnie?

Skinął głową.

- W tej chwili właśnie mu mówią, że z chwilą kiedy ty się zjawi, ty zostaniesz uwolniona. Jedyne, czego nie będzie wiedział, to to, kto cię porwał.

- Nie! - powiedziała zduszonym głosem, kiedy znaczenie tych słów w pełni dotarło do jej świadomości. - Nie, nie!

Skoczyła w stronę drzwi. Chwycił ją jednak za ramię, szarpnął, odwrócił gwałtownie do siebie, a kiedy uderzyła go w twarz, pchnął tak, że padła na podłogę. Ale natychmiast się poderwała.

- Tak! - powiedział przez zaciśnięte zęby. - I postaram się o to, żeby, zanim umrze, dowiedział się, że umiera bez sensu.

- Nie docenia go pan. Tak bezmyślnie nie wpadnie w pana pułapkę. Da sobie z panem radę.

Szedł wolno w jej stronę.

- Możliwe. Ale to ci nie pomoże. Nic ci już nie pomoże.

Zatrzymała się przy kolumience podtrzymującej moskitierę nad łóżkiem. Nie spuszczała oka z jego szyderczo wykrzywionej twarzy. Stolik z dzbankiem na wodę i miednicą był już w zasięgu jej ręki. Błyskawicznie chwyciła dzbanek za ucho i z całej siły rzuciła nim w Meyera. Uchylił się, naczynie padło na podłogę. Odłamki porcelany, a także zdechłe muchy i pająki ze środka rozsypały się na wszystkie strony. Zaraz za dzbankiem poleciała miednica. Trafiła go w ramię. Wrzasnął z bólu, oczy pociemniały mu z gniewu.

Wywróciła stolik i odgrodziła się nim od jego wyciągniętych rąk. Nie była jednak dość szybka. Pochwycił ją za suknię, szarpnął i przewrócił. Padając na podłogę, dłonią natrafiła na kawałek porcelany. Nie zważając na ból w dłoni i całym ramieniu, chwyciła skorupę i bez namysłu uderzyła go w twarz. Na policzku pojawiła się głęboka szrama. Rzucił jakieś przekleństwo, jedną ręką zakrył ranę, a drugą uderzył ją na odlew, aż głowa odskoczyła jej do tyłu. Chwycił ją za rękę, wykręcił, skorupa wypadła jej ze zdrętwiałych palców. Z rozmachem rzucił ją na łóżko. Upadła na materac z głośnym jękiem sprężyn.

Leżała bez ruchu.

- Myślę, że czas nauczyć cię kilku chwytów, których Rolfe cię nie nauczył. Ale będzie to upokarzająca lekcja.

Obrócił ją na brzuch i przytrzymał za biodra. Zaśmiał się krótko i padł obok niej. Materace rozsunęły się pod nim. Rama łóżka zaskrzypiała. Wszystkie cztery kolumny podtrzymujące moskitierę załamały się do wewnątrz. Angelinę poczuła, że stacza się na podłogę. Widząc, że pada na niego, instynktownie podciągnęła kolana. Jednym trafiła go dokładnie w pachwinę. Krzyknął coś wściekle i zrzucił ją z siebie. Wykorzystała ten moment, chwyciła się brzegu materaca, poderwała na nogi, rzuciła w stronę drzwi, szarpnęła za klamkę. Nie zdążyła wybiec - odciął jej drogę. Odepchnął ją tak gwałtownie, że odbiła się od ściany i padła na podłogę. On padł na nią. Wcisnął rękę w wycięcie sukni pod szyją i szarpnął. Spod stanika wy dobył jej pełne, białe piersi. Lewą ręką chwycił ją za włosy i odchylił głowę do tyłu. Otwartymi, gorącymi ustami poszukał jej ust. Językiem usiłował rozchylić jej zaciśnięte wargi. Zadrzała na całym ciele, z oczu popłynęły łzy.

Klnąc pod nosem, cofnął się i pociągnął ją za sobą w stronę łóżka. Chwycił materac, przyciągnął go bliżej i umieścił ją na nim.

Jej opór nie stanowił żadnej przeszkody dla jego dzikiej siły. Zrozumiała to z rozpaczliwą jasnością, kiedy sięgnął po zapięcia jej sukni. Przemknęło jej przez myśl, że jej pierwsza noc z Rolfem była delikatną, uwodzicielską pieśczętą w porównaniu z tym brutalnym gwałtem. Nawet to, co robił Don Pedro, nie było tak bolesne.

Rolfe, Rolfe! - wołała bezgłośnie, gdy na gołych plecach poczuła zimny powiew.

Rozpiął jej mankiety, a potem ściągnął rękawy sukni, odsłaniając górną część ciała. Potem chwycił kraj sukni i zaczął podciągać ją w górę, odsłaniając nogi i uda. Szarpała się i rzucała pod nim jak zwierz w potrzasku. Zacisnęła wargi, by nie krzyżeć. Oddychała chrapliwie, a przed oczyma zaczęły tańczyć czerwone pląty.

Próbował uporać się ze swoim ubraniem. Resztką sił szarpnęła się pod nim. Upadł w poprzek niej, ale zaraz chwycił ją za rękę i unieruchomił. Kolano wcisnął jej między uda. Nie mogła się poruszyć. Nie mogła nawet oddychać. Słyszała dzwonienie w uszach, a ponad nim - głośne, nierówne uderzenia serca. Wydało się jej, że światło lampy ciemnieje, duszone szarą chmurą kurzu.

Rozległ się trzask i drzwi otworzyły się z łoskotem. Poczowała nagle, że może swobodnie oddychać - Meyer zwolnił uścisk. Błysnęło coś białego i w tej samej chwili gwardzista poleciał w drugi kąt pokoju. Rolfe skoczył za nim ze zręcznością dzikiego kota. Nie miał żadnej broni. Gołymi rękami pochwycił przyrodniego brata.

Coś poruszyło się w drzwiach. Angelinę odwróciła się, by zobaczyć, kto to jest. Był to Etienne, a za nim stał łysawy, krępy bandyta z pałką w ręku.

Uniosła się na łokciu i zduszonym głosem zawołała:
- Rolfe, z tyłu...!

Za późno. W chwili gdy się odwracał, pałka łyszego trafiła go w skroń tuż przy uchu. Padł na podłogę jak rażony gromem.

- Dołóż mu jeszcze raz - rozkazał Meyer, jedną ręką powstrzymując kapiącą z nosa krew. - Jeszcze raz.

Po uderzeniu w złoty włosach Rolfe'a ukazała się krwawa plama. Meyer podszedł do niego i raz i drugi kopnął go w brzuch. Popatrzył na leżącego z nieskrywanym tryumfem. Potem spojrział na Angelinę naciągającą na siebie suknię i klękającą przy leżącym Rolfie.

- Tobą zajmę się trochę później - rzekł stłumionym głosem. - Gdy tylko zatamuję krew, a on będzie mógł wziąć udział w przedstawieniu. To znaczy, jeśli odzyska przytomność na tyle, by wiedzieć, o co chodzi. Jeśli ją zresztą w ogóle odzyska.

Etienne otworzył drzwi Meyerowi, przepuścił przed sobą również łysego zbira, a potem sam wyszedł. Zamknął drzwi i przekręcił klucz w zamku.

Angelinę ściągnęła prześcieradło z materaca, uniosła głowę Rolfe'a, ułożyła ją sobie na kolanach. Nad uchem miał ogromnego guza, ale w miejscu drugiego uderzenia skóra nie była przecięta. Krew spływała jedynie z jednej rany, kapała na jej suknię i kilim na podłodze. Urwała pasek z prześcieradła, złożyła go w tampon i drugim paskiem owiniętym wokół głowy umocowała go na ranie.

Rolfe był przeraźliwie blady, niemal jak opaska wokół głowy. Powieki mu nawet nie drgnęły, mocna linia ust była rozluźniona - wyglądał młodo i bezbrinnie. Na wardze, tam gdzie go kiedyś uderzyła, widoczna była maleńka blizna. Jej widok zabolał ją bardziej niż wszystkie pozostałe rany. Ułożyła jego głowę na kolanach, ocierała krew i siedziała nieporuszona.

Mijały długie minuty.

Zatańczył płomień oliwnej lampy. Uniosła głowę i wpatrzyła się weń. Doszły ją jakieś szmery, choć wydawało się, że cały dom jest pusty. Ale nie. Gdzieś w głębi rozległy się głosy. W napięciu czekała, czy

zbliżą się do drzwi. Gdy się nie zbliżały, gdy zamarły w oddali - odetchnęła z ulgą.

Kiedy Meyer wróci? Starła się nie myśleć, co się wtedy może stać. Nic nie mogła zrobić. Nikt tu nie mógł nic zrobić. To, że Rolfe przyszedł, że poświęcił się dla niej, przepełniało ją miłością i rozpaczą. To był szlachetny gest, choć bezsensowny. Ale zważywszy na jego prostolinijność i poczucie odpowiedzialności za innych - czy mógł tego nie zrobić?

Szkoda, straszna szkoda. To nie do pojęcia, że ma zginąć, umrzeć w tak mało chwalebny sposób, w takim podejrzanym miejscu, z dala od dworu ojca, na którym należało mu się poczesne miejsce. A to wszystko przez nią. Na myśl o tym poczuła w piersi przejmujący ból, jakby ostrze noża zagłębiało się w jej ciało. Gorzkie Izy spływały jej z oczu i padały na jego twarz. Nawet tego nie zauważyła.

- Płaczący anioł - usłyszała jego szept - rozplywający się w żalach i lamentach, pieszczący moją próżność, ale... nie na czasie.

Wstrzymała oddech, uśmiechnęła się przez spływające łzy.

- Wiem, przepraszam.

- To ja przepraszam. Nie mam wprawy w ratowaniu uwięzionych pańienek. Nie udało mi się z Claire, nie udało się z tobą.

- Przecież powstrzymałeś go - rzekła bardzo cicho.

- Na jak długo?

Grymas na jego twarzy świadczył o tym, że domyślał się, jak potoczyły się sprawy, gdy leżał nieprzytomny.

Patrzyła mu prosto w twarz, chociaż oczy miała pełne łez, a na policzku zaczął się pojawiać ogromny siniak.

- Na niedługo.

- O Boże! - westchnął z wykrzywioną bólem twarzą. - Za wciągnięcie cię w to bagno należałoby pociąć mnie na kawałki i rzucić psom na pożarcie!

Niepewną ręką sięgnął do kosmyka włosów, który opadał jej na ramię.

- Stałaś się ofiarą i jednocześnie celem nas wszystkich, nawet Meyera. Jego może nawet szczególnie. Widzieć cię w takim stanie...

- Nic mi nie jest - przerwała mu, nie mogąc znieść jego spokojnej oceny sytuacji, rozczulania się nad nią, czego zresztą nigdy nie lubiła. - Jak się czujesz? Dasz radę wstać?

W jego oczach dostrzegła coś na kształt rozbawienia.

- Nie dość, że anioł, to jeszcze praktyczny. Przede wszystkim postawić mnie na nogi, a dopiero potem...

- Mam zwyczaj myśleć najpierw o rzeczach najpilniejszych.

- Nie pozostaje mi nic innego, jak podjąć wyzwanie.

Brzęk tłuczonej szyby przerwał jego dalsze słowa. Poderwał się, chwycił do ręki jedną z leżących na podłodze kolumnienek od moskitiery - nie miał zamiaru poddać się bez walki. Ale nic się już więcej nie działo. Jedynie na dywan padła końska podkowa i potoczyła się pod nogi Angelinę. Podniosła ją i podeszła do okna. Ktoś stał na dole. W pierwszej chwili nie poznała, kto to, ale kiedy znalazł się w kręgu światła padającego z okna, już wiedziała, że to McCullough.

- Dobrze, że trafiłem w dobre okno. Bobym nie chciał robić więcej hałasu.

Rolfę już stał koło niej.

- McCullough! Masz broń?

- Ano pomyślałem, że możesz czegoś takiego potrzebować.

Zza pasa wy dobył pistolet i kiedy Rolfę wysunął rękę przez rozbitą szybę, rzucił. W ślad za pistoletem poleciał nóż.

- Dziękuję, przyjacielu! - zawołał Rolfę.

- Tyś mi też darował życie. Chce się odwdzięczyć. A słyszałem, jak twoje ludzie chcieli moim zapłacić za twoją głowę. Musiałem się w to wtrącić.

- Możesz uznać nasze rachunki za wyrównane.

- Pilnuj się, my też tu będziemy. Pewno trza zawołać twoich ludzi, bo moich nie. Nie teraz. Nie będziemy czekać, aż cie zabiją.

Rolfe skinął głową i zaczął ładować pistolet. Nóż zatknął za pas.

- Powiedz Gustave'owi i pozostałym, że są zwolnieni z przysięgi, bo umowa ze mną została zerwana. Są tu twoi ludzie jako najemni mordercy, więc gwardziści...

Na nic więcej nie było już czasu. W hallu dały się słyszeć kroki. Zazgrzytał klucz w zamku i drzwi otworzyły się z impetem.

Do pokoju wkroczył Meyer, a za nim Etienne. Przeraził się, ujrawszy Rolfe'a na nogach z uniesionym pistoletem w ręku. Stał jak wryty. Przymknął oczy, by ukryć strach. Odskoczył w bok, odsłaniając Etienne z gotowym do strzału pistoletem w ręku. Szuler uniósł wyżej broń.

Śmierć zawisła w powietrzu. Angelinę stała bez ruchu, wstrzymując oddech. Patrzyła raz na Rolfe'a, raz na Meyera i po raz pierwszy dostrzegła podobieństwo między nimi.

- Co teraz, drogi bracie? - rzekł Rolfe. - Wyszedłeś z królewskich łędźwi, ale ojciec tobą gardzi. Co teraz zrobisz?

Meyer zbladł.

- Odsuń się od okna - odpowiedział po chwili. - Za chwilę pochłonie cię ogień. Nie chcę, żebyś wyskoczył i znalazł lekką śmierć.

Rolfe zacisnął palce na kolbie pistoletu, aż pobieleły mu stawy. Łeb wilka na jego pierścieniu zalśnił złociście.

- A co z Angeliną? Zniszczyć tak piękne ciało byłoby głupotą.

- Oddajesz mi ją? A przecież nie tak dawno wyrwałaś ją wszystkim. Już nie uważasz, że pohańbienie jest gorsze niż śmierć? Bo myślę, że ją zhańbię, i to bardzo...

- Nie! - krzyknęła Angelinę, instynktownie zbliżając się do Rolfe'a.

- Nie kwapi się do tego - drwiąco powiedział Meyer. - Nie zechciałbyś jej zalecić, żeby się z tym pogodziła? Żeby zaczęła stosować się do moich życzeń, zgadywać moje pragnienia z nadzieją, że zechcę ją przy sobie zatrzymać? Muszę ją trzymać pod kluczem, bo zna twój los. To taka trochę nudnawa przyjemność, o której ty już co nieco wiesz, prawda? Mogę to zrobić, by ci umożliwić poniesienie tej najwyższej ofiary, chociaż wielu mężczyzn wolałoby widzieć kobiety, które kochają, raczej na stosie.

- Nie! - zawołała znowu Angelinę. - Nie chcę! On i tak mnie zabije!

Meyer zasiniał się pogardliwie.

- Mogę to zrobić.

Rolfe nie odzywał się, jakby słowa Meyera do niego nie docierały.

Wtem na korytarzu dał się słyszeć stukot damskich obcasów i szelest ubrania. W drzwiach ukazała się Claire w długiej sukni z białej tafty.

- Co się tu dzieje, Etienne? Słyszałam jakieś hałasy, czuć też zapach dymu...

Przerwała - gdzieś w dole, na ulicy rozległy się strzały. Angelinę napotkała wzrok kuzynki i zauważyła, jak ta zbladła. Popatrzyła na Rolfe'a i na Etienne'a.

- Powiedziałaś, że sobie poszła! - zawołała podniesionym głosem. - Powiedziałaś, że jej tu nie ma!

Etienne wzruszył tylko ramionami i spojrzał na Meyera. Claire też patrzyła na niego.

- Nie powtarzaj tego co z Maxem, Meyer! Ja nie chcę w tym uczestniczyć! Drugi raz już nie!

- Myślę - rzekł z szyderczą galanterią Meyer - że nasze panie powinny stąd wyjść. Co ty na to, mój książę?

- Wyjdź z nią - rzekł cicho Rolfe, nie patrząc w stronę Angelinę.

- Nie pójdę! - zawołała i wysoko uniosła głowę.

Rolfe dopiero teraz na nią spojrział.

- Bardzo cenię twoje zdecydowanie i niczego bym sobie bardziej nie życzył niż śmierci w twoich ramionach, jednak teraz tak kojącej i słodkiej poduszki przyjąć nie mogę.

Lewą ręką ujął ją za ramię, odwrócił, otwartą dłonią pchnął w plecy. Zgadła, czego chciał. Nadał jej rozpęd, ale to w niej zrodziła się siła wywołana wściekłością, nienawiścią i strachem. Biegła prosto na Etienne'a z nadzieją, że ten się nie spostrzeże i że będzie myślał, iż wybiega z pokoju, na wolność...

Zderzyła się z nim, już o niczym nie myśląc. Wytrąciła mu pistolet z ręki i niczym samiczka w obronie gniazda, rzuciła się do jego oczu.

Etienne wrzasnął. Pistolet upadł na podłogę. Meyer nachylił się, by go podnieść. Angelinę odwróciła się i zobaczyła, że Claire z zaciśniętymi ustami i dzikim wzrokiem rzuca się na Meyera. Rozległ się huk wystrzału. Z jej otwartych ust wydobył się cichy jęk, a szeroko rozwarte oczy zdawały się czemuś dziwić. Zgięła się w pół i padła. Na sukni ukazała się czerwona plama.

Rolfe nie mógł zrobić użytku z pistoletu w obawie, że może trafić Angelinę. Szedł w jej kierunku. Był tuż przy niej, gdy poczuła, jak silne ramię oplata jej szyję i ciągnie do tyłu. To Meyer dopadł ją i nożem wyciągniętym z cholewy dotknął jej gardła tuż pod brodą.

- Stój!

Wydawało się, że Rolfe już nie zdąży powstrzymać uderzenia. Błady, dysząc ciężko, zatrzymał się kilka cali przed Meyerem.

- Etienne - rzeki zmienionym głosem Meyer - zabierz mu pistolet.

Rolfe nawet nie spojrzął na Francuza.

- Na twoim miejscu bym tego nie próbował. Mam cię na muszce i on cię nie zasłoni, jeśli ja zdecyduję się na użycie broni.

Etienne zawahał się. Rolfe wydobył nóż z pasa i trzymał go swobodnie w rękę.

- Ty durniu! - zawołał Meyer i splunął w stronę Francuza; ścisnął Angelinę tak, że ledwo mogła złapać powietrze.

Rolfe, wpatrując się w ramię opasujące szyję Angelinę, rzekł już opanowanym głosem:

- Co teraz, drogi bracie, tak szybki i sprawny w usuwaniu innych ze swojej drogi? Spróbuj rozlać jedną kroplę krwi Angelinę, a na plecach wytnę ci swoje inicjały i z twoich kości zrobię piszczałki. A jeśli odważysz się na coś więcej - na tej małej, świętej ziemi nie ma niczego, co mogłoby cię ocalić. Niczego!

Jeśli nawet styl tej groźby był trochę napuszony, była to groźba ostateczna. Meyer to wiedział i jego uchwyt zelżał. Oddychał coraz szybciej. Nie odzywał się. Angelinę pomyślała, że tak niedawno Hiszpan trzymał Claire w taki sam sposób, nie mogła nic zrobić. A teraz Claire leży u jej nóg. Od chwili gdy padła, nie poruszyła się, nie wydała żadnego dźwięku. Angelinę cierpiała, nie mogąc jej pomóc. Przecież mogła wykrwawić się na śmierć. Etienne nawet nie spojrzął w jej stronę - cofał się powoli, nie odwracając wzroku od rozgrywającej się sceny.

- Twój pomocnik ucieka - powiedział z drwiną w głosie Rolfe, kiedy kroki Francuza zadudniły na schodach, prowadzących na tylną galerię. - Teraz jesteś tylko ty, ja i Angelinę. Mam propozycję: odrzucę pistolet, a ty ją puścisz. A potem, jeśli nadal będziesz

chciał wypróbować swój nóż, dam ci szansę w otwartej walce ze mną.

- Obejdzie się bez łaski.

- Przecież zawsze chciałeś mnie pobić, a zwłaszcza ostatnio. Nikomu innemu z mojej gwardii tak na tym nie zależało. Jak myślisz, czemu nigdy nie chciałem walczyć z żadnym z was? Żebyście nie musieli przeżywać goryczy przegranej. Chodź, masz teraz szansę.

- Gorycz przegranej będzie tym razem twoim udziałem.

- Tego musisz dowieść - odrzekł Rolfe. - Czujesz przemożną ochotę wygrania, prawda? Chciałeś zdobyć pozycję Maxa, a moją sławę. Za wszelką cenę. I nasze kobiety. Teraz, jeśli mnie pokonasz, możesz to mieć.

- Odłóż pistolet.

Rolfe zaśmiał się.

- A może jeszcze obnażyć pierś i nadstawić na uderzenie, co? Puść Angelinę, wtedy zrobię to, co powiedziałem.

- Przysięgasz?

- Na co? Na święte relikwie? Na ojcowski tron? Na co chcesz? Ja zawsze dotrzymuję słowa.

Wielki bunt narastał w Angelinę, aż się nim dusiła. Nie wolno jej jednak rozpraszać teraz Rolfe'a, nie wolno jej teraz zrobić niczego, co mogłoby zachwiać jego pewność siebie. Czuła, jak Meyer zwalnia uścisk. Nóż cofał się, w miarę jak otwierał ramiona. Zrobiła głęboki uspokajający wdech, na gest Rolfe'a odsunęła się od Meyera i podeszła do drzwi.

Rolfe bardzo powoli podszedł do stojącego obok lampy stolika i położył na nim pistolet. Ponieważ Meyer cofnął się do hallu, Rolfe przeszedł obok Angelinę, ominął leżącą Claire i wyszedł za nim.

Patrząc na niego, trudno się było zorientować, czy uderzenia w głowę pozostawiły jakiś ślad. Był całkowicie opanowany i tylko między brwiami widniała pionowa

zmarszczka, która była albo wynikiem jego całkowitej koncentracji albo pulsującego w głowie bólu. Poza tym dopiero nie tak dawno zaleczył ranę odniesioną na Ziemi Niczyjej, która musiała podkopać jego siły. Natomiast Meyer był w pełni sił. Wiedział, że pod tym względem miał przewagę nad księciem. Uśmiechał się, zdejmując kurtkę munduru.

Stanęli na środku hallu. Angelinę ukłękła przy Claire. Położyła rękę na jej piersiach. Nie wyczuła najmniejszego ruchu, śladu oddechu. Oczy kuzynki były szeroko otwarte, a ich zielonkawe źrenice wyglądały jak powierzchnia spokojnej wody ściętej mrozem.

Angelinę spojrzała na Rolfe'a przez łyżę. Gdy spotkali się wzrokiem, potrząsnęła tylko głową i podniosła się z klęczek. Rolfe przełożył nóż z lewej do prawej ręki.

- To twoja następna ofiara, drogi bracie, piękna i bezbronna. Pewnie jesteś dumny, co?

Meyer rzucił kurtkę na poręcz schodów i kciukiem sprawdził ostrze noża.

- Mówisz o Claire? Nie musisz nad nią wylewać łez. Wiesz, że to ona zabiła Maxa, przykładając mu pistolet do skroni.

- Z powodu odrzuconej miłości?

- Z nienawiści i z chęci zemsty, że odrzucił jej miłość. Odsunął ją od siebie, płacąc błyskotkami. Ale głupotą z jej strony było spodziewać się czegoś więcej. Nie dostała tego, czego chciała, więc się zemściła.

Meyer rzucił się bez ostrzeżenia do przodu, próbując zadać cios. Ostrze jego noża o włos minęło pierś Rolfe'a. Ten się tylko zaśmiał. Meyer z ponurą twarzą stanął w rozkroku i szykował się do nowego ataku.

- Z treści listów, jakie od Maxa dostawałem, wynikało, że jest nią zauroczony - powiedział Rolfe; krążył po hallu w taki sposób, by nie dać się zapędzić na schody.

- Tak było, dopóki nie zaczęły krążyć plotki. Max był wybredny i dumny. Musiał mieć pewność, że

jeszcze nikt nie jeździł na koniu, którego wybrał dla siebie.

Ich kroki dudniły głucho na podłodze pokrytej brudnym dywanem.

- Ta dama - odpowiedział Rolfe - nie wydała mi się na tyle głupia, by łatwo dać na siebie wsiąść.

- Nie. Ale były ciche szepty, subtelne uwagi, pewne spostrzeżenia...

- Twoje? - spytał Rolfe.

Błyskawicznie cofnął się o pół kroku, jakby niechętnie, niedbale, ale wystarczająco daleko i szybko, by uniknąć śmiertelnego ciosu.

Meyer skrzywił się. Sarkazm przebijał z jego słów, gdy znowu się odezwał.

- Tak. I stały się dość prawdopodobne trochę później, w czasie między odsunięciem Claire a śmiercią Maxa.

- To ty doprowadziłeś do ich skłócenia, a kiedy to ci się udało, uwiodłeś ją. Potem rozпалиłeś w niej nienawiść, wytłumaczyłeś, że powinna się zemścić i podpowiedziałeś, jak to zrobić. Następnie, kiedy już znalazła się w jego łóżku, nakryłeś ich, zastrześliłeś Maxa i chciałeś zabić Claire - to miała być zemsta i jednocześnie samobójstwo mordercy.

Światło w hallu było przyćmione. Na wysięgniku stała tylko jedna lampa. Noże, które przeciwnicy trzymali w ręku, odbijały jej nikły płomień. Obaj byli niemal tego samego wzrostu, mieli podobny zasięg rąk, ale Meyer wydawał się bardziej ociężały. Nie miał tak wymierzonych, oszczędnych ruchów jak Rolfe. W tym pojedynku to stanowiło jego przewagę. Angelinę patrzyła na nich z sercem podchodzącym do gardła i z bolesnym pulsowaniem krwi w skroniach. Nie mogła oderwać od nich wzroku, choć słyszała strzelaninę dochodzącą z dołu i dalekie krzyki:

- Ogień! Ogień!

Ponieważ Meyer nie odpowiedział, Rolfe mówił dalej:

- Nie omieszkałeś też szeptać do królewskich uszu - w intrygach zawsze byłeś dobry! - kłamstw o zazdrości i ambicjach drugiego syna. To ci jednak nie wyszło. Ale za to tak się szczęśliwie dla ciebie złożyło, że to ty odkryłeś samobójstwo i ogłosiłeś to publicznie. Dla siebie, ku zadowoleniu króla, zachowałeś drugą część prawdy, licząc na to, że rychliwa królewska sprawiedliwość sama usunie mnie z twojej drogi.

Nagłym rzutem Rolfe skoczył do przodu. Nożem celował dokładnie w miejsce, gdzie znajdowało się serce Meyera. Gwardzista zdążył zrobić unik, ale odrobinę za mały. W koszuli na jego piersi pojawiło się rozdarcie, a zaraz potem - krwawa plama. Jakby nie czując bólu, warknął coś i zaraz dodał spokojnie:

- Dobrześ to wszystko przemyślał. Nie łudziłem się zbyt, że uda mi się wyprowadzić cię w pole...

- Claire nie zginęła - nie pozwolił sobie przerwać Rolfe i mówił dalej: - I trzeba ją było uciszyć. Zrozumiała to, gdy się zorientowała, że stała się ofiarą twego podstępu. Uciekała do matki, a ja ją goniłem razem z tobą. I nie mam już żadnych wątpliwości: ojciec wyznaczył cię na mojego kata.

- Tak. Nie mylisz się. Ale miłość, jaką darzył cię naród, nakazywała, by zrobić to bardzo ostrożnie. Trzeba było upozorować jakiś nieszczęśliwy wypadek i dopiero - gdyby to się udało - pozbawić cię dobrego imienia.

- Pozostawała jeszcze gwardia.

- Tak, to też się liczyło. Szło o to, by każdy z jej członków był gotów, w odwecie za twoją śmierć, uderzyć bez oglądania się na racje, bez dociekania, kto zawinił czy kto do niej doprowadził.

Próby zdobycia możliwie najlepszej pozycji, markowanie uderzenia i błyskawiczne uniki przywodziły Angelinę na pamięć walkę Rolfe'a z McCulloughem. Ale przeciwnik, przed którym teraz stał książę, był

o wiele bardziej niebezpieczny: miał jeden, jedyny cel - zabić następcę tronu Ruthenii.

Co się stało ze Szkotem? Czy to on i jego ludzie strzelali na zewnątrz? W tej chwili nie miało to większego znaczenia, liczyły się bowiem tylko błyski noży, chrapliwe oddechy mężczyzn, ich słowa - jadowite i ostre, jak trzymana w rękach broń.

- Intrygi, kłamstwa o skandalach i nocnych awanturach, w połączeniu ze śmiercią trojga ludzi, miały podważyć moją reputację. Tylko po co to wszystko?

- Po co? Przecież doskonale wiesz: chciałem tego, co mieliście ty i Max. I w dalszym ciągu mam zamiar to osiągnąć.

Na twarzach walczących pojawił się pot. Złote włosy Rolfe'a pociemniały, twarz lśniła. Kiedy znowu zaczął mówić, widać było, że z trudem hamuje wściekłość.

- W jaki sposób? Jesteś nieślubnym dzieckiem, nie zostałeś formalnie uznany za królewskiego syna, a jest to jedyny, ale bezwzględny warunek do sukcesji.

- Wpływy zrównoważą ten brak. Na początek stanę się niezbędnym doradcą, zastępcą, wyznaczonym...

- ...ale nie namaszczonym! Nigdy! Co się stanie, gdy stary król umrze? A musi to nastąpić już niedługo, bo...

Czyżby Rolfe, pochłonięty dociekaniem prawdy o ojcu i przyrodnim bracie, zapomniał o schodach? Były tuż za jego plecami. Wyglądały jak studnia, z której unosiły się kłęby dymu, od spodu obrzeżone językami ognia, bił od nich żar jak z piekła. Strzelanina ustała i trzask ognia był teraz zupełnie wyraźny.

- Leopold jest następnym w kolejności, zaraz po tobie - odezwał się Meyer.

- Nie ma ochoty być królem. Nie chce korony.

- Nie sądzisz, że może być inaczej? Jego troska o ciebie była wzruszająca. Zmartwi się, że nie ty będziesz królem, ale ze mną za plecami może być całkiem niezłym zarządcą kraju.

Schody były blisko, bardzo blisko. Kilka gwałtownych ataków Meyera zmusiło Rolfe'a do cofnięcia się w ich stronę. Teraz już nie mógł się wycofać.

Angelinę patrzyła z przerażeniem, że Rolfe nie robi nic, by umknąć niebezpieczeństwu. Już chciała krzyknąć, by go ostrzec, ale zdała sobie sprawę, że jeśli odwróci jego uwagę choćby na ułamek sekundy, może to oznaczać jego śmierć.

Meyer jak gdyby wyczuł, że Rolfe słabnie, natarł jeszcze mocniej. Jego ciosy stawały się coraz mocniejsze, celniejsze, coraz trudniejsze do parowania. Zdawał się nabierać siły i wiary w siebie, mimo niewielkiej rany na piersi. Walczył jak rozwścieczony byk.

Jeszcze raz zebrał wszystkie siły i zaatakował z furją. Rolfe usunął mu się z drogi. Zrobił dwa kroki w tył tak, że zatrzymał się zaledwie kilka centymetrów od najwyższego stopnia schodów. Angelinę nie wytrzymała i skoczyła mu na pomoc. Za późno. Rolfe zachwiał się, poślizgnął i poleciał w dół. Meyer wydał radosny okrzyk i z nożem wyciągniętym do zadania ostatecznego ciosu skoczył za nim. I raptem jego radosny krzyk zmienił się w chrapliwy jęk. Wpadł w zasadzkę. Rolfe, kilka stopni niżej, z kocią zręcznością poderwał się na nogi. Usunął się tylko z bezpośredniej linii ataku Meyera. Zanim ten zdążył się zatrzymać, zataczające niewielki łuk ostrze noża Rolfe'a trafiło go w brzuch. Księżę wyszarpnął nóż i Meyer poleciał w dół, zatrzymując się dopiero na poręczy. Nóż wypadł mu z bezsilnych palców. Rolfe podszedł, podniósł go i stanął nad gwardzistą z bronią w obu rękach.

Od strony tylnej galerii przez hall powiało chłodem i przed Angelinę pojawił się McCullough, a obok niego Leopold. Ubrania obu mężczyzn były z lekka osmalone, jakby przedzierali się przez ogień. Biały mundur gwardzisty był dodatkowo powalany błotem i sadzą. Angelinę nie potrafiłaby powiedzieć, od jak dawna tu

byli, ale z ponurej miny Leopolda mogła wyczytać, że dość długo, na tyle długo, by być świadkiem walki. McCullough splunął z rozmachem na podłogę i ruszył w stronę tylnych drzwi. Po chwili usłyszała, jak woła Gustave'a, Oswalda i swoich ludzi.

- Jedne marzenia się spełniają, inne - nie. Jedne są wspaniałe i piękne, inne - złe i niszczycielskie, cuchną zgnilizną jak padlina.

Meyer usiłował podejść schodami w górę. Jedną ręką trzymał się poręczy, a drugą przyciskał do brzucha. Spod palców płynęła krew. Twarz wykrzywił mu ból. Całą postać podświetlały tańczące w dole płomienie.

- Chciałem tego wszystkiego dla ciebie, nawet jeśli ty tego nie chciałeś - powiedział do Leopolda.

Leopold podszedł do skraju schodów i popatrzył na niego z odrazą.

- Dla ciebie na moim dworze nie byłoby miejsca. Nie byłoby miejsca dla kogoś, kto w chwili ataku na obóz Hiszpana chował się na tyłach, w bezpiecznej odległości, albo w czasie kiedy Rolfe leżał ranny, postrzelony przez ludzi McCullougha, stał beczynnym i obojętnym, nie robiąc nic. Nie wiem, czy jesteś bydlęciem, tchórzem czy jeszcze czymś gorszym. W każdym razie nigdy bym cię nie zaakceptował jako doradcy.

- Głupi - zachrypiał Meyer. - Ciągle jeszcze możesz być królem. Wystarczy, że w tej chwili dokonasz wyboru... Musisz tylko zabić jednego, jedynego człowieka... Broń masz. Użyj jej szybko, a... później już nigdy nie będzie się o tym... mówiło...

- Jednego i jedną - uzupełnił Leopold.

- No, tak. Ich oboje. Co za różnica. A może ja... może ja ci pomogę... ja to zrobię, mój... mój przyszły królu? Ty weź jedno, ja - drugie.

Umazane własną krwią ręce wsunął za pas i wy dobył ukryty tam pistolet. Jego poślacana kolba błysnęła przez dym napływający z dołu. Angelinę z biciem serca

wpatrywała się w tę broń. Bardziej czuła, niż widziała, jak Leopold unosi broń. Z takiej odległości nie można było chybić.

Huk wystrzału rozległ się w pomieszczeniu niczym grzmot. Błysk rozdarł mrok żółtym światłem spalonego prochu. Kula zawyła, zaśpiewała, poleciała dokładnie i pewnie, z wyćwiczoną w gwardii dokładnością. Bezbłędnie znalazła swój cel.

Meyer poleciał w dół. Padł jak dąb trafiony piorunem podczas wiosennej burzy.

Leopold dokonał wyboru.

- XX -

- Mademoiselle Fortin, posłaniec do pani.

Maria stała w drzwiach małego salonu. Mówiła uniżonym, pełnym szacunku tonem. Angelinę uniosła głowę znad biurka, przy którym pisała zawiadomienia o śmierci kuzynki. To było jej zadanie na dzisiejszy dzień, które ciotka jej zleciła. Ciotka Berthe leżała pod opieką siostry odrętwiała, od chwili gdy trzy dni temu dotarła do niej wieść o śmierci córki.

Angelinę postarała się o sprowadzenie ze spalonego domu zwęglonych zwłok Claire, by jej wyprawić zwyczajny pogrzeb, z mszą świętą za spokój duszy. Zarządziła, by zatrzymano wszystkie zegary w domu do czasu pogrzebu, odwrócono lustra do ściany, a w drzwiach zawieszono czarne wstęgi. To ona przygotowała poczęstunek dla tych, którzy uczestniczyli w ceremonii. Ona również przyjmowała w salonie kondolencje, tłumaczyła niedyspozycję ciotki, odpowiadała na pytania, nie reagując na dwuznaczne spojrzenia gości.

Teraz wstała i rozprostowała fałdy specjalnie na pogrzeb przeфарbowanej na czarno sukni.

- Czy zechciałabyś go wprowadzić, Mario?

Czarny posłaniec miał na sobie niebiesko-złotą liberię ambasady francuskiej. W rękę trzymał niewielki koszyk wyłożony wzorzystym kretonem. Podał go Angelinę. Na samym wierzchu leżała wizytówka z jej nazwiskiem. Z uśmiechem poprosiła Marię, by podała posłańcowi

coś odświeżającego do picia, a sama drżącymi palcami wzięła do ręki karteczkę.

Uprasza się o zaszczytowanie swoją obecnością...

Litery zatańczyły jej przed oczami.

Czyżby pożegnalny obiad Rolfe'a, księcia Ruthenii?
Chrząknęła z trudem.

- Czy księżę niedługo wyjeżdża?

- Tak, Mademoiselle. Powiedziano mi, bym przekazał pani, że będzie to spotkanie żałobne w ścisłym gronie, wydane przez księcia w związku ze śmiercią przyrodniego brata.

Z ciężkim sercem odłożyła kartkę do koszyka.

- Jak widzisz - rzekła wskazując na swój czarny strój - sama noszę żałobę. Więc nie wypada, bym brała udział w tym spotkaniu.

Posłaniec chwycił list i położył go na skraju biurka.

- Powiedziano mi również, to osobiste polecenie księcia, że nie wolno mi przyjąć odmowy od pani, Mademoiselle.

- Ale musisz.

- Nie mogę.

Posłaniec skłonił się, odwrócił i szybko wyszedł z pokoju. Usłyszała, że Maria rozmawia z nim za drzwiami: pewnie namawia go na szklaneczkę *biere Creole*.

Siadła wpatrzona w biały arkusik.

Usiłowała zapomnieć o wszystkim, co się wydarzyło tamtego wieczoru. Pomogły jej w tym nowe obowiązki, które przejęła w domu ciotki. Dom gry z jego drewnianymi wysuszonymi ścianami spłonął jak rulonik papieru. Ledwo zdążyli zbiec z piętra, które zaważyło się w chwilę potem. Zanim spadł deszcz i przybyli strażacy, spłonęły trzy dalsze domy. Rolfe i gwardziści oraz ludzie McCullougha pomogli gasić pożar. Później księżę odwiózł Angelinę do domu wdowy i przekazał ją w ręce Marii z jednoznacznym poleceniem, jak ma się

nią zająć, a sam na osobności przekazał ciotce wiadomość o śmierci Claire.

Od tamtego czasu odwiedzali ją Gustave i Oswald, przyglądali się jej uważnie, jakby po powrocie do ambasady mieli zdawać dokładny raport z tego, co widzieli. Andre też wpadał na kilka minut, rozmawiał o bieżących sprawach, o plotkach i najnowszych wydarzeniach, o wszystkim, z wyjątkiem jednego: o okresie, jaki spędził z gwardią.

O Rolfie nie wiedziała nic.

Zdawała sobie sprawę, że jest zajęty czynnościami związanymi ze śmiercią i pogrzebem Meyera. Poza tym, miał na głowie inne, znacznie poważniejsze sprawy. Słyszała, że specjalna delegacja władz miasta wybrała się do niego, by podziękować za skuteczną pomoc w walce z pożarem, który zagrażał, nie po raz pierwszy, Nowemu Orleanowi.

Domyślała się, że kończy się znajomość z księciem. W jakimś sensie czuła ulgę, że będzie to miała za sobą, chociaż dokuczliwy ból dniem i nocą wyciskał jej łzy z oczu.

Próbowała odciąć się od innych wspomnień, od wydarzeń, jakie przeżyła w ciągu ostatnich tygodni, ale napływały falami, znaczone strachem i pożądaniem, rozkoszą i rozpaczą. Za wszelką cenę starała się nie myśleć o nocy, kiedy to Rolfe ją uwiódł, i o wszystkich tego konsekwencjach. Raczej usiłowała skupić się na wypadkach tamtego popołudnia, gdy Meyer pozwolił jej uciec z domku myśliwskiego. Wtedy myślała, że zrobił to w odruchu szlachetności, ale teraz wiedziała, że był to jedynie sposób, by odsunąć ją od Rolfe'a, zanim powie mu to, czego Meyer bardzo nie chciał, a mianowicie, że zna miejsce, gdzie ukryła się Claire.

To Meyer odurzył Rolfe'a tej nocy, gdy w domku myśliwskim wybuchł pożar. Tylko on, jako medyk gwardii, miał w swojej dyspozycji narkotyk i dodał go

do jedzenia Rolfe'a. Ktoś o słabszej konstrukcji fizycznej zapewne już wtedy pożegnałby się z tym światem. I chyba na to liczył Meyer. To dlatego nie spieszył się z pomocą, chociaż jego pokój znajdował się najbliżej ich sypialni.

Później, podczas potyczki z ludźmi z St. Martinville, po nocnym najeździe na konwent, była pewna, że ktoś uderzył jej konia i musiał poluzować popręg, aż spadła razem z siodłem. To Meyer jechał tuż przy niej i tylko on mógł to zrobić. Ale przecież nie była wtedy dla niego żadnym zagrożeniem. Chyba że sądził, iż zna krewnych z Natchitoches, do których uciekła Claire. A może domyślał się już jej sympatii dla Rolfe'a? Mogła też być jego zemstą za to, że przyczyniła się do upokorzenia go wobec gwardzistów, albo za to, że prowadziła Rolfe'a do kryjówki Claire.

Teraz było dla niej jasne, dlaczego starał się zbliżyć do niej w czasie pobytu w fortecy McCullougha. Ponieważ Rolfe okazywał jej coraz większe zainteresowanie, w nim też zrodziło się pragnienie, by ją posiadać. Miał nadzieję, że ją zdobędzie. W ten sposób chciał uzyskać kontrolę nad dzieckiem, które, jak podejrzewał, nosiła w łonie.

Teraz, z perspektywy czasu, wszystko wydawało się jasne. Czemu wtedy nie mogła się tego domyślić? Odpowiedź była bardzo prosta: trudno dostrzec wroga w kimś, kto jawi się jako przyjaciel. O ile więc trudniejsze musiało to być dla Rolfe'a, który z Meyerem spędzał dzieciństwo, dzielił z nim ojcowską pogardę i zapomnienie, z nim dorastał i walczył obok niego w tej samej elitarnej jednostce.

Z tego co słyszała, wywnioskowała, że Rolfe i jego gwardia, z Meyerem włącznie, w czasie znajomości Claire z Maximilianem, często opuszczali Ruthenię. Rolfe sam wspominał, że zaledwie kilka razy widział Claire, i to z daleka. W tym czasie włączyli się po

Europie dla przyjemności. Tak to przynajmniej rozumiała. Jeśli Meyer w tym okresie sam wrócił do Ruthenii, musiał to trzymać w tajemnicy. By wykonać swój plan usunięcia Maxa, musiał mieć pewność, że Rolfe będzie w pobliżu. To był istotny czynnik całego spisku: Meyer winą za tę śmierć musiał obarczyć Rolfe'a.

I to mu się udało. Król uwolnił Meyera od wszelkich podejrzeń i tym samym wydał wyrok na Rolfe'a. Czy istniało jakieś polecenie na piśmie? Może ktoś je znalazł i zniszczył? A może ciągle jeszcze gdzieś się znajdowało, by w odpowiednim momencie zrobić z niego użytek?

Wyciągnęła rękę, by dotknąć wizytówki z wypisanym jej nazwiskiem. Rolfe odchodził, wracał do swojej ojczyzny. Czy i kiedy tam dotrze? Czy będzie musiał stanąć przed ojcem, by się wytłumaczyć ze śmierci Meyera? Czy król zechce przyjąć prawdę, jaką przedstawi młodszy syn, nawet potwierdzoną przez Leopolda? A co będzie potem? Dalsze włóczenie się po Europie? Ciągłe szukanie przygód? A może zostanie przyjęty jako następca tronu, skoro tylko pojmie za żonę bawarską księżniczkę?

Nie pójdzie tam. Nie pójdzie tam, by żegnać się na oczach zebranych tam ludzi, z uśmiechem przyklejonym do twarzy i z drżącymi kolanami. Nie chce oglądać Gustave'a, rozluźnionego i uśmiechniętego, w galowym mundurze, Leopolda, stojącego sztywno i dumnie, ani Oswalda, spokojnie obserwującego wszystko, jak zwykł to być robić jego brat bliźniak. Woli ich zapamiętać takimi, jakimi widziała ich po raz ostatni: wyczerpanych walką z szalejącym ogniem, brudnych od potu i sadzy, ale z rozradowaniem w oczach, że dali radę żywiołowi i że znowu, bezpieczni, są razem z Rolfe'em. Wolała ten sposób pożegnania, jaki wybrał Rolfe w tamtą noc, noc pełną pocałunków, pieszczot i cudownych słów

o miłości, które będą jej dźwięczały w uszach, dopóki sama śmierć ich nie uciszy.

Nie, nie może tam pójść.

A jednak poszła. Złękła się, że Rolfe może przysłać po nią gwardzistów, jak to już raz zrobił. Może nawet przyjechać sam. Wydobyła z kufra suknię z szarego jedwabiu, nigdy dotąd nie noszoną z powodu jej rzucającej się w oczy powagi. Dostała ją kiedyś Claire na pogrzeb któregoś z ważnych wujów, tuż przed jej wyjazdem do Francji. Maria układała jej włosy, a ona siedziała apatycznie wpatrzona w lustro, w odbicie szarego jedwabiu, na lamówkę wokół karku i lekko bufiaste rękawy zakończone koronką podobną do szronu na szybie. Rozmyślała o losach kuzynki. Claire kochała Maximiliana, chociaż pewnie nie zdawała sobie sprawy z tego jak bardzo. Uświadomiła to sobie dopiero w chwili jego śmierci. Uczucia, jakie do niego żywiła, krępowała duma, próżność i arogancka pewność, że gdy tylko wyjdzie za niego za męża, zajmie najbardziej eksponowaną pozycję na dworze. Ale została odsunięta i jej próżność domagała się odwetu. Pozostawiona samej sobie, całą złość wyładowałaby zapewne na dworskiej porcelanie, gdyby Meyer nie skierował jej wściekłości w złym kierunku. Konsekwencje takiego postępowania przerosły jej zdolność pojmowania. Niebezpieczeństwa i poniżenia, które nastąpiły później, doprowadziły ją do szaleństwa, chociaż na koniec usiłowała pomóc Angelinę i przeszkodzić Meyerowi w osiągnięciu celu, do którego posłużył się nią na samym początku w Ruthenii.

Innym powodem, dla którego zdecydowała się przyjąć zaproszenie, był list Helenę Delacroix, w którym zawiadamiała ją, że otrzymała zaproszenie do ambasady i razem z Andre z przyjemnością zabiorą ją swoim powozem.

Budynek ambasady wyglądał dość ponuro. Okna głównej sali były ciemne. Nie było widać służących,

zwykle pomagających wysiadającym z powozów. Dopiero drzwi wejściowe otworzył im lokaj, odebrał od nich wierzchnie okrycia i poprowadził do sali.

W długim pokoju, zdobionym lustrami, rokokową sztukaterią i lśniącymi brokatowymi zasłonami, zebrało się około dwudziestu osób. Gości witał gubernator, konsul z żoną i jeszcze dwóch innych dygnitarzy. Jim Bowie stał w kącie i rozmawiał z Gustave'em, a kiedy Angelinę weszła do sali, uniósł lekko kieliszek w jej stronę. Na kozetce, w sukni całej w falbanach z koronek, siedziała śpiewaczka, która od jakiegoś czasu czarowała Nowy Orlean swą grą w *Cyryliku Sewilskim*, a tutaj została zaproszona, by zaśpiewać im po kolacji. Stał za nią Leopold i zabawiał ją dowcipami, co rusz nachylając się i zaglądając za luźny dekolt, z którego niemal w całości wyłaniały się kształtne piersi. Oswald, trochę onieśmielony, pełnił rolę towarzysza pani konsulowej. Rolfe stał w towarzystwie konsula i gubernatora.

W nowym mundurze, z kilkoma orderami na piersiach, wyglądał wspaniale. Pochwycił jej spojrzenie, uśmiechnął się i zaraz znowu całą uwagę poświęcił obu mężczyznom, zwłaszcza że gubernator chwycił go za ramię i coś mu usilnie tłumaczył.

Wydał się Angelinę zmęczony, pomyślała, że czegoś mu brakuje: dopiero po chwili uświadomiła sobie, że nie ma na piersiach błękitnej wstęgi z krzyżem maltańskim. Zaciśnęła palce na swojej torebce. W tym momencie podeszli do niej Oswald i Helenę.

Śpiewaczka, żony gubernatora i konsula, Helenę i Angelinę były jedynymi kobietami na przyjęciu. Stąd, kiedy wkrótce zaproszono gości do jadalni, nie udało się usadzić gości parami. Posiłek okazał się bardzo urozmaicony i bogaty. Była zupa cebulowa, po niej *oysters en brochette*, *daube glace*, pieczony dziki indyk nadziewany ostrzygami i orzeszkami oraz opiekane rolady

wołowe. Na deser podano *tarte aux peches* i cały zestaw serów, prażonych orzechów i suszonych fig. Choć wszystko było doskonale przygotowane i pięknie serwowane, Angelinę odsuwała od siebie niemal wszystko. Dużo za to rozmawiała z Andre i konsulem, między którymi siedziała przy stole. Starła się nie patrzeć na Rolfe'a, kierując spojrzenia raczej na *piece de montee* z nugatów, stojące na środku stołu, uformowane w kształcie krzyża maltańskiego, które już nieznacznie, pewnie pod wpływem ciepła świec, zaczęło się topić, tak że poszczególne owoce wyłaniały się z cukrowego lukru.

Po zakończonym posiłku poproszono panie do salonu, gdzie śpiewaczka przygotowywała się do występu. Angelinę stała z Oswaldem, gdyż Andre poszedł po szal matki, pozostawiony w jadalni. Oglądała się za krzesłem niezbyt blisko śpiewaczki i z dala od dygnitarzy, a także niezbyt blisko Helenę, która miała denerwujący zwyczaj rozmawiania podczas takich występów. Oswald wskazał jej stojący z boku fotel i - szybko się cofnął. Angelinę odwróciła się - Rolfe już stanął u jej boku.

- Gołębiu o szarych piórach, smutny, ale bardzo drogi! Jak ci minęły ostatnie dni?

- Całkiem nieźle. A tobie? - starała się odpowiadać zupełnie swobodnie, przyglądając się jego złotym lokom, pod którymi - wiedziała - kryła się duża blizna.

- Popołudniami czeszę ostrożnie włosy, kładę się do łóżka w zaciemnionym pokoju i marzę o nadejściu driady. Biegałbym za nią po mieście, ale ci z gwardii, którzy mi jeszcze pozostali, siłą zatrzymali mnie w łóżku. Nie ze względu na moje zdrowie, ma się rozumieć, ale...

- Chorowałeś?

Potrząsnął głową niecierpliwie.

- Gustave może potwierdzić, że głowę mam twardszą niż inni. Nie o to idzie.

- Nie słuchaj go, *meine Liebe* - rzekł Gustave, który właśnie do nich podszedł. - To było odnowienie wstrząsu mózgu, jakiego niegdyś doznał podczas walki z ludźmi McCullougha. Uderzenie otrzymane w domu gry nasiliło dolegliwości.

- Dziękuję, Gustave - rzekł Rolfe cicho, ale takim tonem, że gwardzista natychmiast zrozumiał, iż ma odejść; uklonił się nieznacznie i pozostawił ich samych. Wtedy Rolfe powiedział: - Muszę z tobą pomówić, Angelinę.

Z tonu, jakim to powiedział, domyśliła się, że to coś ważnego. Przypomniała sobie nagle rozmowę z Gustave'em, kiedy spotkała się z nim po raz pierwszy. Zapewniał ją wtedy, że nie straci na znajomości z księciem - przed zerwaniem zostanie sownie obdarowana.

- Ja... to znaczy... nie ma takiej potrzeby - jąkała się. - Znalazłeś to, po co tu przyjechałeś, a teraz musisz wracać... Ja to wszystko rozumiem.

Przyglądał się rumieńcom, jakie wykwitły na jej policzkach. Widział ból w oczach, choć starała się na niego nie patrzeć.

- Naprawdę rozumiesz? A może oczekujesz jakiegoś drobiazgu z moimi inicjałami, jak choćby to?

Z kieszeni wyjął naszyjnik. Na jego widok Angelinę zeszywniała. Poznała go - był to mały flakonik perfum na złotym łańcuszku, który Max podarował Claire, a który z kolei kuzynka dała jej owej pamiętnej nocy, gdy odprowadziła ją do konwentu.

- Skąd go masz?

- Był wśród rzeczy, które Sarus przywiózł z domku myśliwskiego M'sieur de la Chaise. Dla mnie bez wartości, przywodzący na pamięć wydarzenia bardziej niż smutne. Ale może dla ciebie ma jakieś znaczenie?

- Tak - szepnęła i wyciągnęła dłoń, by mógł na niej położyć wisiorek, jeszcze ciepły od zetknięcia z jego ciałem.

Otworzyła torebkę i włożyła go do środka. Potem sięgnęła głębiej i wydobyła błękitną szarfę.

- I ja coś przyniosłam, by ci oddać. To cudowny drobiazg, ale nie mogę go przyjąć.

Na dłoni, którą wyciągnęła w jego stronę, leżało najwyższe odznaczenie Ruthenii, które tamtej nocy, po przyjęciu w ambasadzie, pozostawił na poduszce przy jej głowie.

Ponuro spojrział jej w twarz.

- Dlaczego?

- To zbyt wartościowe.

- Nic nie jest zbyt wartościowe - powiedział zdecydowanie.

- Przyjmuję komplement - powiedziała cicho - ale musisz wziąć to, co należy wyłącznie do ciebie z racji siły, odwagi i czynów...

- Ty jesteś moją odwagą, moją siłą... Angelinę, posłuchaj mnie...

Przy wejściu do sali powstało jakieś poruszenie. Kamerdyner pospiesznie wszedł do środka i podszedł do konsula. W chwilę później konsul zwrócił się do Rolfe'a.

- Wasza Wysokość, w tej chwili specjalnym statkiem przybyła delegacja z Ruthenii, by się z panem widzieć.

W drzwiach stanęło trzech mężczyzn. Wszyscy ubrani byli na czarno i wszyscy mieli poważne miny. Podeszli do Rolfe'a i ukłonili się głęboko.

Angelinę przez mgnienie pomyślała, że przyszli go aresztować, by doprowadzić go przed oblicze ojca króla jako winnego śmierci Maxa. Ale gdy tylko spojrzała na księcia, gdy zobaczyła jego twarz, ostre spojrzenie, białą linię wokół zaciśniętych warg, wyprostowane po wojskowemu plecy - zrozumiała.

Najstarszy z przybyłych odezwał się:

- Z głębokim żalem przynoszę żałobną wieść, książę. Jest moim smutnym obowiązkiem poinformować cię,

że twój ojciec, nasz król - zmarł. Jesteśmy na pańskie rozkazy, Wasza Królewska Mość.

Wasza Królewska Mość, a nie Wasza Wysokość. A więc od tej chwili Rolfe jest królem!

Wszyscy trzej jeszcze raz ukłonili się nisko, a potem uklękli na jedno kolano.

Podniosły się okrzyki, wołania i głośne westchnienia, a potem wszyscy: gwardziści, konsul z żoną i pozostali goście stanęli kołem i pochyłili głowy.

Angelinę, pochyłona w ukłonie, poczuła, jak ktoś dotyka jej ramienia. Podniosła głowę i napotkała spojrzenie nowego króla Ruthenii, w którym, zamiast radości, zauważyła przejmujący ból.

- Wasza Królewska Mość - odezwał się konsul - myślę, że zechce pan udać się z delegatami do oddzielnego pomieszczenia na rozmowę...

- Tak - potwierdził z roztargnieniem Rolfe.

I gdy konsul położył mu rękę na ramieniu, wskazując, że powinien iść pierwszy, odwrócił się i powtórzył:

- Tak.

Andre podszedł do Angelinę, która ciągle jeszcze trzymała w ręku krzyż maltański, wziął odznaczenie i włożył do jej torebki. Podprowadził ją do krzesła i posadził na nim, w chwili gdy na znak żony konsula śpiewaczka pełnym, dźwięcznym głosem rozpoczęła arię.

Audytoryum było niespokojne, co rusz ktoś spoglądał w stronę drzwi, za którymi zniknął Rolfe z delegatami. Nawet największa śpiewaczka świata nie byłaby w stanie w takiej chwili skupić na sobie uwagi słuchaczy. Po zaledwie trzech ariach gospodyni przyjęcia poprosiła gości na kawę i koniak. Artystka, z obrażoną miną, opuściła salę. Goście rozpoczęli ożywioną dyskusję na temat rozgrywającego się na ich oczach historycznego wydarzenia w dziejach Ruthenii. Angelinę miała wrażenie, że zgromadzeni tu oczekiwali, by jedna z centralnych postaci rozgrywającego się dramatu, czyli

właśnie ona, również opuściła tę salę. Ale kiedy powiedziała o tym Andre, ten wziął ją pod rękę, odprowadził do bocznej niszy i posadził na kozetce.

- W żadnym przypadku nie wolno ci uciekać - powiedział, siadając przed nią na krześle. - To byłoby zmarnowanie całego dotychczasowego dorobku...

Uśmiechnęła się niepewnie i przerwała mu.

- Jestem ci wdzięczna za twoją troskliwość, ale te sprawy mało mnie już obchodzą.

- To są ważne rzeczy. Rolfe wróci do swego kraju, niczym już teraz nieskrępowany, a ty będziesz musiała pozostać tutaj. Zapewne krążyć będą plotki, ale nikt nie będzie śmiał odwrócić się do ciebie plecami na ulicy czy odrzucić twoje zaproszenie.

- W tej chwili może tak, ale co będzie za kilka miesięcy?

- Może jakieś inne wydarzenia odwrócą uwagę od ciebie?

- To niemożliwe... nie da się ukryć... że będę miała dziecko...

- Jeżeli tak... - jego oliwkowa twarz nabrała ciemniejszej barwy. Siadł na kozetce obok niej, wziął jej dłonie w swoje ręce i zaczął mówić jakimś nowym, zdecydowanym tonem, najpierw wolno, potem coraz szybciej.

- Zanim twoja ciąża stanie się widoczna, nikt nie będzie miał nic do powiedzenia, bo od kilku miesięcy będziesz już moją żoną. Pojedziemy na wieś, na plantację. Jest tam doskonała akuszerka. Ostatnie tygodnie spędzimy, zgodnie ze zwyczajem, na odludziu, a jeśli to będzie konieczne, możemy przecież opóźnić wiadomość o urodzeniu dziecka i jego chrzcie...

- O, Andre, nie myślałam...

- Wiem - przerwał jej. - Wiele razy odrzucałaś moją propozycję. Tym razem na to nie pozwolę. Wyjdiesz za mnie za mąż najszybciej, jak tylko da się to zrobić.

Wszystko mogło być takie proste. Andre byłby dobrym mężem. Nigdy, tego była pewna, nie wypominałby jej przeszłości. Po jakimś czasie na pewno przywiązałyby się do niego, już choćby za jego dobroć i troskliwość.

- Na taką ofiarę nie mogę ci pozwolić - powiedziała cicho.

- To nie będzie ofiara. To będzie zaszczyt dla mnie.

Jego brązowe oczy były łagodne, tak różne od niebieskich oczu Rolfe'a. Jego uczucia i postępowanie bardzo proste. U jego boku nie byłoby szalonych przeżyć, ale byłaby wygoda; nie byłoby wielkich pasji, ale spokojna radość.

- Chciałabym... będę się starała, żebyś był szczęśliwy.

- Już to zrobiłaś! - zawołał i uniósł końce jej palców do ust. Pomógł jej wstać z kozetki i poprowadził do salonu.

- Słuchajcie, przyjaciele, i ty mamo! - zawołał od drzwi. - Jestem najszczęśliwszym człowiekiem w Nowym Orleanie. Angelinę zgodziła się zostać moją żoną!

Helene Delacroix odwróciła się w ich stronę. Na jej twarzy widać było toczącą się walkę między niemiłym zaskoczeniem a smutnym zadowoleniem z widocznej radości syna. Ale nie reakcja przyszłej teściowej uderzyła Angelinę. Patrzyła na Rolfe'a, który właśnie wszedł do salonu.

Rolfe stanął jak wryty, gdy usłyszał to, co powiedział Andre. Po chwili jednak opanował się i z elegancją pogratulował wybrańcowi.

- Odpływamy w ciągu tygodnia, ja i moja gwardia - powiedział. - Ale zanim odjadę, chciałbym zobaczyć, jak mój towarzysz w nieszczęściu staje na ślubnym kobiercu.

Słowa te skierował do Andre, ściskając jego dłonie, ale gdy na mgnienie spotkała jego wzrok, wiedziała dokładnie, że przeznaczone były dla niej.

Dlaczego? Dlaczego to robił? Czyżby miała to być jakaś wyrafinowana kara? A może chciał ją widzieć bezpiecznie urządzoną, zanim stąd wyjedzie? Czemu tak koniecznie chce brać udział w jej ślubie.

Pytania te nurtowały ją, gdy przygotowywała się do ceremonii w kościele Świętego Ludwika.

Zaraz po obiedzie wykapała się, umyła włosy i teraz siedziała w ciepłe wiosennego słońca, by je wysuszyć. Chciała się wyciszyć, wyłączyć z rozmyślań. Ale z upływem czasu, wraz ze zbliżaniem się godziny ceremonii, rozbiegane myśli budziły w niej coraz większy niepokój.

Spojrzała na leżącą na łóżku suknię w kolorze kości słoniowej, podarunek od matki Andre, którego nie mogła nie przyjąć. Doskonale skrojona, z poszerzonymi rękawami do łokcia, z podniesionym stanem i mocno rozkloszowana u dołu, była niezwykle wykwintna. Jeszcze nigdy nie miała czegoś równie pięknego. Nie zamierzała robić przykrości Andre i bez oporu zgodziła się ją założyć.

Sama wolałaby cichą ceremonię gdzieś na wsi, w małym kościółku, jedynie w obecności Helenę, księdza oraz - bo bardzo na to nalegał - Rolfe'a jako świadka.

Ale było to niewykonalne.

Były całe tuziny krewnych Delacroix: dziadków i babek, ciotek i wujów z dwóch pokoleń, niezliczona liczba kuzynek i kuzynów o najprzeróżniejszym stopniu pokrewieństwa i wszystkich trzeba było zaprosić. Andre uparł się, by ceremonia odbyła się w kościele przy głównym placu miasta. Nie mówił tego, ale Angelinę wiedziała, że w ten sposób chce pokazać, iż w tym ślubie nie ma nic, co chciałby ukryć.

Ławki przeznaczone dla jej rodziny będą przeraźliwie puste. Miała bardzo niewielu krewnych, a tu, w Nowym

Orleanie, poza ciotką Berthe i jej siostrą - nikogo. Owdowiała siostra ciotki zapewne chętnie wzięłaby udział w ceremonii, ale nie miała odwagi nawet wspomnieć o tym. Sama ciotka Berthe, która w końcu wstała z łóżka, szykowała się do powrotu do St. Martinville. Powiedziała bez ogródek, że ani myśli tracić czas, asystując przy ślubie Angelinę, której w dalszym ciągu nienawidzi. Obarczała ją winą za śmierć córki i gdyby nie bała się potępienia ze strony otoczenia, najchętniej wyrzuciłaby Angelinę na ulicę.

Tak więc Angelinę drogę z domu do kościoła w powozie Delacroix musi odbyć sama. Przez cały kościół przejdzie oparta na ramieniu Andre. Ksiądz udzieli im ślubu. Złożą podpisy w księgach kościelnych. Swoją bukiet ślubny położy na rodzinnym grobowcu Delacroix. Powrócą do miejskiej rezydencji na przyjęcie weselne i przez pięć dni, jak wymaga tego obyczaj, pozostaną tam w odosobnieniu. Dopiero wtedy będą mogli pojechać na plantację do St. Marthwille i rozpocząć życie tak, jakby drogi księcia Ruthenii nigdy nie skrzyżowały się z ich drogami.

Podniosła się z westchnieniem, zrzuciła prześcieradło, którym się po kąpieli owinęła, i założyła bieliznę. Przez głowę wciągnęła suknię, pozwalając, by zimny atłas swobodnie okrył jej ciało. Siadła ponownie, na smukłe łydki nałożyła białe pończochy i umocowała je ozdobnymi podwiązkami powyżej kolan. Stopy wsunęła w buciki i obciągnęła suknię na biodrach. Nadal była bardzo szczupła i taka pozostanie pewnie przez najbliższe tygodnie. Nie widać jeszcze żadnych wypukłości, które by mogły wywołać plotki na jej temat. Mimo to czuła się tak, jakby jej stan wycisnął już swe piętno na jej twarzy.

Jakby odpędzając złe myśli, machnęła rękami i podszła do stolika, na którym stał *corbeille de noce*, ślubny

koszyczek, jaki zwyczajowo przysły małż przysyła przyszłej żonie. Zrobiony z białej plecionej słomki, obsyty batysem i obwiązany kokardkami i koronkami, sam w sobie stanowił wykwintny prezent. Nie taki jak dość prosta, złota, wysadzana rubinami bransoleta, którą jej podarował, kiedy się poznali.

Koszyczek dzisiejszego rana dostarczył nieznanego posłaniec; trochę późno, ale tak po prawdzie, to w ogóle się go nie spodziewała. Dopiero kiedy zajrzała do środka, przestała się dziwić, że dotarł dopiero teraz. Znajdowały się w nim wspaniałe rękawiczki z białej gienzy, szal z puchowej przędzy, lamowany i wyszywany jedwabiem, wachlarz ze złotą konstrukcją i scenką rodzajową Watteau, widoczną, gdy był rozłożony, komplet biżuterii z diamentów i topazów w tak misternej oprawie ze szczerzego złota, że w blasku słońca wyglądała jak utkana z promieni słonecznych. Wreszcie był welon z ręcznie robionych koronek walenckich, lekkich i zwiewnych jak pajęczyna, sprowadzanych z Europy za niewyobrażalne pieniądze.

Andre musiał chyba odwiedzić wszystkie sklepy w Nowym Orleanie, by skompletować taki koszyczek.

Welon, udrapowany na włosach, będzie spływał z ramion i opadał poniżej pasa - pięknieszego uzupełnienia do sukni nie można było wymyślić.

Pozostałe rzeczy zapakowała do kufra. Teraz czekała na Marię, która miała ją uczesać i zasznurować suknię, gdy tylko wyrwie się od Madame de Buys.

Wreszcie była gotowa.

Podjechał powóz. Angelinę zeszła schodami na podwórze. W rękach miała bukiet ze spirei i fiołków. Maria niosła za nią jej kufer. Gdy tylko wyszła z bramy prowadzącej na ulicę, natychmiast pojawił się służący w liberii i pomógł jej wsiąść do powozu. Zamknął za nią drzwiczki, a kufer umieścił z tyłu. Powóz ruszył. Angelinę pokiwała stojącej na chodniku Marii, potem

siadła ostrożnie, by nie pognieść stroju. Przed kościołem chciała wysiąść jak elegancka panna młoda.

Na pierwszym skrzyżowaniu za domem wdowy usłyszała stukot końskich kopyt. Przez okno zobaczyła postać w białym mundurze, potem jeszcze drugą i trzecią. Siadła wyprostowana, ale ani Gustave, ani Leopold, ani Oswald nie patrzyli na nią, lecz prosto przed siebie, wyprężeni na koniach jak eskorta honorowa samego króla.

Wtem ukazał się czwarty jeździec. Drzwi po prawej stronie powozu otworzyły się gwałtownie. Król Ruthenii zręcznie wykonał skok z kulbaki do jadącego powozu. Pochylił się w drzwiach, roześmiał radośnie, zatrzasnął za sobą drzwiczki i siadł obok niej.

Zgarnęła szeroko rozłożoną suknię i spojrzała na niego piorunującym wzrokiem.

- Co ty tu robisz?!

- Towarzyszę pannie młodej w drodze do kościoła. To taki rutheński zwyczaj.

Przez mgnienie oka pomyślała, że... ale nie, nie! To dobrze, że w powozie jest ciemno, że nie widać rumieńca, oblewającego jej twarz aż po czubki włosów. I drżenia rąk.

Wzburzona zawołała:

- Jesteś chyba pijany?!

- Tak! Ale twoją pięknoscia! Nigdy w życiu nie byłem równie trzeźwy jak w tej chwili. I myślę, że tak już zostanie na zawsze.

- Jeśli traktujesz... to wszystko, tak... to wszystko, jako urządzenie mnie... na przyszłość, to powiem ci otwarcie... to wygląda dokładnie... jak przekazanie swojej utrzymanki następcy...

- Osa, i to z językiem gorzkim jak aloes! Jeśli zamierzasz być taką żoną, to współczuję twemu mężowi.

- Możesz sobie darować. Nie będzie na mnie narzekał.

- To już brzmi lepiej.

- Nie mam pojęcia, czemu akurat ty miałbyś się tym przejmować.

Nagle spoważniał.

- Czuję się niejako odpowiedzialny za wszystko. To tak, jakbym posadził kwiaty o tak cudownym zapachu, że sąsiad się nim zadusił.

- Jeśli chcesz przez to powiedzieć, że zamierzam zdominować Andre, to jest to śmieszne - powiedziała już opanowana, a nawet niebezpiecznie spokojna.

- Jestem pewny, że będzie się buntował przeciw temu, ale pozostaje pytanie, czy da radę. Może nie wyrwie się spod matczynej spódnicy w obawie, że nie sprost małżeńskim obowiązkom?

- To obraźliwe! - zawołała tracąc opanowanie. - Pewnie siebie uważasz za najlepszego?!

Odwrócił głowę tak, że patrzył jej prosto w twarz. Światło lamp powozu ciemnym złotem zagrało mu we włosach.

- Tak, słodka Angelinę, tak! Jestem twoim nauczycielem, twoim towarzyszem, drgającą cięciwą u twego łuku, hartowaną szablą do twej delikatnej pochwy, zakochaną, bliźniaczą duszą, połową ciebie samej i łabędziem, który bez ciebie umrze.

Ból, przenikliwy i obezwładniający, ścisnął jej serce i zaczął przenikać do najtajniejszych zakamarków duszy. Nie mogła mówić. Wstrzymała oddech. Dopiero gdy powóz zaczął zwalniać przed bramą kościoła, zdołała wyszeptać:

- Nie rób tego.

- Zrobiłem to już - odpowiedział równie cicho.

Opanował się. Zwinnie jak wilk - jego herbowy znak - wyskoczył z powozu i pomógł jej wysiąść.

Nigdzie nie widziała Andre. Przed kościołem nie było też powozów, jakie spodziewała się tu zastać. Powinni nimi przyjechać krewni. Mieli poprowadzić ją środkiem nawy do ołtarza. Drzwi kościoła były otwarte.

Światło płonących świec wylewało się na schody. Nawa główna, z pustymi ławkami po obu stronach, wiodła do samego ołtarza, przy którym, w białych szatach, czekał ksiądz. W powietrzu unosiła się woń kadzidła i wosku, kurzu i potu zastygłego w drewnie. Błyszcząco połączone figury świętych, w marmurowych płaszczynach odbijało się blade światło, wydobywające z ciemności ostre kontury rzeźb. Ich kroki i kroki maszerujących za nimi gwardzistów tłumił rozłożony chodnik, ale w panującej w kościele ciszy i tak wydawały się głośne.

Przez chwilę Angelinę dała się ponieść marzeniem. Człowiek idący obok niej był żywy i prawdziwy. Przez rękaw munduru palcami wyczuwała węzły jego mięśni. Całe jej ciało zdawało się opowiadać na ich wezwanie...

Wtem z cienia wyłonił się Andre i stanął między nimi a ołtarzem. Rolfe zatrzymał się przed nim na odległość wyciągniętej ręki. Zmierzyli się wzrokiem. Napięcie sięgnęło zenitu. Angelinę poczuła, jak ramię pod jej palcami sztywnieje, spostrzegła też, że dłonie Andre zamykają się w pięści.

Zrobiła krok do przodu, puściła ramię Rolfe'a i położyła rękę na dłoni Andre.

Zrobiła to z ogromnym wysiłkiem, największym, na jaki mogła się zdobyć. Ale nie była w stanie stłumić wyrazu rozpacz, jaki pojawił się w jej szarozielonych oczach. Andre go zauważył i zrozumiał. Twarz wykrzywił mu grymas bólu. Ale zaraz potem uśmiechnął się, chociaż oczy pozostały przeraźliwie smutne. Ujął jej dłoń, podniósł do ust, a następnie ułożył w dłoni Rolfe'a.

- Tak jak prosiłeś, obserwowałem jej twarz, gdy szła nawą - powiedział Andre. - Miałeś rację. Oddaję ci ją.

Cofnął się o krok, odwrócił i odszedł środkiem kościoła.

Angelinę osłupiała. Odwróciła głowę i patrzyła za nim jeszcze wtedy, kiedy ktoś delikatnie pchnął ją w stronę ołtarza i czekającego księdza.

Złożenie przysięg małżeńskich było krótkie. Jedyne wypowiedzenie wszystkich imion jej i jego, wraz z nazwiskiem, które teraz usłyszała po raz pierwszy, zajęło trochę więcej czasu. Potem już tylko podpisali się w księgach kościelnych i ceremonia się skończyła. Przed kościołem gwardziści wycelowali ją radośnie i głośno i dopiero potem pozwolili wsiąść do powozu. W środku odwróciła się do Rolfe'a, chciała spytać... Ale od kościoła do portu było zaledwie kilka kroków i zanim znalazła odpowiednie słowa, powóz zatrzymał się na nabrzeżu.

Ze stopni powozu wzięła ją na ręce i po drewnianym trapie wniósł na pokład statku. Rozległ się ostry gwizd. Załoga oddała im honory. Rolfe skinął im głową, nie zatrzymując się.

Zszedł pod pokład i dalej korytarzem w stronę drzwi, przy których stali dwaj marynarze w mundurach. Jeden z nich otworzył je, a Angelinę obdarzyła go szerokim uśmiechem.

Kabina była obszerna, oświetlona lampami oliwnymi, zawieszonymi na specjalnych wysięgnikach. Ściany wyłożono drewnem. Podłogę pokrywał turecki dywan. Po jednej stronie stał mahoniowy stół z krzesłami, a po drugiej - ogromne, królewskie łóżko z baldachimem drapowanym z granatowego aksamitu, z haftowanymi insygniami królestwa Ruthenii. Rolfe zbliżył się do łóżka i położył ją delikatnie. Gdy siedział obok niej, materace zaskrzypiały pod jego ciężarem. Pochylił się nad nią, oparty na rękach.

- Przepraszam, jeśli nie wszystko wyszło tak, jak byś chciała. Musiałem to zrobić. Nie mogłem nie być z tobą. Nie mogłem się pogodzić z tym, byś została

żoną innego, z rozpaczą nosząc w łonie moje dziecko, może później odsuwane na dalszy plan, gdy urodziłabyś dzieci Andre. Musiałem cię mieć przy sobie. Inaczej zwariowałbym z tęsknoty.

Nie była zdziwiona; czuła tylko ogromne szczęście.

- Skąd wiedziałeś?

- Wyczytałem to z twoich oczu tamtego wieczoru na balu w ambasadzie. Później, gdy byłem u ciebie, wyczułem dłońmi, jak dojrzałe są twoje piersi i...

- Tak - przerwała mu szybko i zamknęła oczy, ale zaraz je otworzyła i badawczo popatrzyła mu w twarz. - Jeśli to prawda i skoro uznałeś, że możesz się ze mną ożenić, to dlaczego...

- Dlaczego nie ogłosiłem naszych zaręczyn, dlaczego przy dźwiękach trąb nie wzięłem cię pod swoją opiekę, tak? Stałabyś się łatwym i pewnym celem ataków, gdyby na jaw wyszedł twój sekret, takim celem stałoby się też poczęte w tobie życie. Z pewnością porwano by cię jako zakładniczkę, a ja za twoje uwolnienie musiałbym się stawić tam, gdzie zażądaliby porywacze. Nie zdołałem zapobiec atakom na siebie, jak mógłbym zapewnić bezpieczeństwo tobie? Sądziłem, że będzie lepiej trzymać cię ode mnie z daleka, nawet gdyby to miało pokrzyżować moje plany.

- Meyer odgadł to wszystko i spróbował użyć mnie jako zakładniczki...

- Nie mówmy o tym! - przerwał jej gwałtownie i dopiero po chwili zaczął już spokojnie: - Lepiej pomyśl o Ruthenii pokrytej diamentami lodu i topazami śniegu albo o szalach lamowanych jedwabiem, o złotych wachlarzach w kolorach tęczy i złotem prześwieconych welonach z walenckich koronek.

Odsunął delikatnie pajęczą przędzę z jej włosów, odszukał upinające ją spinki.

- To *corbeille de noce* - powiedziała cicho. - To ty mi go przysłałeś. A ja myślałam, że to Andre...

- Czemu miałaś tak nie myśleć? On był wybrańcem, a niewiele brakowało, by tamtego wieczoru, kiedy odważył się ogłosić, że zgadzasz się go poślubić, nie stać się ofiarą nowo obwołanego króla.

- Zamiast tego pogratulowałeś mu.

- Wypowiedzenie tych słów kosztowało mnie więcej niż jakakolwiek inna wypowiedź w moim życiu. Możesz mi powiedzieć, dlaczego właśnie wtedy musieliście to zrobić? Nie mogłaś poczekać na moje oświadczenia? Przecież po śmierci Meyera były tak oczywiste jak to, że po niebie za Kasjopeją podąża Orion.

- Nie wiedziałam, czy one kiedykolwiek nastąpią. Powiedziano mi przecież, że wszyscy oczekują twojego małżeństwa z przedstawicielką któregoś z europejskich dworów królewskich, że ojciec wybrał ci na żonę jakąś bawarską księżniczkę, na co ty się zgadzasz, chcąc zaskarbić sobie jego przychyłność.

- Angelinę, słodka moja, przez całe swoje dorosłe życie marzyłem o tym, by jak każdy mężczyzna, kierować swoimi uczuciami. Jeśli idzie o małżeństwo z księżniczką - Max zapewne musiałyby zastosować się do tego wymogu, ale ja? Przecież już jestem królem.

- A twoje dzieci?

- Będę je kochał, bo będą zrodzone z miłości i dobroci.

- Wykarmione kobylim mlekiem i migdałami - powiedziała bezwiednie, przypomniawszy sobie kiedyś usłyszane zdanie.

- Tak. I całą miłość, jaka mi jeszcze pozostanie do rozdania, skupię na ich matce.

Z uśmiechem popatrzył jej w oczy. Potem mówił dalej:

- Jeśli martwi cię, że nasze dzieci będą niżej nosiły głowy z powodu koloru krwi w ich żyłach, czyli błękitnej i jasnoczerwonej wymieszanej w nich tak, że powstanie purpura królewska, to pomyśl o Europie po spustoszeniach dokonanych w tym względzie przez Kor-

sykanina Napoleona, który siebie i swoją plebejską rodzinę w ciągu jednej nocy wyniósł do królewskich godności i osadził na tronach połowy Europy.

- To prawda - przyznała w zamyśleniu.

- Ale powiedz mi, czemu ty się tym martwisz? Przecież jednym z twoich przodków był król z rodziny Burbonów.

- To Claire opowiadała takie rzeczy, nie ja.

- Papiery, którymi chwaliła się w Ruthenii, świadczyły o takim właśnie pochodzeniu jej ojca. Ty jesteś córką jego siostry, prawda? Więc pochodzisz z tego samego królewskiego pnia.

- Teraz rozumiem - powiedziała po chwili namysłu; palcami poszukała złotych guzików jego munduru i przyciągnęła go ku sobie. - Ożeniłeś się ze mną, bo mam dobre pochodzenie?

- Na Boga, nie dlatego! - zawołał wesoło.

Pochwycił ją w ramiona, uniósł i trzymał tak blisko siebie, że w głębi jego oczu mogła dostrzec czerwone odbicie płomyków lamp, wiszących za łóżkiem.

- Ożeniłem się z tobą, bo chcę, byśmy byli nierozdzielnie złączeni, by uświęcić związek zadzierzgnięty między nami w doskonałej harmonii, pod otwartym niebem, by dać ci obfitość bogactw, których nie można znaleźć w skarbcach, lecz w umyśle, ciele i sercu, by szukać w twych ramionach pulsującego życia, które oczyszcza i leczy, choć może niszczyć...

- Kocham cię, Rolfie z Ruthenii, mój królu - przerwała potok jego słów, więc dokończył już krótko:

- Tak, to dlatego się z tobą ożeniłem.

Rozpięła mu kurtkę, wsunęła pod nią dłonie, przyciągnęła do siebie jego głowę. Jego ramiona zamknęły się na jej ciele z ogromną siłą. Garnęła się do niego z drżącym oddaniem, z pragnieniem i wyzwajającą radością. Jego ciało było gorące, ciężkie, podniecające - czekała na nie.

Statek rzucił cumy, popłynął z prądem rzeki w stronę zatoki i dalej, na otwarte morze.

Zły i nędzny był świat, pełen chciwości, podstępny, śmierć zbierała swoje gorzkie żniwo w centrum miast i na pustkowiu. Ale w te marcowe dni były też błyski zachwytu, chwile słodczy, cudownie oderwane od przeraźliwej codzienności...

Tak myślała Angelinę obejmując dłońmi twarz Rolfe'a. Cofnął się odrobinę, błękitnymi oczami napotkał jej szarozielone spojrzenie. Znowu wpił się w jej usta i pieścił ją całą z zapamiętaniem.

Przestała myśleć.